



This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

- + *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
- + *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
- + *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
- + *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at <http://books.google.com/>



Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana była na bibliotecznych półkach, zanim została troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdążyły już wygasnąć i książka stała się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasły. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszłości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródło cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając długą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczeni się współpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materiałów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią własność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszłych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materiały, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
Google Book Search to usługa przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
Prosimy o niewysyłanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tłumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materiałów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
Znak wodny "Google" w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ułatwiania znajdowania dodatkowych materiałów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka została uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzieło to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiegokolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby stały się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ułatwia czytelnikom znajdowanie książek z całego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Cały tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem <http://books.google.com/>

PG7160. S6. Z6. M2



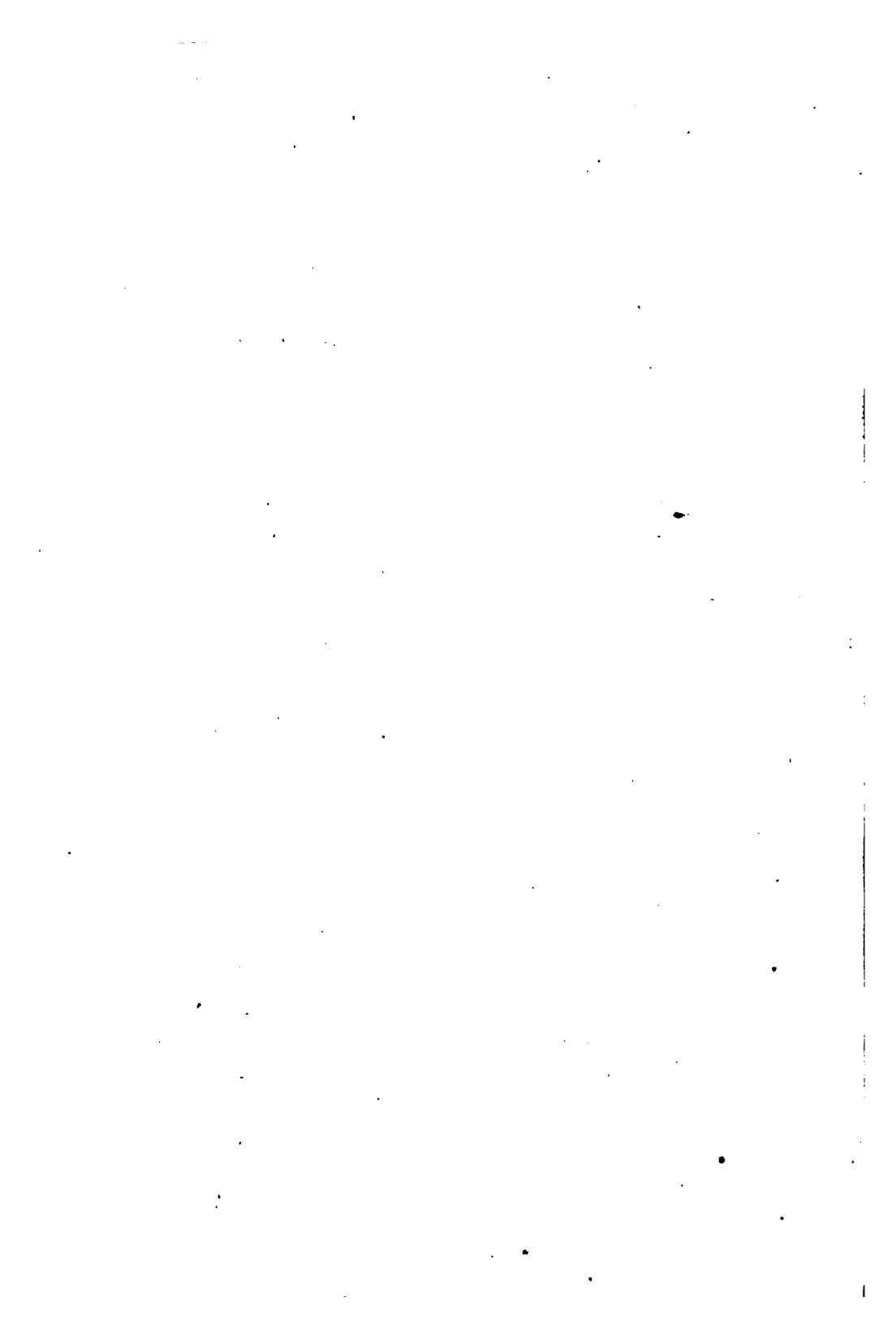
~~Slav. 30 F. 28~~





302820894-

12. 2. 93



dnia 24 9/2 r
Pan Boswellowi ofiaruję
P. Wzrosty

JULIUSZ SŁOWACKI

JEGO ŻYCIE I DZIEŁA

W STÓSIUNKU DO WSPÓŁCZESNEJ EPOKI.

TOM PIERWSZY.



JULIUSZ SŁOWACKI

JEGO ŻYCIE I DZIEŁA

W STÓSUNKU DO WSPÓŁCZESNÉJ EPOKI.

PRZEZ

ANTONIEGO MAŁECKIEGO.

TOM PIERWSZY.

LWÓW.

NAKŁADEM AUTORA.

Z DRUKARNI ZAKŁADU NAROD. IM. OSSOLIŃSKICH.
Pod bezpośr. zarządem uprzyw. dzierżawcy Alex. Vogla.

1866.



SPIS RZECZY

W TOMIE PIERWSZYM ZAWARTYCH.

	strona
Przedmowa	IX

ROZDZIAŁ I.

Urodzenie poety — słów kilka o jego rodzicach — szkolne czasy — pierwsze objawy poetyckiego usposobienia. Pierwsza przyjaźń i pierwsza miłość. Bajronizm. Pierwszy krok w świat rzeczywisty — urzędowanie w Warszawie. Książę Lubecki, Dominik Lisiecki, Niemcewicz. Powstanie Listopadowe — pierwsze wystąpienie Juliusza jako poety. Wyjazd z kraju	1
---	---

ROZDZIAŁ II.

Rok 1831 i pierwsza połowa 1832go. — Przybycie do Wrocławia, a stąd do Drezna. Odyniec — okolice drezdeńskie. Wyjazd do Londynu. Teatr londyński — Westminster — Niemcewicz. Przeniesienie się do Paryża — niekorzystny sąd o Francuzach — cmentarz Père-la-Chaise — teatralne Lelewel i inni Polacy przybywający na emigrację. Poeta zamierza ogłosić zbiór swoich poezyi — wiadomość o próbach jego najpierwszych — trudności znalezienia nakładcy — romans w języku francuskim. Druk rozpoczęty — wiele obiecująca znajomość — panna Kora — owacy i nadzieje wielkiego powodzenia. Lafayette — X. Praniewicz — Skibicki. Dzieła wychodzą z pod prasy. Mickiewicz w Paryżu — pierwszy powód nienasadek pomiędzy nim a Skowackim — wspomnienie pewnego zdarzenia w Wilnie. .	27
---	----

ROZDZIAŁ III.

Poezya polska przed rokiem 1830 — jęj stósunek do literatur zachodnich — jęj główne wewnętrzne znamię. Odrębnść wyobrażeń Juliusza Słowackiego — niepopularność jego pierwszych publikacyi. Czas pracy nad każdym z utworów ogłoszonych w r. 1832. Uwagi o poemacie Hugo i o dramacie Mindowe, — rozbiór Maryi Stuart. 62

ROZDZIAŁ IV.

Dalszy ciąg rzeczy zaczętyj w poprzedzającym rozdziale. Nieco o powieści poetyckiej jako nowj formie poezyi. Bielecki — Mnich — Arab — Żmija. Ogólny wniosek. Bajronizm i jęgo ślady w poezyi polskiej 102

ROZDZIAŁ V.

Druga połowa roku 1832. Ukończenie poematu Lambro. Smutne doniesienia z domu. Nowe niesnaski z Mickiewiczem. Dziady. Nagły wyjazd z Paryża. P. Lenormand i podróż do Genewy 131

ROZDZIAŁ VI.

Rok 1833. — Pensyonat na przedmieściu genewskim i jęgo gospodynie. Tryb życia Słowackiego w Genewie. Nowe stósunki i znajomości. Wrażenie francuskiej recenzyi jęgo Poezyi. Teatr genewski. — Wiadomość o zgonie Zienkowicza. — Lambro oddany do druku, przedmowa do niego. — Życie towarzyskie roku owego dość zajmujące. Boston — Eglantyna — Eliza. — Wiosna — różne figury z dalekich krajów sąsiadujące teras z Słowackim — rodzina Uwarow — Potopow — hrabina Seidwitz — misyonarz Wolf itd. — Wycieczki w góry okoliczne. — Uroczystość szkolna — imieniny Juliusza. — W jesieni praca nad Kordyanem 154

ROZDZIAŁ VII.

Zdanie o poemacie Lambro. Czy narodowość poezyi na tém polega, ażeby obrabiać materye brane jedynie ze sfery własnej? — Rozbiór Kordyana — kilka uwag o Dziadach Mickiewicza i o Garczyńskiego Wacławie . . . 177

ROZDZIAŁ VIII.

- Rok 1834 i 1835. — Wiara w przeczucia. Śmierć babki. — Eglantyna. Przykrości wygnania dają się czuć pod każdym względem. Smutne usposobienie. Skromne życzenia, bez nadziei ich osiągnięcia. — Wieczorki genewskie. Prace i studia: Filozofia — Biblia — Georges Sand. Walas — Mazepa — Balladyna — Horsztyński. — Lepsze chwile — Nowa znajomość — Marya W. — Podróż w miłym towarzystwie i dalsze z tego następstwa. — Rozczarowanie — trzy miesiące samotnego pobytu w górach. Przesilenie i nowe ideały. „W Szwajcaryi“ — Anhelli 204

ROZDZIAŁ IX.

- Rok 1836 do połowy 1837. — Przygotowania do podróży włoskiej — trudności pasportowe. Wyjazd do Rzymu — wrażenia — nowe znajomości, Krasiński. Neapol — Sorrento — poemat „Wacław“. Podróż na Wschód. Grecya — Egipt — Kairo — piramidy — spotkanie z przyjaciółmi koło Dendery. Teby — jazda na wielbłądach ku Palestynie. Kwarantanna w El-Arish. Jerozolima — noc u grobu Chrystusa. Ruiny Balbeku — Klasztor ormiański na Libanie — spowiedź — „Ojciec Zadźmionych“. Bajrut — powrót okrętem do Liwurny. . . 243

PRZEDMOWA.

Oddając do rąk publiczności tę książkę o Juliuszu Słowackim, uważam za potrzebne wytłómaczyć się, skąd mi przyszło na myśl pisać tak obszernie o człowieku, który w społeczeństwie zajmował tylko skromne stanowisko pisarza, a którego dziełom przy całej ich genialności sam nieraz niedostatki wytykam. Że mnie z téj strony będzie zaczepiała krytyka, o tém wcale nie wątpię. Niechże przynajmniej — jeżeli nie rozbroi, to bodaj złagodzi surowość jój zarzutów szczerze i otwarte opowiedzenie, jak ta praca moja powstała i w jakim celu była podjęta. Dała mi do niej główny powód oddana do rąk moich w odpisie korespondencya Słowackiego, prowadzona z różnemi osobami, z Zygmuntem Krasińskim, z Teofilem Januszewskim, wujem poety, z Kornelim Stattlerem, znakomitym niegdyś profesorem malarstwa w Krakowie, a przede wszystkim z matką. Do matki swojej pisywał poeta nasz w stałych i częstych terminach i zwykł jój być przez cały czas życia swego na emigracyi szczegółowo zdawać sprawę ze wszystkiego, z czego się tylko to życie jego splotało. Rozczytując

X

ten nader znaczny zbiór listów (jest ich tyle, że za-
pełniłyby dwa spore tomy), nie mogłem się oprzeć
w pierwszej chwili urokowi, jaki wywiera to rzeczy-
wiście bezprzykładne bogactwo wyobraźni, strumie-
niami rozlanéj w owych potocznych i poufnych roz-
mowach nieznanego zupełnie dotychczas z téj strony
wieszczą; i porwany myślą, że to prawdziwy pamię-
tnik wewnętrznego życia poety, że to istna fotografia
najszybszych poruszeń serca — zamierzyłem nakło-
nić koniecznie krewnych jego do bezzwłocznego ogło-
szenia téj całej korespondencji. Dalsze czytanie je-
dnakże dało mi uczuć niebawem niestosowność tego
żądania. Nie tylko bowiem czas obecny zdaje się być
cokolwiek jeszcze za rychłym, żeby wszystko, co się
w niej mieści, bezwarunkowo można było drukować;
ale i tego nie mogę zataić, że kiedy się odczytuje
zbiór listów cały w jednym ciągu jeden po drugim,
doznawać się zaczyna z czasem przy tak wielkiej ich
obfitości — znużenia. Ostatecznie bowiem każdy list
jest tylko listem, choćby go pisał i genialny poeta!
Doniesienia o bieżących potocznościach życia, o zdro-
wiu, kłopotach, powodzeniu itp. zajmują tu zawsze
miejscę sobie właściwe; a nawet i najpoetyczniejsze
ustępy nie mogą się nie powtarzać w podobnym cią-
gle sposobie. W skutek czego czytający te wynurze-
nia poufne traci coraz bardziej zmysł dla rzeczy pra-
wdziwie niepospolitych, ginących w tym nawale po-
wzednich konwencyjności.

Nie uważając zatem jak na teraz za pożądane,
żeby korespondencya ta była drukowana w całości,
a nie mogąc z drugiej strony i tego z przekonaniem

XI

swojém pogodzić, żeby pojedyncze z listów urywki, wyjęte na chybi trafi ze związku, było właściwém dawać do rąk publiczności w sposób, jak to uczyniono na przykład z listami Kraszińskiego lat temu kilka: wziąłem sobie za zadanie zużytkować ten materiał inaczej. Postanowiłem z osnowy listów rozwinąć wątek autentyczny życia Słowackiego tak mało komu znanego dotąd dokładniej; a zapomocą lepij rozwiniętego poglądu na tegoż życia koleje, rzucić też nieco światła i na jego dzieła. I oto w taki to sposób powstała książka niniejsza, poświęcona zarazem i biografii poety i krytycznemu rozbiorowi pism jego, w odniesieniu do całego ogółu ówczesnych usiłowań w literaturze naszej, stanowiących jakby tło dla wyłącznego uwag moich przedmiotu. Przyznaję otwarcie, że kiedym się zabierał do téj roboty, nie wystawiałem sobie, że się ona do téj objętości rozciągnie. Nie ręczę nawet za to, czybym się był zabrał do niej, gdybym to naprzód był wiedział. Ale zabrnawszy raz w rzecz i spostrzegłszy się, w co ja wszedłem, trochę zapóźno: nie chciałem się już cofać po czasie. Prowadziłem tedy coraz dalej naprzód pracę zaczęta, pocieszając się nadzieją, że cokolwiek się stąd wywiąże, nie będzie bez pewnego interesu a może i pożytku. Mianowicie zaś towarzyszyło mi w tém zajęciu to przekonanie, że warto jest przypatrzyć się choćby też raz jeden z bliska ... życiu Poety! Warto poznać w tym autentycznym, z własnych świadectw utworzonym obrazie, z czego to u natur wyjątkowych, noszących to chlubne miano, zazwyczaj splata się ów wątek uczuć, szalów, rzadkich pociech, częstszych

XII

boleści, niebiańskich natchnień i cierpień nieraz najdotkliwszych, który tłum ludzi, stojący u ich piedestała, nazywa późnziej sławném życiem genialnego człowieka... Tyle o tém już pisano w romansach! Każdy wystawia sobie stan duszy tych ludzi nadzwyczajnych — po swojemu. Prawdy bezwzględnej nie może być nigdy w takich wymarzonych i tylko z własnej głowy branych opisach. Otóż zdarzyła się sposobność, sposobność w literaturze naszej do téj przynajmniej pory jedyna, że przy pomocy takiego zapasu własnoręcznych zwierzeń, wyrzeczonych w chwilach zawsze stanowczych, pod wpływem uczuć zbyt świeżych, żeby przypuszczać, że ten, co to pisał, fałdy swój togi drapował sztucznie i stawał w postaci człowieka który pozuje... możemy krok w krok, jak cień za ciałem towarzyszyć jednemu z podobnych ludzi przez całe pasmo dni jego i mieć jak na dłoni przed sobą całą genezę i dziejów jego jako człowieka i natchnień jego jako artysty. Dlaczegoż nie mielibyśmy korzystać z téj sposobności? Nie miałaby wizerunek taki mieć przynajmniej tyle wartości, co obrazy charakterów i opisy przygód wymarzonych w fantazyi?

Ale odeprze niejeden na to: przecież Słowacki nie był największym naszym poetą! jeżeli więc o to chodziło: to należało sobie wybrać kogoś takiego, któryby sprawiedliwiej mógł tu służyć za pomnikowy posąg wieszczego usposobienia. — Prawda! Autor Lilli Wenedy niewątpliwie miał coś w duchu swoim chorobliwego. Między dziełami, których ostatecznie dokonał, a tą potęgą jego poetyckiej zdolności, która w pojedynczych tylko miejscach bije u niego całym blaskiem

XIII

światności, gdzieindziej zaś już tylko „dymi przez słowa“, nie ma należytego stósunku. Stémwszystkiém i ta anormalność, która nas w osobie jego uderza, nie było symptom oderwany i czysto osobisty. To było znamię typowe czasu, to było cierpienie właściwe mniej więcej całej téj generacyi, do której Juliusz należał. Już przeto dla téj jednej przyczyny uważam życie jego za przedmiot pod każdym względem godny głębszego rozpatrzenia.

A zresztą — należy zawsze korzystać ze sposobności, jaka się właśnie nadarza. Mickiewicz nie zostawił po sobie takiego materiału do odtworzenia wizerunku całego swego żywota; dlatego też niejedno z źródeł jego natchnienia na zawsze dla potomnych pozostanie zagadką.

— Obok Słowackiego, stawionego na pierwszym planie, umieściłem w obrazie moim cały chór osób różnych współczesnych, z którymi łączyły go bliższe lub dalsze stósunki i o których często mówi w swojej korespondencyi. Zdawało mi się, że nie mogą być obojętne szczegóły dotyczące ich doli, wpływów na nich działających i okoliczności, wśród których żyli. Ściąga się to głównie do tych pisarzy naszych, co życie spędzili na wygnaniu. Jeżeli wreszcie szczegóły podobne wydają się może dzisiaj jeszcze pomniejszėj wagi, nie będąc tak dalece nieznanemi rzeczami dla pokolenia dzisiejszego: to rozumiem, że nie będą bez interesu dla późniejszych, do których tradycje żyjące pomiędzy nami, dójdą tylko w drobnych okruchoch. Cóżbyśmy dziś za to dali, gdybyśmy tyle wie-

XIV

dzieć mogli na przykład o znakomitościach naszych z zygmunto夫斯基 epoki! Byłaby to nielogiczność, rozbijać się za najdrobniejszych wiadomościach, jeżeli takowe dotyczą od dawna zgasłych, a za nic ważyć sobie wspomnienia dotyczące osób, których mogiły jeszcze w ziemi nie zakłęły i zaledwie darnią porosły. Przyjdzie czas, że i te grobowce znikną z przed oczu żyjących, a wtedy będzie tém droższą wiadomość o wszystkich, którzy w głębi ich spoczęli...

— Ze stroną opisową i historyczną dzieła mojego połączyłem i część krytyczną. I wytłómaczyć się muszę, dlaczego rozwodzę się tak obszernie nawet nieraz nad takimi utworami Słowackiego, którym sam wielkiego znaczenia artystycznego odmawiam. Dzieła tego poety, niesłusznie przez ogół mało poszukiwane, zaczęły od lat kilku tu i owdzie prawie znowu nad zasługę i miarę entuzjazmować pewną liczbę czytelników, zwłaszcza pomiędzy młodzieżą. Według wszelkiego podobieństwa do prawdy, będzie się to z czasem jeszcze powiększać. Przy takiej sprzeczności sądów i punktów widzenia — bardzo wiele zależy na tém, ażeby sobie zdać raz sprawę na usilniejszych studiach opartą, tak ze zalet jako i przywar właściwych Słowackiemu. Krótkie wyroki na nic się tu nie przydadzą. Doraźnie wypowiedane mniemania nikogo jeszcze o niczem nie przekonały. Zresztą wszelkie krytyczne rozbiory zdaniem mojem wtedy tylko mogą być prawdziwie pożyteczne, kiedy nie ograniczając się do tego, żeby czy to nagana, czy pochwałą wpłynąć na dalsze roboty krytykowanego pisarza, po-

ruszają pytania sięgające donośnością swoją nieco poza zakres poruszonego właśnie przedmiotu. Niech mi się tu wolno będzie odwołać do wielkiej w takich rzeczach powagi. Krytyki Lessynga w jego „Hamburskiej Dramaturgii“ objęte, są ciągle jeszcze pouczające, chociaż mało która ze sztuk przez niego tam rozbieranych bywa jeszcze grywaną, a choćby tylko czytowaną przez kogo... Daleki jestem od chęci przypisywania moim krytycznym wywodom znaczenia, któreby je zbliżać mogło do mistrzowskich rozbiórów Lessynga; ale godzi się każdemu iść w ślady za człowiekiem, którego sposób się uznaje za godny naśladowania.

— Na zakończenie powiedzmy słówko, czy się godziło robić użytek, przeznaczony dla wiadomości całej publiki, z listów prywatnych. Poruszył to pytanie co do Mickiewicza niedawnymi czasy znakomity nasz krytyk Julian Klaczko i bardzo się stanowczo wyraził za tém, że „ogłaszanie poufnych pism i listów znakomitych w narodzie ludzi nie jest rzeczą ani tak niechybnie godziwą, ani tak nad wszelką wątpliwość pożyteczną, jak się to niejednemu wydaje.“ Rozróżniając pomiędzy ludźmi czynu, do których policzył polityków, wojowników i dyplomatów, a mistrzami słowa i sztuki: uważa szanowny autor, że tylko pierwszych uważany być może i prywatny nawet żywot za godziwy przedmiot badań powszechnych; podczas gdy osobistość drugich radby on usunąć ile tylko być może z przed oczu ciekawych natrętwów, a to dlatego że biografia artystów i poetów bywa prawie zawsze mikrografią ducha.

XVI

Przyznaję chętnie, że mogą niewątpliwie zdarzać się wielkie przesady w nieogłędném traktowaniu prywatnych stósunków czyichkolwiek, czy tam kto walczył na świecie bronią, czy wreszcie piórem. Stém-wszystkiém zdaje mi się, że jednak podnosić do reguły powszechnéj zaleconéj tu dyskrecyi nie można. Koniec końcem, trudnoby było zaprzeczyć temu, że pospolicie dzieła poetów wtedy dopiero zaczynają być należycie zrozumiałe i pożyteczne dla wszystkich, kiedy się wie dokładnie, wśród jakich okoliczności one powstały, to jest kiedy się dobrze zna przebieg życia ich autora. A już to samo upoważnia do tego, aby się starać zbogacić biografią jego szczegółami jaknajdokładniejszymi skądkolwiek bądź. Zresztą i najszczytniejsza poezya, ażeby nie była próżnym blichтром i tumanem dla niedoświadczonych, powinna być popartą życiem poety. Mam to przekonanie, że narodowi służy wszelkie prawo do dochodzenia tego, co mu poeta daje: czy to szych, czy złoto szczere? czy przede-wszystkiém wierzył on też w to wszystko, co słowami swemi wygłaszał, i czy sam żył podług tego? Gdzie bowiem rozdział nieprzeskoczny między pismem a czynami, tam zwykle i czyny lichy i pisma wielce podejrzanéj wartości!... A nakoniec nie zapominajmy i o owém odwieczném zdaniu, że *natura horret vacuum*. Jak w świecie fizycznym, tak też i w biografjach znakomitych ludzi aż nadto często się zdarza, że się nie-zapełnione niczém próżnie lubią zapełniać czémkolwiek bądź: w rzeczach fizycznych zapełniają się wiatrem, a w ludzkich — ploteczkami; a te nie zawsze wypadają na korzyść osób, do których się ściągają.

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

Urodzenie poety — słów kilka o jego rodzicach — szkolne czasy — pierwsze objawy poetyckiego usposobienia. Pierwsza przyjaźń i pierwsza miłość. Byronizm. Pierwszy krok w świat rzeczywisty — urzędowanie w Warszawie. Księżę Lubecki, Dominik Lisiecki, Niemcewicz. Powstanie Listopadowe — pierwsze wystąpienie Juliusza jako poety. Wyjazd z kraju.

„Wśród litewskiego grodu, w ciemnej szkolnej sali
Siedziało dwoje dzieci — niezmiészani w tłumie.
Oba we współzawodnej wykarmieni dumie,
Oba wątłej postaci, marmurowo biali.
Młodszy wiekiem nadzieje mniejsze zapowiadał,
Piers mu się podnosiła ciężkiem odetchnieniem —
Włos na czole dzielony na ramiona spadał
I po nich czarnym, gęstym sypał się pierścieniem.
Widać, że włos ten co dnia ręką dziewic gładką
Utrefiony, brał blaski dziewiczych warkoczy.—
Ludzie nieraz, „on umrze“ mówili przed matką:
Wtenczas matka patrzyła długo w dziecka oczy
I przeczyła z uśmiechem. Lecz w smutku godzinie,
Kiedy na serce matki przeczuć spadła trwoga,
Lękała się nieszczęścia, i myśląc o synie
Nie śmiała wyrzec: niech się dzieje wola Boga!
Bo w czarnych oczach dziecka płomień gorączkowy,
Przedwcześnie zapalony, trawił młode życie...”

„Młodszy wiekiem“, o którym mowa w tym wierszu, to właśnie nasz poeta. Powyższemi słowy sam on siebie opisał w wierszu zatytułowanym „Godzina Myśli“, zamieszczonym na końcu III tomu Poezyi paryskiego wydania. Godzina Myśli poświęcona jest wspomnieniom lat szkolnych, wspomnieniom pierwszych marzeń, pierwszych rozczarowań, pierwszej przyjaźni i pierwszej miłości. Wiersz ten stanowi między materyałami, które mam przed sobą, najważniejsze źródło do skreślenia wewnętrznego wizerunku Juliuszu w tej życia jego epoce. Opowiadania osób, które pamiętają te czasy i patrzyły na młodość jego, jakkolwiek ciekawe i zajmujące, nie potrafiłyby zastąpić tych zwierzeń z pierwszej ręki podanych; dostarczają bowiem tylko szczegółów do zestawienia samej zewnętrznej strony tego obrazu.

Odbывał więc Juliusz szkoły „wśród litewskiego grodu“, w Wilnie. Tutaj także spędził najrychlejszy poranek życia, nim jeszcze został do szkół oddany. Jednakże właściwym jego krajem rodzinnym, krajem, który tyle razy w pismach swoich z wyłączeniem przywiązaniem wspomina jako swoją krainę,

„Gdzie po dolinach moja Ikwa płynie,

Gdzie góry moje błękitnieją mrokiem“—

nie było Litwa, lecz Wołyń. Urodził się w Krzemieńcu, dnia 23 sierpnia 1809 roku — z ojca Euzebiusza Słowackiego i matki Salomei z domu Januszeewskiej.

Ojciec jego zajmował wtedy jeszcze posadę profesora języka polskiego w liceum krzemienieckim, którą z rąk założyciela tegoż zakładu, Tadeusza Czackiego, otrzymał był już w chwili téjże szkoły otwarcia. Nie długo potem zamienił ją na profesurę uniwersytecką. Właśnie bowiem w tymże roku 1809 ogłoszono w akademii wileńskiej konkurs na katedrę historii literatury, czyli, jak to naówczas tam nazywano, na katedrę wymowy i poezyi. W dowód stosownego uzdolnienia do objęcia téj profesury zażądano rozprawy „O sztuce dobrego w języku polskim pisania“. W skutek tego — po upływie dziesięciomiesięcznego przeciągu czasu, tyle go bowiem dozwolono do wykończenia żądanej pracy — zostało do Wilna nadesłanych kilka rozpraw téj treści. Była pomiędzy niemi i praca profesora z Krzemieńca. Po

rozpoznaniu wad i zalet wszystkich pism nadesłanych, komisya rozpoznawcza, z profesorów akademii złożona, do której przede-wszystkiem należeli sławny Godfried Grodek, profesor filologii, i rektor uniwersytetu Jan Śniadecki, przyznała stanowcze pierwszeństwo Euzebiuszowi Słowackiemu. W skutek tego nastąpiło w roku 1811 ostateczne powołanie jego na tę katedrę i przeniesienie się rodziców poety naszego do Wilna.

Zawód Słowackiego jako profesora wszechnicy był tém użyteczniejszy, że przypadł na czasy, gdzie konieczna potrzeba téj profesury coraz dotkliwiej czuć się dawała. Przez cały ósmioletni ciąg trwania odrodzonego pod kuratoryą X. Adama Czartoryskiego uniwersytetu wileńskiego aż do owéj chwili, przez cały czas od r. 1803 do 1811, katedra poezyi i wymowy ciągle tam wakowała. Nauk tych nie wykladał tam aż potąd żaden nawet zastępca profesora. Wzywano wprawdzie ze strony uniwersytetu od czasu do czasu różne co sławniejsze w epoce owéj znakomości literackie i naukowe do objęcia rzeczonéj posady: powoływano na nią najprzód Kopczyńskiego, później Karpińskiego, a dalej Niemcewicza, nakoniec Fr. Xaw. Dmóchowskiego i Woronicza. Lecz wszystkie te kandydatury rozbiły się o jakieś już to polityczne, już osobiste i uboczne trudności, tak iż dopiero więc w r. 1811 zasiadł na téj katedrze po raz pierwszy Słowacki. Był to mąż wielce czytany i światły. Wprawdzie więcej on wykształcenie swoje zawdzięczał własnym swoim usiłowaniom, aniżeli mistrzom jakim i zakładom naukowym głośniejszój sławy. Za granicą bowiem za młodu na żadnych akademiach nie bywał. Krajowe zaś szkoły, w których się kształcił, w tamtych jeszcze czasach zbyt wysoko nie stały. Pomimo tego wszelako, przy gorliwém pełnieniu obowiązków, przy rzetelném zamięlowaniu tak powierzonego sobie przedmiotu, jako i młodzieży, działał Słowacki w zakresie swoim z wielkim dla niéj pożytkiem. Co większa, starał się i posunąć dalej samą naukę, którą miał sobie poruczoną, jak o tém najlepiej świadczą pozostałe jego pisma*). Jak wiadomo, próbował

*) Pisma Euzebiusza Słowackiego wyszły w 4 tomach, w kilkunastu lat po zgonie autora, w Wilnie r. 1824—26.

on sił swoich nawet i na polu poezji. Mianowicie wiele tłómaczył, np. Henryadę Woltera i różne ustępy z dzieł kilku poetów łacińskich. Ułożył wreszcie dwie tragedye oryginalne niezgorzszym wierszem, t. j. Mendoga i Wandę. Sztuki te pisane są wprawdzie zupełnie jeszcze na sposób dawny francuski, czyli jak to zwykle nazywamy, klasyczny; stémwszystkiém pamiętać tu należy, że takie to już wtedy były u nas w téj mierze powszechne wyobrażenia. Nikt w tym rodzaju literatury nie pisał inaczej za Księstwa Warszawskiego. W każdym razie tedy działanie takiego profesora wśród grona dzielnej litewskiej młodzieży obiecywało Wilnu jeżeli nie takie plony, jakie się — dzięki innym okolicznościom — okazały w późniejszych latach, kiedy to liczył się do uczniów uniwersytetu Zan i Mickiewicz: — to zawsze jednak zapowiadało ono rzetelne i ważne, chociaż skromniejsze korzyści. Do ziszczenia ich zupełnego atoli nie przyszło; we trzy już bowiem lata po przeniesieniu się swoim do Wilna t. j. w r. 1814 zakończył profesor życie. Umarł przedwcześnie w czterdziestym drugim roku wieku, na piersiową słabość, która o wiele rychlej wycieńczała już siły jego.

Tyleśmy mieli do powiedzenia o ojcu.

Co się tyczy matki, to opowiadania wszystkich, którzy ją znali, w tém się zgadzają, że jeżeli które z rodziców mogło usposobieniem swoim wpłynąć na ów wyższy i excentryczny nastrój ducha Juliusza, to rozumieć to należy właśnie o matce, która też w nim całe swoje szczęście widziała, dla której był on jedynym celem życia, jój dumą, jój nadzieją, jój wszystkiém na ziemi. Ze strony syna także niemniejsze było przywiązanie do matki. Od pierwszego dzieciństwa swego aż do zgonu — przez wszystkie życia koleje, czy to pod jój okiem wzrastając, czy trawiając na wygnaniu długie lata samotne, zawsze on ją z głębi serca, rzewnie, wyłącznie i niemal bym rzekł religijnie czcił i miłował. Już same listy jego do niej pisywane przekonywają, że nie miał on przed nią nigdy nic skrytego, nic coby zakrawało na tajemnicę. Z szczerą ufnością dziecięcia i ze swobodą przyjaciela zwierzał on jój się zawsze z każdą pociechy i nadziei, z każdą boleści i troski, ze wszystkich uczuć, rojeń, a nawet czasem i szaleństw

drażliwego swego usposobienia. Ale bo była też to osoba rzadkiej giętkości ducha. Łączyła w sobie własności, których harmonijne, mile dla wszystkich otaczających połączenie w jednej osobie tylko się rzadko kiedy i chyba wyjątkowo spotyka. Łatwa, potoczna, nadzwyczaj żywa, a jednak i czująca głęboko i z natury jakiegoś już tęskniejszego nastroju — pociągała ona ku sobie każdą szlachetniejszą naturę. Zawsze potrzebując czegoś takiego koniecznie, coby jej myśl żywszém napełniało zajęciem, brała udział we wszystkim, co tylko ją otaczało, i znajdowała w sobie nawet dla rzeczy małych dość tej skrzętnej drobnostkowości, która naturze niewieściej dodaje tyle powabu, jeżeli się z nią kojarzy zmysł i głębsze wyrozumienie także i dla spraw wyższych, dla spraw wynikających z obowiązków matki, obywatelki, chrześcijanki... Matka Juliusza wszystko to w sobie godziła. Sercem i wykształceniem stawiona zupełnie na równi z duchowém stanowiskiem syna, odgadywała mimowiednie, a często i pojmowała świadomie tajne nieraz intencye jego poetyckich utworów. I nie tylko nie ukrywała przed nim swojego zdania o wszystkim, cokolwiek jej przełożył; ale niekiedy nie szczędziła mu i wyraźnej nagany, jeżeli coś nie zupełnie smakowi jej zadość czyniło. Nagany takie przyjmował Juliusz od niej — może od niej jednej — z bezwarunkowém poddaniem... Słowem, była pomiędzy temi dwiema naturami jakaś tajemnicza a szczególnie ścisła sympatya. Wielu zaś dostrzegało nawet pewnego wręcz podobieństwa pomiędzy matką a synem, które im też tłómaczyło niejedną stronę skądinąd dziwnie uderzającą w charakterze poety. A jeżeli w dalszych ustępach życia Juliusza rysy tego podobieństwa znacznie się zatarły, a wyszły natomiast na wierzch pod niejednym względem różnice: — to byłoby skutkiem dyametralnie odmiennych życia kolei, jakie każde z nich przechodziło. A dalej było to następstwem i tej jeszcze okoliczności, że poetyczne usposobienie matki było oczywiście więcej bierném, a kierowało niém przedewszystkiém serce, swobodnie i miłościwie na świat zewnętrzny zwrócone; podczas gdy fantazyja poetyczna syna, w sobie zamknięta, twórcza, lecz dumna, brała raczej z siebie samęj pęd ku temu wszystkiemu,

w czém się miała objawić, nie wiele dbając o świat i ludzi i o całe otoczenie zewnętrzne.

Po zgonie Euz. Słowackiego osierociała wdowa opuściła Wilno i przeniosła się z jedyném dziecięciem swoim, pięcioletniém naówczas, napowrót w strony swoje rodzinne. Osiadła na nowo w Krzemieńcu, w domu rodziców swoich Januszewskich, którzy stale w témże mieście zamieszkiwali. Po upływie trzech lat jednakże poszła powtórnie za mąż. Oddała rękę doktorowi Becu, znowuż profesorowi uniwersytetu wileńskiego w wydziale lekarskim. Dr. Becu był także wdowcem i miał dwie córki niedorosełe, potrzebujące macierzyńskiej opieki. Przybył tedy do Krzemieńca (r. 1817), umyślnie dla odnowienia znajomości, i połączył się związkiem małżeńskim z wdową po zmarłym swoim koledze. Tak nastąpiło tedy powtórne przeniesienie się onój rodziny na Litwę. Juliusz znalazł teraz w pasierbicach swęj matki, Hersylii i Aleksandrze, dwie przywiązane siostry, obsypujące go pieśszcotami, jak rodzonego brata. Do nich to więc odnosi się owa wzmianka w przytoczonym wyżej ustępie z Godziny Myśli, o dziewicach „gładkimi dłońmi trefiających co dnia czarne włosów jego pierścienie.“ —

O szkolnych czasach i pierwszej młodości Juliusza niewiele mam do powiedzenia. Tyle mi tylko wiadomo, że miało to być miłe dziecię, o pięknej ale bladęj twarzyczce — nikłe ciałem i zawsze słabowite. W czwartym roku życia odbył ciężką, kilkumiesięczną, nader niebezpieczną słabość, z której go ledwie przywrócono do zdrowia. Tém rychlęj się za to obudzać w nim zaczęły duchowe siły i niepospolite jak na wiek jego zdolności. Za życia jeszcze ojca zaczęto go uczyć czytać. Elementarzem jego, t. j. książką w dosłowném znaczeniu pierwszą, w której poznawał litery, była Iliada Homera przekładania Dmóchowskiego. Dziwili się wszyscy, że to czytanie sprawiało temu dziecku przyjemność i że wyobraźnia jego zdążała za tymi obrazami wieszczą starożytnego. W następnych latach, poduczony w początkowych przedmiotach prywatnie w domu, został — za powtórniem przybyciem do Wilna — oddany do szkół publicznych. Tu znowu się objawiła we wszystkiém pewna przedwczesność całej jego organizacyi

duchowej. Objawiała się zaś nie tyle w postępach naukowych, chociaż i pod tym względem liczył się zawsze młody Słowacki do celujących uczniów. Ale daleko więcej uderzała każdego jakaś dziwna skłonność do samotnych marzeń, jakaś tęskna fantastyczność chłopczyzny...

Jak wiadomo, lata 1818—1824 w obrębie akademii wileńskiej — stanowić będą na zawsze w dziejach umysłowości naszej czasy opromienione urokiem najpiękniejszych wspomnień i nigdy niezapomnianych zdarzeń. Zdarzenia te sięgały daleko po zakres urzędowej ze tak powiem instrukcyi naukowej. Byłto brzask nowój ery w myślach i pieśniach — świtanie nowego życia, życia rdzennie narodowego. Co tylko z młodzieży żyło duchowo, podzielało ten prąd powszechny. Promienie jego dosięgały i niższych szkół, z wysokości katedr akademickich. Poezya była jakby symbolem tych wszystkich uczuć, które młodzież łączyły. Świeża sława Mickiewicza i jego rówieśników silnie działała i na najmłodszych wychowalców szkolnych zakładów litewskich. A jeżeli na kim wywierało to wszystko potężne, wstrząsające wrażenie, to na Juliuszu. Oddźwiękła w sercu jego ta struna poetyczna, która i bez tego już w duszy jego była napięta. Żądza wielkiej autorskiej sławy zaczęła go już nawiedzać w dzieciństwie. Niejednokrotnie on sam o tém wspomina w listach swoich do matki, pisanych już w późniejszym wieku na emigracyi. — „Droga moja — mówi do niej np. w liście z d. 25 stycznia 1845 — ja ośm lat mając przysiągłem Bogu w kościele katedralnym, że nie będę przed grobem moim niczego żądał — a za to za grobem o wszystko się upomnę.“ Albo w innym liście: — „W dzieciństwie, kiedy byłem exaltowanie nabożny, modliłem się do Boga często i gorąco, żeby mi dał życie poetyczne, choćby zresztą najgłędniejsze, — żebym był pogardzony przez cały wiek mój — i tylko żeby mi za to dał nieśmiertelną sławę po śmierci“... A w owym poemacie, z którego ustęp daliśmy na czele obecnego rozdziału, wręcz wyznaje mówiąc o sobie, że

„Dziecko z czarnemi oczyma,
Młodsze wiekiem, natchnieniom dało myśl skrzydlatą
I wypadkami myśli żyło w siódmém niebie.

Więc przeczuł, że marzeniom da kiedyś wyrazy,
 Że się zapozna myślą z myślącym ludzi tłumem,
 Ma przed sobą krainę duchów do zdobycia“...

W ogółu tedy cały tryb spędzonego jego dzieciństwa, wszystkie jego zabawy, zajęcia, stósunki i zapędy okazują nam się w obrazie, który jak upoważniał do najpiękniejszych nadziei o tém dziecku, tak też mógł wzbudzać i pewne obawy o jego dalsze koleje... Jeżeli bowiem dumnie i poetycznie to brzmi, powiedzieć o kim, że cały jego życia poranek nie był taki, jak zwyczajnych ludzi: to z drugiej strony wiele prawdy i w tém być mogło, co później sam on wyrzekł o sobie z goryczą w jednym z listów do matki (Paryż r. 1832):—„Darujcie mi, bo ja w dzieciństwie kształciłem się tak, abym nie był podobnym do ludzi — a teraz dopiero pracuję nad sobą, aby być podobnym do człowieka“...

Teraz trzeba nam tu wspomnieć o dwóch okolicznościach nader ważnych w jego wieku młodzieńczym i bynajmniej też nieprzepomnianych przez poetę w Godzinie Myśli. Jedną okolicznością taką była przyjaźń najściślejsza, idealna, dozgonna, jaką był zawarł od pierwszych ławek szkolnych z pewnym starszym od siebie kolegą. Pamięć jego często mu była przytomna w późniejszym nawet wieku, na emigracyi. Nieraz w listach o nim wspomina. Jego to też i wtedy właśnie miał na myśli, kiedy mówił o owém dwojgu dzieci, niezmiyszanych w tłumie, w szkolnej sali obok siebie siedzących. Jednym z tych dzieci był to, jak już wiemy, sam Juliusz. Drugiem zaś był ów jego przyjaciel. Imię mu było Ludwik.

„Włosy miał jasne, kolor oczu lazuruwy.
 Ludzie na nim nadzieje budowali szczytne.
 Pożerał księgi, mówił jak różne narody,
 Do licznych nauk dziwnie palące czuł głody —
 Trawił się. — Jego oczy ciemne i błękitne,
 Jak polne dzwonki, łzawym kryształem pokryte
 I godzinami myśli w nieruchomość wbite,

Tonąc w otchłań marzenia, słyż prostymi loty
Za okresy widzenia, za wzroku przedmioty“...

A zatem i usposobienie Ludwika nie było takie, jak reszty uczniów, których oni obydwaj nazywali też — tłumem. Miało ono wiele podobieństwa do natury Juliusza, tylko że tu sentymentalizm już wyraźnie był chorobliwy. Kiedy bowiem młodszy przyjaciel, Juliusz, jako poeta snuł sobie rojenia jakieś napowietrzne i tylko w sferze idealnej: tymczasem „jego towarzysz większy nauką i laty,“ odnosił się w swoich nieokreślonych cierpieniach duszy bezpośrednio do otaczającego go świata rzeczywistego, czyli jak się wyraża nasz autor, „nigdy od krain myśli nie odłamał życia, sprzął razem i powiązał dwa niezgodne światy.“ Z czego atoli takie tylko wynikały następstwa, że

„Jako posagom nieraz braknie w rysach duszy,
Posagom jego myśli brakowało ciała;
Więc nieraz go śmiech ludzi, śmiech, co czucia głuszy,
Budził — i rzeczywistość zimna roztrącała.“

Byłto zatem najzupełniejszy Werteryzm, czyli owato sentymentalna schorzałość i wycieńczenie ducha, które szczególnie Niemców za młodu nawiedza i które oni technicznym terminem zwykli nazywać Weltschmerz.—Młodzieńcem tym był Ludwik Spitznagel, podobno syn jednego z profesorów wileńskich. Rychły koniec jego życia był bardzo smutny, a nastąpił z przyczyn różnie niedocieczonych, a przynajmniej nieokreślonych, jak i pośpność całego życia nie miała właściwie żadnego określonego powodu. Po ukończeniu szkół wileńskich Ludwik zapragnął słuchać „wieków tajemnicy, wymówionej niepewną twarzą hieroglifów,“ to jest odbyć podróż na Wschód, zwłaszcza do Egiptu. To mu poddało myśl poświęcenia się służbie publicznej w zakresie dyplomacyi. Udał się przeto do Petersburga dla dokończenia nauk i przykładał się tam przez trzy lata szczególnie do orientalnych języków. Przygotowany wreszcie najzupełniej do rozpoczęcia kariery, jaką sobie sam obrał, przydzielony już do poselstwa jadącego „w piramid krainy“ w charakterze dragomana tegoż poselstwa — zajechał jeszcze na Litwę, ażeby się

pożegnać z rodziną i przyjaciółmi. Załatwiwszy już wszystkie sprawy, bawiąc na wsi, w pewnym domu zdawna sobie znajomym i całej rodzinie jego życzliwym, kiedy po kilku dniach miłej zabawy już był na samém wsiadaniu, kiedy powóz, który go miał uwieść daleko, właśnie co tylko się zatoczył przede dwór... oddalił się Ludwik niepostrzeżenie do jednego z oddalonych pokoi i — zastrzelił się. O rzetelnych powodach samobójstwa, jak już wspominałem, ani najbliżsi nawet przyjaciele nigdy się nie dowiedzieli.

Ale bo też wnosząc z wszystkiego, zdaje się, że nie było do tego żadnej rzeczywistej pobudki. Ogólny niesmak życia, excentryczny rozstrój w umyśle, zwątpienie — a bezpośrednio może i brak odwagi do rozstania się na czas nieokreślony z tą miłą ziemią rodzinną, która go właśnie z takim urokiem w domu przyjacielskim zegnała — oto prawdopodobnie najwłaściwszy powód rozpaczliwego postanowienia, jakie Ludwik przywiódł do skutku, skoro tylko mu przyszło stawić pierwszy krok w zakresie rzeczywistego świata i praktycznego zawodu. Taki brak odwagi korzystnie wprawdzie świadczy o rzewności serca, o głębi uczuć, o idealności całej natury tego nieszczęśliwego młodzieńca. Dowodzi zarazem jednak i tego, że mimo tych wszystkich zalet, właściwych wprawdzie głębszym tylko umysłom, odłogiem tam zalegała i zeru się musiała równać ta męska praktyczna zdolność, ta energia woli, ta chęć dokonania czegoś pożytecznego w świecie, coby go zbliżyć mogło do wymarzonego ideału, słowem ta cała druga siła umysłu, bez rozwinięcia której sentymentalizm najpoetyczniejszy, najczystszy — ani ludziom ani sobie na nic się przydać nie może.

Że ściśle, codzienne, nierozdzielne pożycie z rówieśnikiem tak excentrycznego usposobienia, i to jeszcze w latach, gdzie wszelkie wpływy najsilniej się w umysł wrażają, nie mogło być bez następstw dla towarzysza młodszego laty i mniejsze, jak sam o sobie rozumiał, zapowiadającego nadzieje: to pojmie każdy. —

Trwalsze jeszcze ślady w nastrojeniu duchowém naszego poety mogło zostawić po sobie inne uczucie, uczucie donioślejszego

jeszcze znaczenia, aniżeli przyjaźń, a które zaznał także już w latach szkolnych — miłość.

Przez owe trzy lata, gdzie się Ludwik poświęcał w Petersburgu nauce języków wschodnich, „dziecko z czarnemi oczyma

„Poznało miłość. — Pierwszą i ostatnią była —

I najsilniejsza z uczuć....“

Ale nim przywiodę dalsze wyrazy poświęcone temu wspomnieniu, nie od rzeczy będzie udzielić tu kilka szczegółów, bez wiadomości których dalsze opowiadanie nie byłoby zupełnie jasnym. Owoż rzetelne fakta co do tego epizodu pierwszej miłości były następujące.

Rodzina profesora Becu zostawała w najściślejszej zażyłości z domem Jędrzeja Śniadeckiego także profesora akademii. Przyjaźń mianowicie między córkami jednej rodziny a drugiej była tego rodzaju, że czy to w mieście, czy na wsi (podczas wakacji), było to jakby jedno grono prawie nigdy nierozdzielne. Juliusz, młodszy wiekiem od panien, do grona tego oczywiście należał i tam swobodniej się w niem poruszał, że był niejako Beniaminkiem pomiędzy nimi wszystkimi. Wiedzieć zaś trzeba, że jak w tylu innych względach okazywała się w chłopcu pewna przedwczesność, tak też i to jeszcze w nim uderzało, że piękne rysy twarzy kobiecej sprawiały na nim już w owych latach czar jakiś niewysłowny. Był on zdolny godzinami całemi siedzieć u stóp jakiej choćby też niekoniecznie młodej osoby i wpatrywać jęć się w oczy, jeżeli te oczy miały dla niego urok. Widać wrodzony mu już był pewien idealny, artystyczny, platoniczny pociąg do niewieścich piękności, bez względu na wiek i tym podobne okoliczności uboczne. Otóż jedna z córek owego domu zaprzyjaźnionego z rodziną Juliusza, Ludwika, zaczęła sama może o tem nie wiedząc, obudzać w nim coraz żywsze zajęcie. Zajęcie to było oczywiście bez wzajemności; panna była bowiem podobno od niego starsza, więc uważała go w porównaniu ze sobą za dziecko, a jego zapalały za dzieciństwo, za dziwactwo, za szal poetycznej fantazyi, którym się w najlepszym razie czas jakiś pobawić można, ażeby go potem zimną, przyjacielską perswazyą przywołać

do równowagi. Nie przeszkadzało to wszelako bynajmniej zarodowi uczuć, raz w sercu chłopca zbudzonych, rozwijać się coraz więcej, tak iż w 17 roku życia rozgorzał całą namiętnością rozkochanego po raz pierwszy młodzieńca.

Jeżeli się godzi polegać na opowiadaniach, podług których przedstawiam te stósunki: powierzchowność osoby, o której mowa, nie miała w sobie nic tak nadzwyczajnego. Była to twarz pełna wyrazu i życia — miła, świeża, o czarnych oczach przy płci białej i delikatnej — lecz z resztą, jak wiele innych. Ale duchowo łączyła w sobie panna Ludwika wiele własności, znamionujących głębszą naturę i zdolnych właśnie przeto sprawić na drugim żywsze wrażenie. Tkliwa, czuła, ruchliwój wyobraźni, wykształcona starannie, trochę nawet sawantka, nie bez skłonności do poetycznych zachwyków i posuniętych czasami aż do excentryczności uniesień — nic dziwnego, że wywierała ona jakiś urok niepokonany na umyśle młodego poety naszego, którego pociągało ku niej nie samo tylko to pokrewieństwo ich duchowego nastroju, ale jeszcze i ta okoliczność w dodatku, że był on wtedy dopiero właśnie dążącym ku temu ideałowi, na wysokości którego tamta, jako doskonałość skończona, już mu się być zdawała. I dalsze życie panny Ludwiki Ś. zawsze w niej okazywało osobę mniej zwyczajnego usposobienia. Lecz mówić o tém nie byłoby tu na miejscu. — Owoż właśnie to wszystko działało silnie na wyobraźnię Juliusza: pokochał, ubóstwił, i zdawało mu się, że kiedy on podniósł się sercem na wysokość uczuć Abelarda albo Romea, to też powinien być, równie jak tamci, i wzajemnie kochanym. Ale po drugiej stronie nie podzielano bynajmniej tego przekonania. Tam nie zapomiano ani na chwilę, że odgrywać rolę Heloizy albo też Julii w obec chłopca, który ledwie dzieckiem być przestał, narażałoby tylko na śmieszność. Przy całej tedy przyjaźni i życzliwej wyrozumiałości dla romantycznych uniesień młodego entuzjasty, nie chciała go panna ani łudzić ani też w nadziejach, jakie powziął, utwierdzać; choć z drugiej znowu strony nie zdawało jej się stósowném doraźnie i wręcz niweczyć te nadzieje. Trwał tedy przez czas jakiś pomiędzy nimi ten szczególny stósunek, to

sprawiając w młodym marzycielu zachwyty szczęścia, to go przejmując boleścią; to mu z ust wyrывая wyrazy uwielbienia, to znowu gorzkie skargi i złorzeczenie. I w tej też chwiejności pomiędzy jedną ostatecznością a drugą widzimy go i w późniejszych jeszcze latach, czy to kiedy w listach do matki wspomina mimochodem o owych czasach i miejscach i stósunkach, czy kiedy je poetycznie maluje w *Godzinie Myśli*. W nader częstych wzmiankach listownych mówi zwykle o Ludwice tonem obrażonego, tonem niby obojętnym i chłodnym; ale widać ze wszystkiego, że tam zupełnie co innego kryło się na spodzie serca, jak sama tylko pamięć — minionej przeszłości. W *Godzinie Myśli* zaś, pisaniej w sześć albo pięć lat po czasie, gdzie się to działo, wspomina o tém w następujących wyrazach:

„Dziecko z czarnemi oczyma

Poznało miłość. — Pierwszą i ostatnią była,

I najsilniejsza z uczuć, uczucia przeżyła.

Widziałem go przy stopach dziewicy-aniola: —

Czarnemi weń oczyma patrzała i bladła,

Myśląc o życiu dziecka, bo z wielkiego czoła

Przyszłość mu nieszczęśliwą jak wróżka odgadła.

Więc odwracała oczy, a wtenczas łzy lała.

Przed nią dusza dziecięcia jako karta biała

Czerniła się na wieki miłością daremną.

Ona go chciała wysłać na tę ziemię ciemną

Ze wspomnieniami szczęścia — chciała zbroić niemi

Przeciwko własnej duszy i czczym chwilom ziemi.

Więc kładła w niego marzeń i myśli tysiące,

A słowa jój tak były łagodne, tak drżące,

Że we wspomnieniach dziecka złane, dały dźwięki

Podobne do miłości zeznanej wyrazu“...

Ale rzeczywiście — zeznaniej miłości pomiędzy nimi nie było. Skończyły się tedy te sny uroczę młodości rozejściem się obojga, każdego w inną stronę. Juliusz poszedł w swoją z uczuciem zranionej dumy, cały zgorzkniały, z bajronicznym rozczarowaniem i zwątpieniem o wszystkiém. Rozczarowanie to nie mając żadnego rzetelnego powodu i przypadając na wiek bardzo rychły,

możeby jako prosty tylko objaw niedojrzałości moralnej, nie zasługiwało wcale na wzmiankę w biografii autora Balladyny, gdybyśmy go i w kilka jeszcze lat później, już na emigracyi, nie widzieli patrzącego na te rzeczy ciągle pod-wpływem tychże samych ujemnych usposobień. Tak np. powiada, że po owej rozmowie stanowczej, która koniec położyła wszystkiemu pomiędzy nimi, „upadł bladą twarzą do ziemi, jak zabity słowami, dumnym wstydem drżący, gdyż miał już wtedy dumę wielkiego człowieka“...

.... „Wtenczas lat tysiące,
Wtenczas mu w oczach przyszłość stanęła daleka,
Świetną okrzykiem ludzi: — a z tymi obrazy
Obecna chwila czarnym łamała się cieniem,
Odrzuconą miłością, dumą, oburzeniem...
Serce jak kryształ w setne poryło się skazy,
I tak wiecznie zostało —
I nie było w nim wiary w szczęście ani Boga;
Ludzie w nim mieli druha, w myślach świat miał wroga!
On, w głębi duszy słysząc krzyk szczęścia daremny,
Mścił się, i gmach budował niedowiarstwem ciemny;
Ta budowa ciężkimi myślami sklepiona,
Stała otworem ludziom; lecz by się w nią dostać,
Musieli wprzód, jak wielcy szatani Milтона,
Zmniejszać się i myślami przybrać karłów postać...

— Gdyby teraz, obok téj tak posepnéj barwy wewnętrznych dziejów młodości Słowackiego, postawić obraz rzeczywistych stósunków, w jakich wzrastał i wśród których przebiegał szkoły wileńskie: okazał by się zaprawdę kontrast niemalý pomiędzy wymarzonemi cierpieniami tego złamanego serca a istotną dolą, jakiej zażywał!

Rzeczywiście bowiem zewnętrzne powodzenie młodego bajronisty było jedno z najszcześniejszych. Nie zbywało mu na niczém. Wszystkie jego potrzeby opatrywała matka, odgadując najskrytsze życzenia jedynaka. Nie zaznał, co to sieroctwo, co to życie pośród obcych, co to samotność i tęsknota za domem rodzicielskim, co to wreszcie niedostatek... Miał rodzeństwo przybrane,

które go kochało jak rodzzonego brata, i żył sobie najszczęśliwiej w otoczeniu swym codzienném. Na łonie miłującej, dobrej matki dano mu było przepędzić cały życia poranek. Co się tyczy wychowania — i tutaj czuвано opatrzenie i troskliwość nad wszystkim. Czego go nie uczono w szkołach publicznych, to mu było udzielane za pomocą lekcyi prywatnych. Środków na to wszystko było w tym domu dostatkiem. Uczył się muzyki; dawano mu lekcyje języka angielskiego, rysunku, tańca; malował, — miał książek, ile tylko chciał i jakich tylko żądał. W szkołach otaczało go grono miłych towarzyszy, pomiędzy którymi był liczony do celujących. Wakacje spędzał rok rocznie na wsi, w rozkosznych Mickunach, położonych nad Wilejką niezbyt daleko od Wilna. Była to majątność krewnych jego ojczyma, czy też nawet własność samego doktora Becu. Z jakąż lubością, jakże tęsknie rozpamiętywał nieraz Słowacki w listach do matki pisanych w późniejszym życiu, o tych cudnych okolicach, o téj upajającej woni lasów sosnowych, o kwiatach polnych i łąkach zielonych owęj ukochanej wioski litewskiej, w której mu lotem błyskawicy w takiej swobodzie duszy ubiegały wakacje!... Gdyby, powtarzam, porównać więc młodość jego z dziejami młodości innych — gdyby ją porównać z losem na przykład Brodzińskiego... Kiedy Brodziński był jeszcze drobném dzieckiem, srodze poniewierała go macocha. Ojciec o niego nie dbał wcale, tak iż tylko chyba w czeladnicy pomiędzy służbą, albo na wsi pomiędzy dzieciakami wiejskimi był dla niego jakiś przytułek. Kiedy się już chłopcem podniósł nieco od ziemi, bito go w szkółce parafialnej różgami, za to że sobie z owym nieszczęśliwym katechizmem niemieckim nie umiał nigdy dać rady. Kiedy chodził do gimnazjum, morzono go głodem, bo go niedbały i niezaradny ojciec na stancyi zawsze najniefortunniej umieszczał. A w wyższych klasach morzono go znowu innym głodem — głodem duchowym! Boć zabraniano mu pod najsurowszą karą wszelkich książek nieobjętych w ciasnym ówczesnym regulaminie szkolnym; a to, czego dozwalano, takie było jałowe, tak dalekie od wszystkiego, czego serce pragnęło, że na przykład dzieła Kochanowskiego już były kontrabandą, za którą trzeba było odsiadywać kozę... Żył więc ciągle w niedostatku, biedzie, ponie-

wierce — w upokorzeniu i sieroctwie... Nie znał co to uścisk rodzicielski, co to kierunek życzliwej ręki, co to pragnienie — najskromniejsze, najśluszniesze a zaspokojone! Wzrastał jak ta płonka polna, wystawiona bez opieki na wszelkie słoty i wiatry. Do wysokości tego wszystkiego, w co Słowacki codzień opływał, Brodziński się nie wznosił ani marzeniem! A przecież — miał i autor Wiesława dosyć téj tklivosti serca i téj żywej wyobraźni, ażeby czuć boleśnie, w jakich żyje stosunkach!...

W r. 1824 nawiedziło dom rodziców Juliusza nieszczęście: ojczym jego, profesor Becu, wśród dziwnego zbiegu okoliczności uderzony piorunem zakończył życie. Smutny ten wypadek nie wywarł jednak zbyt niekorzystnych następstw na dalszą dolę 15-letniego już natenczas jego pasierba, ani też na los żony i córek zmarłego. Pozostały bowiem majątek wystarczał dostatecznie na przyzwoite utrzymanie całej rodziny; a opieka takiej matki sprawiała, że brak głowy domu czuć się dotkliwie nie dawał. Szło więc i potem wszystko swoim trybem, prawie równie pomyślnie, jak przedtem. Po skończeniu gimnazjum przeszedł Juliusz do uniwersytetu. Jego siostry powychodziły za mąż. A pani Becu, chociaż jój od czasu śmierci męża z wielu przyczyn bardzo posmutniało na Litwie, a wielce ją ciągnął ku sobie rodzicielski domek w Krzemieńcu, mieszkała jednak i nadal w Wilnie przez cały czas studyów syna uniwersyteckich, ażeby go tam nie pozostawiać samego. Jego ciągała słabowitość i ta niewprawa w radzeniu o samym sobie, która mu już była wrodzoną, wiązały ją do miejsca.

Zresztą w r. 1826 przerwał Słowacki na czas jakiś kursa uniwersyteckie i odbył kilkomiesięczną podróż nad morze Czarne, do Odessy. Odbył ją już to dla rozrywki i roztargnienia, już ażeby użyć kąpieli morskich, poleconych mu przez lekarzy z powodu jakichś dolegliwości piersiowych. Pokrzepiony na siłach, powrócił potem jeszcze do Wilna, ażeby dokończyć nauk, chociaż nie zdaje się, żeby był wtedy zamierzał poświęcić się jakiemu zawodowi, któryby wymagał studyów akademickich uwieńczonych examinami albo patentem doktorskim. Jeszcze i następnego roku pisał list do stryja Erazma Słowackiego, adwo-

kata w Żytomierzu i właściciela dóbr w okolicy, (ogłoszono list ten w Gazecie Codziennéj warszawskiej 1860), w którym o dalszych planach swoich w niepewności przemawia, to skłaniając się myślą ku projektom kilkoletniej podróży do Włoch, w którymto kraju możeby i na stałe zamieszkał, to znowu marząc o nabyciu jakiejś wsi na Wołyniu w okolicy Krzemieńca, z którego biblioteki licealnej spodziewał się korzystać, jeżeliby miał jaki stały pobyt w pobliżu.

Dopiero wreszcie rok następny (1828) rozstrzygnął 'onę niepewność, jakby się pokierować dalej na świecie; rozstrzygnął ją zaś w taki sposób, jaki, ile się zdaje, nie wchodził wcale w dawniejsze plany. Stało bowiem na tém, że się Słowacki zdecydował oddać służbie rządowej i to w zakresie administracyjnym. Z tego powodu i syn i matka pożegnali się teraz z Wilnem; pierwszy, ażeby się przenieść do Warszawy; matka zaś, ażeby odetchnąć tém ożywczém powietrzem, które dla niej wiało już tylko od stron rodzinnego Wołynia. Żyli tam jeszcze — w Krzemieńcu samym — jój sędziwi rodzice i tęsknie jedynaczkę swoją przyzywali do siebie. I bracia jój obydwaj, Jan i Teofil Januszewscy, byli także w tamtych stronach osiedli. Co większa — żoną jednego z nich, Teofila, była od niejakiego czasu właśnie jedna z pasierbic matki Juliusza, Hersylia Becu. A zatem i część wileńskiej niegdyś rodziny oczekiwała już teraz na nią w Krzemieńcu. To wszystko skłoniło tedy panią Becu do powzięcia postanowienia, że się ze synem po raz pierwszy w życiu na czas nieco dłuższy rozstanie, puści go do Warszawy samego, a sama obierze dom rodzicielski za miejsce tymczasowego pobytu, pókiby się Juliusz jako nie rozporządził i ostatecznie nie ustalił losu swojego na świecie.

Nastąpiło tedy w rzeczonym r. 1828 rozstanie się z stolicą Litwy. Podróż do Krzemieńca odbyli jeszcze oboje razem. Pragnęli bowiem dziadostwo osobiście pobłogosławić wnukowi przy tym pierwszym jego kroku w zakres praktycznego zawodu. Przy téjto więc sposobności odwiedził Juliusz raz jeszcze owo miasto, w którym się zrodził i przepędził pierwsze lata dzieciństwa. Kiedy po kilku tygodniach wesołego i pełnego rozrywek życia wśród

grona całej rodziny, które mu jak sen słodki spływały, przyszło mu nareszcie w świat daleki z murów Krzemieńca wyjeżdżać, to się rozstawał z temi wzgórzami, które go znały chłopięciem, i z krewnymi i z ukochaną matką niewątpliwie ze łzą w oku i ciężkiem sercem; ale tego w tej rychłej wiosnie życia swojego nie mógł on biedny przypuszczać, że to była ostatnia jego bytność w tych stronach... że z tych wszystkich drogich osób nie zobaczy jednych już nigdy, drugich zaś miał wprawdzie raz jedyny jeszcze w życiu swoim oglądać, ale w okolicznościach tak smutnych i na ziemiach tak odległych i przez ciąg chwili tak krótkiej, że i z niemi to jego żegnanie się ówczesne było rzeczywiście jakby ostatniem pożegnaniem...

Za przybyciem do Warszawy, przedstawił się księciu Lubekiemu, naówczas ministrowi skarbu, i wszedł w poczet bezpłatnych pracowników w będącym pod jego sterem wydziale rządu ówczesnego królestwa polskiego. Książe przyjął go dobrze i był już korzystnie uprzedzony o osobie młodego aplikanta. Przyobieczał mu swoje protekcją, i w rzeczy samej okazywał się zawsze dla Słowackiego dosyć życzliwym. Bezpośrednim naczelnikiem biura, do którego przydzielono Juliusza, był Dominik Lisiecki, pisarz znany w literaturze z nieźle dokonanych tłumaczeń niektórych autorów francuskich. Byłto zwolennik klasycyzmu, mianowicie wielbiciel Kornela i Woltera, którychto właśnie w latach młodszych przekładał. Ale miał on zmysł i dla nowszych pojawów literatury; zaczęł poszło, że spolszczył i Lamartina utwory niektóre, a wreszcie i inne rzeczy, np. Nieszpory Sycylijskie Delavignego. Ta żyłka poetyczna dyrektora wydziału ułatwiła Juliuszowi serdeczniejsze zbliżenie się do niego. Zawiazały się tedy między nimi przyjacielskie stósunki, tyle pożądane dla niedoświadczonego młodzieńca, rzuconego w sam wir nieznanego mu świata i obcych zgola żywiołów. Za jedną znajomością poszły i drugie. Odszukał Odyńca, z którym, lubo młodszy, miał zapewne jakąś znajomość już z Wilna. Odyniec bawił wtedy od lat już kilku w Warszawie; jako poeta zażywał już pewnej wziętości, dawszy się poznać publiczności z rozmaitych wierszy i ballad, których zbiór we dwóch tomach był wydał jeszcze roku 1825.

W owym czasie, kiedy Słowacki do Warszawy przybył, był on zajęty właśnie drukiem swojej *Izory* (1828). O ile wnosić można z listów, później z emigracyi pisanych, musiało i ze Stefanem Witwickim zająć poznanie już w owych czasach warszawskich. Ale nie przypadli sobie jakoś do serca, przynajmniej Słowacki zawsze o nim wspominał z lekceważeniem i w sposób, który przekonywa, że go nie lubił. Czy znalazł sposobność zbliżenia się do Brodzińskiego, tego powiedzieć nie umiem. Również niepewną jest rzeczą, czy się widywali z *Lelewelem*, choć go dobrze znać musiał z wileńskich jeszcze czasów. Najwięcej wrażenia sprawił na nim *Niemcewicz*, sędziwy patriarchy pomiędzy całą ówczesną intelligencyą warszawską, prezes Towarzystwa Przyjaciół Nauk, jeden z najzasłużeńszych i najpopularniejszych ludzi nie tylko w stolicy, ale i w całym narodzie. Złożył mu Słowacki pierwszą swoją wizytę w jego wiejskiem mieszkaniu w Ursynowie, małej pod samą Warszawą wiosce, która jak wiadomo, była aż do r. 1831 *Niemcewicza* własnością i jemu też zawdzięczała tę nową swoją nazwę. Zawiózł tam Juliusza do niego hr. Tomasz Potocki. Było to w miesiącu wrześniu 1830 r. Ponieważ to pierwsze zbliżenie swoje do czcigodnego starca sam on szczegółowo matce w dni kilka potem listownie opisał, i list ten — jedyny z przedemigracyjnych czasów — odszukany został pomiędzy ich papierami: miło więc pewnie będzie czytelnikom moim odczytać tu dosłownie z niego cały ustęp dotyczący rzeczonyj okoliczności.

... „W tych dniach wiele bardzo miałem chwil nadzwyczaj przyjemnych. Pamiętasz kochana Mamo, że dzień 23 sierpnia jest dniem moich urodzin. Wymówilem się z tém kiedyś dawniej przed jednym z moich znajomych, i zdziwilem się bardzo, kiedy mnie w ten dzień zaprosił na wieczór kawalerski. Nie spodziewałem się, żeby kto w Warszawie myślał o moich urodzinach; przyjemnie mi więc było, gdy młodzież zebrana przypijała do mnie szampanem. Staruszek jeden po polsku ubrany siedział w końcu stoła; zdawało mi się, że kochany Dziadunio był na jego miejscu. Winogrona — kawony — melony Wołyń mi przypominały i jeszcze bardziej dopomagały illuzyi. — W kilka dni potem, jednego poranka przyjechał do mnie Potocki, prosząc żebym z nim jechał do Ursynowa, małej wioski *Niemcewicza*. Muszę więc Mamie opisać obszernie tę wizytę. Ur-

synów leży o małą milę od Warszawy za Mokotowem. Sliczny był ranek — trochę zimny — i mgła lekka jesienna pokrywała rozległe i piaszczyste równiny Mazowsza. Myśl, że jadę do starego poety, który wiek Stanisława Augusta z naszym wiekiem łączy, zajmowała mnie bardzo; nadto niepewny byłem, jakie mnie tam spotka przyjęcie, bo Niemcewicz przez kobiety popsuty, bardzo się zrobił kapryśny. — Nareszcie stanęliśmy u celu podróży — pojazd nasz zatrzymał się w alei, w której z daleka widać już było dom poety — nie kazaliśmy jechać dalej, bo Niemcewicz stał przed gankiem — podobno więc jak L. do Częstochowy, zbliżaliśmy się pieszo z sercem skruszonem. Przywitał nas dosyć obojętnie — zaczął rozmowę o Wilnie rąbiącym tonem Jana Śniadeckiego. O źle! pomyślałem sobie, na toż przyjechałem tutaj, żebym mu potakiwał? Szczęściem że rozmowa ta prędko się skończyła. — „Panie Hrabio, rzekł do Potockiego, wszak znasz mój Ursynów, oprowadź pana Słowackiego po piękniejszych miejscach — ja się muszę tymczasem przebrać.“ To mówiąc, uklonił się nam i wszedł do domu, a my poszliśmy chodzić po ogrodzie. — Sliczny starego Ursynów, zarosły wielkimi drzewami, bardziej do dzikiego lasu niż do ogrodu podobny — w wielu miejscach małe widać łąki, na których wybiera paszę jedyna krowa Niemcewicza. Z tej krowy, jak mi sam mówił — ma dwa złote na tydzień przychodu. Przyszliśmy wkrótce do małej altanki z kory, na której wszyscy podróżni piszą wierszyki na pochwałę Niemcewicza; żadnego jednak napisu nie widać, bo je staruszek zdzierać każe przez skromność. Usiadłem w altanie — Potocki stał nademną, a widząc że jestem nadzwyczaj smutny i blady, zapytał mnie o przyczynę. Myślą odpowiedziałem mu, iż szczęśliwy, kto może tak pisać, jak Niemcewicz — słodko i przyjemnie, bez trawienia się własnym ogniem! Szczęśliwy... odpocznie na starość w tak cichym domku, wtenczas gdy na grobach młodszych od niego ludzi trawa porastać będzie! — Wtém lokaj przysłany od Starego zaprosił nas na śniadanie. Właśnie trzeba było śniadania, żeby przerwać bieg marzeń!... Usiedliśmy po obu bokach Niemcewicza, i podano herbatę z pasztetem na zimno. Wymówiliśmy się od jedzenia i przestaliśmy na samą tylko rozmowę. Przy nogach Niemcewicza siedziały dwie małe dziewczynki; są to córki jego kamerdynera, którym często pozwala swawolić z sobą. Jedna z nich przy gościach kilka razy mu mówiła: „Pan jesteś tak głupi jak ja“ — a stary z uśmiechem przyjmował ten grzeczny komplement. — Przy śniadaniu Potocki zaczął mnie prosić, że-

bym co przeczytał Niemcewiczowi. Staruszek oświadczył mi także chęć słyszenia moich robót, chociaż wprawdzie dosyć obojętnie. Kazał zdjąć herbatę — kazał się jednej dziewczynce w twarz pocałować, a zapytana od niego: kto jesteś? — odpowiedziała: żona Panowa. Potem kazał im odejść i cicho się sprawować. Opatrzyłem się na przypadek w trzeci akt tragedyi Mindowe. Na wezwanie powtórne staruszka czytać zacząłem. Niemcewicz słuchał z początku siedząc bokiem odwrócony; gdy przyszło do drugiej sceny, w której Mindowe zrywa z Krzyżakiem: obrócił się nagle — czolo jego pomarszczyło się — widać było znacznie nateżoną uwagę — patrzył mi w oczy, jakby chciał mnie całego przeniknąć, a oczy ma szare, przenikliwe i wielkimi najeżone brwiami, jak oczy Jana Śniadeckiego. Przy końcu drugiej sceny wykrzyknął głośno: ach! czemuż téj tragedyi grać nie można! Ten wykrzyknik bardziej mi pochlebił, niż wszystkie potem dawane pochwały. — Czytałem dalej — słuchał cierpliwie; kiedy skończyłem, powiedział: „Cieszę się, iż przed śmiercią widzę, że jeszcze zostanie w Polsce poeta, co ma tak wielki talent i duch obywatelski utrzyma.“ Potem dodał: „przepisz Pan tę tragedya na kilka rąk — warto, niech czeka szczęśliwszych czasów!... Chciałbym ją całą czytać“.... Odtąd stary przypatrywał mi się z uwagą — a przy pożegnaniu powiedział mi jeszcze:— „Cieszę się, iż poznałem tak zacnego młodzieńca.“ — Prawda, jak to po staropolsku ?“

Z powyższego listu wynika, że miał tedy Juliusz i w Warszawie przyjaciół, którzy mu dawali serdeczne dowody przywiązania, i że zdarzały mu się chwile, które go przenikały uczuciem szczęścia. Jednak w ogóle stolica nie podobała się naszemu poecie. Zrażała go do Warszawy szczególniejsza okoliczność, iż przywykły do pięknych okolic Wilna i Krzemieńca, tutaj już nie znajdował nic podobnego. Często o tém w późniejszych nawet listach wspominał. Dla zwyczajnego człowieka obojętną to jest rzeczą, jakie tam jest położenie miejsca, w którym się życie spędza; ale w oczach poety ma to ważność niemałą. Prócz tego nie mógł też Słowacki zasmakować w téj robocie suchej biurowej, która z obowiązku miała stanowić pierwszorzędne jego zajęcie; ile że go zaprzątano samemi prawie pracami mechanicznemi, to jest kázano po prostu przepisywać... Drażliwy umysł Juliusza przyjmował to jako umyślne upośledzanie, które miało być następstwem jego

nie dość dostojnego położenia towarzyskiego. Uważał zaś to sobie za tém dotkliwszą krzywdę, że wszakże pracował w biurze równie bezpłatnie, jak ci wszyscy, którzy byli protegowani... „Mój wielki niegdyś protektor — mówi uszczypliwie o księciu Lubeckim w jednym z późniejszych listów — zaraz mi chciał dać pensyą: nie przyjąłem jęj. Cóż to pomogło? byli tam hrabiowie — ja przepisywałem!... Nie zostawiono mi nawet przekonania, że byłem użyteczny, lub że nim kiedyś być mogłem“...

Tymczasem nadeszła jesień 1830, a z nią i koniec Listopada, i wypadki listopadowe. Wywarły one zaraz w najpięrszjéj chwili na Słowackim wstrząsające wrażenie. Dał się porwać tym entuzjazmem, który całą ówczesną ludność stolicy, a mianowicie młodzież ogarnął. Wyrazem tego usposobienia było kilka lirycznych jego utworów, na przykład Oda do Wolności, Hymn do Bogarodzicy, Kulik, wreszcie Pieśń Legionu litewskiego, które tak ściśle rymowały z powszechnym zapalem w chwilach owych pamiętnych. Obiegając w licznych odpisach, podawane z rąk do rąk — one to dopiero rozślały w najdalszych kołach imię nowego poety, którego talent znali przedtém najbliżsi tylko znajomi. Ogłaszane w pismach peryodycznych, a niektóre drukowane i w osobnych broszurach*) — pieśni te stawały Słowackiego w obec całego kraju w szeregu idących przodem, powołujących cały naród do czynu...

Po upływie atoli pierwszych tygodni listopadowego powstania, zaczęły owe pełne ognia popędy u niego stygnąć i ustępować miejsca innym uczuciom. Nadzieje z razu tak jasne, zaczęły się ćmić i osłaniać chmurami — trudno wyrzecz stanowczo, czy chmurami

*) Tak na przykład wyszła osobna broszura pod tytułem „Oda do Wolności i Hymn przez Słowackiego. W Warszawie w drukarni stereotypowej przy ulicy królewskiej w pałacu Dembowskiich Nro. 1065. r. 1830.“ Format ćwiartkowy, stron 8 i 2 nieliczbowane. Tę Odę do Wolności zamieściłem w III tomie Pism pośmiertnych. Hymn (do Bogarodzicy) jest w edycji lipskiej. — Również znany mi jest jako osobne pisemko: „Kulik Polaków przez Juliusza Słowackiego. Warszawa, 1831.“ 8o, stron 8 nieliczbowanych. — To więc były najpierwsze poety naszego publikacye.

trwogi o przyszłość kraju, czy tylko osobistego wstępu do wszystkiego, co się tam działo. Zwątpienie, niesmak, niemożność jakaś dłuższego wytrwania wśród stosunków, w jakich się widział, brały odtąd coraz więcej górę nad excentrycznym usposobieniem poety. Przyszło nareszcie do tego, że powziął już na początku marca zamiar porzucenia Warszawy — i zaopatrzwszy się w formalny pasport ze strony ówczesnego rządu polskiego, rzeczywiście wyjechał za granicę już dnia 8 marca 1831 roku.

Był to krok, który jak się okazało później, miał być w życiu jego stanowczym. Owato chwila, ów wyjazd tak rychły z kraju, rozstrzygnął nie tylko o całym dalszym życiu jego jako człowieka, ale i o powodzeniu jego w zawodzie, któremu całe szczęście osobiste poświęcił, w wzniosłym zawodzie poety... Gdyby Słowacki był pozostał w kraju, lutnia jego byłaby niezawodnie strojnieszka; niebo jego poezyi byłoby niewątpliwie mniej chmurne. I cóż go to wyprowadziło z ojczyzny? Co go rzuciło na niepewne fale wygnania? Dlaczego przyszło jemu rozpoczynać już wtedy to bolesne życie bez celu, wśród żywiołów obcych, w okolicznościach które tak rychło zdarły z oczu jego wszelkie one illuzye, które lubo ułudne, przecież niezbędne są człowiekowi poniekąd, ażeby sobie nie obrzydzał tych znikomych kształtów istnienia? Czyż mu przewodniczyła, kiedy się na tułactwo sam wskazał, owa myśl podnosząca i wielka, która w kilka miesięcy później tylu innych miała prowadzić na zachód? czy szła powtarzam przed nim ta gwiazda wiary, że to jeszcze jedyny, że to ze wszystkich, jakie były, ostatni sposób spełnienia w obec świata i Boga obowiązku, który jest najwznioślejszym na ziemi? — Nie! W tej myśli Słowacki z krajem się swoim nie żegnał. Byłaż to zatem tylko chimera poetycka, która go pchnęła w nieznane obszary świata, zaludnione ideałami nieokreślonych pragnień? Czy wreszcie kazało mu tak sobie postąpić życzenie matki, trwożnej może o swego jednaka wśród niebezpieczeństw otaczającej go wojny?..

Na te pytania trudno jest odpowiedzieć stanowczo.

Pierwszy list Słowackiego, z zagranicy pisany, od takich się słów zaczyna:

„Kochana Mamo! zadziwisz się zapewne odbierając ode mnie list datowany z Wrocławia. Dopełniając woli kochanej Mamy, która aż nazbyt z moją chęcią zgadzała się, wyjechałem za granicę“...

Z tych słów zdawałoby się wynikać, że zatem matka to ka-
zała mu oddalić się z Warszawy. Ale dodatek, że się to życze-
nie matki i z jego chęcią zgadzało, nasuwa przekonanie, że mieć
musiał Juliusz jednak i inne jeszcze, swoje własne powody do wy-
jazdu za granicę. Nakoniec i życzenie matki musiało być chyba
kiedys tam dawniej i bez żadnej nalegliwości, więc nawiasowo
tylko wypowiedziane, kiedy tak dalej ciągnie Juliusz zdanie to
na początku listu owego stawione:

„I teraz z wielkim strachem oczekuję listu od Mamy,
czy Ci się mój wyjazd podoba, czy nie. (Z listu z d. 17
marca 1831, pisanego z Wrocławia).“

Daléj w tymże liście spotykamy znowu takie wyrazy:

„Wyjechałem w podróż 8 tego miesiąca — wyjecha-
łem w nocy — smutno mi było — zdawało mi się, że
uciekam: i teraz jeszcze często się kłócę z mojem sumie-
niem“....

W liście następnym (z dnia 12 kwietnia) powraca znowu do
dziwnego wyjazdu swego z Warszawy i tak się tłumaczy:

„W biurze nie było żadnych widoków — nawet to
biuro, gdzie byłem, zaczęło być źle uważane, z powodu....
Trzeba było iść do wojska, miałem aż nadto do tego chę-
ci — Los jakiś rzadzi moją karierą i widzę, że zawsze
będzie mi na przeszkodzie stawał“...

W innych miejscach korespondencji jego z owych miesięcy
spotykają się wyrażenia, które dowodzą, że mu żal, że go na-
wet wstyd było, że wśród takich okoliczności, jak ówczesne, wy-
dalił się z Warszawy. Były chwile, gdzie się wahał, czyby nie
wrócić... Zdaje się, że i rodzina w Krzemieńcu z frasunkiem i
nieukontentowaniem przyjęła wiadomość o tém. Do matki pisał
Juliusz (d. 6 lipca 1831):

„Dzięki Ci Matko, za wszystko, co robisz dla syna,
który czuje, że nie jest godzien teraz, aby kto o nim pa-
miętał i jeszcze go kochał. O Mamo moja, nie gadaj teraz
przed nikim o mnie, aby mnie teraz zapomniano. Może
potém znajdě sposób zyskania szacunku w moim kraju...

Imię moje nie może być teraz na żadnym grobie wyrte — ale przyjdzie chwila“...

Wujowi zaś swemu, który snąc tę ucieczkę Juliusza czy zartem, czy seryo kładł na karb nieodwagi albo wstępu do służby w wojsku, odpowiedział, jak następuje:

„Teofilu kochany, jeśli mi chcesz wiele zgryzot oszczędzić, niech w twoich listach nie przebija taka ironia, jak w ostatnim przypisku. Chciałem — nie mogłem być użytecznym Ojczyźnie“...

Wszystkie te ustępy z listów Juliusza sprawiają w pierwszej chwili wrażenie, jakby mu ciążyła na sumieniu jakaś wina upokarzająca. Wyjazd jego z Warszawy wygląda jak tajemnica, na dnie której ukrywa się coś, czego niemiło wyrazić po właściwem imieniu. Pozory wszystkie mówią przeciwko niemu. Jakakolwiek była to sprawa, która go spowodowała do porzucenia kraju w takiej chwili, w jakiej go rzucał, w każdym razie było to coś, z czém nie do twarzy autorowi Bogarodzicy i Kuliku...

Taką się ta rzecz wydaje, jeżelibyśmy sądzić o niej mieli wedle pozorów. A jednak —

Ja nie mam bezpośredniego faktu, na mocy którego mógłbym tu stanąć w obronie Słowackiego. Rzetelny powód jego wyjazdu pozostał tajemnicą na zawsze. Zdaje mi się jednak, że przenikam tę tajemnicę. Byłato okoliczność, która przynosi raczej zaszczyt sercu, aniżeli ujmę sile charakteru młodego poety. Pomimo tego, tak się wtedy rzeczy złożyły, że nie mogła ona żadną miarą być powiedziana ani matce, ani krewnym. Powody dostateczne nie pozwalają mi zagadki téj wytłómaczyć już na tém miejscu. Znajdzie ją czytelnik dopiero wyluszczoną między zdarzeniami z r. 1832. Gdybym to, co tu mam w myśli, wypowiedział już teraz, wyglądałoby to tylko na luźną hipotezę i na nic więcej. W tamtym rozdziale domysł mój się okaże podparty tylu przemawiającami za trafnością jego okolicznościami, że zdaje mi się, iż nikt o istocie prawdy wątpić wtedy już nie potrafi.

Badź jak bądź, tymto więc krokiem, tym wyjazdem wczesnym z Warszawy Słowacki w 22 roku życia zamknął nierozmyślnie pierwszą połowę zawodu swego na ziemi. Pierwsza ta ży-

cia jego epoka, spędzona na ojczystej ziemi — upłynęła mu między swymi, pośród stósunków normalnych i godzi się dodać: pod wielu względami nader pomyślnych. Od owjej chwili poczęła się epoka druga: życie na wygnaniu, poniewierka między obcymi, wieczna tęsknota do ojczyzny, nieustająca świadomość czczości życia bez celu, gorzkie zawody przy każdym kroku, ciągła walka z przeciwnościami, niekiedy z niedostatkiem—i ten cały długi szereg tysiącznych cierpień, z jakich się spleta smutna dola tułacza. Takie to życia koleje otwarły się teraz dla naszego poety — na zawsze, aż do samego zgonu! Czy exystencja wśród takich okoliczności wpłynęła na podniesienie czy na spaczenie téj potężnej poetyckiej zdolności, jaką go obdarzyła natura, to się okaże w dalszych rozdziałach.

ROZDZIAŁ DRUGI.

Rok 1831 i pierwsza połowa 1832go. Przybycie do Wrocławia, a stąd do Drezna. Odyniec — okolice drezdeńskie. Wyjazd do Londynu. Teatr londyński — Westminster — Niemcewicz. Przeniesienie się do Paryża — niekorzystny sąd o Francuzach — ementarz Père-la-Chaise — teatru — Lelewel i inni Polacy przybywający na emigracyą. Poeta zamierza ogłosić zbiór swoich poezyi — wiadomość o próbach jego najpierwszych — trudności znalezienia nakładcy — romans w języku francuskim. Druk rozpoczęty — wiele obiecująca znajomość — panna Kora — owacy i nadzieje wielkiego powodzenia. Lafayette — X. Pranievich — Skibicki. Dzieła wychodzą z pod prasy. Mickiewicz w Paryżu — pierwszy powód niesnasek pomiędzy nim a Słowackim — wspomnienie pewnego zdarzenia w Wilnie.

Od pierwszej chwili wydalenia się Słowackiego z kraju rozpoczyna się jego korespondencya z matką. Korespondencya ta regularna, szczegółowa, prowadzona bez przerwy aż do ostatnich dni życia, leży w całej zupełności przedemną. Od tej pory możemy tedy iść za poetą naszym krok w krok i nawet własnymi jego słowy opowiadać o niejednym zdarzeniu.

Wyjechał z Warszawy dnia 8 marca 1831 r. Wyjechał smutny i bez złudzeń co do sprawy publicznej.

„Nudną miałem drogę — pisał w pierwszym liście, z d. 17 marca datowanym z Wrocławia — czas dosyć brzydki; wyjechałem w nocy — smutno mi było — zdawało mi się, że uciekam; teraz jeszcze często się kłócę z mojem sumieniem. Mam o moją, śliczny kraj opuściłem, i może już do niego nigdy nie będę mógł powrócić“...

Jechał właściwie ku Dreznu, ale trzeba było przejeżdżać przez terytoryum pruskie. Kiedy się przez granicę przeprawił, odebrano mu pasport, który miał wystawiony od rządu warszaw-

skiego, i kazano zatrzymać się w Wrocławiu, obiecując dać nowy pasport, pruski. Czekając na ten dokument, przepędził Słowacki w Wrocławiu dwa tygodnie i dni kilka pod ścisłym policyjnym nadzorem. Stał w hotelu *Goldene Gans* i nudził się w tém mieście niemiłosiernie; do czego się w części i ta przyczyniała okoliczność, że prawie nie znał wcale języka niemieckiego.

„Nie lękajcie się jednak o mnie (pisał żartobliwie w jednym z listów ówczesnych); mówię już i ja trochę tym językiem i nie jestem przymuszony, chcąc jeść zaglądać do rozmówek, jak nasz poczciwy Kł. A propos rozmówek, książeczka, którą mi kochana Mamo przy moim odjeździe z Krzemieńca do tłómoka włożyła, nieraz mi tu służy; ale uczę się pierwej frazesu, a potem go recytuję w książeczkę nie patrząc. To jest bardziej honorowo“....

Wreszcie dano mu pasport pruski, wystawiony do Francji. Słowacki wyjechał jednak do Dreżna, w zamiarze dłuższego tam atrymiania się. Przybył do Dreżna w sam wielki Piątek. Stał w hotelu pod złotą Koroną. Pierwszém miejscem, do którego się za przybyciem do miasta udał, był kościół.

„Zaraz wyszedłem na miasto — pisze w liście z dnia 12 kwietnia — albowiem mówiono mi, że w katolickim kościele ma być ładna muzyka. I słyszałem śpiewy. Trafiłem właśnie na psalm śpiewany przez Tarquiniego na jakąś bardzo smutną nutę. Pierwszy raz słyszany głos tego rodzaju — wreszcie cichość kościelna (bo była to właśnie chwila, kiedy księża gaszą po jednej trójką obstawiony pałacami się świecami), wszystko to niewypowiedziane na mnie sprawiło wrażenie... Po obiedzie znowu wyszedłem na miasto, w nadziei iż chodząc po ulicach, napotkam gdzie Odyńca*).

*) Odyniec przedtém mieszkał w Warszawie i tamto się z nim, jak już wyżej nadmienilem, bliżej zapoznał Słowacki. W r. 1829 puścił się atoli autor Izory razem z Mickiewiczem w podróż do Włoch; a właściwie podążył do niego nasamprzód do Petersburga, gdzie (w miesiącu maju) wsiedli obydwaj na okręt i puścili się morzem bałtyckim do Lubeki, stamtąd do Berlina (tu pierwsza znajomość z Garczyńskim), a z Berlina na Pragę, na Wejmar i przez Szwajcaryę — do Włoch. Zimą z 1829 na 1830 przepędzili razem w Rzymie. W maju (1830) zrobili wycieczkę do Neapolu, a stąd zwiedzili i Sycylię. W ciągu lata zwrócili się do Włoch północnych, a wreszcie nawiedzili powtórnie Szwajcaryę, tak iż w sierpniu już

Błądząc różnemi drogami, zachodzę na wielki rynek. Spostrzegam jakąś najpiękniejszą cukiernię — Baldiniego; nad drzwiami napisano: Café de l' Europe. Ha! myślę sobie, Odyniec musi być w Europie... Wchodzę na pewno, i za pierwszym rzutem oka postrzegam naszego poetę, który mi zaraz na moje zapytanie To Czatyrdach? odpowiedział Aa!...) I nie przez jedno tylko Aa!.. wyraził niepospolite zadziwienie. Krótko mówiąc, ucieszyliśmy się oba ze spotkania, i zaraz wzięwszy się za ręce poszliśmy do Odyńca kwatery. Tam wyrządził mi wielką przysługę, bo zaraz przez swojego gospodarza, który jest wielkim przyjacielem Polaków, wynalazł dla mnie prywatną stancję, która tak jest niedroga, iż po warszawskich mieszkaniach zdaje mi się, że mi tu za darmo przychodzi. Za 6 talarów na miesiąc mam ładny salonik o pięciu oknach (a przez każde okno, jak powiada Odyniec, inną widzę panienkę). Salonik cały umeblowany bardzo ładnie, nawet z lampą alabastrową, tylko trochę zapyłoną; słowem że mogę wieczorami lampę zapalać i bajronizować. Żeby zaś o wszystkich przyjemnościach mieszkania dać wam wyobrażenie, donieść muszę, że oprócz ładnego widoku na plac wielki, na kościół, znajduję przyjemność patrząc na ładną córkę mojej gospodyni. Panienka mówi po francusku, i ładnie gra na fortepianie. Waryacye Czernego zawsze mi Wilno i was wszystkich przypominają“...

Cały ton tego listu przekonywa, że pierwszy czas pobytu w stolicy saskiej nie był dla Juliusza zbyt przykry.

„Bardzo mi się to miasto podoba, bo przez długi pobyt w Warszawie stęskniony byłem po pięknych okolicach; tutaj zaś są prześliczne.“—

Oprócz Odyńca znalazł w Dreźnie kilku innych jeszcze rodaków: Platera, Chwaliboga, Mikulicza; pannę Czacką, dobrą matki swojej znajomą; Komara, generałową Dąbrowską, panią

stanęli w Genewie. (Tu pierwsza znajomość Mickiewicza ze Zygmuntem Krasieńskim). W wrześniu dopiero czy październiku (1830) zostali się ze sobą obydwa towarzysze podróży. Mickiewicz powrócił znowu do Rzymu, które to miasto dopiero w r. 1831 na wiosnę opuścił; a Odyniec prosto z Genewy udał się do Paryża. Po upływie kilku miesięcy spędzonych w Francji przeniósł się do Niemiec i już od początku 1831 r. stale przemieszczał w Dreźnie.

*) Zakończenie jednego z najpiękniejszych Sonetów Krymskich Mickiewicza.

Szymanowską z domu Poniatowską i t. d. Niektórzy bawili w Dreźnie z całemi rodzinami i byli już znani Słowackiemu z Warszawy. Szczególniej uprzejmie był przyjmowany w domu pani Dobrzyckiej.

Pocziwa ta staruszka Polka, są własne słowa Juliusza, ma córkę, która jest pierwszą damą dworu. Ta oddawna zachwycona hymnem Bogarodzica, przyjęła mnie z otwartemi rękoma; a nad moim Kulikiem, którego jeszcze nie znacie — płakała.“

W towarzystwie poufalszych znajomych robił wycieczki do saskiej Szwajcaryi i przeglądał cenniejsze ciekawości drezdeńskie. *Grünes Gewölbe* nie sprawiło na nim takiego wrażenia, jak mu to obiecywano.

Wszystko ładne, bogate, ale bez gustu; tak że mi nic nie zostaje w pamięci. Ostatnia tylko sala mocno mnie zajęła. Widok tyłu brylantów razem zgromadzonych nosi na sobie cechę jakiejś wielkości, jako szczególny w swoim rodzaju.... Ciekawszym jest daleko zbiór zbroi starożytnych (*Rüstkammer*); znajduje się w nim dwóch rycerzy na koniach, doskonałe dających wyobrażenie o ówczesnych walkach. Widzieć to dla poety i dla malarza bardzo potrzebne.... Śliczne są okolice Drezna! Wczoraj panna Dobrzycka i pani Asthon Angielka zaprowadziły mnie do Brysnitz nad Elbą. Nie widziałem jeszcze w życiu piękniejszego miejsca. Siedzieliśmy z pół godziny na płaskim szczycie świątyni podobnej do chłodnika Tetydy w Zofijówce. Byliśmy zawieszani nad Elbą. Z drugiej strony rzeki śliczne równiny, z prawej strony w odległości ładne Drezno, a okna domów przy zachodzącem słońcu paliły się jak tysiączne lampy. Kilka statków z rozpiętymi żaglami płynęło po wodzie, i kilka członów rybackich. Oto jest obraz, który tak wprawia w smutne zamyślenie, że przez cały czas pomimo etykiety słowa do dam nie przemówiłem.... Najczęściej chodzimy z Odyńcem do Wielkiego Ogrodu na spacer; dziwimy się tam często, jak Niemcy mogą cały dzień przepędzać nad szklanką piwa, z cygarem w gębie. Gdzie się tylko zbliżyć do tłumu, wszędzie o nas gadają, i lubią nas. Gospodyni, u której mieszkam, i córka gospodyni także bardzo mnie kochają. Pierwsza mówiła, iż chciałaby mnie mieć przez całe życie w swoim domu — druga, iż jeżeli by chciała mieć brata, to takiego, jakim ja jestem. Pierwszy raz w życiu jestem ideą doskonałości“....

Wśród takich tedy rozrywek i zajęć płynął mu czas w Dreźnie—na pozór niby dość przyjemnie. Wieczory przepędzał w towarzystwie, albo też na operze włoskiej, w której bardzo smakował. Dni wypełniał pracą, jeżeli go nie odrywało od niej zwiedzanie jakiejś pięknej okolicy lub różnych miasta tego osobliwości. Praca jego ograniczała się w owych tygodniach do samego czytania, gdyż to było lato. Trzeba zaś wiedzieć, że była to już taka jego właściwość, iż dopiero z jesienią poczyniała się dla niego pora zapалу do pracy twórczej. Przez wiosnę zaś i lato (podobnie jak niegdyś Książnin) nie czuł w sobie zazwyczaj żadnej chęci do pisania, i nie przymuszał się też do tego. Było mu to właściwe przez całe jego życie i często też o tem i sam później wspominał. I wtedy także pisał te słowa do matki: „Przeczytałem wiele ważnych dzieł. Nic teraz nie piszę — to mój zwyczaj w lecie“...

W gruncie rzeczy wszelako było już i w owęj porze niejedno, co mu zamacało ten tryb życia pozornie tyle uprzyjemniony. Żał, że wyjechał z kraju, trapił go ciągle, i to z biegiem czasu w coraz wzrastającej progresyi. W pierwszych dniach bytności swojej w Dreźnie wyrażał się tylko:—„Źle jest trochę, żem wyjechał za granicę... Przez czas jakiś miałem zamiar do Was powrócić.“ Ale już w półtora miesiąca później (dnia 6 lipca) znajdujemy natomiast owe wyżej już przytoczone utyskiwania:

„O mamó moja, nie gadaj teraz przed nikim o mnie, aby mnie teraz zapomniano.... Imię moje nie może być teraz na żadnym grobie wyryte — ale przyjdzie chwila!“

Drugie, co mu dokuczało, była to niespokojność o to, co się tam dzieje z matką i z resztą rodziny.

„Gdyby nie ta niespokojność, która mnie dręczy o Was, kochani moi, byłoby mi bardzo dobrze w Dreźnie.“

Wyrozumiemy ten zabijający niepokój, jeżeli wystawimy sobie stósunki, w jakich oni tam wtedy żyli. Słowacki wyprowadził do nich list za listem, a nie odbierał od nich przez długie czasy ani litery. Przez całe cztery pierwsze miesiące, od chwili wyjazdu swego z Warszawy, nie otrzymał ani jednego słowa od matki! Tymczasem wiedział aż nadto dobrze o niebezpieczeństwach,

jakie im groziły i ze strony grasującej właśnie na Wołyniu cholery i z powodu wojny, która z wszystkimi swemi okropnościami zdawała się wisieć już po nad prowincjami owemi.

A trzecia troska była o siebie — o swoją własną przyszłość, o której nasz dobrowolny tułacz nie umiał sobie utworzyć ani nawet wyobrażenia... Natura jego, skądinąd tylu uposażona darami, ale nad wszelki wyraz niepraktyczna — cała przeszłość jego, przebyta pod kierunkiem życzliwej bo macierzyńskiej ręki, lecz zawsze ręki obcej, więc biernie: wszystko to stawiało teraz biednego tego młodzieńca na rozdrożu, na którym radzić sobie nie umiał. Z otuchą podjąć walkę życia, ażeby przewyciężyć trudności: — to było nad jego siły. — „Napiszcie mi, co ja mam robić? gdzie się obrócić? jaki jest stan naszych interesów?“ — oto takimi słowami przemawiał do rodziny, w zupełnym braku wiadomości, co z sobą począć. Stan interesów, o który się dopytywał, byłby bardzo pomyślny, gdyby byli oboje z matką mogli żyć razem i tworzyć tylko dom jeden; a w razie rozłączenia, gdyby były choć widoki, że Juliusz zajmie z czasem pozycyą, której korzyści przyjdą w pomoc dochodom z prywatnego majątku. Ale widoków takich teraz nie było... Sława literacka — wprawdzie uśmiechała się do niego, choć w pewnej jeszcze oddali; ale na materyalne korzyści z tego tytułu, w okolicznościach jak ówczesne, bynajmniej liczyć nie było można. Otóż, co mu szczególnieź odbierało otuchę. Wprawdzie miał żyć z czego chwilowo, gdyż mu matka dostarczała, czego potrzebował na utrzymanie. Ale, myślał sobie, co będzie dalej?

Były tedy przyjemne, ale też były i gorzkie, a nawet bardzo gorzkie chwile w owém drezdeńskim życiu młodego emigranta i pozostały też tego ślady w korespondencji. Tak na przykład po pierwszym liście nareszcie odebrany od matki, pisał jój między innemi, co następuje:

„W przytomności Odyńca czytałem list Twój, kochana Mamo. Nie mogłem się wstrzymać od płaczu, czytając list o Twoim nagrobku. Ponieważ łzy te miały świadka, nie chcę ich zataić, tak jak wiele innych łez, wylewanych samotnie“...

Koniec końców, w lipcu (1831) układał sobie dalszy plan taki, iż chciał czas jakiś zabawić jeszcze w Dreźnie, a potem z dziwnymi projektami pojechać dalej.

„Wyjadę przez Szwajcaryą do Neapolu, tam znajdę w jakim klasztorze; jak mi mówił H. za małą cenę mieszkanie i jak najmniejszym obchodzić się będę starał. Przyjemność zaciszy wszystkie mi przyjemności zastąpi — czuję że mi jęj potrzeba.“

Rozpaczliwe postanowienie! pomyśli sobie czytelnik. I poeta nasz czuć musiał to samo, skoro przerwał list na tych wyrazach, a nazajutrz, wśród dnia jasnego, tak pisał dalej:

„Niech Was to bardzo nie obchodzi, co tutaj napisałem; albowiem pisałem to wieczorem, a w wieczór zawsze jestem w stanie gorączkowym. Żeby nie te myśli, bardzo by mi było dobrze w Dreźnie“...

Kiedy się zatem tak bił z myślami i układał sobie wyjazd na południe, nastąpić mający za kilka dopiero miesięcy: zaszła nagle okoliczność, która go rzuciła nie na południe, lecz na zachód i północ; i nie za kilka miesięcy, ale natychmiast. Całego więc pobytu Słowackiego w Dreźnie było tylko 4 miesiące niespełna.

„Dnia 25 lipca spokojnie sobie siedziałem w Dreźnie, i zrana zapijałem niemiecką kawę. Wtém drzwi się otwierały, wchodzi nieznajomy Jegomość i powiada mi, że przywiózł listy z kraju, z którymi jak najprędzej do Paryża i do Londynu mam jechać“. (Były to zatem listy dyplomatyczne, pisane w sprawie publicznej do rządów francuskiego i angielskiego. Do listów dołączono i fundusz na podróż, co wszystko Słowacki opisywał matce w dalszej osnowie listu figurycznie, ażeby jęj nie skompromitować. Ten ustęp pomijamy. Dalej pisał tak:) „Zaraz jeden z moich przyjaciół ofiarował mi bryczkę na resorach krytą, i tak w trzy godziny po odebraniu listów, extrapocztą ruszyłem do Paryża. Wszystko koło mnie mijało jak cienie latarni czarnoksięskiej — podróżowałem dzień i noc, jak Gryzomir Krasickiego, i nie wiele więcej od niego widziałem. Były kraje, przez które ze strachem przejeżdżałem — płaciłem po królewsku! O godzinie 12 w południe wyjechałem z Drezna — nazajutrz rano byłem w Lipsku, wieczorem 26go byłem w Wejmarze — interesowało mnie to miasto, jako będące miejscem pobytu Göthego — bardzo ma ładną postać... Przez noc przeje-

chałem przez Erfurt — Saxgotha — a nad rankiem piłem kawę w Eisenach... śliczne miasteczko, a jeszcze piękniejsza droga, która z niego dalej prowadzi między ogromnymi górami. W Fuldzie zatrzymałem się godzinę, dla naprawy powozu — znalazłem tam w oberży chłopca, co pisze historią teraźniejszej wojny — czyli biografią generałów — bardzo dobrze. Dnia 28 z rana byłem w Frankfurcie, tam bawiłem godzinę dla zmienienia moich wexlów. O południu byłem w Moguncyi — śliczny Ren — jaka szkoda, że na niego dłużej popatrzeć nie mogę!... Potem przejechałem śliczne prowincye reńskie — dnia zaś 29 wieczorem wjechałem do Metz. Co za przepyszny widok! Miasto uilluminowane, jako rocznica rewolucyi francuskiej. Lud tysiącami tłoczy się po ulicach. Miałem interes do Prefekta Departamentu — był na balu. Zabłocony i bez koszuli prawie, bo kołnierz schowałem pod chustkę, poszedłem na bal. Możecie sobie wystawić zadziwienie i jeszcze inne jakieś uczucie, z którym byłem przyjęty. Krótki interes, który miałem do Prefekta, odbywszy pojechałem dalej. Szkaradna Francya — miasteczka gorsze od naszych miasteczek — nędza!.. W południe minąłem Verdun — wieczorem w Chalonsur Marne zламаł mi się powóz — zostawiłem go tam i kazałem sprzedać na rzecz składek zbieranych. 31 lipca o godzinie 12 w południe wjeżdżałem do Paryża. Postylion mój wioził mnie najpiękniejszymi ulicami, i jemu winienem, że widział Paryż. Zajechałem do pani L. P. Prosiła mnie, żebym poszedł spać. Usłuchałem jej rady i przespawszy 4 godziny, piątą mego pobytu w Paryżu obróciłem na zwiedzenie Palais Royal i na posilenie żołądka, co uskuteczniłem w pierwszym paryskim traktyerze. Prawda że z pożytkiem wojażuję?... O godzinie 5tej wieczorem już siedziałem w chaise de poste i leciałem do Londynu. Przez całą noc widziałem uilluminowane miasta i miasteczka, bo jeszcze ciągnęły się fety. Nic mi się szczególnego nie zdarzyło, oprócz (jak mówił świętej pamięci S.) oprócz powtarzam, że tylko co się nie spałem. Chwała Bogu, że się skończyło na szlafroku, który leżał podemną i zupełnie spłonął, na pole od surduta i na kawałku kołnierza od płaszcza. Wszystkiemu temu winne cygaro, odtąd też ani cygarów ani lulki nie palę — ale nie tak z bojaźni, jak dla nadzwyczajnej tego drogości w Londynie. Ale wróćmy do podróży. Nazajutrz wieczorem po wyjeździe z Paryża, to jest 1 sierpnia przejeżdżałem przez Boulogne sur mèr — widziałem morze — przyjemne przypomnienie Odessy. O 11 godzinie w nocy wjeżdżam do Calais — z Paryża mil 37. Śliczny ten widok latarni mor-

skich, bo każda inaczej się pali dla rozróżnienia. Stałem w *hôtel de Bourbon*. Okropnego mi wypłacali figla! Paquetbot á vapeur odszedł bezemnie. Najałem więc statek, co mnie niezmiernie kosztował, ale za to byłem panem okrętu, i wszyscy byli na moje rozkazy. Musiałem zaś koniecznie najać statek, bo czekać było niepodobno do jutra. Wjeżdżając do Dover, kazałem zatknąć francuski pawilon — i miło mi było, kiedy pytającym się i tłumnie zebranym na brzegu Anglikom majtkowie odpowiadali, kto i skąd jedzie. — Sliczna Anglia! murawa zieleńsza, a piasek czerwieńszą farbą, co pejzażom oryginalny nadaje widok. Każda garść ziemi uprawiona — śliczne miasteczka! Kanterbury jak mały Londynik wygląda. O godzinie 5tej z rana dnia 3go sierpnia stanąłem w Londynie“....

Kiedy po tylu trudach podróży i bezwzględem oddania listów, gdzie należało, rzucił się Słowacki w hotelu na łóżko, nie przebudził się aż na trzeci dzień dopiero, tak był zmęczony! Przebudził się z fluxyą. Ale doznawał pocieszającego uczucia, że i on teraz był pożyteczny sprawie; a doznawał go tém bardziej, że sprawa ta, jak mu się wtedy zdawało, w skutek interwencji dworów, do wywołania której i on się w małej części przyczynił, miała niebawem wziąć obrot wcale pomyślny. Nie dziw więc, że znajdujemy też w liście z Londynu wyrazy, jak na przykład te:

„Mogę teraz doznawać przyjemności, bo zrobiłem rzecz wielkiej wagi — to co było w mojej mocy... O moi mili, rodzina nasza będzie zdrowa!“

Będąc już w Londynie, nie chciał go porzucić, nie poznawszy miasta choć powierzchownie; najał sobie tedy na cały miesiąc mieszkanie prywatne wraz z umeblowaniem i wiktem. Płacił za to wszystko razem półtrzeciej gwinei na tydzień, to jest polskich złotych 105. Przepędził w stolicy Anglii czas od 3 sierpnia do pierwszych dni września. Uczył się języka angielskiego, którego początki były mu już udzielane w Wilnie. Bywał też często na teatrze i zachwycał się grą sławnego naówczas artysty dramatycznego, niezrównanego w rolach zwłaszcza szekspirowskich, nazwiskiem Kean. W ogóle podobał mu się bardzo sposób, w jaki Anglicy przedstawiają tragedye. O teatrach paryskich zdania tego później nie wyrzekł, kiedy je poznał. — Między innemi zna-

omościami zawiązał też z niektórymi literatami londyńskimi stosunki. Jeden z nich namówił go do napisania broszury o wypadkach warszawskich, które świat polityczny tyle naówczas zajmowały, a nie były dokładnie znane nikomu z cudzoziemców. Słowacki napisał ją po francusku, Anglik przetłómaczył na angielskie i wydał pod swoim imieniem. Tytuł broszury nie jest mi wiadomy, ani też nazwisko owego Anglika. Przyniosło to naszemu autorowi 50 dukatów dochodu, właśnie więc tyle, ile go pobyt w Londynie kosztował, zliczywszy wszystko. Miał tedy to pocieszające przeświadczenie, że to dłuższe zatrzymanie się jego w Londynie nie przynosiło matce wydatku, jako i podróż do Anglii także nie zrobiła żadnego uszczerbku skromnym jego funduszom. — Londyn bardzo mu się podobał.

„Wiele miałem w nim — powiada w liście już po wyjeździe z Anglii pisanym (z d. 10 września 1831) — chwil zachwycających. Przyjemne miasto! Wszedłszy na samą kulę wieży św. Pawła, rzuciłem okiem w około i pomimo niezmierniej wysokości wieży, z żadnej strony końca miasta nie było widać. Domy aż za horyzont się rozciągały, i pyszna Tamiza z ogromnymi mostami, i za ostatnim mostem las ogromny masztów, i nad brzegami Tamizy do obelisków podobne kominy machin parowych, z których wylatują kłęby czarnego dymu — wszystko to tworzy widok zachwycający. Groby w Westminster zwiedzałem także, ale dla przygotowań koronacyjnych nie mogłem dobrze widzieć kąta poetów, który mnie najwięcej interesował. Dziwny ma pozór dziedziniec Westminsteru, brukowany grobowymi kamieniami — i widok tych ludzi, co sobie bez uwagi stąpają po napisach i czasem zastanawiają się, czytając je pod nogami... Takie groby mają ci, którym sława nie otworzyła drzwi kościoła, a którzy chcą jednakże jak najbliższej sławnych ludzi spoczywać.“ —

Przy końcu pobytu Słowackiego w Londynie przyjechał tam i Niemcewicz (a zatem ku końcowi sierpnia).

„Widywałem się ze staruszką — mile od niego przyjmowany. Wyrzucał mi, że mojej tragedji litewskiej (Mindowe) grać nie kazałem. Staruszek trochę chory — smutny — i niepewny przyszłości. Ale Bóg czuwa nad nami“...

Kiedy przyszła godzina wyjazdu i pożegnania się z gospodarstwem domu, jako też z innymi mieszkańcami jego, którzy

wszyscy pod tymiż co on warunkami zasiadali z nim razem do wspólnego stołu: miał Juliusz znowu miłą chwilę. Przekonał się bowiem, że i pod obcym niebem, że i w krajach okrzyczanych za materyalne, można znaleźć serca poczciwe i niewątpliwe sympaty dla doli narodu, którego był członkiem.

„Nie możecie sobie wystawić, powiada, z jakim wyłaniem się, z jaką czułością zegnali mnie Anglicy. Ręka mnie bolała od ściskania się — wszyscy wstali od stołu, co u Anglików jest niesłychaną rzeczą, aby mnie odprowadzić do powozu.“

Podróż jego skierowana była do Paryża, ale nie odbyła się tym razem bez przygód.

„W nocy wyjechałem z Londynu. Nad rankiem stanąłem w Dover — tam cały dzień czekać musiałem na odejście statku parowego. O 4tej po południu puściłem się na bardzo wzburzone morze. Im dalej płynęliśmy, tém było okropniej. Calais choć mała cieśnina, ale niezmiernie burzliwa. O godzinie 10tej w nocy ciemność była okropna i fale tak wzburzone, że przelatywały przez pokład. Znużony i dręczony morską słabością, poszedłem do kabiny czyli do salonu. Dziwny widok, że czterdzieści osób leżało na sofach i na podłodze — szczęściem miejsce maleńkie na sofie znalazłem — skurczyłem się i zasnąłem. A jednak pomyślałem sobie przed snem, iż się może gdzie indziej przebudzę. O godzinie 12tej w nocy obudzono mnie rozmową. Dowiedziałem się z rozpaczą prawie, iż do portu Calais wpłynąć było niepodobieństwem, bo tegoż ranka przy wejściu do portu rozbił się okręt i nocą niebezpiecznie było omijać go. Znow więc kilka godzin morskiej słabości. Wracamy do Dover, lecz nimeśmy wrócili, wiatr ustał, i napowrót kapitan skierował do Calais, dokąd o godzinie 8mej z rana przybyliśmy. Śliczne było słońce wschodzące na morzu, miałem więc wyobrażenie burzy.“

Po tych przeprawach, bez żadnych już przeszkód dostał się do Paryża. Przybył tam w zamiarze stałego na czas jakiś zamieszkania — około 6go albo 7go września i zaraz urządził się w własnym kąci, po swojemu. Miał, jak mówi w liście do matki, śliczny mały pokój, z mahoniowymi meblami i marmurowym kominkiem, który mu wielkie przyjemności obiecywał na zimę. Dopytywał się zaraz o znajomych; ale okazało się, że nie zastał tych, których najwięcej widzieć życzył sobie. Mickiewicz miano-

wicie i Górecki byli wprawdzie czas pewien przedtém w Paryżu; ale przed jego jeszcze przyjazdem opuścili Francją i bawili naticzas w Dreźnie.

Paryż nie zrobił na Słowackim przyjemnego wrażenia; równie i Francuzi wcale nie odpowiedzieli jego oczekiwaniom. Porównanie z Londynem i z Anglikami, które się mimowolnie samo przez się nastroczało, wypadło już w pierwszej chwili na niekorzyść Francuzów.

„Londyn jest zupełnie oryginalnym, Paryż podobny do innych miast, do Warszawy... W Paryżu piękne pałace i ogród Tuilleryjski z swemi drzewami bardzo piękny; ale cóż za podobieństwo do ogromnego parku James w Londynie, gdzie po obszernej murawie rozrzucone olbrzymie drzewa i pasą się najpiękniejsze trzody, i naokoło ogromne pałace z drzewami pokazują się wpół zamglone tą atmosferą, która dodaje wielkości i nieskończoności widokom angielskim“...

Równie niekorzystnie sądził i o mieszkańcach Paryża.

„Wiele zbiegłem świata, pisał w jednym z późniejszych listów (20 października 1831) — żyłem z Anglikami, bo mi się podobali, z Francuzami nie żyję. Mam do nich jakąś nieprzewycięzoną odrazę. Taka nieszczerłość... i tak wiele gadają! Samotny prawie przepędzam dzień cały.“ ...„Jeden najmilszy z wieczorów, który miałem w Paryżu, był na cmentarzu *Père la Chaise*. Nic nie widziałem piękniejszego w tym rodzaju. Za miastem wzgórze bardzo rozległe, którego pochyłość cała gęsto okryta grobami i zarosła cyprysami, przez które z trudnością przedrzeć się można. Różne drogi krzyżują się w tym lesie — w cyprysach mnóstwo róż miesięcznych, białych ale kwitnących wiecznie. Czasem ognistym kwiatem błysnie geranium. Groby wszystkie podobne do siebie, najczęściej małe kolumny z białego marmuru. We środku na górze jest mała kaplica. Stamtąd wzrok po murawie, z wierchołków cyprysowych utworzonej, spada na dół i z dala w dymie błękitnym pokazuje się cały Paryż ze swymi gmachami. Nad nim, gdy byłem, zachodziło słońce. — Czarne wozy ciągle tam przez główną ulicę przejeżdżają — ale pogrzeby tu bardzo ciche — u nas tak Żydów chowają. — Dochodząc do cmentarza, pełno ogródków i sklepików, obwieszonych wiankami z świeżych i z sztucznych kwiatów. To charakteryzuje Francuzów. Każdy za kilka groszy dobrze pokaże innym swoją boleść, a kiedy da kil-

kanasćie, to kwiaty z płótna aż po roku dopiero trzeba będzie odmienić.“

Takisam wyrok potępiający znajdujemy i o teatrach paryskich.

„Byłem na kilku teatrach — nie możecie sobie wystawić, jak Francuzi szkaradnie grają tragedya. Każdy wiersz przez nadprzyrodzone głosu przechodzi gamy. W publiczności żadnego gustu, na piękne kawałki świszczą — nic nie lubią, tylko małe komedyjki. W każdej musi być Dej algierski. Tego wiecznie dręczą, i zdaje im się, że to jest sława narodowa. Byłem na takim wodewillu — zupełnie podobny do Siedem razy jeden. Francuzi rozpyłwali się.“

Takie to były pierwsze wrażenia, które na naszym wędrowcu sprawiła stolica Francyi i stósunki tamtejsze. Z upływem jakiegoś czasu sądy jego o tém wszystkiém zmieniły się cokolwiek. Pobyt w Paryżu zaczynał być przyjemniejszym dla niego przynajmniej o tyle, że nabierało mu się wiele znajomości — tak między rodakami już dawniej zamieszkałymi w Paryżu, jak przybywającymi coraz liczniej dopiero za jego tam bytności — na emigracyą. Został też wprowadzony do domu XX. Czartoryskich i szczegółowo matce w listach swoich opisuje poniedziałkowe recepcye w hotelu Lambert, na których bywał przyjmowany gościnie. Za jedną znajomością szły drugie. Do hr. Platerów (Ludwikostwa) był zamówiony raz na zawsze na wieczory czwartkowe; oprócz tego pełno w listach jego wzmianek o różnych Polakach, z którymi już w pierwszych miesiącach pobytu swego w Paryżu znajomości albo pozawieżywał albo poodnawiał. Leonard Chodźko, Antoni Górecki, Lelewel, Władysław i Cezary Platerowie, Michał Podczaszyński, Oleszczyński rytownik, Michał Skibicki, — oto kilka nazwisk więcej znanych z pomiędzy większej liczby rodaków, których znał, widywał i o których w listach swoich wspomina. —

Co się tyczy Lelewela, który przybył do Paryża zaraz po upadku powstania i spotykał się ze Słowackim przy różnych emigracyjnych uroczystościach, widzę się tu zmuszonym dodać, że go nasz poeta nie lubił. Wyrażał się w listach o nim zawsze z wielką goryczą. Oto na przykład, co o nim pisał z okazji rocznicy 29 listopada obchodzonej w Paryżu w r. 1831.

„Rej wodził na tym wieczorze znajomy niegdyś w Krzemieńcu tancerz, dzisiaj zjedzony przez mole biblioteczne, chudy, z dwoma czerwonymi plamami na policzkach, któremu do ozdoby jeszcze wasy przybyły.“ (z listu z d. 10 grudnia 1831).

Przy innéj sposobności, z powodu polecenia, które mu przysłano z domu, ażeby się kłaniał Lelewelowi:

„Kłaniałem się, powiada, kutasom u bótów, które mile to przyjęły. Wy je uwielbiacie, szczęśliwi! Nie wiecie, co to jest bliższe poznanie ludzi. Jestto *le prophète voilé de Korashan*, tak go nazywamy ze Skibickim.“ (d. 7 marca 1832).

Niesnaski podobne pomiędzy pierwszymi naszymi znakomitościami niewarteby były wspomnienia, i chętniebym je był pozostawił „w letejskich zapomnienia falach“, gdyby nie okoliczność, że mi się później przyjdzie w rzeczy nader ważnej do tego, co tu teraz powiedziałem, odwołać. W tymto celu — lubo ze wstrętem — wypisałem powyższe miejsca z korespondencji Juliusza; i konstatuję niniejszém fakt stanowczej niechęci, już w owym czasie mającej miejsce, pomiędzy tymi dwoma pisarzami naszymi.

Stósunki te z emigracją nie wystarczały jednak idealnym, a raczej exaltowanym pragnieniom Słowackiego. Źródłem ostateczném takowych była tęsknota do kraju, choć może zupełnie świadomie sam sobie wtedy jeszcze nie zdawał z tego sprawy. Dlatego też usposobienie jego ówczesne bardzo było niejednostajne. Czasem znajdujemy go rozplywającego się w jakichś błogich uczuciach szczęścia i miłości ku ludziom; a bywały znowu chwile, gdzie go nudziło i ziębiło śmiertelnie całe owo otoczenie jego paryskie. Wtedy sądził o niém z lodowém szyderstwem, z odtrącającém, pogardliwém lekceważeniem! To też oczywiście pozostały i w listach ślady to jednych uczuć, to drugich. Są wprawdzie miejsca w korespondencji (zresztą tak rzadkie, iż to śmiało do ustępów wyjątkowych zaliczyć można) gdzie pisał:

„Mamo! Nie śmiem Ci napisać, że mi teraz lepiej na świecie, niż kiedykolwiek było; bo sobie wyrzucam, że ja mogę być bez ciebie, kochana matko, szczęśliwy! Ale widząc, jako wielu ludzi teraz lubi mnie i kocha i mogę

powiedzieć uwielbia, nie wstydzilibyś się swego syna.“ (list z d. 7 marca 1832 r.).

Jednakże obok podobnych zwierzeń, daleko więcej dałoby się przywieść ustępów, w których zupełnie innym tonem przemawia.

„Wiele mam teraz znajomych (pisał na przykład d. 10 grudnia 1831); ale żadnego miłego, żadnego z którymby mi było żyć przyjemnie. I chciałbym jak najprędzej wyrwać się z Paryża do jakiego cichego miasta Włoch, żeby samo miasto mogło przemawiać do mojej wyobraźni; bo Paryż bardzo prozaiczny — szkaradny — ani tak świetny, jak był kiedyś dawniej. Trzyma mnie w Paryżu jedynie nadzieja, że będę mógł drukować. Ale już tyle moich nadziei na niczém spełzło.“ —

Albo weźmy inne miejsce (z listu z d. 24 stycznia 1832 r.):

„Towarzystwo moje w Paryżu bardzo się powiększyło. Wielu mam nawet szkolnych kolegów; ale wszystko nie ci, którychbym sobie życzył. Słowem, że nie mam prawie towarzystwa. Życie moje bardzo jednostajne, i gdybym go sobie literaturą nie urozmaicał, nudneby było. Najlepiej jestem z jednym Anglikiem, z którym często wieczory przepędzam i chodzę na spacer. Temu winienem, iż po angielsku już trzepię, a rozumiem wszystko doskonale. Jedną więc z moich największych przyjemności jest to, jeżeli się jaki romans nowy Coopera albo Walterscota pokaże... Życie moje, jak mówiłem, jest więc bardzo jednostajne; zrana wstaję o godzinie 10tej — piję herbatę w domu — potem piszę — potem idę czytać gazety — o czwartęj idę na obiad, gdzie się schodzi wielu Polaków. Tam się zawsze widzę i gawędzę z godzinę z A. Góreckim, dawniej pierwszym poetą (?). Jest on teraz w Paryżu, przyjechał z Dreżna — i zrobił mi wielką przyjemność, przywożąc mi ukłony od ładnej Saxonki, córki mojej gospodyni...“

Dwa te wyjątki z korespondencji wystarczają, ażeby zrozumiał to czytelnik, że Paryż Słowackiego niczém tedy w murach swoich nie więził; i że jeżeli w nim bawił, to tylko w nadziei, że może znajdzie tu dla dzieł swoich nakładcę, albo też jakim innym sposobem te dziecięta duszy swojej, jak był zwykł płody swoje nazywać, potrafi wyprawić pomiędzy ludzi.

A było w owym czasie kilkoro już tych dzieciąt w samotnej Słowackiego pracowni. Dotąd nie miałem jeszcze sposobności po-

wiedzenia choć słówka o autorskich jego zajęciach. I w tém miejscu także jeszcze nie pora rozgadania się o nich. Tyle jednakże nie zawadzi już tutaj mimochodem nadmienić, że zaczął poeta nasz sił doświadczać w tym zawodzie wymodlonym sobie od Boga, już w rychłym wieku. Z rzeczy napisanych na szkolnej jeszcze ławie nie pozostało ani śladu, choć było to tam tego pewnie nie mało. Co powstało po wyjściu ze szkół — w latach uniwersyteckich i za pobytu jego w Warszawie — z tego dopiero to i owo przechowywał u siebie w tece. Małą próbę téj najrychlejszój Słowackiego poezji zamieściłem na czele tomu Igo pism jego pośmiertnych, których wydanie staraniom moim udało się przywieść do skutku. Duma ukraińska była pisana w Wilnie w roku 1826. Na rok 1827 przypadają cztery Sonety, widocznie utworzone pod wpływem wydanych właśnie rokiem pierwej sonetów Mickiewicza. Owocem roku 1828 był poemat pod napisem Szanfary — błada kopia owéj poezji oryentalno-angielskiej, która wtedy dostarczała natchnienia i starszym od Słowackiego pisarzom w kole mianowicie literatów litewskich (Al. Chodźko, Julian Korsak itp.). — Wszystkie te próby były dość słabe, jak na młodzieńca już kończącego uniwersytet i mającego zajaśnić kiedyś takim blaskiem poetyckiej potęgi. W Warszawie dopiero zaczął się ten olbrzymi talent raźniej rozwijać. W roku 1829 napisał poemat Hugo i dramat Mindowe. W 1830 przybył do tego Mnich, Bielecki, Marya Stuart, jako też cztery owe wspomniane przezemnie już przy innéj sposobności liryczne jego utwory (Kulik — Oda do Wolności — Bogarodzica — Pieśń Legionu litewskiego), zaimprovizowane w skutek politycznych zdarzeń zaszłych na końcu owego roku i ogłoszone drukiem. Na początku roku 1831 powstała pieśń pierwsza Żmii...

To są wszystkie prace lat jego młodocianych, o których doszła do mnie wiadomość*). Wnosić jednak należy, że musiało ich

*) Właśnie kiedyś miał te arkusze pisma mojego odesłać już do drukarni, przyniesiono mi numer 32 (z r. 1866) Kiosów warszawskich, w którym zamieszczona jest bezimiennego autora korespondencya z Brukselli, a w niej szczegóły o odszukanym rękopisie

być i więcej jeszcze: jeśli choć w części tylko jest prawdą to co pisał do matki swojej żartobliwie Słowacki przybywszy do Wrocławia w roku 1831 zaraz po wyjeździe z Warszawy za granicę:

jakichś młodzieńczych poezyi Słowackiego, których między pośmiertnymi poety mego papierami ja nie znalazłem. — „Autor Lilli Wenedy — pisze autor rzeczonej korespondencyi — zagubił przypadkowo w przejeździe przez Niemcy najpierwsze (?) poezye swoje, pisane w Warszawie 1829 roku. Później przez cały ciąg życia napróżno szukał tego rękopisu. Dopiero po śmierci poety, przed niedawnym czasem dostała się ta książeczka w ręce, które zapewne będą umiały zrobić z niej użytek. Szacowną tę puściznę stanowi niewielki zeszyt (stron 154, format 16kowy), oprawny w czerwony, złożony, safianowy papier, zapisany w całości własną ręką poety, z rysunkami, esamiami i floresami jego własnej ręki.

„Na końcu tej książeczki znajduje się następująca notatka:

„Warszawa 15 listopada 1830 r.

„Oddałem do cenzury, a wkrótce oddam do druku moje wiersze: Maryą Stuart tragedya, Jana Bieleckiego powieść, Hugona, Mnicha i Araba. Jakiż będzie mój zawód literacki?“

„Niezmierznie ciekawe (mówi dalej autor korespondencyi) są w tej książeczce notatki pod napisem: Wydatki i przychody z dzieł moich:

„Za wydrukowanie Bogarodzicy zapłaciłem złp. 200. Wyplacili mi księgarze Gałęzowski, Zawadzki i Węcki, Merzbach, Hugues i Kerman, Brzezina i Kenkel, razem wszyscy złp. 144. Straciłem na Bogarodzicy złp. 56.

„Za wydrukowanie Kulika zapłaciłem złp. 268. Wyplacili mi księgarze złp. 168. Straciłem na Kuliku złp. 100.“ —

Wreszcie donosi korespondent, że się w rzeczonej książeczce mieścić mają elegie, melodye, dumania, sonety, urywki i rozmaite drobne wiersze; i udziela w Kłosach na próbę „Piosnkę dziewczyn“, która zdaje się być ustępem z jakiejś dłuższej całości.

Skoro tylko (dawniej jeszcze) się dowiedziałem z pism peryodycznych o exystencyi tego zbioru poezyi, udałem się listownie do osoby będącej w ich posiadaniu, prosząc o pozwolenie wcielenia ich do powszechnego zbioru pism Słowackiego pozgonnych, których wydanie tu we Lwowie właśnie się wtedy przeprowadzało. Gdyby tego potrzeba była, ofiarowałem się złożyć i honorarium, byleby tylko zapewnić tym rzeczom ocalenie, a wydaniu mojemu nadać zaletę istotnej kompletności. Nie wiem, czy list mój nie doszedł owych „rąk, które (jak się autor brukselskiej korespondencyi wyraża) będą umiały zrobić z odeszukanego rękopisu użytek“; czy też raczej tam osądzono, że ten użytek koniecznie musi być zrobiony viribus separatis:—dość

„Wszystko moje z sobą niosę, to jest mały tłumoczek, a w tłumoczku trochę bielizny i... mnóstwo wierszy. Szkaradne wiersze! wagę mego tłumoka do 46 funtów podniosły“...

Dajmyż na to, że w tych słowach było wiele przesady. Jakikolwiek jednakże mógł być stósunek między ową trochę bielizną a wierszami: zawsze przypuścić można, że było tam pewnie materiału zadosyć, ażeby czém zapłacić parę tomików. — Od owego czasu upłynęło znowu kilka miesięcy. Minęło lato — i jesień; nadeszła zima, na początku której, jak to wyżej już powiedziałem, u Słowackiego zazwyczaj krynice poetyczne wzbierały. Dawne zasoby warszawskie zapewne pomnożone zostały znowu jakim świeżym przybytkiem. Było tedy co drukować, i gorąco tego pragnął młody poeta. Ale życzeniu temu stał na przeszkodzie brak funduszu potrzebnego na pokrycie kosztów z tego wynikających. Nadzieja znalezienia nakładcy pomiędzy wydawcami z rzemiosła rozbiła się bardzo rychło o nieprzewyciężone trudności. Pomiedzy rodakami było wprawdzie niemało takich, którzy robili Słowackiemu wyrzuty, iż niczego nie drukuje; ale takiego, któryby się ofiarował z materyalną pomocą do ogłoszenia dzieł jego, takiego między nimi nie było! Szukać go i wyciągać rękę po datek, jakby po jałmużnę — tego Juliusz nie chciał. Wynikło tedy ze wszystkiego bardzo rychło to smutne przeświadczenie, że jeżeli te dzieła miały kiedy być ogłoszone, to chyba własnym nakładem. Ale skądże go było wziąć, kiedy autorowi zaledwie wystarczało na życie? Przez czas jakiś, zaraz za przybyciem do Paryża, nosił on się z myślą, że może na inną drogę trafi do celu. Najdośćniejszą i najprędzej wynagradzającą pracę autorską gałęzią w literaturze francuskiej było już i w owych latach powieściarstwo. Słowacki władał niezłe językiem francuskim; ułożył sobie zatem napisać romans po francusku, pomyślany na tle stósunków

że starania moje pozostały bez skutku. Wcale nie raczyła osoba dotycząca odpowiedzieć na mój list. Skończy się pewnie na tém, że te rzeczy albo przepadną, albo kapaninę pojawiać się będą w pojedynczych numerach jakiego dziennika emigracyjnego, który tu w kraju — przy i tak już zbyt ciężkiej masie najrozmaitszych pism peryodycznych — mało przez kogo będzie czytany.

polskich. Honorarium, któreby za niego od Francuzów otrzymał, zamierzał włożyć w wydawnictwo swoich poezji. Chociaż się zawsze wzdrygał przed myślą pisać coś, że tak powiem, na obstatunek, za pieniądze i dla pieniędzy: wtedy jednak przez wzgląd na to, że nieraz wiele robi miłość kochającego ojca dla swoich dzieciąt, potrzebujących sukienki, w którejby się na świecie ukazać mogły, — wziął rzeczywiście pióro do ręki i zaczął pisać powieść francuską. Było to w styczniu 1832 roku. Znajdujemy o tém w jednym z listów z owego czasu następującą wzmiankę:

„Kręca mi się po głowie teraz wszystkie anegdoty; bo powiem wam pod sekretem, iż piszę romans po francusku — z naszych oryginałów. Scena na Ukrainie — głównymi osobami są ś. p. szlachcic, co obchodził święta Ceryery (podobno jakiś Marchocki), i drugi co podróż do Turcji czy do Anglii odbywał (Rzewuski), a trzeci geometr Zszantyr, znajomy wam ze sztuki śpiewu i innych doskonałości. Wszystko sprzężone z wielu fikcjami i z długimi rozmowami w guście Walterscota, i z długimi obiadami — w guście tegoż autora i Niemcewicza i w guście Polaków. Słowem będzie to chef d'oeuvre, za które mi powinni zapłacić jako za takie. Mam już 5 rozdziałów i tylko mi jeszcze 25 nie staje — to bardzo niewiele! Ale nie mówcie o tém nikomu, bo wystawiając żywe oryginały, można się kiedy z nimi spotkać. J' aurai cependant la précaution de faire périr mes personnages à la fin de la pièce — pour qu'on ne puisse plus les retrouver dans le monde; stąd możecie sobie wystawić, że będzie wiele krwi rozlewu — uniknę tego, połowę osób wieszając“...

Z samego tonu baraszkującego, jakim tu sam autor o dziele swoim przemawia, wynika, że nie przywiązywał doń żadnego znaczenia i traktował je jako robotę rzemieślniczą. Jakoż zdaje się, że się na owych pięciu rozdziałach rzecz też podobno urwała; ani bowiem nic takiego nigdy z druku nie wyszło, ani też nie wspomniał już drugi raz o tém Słowacki w korespondencyi. Ziściło się zatem i przy téj sposobności, co był już dawniej napisał: „za pieniądze pisać nie mogę zupełnie; ile razy o tém myśle, imaginacyą mam zupełnie skrzepla“, itd.

Skoro tedy znikąd nie było widoku otrzymania zasiłku na

owo przedsięwzięcie, udał się po pomoc ostatecznie do matki. Zapytywał rodzinę, czyby nie można podnieść jakiego kapitału — i pisał w tym interesie jak następuje:

„Za kilka tysięcy wdzięczny wam będę. Widzicie sami, że dla mnie nie ma innego widoku, jak te nieszczęśliwe poezye. Czyż mnie ta nadzieja, jedyna nadzieja w mojem życiu, zawiedzie? Innych snów wielkości nigdy nie miałem. Innę nie spodziewałem się kariery. Kiedy z małego ułomku znany byłem wszystkim Polakom w Paryżu i Dreźnie; kiedy jeszcze dotąd każdy poznając się ze mną, wykrzyka: a! to autor Bogarodzicy: czegoż spodziewać się mogę na przyszłość? Przynajmniej nie zapomnienia! Oskarżajcie mnie więc, iż trzymam się tego, co mi najwięcej w życiu zrobiło przyjemności. Jeżeliby mi się szczęśliwie z wydaniem poezyi powiodło, to mam zamiar pojechać do Hiszpanii — a stamtąd do Neapolu morzem, a przez Rzym i Wenecyę, Tryest, Wiedeń wrócić kiedyś do Was, jeżeli będzie można. Jakbym był szczęśliwy, gdyby mi się te projekta udały!“...

Powiedzmy jednak już w tém miejscu nawiasem, że ta myśl powrotu do ojczyzny nasuwała mu się wtedy tylko przelotnie. W istocie bowiem nie wchodziła ona wtedy w stałe jego projekta. W innych listach, pisanych około tego samego czasu, budował on sobie zupełnie inne plany.

„Wasz kraj tak mi się pięknym teraz wydaje, kiedy nie mam prawie nadziei widzieć go kiedy. O powrocie ani myśleć, bo powiedzcie, cobym ja teraz tam robił? Różnica kosztów bardzo mała, czy tam, czy za granicą“...

I w inném miejscu:

„Często sobie myślę, jeżeli mi Bóg w moim zawodzie poszczęści, jeżeli będę miał jakie przychody, co wynosić będą z 5000 franków na rok: wtenczas matko, przyjedziesz do Dreżna — tam życie bardzo tanie — najmiemy sobie jaki wiejski domek pod miastem — i może będzie nam do brze! Dreżno bardzo lubię i radbym tam wrócić.“ —

Matka pocziwa zrozumiawszy żądanie syna, dotyczące owęj sumy na druk poezyi, uczyniła niezwłocznie, co tylko mogło, tak iż już list Juliusza z d. 7 marca 1832 r. zaczynał się od słów:

„Mamo kochana! nie uwierzysz, jak teraz jestem szczęśliwy! I tobie to, Matko moja, winienem jedynie szczęście

jakiego jeszcze doświadczać mogę. Od tygodnia zajęty jestem drukiem moich poezyi. Za dwa miesiące będziecie je Mama miała. To taksamo, jakbyś mnie zobaczyła — bo ja nie jestem niczém inném, jak mojem poezjami“...

Z dalszego toku listu dowiadujemy się o wszystkich niemal okolicznościach ubocznych, które towarzyszyły oddaniu pod prasę owych poezyi. A że wiąże się z tém i inny jeszcze szczegół, o którym w biografii Juliusza zupełnie przemilczećby nie można: — przytaczam tedy rzecz tę całą własnymi jego słowami:

„W poniedziałek, d. 22 lutego, siedzę rano u siebie; aż wchodzi jakiś człowiek z worem pieniędzy na plecach i oświadcza mi, że ma mi do wypłacenia 3000 franków. I natychmiast składa mi na stole całą sumę w biletach, razem z listem od Mamy. Od téj chwili inne zaczęło się dla mnie życie.... Zaraz nazajutrz rano poszedłem do drukarni Pinnard o druk się układać, i tam zastałem bardzo ładną pannę Pinnard (najstarszą), której narzeczony zawiaduje drukarnią. Ten narzeczony był bardzo grzeczny dla mnie. Ułożyłem się o druk, i dwa tomy będą mnie kosztować nie tak wiele, jakem się spodziewał. (Kosztowały go 2000 franków, jak w inném miejscu nadmieniam). Potém zostałem z panną Pinnard i z tą długo gadaliśmy. Chodźko mówił mi, iż odemnie o trzecią część biorą taniej, niż brali za dzieła Mickiewicza. Widzicie, że dobrze to poznawać się z panienkami — dobrze się zostać przy kominku i o czém inném niż o interesach pogadać“...

W pięć dni później opisywał Słowacki matce bytność swoją na obiedzie u panien Pinnard, na który był proszony, i powiada co następuje:

„Znalazłem tam Chodźkę (Leonarda). Średnia z panien, których jest trzy, nazywa się Kora. Śliczna! zupełnie taka, jak sobie wystawiałem Korę, heroinę Mohikanów. Dziewczynka młoda, ma lat 15 i coś hiszpańskiego w twarzy. Ale ja nieszczęśliwy więcej daleko podobałem się pannie Pinnard najstarszej, która coś na sawantkę zakrawa. A ponieważ mam dobre uszy, podsłuchiłem jéj rozmowy z Chodźką. Mówiła mu, że mnie znajduje bardzo do rzeczy i zadowolipem. A on jéj na to odpowiedział: *mais, les Polonais ne sont pas bêtes!* Zaśmiałem się skrycie z jego odpowiedzi. Widzicie więc, że zdarzają się chwile, kiedy wasz Julek dowodzi, że Polacy nie są głupimi! — Po obiedzie zo-

stałem sam z pannami, i panna Kora śpiewała mi śliczne romanse. Siedząc tak przy kominku, słuchając muzyki, przypominałem sobie ciche domowe wieczory w Wilnie. Na-
zajutrz posłałem Korze kilka ładnych romansów, które na
teatrze słyszałem.“ —

W niespełna miesiąc potem, znowu pisał matce tyle jeszcze
o tejsze okoliczności.

„Zacząłem dziś rano pannę Korę po polsku uczyć. Dzi-
wne prawdziwie moje lekcye! Starsza siostra bardzo z tego
kontenta. Przypominam sobie, że raz, kiedy ję mówiłem,
jak miłość chłopców ukształca, odpowiedziała mi, że i pan-
ny się kształca. Chce więc zapewne, aby się panna Kora
uformowała. Bardzo dobrze. Zdaje mi się jednak, że na zły
wpadła sposób; panna Kora płakała cały ranek, nim ja
przyszedłem. Dziwna dziewczyna! Mówiłem wam, że Hi-
szpanki ma zakrój. Wieczór razem ze Skibickim na wło-
skiej operze pierwszych w Europie słuchałem śpiewaków:
a jednak — nudziłem się...”

I jeszcze raz, w tymże liście — wraca do owęj dziewczynki
z okazyi innego zdarzenia.

„W Paryżu cholera! Z rana przyszedłszy do drukarni,
zastąłem całą skonsternowaną. Chłopiec mały 15letni umarł
na cholerę. Musiałem pójść do salonu cieszyć i upewniać
panny, aby się nie lękały. Wystawcie sobie, że kiedy chło-
piec konał, kiedy wszyscy rzemieślnicy stali w około błdzi
i przerażeni, tak że nikt się tknąć chorego nie ważył —
moja kochana Kora sama otworzyła mu usta i dawała le-
karstwo. Gdy się o tém dowiedziałem, chciałem gwałto-
wnie w obecności wszystkich chwycić ją i ucałować — szcze-
ściem że rozważa przybyła mi w porę.“

W ciągu tego wszystkiego, druk poezyi postępował raźnie
naprzód. Uwaga rodaków na emigracyi żyjących zwracała się co-
raz więcej na młodego poetę i zdarzały się różne okoliczności,
które go zachęcały w jego zawodzie, ośmielały w rozumieniu o
sobie, a częstokroć też niestety bałamuciły i psuły. Podsycali
bowiem tę próżność i dumę i miłość własną, którą mu wprowadzie
wszyscy chętnie wybaczymy, był to bowiem bardzo młody czło-
wiek natenczas, ale która ostatecznie nie należała bynajmniej do
warunków jego powodzenia autorskiego w przyszłości. Raczej prze-
ciwnie! Jednę okoliczność taką sam szeroko opisał. Było dzień

25 marca, przeznaczony na obchód uroczysty rocznicy litewskiego powstania.

„Z rana odebrałem list z wielu podpisami, między którymi znajdował się podpis Julliena starego (wydawcy Revue Encyclopédique, znanego z życzliwości dla naszych), list zaklinający mnie, abym na posiedzeniu literackim czytał. Siadłem więc do roboty i w kilka godzin napisałem ode, w której umieściłem kilka myśli z różnych poematów. Przyszedł wieczór — ogromne zgromadzenie — mnóstwo dam polskich i francuskich, młodych i ładnych. Lafayette przychodził — wszyscy czytali po francusku — Lelewel także. Czytano wiersze francuskie — potem na końcu Wiceprezes obracając się do zgromadzenia rzekł, że towarzystwo uprosiło największego z poetów polskich (?!), ażeby po polsku deklamował, a stąd wzywa Pana Słowackiego, aby zasiadł miejsce. Pan Słowacki nie zasiadł, lecz stojąc mówił — co? trudno opisać. Rzuciłem całem zgromadzeniem — potem rozlałem wiersz ody, i powiedziałem jedną śliczną historyczną powieść w trzydziestu wierszach, — znów wróciłem do ody — i zakończyłem myślą z Lambra wyjętą. Wypiszę ją tu:

„Ja będę śpiewał i dążył do kresu,
Ożywię ogień, jeśli jest w isierce....
Tak Egipcyanin w liście z aloesu
Obwija zwiedle umarłego serce;
Na liściu pisze zmartwychwstania słowa —
Chociaż tém liściem serce nie ożyje,
Lecz od zepsucia wiecznie się zachowa,
W proch nie rozsypie.... Godzina wybije,
Kiedy myśl słowa tajemną odgadnie;
Wtenczas odpowiedź będzie w sercu — na dnie“....

„Po skończeniu Prezes ścisnął mnie za rękę i gadałem z nim przez chwilę — starzec interesujący! Francuzi mówili, iż z taką duszą deklamowałem, że wszystko rozumie li prawie. Kiedy po skończeniu spojrzałem na tłum dam — obaczyłem oczy jednej ślicznej tak impertynencko zwrócone na mnie, że moje musiałem odwrócić — i znów spojrzałem, i jeszcze to samo spojrzenie. Żeby tak długo, tobym zwaryował. Potem słyszę głos jednej damy po polsku pytającej się wszystkich o mnie. Była to pani B. którą w Dreźnie znałem. Ta skoro mnie spostrzegła, przyleciała z krzykiem: „Ach! serce Pana!“ Odpowiedziałem, że się cieszę, jeżeli się jój moje serce podoba. Potem wymawiała mi, że u niej nie byłem. Potem pytała mnie, czy mam przy sobie pugilares, bo mi chce

zapisać swój adres. Gdybym go był miał, to ręczę że w pugilaresie znalazłbym potem coś ciekawszego niż adres, bo to sawantka! Ale ja z najzimniejszą krwią wziąłem ze stołu pióro i kawałek papieru i dałem te materyały nieromantyczne, co znacznie zapal jej osłabiło, tak iż tylko o mieszkaniu samem dowiedziałem się. Potem w kilka dni byłem na wieczorze u Platerów, gdzie znów nowe obojęj płci zbierałem pochwały, gdzie pan Jullien znów się do mnie przysiadł i upewniał, że Ode zrozumiał“...

Podobnie odurzały go także dochodzące ze wszęch stron wieści o recenzentach, o tłumaczach itd. już gotowych do rozślawienia imienia jego na wszystkie końce świata i tylko oczekujących z natężoną niecierpliwością wyjścia drukujących się poezyi.

„Dowiedziałem się — pisał z niezachwianą ufnością w ich powodzenie, w tymże samym liście — że już jeden z Polaków temperuje pióro, aby rozbiór moich poezyi pisać.... Mam już mojego księgarza, który będzie moim księgarzem na zawsze, tak jak Murray Byrona — i będzie mnie oszukiwał... Lemaitre, jeden z francuskich poetów, wziął do tłumaczenia mego Mnicha i Araba. Skibicki pisze do Revue Encyclopédique o moich poezjach; i tam będą umieszczone dwa Lemaitra tłumaczenia... Sienkiewicz (Karol) dowiedziałwszy się, że ja wydaję teraz poezye, pisał do Bl. z Anglii, każąc mi się kłaniać i prosić, abym mu jak najprędzej poezye moje przysłał, bo je chce na angielski język tłumaczyć. Widzisz, kochano matko, jak to ja będę zaraz w dwóch językach figurował. Sienkiewicz spodziewa się wziąć za to znaczne pieniądze, i pewny jestem że wszyscy moi tłumacze lepiej niż ja wyjdą. Miło mi wrzecie, że to Sienkiewicz tłumaczyć będzie — i mimowolnie przypomniałem sobie Mikulskiego, który mi radził niegdyś poezyi zaniechać, mówiąc że Sienkiewicz daleko większym odemnie był poetą, a przecież tego błahego i głupiego rzemiosła zaniechał. Wykołę kiedyś oczy Mikulskiemu, posyłając mu po angielsku tłumaczone moje poezye.“*)

*) Nie od rzeczy może będzie już w tém miejscu nadmienić, że oprócz przekładu na język francuski Bogarodzicy i Araba, dokonanego przez Lemaitra, żadno z tłumaczeń tu zapowiedzianych do skutku nie przyszło. Skończyło się to więc na niedoszłych projektach z jednej strony — a na płonnych nadziejach z drugiej. — Przekład Lemaitra wyszedł 1833 r. w Revue, i także w osobnej odbitce.

Przytoczone ustępy wystarczą, ażeby czytelnik powziął wyobrażenie o stopniu błęgiego upojenia, jakim odurzały poetę — przed ogłoszeniem jeszcze poezji — ryczałtowe pochwały ze strony osób bezpośrednio go otaczających, osobiście jemu życzliwych, zresztą olśnionych nowowschodzącą gwiazdą jego poetyckiej sławy. Cieszył on się tej sławie swojej, jak dziecko cacku, za którym dawno, za którym długo goniło, a teraz ma je już tak blisko przed sobą, że dość wyciągnąć rękę, ażeby je pochwyścić. Było to jedyne pragnienie jego na ziemi, jedyna namiętność, powiedziałbym: jedyna sprawa, która go przywiewiała do świata. Dla tej marniej sławy potomnej wszystkiego się wyrzekał. Teraz zdawało mu się — po raz pierwszy w życiu, w życiu tak jeszcze młodem, że ją posiadał nareszcie. Przebaczyć mu, że go tu zdobyjemy na rojeniach, które tchną taką dozą miłości własnej i dumy. Coby to było, gdyby się te rojenia były ziściły od razu!...

Były jednak chwile, gdzie się Juliusz w tém wysokim rozumieniu o sobie i cokolwiek miarkował; gdzie mu na myśl przychodziło, że ani na uwielbieniach ludzkich, ani też na własnych o sobie samym mniemaniach tak bardzo nie należy polegać. Opowiada w tymże samym liście matce np. następujące zdarzenie.

„Byłem na mszy żałobnej, którą jeden z moich przyjaciół kazał odprawić za duszę zmarłego ojca. Celebrował X. Praniewicz, Polak ze Żmudzi, który aż po Ameryce wałęsał się i od 5 lat w Paryżu usługę ołtarzową pełni, wielki oryginał! Potém ksiądz zaprosił nas na śniadanie. Ksiądz jest poetą — pisze — drukuje, czyli sztychuje z muzyką swoje wiersze — i te nam śpiewał przy fortepianie. Nic dziwniejszego, jak ta melodia! Najwięcej mi się podobała strofa, w której ksiądz Poniatowski mówi do przechodnia:

Jakom marszałek francuski
Narodowi temu wierny,
Z mojemim szedł na kraj pruski
Przez Sasy, ów naród mierny.

I ja i Skibicki otrzymaliśmy po egzemplarzu dzieł, przy których Baka byłby tak mierny, jak kraj saski. Ksiądz sądzi, iż jest wielkim poetą. Pochwały nasze utwierdziły go w tém mniemaniu. Była to jednak scena dla mnie na-

uczająca, aby mniej ufać miłości własnej — mniej pochwa-
łom cudzym — scena bardzo potrzebna; bo czy uwierzycie,
że dowiedziawszy się o śmierci Götthego, pomyślałem sobie,
iż Bóg go wziął z tego świata, aby dla mnie wydającego
poezye zrobił miejsce na świecie?... Matko moja, widzisz
jak szczerze piszę ten dziennik — piszę nawet głupie moje
marzenia“... itd.

Wreszcie nadeszła chwila (było to d. 12 kwietnia 1832 r.),
gdzie leżały już przed nim gotowe obydwie tomy „Poezyi Ju-
liusza Słowackiego“ i gdzie matce przesyła radosne do-
niesienie:

„Mam poezye moje! I pierwszy dzień ich wyjścia był
dla mnie źródłem niewysłowionych przyjemności. Matko mo-
ja, cóż Ty, cóż wy wszyscy o waszym Julku powiecie?
Matko moja, zdaje mi się, że Ciebie te poezye nie zmar-
twią — chyba zasmucisz się tymi kilku błędami drukar-
skimi, których Twój szalony Julek uniknąć nie mógł. Zwła-
szcza pod koniec Żmii błyszczą te omyłki straszliwym bla-
skiem. — Dziś obaczyłem u Pinnard regestr ludzi sławnych,
zawarty w biografii Contemporains, a pod literą S. taki
porządek: Skrzynecki Jan, Słowacki Euzebiusz, Słowacki
Juliusz, Smuglewicz Franciszek, Śniadecki Jan, Śniadecki
Jędrzej itd. Widzicie, że w dobrém jestem towarzystwie.
Ucieszyło mnie to bardzo Jestto najślawniejsza biografia.
Ciekawy jestem, co o mnie piszą — będę się starał dostać
jój. To dziwniejsza, że ta biografia wyszła wprzód, nim za-
cząłem drukować moje poezye; a stąd niewiem, z czego mnie
tam sławnym zrobili?... Posyłam Wam exemplarze z pod-
pisami. Nie wielu osobom posyłam [było takich exemplarzy
13], a to dlatego, aby moich podpisów nie pospolitować,
aby te osoby, które odemnie dzieło otrzymają, wiedziały,
że ja je szczególniejsz szanuję i kocham.... A Tobie, kocha-
na Mamo, jakimże sposobem mógłbym dać poznać, że Cie-
bie jeszcze z pomiędzy tych wszystkich osób odróżniam?
Czy Ty nie odgadniesz, Matko, co czułem podpisując dla
Ciebie exemplarz?... Na drugi dzień po wyjściu dzieł,
Oleszczyński, sławny sztycharz, prosił mnie, abym mu por-
tret mój zrobić pozwolił. Jak wyjdzie, przyślę go Wam.
Wiesz, kochana mammo, że tyle tu mam uwielbienia od mo-
ich rodaków, że mię już krytyki nic nie obchodzą. Martwię
się tylko błędami druku; ale spodziewam się, że będę mógł
prędko drugą edycyą wydać i te błędy zginać“...

W tym sensie list ten nieco się jeszcze przedłuża; nakoniec kończy go Juliusz temi słowami:

„Bądźcie zdrowi i szczęśliwi — ja jestem szczęśliwy. I gdyby nawet 2000 franków, wydane na druk dzieła, nie wróciły się, to powiem, że nie drogo szczęście kupił.“

To wydawanie dzieł, te różne zajęcia, jakie z tego wynikały w dalszych następstwach, wyczerpywały i czas i całą myśl młodego poety do tego stopnia, że wszelkie inne względy zupełnie im ustępowały miejsca na pierwszym planie. Znajomość z panną Korą, tyle zrazu obiecująca, zeszła z czasem do rzędu rzeczy ubocznych, obojętnych. Minał miesiąc cały i więcej, odszedł list jeden i drugi, i ani słówkiem nie donosił w nich matce, co się dzieje z panną Korą. Ale matka była zaciekawiona — skłaniała się ku przypuszczeniu, że milczenie właśnie dowodzi, iż uczucie żyje i wzrasta... w końcu wręcz zainterpellowała jedynaka swojego, jak ta rzecz jest? Na interpellacyą otrzymała odpowiedź taką (d. 4 lipca 1832):

„Milczenie moje nie dowodzi, abym się szczerze zakochał. Nie! Wszystko, jak było, wiernie opiszę, choć może śmiesznym się wam wydaję. Przez grzeczność kiedyś powiedziałem pannie Korze, że ją kocham. Ona mi się także przyznała, że mnie kocha — a wtedy zapytałem ją, co zrobi, jak ja ją kochać przestanę? Odpowiedziała mi, że się otruje, albo że się utopi; a z téj odpowiedzi widać, że się urodziła na brzegach Hiszpanii. Od tego czasu postanowiłem dowieść jęj, że się ani zabije ani utopi, chociaż ją kochać przestanę. I zacząłem kaprysić i przyprowadzałem ją do gniewu; dawałem uczuć, że jeszcze dziecko — słowem mściłem się na nią za wszystko, co kiedykolwiek od wietrznic, jak mówi B. Zaleski, ucierpiałem. Nie wiem, z jakiej przyczyyny, ale wpadła w gorączkę — w gorączce miała delirum, a z tego siostry musiały się tajemnicy jęj serca dobać. Widząc, że nadto zły byłem w mojem postępowaniu, postanowiłem aby mnie zapomniiała. Powiedziałem jęj to, i przez miesiąc nie poszedłem do nich. Pozaprzeszłej niedzieli przechodząc przez aleję Tuilleries ogrodu, wśród tłumu wylegantowanych dam ujrzałem znów pannę Korę z siostrami. Ukłoniłem się z daleka i przeszedłem. Ale pani Barateau, także jęj siostra, posłała swego kuzyna, żeby mnie szukał i przyprowadził. Wróciłem więc do miejsca, gdzie damy siedziały — z bardzo wesołą twarzą; siadłem przy nich na krześle —

gadałem przez godzinę — panna Kora czerwieniła się i blądła. Potem damy wstały — musiałem pani Barateau ofiarować rękę i odprowadzić do domu. Przechodząc przez most królewski, Kora, która szła naprzód, zatrzymała się i zapytała, z którego to mostu la duchesse de Guiche rzuciła się w Sekwanę. Uczulem, że to zapytanie było delikatnym przypomnieniem mojej niestałości i uśmiechnąłem się, kiedy pani Barateau, która kiedyś знаła księżniczkę de Guiche, zaczęła długo na zapytanie Kory odpowiadać. Od tego czasu widziałem je znów kilka razy w ogrodzie — siadam przy nich czasem na kwadrans... Ale dość o tém, już i tak czuję, że się Wy ze mnie śmiać będziecie.“

W dalszych listach nieraz jeszcze napotykają się dorywcze wzmianki o tym stósunku. Wynika z nich, że Słowacki bywał w tym domu potem znowu często, i siadywał pomiędzy panienkami nie kwadrans, ale nieraz długie godziny.

„Bawi mnie otwartość Kory — pisał krótko potem w jednym liście — wszystko mi gada jak pacierz.“

Albo w inném miejscu:

„Smutno mi — ale co robić? jutro pójdę do Kory. Może kiedy mi zacznie patrzeć w oczy i uśmiechać się, może ten smutek rozproszy; choć dalibóg, nie kocham jej...“

I bez tego zapewnienia okazuje się jasno, że o miłości prawdziwej nie mogło być mowy co do jego osoby. Być może, że gdyby mu Kora przy własnościach, jakie miała, była zaimponowała czémś wyższém, niepospolitém, a choćby wreszcie i samą tylko niewzajemnością: byłaby może wzięła znajomość ich inny obrot. Bo młody nasz autor zajmował się wprawdzie łatwo i bardzo lubił wiedzieć o tém, że sprawił na kim wrażenie; ale ażeby się u niego odezwało i serce, do tego potrzeba było silnego wzruszenia wyobraźni, a tę rozbudzały tylko twarde, uporczywe i niepokonane trudności, które bodły dumę. Takimto sposobem wzrosło u niego przywiązanie ku Ludwice, choć odpłacane niewzajemnością, do rozmiarów może nie takich, jak je wystawia w Godzinie Myśli, ale zawsze niepospolitych. Pod tymiż warunkami byłaby może trwalsze sprawiła wrażenie i ta 15letnia dziewczynka o hiszpańskich rysach twarzy przy naiwności francuskiej. Ale Kora zbyt skwapliwie przyznała się do uczuć, jakie w niej

wzbudził. A to wystarczyło, ażeby wspomnieniom pierwszej miłości zapewnić i nadal wyłączne miejsce w wyobraźni Juliusza.

To też właśnie do tegoż listu, w którym w taki sposób mówił o Korze, dołączył Słowacki z powodu ogłoszenia dzieł swoich i bilet do Ludwika Ś. Przerwał nim kilkoletnie milczenie, jakie trwało pomiędzy nimi jeszcze od czasu wyjazdu z Litwy. Matea zaś przesłał takie zlecenie:

„Mamo moja, choćbyś miała dwa egzemplarze,*) to jeden poślij Ludwisi — koniecznie! koniecznie!... List ten odeślij, ale tak, żeby pewnie doszedł i żeby go przeczytała... O gdyby ona odpisała do mnie! Ale nie spodziewam się...”

Przez cały ciąg czasu, gdzie się to wszystko działo, Adama Mickiewicza nie było w Paryżu. Autor *Walenroda* bawił natenetczas w Dreźnie, następnie przez tygodni kilka w Poznańskim; a potem... po wzięciu przez Rosyan Warszawy, znowu wrócił do Drezna. Tu osładzał sobie owe chwile bolesne towarzystwem Odyńca i Stefana Garczyńskiego, do którego się szczególnie przywiązał. W miesiącu czerwcu czy lipcu roku 1832 opuścił wreszcie stolicę saską i przyłączył się dobrowolnie do tego zastępu wygnańców, którzy w nieprzerwanym szeregu, różnemi drogami przez Niemcy ciągnęli coraz dalej na zachód. Z końcem lipca stanął w Paryżu.

W listach Słowackiego dawniejszych, datujących z pierwszych miesięcy jego pobytu we Francyi, znachodzą się nieraz wzmianki, że nie znalazł i że nie znajduje ciągle tych osób około siebie, którychby sobie najwięcej życzył. Kogo mianowicie przez to rozumiał, tego nigdy nie powiada. Ale imię Mickiewicza prawie zawsze tam bezpośrednio potem następuje wspomniane, z dołączeniem doniesienia, gdzie właśnie wtedy przebywał. Godzi się tedy ze waszech miar wnosić, że z Adamem to głównie pragnął spotkać się gdzie na czas trwalszy Słowacki, i że zatem nie miał wtedy jeszcze żadnych uprzedzeń przeciwko jego osobie. Przytacza

*) Mówi o tych egzemplarzach dzieł swoich, których był kilkanaście wyprawiał dla rozdania pomiędzy znajomymi.

czasem wiersz, wyraz, myśl jaką, wyjętą z dzieł Adama, i to tonem, który dowodzi, że go za potęgę poetycką uznawał. Ale po upływie kilku miesięcy, już w stolicy Francji spędzonych, urosła wziętość Juliusza. Nazwano go na publiczném rodaków i Francuzów zebraniu — największym poetą polskim. Pojawiły się dwa tomy jego Poezyi. Pierwsze wrażenie, jakie te poezye na emigracyjnej czytelników masie sprawiły, było dla autora bardzo pochlebne. Nie dziw zatem, że po tém wszystkiém nie był to już zupełnie tensam Juliusz, który za przybyciem swém do Paryża skarżył się na to w listach, że nie zastał tam Mickiewicza. Owoż więc spełniły się teraz owe jego niezbyt dawne jeszcze życzenia: miał Adama wreszcie w Paryżu! Jakiż się zawężuje pomiędzy nimi stósunek?

W liście z d. 30 lipca tyle tylko o tém matce sucho i niewasowo donosił:

„Mickiewicz dziś przyjechał do Paryża. Ale nie pójde pierwszy do niego. Jeżeli się zechce poznać ze mną, to dobrze.“

W tydzień potem zapisywał sobie w dzienniku, co następuje:

„Od kilku dni przyjechał Mickiewicz. Żaden z nas nie chciał zrobić pierwszego kroku do poznania się; a było kilka osób, którym mówił, że mnie chciałby widzieć. Starano się więc sprowadzić nas gdzie razem i poznać. Dziś zeszliśmy się na wielkim obiedzie. Mickiewicz improwizował — ale dosyć słabo. Po obiedzie, kiedy chodziło towarzystwo po ogrodzie, Mickiewicz przystąpił do mnie“ [a zatem pierwszy krok zbliżenia zrobiony był według tego świadectwa przez Mickiewicza!] „i zaczęliśmy sobie nawzajem mówić komplementa. Mówił mi, że mnie znał dzieckiem... przypomniałem mu ową jego wizytę u nas, gdy się zszedł tak nieszczęśliwie z Janem Śniadeckim.“) Śmiał się z przypo-

*) Zdarzenie, do którego się ta wzmianka odnosi, było następujące. Wiadomo, że w pierwszych czasach pojawienia się romantyzmu w naszej poezji, do najżarliwszych przeciwników tego kierunku należał Śniadecki, profesor astronomii i wysłużony rektor akademii wileńskiej. W skutek rzetelnych i wielkich zasług położonych przez niego w poprzednich czasach, było znaczenie tego męża i naówczas jeszcze w akademii takie, jak żadnego drugiego profesora. Jego zdania nadawały niejako ton i kierunek zachowania się względem tej

mnienia. Potém przypomniał mi, że mu Małewski moje wiersze za granicę przysłał... Kiedyśmy zabrnęli w kom-

kwesty i innym profesorom. Zaczém poszło, że jak młodzież uniwersytecka garnęła się bez wyjątku pod sztandary nowych pojęć w tej walce literackiej: tak znowu profesorowie, a mianowicie starsi, stali uparczywie po stronie klasyków. Otóż wśród dość naprężonych stosunków między jedną stroną a drugą, pojawił się r. 1822 pierwszy tomik Poezyi Adama Mickiewicza. Zawierał głównie ballady, oprócz ballad także kilka poezyi ulotnych, a między niemi i wiersz zatytułowany *Romantyczność*, w którym poeta wręcz rzucił rękawicę kierunkowi reprezentowanemu przez Śniadeckiego, i nawet jego osobę dość wyraźnie pod figurą mędrca ze szkiełkiem w osnowę rzeczy wprowadził. Zdarzyło się, że właśnie po odczytaniu tego tomiku Śniadecki nieukontentowany i cały pod wrażeniem niesmaku rzeczy, których piękności nie pojmował, odwiedził kolegę swego Dra Becu, który jak wiadomo był ojczym Juliusza. I zastaje u niego przypadkowo liczniejsze towarzystwo, a między innymi także i Mickiewicza! Cóż robi? Udaje, że go nie spostrzegł; że nie wie wcale, iż on tutaj obecny. I zaczyna mówić o niedorzeczności i śmiesznościach poezyi, których tom właśnie ręk jego doszedł — w sposób nie tylko sarkastyczny, ale i w najwyższym stopniu upokarzający dla autora, a to tém bardziej, że i gospodarz domu, rozochocony tém niby nieporozumieniem, dopomagał Śniadeckiemu w tym niewczesnym zapęddzie, wyzywając go do coraz dalszych uszczypliwości. Mickiewicz milczał. Był on wtedy jeszcze w towarzystwie osób starszych nieśmiały, i znajdował się nadto o tyle w położeniu arcyfalszywém, że miał przed sobą samą hierarchią w zawodzie nauczycielskim, do którego i sam wtedy jako profesor szkół kowieńskich należał. Oprócz tego był on z różnych przyczyn i osobiście zawisły od tej starszyny; nie śmiał zatem wręcz wystąpić w własnej obronie. Milczał więc: i tak skończyło się owym razem na jego tylko upokorzeniu. Ale im tego nie zapomniał! Wziął ten objaw literackiego antagonizmu ze strony Śniadeckiego i gospodarza domu za coś więcej, bo za jeden z licznych dowodów usposobienia ich nieprzyjaźnie zwróconego przeciwko rozbudzeniu ducha w ogóle w gronie litewskiej młodzieży. Że się w tém mylił, tego mógłby nam dowieść sam żywot Śniadeckiego w całości wzięty — żywot poważny i do samego zgonu bez skazy. Ale w sporach ówczesnych grały namiętności i rozdrażnienia. Życzliwego pobbłażania ani wyrozumienia nie było ni z jednej strony ni z drugiej. — Takie więc wrażenie wyniósł ze sobą Adam z owego wieczoru. I zachował je długo w pamięci, i nie darował. W trzeciej części *Dziadów* objawił sąd swój o ludziach owego obozu niemiło-

plementa, kiedy mu mówiłem, że go uważam za pierwszego poetę, jeden z Polaków stojący za mną i podchmielony zapewne, powtarzał jak echo: nadto jesteś skromny — i temi słowami pomieszał zupełnie naszą rozmowę... Podczas obiadu Cezary Pl. biegał i zapraszał nas na wieczór artystów do siebie. Był to wieczór z męszczyzn samych złożony. Chopin sławny fortepianista grał nam... gadaliśmy różne poezye, słowem że dobrze nam zszedł wieczór... Wielu było Wołynianów — wiele wypiliśmy szampana. Wieczór ten był naśladowaniem świetnych wieczorów, które tu dają artyści francuscy. Na takich wieczorach muzycy najpierwsi grają, malarze przy stolikach rysują karykatury i często korzystają z twarzy przytomnych sawantek — wojażerowie opowiadają swoje podróże — uczeni swoje odkrycia, itd..... W kilka dni potem u Straszewicza był drugi taki wieczór, ale jak zwykle z długich przygotowań nic się nie klei, tak też na tym wieczorze nudziliśmy się śmiertelnie od 10 do 2 w nocy. Pod koniec jednak Chopin upił się i prześliczne rzeczy improwizował na fortepianie...“

Przy podobnych sposobnościach widywali się zatem obydwaj poeci. Znajomość ich byłaby się może powoli zamieniła w zażyłość coraz ściślejszą, tém bardziej, że nie było i bez literackich stósunków, które ich ze sobą utrzymywały w jakimkolwiek związku. Założone zostało w łonie emigracyi Towarzystwo Literackie. Prezesem tego towarzystwa był Mickiewicz. Miał sobie do pomocy przydanych kilku radców towarzystwa. Jednym z nich był Juliusz Słowacki w skutek wyboru kolegów. A więc były stałe pewne dni takie, gdzie się obydwaj schodzili i gdzieby się koniecznie byli powinni zrozumieć i zbliżyć do siebie. A przecież — pomimo tego wszystkiego — do zbliżenia między nimi nie przyszło! Nieprzebytą tamą pomiędzy nimi, na długie czasy, stała pogłoska przyniesiona przez niewiem kogo skwapliwie Słowackiemu o Mickiewiczu, jakoby on w gronie swoich przyjaciół miał być zganić poezye jego. Pisał Juliusz o tém do matki (pod datą d. 3 września 1832), jak następuje :

siernie, i przynajmniej co do niektórych pomiędzy nimi niesprawiedliwie. Lecz to miało nastąpić dopiero później. W czasie, kiedy rozmawiał z nim o tém Słowacki, téj części Dziadów jeszcze nie było.

„Jeden z Polaków mówił mi zdanie, jakie dał Mickiewicz o moich dwu tomikach... powiedział, że moja poezja jest śliczna... że jest to gmach piękną architekturą stawiany — jak wzniosły kościół... ale w kościele Boga nie ma!.. Prawda że śliczne i poetyczne zdanie? podobne do jego sonetu pod tytułem *Rezygnacya!*“...

Od tego czasu już się Juliuszowi nie w Mickiewiczu nie podobało. Raziły go wszystkie właściwości jego indywidualizmu, tak te, które dotyczyły powierzchowności, jak i wewnętrzne. Z powodu pewnego wieczoru u XX. Czartoryskich, donosił na przykład takie szczegóły (w liście z d. 4 października):

„Na wieczorze był i Mickiewicz. Nie możecie sobie wystawić, jak po liderlichosku wygląda — z pominięciem od koszuli kornierzem i we fraku zasmolonym! Zbliżywszy się do mnie, powiedział: jeżeli teraz co porożę, to będzie coś zapewne o oku dziecięcia, które dziś widziałem. Na oku tém jest napis *Napoleon Empereur* — i to oko ciągle tkwi w mojej pamięci. — Zdziwiłem się niezmiernie, że się jego imaginacya tak tém okiem, zapewne udaném, a może szklaném, dla wyłudzenia pieniędzy wsadzoném, zapaliła. Wolałbym, żeby pisał o dziecku ze złotymi zębami... Strasznie mnie zaczynają nudzić moi ziomkowie...“

Niemniej ciekawa jest wzmianka, rzucona w liście o miesiąc późniejszym (z d. 9 listopada):

„W tych dniach wychodzi z pod pras panien Pinnard tom czwarty Mickiewicza, zawierający trzecią część *Dziadów*. Jeszcze jej nie znam. Ale Mickiewicz bardzo już ostygł w poezyi. W rozmowach ciągle religią na plac wprowadza — uniewinnia Papieża, nawet bullę! Słowem, że mi się jako obecnie żyjący człowiek nie podoba“...

Że zdanie o tém ostygnięciu Mickiewicza w poezyi nie ze wszystkiém było prawdziwe, a mówiąc wręcz i otwarcie, że było fałszywe nawet: o tém przekona czytelnika sama uwaga, że były to czasy, gdzie Adam pracował nad największém swém dziełem, nad *Panem Tadeuszem*! Ale pozorniej prawdy mogło jednak być nieco w owém spostrzeżeniu Juliusza. Weźmy na przykład list Mickiewicza do Odyńca z dnia 8 grudnia 1832 r. a zatem około tychże czasów pisany,*¹) a znajdziemy w nim nieje-

¹) Listy te ogłoszono w warszawskiej *Gazecie Codzienniej* 1860, i także w *Czasie* 1860, Nr. 165 i nast.

dno, co za komentarz posłużyćby mogło do powyższego sądu o jego naówczas niepoetyczności. Mówi w nim Adam o sobie na przykład jak następuje:

„Piszę teraz poema szlacheckie, w rodzaju Herman i Dorothea (Göthego); już ukropiłem tysiąc wierszy. Podobają się bardzo szlachcie tutejszej. Duch poetycki czuję w sobie; ale tyle miałem zgryzot z wiadomą tobie przyczyną, tyle kłopotów korekty (około trzeciej części Dziadów, i Ksiąg Narodu), i prócz tego tyle różnych bazgrań, rozprawek, artykułów, projektów, że sam nie wiem, jak czasem mogę kilkanaście wierszy skleić.“

A w miesiąc później pisał jeszcze tak;

„Ja tu żyję niemile wśród żywiołów obcych. Jedni mnie nienawidzą, drudzy krzywo na mnie patrzą — doktrynery mają za waryata. Wszyscy głupi solennie, krzykliwi i niedołężni... Paryż tak obrzydziłem, że ledwie już mogę wytrzymać“ itd. (Mick. do Odyńca — Paryż 28 stycznia 1833).

Był zatem Mickiewicz w owych czasach rzeczywiście na wskroś skwaszony i zgorzkniały. I jeżeli się to jego usposobienie — jak jest prawdopodobnem — dawało czuć całemu jego otoczeniu, to szczególniej razilo oczywiście naszego poetę. Ten bowiem ani sam już wtedy sympatycznie na Adama nie spoglądał, mając osobiste swoje żale do niego, ani też nie był i przez niego sympatycznie widziany. Kierunek bowiem ówczesnej autorskiej czynności Słowackiego nie podobał się Mickiewiczowi. Był tedy pomiędzy nimi mniej więcej tensam stosunek, co w pierwszych czasach między Schillerem a Göthem, kiedy ten ostatni powrócił z podróży włoskiej i żył cały w przypomnieniach owęj harmonijnej, niczém niezamaconej, posagowo spokojnej klasyczności starożytnych arcydzieł, jakich się tam napatrzył, — a tu mu przyniesiono z wielką wrzawą uwielbienia Ardinghello Heinszego, Zbójców Schillera i inne początkowe utwory tego poety właśnie co tylko wydane. Aż mrowie przeszło Göthego na ten zgrzyt bolesnych, żywotnych, genialnie wypowiedzianych — ale zawsze dyssonanc! Poznanie się jego z Schillerem odbyło się bardzo oziębłe. I wiele czasu upłynęło, nim się ostatecznie zbliżyli do siebie i pojeśli i polubili. Otóż mutatis mutandis — podobny

zachodził stósunek i teraz pomiędzy obydwojma poetami naszymi. Zrozumieć się oni nie mogli. Każdy z nich szedł inną drogą.

Ażebym się o tém przekonać, że w samą rzecz szedł już wtedy każdy z nich drogą odmienną, trzeba nam o tém nieco szczegółowiej pomówić. O Mickiewiczu wszelako rozwódzić się tu nie będziem. Czego on żądał i pragnął, jak pojmował wtedy zadanie swoje, emigracyi i narodu naszego: to każdemu z czytelników moich byćby powinno wiadomém. A koby mniej jasne miał o tém wyobrażenie, niechże weźmie do ręki jego Księgi Narodu i Pielgrzymstwa, a znajdzie w nich całe wyznanie wiary tak politycznej jak społecznej tego genialnego poety. Pismo to powstało właśnie w r. 1832, a zatém słusznie uważane być może za zwierciadło i że tak powiem, za manifest jego ówczesnych przekonań.— Juliusz Słowacki nie miał wtedy jeszcze, ile mi się zdaje, tak jasno wytkniętych kierunków przed sobą. I wiek jego nie był jeszcze po temu i cała natura jego więcej była jakaś nierzezywista, irracjonalna. Mickiewicz przy całej swój podniosłości nieskończenie przewyższał go realizmem. Mickiewicz szukał wszędzie żywiołów pozytywnych, dodatnich; szukał pewnika, dogmatu: — Słowacki marzył, poetyzował... Pierwszy wiedział zawsze, do czego dążył i co zamierzał: — drugi łatwiej byłby podobno z tego zdał sprawę, czego nie chciał; sformułować zaś dobitnie żądań i pragnień swoich dodatnio: — tego w żadnej porze życia swojego, a tém mniej wtedy nie byłby pono potrafił. Stémwyszytkiem instynktowo miał i on jednak swoje kierunki przed sobą. Szedł pewną drogą i w owym już czasie; i jakkolwiek nie łatwą jest rzeczą oznaczyć, w jaką stronę pęd jego natchnień się wtedy najprzeważniej skłaniał, niepodobieństwem to jednak nie jest. Inaczej tego wszelako dokonać nie zdołamy, jak jedynie przez szczegółowy rozbiór jego dwutomowej ówczesnej publikacyi. Sądźmy przeto, że nie nadużyjemy cierpliwości czytelnika, jeżeli w następnym rozdziale przystąpimy do tego krytyczno-estetycznego zajęcia i na czas jakiś przerwiemy opowiadanie o dalszych kolejach jego żywota.

ROZDZIAŁ TRZECI.

Poezyja polska przed rokiem 1830 — jój stósunek do literatur zachodnich — jój główne wewnętrzne znamię. Odrębność wyobrażeń Juliusza Słowackiego — niepopularność jego pierwszych publikacyi. Czas pracy nad każdym z utworów ogłoszonych w r. 1832. Uwagi o poemacie Hugo i o dramacie Mindowe, — rozbiór Maryi Stuart.

Podajmy trudne zadanie. Sądy o dziełach Słowackiego są do téj pory nieustalone. Są tacy, którzy się nad nimi entuzjazmują i radziby je położyli w literaturze na pierwszym miejscu. Ale też nie brak i na myślących inaczej. Ci je odkładają po przeczytaniu bez szczególnego wrażenia, a często z pewnym niesmakiem. Tak jest dzisiaj, tak było od pierwszej chwili ich ogłoszenia. Przytoczyliśmy powyżej z listów autora kilka ustępów, z których widno, ile dowodów uznania odbierał on od podobnie myślących za to zbogacenie poezyi polskiej swemi świeżo wydanemi dziełami. Zanosilo się zrazu, wedle własnych poety świadectw, na różne przekłady i krytyczne onych rozbiory. A przecież pomimo tego, w dalszém kole czytelników ani w emigracyi ani w kraju — nie sprawiły wielkiego wrażenia te pierwsze tomy Słowackiego Poezyi. W ogóle przeszły one pośród głębokiego milczenia. Nie wiemy o żadnej takiej w pismach tamtego czasu recenzji, o której by warto było pamiętać i dzisiaj jeszcze. Utwierdza nas w tém i sam poeta, kiedy później — na czele przedmowy do tomu III — gorzkimi słowy skarżył się na tę obojętność ogółu: „Nie zachęcony pochwałami, nie zabity dotąd krytyką, rzucam

tom trzeci w tę otchłań milczącą, która pierwsze tomy połknęła.“ — Nienkontentowany z powodu, że do pierwszych tomów wkrađło się kilka pomyłek druku, wspomniał był poeta w jednym z ówczesnych listów, że ma nadzieję poprawić takowe w drugiej edycji. Przypuszczał więc, że potrzeba téjże da się uczuć niezadługo. I to go także zawiodło. Do powtórnego dzieł tych wydania nie przyszło wcale za życia autora, pomimo że się sprzedawały później nawet za cenę znacznie zniżoną...

Jestże to wszystko okolicznością, któraby bezwarunkowo świadczyła przeciw artystycznej wartości pierwszych jego utworów? Mniemanie takie — zdaje mi się — byłoby mylném. Ale trudno jednak nie wyprowadzić stąd wniosku, że poezya Słowackiego śnać nie odpowiedziała ówczesnej czy potrzebie czy też smakowi narodu. Musiał być więc między jego poezyą a tém wszystkim, co literatura nasza wydała poprzednio, jakiś rozstęp, jakiś brak związku a raczej ciągu, dla którego się to nowe jéj zbogacenie nie wydawało zbyt ważném.

Dla wyjaśnienia téj rzeczy, uważam tu za potrzebne rzucić kilka uwag, które się będą może niejednemu wydawały zboczeniem od właściwego przedmiotu. Sądę jednak, że mi czytelnik zboczenie takie wybaczy przez wzgląd na ważność rzeczy, o którą chodzi. Chodzi bowiem o poszukanie sobie w naszych sądach o Słowackim takiego punktu wyjścia, któryby był i sprawiedliwym względem niego i dalekim od téj znowu pobłażliwości, któraby uwłaczała innym naszym pisarzom.

Uważam za pożądané, ażebyśmy jak najdokładniej uprzymiłowili tu sobie, jakieto czasy pierwszy występ Słowackiego jako pisarza poprzedziły i jakichto zastał on na niwie swojej rychejszych pracowników.

Poprzedziło go owo dziesięciolecie (1820 do 1830), które tak świetnie rozpoczęło epokę naszej nowéj, naszej narodowéj poezyi. Epoka ta płynie jeszcze i za dni naszych, chociaż wnosząc ze wszelkich oznak zdaje się, że prawdziwa płodność i wielkość tego literatury okresu już przeminęła. Czasy jéj wypełniły się — o ile to poezyi, a nie prozy dotyczy, już z rokiem 1848. Boć późniejsi, młodszy pisarze—to już tylko Epigonowie starszych...

W ciągu rzeczonego dziesięciolecia przyłączył się do pozostałego z dawniejszych jeszcze czasów Niemcewicz, a samprzód — długo przedtem zapoznawany Kaźmierz z Królówki. Potem zajaśniał w całej pełni blasku umiłowany od wszystkich Adam. A za nim odezwał się od stepów ukraińskich ów „słowiczek“ poezyi polskiej, Bohdan Zaleski. A potem nadszedł smętny Małczeski; a niebawem w jego ślady ponury, groźny, ale pociągającej energii — Goszczyński... Równocześnie z nimi zajęli pod przeważne panowanie swoje — na długo — dzielnicę poezyi przez tamtych wcale nietkniętą dwaj równie znakomici pisarze, Korzeniowski i Alexander Fredro. Ci siedmiu, zdaniem mojem, stali przez rzeczonych lat dziesięć na czele ruchu w zakresie poetyckiego działu literatury. Niektórzy z nich przeszli prędko i szli samotnie: był takim na przykład niezapomniany po zgonie, choć mało znany za życia, autor Maryi. Inni działali otoczeni całą drużyną duchów pokrewnych, chociaż niższych talentem. Około Mickiewicza gromadzili się Odyniec i Zan i Chodźko Alexander i Korsak. Nieco opodał stał skłaniający się więcéj ku Brodzińskiemu Witwicki, — a jeszcze dalej Tymon Zaborowski, Gosławski, Górecki itd. itd.

Równocześnie niemal poczęte i bez przerwy dalej trwające działanie tylu naraz znakomitych talentów zbogaciło poezją naszą niejednym takim utworem, że każdy z nich byłby na się przez długi czas ściągał uwagę wyłączną, gdyby się nie był musiał dzielić rozgłosem z tylu innymi utworami pierwszego rzędu, przybywającymi rok rocznie do skarbów literatury.

W roku 1820 pojawił się Wiesław. W 1821 odegrano w Warszawie pierwszą komedią Fredry, Geldhaba. W 1822 wyszły Ballady Mickiewicza. Dumy Zaleskiego także przypadają na owe lata, choć w całym zbiorze pojawiły się znacznie później. W 1823 ukazała się Grażyna i pierwsze części Działów. W 1825 Sonety Mickiewicza, Marya Małczeskiego, Odynca zbiorek poezyi; wreszcie pierwszy nasz romans historyczny, Jan z Tęczyna przez Niemcewicza. W 1826 pierwsze dramatyczne utwory Korzeniowskiego; Pojata Bernatowicza; pierwsze dwa tomy Komedyi Fredry. W 1827 przybył

Zamek Kaniowski Goszczyńskiego. W 1828 Konrad Wallenrod. W 1830 Mnich Korzeniowski; trzeci tom komedyi Fredry; T. Zaborowskiego Dumy Podolskie; nakoniec wdzięczne Witwickiego Pieśni Sielskie i Biblijne.

Taki jest poczet dzieł pierwszej dani w dziejach odrodzonej naszej poezyi. Te są imiona i czyny bezpośrednich Słowackiego poprzedników. Dalsza kolej obejmuje już prace i tych co tylko wspomnianych, i świeżych znowu sił poetyckich, które wystąpiły na scenę dopiero po wypadkach r. 1831. Pierwszym co do czasu był w szeregu tych nowoprzybyłych; tych młodszych, właśnie nasz poeta, Juliusz Słowacki. Inne znakomitości pierwszego rzędu, a téjże generacyi — to zwrócony tęsknieniem okiem w przeszłość narodu Wincenty Pol (od r. 1833), wyjątkowo przedłużający trwanie tego okresu aż do dni naszych; a dalej zgasły przedwcześnie i dlatego mniejszej sławy Stefan Garczyński (także od 1833); nakoniec prorocy, pod kolizejskim krzyżem natchnienia szukający wieszcz Irydyona i Komedyi Nieboskiej (1834).

Szereg prawdziwych mistrzów słowa nie kończy się oczywiście z Krasińskim. Zajaśniała i po nim jeszcze niejedna gwiazda na niebie poezyi polskiej. Lecz mówić o nich nie należy już do naszego przedmiotu. Nam chodzi o porównanie poezyi naszej tak zwanej romantycznej przed rokiem 1831, ze stanowiskiem i artystycznym sposobem Słowackiego w owymże czasie. Powiedzmy więc choć w kilku słowach, co stanowi ową poezyi odrębne znamię i zasługę około sławy narodu.

Jednym z głównych następstw wystąpienia Mickiewicza i innych jemu współczesnych było podniesienie poetyckiej literatury polskiej na wysokość europejskiego znaczenia. Od tego dopiero czasu weszła poezya nasza znowu w bezpośrednie zatknięcie z tradycjami postronnych literatur, zajmujących odpowiednie wiekowi stanowisko. Pisarze nasi dawniejsi z małym wyjątkiem byli więcej naśladowcami, i to wzorów, które i same słabo, nawet kośzlawo już tylko odtwarzały starożytny klasycyzm. Świat starożytny zbyt się już był odsunął; studia nad nim w przeszłym wieku, mianowicie we Francyi, zeszyły do nicości zapomnianej pra-

wie nauki. Najzagorzalsi niby wielbiciele mistrzów rzymskich i greckich nie mieli trafnego wyobrażenia o istotnych warunkach wielkości tych niegdyś niedościgłych potęg artyzmu. Pomimo nieustającej gadaniny o konieczności trzymania się we wszystkiém przekazanych przez starożytność przepisów — literatura francuska nigdy nie zbliżyła się do tych wzorów choćby tyle tylko, ile się u nas w XVI wieku zbliżyć do niej potrafił Kochanowski. Śmiech wzbudza patrzeć na lekliwość i zarozumiałość tych dworaków wersalskich, kiedy na usprawiedliwienie swoich małodusznych nowostek odwołują się ciągle to do Arystotelesa, to do Horacego lub Quintyliana; to wreszcie do tragiców greckich, których dzieła znane im były chyba tylko z urywków, z przekładów lichych, a najczęściej zaledwie pewnie z powieści. Literatura poetycka Francuzów była więc właściwie tylko karykaturą klasycyzmu; stanowiła począwszy mianowicie od połowy przeszłego wieku, w obszarze nowoczesnej europejskiej poezyi, jakiś zacořany, wyjątkowy zaścianek; i nie byłaby mogła ani na chwilę nosić nazwy wielkiej literatury, gdyby nie była własnością narodu, który pod innym względem nadawał ton całemu społeczeństwu i imponował.

Mimo to wszystko — kierunek tójto właśnie literatury wytykał więc drogi naszym pisarzom z epoki księstwa warszawskiego i poprzedzających ją czasów stanisławowskich, którzy po większej części na tój roli naśladowców i cudzego powodzenia admiratorów poprzestawali. Nie ściągam tego, có tu mówię, oczywiście do Krasickiego, który zatrzyma w piśmiennictwie na zawsze niepoślednie znaczenie; ale Krasicki góruje tylko albo dowcipem albo rozumem; nigdy uczuciem i wyobraźnią. Inni jego współcześni, lubo czasem nie bez znamion wyższej poetyckiej zdolności, wystarczali — że tak powiem, na miejscowe i tylko tymczasowe potrzeby. Naród własny nucił ich piosnki: dalszy świat i wtedy i potóm mało kiedy co o nich słyszał. Nie miano bo też u nas wtedy jeszcze żadnych do szerszej sławy uroszczeń i chętnie poprzestawano na chlubie, że się komu zdarzyło napisać coś takiego, co żywo przypominało jakiego zawołanego rymotwórcę z za Renu, albo w razie szczęśliwszym jaką tiradę z umianęj wtedy przez wszystkich literatów naszych na pamięć Eneidy...

Od roku 1820 poczynawszy, wszystko się to zmieniło. Poeci nasi młodszy, dostrajając — pod artystycznym względem — lutni swoich na wysokość tonu, jakim brzmiała wtedy prawdziwa poezja w krajach postronnych, zaczęli czerpać natchnień z własnej krynicy narodu. Po raz pierwszy w mowie polskiej odżyły wtedy postaci dawno minionych wieków, wskrzeszone z całą świeżością narodowej prawdy i siły; pieśń gminna — ta skromna, ale wiekuiście zielona bluszczu gałązka, wiążąca dzień dzisiejszy z epoką pierwszych pokładów rodzimjej cywilizacyi, rozwinęła się w poemat i wyspiewała niejedną z tajemnic sztuki, o których się dawniej nie marzyło poetom; wrące uczucia piersi własnej teraz dopiero znalazły wyraz rymujący i z stanem duszy poety i z wyjątkowem położeniem narodu. Pękły skrzepłe skorupy bezdusznej konwencyjności — natura wzięła górę nad sztuką — retoryzm ustąpił miejsca sile połączonej z prostotą — sentymentalną czułość zastąpiła rzewność i lży gorące: po raz pierwszy od czasu Kochanowskiego stała się pieśń polska znowu prawdziwem zwierciadłem doli społecznej, i dyktowały ją idee w narodzie naszym wykołysane i będące dzisiaj pokarmem, wiarą, przyszłością naszą...

Właśnie z tego powodu zajęła poezja polska względem współczesnej europejskiej stanowisko nietylko równej między równymi, ale co większa: okazała się jēj najistotniejszym dośpiewem i niejako uzupełnieniem. Jestto jakby ton w akordzie niezbędny dla dokonania jego harmonii — ton trzeci, ostatni...

Pierwszorządne potęgi poetyckie w dawniejszych epokach pojawiały się prawie zawsze z osobna. Społeczeństwa całe, wieki całe składały się na wydanie mistrza, któryby uwagę więcej niż swego tylko narodu zwrócił na siebie. W trzynastym wieku Dante, w czternastym Petrarka, na początku dopiero szesnastego Ariosto. O pół wieku później słynęli trzej prawie równocześni mistrzowie, lecz każdy z innego był narodu: Kamoens Portugalczyk, Tasso Włoch, Kochanowski Polak. Zajaśniał w kilkadziesiąt lat po nich Szekspir — to był Anglik. Na przestrzeń siedemnastego wieku przypadają Calderon i Milton — każdy znowu z innego końca świata. Potem nastąpiło w literaturze powszechniej długie milczenie, pozornie tylko przerywane płonną gędbą dwora-

czych, małodusznych, szkolnie udresowanych rymotwórców. — Od połowy dopiero ośmnastego wieku daje się widzieć jedyne w swoim rodzaju zjawisko. Poezya prawdziwa odżyła. Powstał cały zastęp poetów, rówieśnych i coraz młodszych, którzy się do jej chóru jeden po drugim łączyli. Najprzód widzimy ich w Niemczech: Klopstock, Lessing, Herder, Wieland, Bürger, Göthe i Schiller. Ci siedmiu, otoczeni całą drużyną mniejszych talentów, zapełniają wiek ośmnasty i podnoszą w kraju swoim sztukę na coraz wyższe szczyble potęgi. A kiedy w r. 1805 zabrakło Niemcom Schillera, Göthe zaś już się więcej niż poezją, zajmować zaczął teoryami światła i metamorfozy roślin: odezwał się od gór szkockich głos nowy, powszechną na się zwracający uwagę, godny tamtych antecedeny i z natchnienia i z całego kierunku. I tutaj znowu działało całe grono współczesnych, przodowali mu zaś ci trzej europejskiego rozgłosu, wielcy poeci: Walterscot (od roku 1805), Tomasz Moore (od 1806), Byron (od 1808). To był więc drugi ton w akordzie nowoczesnej europejskiej poezyi. Między 1824 (zgon Byrona) a 1830 (ostatnie prace Walterscota) dogasa i w angielskiej literaturze głębsze natchnienie. Lecz płonie ono już świętym ogniem gdzie indziej: — Brodziński, Mickiewicz i ci wszyscy, którzy ich otaczali, dzierżyli w rękach swoich już lutnie.

W chwilach, kiedy to piszę, zamiera zdaje mi się już i ten ton trzeci. A nie słyhać niestety nigdzie w świecie, żeby się ten akord dalej rozwijał. Na wierszokletach i rymotwórcach nie zabraknie w żadnym języku. Będzie sobie rzempoliła muzyczka, bez której obejść się już ludkowie nie mogą. Ale co się tyczy prawdziwych poetów, to się zdaje, że na długie czasy w bieżącej dziejów epoce zamknięta została złota ich księga. W rachubach zatopiły się dni obecne, społeczeństwa tegoczesne pozbyły się nawet biernej zdolności rozumienia wielkich idei. Turkot fabryk przegłusza wszystko na świecie, a posunięta do cynizmu poziomność terażniejszych instynktów wybornie rymuje z rytmem tego turkotu. Kto wie, czy ów zbieg tylu naraz pierwszorzędných zdolności, w literaturach ostatniego stulecia, nie był oznaką jakiego przesilenia w duchu społeczeństw? Może się poezya rozstawiała

z rzeczywistością życia na dłuższe czasy, i właśnie przeto, jak ta lampa zgasnąć mająca, chciała na pożegnanie zabłysnąć jaśniejszym światłem...

W skutek takiego właśnie, jakśmy go w powyższem określili, stósunku między literaturą naszą a powszechną, poezya polska — mimo całej swojej skądinąd odrębności — okazuje się, zwłaszcza też w pierwszych czasach, w pewnej zawisłości od tradycji celniejszych mistrzów postronnych. Dla téj teżto właśnie przyczyny nazywała się ona wtedy romantyzmem. Sama nie wiedząc, jak przychodziła do téj nazwy, składała ona mimowolnie przez to jakby świadectwo swojej solidarności z angielską i niemiecką poezją, które u nas w owych czasach uważano za romantyczne. Okoliczność ta nie dowodzi jednak niczego przeciw oryginalności naszego piśmiennictwa. Oryginalność bezwarunkowa w ogóle może być tylko przymiotem albo literatur tak niepiśmiennych i że powiem samorodnych, jak naprzykład ludowe pieśniarstwo serbskie z czasu walk narodowych z Turkami, albo też takiej wyjątkowej literatury, jak starożytna grecka. Tamte nic jeszcze nie wiedzą o sztuce dalszego świata. Grecka zaś będąc w dziejach naszej cywilizacji pierwszą artystyczną literaturą, musiała się z konieczności i sama z siebie i samodzielnie rozwijać. Ale o żadném z późniejszych a większego znaczenia piśmiennictw europejskich tego już powiedzieć nie można; gdyż każde z nich mniej lub więcej posiłkowało się zasobami poprzednich. Podobnie też więc i nasi poeci brali z zewnątrz i popęd i pierwszy kierunek w swoim że się tak wyrażę uzdolnieniu techniczném; czerpali z studyów obcych wzorów świadomość artystycznych wymagań itp. Po za te zewnętrzne względy nie posuwa się jednak u nich to ich pokrewieństwo z obcymi pisarzami. Nie sięga ono prawie nigdy aż do istotnej dzieł osnowy, która nie tylko brana jest zawsze z obrębu rzeczy ojczystych, ale nawet tonem, barwą i dążnością odpowiadała jak najwierniej powszechnemu nastrojowi ducha narodowego, jakim ten nastrój był wtedy. Prace naszych poetów sąto prawie zawsze dzieła tchnące jakąś błogą, serdeczną i miłościwą pogodą ducha. Ton pieśni polskich wprawdzie jest ~~przeważnie~~ smętny i łzawy; mimo to jednak widać tu wszędzie

silną wiarę w opiekę Opatrzności nad światem — w grunt natury ludzkiej ostatecznie szlachetny — w przedziej czy później zapewniony tryumf idei dodatnich nad potęgami fałszu i złego, przeczące im i czasowo tłumiącemi ich panowanie nad światem. To też zwątpienie, rozpacz, bunt ducha, przekleństwa odtrącające, te tak przeważne znamiona poezyi nowoczesnej angielskiej, równie wtedy były nam obce, jak metafizyczna mglistość, właściwa jednemu z pisarzy niemieckich, i ta skłonność do gubienia się w nieznurtowanej zadumie. Nasze ideały mają zawsze coś realnego — wydobywamy je z pod serca naszego, cierpimy za nie; a po nad wszystkiemi unosi się religijna miłość Ojczyzny, głębiej i czystiej pojęcia, niż w którejkolwiek innej literaturze. —

Na takięto czasy, wśród takiej w literaturze dążności i po tych zdarzeniach stanowiących jęj odrodzenie — przypadło więc wystąpienie Słowackiego jako autora dwutomowej jego publikacji z r. 1832. Nim przystąpię do szczegółowego przeglądu rzeczy w tychże tomach zawartych, uważam za potrzebne rzucić najprzód i o nich kilka ogólnych spostrzeżeń. Określenie to stanowiska Słowackiego wobec innych pisarzy wyjaśni nam najdokładniej, dlaczego te pierwsze dzieła jego nie zostały tak przez naród przyjęte, jak się tego autor spodziewał.

Zacznijmy mówić o tém, poczynając od dobrej strony. — Znamieniem znakomitej jego i pierwszorzędnej zdolności, choć nie rozwiniętej jeszcze zupełnie, jest w tych dziełach przedewszystkiemi zewnętrzną formą. Mimo tak młodego wieku poety — język, styl, wiersz, koloryt, obrazowanie i co tylko stanowi zewnętrzną szatę poezyi, dosięgło już tutaj takiego wydoskonalenia, że pod tym względem nie ustępował początkujący ten pisarz żadnemu z ówczesnych poetów naszych. — Niemniej świadczy o rzetelnych zaletach już tych młodocianych jego utworów ta okoliczność, że takowe na dłuższej z nimi znajomości nie tracą. Roboty miernych talentów zwykle najwięcej się podobają przy pierwszém czytaniu. Biorąc je po raz drugi do ręki, ogarnia czytelnika nuda — i niepodobna już wtedy pojąć, że się to mogło za pierwszym razem podobać. Z pismami Słowackiego ma się rzecz po większej części

przeciwnie. Im się dłużej nad nimi zastanawiasz, im je częściej odczytujesz, tém więcej w nich wykrywasz niezaprzeczonych zalet. Zalety te są w znacznej mierze na pierwsze spojrzenie jakby niewidzialne dla czytelnika. Zdaje ci się, jakby one dopiero zwolna z dzieła występowały i odsłaniały ci się w miarę zajęcia, z jakim na nie spoglądasz. Najwięcej jednakże to w pracach Słowackiego podnieść należy, że je owiewa jakiś urok tonu, jakiś czar kolorytu dziwnie poetycznego, który się zresztą usuwa z pod analizy. Nie jestto myśl głęboka, nie jestto owa wieszczą mądrość i intuicyjne znanstwo serca ludzkiego, nie jestto wreszcie ani też siła woli męskiej, skłaniająca do podziwu w tworach mistrzów pierwszego rzędu. Z tego wszystkiego mało znajdziesz w dziełach, które mamy przed sobą. Ale uderza cię w nich natomiast jakiś wdzięk nieopisany, jakiś dziwnie melancholijny urok poetycznego na świat spojrzenia.*) Jestto zdaniem mojem, właśnie

*) Nie potrafię rzeczy téj lepiej wyrazić, jak przez porównanie. Bawiąc w roku 1864 w Rzymie, często zachodziłem do bazyliki św. Pawła, podźwigniętej z perzyny, w jaką ją obrócił pożar w r. 1823, a będącej właśnie obecnie na dokończeniu. Pomijając zewnętrzną świątyni téj powierzchowność, która się stósować musiała do pierwotnej struktury i z powodu wielkiej prostoty oczekiwań dzisiejszych nie zaspakaja, całe jéj wnętrze — jestto najwspanialszy pomnik wszystkich sztuk pięknych w połączeniu, na jaki się tylko zdobyć mógł w najwyższym wysiłku swoim wiek obecny. Nie wiedzieć, co tam więcej podziwiać, czy bogactwa materyału, czy olejne obrazy, mozaiki i freski pierwszych mistrzów tegoczesnych, czy rzeźby, czy las kolumn dźwigających ciężar sklepienia, czy zmyślność, z jaką ściany kościoła wyłożono płytami marmurowemi najrozmaitszych, a zawsze najwyższych gatunków. Bazylika ta ma pięć naw. Nawa środkowa otrzymuje światło z góry z przepysznych okien o malowanych szybach. Nawy poboczne poprzestają jeszcze na szybach tymczasowych ze szkła białego. Otóż właśnie z tego powodu szczególny mię tam zawsze uderzał kontrast. Chociaż już i w pobocznych nawach bazyliki każdy szczegół, ile wykończony z całym wytworem, zmusza każdego do podziwiania tylu w jednym miejscu nagromadzonych arcydzieł: — to kiedy się jednak dojdzie aż do nawy środkowej, wtedy piękność tak całości, jak pojedynczych przedmiotów przybiera rzeczywiście jakiś urok nieopisany! Światło lejące się tęczami z różnobarwnych okien téj nawy, idealizuje nieskończenie tę część kościoła. Wszystko zdaje się być owiane jakimś tchnieniem błogiem dla oka i dla ducha.

strona talentu Słowackiego, która go najwybitniej odróżnia od wszystkich innych naszych poetów, która stanowi najistotniejszą cechę jego oryginalności, która mu zapewnia nawet wobec większych od niego mistrzów stanowisko wyjątkowe w literaturze. Przed jego okiem widne są wszystkie barwy tęczowe poezyi rozlanéj po rozłogach życia ziemskiego. Najniklejsze, najtajemniejsze objawy jej przytomności pomiędzy nami, mówią do jego wyobraźni: jesteśmy! Gdzie wzrok zwyczajnego usposobienia nie widzi nic, jak pospolite kształty żywota, gdzie ucho najczulsze nie słyszy, jak tylko rytm powszedniego toku wydarzeń: Słowacki tam umie dopatrzeć i dosłuchać się jakby ostatnich westchnień tęsknych téj melodyi, która w poranku dziejów ludzkości była regulatorem życia na ziemi, a dziś już prawie zupełnie się wyniosła z obszarów bytu rzeczywistego. To też za dotknięciem jego ręki przemienia mu się wszystko jakby w jakiś eter powiewny. Nie tyle jeszcze przekonywają o tém autorskie jego utwory, ile listy, tak zresztą od niechcenia pisane, że co tylko po imieniu nazwie, co tylko wedle sposobu swego opowie, na czém tylko spocznie okiem: wszystko to przyobleka się w barwy, w kształty, w tony, o jakich drugim, na to samo codzień patrzącym ani się marzy. Owoż więc, co nazywam spojrzeniem na świat — nie z woli, nie przez sztukę, lecz z bezpośredniej natury poetyczném, w ściślejszém słowa tego znaczeniu. —

Lecz właśnie ten dar oglądania wszystkiego jedynie w ciemnych światłach poezyi przyprawił poetę naszego o stratę zdolności pojmowania rzetelnego świata tego stósunków w ich warun-

Szczegóły spływając w téj toni kolorów w jakąś ogromną jedność, tworzą harmonią miękką, falistą, kragłą, która dziwnie odbija od naw pobocznych, jeżeli się pod wpływem właśnie tego wrażenia, rzuci teraz okiem w ich wnętrze. Podziwiane co tylko tychże piękności i najwyższe sztuki wysiłki zdają się być teraz jakby z innego świata; sprawiają wrażenie, jakby je mroziło jakieś zimno północy. Wszystko się zdaje surowém, ostrém, twardém, istniejącém z osobna i tylko dla siebie. Owożto kontrast sposobów oświetlenia! W pobocznych nawach — to jeszcze koloryt zwyczajnój, powszedniej rzeczywistości; a tam — to koloryt poezyi, atmosfera nadziemską, stworzoną sztuką. Do tegoż więc rodzaju oświetlenia w malarstwie ja przyrównywał to coś, co w poezyi tak często właściwém jest Słowackiemu.

kach rzeczywistych. Jest on na podobieństwo owych wieszczów mitycznej starożytności, którym bogowie w zamian za lutnię do rąk podaną i za poetyckie jasnowidzenie, odjęli widzenie przyrodzone i zamknęli oczy na wszystko, co ich zewnątrz otaczało. Słowacki nie miał zmysłu dla niczego, co się tylko zowie rzeczywistością. Zrażała go ona, bo mu nie była piękna; oburzała go, bo nie była mu zrozumiała. Stanowisko jego względem warunków, w jakich żyć ludziom wypadło, ponieważ je sobie sami tak a nieinaczej stosownie do natury swęj ustanowili, było najzupełniej ujemnem, wszystkiego odmawiającem, zaprzeczającem. Nie przyznając im uprawnienia do bytu, uważając je za bezwarunkową negacyą tego, co być ma, w konsekwencyi też upatrywał we wszystkiem, co ten normalny porządek świata naszego wstrząsa, zakłóca i targa, eo ipso za piękność, za poezyą, słowem za przedmiot godny współczucia poety. Nie zdając sobie sprawy ani z pobudek ani też z godeł, w imieniu których jedynie wolno jest w danęj chwili wyzywać do walki ten ład normalny, na zbudowanie którego składały się pokolenia, narody, wieki całe trudu, cierpień i ofiar, poświęcał pióro swoje najczęściej i najchętniej takimto właśnie walkom rozpaczny, bez względu czy je wszczynają siły do tego upoważnione, czy też raczej grzeszna, zbłąkana tylko niemoc duchowa, w złudne przyodziana pozory bohaterstwa i poświęcenia. I oto właśnie, w czém się pomylił, w czém się rozminął nie tylko z duchem poprzedniej poezyi naszej, ale i z instynktem lepszej części społeczeństwa narodowego.

Nie tylko w téj młodzieńczej życia jego epoce, ale i późniejszej dążność ta, choć potem nieco złagodzona, nieraz się przebija w jego pismach. Nawet kiedy pracował nad Królem-Duchem, ostatniem swoim dziełem, widzimy go stojącego twardo przy takim przekonaniu. Oto je w tym poemacie wręcz wypowiada w następujących wierszach, które tém chętniej tu przytaczam, że nie mogły one znaleźć pomieszczenia w drukowanym kontextcie tego utworu z powodu, iż były rzucone luźnie gdzieś na brzegu jednej z kart manuskryptu.

„Ujrzałem wtenczas straszną tajemnicę,
Że duchy wszystkie lecą tam, gdzie boje,

Gdzie się trzaskają serca i przyłbice;
 A z miejsc, gdzie ducha sen ma łożę swoje,
 Uchodzą: dziwna w pośmiertnych różnica
 Z tymi, co wieczne tu marzą pokoje
 I chcieliby mieć świat opasły, zdrowy —
 Piekiełni, z których drzwi anioł globowy!

„O! fałszu, ludziom z ciała niewiadomy,
 Tęsknoto, królów spokojnych płacząca!
 Wiedź, że ten lepszy, co na krew łakomy
 Zda się jak orzeł, lud o lud roztrąca“... it.d.

Nie podlega wątpliwości, że w tych strofach jest wiele prawdy. Spokój, sen ducha, nieczynność — to martwość; bój, ruch, prąd naprzód — to przyrodzone prawo duchowe. Ale gdyby to zdanie Słowackiego postawić w jego sposobie na czele wszelkich prawd innych i zrobić zeń regulatora postępów dla wszystkich ludzi: w coby się to wtedy zamieniła ta ziemia nasza i życie na niej?

Ale to jeszcze nie wszystko. Na tém tle wyobrażeń, stanowiących u Słowackiego przez cały jego zawód to co nazywamy pospolicie filozofią poety, daje się widzieć w młodzieńczych jego latach jeszcze jedna doktryna, a dzieła jego z roku 1832 są prawie wszystkie właśnie wyrazem takowej. Słowacki przypuszczał dwie niejako natury ludzkie. Zwyczajny ogół — mniejsza o to, czy z głów koronowanych, czy z nędzarzy złożony — to gawiedź, to „tłum“. Po za tym tłumem zdarzają się, wprawdzie rzadko i wyjątkowo, ludzie całém niebem różni od zwyczajnych kreatur ludzkich. Są to wedle poety duchy wyższe, jakby przez przypadek tylko i nieporozumienie przysłane na ten nasz padół. Czy to są istoty dobroczynne dla rodzaju ludzkiego? Czy oni wytykają tu bliżnim swoim lepsze drogi żywota? Czy zostawiają po sobie w czynach, w śladach lepij przepędzonego życia, wdzięczną pamięć po sobie? — Bynajmniej! Nasz autor pojmuje tę ich wyższość, tę ich demoniczną wielkość w zupełnie przeciwny sposób. Są to duchy, z którymi on wprawdzie sympatyzuje całém sercem i aż za nadto, które jednakże mimo tego i same są najnieszcze-

śliwsze i dla drugich złowrogie. Między warunkami ich szczęścia, a tém co świat zwyczajny poczytuje sobie za szczęście, nie ma żadnej wspólności. Co ludzi cieszy, dla nich jest niczém; co ludzi zaprzęta i zaspakaja, ich nudzi; a czego oni pragną, to przy tych okolicznościach, jakie są, wcale nie może być osiągnięciem na ziemi. Są to więc otchłanie uczuć gorejących, góry woli trawiącej się w sobie, są to tytany: ale postawione po za wszelkim stósunkiem ze światem i z tém, co na nim jest. Wielkości takie nazwałaby matematyka nieobliczonemi, niewymiernemi wielkościami (irrationales, incommensurabiles). Ich życie między resztą rodu ludzkiego — jestto zdaniem autora, jedno pasmo cierpień, zawodów, jęków, krzywd, zbrodni, przekleństw i wszelkiego rodzaju rozdzwieków. Jest jakby jakiś wiszący nad ich głowami fatalizm, który wszelkiéj ich styczności z ludźmi taki zawsze nadaje obrot, że oni sami celu swego nie osiegając, niweczą wszystkie warunki spokoju i szczęścia drugich. To też marzą oni ciągle o samobójstwie, narzekają na przesyć życia, celu żadnego przed oczyma nie mają, nic ich nie wiąże do świata, gardzą ludźmi, nienawidzą wszystkiego, na czém świat stoi: i narobiwszy zamętu i klęsk na całej drodze swego żywota, przeklinani, przeklinając, kończą marnie, jako niby ofiary przewrotności świata i zwyczajnéj natury ludzkiéj. — Do tegoż typu odnieść należy i Araba i Mnicha i Mindowę i Bieleckiego i Żmiją i Botwela w Maryi Stuart. Tak rozmówiony był nasz autor w ideałach tego rodzaju, że ciągle więc jednego człowieka w dziełach swoich wprowadza, pod zmienioném tylko zawsze nazwiskiem! Wielka musiała być w nim wtedy gorycz dla ludzi, kiedy ten temat mizantropii i zwątpienia nie ustępował mu z oczu!

Oczywista rzecz, że tego rodzaju doktryna, pozbawiona wszelkiéj podstawy, nie mogła trafić do przekonania powszechnego, kiedy się ukazały te pierwsze tomy Poezyi Słowackiego. Ogół nie mógł wcale rozumieć, o co autorowi chodzi? Dzieła poprzednich poetów były im zrozumiałe, bo tchnęły miłością ku ludziom. Społeczeństwo polskie jest z natury dobronuradne, optymistyczne. Nie raz ono aż zbyt daleko się posuwa, spodziewając się wszystkiego, co najlepsze; wierząc w dobrą wolę wszystkich; kochając

to co swoje, co ludzkie — nawet z błędami! W tém się więc aż do owego czasu dążność poezyi, która pragnęła podnieść ludzi, ale ich wzgardą nie odtrącała, z usposobieniem społeczności naszej spotykała na jednej drodze. Punkt wyjścia Słowackiego wcale nie był z takich przypuszczeń. Miłość ludzi, jakimi są stworzeni, nie należała wcale do jego przymiotów. Stawiał jako ideały, jako bohaterzy w swoich dziełach takie natury, które (choćby indirecte) dowodzić miały, jakie to życie jest nędzne, a my sami jacy maluczcy i podli! Choćby to była i prawda: — to i jakież skutek być może takich dowodzeń? Uderzać na błędy, na głupstwa ludzkie... rozumiem. Ale cóż pomoże utyskiwać nad naturą człowieka? My tego nie zmienimy! Wyrzekać na to — jestto to samo, jak kiedyby kto wyrzekał, że w styczniu jest bardzo zimno, a w lecie znowu gorąco. — I społeczeństwo nasze wie o tém, że bywają pomiędzy ludźmi natury wyjątkowe, że się zdarzają czasem duchy potęgi i zdolności większej, aniżeli zwyczajna. Ale wystawiamy sobie stósunek onych do reszty ludzi zupełnie inaczej. Prawdziwie wielki człowiek — to chluba wieku, to największy dar boży, jakiego dostępują narody, to dobroczynca społeczności, która go posiada.

Przejdźmy teraz do szczegółów i rozpatrzmy się bliżej w tém wszystkim, co w sobie mieściły tomy wydane roku 1832. Nasamprzód wypada oznaczyć kolej rzeczy w nich objętych, nie podług tego jak je autor uporządkował w wydaniu, gdyż to nie dowodzi niczego, ale podług czasu, w którym nad każdym dziełem pracował. Miałem przed sobą podręczny Słowackiego exemplarz obu tomów. Są w nim zapisane ołówkiem własną jego ręką notki dające o tém wiadomość, kiedy i gdzie co było pisane. Można zatem z autentyczną pewnością ustanowić porządek chronologiczny utworów, o których mowa; był on następujący:

Hugo był pisany w Warszawie, 1829 roku, w sierpniu.

Mindowe — także w Warszawie, tegoż roku, w listopadzie. Praca nad nim ukończona była w jednym miesiącu.

Mnich przypada na luty 1830 roku — w Warszawie.

Bielecki na lipiec tegoż roku — tamże.

Marya Stuart zajęła, równie jak *Mindowe*, jeden miesiąc

czasu. Była pisana w Warszawie w roku 1830, od 17 września do 18 października.

Arab powstał w listopadzie 1830, tamże.

Żmija był płodem różnych czasów. Pieśń pierwsza rzucona była także jeszcze w Warszawie, w miesiącu lutym 1831, a zatem krótko przed wyjazdem za granicę. Druga pieśń przybyła w Dreźnie, w lipcu 1831. Trzecia w Paryżu, w wrześniu. Czwarta tamże, w październiku. A zatem zapełnia poemat ten prawie cały rok 1831, przy pracy nad nim ciągle przerywaną już to przez zdarzenia tego roku, odwodzące uwagę autora w inne strony, już przez same zmiany pobytu, niemniej przyczyniające się do roztargnienia.

Do Skibickiego wiersz powstał dopiero w Paryżu w lutym 1832.

Nie mam zamiaru wchodzić z równą szczegółowością w rozbiór wszystkich tych poezyi. Niektóre z nich nie wytrzymują zgola krytyki i nie ma się co nad nimi rozwodzić. Tak na przykład myślę, że i najzagorzalsi wielbicieli Słowackiego zgodzą się na to, że najrychlejsza między wyliczonemi powyżej jego rzeczami wypadła nader słabo. Ani przez inwencyą, ani przez wykonanie poemat ten nie sprawia wrażenia na czytelniku. Charakter *Hugona*, głównej osoby, tak dorywczo i ołówkowo tylko rzucony, że ani sądu o nim ani współczucia dla niego mieć niepodobna. Wszystko zaś psuje do reszty ten brak prawdopodobieństwa, rażący przy każdym kroku. Jestto zatem tylko próba młodzieńcza z rodzaju tych, któreśmy ogłosili na początku pierwszego tomu dzieł Słowackiego pozgonnych.

Przejdźmy do *Mindowy*. — Przedewszystkiém najwłaściwszą będzie powtórzyć, co o tej sztuce sam autor rozumiał wtedy, kiedy oddawał ją do druku. — „Niech mi wolno będzie wyznać, (mówi on w notach dodanych na końcu sztuki), że sam czuję najlepiej wszystkie niedostateczności dramatu *Mindowe*, a części przynajmniej błędów starałem się w *Maryi Stuart* uniknąć. Mamże jeszcze z szczerzą otwartością postąpić? mamże wyznać, że *Mindowe* jest najmłodszym z płodów w dwóch tomach zawartych,

napisany przed trzema laty, kiedy autor miał lat —. Ale nie, zamilczę o wieku autora, bo to byłaby nadto słaba i bezużyteczna obrona, i możeby słusznie jakie z pism peryodycznych powiedziało, iż kiedy nie na tytule dzieła, to przynajmniej w przypisach o przywileje małoletnich upominam się.*) I tak: Mindowe powinien być w tęce dziecinnej pozostać. Wiecznieby w niej pozostał, gdyby nie dziecinne moje przywiązanie do kilku scen pierwszego aktu, i do całego aktu trzeciego“....

Że to, co tu mówi Słowacki, było jego przekonaniem rzeczywistym, a bynajmniej nie pochodziło z jakiegś udanej skromności, którato skłania niekiedy autorów do spowiadania się przed czytelnikiem z tych lub owych uchybień częściowych, aby krytyka tém pewniej pochwaliła całość ich dzieła: o tém świadczy i ta jeszcze okoliczność, że się w tym samym sensie o tej sztuce wyraził i poufnie w liście do matki. Zdaje się, że musiała ona coś zganić w układzie tego dramatu. Na to jej tedy odpowiedział poeta słowem krótkim ale dobitnym: — „Tragedya Mindowe wiem że bardzo słaba — oprócz kilku scen.“ (Z listu z d. 30 lipca 1832 r.)

Na tym wyroku i mybyśmy mogli najzupełniej poprzestać. Miejsc pojedynczych wyższym nacechowanych talentem nie brak wprawdzie tej sztuce, wrażenia odpowiedniego jednakże całość nie sprawia. Co samo już świadczy albo o jakimś niefortunnym założeniu całego pomysłu, albo o jakiegś wadliwości w jego przeprowadzeniu, albo o obojgu. Wadliwe przeprowadzenie rzeczy — jest to innemi słowy pewien niezwiązek pojedynczych części, choćby z osobna najpiękniejszych, pomiędzy sobą i w stosunku do całości. Że dzieło niniejsze zarzutom pod tym względem podlega, tego nie ma co dowodzić. Sam autor to już przyznał. Za to nie wiem, czyby się był zgodził — w owej chwili przynajmniej — na to, coby powiedzieć należało o głównym pomysle tego dramatu.

Z nazwą tragedyi wiążą się zawsze wysokie wymagania.

*) Miał lat wtedy właśnie 20. A zatem prawie tyle, ile ich miał Schiller, kiedy pisał pierwszą swoją tragedya, *die Räuber*. Zresztą wzmianka, że to był najmłodszy z plodów wtedy wydanych, o tyle jest niedokładna, że Hugo napisanie jego poprzedził.

Zapewne ażeby tego uniknąć, nazwał poeta obecny swój utwor skromniejszém mianem obrazu historycznego. Nie na wiele mu się to jednak przydało. Najprzód bowiem, jeżeli czém nie jest Mindowe, to właśnie obrazem wieku. Do tego musiałby był Słowacki podejmować zupełnie inne studia. A potem, jak nadać nazwy tragedyi takiemu utworowi, który nią nie jest, nie czyni go jeszcze tragedją: tak też odwrotnie zatytułowanie sztuki jakiej poematem dramatycznym, obrazem historycznym itp. nie przeszkadza jęj bynajmniej być tragiczną kreacją, jeżeli tylko ma po temu wewnętrzne i prawdziwe warunki. Rzecz się ma podobnie i w tym razie. Mindowe nie może być inaczęj przedmiotem krytycznych uwag, jak tylko właśnie jako tragedia, do rodzaju której się zbliża.

Powiedzmyż, co jest, co ma być tragiczném w obecném dziele? — W ogólności otrzymuje każdy utwor znamię tragiczne albo przez odpowiedni tok zdarzeń, stanowiących to co pospolicie nazywają bajką dramatu, albo przez charakter działających w nim osób. Zazwyczaj jedno nie może być bez drugiego, bo gdzie jest pierwsze, tam się znajdzie samo z siebie i drugie; jednakże bywa zazwyczaj pewna po téj albo po owęj stronie przewaga. Stósując to do Mindowy, zdawać się wprowadzić może na pierwszy rzut oka, że poeta oparł się tu głównie na przedmiotowej stronie osnowy; że wyrazem i przeprowadzeniem téj idei, która kierowała jego wyobraźnią kiedy obmyślał układ dzieła, chciał mieć mniej więcej następujący przebieg wydarzeń:

Mindowe porzucił wiarę ojców. Z pobudek politycznych, dla zaspokojenia dumy swojej, dla powiększenia granic państwa, wdał się w związki z Krzyżakami, przyjął koronę królewską, a z nią (wprawdzie obłudnie i tylko na pozór) i chrześcijaństwo. Naród oburzył się nad taką wzdargą bogów ojczystych. Stanął przeciw wiarołomcy. Własna matka rzuciła na głowę jego przekleństwo. Na nic się nie przydało, że potem Mindowe odrzucił maskę przybraną, do pogaństwa powrócił i Krzyżaków zdradził. Przekleństwo matki musiało się dopełnić. Zerwany węzeł wierności narodowej nie mógł być powetowany. Mindowe ginie, a z nim i całe potomstwo jego. Na jego tronie zasiada Trejnat, wierny religii narodu.



Po głębszém zastanowieniu jednak upada przypuszczenie, żeby z tego punktu widzenia dała się wskazać główna waga téj sztuki.

Najprzód bowiem bezpośredni cios, spadający na głowę króla, nie pochodzi ze strony zbuntowanego ludu, ale od Dowmunta. Dowmunt mści się za krzywdę osobistą, a nie z religijnych powodów. Co większa — ów Trojnat, który ostatecznie obejmuje rządy nad Litwą po strąceniu Mindowy, nie ma co do głównej rzeczy żadnej nad tymże wyższości. Nie jest on typem dążeń przeciwstawionych roli, jaką stryj jego odegrał. Chociaż bowiem jest poganinem i być nim nie przestaje, to i on jednak osiąga tron książęcy także nie inaczej, jak tylko przy pomocy Krzyżaków: jest z nimi sprzymierzony, przyrzeka, „że się nie będzie nigdy wdzierał do pruskiej dzielnicy“, że „usługę Krzyżaków w wiecznej zachowa pamięci“. Nic się zatem przez jego na tron wstąpienie na Litwie nie zmieniło. Tak przed katastrofą, jak po katastrofie — białe habity z czarnym krzyżem na piersiach z równym wpływem występują na scenie przy każdej sposobności.

A zatem okazuje się, że tragiczność téj sztuki nie może polegać na akcyi. Tok zdarzeń nie zawiera w sobie żadnej idei tragicznej. Szukajmyż przeto, czego nam trzeba, gdzieindziej — w charakterach.

Charakterów w téj sztuce jest kilka z pewną siłą i konsekwencyą rzuconych. Plastyczna, marmurowa postać Rognedy jest jak z jednego odlewu. Posagowy to pomnik macierzyńskiej miłości na tle szorstkiego wieku i nieograniczonego uczuciem chrześcijańskim dzikości. Lecz to osobistość stawiona w téj tragedyi na drugim planie. — Wybornym typem starolitewskiej siły jest także Lutuwer. Mistrzowska scena jego skonania (w akcie czwartym) jestto jeden z najszcześniejszych ustępów w całym dramacie i nie pozostawia nic do życzenia. Ale i z Lutuwerem tylko się mimochodem zapoznajemy i spotykamy go zaledwie trzy razy w całym przebiegu sztuki. — Z wielkim wdziękiem rozpoczęta rola nieszczęśliwej Aldony zrazu obiecuje wiele; od połowy IIIgo aktu jednak i ta postać przestaje zajmować widza, spadłszy na poziom prostej kopii szekspirowskiej Ofelii. — Heidenrich, Wojsiełko, Mindowe — są to typy jednego stępla, ale

Mindowe przerasta ich wszystkich perfekcją w swoim rodzaju i zarzuca cieniem cały obraz dramatu. W ręku Mindowy zbiegają się wszystkie nici rozbiegłych zdarzeń. On nimi kieruje, on je wszystkie porusza. Jego wola, jego czyny, jego cierpienia — oto punkt, około którego się wszystko gromadzi.

Rozbierzmyż teraz rolę, jaką autor dał odegrać bohaterowi sztuki. Przyznając z góry, że takowa ma w sobie wszelkie tragiczności pozory, starajmy się wyrozumieć, czy te pozory nie są złudne; czy w charakterze Mindowy daje się dostrzec coś takiego, co by jego działanie w tym kierunku jak się ono rozwija, upoważniało i dawało mu prawo do walki, jaką jest całe człowieka tego życie?

Tragiczność roli Mindowy nie jest wynikiem jego położenia, jego stosunku do świata, wśród którego żyje. Ona wynika z jego własnej natury, ona jest w nim i tylko w nim samym. Jestto człowiek, jakby na to zrodzony, ażeby nie poszanować niczyjego prawa na świecie, ażeby zdeptać wszystko, co dla drugich miłe i drogie, ażeby uważać za igraszkę rąk swoich wszystko, co go tylko otacza — i piętrzyć zbrodnie na zbrodniach — i wiedzieć że to źle — i boleć nad tem i cierpieć, — a jednak nie móc czy też nie chcieć zejść z tej drogi fatalnej.

Czy tacy ludzie zdarzają się na świecie? Bywają pono niekiedy — dzięki Bogu, że bardzo rzadko! W utworach poetyckich można się częściej z nimi spotykać. Dzieła Byrona przedewszystkiem w nie obfitują. Byron też dopiero jest właściwie ojcem podobnych typów w poezji jako natur upoważnionych do bytu.

Sąto niby półbogi w porównaniu z zwyczajną małością ludzką. Ale ta ich półboskość nie sięga po za własne rozumienie o sobie, a w najlepszym razie nie sięga po za pewną, błyszczącą jak szych, wspaniałość słów, uczuć i pragnień, których jedynym źródłem bezdenna egoistyczna duma. Sąto zatem olbrzymy w zachceniach, a w działaniu prawdziwe karły! Burzyciele szczęścia ludzkiego za życia, a w godzinie zgonu szatany. Zdaje im się, że cały ich zawód na ziemi byłato jedna nieustająca krzywda,

jakićj doznawali od ludzi: podczas gdy w rzeczy samćj onito byli dręcycielami drugih.

Czy Słowacki widział swego Mindowę w takiem świetle przed sobą? Czy wiedział o tém, że jego bohater nie jest niczćm więćj, jak demonem upadłym? Otóż właśnie w tém cały obłęd poety, że tego nie wiedział; że owszem rozumiał, iż w nim przeciwstawia zwyczajnej naturze ludzkiej osobistość doskonalszćj organizacyi, właśnie przeto upoważnioną do zakłócania szczęściem wszystkich i każdego na ziemi...

Zresztą gdyby się można zgodzić na wprowadzenie postaci, jakem ją tutaj określił, w zakres dzieła osnutego na najdawniejszych dziejach Litwy pogańskićj: — przyznać trzeba ku pochwałę poety, że ją i z konsekwencyą przeprowadził i nieraz umiał uwydatnić tę abstrakcyjną wielkość, jaka niewątpliwie jest jednym z przymiotów podobnych demonicznych osobistości.

Dążność ta otrzymała w dziele obecnćm tyle nawet po nad wszelkim innym względem przewagi, że czytelnik nieraz — mimo woli i mimo wiedzy — sympatyzuje z jego bohaterem! Słyszćc dumne, niekiedy prawdziwą potęgą tchnące odzywiania się jego, skargi jego zaprawione dojmującą goryczą, rozkazy jego wydawane głosem, przed którćm wszystko się korzy, — zapominamy niemal o czynach, na którćśmy własnćm okiem patrzeli, o czynach zadających kłam owćj wyniosłości, owćj poezyi wyrazów.

Jeżeli naprzykład Mindowe (w akcie I) przemawia do Krzyżaków:

„Kiedy nie będę królem, będę księciem Litwy,
Będę was darł i palił, rabował i łupił.
I teraz nadtom drogo tytuł króla kupił,
Jeśli miałbym pochlebiać i ważyć w umyśle
Słowa, które wymawiam, mówiąc to co myślę.
Ci wolno nie gadają, którćch jarzmo gniecie.
Ale mnie kto da prawa? kto mi zwiąże mowę?
Czy jest gdzie jaki drugi Mindowe na świecie?
Albo może wasz Papież jest drugi Mindowe?“

Albo kiedy się (w akcie II) skarży na posępne przeznaczenie swoje:

„Sam więc jestem, sam jestem! Walczyć, szerzyć mordy,
Śledzić spiski — trucizną chłodzić spiekie wargi,
Węzidłem krwawém ściagać dzikie ludu hordy —
To moje życie... usta nie wydadzą skargi...
Nie wiedzą, że ja cierpię“...

Albo kiedy przewidując bliską zagładę, obsaczony zbuntowanym narodem (w akcie V) mówi do Rognedy:

„Matko, czujesz? — przez okna téj gotyckiej sali
Kwitnących jodeł płynie balsamiczne tchnienie...
O Litwo moja, syn twój na ciebie się zali!
Zdradzasz go“...

Albo wreszcie, kiedy (w akcie IV) żegna się ze swoim zamkiem:

„O zamku, co przetrwałś długie wieków burze,
Ciebie naprzód powita jutro słońce jasne,
Ja ciebie żegnam... Zamku! na wysokiej górze,
Byłeś ty gniazdem orla, orzeł ciebie wślawił,
W tobie zasypiał, w tobie zwykli łupy pożerać
I nieraz cię krwią ofiar niewinnych zakrwawił;
Ale czyż orzeł w gnieździe powinien umierać?“

Któżby nie słuchał słów takich z pewnem współczuciem i nie rozumiał, że ma głębszą naturę przed sobą? A tymczasem złóż, oblicz, oceń całe pasmo jego działania — rozważ, co ten bohater w jaśniejszych chwilach sam o sobie i to bez najmniejszej mówi przesady, — na przykład w pierwszej scenie aktu IIIgo.

„I któż się odważy

Zajrzeć w głąb tego serca, w tę przepaść rozpacz
I zbrodni?

Ja sobie nie przebaczę, nikt mi nie przebaczy.
Najmniejsza z moich zbrodni, a wielka z pozoru,
Żem się krwią zmazał —

(pokasując sztylet)

Patrzaj, tą krwią wypisane

Wszystkie są moje czyny na téj rdzawej stali...

Ty chcesz czarniejszych zbrodni? ty chcesz duszę ciemną
Przejrzyć aż do dna? patrzaj! pod berłem z żelaza

Lud podły, ciemny, dziki czołga się pode mną.
 Przycisnąłem go całym ogromem ciemnoty,
 Bojaźń już nosi w sercu, chytrość w miejscu cnoty.
 Patrz, jak ów ciemny Litwin na moje skinięcie
 Uchyła korne czoło, piersi krzyżem znaczy,
 Choć wolałby przy piersiach czuć węża pierścienie,
 Niż ten krzyż nienawistny... Któż mi to przebaczy?"
 Jeżeli tak: to jakże jemu mówić do ojczyzny z wyrzutem:
 „O Litwo moja! syn twój na ciebie się żali,
 Zdradzasz go“.

W inném miejscu (w akcie Vtym) powiada o sobie:
 „Bezbożny — zbrojca — tyran — obludnik — morderca.
 Jedna z tych zbrodni ludzkie wypali sumienie:
 Jam wszystkie spełnił — zimno! Znużony po zbrodniach
 Głębiej teraz spać będę i w grobowe cienie
 Przejdę, przy jasnych wiosek krzyżackich pochodniach.
 Ach matko, ciężkie, ciężkie było moje życie!
 Czułem, choć twarzą boleść wskazywałem rzadko.
 Nikt mnie nie kochał“!...

Ta skarga: nikt mnie nie kochał! nie jestże to istne
 szaleństwo w ustach takiego człowieka?

Owoż — przeprowadzenie zawodu takiej demonicznej natury,
 takiej że powiem irracyonalnej wielkości ducha, powołanej
 do czynu w rozległym zakresie działania władcy narodu — zdaje
 mi się że było artystycznym zamiarem autora Mindowy. Zadanie
 wielkie, zadanie godne znakomitego poety. Ale trzeba sobie było
 zdać z tego sprawę, czy się kreśli wizerunek demona, czy ide-
 ału. — Nie chodzi wprawdzie o to, ażeby bohaterami dramatów
 były same idealne postaci. I ujemne żywioły mogą niekiedy no-
 sić na sobie znamiona wielkości. Poezya złego nie wyklucza z swe-
 go obszaru. Bohaterem szekspirowej tragedyi Ryszard IIIci jest
 niemal szatan wcielony. Ale Szekspir wiedział o tém, że to bicz
 boży, na to tylko tutaj przysłany, żeby wyprzątnąć plac z nie-
 przydatnych do niczego rumowisk. Nie wzbudzał w widzach dla
 niego ani współczucia ani uwielbienia. Nicosić moralna nie jest
 tam zatem bynajmniej osłonięta wszystkimi urokami poezyi, aż

do złudnego przybrania pozorów tego, czém nie jest, i przemienienia się w przedmiot zachwyty poety. U Słowackiego zaś w tém dziele ma się rzecz właśnie przeciwnie.

Pomiędzy utworzeniem *Mindowy* a dokonaniem *Maryi Stuart* upłynęło trzy kwartały czasu, zapełnione innemi robotami poetyckimi. Bierzemy jednakże pod rozbiór już w tém miejscu ten późniejszy utwór Juliusza, ponieważ je forma dramatyczna do siebie zbliża; a dalej ponieważ chcielibyśmy pod bezpośredniem wrażeniem uwag rzuconych co do *Mindowy*, ocenić — sprawdzić niejako te słowa poety w domówieniu do rzeczzonego dzieła powiedziane: „Sam czuję najlepiej wszystkie niedostateczności *Mindowy*, a części przynajmniej błędów starałem się w *Maryi Stuart* uniknąć.“

W rzeczy saméj przyznać to poecie należy, że drugie jego dzieło sceniczne z wielu miar od tamtego jest wyższe. Już sam początek jego wzbudza wielkie oczekiwanie. Zawiązanie istrygi zręczne. Nakreślenie charakterów zdaje się być szczęśliwe, wykonane ręką pewną i wprawną. Wstępne sceny przemawiają doraźnie do wyobraźni i coraz więcej obudzają zajęcia. Cały akt pierwszy, równie jak drugi, prowadzone są w sposób chlubnie świadczący, że się talent poety przez ten czas rozmógł, dojrzał, spotężniał. Uchybień, jakie wytknąć należało *Mindowie*, nie znajdujemy tu ani śladu. Co krok miejsca silne, porywające, prześlicznie pomyślane, wyrażone najcudniejszym wierszem, jakim kiedykolwiek pisano po polsku. Już pewność czytelnika ogarnia, że ma przed sobą utwór pierwszego rzędu, jedną z pereł dramatycznej poezyi naszej. Wtém — rozpoczyna się akt III., a w nim coś się akcyja zaczyna wikłać — ogniwo łańcucha zdarzeń, dotąd prowadzonego tak dzielnie, pęka — charaktery owiewa jakby mgła jakaś, która nie dopuszcza dojrzeć aż w samo ich wnętrze — coś się w nich paczy, zdaje się, jakby się ich role poprzemieniały — współczucie widza chwieje się... lecz nie uprzedzajmy sądu czytelnika naszego. Zacznijmy raczéj rozbiór, od czego go rozpo-

csnąć należy, od wyjaśnienia głównej intencji autora, od zdania sobie sprawy z roli pierwszorzędnej w dramacie, z charakteru Maryi.

Jestto młoda, żywych uczuć, luźnych zasad i wątlęj woli kobieta, stawiona ironią losu na tronie narodu, z którym oprócz prawa do dziedzicznej nad nim władzy, żadna ją wspólność nie łączy. Obyczajami zbliżona do Francyi, gdzie jęj upłynęły najrańsze lata młodości; sercem najściślej złączona z Rzymem, którego religijną zwierzchność uznaje; gorących katolickich przekonań — objęła rządy nad krajem, który się od jedności kościoła oderwał, uporczywie obstaje przy nowych wyobrażeniach, w posępnym rygorze swego purytanizmu spoziera z oburzeniem i wzgardą na tę miękkość obyczajów zamorskich, co ton nadają na dworze Maryi Stuart. Pospółstwo stolicy w zapędzie fanatycznym nie tylko lży publicznie wyznanie swojej monarchini, ale i czynnie znieważa przybytek „papistycznego“ jęj nabożeństwa. Jeden z sekciarzy, przywódca ludu, posuwa się i dalej jeszcze. Oto namawia już gawieź do stanowczego wypowiedzenia jęj posłuszeństwa nawet jako panujacęj, do otwartego buntu. „Zburzcie, zburzcie to gniazdo, woła wskazując na jęj pałac królewski, a odleca kruki!“ — A wyższe stany? Wyższe stany patrzą na to wszystko obojętnie. Nie widać w nich żadnego współczucia dla znieważonej. Czują mniej więcej to samo, co pospółstwo; tylko że miarkują uczucia swoje rozsądkiem i jeszcze trzymają się w karbach uległości pozornej.

Ale poeta nie poprzestał na odsłonienu tej tylko jednej trudności w zawodzie swęj bohaterki. Droga Maryi nie z tej tylko przyczyny prowadzi po nad krawędzią przepaści, że ją widzimy w przedmiotowej kolizyi, gruntujacęj się na okolicznościach politycznych, zewnętrznych, na okolicznościach, których ona nie wywołała. Jest jeszcze inny szkopał, o który się rozbić może łódka jęj spokoju i bezpieczeństwa, a tym szkopulem jest jęj własna osobistość. Tamte trudności dotyczą jęj tylko jako królowej; te jęj dotyczą jako kobiety.

Marya jest młodą, dobrą, a nadewszystko — ona jest piękną! Wywiera urok i pociąg jakiś nieopisany na wszystkich, któ-

rzy bliższy, którzy częstszy przystęp do niej znajdują. W téj mierze jest jakaś jakby fatalność przywiązana do jój osoby. Wprawdzie ogół narodu nie podlega téj sile jój niewieściego uroku. Przesady, sekciarstwo, niechęci z jednéj, a brak ufności z drugiej strony utrzymują zbyt wielki przedział między krajem a tronem. To téż mało ma przyjaciół królowa szkocka. Ale kto się liczy do jój otoczenia, do jój przyjaciół — rycerze jój orszaku — dworzanie wierni, którym serce jój lepiej jest znane, ci wszyscy pod wpływem jój czarującej osobistości muszą się żegnać z pokojem ducha! Marya zapala miłość, na kogo tylko z nich spojrzy.

Wszakżeż nawet najmłodszy w całym ich gronie, paź królowej — niedorośle pacholę i prawie dziecko jeszcze — rozmarzony tém słodkiem upojeniem, jakiego w jój otoczeniu doznaje, z uniesieniem, w bezwarunkowém oddaniu całego swego jestestwa na usługi swéj pani, takimi oto słowy maluje uczucia, jakie ona w nim rozbudziła:

„Czy ja kocham królowę? Jakież dam dowody?
Kocham ją jako matkę, siostrę, jak anioła.
Taki jestem szczęśliwy! dzień cały od rana
Przepędzam przy jój stopach, — nieraz na kolana
Spadnie mi róża napół uwiedła z jój czoła;
Nieraz jój twarz ochładzam złocistym wachlarzem,
Twarz splonioną jasnymi rumieńca szkarłaty;
Nieraz schylonęj kornie przed boskim ołtarzem
Trzymam książkę modlitwy, lub niosę kraj szaty.
Szczęśliwy jestem!“...

Z takich samych uczuć, tylko w namiętniejszy sposób, mógłby się spowiadać i Rizzio, nadworny lutnista królowej, i nie jeden inny jeszcze, gdyby — byli tyle naiwni, co ów paź młody, i nie woleli tego, co czują, tego co sobie roją, do czasu zamykać w sercu.

Wprawdzie za urojenia drugich nikt odpowiadać nie może. Ale na Maryą spada jednakże część winy za te jaskrawe uwielbienia jój powierników. Niekoniecznie to bowiem mimo jój wiedzy i mimo jój chęci zapalają się te płomienie. Marya jest już

z natury zalotna. Nienadaremnie też pierwszą życia wiosnę spędziła nad brzegami Sekwany.

„Niedawno w kraju Franków na królewskim dworze
Kochałam wszystkich, równo od wszystkich kochana.
Z dziecinnym śmiechem nowe widziałam klejnoty,
Z dziecinnym śmiechem ciche słyszałam westchnienie,
Z uśmiechem przed zwierciadłem trefiłam włos złoty,
Przeplatając różami trefione pierścienie.“

Na kwiatkach tedy, na skrzydłach motylka, jak sen ułudny, lekko uleciała jęj przeszłość. Za przybyciem do Szkocyi skończyły się te dni jasne. Widzi się tu przyjmowaną ozięblę, samotną i opuszczoną przez naród; czuje, wie nawet o tém, że jest podejrzewaną i niemal znieawidzoną. Témcu milęj, tém wdzięczniej przyjmuje hołdy od téj szczupłęj liczby przyjaciół, jaka ją jeszcze otacza. A chociaż w tym lub owym odgaduje uczucia żywsze i śmielsze i gorętsze, niżby może należało: bawi się niemi, cieszy się niemi, bo to jęj próżności pochlebia, bo tkliwe jęj serce nie chciałoby odrącającém słowem nikomu jego rozkosznych marzeń przerywać — a wreszcie, wszakże to już jest wszystko „co jęj rozjaśnia tę pustynię ciemną,“ do której przyrównywa smutny swój zawód na ziemi!

Z tego zachowania wynikają oczywiście następstwa, które szkodzą jęj sławie i bynajmniej nie przyczyniają się do umocnienia jęj stanowiska na tronie. Świat wie o tém, że stósunek między królową a mężem jęj Henrykiem Darnley, jest od pewnego czasu bardzo jakoś oziębły. Powszechnie mniemanie oskarża ją o miłostki z dorodnym Włochem, z poetycznym harfiarzem nadwornym, z Rizziem. Mniemanie to podziela także i tytularny król Szkocyi, małżonek Maryi Stuart. Co większa, i Rizzio nawet — sam rozmiłowany w królowęj nad miarę — bynajmniej nie jest daleki od uwierzenia temu, że doprawdy osoba jego jest dla królowęj nieobojętną. Na karb tego, co sobie roi, poczyną też on sobie z panami i dostojnikami królestwa z takim zuchwalstwem, w sposób jak dla przybylca i człowieka w jego podrzędném położeniu tak niestósowny, że tém bardziej jeszcze samochcąc utrudnia pani swojęj wszelkie porozumienie z narodem. Marya Stuart je-

dnakże i tego wszystkiego za nic sobie nie waży. Poczytując się za niewinną, nie poczuwając się do tego, o co ją posądzają, śmiało wyzywa opinią ludzką.

Wprawdzie przychodzi jój na myśl, że mogą czasem szkodzić nawet i same pozory, że „czyste zwierciadło skazić może i lekkie tchnienie“. Ale duma monarsza co prędzej ją napowrót sprowadza na tę pochyłość, po której idzie, gdyż —

„Ktoż ma prawo mnie sądzić? ja osądzę siebie!

Ludzie są u stóp moich, nademną Bóg w niebie“!

Co najwięcej jednakże w całym tym stosunku jest niebezpiecznym, to że serce Maryi nie jest zajęte żadnym żywszym, trwalszym, rzetelniejszym uczuciem, a koniecznie zdaje się potrzebować głębszego zajęcia. Jój mąż, Henryk Darnley, nie jest człowiekiem, któryby potrzebom tego serca wystarczał, któryby je osobą swoją zapełnił. Niedoleżna to natura! Ograniczony, słaby, lękliwy — namysła się w nieskończoność nad wszystkim. Rozbiera po tysiąc razy swoje nędzne położenie, swój upokarzający stosunek względem kraju, względem żony, względem jój zalotników. Szemrze pokątnie na jój postępowanie, zazdrości jój władzy królewskiej, którą tylko tytułarnie z nią dzieli. I w téjsamej chwili drży na samą myśl, że się może królowa obraziła o co na niego! Przyjaciele jego chcieliby w nim rozbudzić jakieś poczucie godności. Nik, błazen jego nadworny i towarzysz nieodstępny (o którym powiedzmy tu choć nawiasowo, że jestto może najwdzięczniejsza rola w całym dramacie i najgłębsza natura ze wszystkich figur w nim działających), Nik smaga go nielitościwie dojmującymi szyderstwami. Popychają wszyscy nieboraka to w tę stronę, to w ową. Rozdmuchują w nim iskrę zemsty. On też nieraz zapala się okrutnie — przyznaje im wszelką słusność — grozi wszystkim zapalczywie... ale czémże im grozi? — oto że się wreszcie już postanowił, nad położeniem końca temu wszystkiemu — namysleć!

Taka chwiejna kreatura, taka bezwarunkowa nicość męszczyzny nie była oczywiście stworzona na męża Maryi Stuart. Jeżeli Henryk znaczył coś kiedy w jój oczach, to te czasy dawno minęły. Zgoda i porozumienie małżeńskie spadły między nimi do

пустej formy. Darnley rzadko się też pokazuje na pokojach królewskich. Trawi czas najwięcej z blaznem swoim, w wiejskiem ustroniu. A w sercu Maryi — próżnia niczem nie zapełniona!

W tym stanie rzeczy potrafił zbliżyć się do boku królowej człowiek, którego niepospolita, zagadkowa istota od razu zapala jej wyobraźnię. Jest on obecnie także rycerzem w jej orszaku; nazwisko jego Botwel. Postać zadumana — ponura — smutna, o bladłej twarzy. Trawią i dręczą go od dawna pragnienia jakiegś nieokreślonej wielkości, pragnienia przechodzące wszelki zakres rzeczy do osiągnięcia podobnych. Jeden z tych typów bajronskich, nigdy niezadowolonych z niczego, którym się przeto snuje ciągle myśl zabójstwa po głowie. — Oto jakimi słowy sam Botwel zapoznaje nas z sobą:

„Na wybladłej twarzy

Gorzki uśmiech i wzgarda: — nie patrz, co jest we mnie,

Któż się we wnętrze grobu zaglądać odważy?

Nie zniszczyły mnie zbrodnie, jestto sytość życia;

Gorące serce wrzało we mnie od powicia,

Teraz jestem znużony, zimny — umrzeć muszę“ ...

Z tą tedy tajemniczą naturą, z tym duchem kolosalnych zapędów, ale jakby napiętnowanym cechą potępienia na czole, spotyka się na drodze życia swobodna, bezpieczna, zalotna żona Darnleja. I to spotkanie stawia ją znienacka, niebawem w położeniu, z którego się bezkarnie wycofać — graniczy niemal z niepodobieństwem. Aż dotąd postępowanie królowej szkockiej mogło być w wielu względach niebaczone, mogło upoważniać do krzywdzących podejrzeń, mogło w oczach rygoryzmu jej purytańskich poddanych być i nagannem: — w własnem wszelako sumieniu nie miała ona sobie dotąd do zarzucenia żadnej przewiny. Igrała wprawdzie z uczuciami, które być nie powinny igraszką; bawiła się miłością, którą tylko w drugich wzbudzała; szła po śliskiej, stromiej ścieżce, lecz ani przypuszczała, że ta ścieżka może prowadzić i ku przepaści. Naraz spostrzega, że się zapędziła za daleko. Widzi się w pętach uczucia, które z uśmiechem na twarzy tylekroć wyzywała bezkarnie. Czuć zaczyna całą wagę, całą potęgę tej siły, której się nierozmyślnie poddała. Sumienie wła-

sne przemawia do niej z goryczą, że to, co dotąd nazywała tylko swych nieprzyjaciół potwarzą, może niezadługo i sama o sobie za drugimi powtórzy.

Wrócym pędem toczy się odtąd ten prawdziwie tragiczny przebój pomiędzy wzrastającą coraz bujniej w sercu Maryi miłością i demoniczną potęgą, którą na niej posepny Botwel wywiera, a słabym oporem reflexyi i sumienia, jaki zdolna stawieć obydwom. Do tragicznego obrotu rzeczy przyczyniają się i uboczne okoliczności, przypadkowe zdarzenia, następstwa nieprzewidzianych, obojętnych założeń dawniejszej daty. Takto zwykle się objawia w zawikłanych sprawach ludzkich ironia losu. Pod wpływem tego wszystkiego wynikają z nawiązanego ogniwa pierwszej przewiny coraz nowe, coraz fatalniejsze, coraz wręcz występniejsze wypadki, aż wreszcie przychodzi do świadomego i umyślnie zamierzonego morderstwa, wykonanego na własnym mężu, i do wystawienia się na ostatnią wzgardę i ohydę narodu. W objęciach zbrodniczego kochanka, przed którego tajemniczą istotą w końcu i sama się wzdryga, obarczona żalem i wyrzutami sumienia, w ostatniej scenie widzi się Marya zmuszoną zstąpić z stopni tronu swojego, w rychłej ucieczce szukać ocalenia przed sprawiedliwą pomstą własnych poddanych. Ustępuje tedy z granic ojczyzny. Razem z Botwelem — znienawidzonym, idzie powierzyć się niepewnym losom tułactwa między obcymi. A ostateczny kres jój zawodu — smutna dola ofiary, na śmierć z ręki kata wskazanej, wśród ciemnych murów angielskiego więzienia — odsłania jój się jak wizya — w dalekiej perspektywie, na tle obrazu, który przed oczyma jój ducha niewidoma ręka roztacza. To katastrofa i rozwiązanie dramatu.

Tyle miałem do powiedzenia o głównym zamiarze, jaki autor dzieła swemu podłożył. Takem pojął charakter bohaterki tego dramatu.

Ramy obrazu Słowackiego są zatem jak widzimy, dość szczupłe. Nie zamierzał on, jak Schiller w swojej tragedyi tegoż tytułu, wciągnąć w zakres dzieła swojego całego historyzmu danej epoki. W głębi zdarzeń na pierwszym stawionych planie, nie odsłania żadnych przebojów dziejowych ogólniejszego znaczenia,

których związek z zabiegami ludzi dramatu podnosiłby bohaterkę i tych co ją otaczają, na wysokość prawdziwie historycznych postaci. Nie chciał korzystać nawet z owiej kolizji polityczno-dziejowej, ukazanej w głębi sceny w sposób tyle obiecujący na samym początku sztuki, z kolizji mówię między narodem a panującą z powodu sprzecznych religijnych przekonań. I zaniedbał zupełnie wyprowadzić z téj sceny następstw, któreby w jakiegokolwiek mierze wpływały na tok dramatu w dalszej jego osnowie. Zgromadził natomiast całe światło obrazu właściwie na jednej tylko postaci. Spoczął wzrokiem swoim na niepospolitych rysach jej indywidualnej natury, na nadzwyczajnych kolejach jej życia, uważanego z ogólnie ludzkiego stanowiska. I tak stawiał przed sobą zadanie, które mimo że sprowadza koronowaną osobistość dziejową na poziom prywatnej niemal niewiasty, tyle jednak ma stron w wysokim stopniu zająć jeszcze mogących wyobraźnię każdego, tyle warunków prawdziwej dramatyczności, że krytyka patrząca, jak sprawiedliwie, tego tylko, co dać autor zamierzył, a nie czegoby sobie kto może życzył, nie ma pod tym względem nic do zarzucenia poecie.*)

Nawet więcéj jeszcze ośmieliłbym się powiedzieć na korzyść pomysłu służącego tu za główne założenie dramatu. Wspomniałem już wyżej o tragedyi Schillera, osnutéj na tym samym ustępie dziejów szkocko-angielskich. Daleki wprawdzie jestem od rozumienia, żeby arcydzieło to niemieckiego tragika nie miało być jako skończony utwor sztuki, wzięty w całym swoim ogóle, nieporównanie wyższém od obecnej sztuki Juliusza. Gdyby atoli chodziło o porównanie ze sobą samych tylko bohaterów w jednym utworze a drugim, to zdaje mi się, że porównanie takowe wypadłoby pod artystycznym względem ostatecznie na korzyść takiej Maryi Stuart, jak ją poeta polski w dziele swoim wprowadza.

*) To jedno chyba możnaby tu nadmienić, że niewłaściwie nazwał autor dzieło swoje, pomimo tak ścieśnionego zakresu, historycznym dramatem. Historycznym nie jest on wcale, chociaż zna i historia ludzi, którzy w nim występują. On jest tylko psychologicznym obrazem serca ludzkiego i jego namiętności. Ale mniejsza o tytuł!

Heroina Schillera jest nierównie mniej dramatyczna. Bardzo mało, właściwie nic wcale nie przyczynia się ona osobą swoją do tej gorzkiej doli, jakiej doznaje. Jój cierpienia, jój smutny koniec, nie sąto wyniki winy, któraby była zaciągnęła sama; sąto wszystko raczej, jak wiadomo, następstwa okoliczności od niej niezawisłych. O tyle zawód jój tedy jest tylko bierny. Cierpi — jako słaba ofiara obcej przemocy; upada — niewinnie.

Warunkiem prawdziwej tragiczności w losach człowieka jest nieodzownie pewien własny i umyślny współudział jego w powodach, które na posępny obrot jego doli wpłynęły. W klasycznej tragedji greckiej mogło odgrywać przeważną rolę przeznaczenie, fatalizm. Zgodne to było z ówczesnemi wyobrażeniami o warunkach szczęścia i nieszczęścia ziemskiego. Nam nowoczesnym wszelako pojęcia takie nie wystarczają. W nas wrażeń prawdziwie tragicznych nie wzbudza widok samej tylko bierności cierpienia. Nam trzeba i czegoś więcej — własnej współwiny tego, który cierpienia te znosi.

Geniuszowi tak potężnemu jak Schiller, nie mogły oczywiście nie być wiadome i najgłębsze tajemnice sztuki, której był mistrzem. Znał on dokładnie warunki tragicznych założeń i rozporządzał samowładnie sposobami sprawiania za pomocą dzieł poetyckich, wrażeń, o jakie nam tutaj chodzi. To też bierność roli zbyt idealnej Maryi Stuart w jego utworze, była tylko skutkiem nieuniknionym samego wyboru rzeczy, samego przedmiotu dzieła. Ograniczył się bowiem Schiller do samych ostatnich chwil zawodu swój bohaterki. Kreśląc ujmujący jój obraz na tle posępnem angielskiego więzienia, czuł on i sam najdokładniej pewien brak samodzielnego ruchu, brak, że tak powiem inicjatywy dramatycznej w jój roli, jaki z tego nieuchronnie wynikał. Lecz umiał go zakryć poniekąd, a nawet sowiec go wynagrodził innym sposobem. Wprowadził bowiem w dzieło swój Maryą nie tyle jako charakter przerastający zwyczajny poziom niewieści pod względem ogólnie ludzkim, ale jako postać historyczną, stawioną na piedestalu jój dziejowego znaczenia, z wszystkimi znamionami wieku i kraju, na tle których ją zapamiętała historia. Wprowadził ją jako typ pewnych uroszczeń dynastycznych, pewnych prze-

konań religijnych, których samo pojawienie się w jej osobie na ziemi angielskiej, chociaż było przypadkowe i bez żadnych nieprzyjacielskich zamiarów, już tu zostało poczytanem za wyzwanie do boju, i ściąga na się niuchronnie odwet ze strony interesów miejscowych, tamtym ideom przeciwstawionych. Tak więc bohaterka Sehillera, jako katoliczka, jako prawa dziedziczka tronu Tudorów, której się lękać osobiście musi Elżbieta, a z nią i każdy jej poddany, jeżeli jest zwolennikiem pańskiego kościoła, — jako przedstawicielka pewnych godeł przywiązanych mimo jej woli do jej imienia, występuje w tragedji przecie wyzywająco i niejako zaczepnie. I z tego punktu widzenia uważana, odzyskuje poniekąd to pełne znaczenie dramatyczne, na jakim jej zbywa jako osobistości indywidualnej, jako kobiecie, która zakończyła już z światem i nie zamierza mieszać niczyjego spokoju.

Słowacki wybrał sobie inną chwilę życia Maryi Stuart. Rozwinął w ramach swego obrazu właśnie pierwszą połowę jej pełnego przygód zawodu. Ukazał jej wizerunek z całym urokiem niewieścim, jakim właśnie w owych czasach tyle jaśniała; z ową dumą monarszą, która później dopiero miała doznać upokorzenia; z pędem temperamentu niezłamanego żadnymi jeszcze ciosami losu, pod wrącym skwarem namietności, jakie się właśnie dopiero rozbudzały w jej sercu. Rola tak pomyślana łączy w sobie wszelkie warunki świetnego powodzenia na scenie. Postępki i przeboje, uczucia i koleje, jakie bohaterka jego popełnia, stacza, przechodzi — są tu wypływem jej własnej inicjatywy. Odpowiedzialność za wszystko spada jedynie na nią. Źródło wszystkiego, co czyni, i wszystkiego, co cierpi, jest w niej samój.

Równocześnie z powyższem uznaniem artystycznych zalet wyboru, poczuwać się musi jednakże krytyka i do obowiązku postawienia zapytania: Czy z materiału takich czynów i takich cierpień daje się stworzyć dzieło, któreby równie zadość czyniło i etycznemu także zadaniu dramatu, ile jest pewnem teatralnych efektów? Czy przygody indywidualne takiej osobistości, jak Marya Stuart w owej życia epoce, są zdolne przyjąć na się to znamię głębszej intencji, tę idealną barwę prawej poezji, do znajdowania której w dramatycznych kreacyach

już nas przyzwyczaili wielcy mistrzowie dawniejsi na tém polu literatury?—Nie śmiałbym żadną miarą rzeczy powyższém zapytaniem objętej zaprzeczyć bezwarunkowo. Rozumiem raczój, że co do tego względu zależało wszystko już tylko od talentu, a raczój od zręczności poety w ciągu pracy nad szczegółowém wykonaniem utworu. Mianowicie stanowiła tu o rzeczy całej owa czujna baczność artysty i psychologa, ku temu najusilniej zwrócona, ażeby każdy krok na téj przepadziśtej pochyłości ku zbrodni był czy to odpowiedniami zajściami poprzedniami, czy wyjątkowym stanem duszy działającego należyście i dostatecznie uzasadniony. Często-kroć się i najjaskrawszy występki okaże jako tylko tragiczna, nieuchronna konieczność chwili, jeżeli go stawisz na tle okoliczności, które towarzyszyły jego spełnieniu. W ogóle przed trybunałem poezji łatwiej jest zdać rachunek z przewinień, jak przed wszelkimi sądami świata. Prawdziwe są słowa Byrona:

„Bywają zbrodnie, z których rdzę ohydy

Zdejmuje chwila — bywają pokusy

I nieuchronne i takie potężne,

Że z nimi boju naturze nie wszczynać.*)

Tymto sposobem może więc nie byłoby niepodobieństwem zrehabilitować w dramacie imię kobiety, nie najlepiej zapisane w historii. Wydatne, usilne, z przyciskiem dokonane odsłonięcie w jej charakterze gruntu, nie mającego w stanowczy sposób żadnej spółki z poziomą i powszednią pospolitością kału ziemskiego i — co jeszcze ważniejsza — nieustanne a konsekwentne utrzymywanie w widzach przez cały przebieg dramatu wiary w onę lepszą część jej serca — potrafiłoby zdaje mi się doprowadzić do tego, iżby słuchacze — nawet w obec jej przestępstw stanowczego potępienia godnych skądinąd, byli raczój przejęci współczuciem litościwem i tą czią wielkiemu przynależną nieszczęściu, aniżeli zimnym wstrętem oburzenia i zgrozy.

Ale temu zadaniu poeta nasz, zdaniem mojem, nie sprostał. W ogóle uwaga jego nierównie mniej była zwrócona na potrzebę pokonania trudności wynikających z etycznych wymagań dramatu,

*) Byrona Werner, Akt II, scena 2.

jak na osiąganie silnych poetyckich efektów. I ta to właśnie okoliczność odebrała utworowi jego ów wdzięk muzyki rzewnie przemawiającej do serca, owę wspaniałość obrazu, pod którego barwami czujemy przytomność jakiejś wielkiej idei, słowem ono znamię wyższej kreacyi, jakiego brak podobnośmy wszyscy uczuli, kiedyśmy mieli przed niezbyt dawnym czasem sposobność widzenia Maryi Stuart odegranej na scenie. *)

Czuję w wysokim stopniu i pociąg i potrzebę nawet poparcia tego, co tu powiedziałem ogólnie, dowodami opartymi na szczegółowych takich ustępach dzieła, gdzie pod wspomnianym względem kompozycya Maryi Stuart zdaje mi się być niedostateczna. Odsuwam jednak od siebie pokuszenie, jakiego w tej mierze doznaję, a to z przyczyny, że przewiduję, iż wywody podobne, jeżeliby być miały wyczerpujące, powiększyłyby za nadto objętość tego dzieła i — co gorsza, nadałyby mu mimowolnie jakąś cechę polemiczną, którą, ile tylko być może, chciałbym usunąć z uwag dotyczących pisarza, którego nie ma już pomiędzy nami. W własnym interesie poety niechaj mi tedy będzie wolno tę przynajmniej dołączyć tu tylko jeszcze uwagę, że niedostatki, jakie upatruję w praktycznym przeprowadzeniu tak tego dramatu, jak i wielu innych młodzieńczych dzieł Słowackiego, nie tyle mi się widzą skutkiem jakiegoś niedopatrzenia, jakiéjs, jeślibym miał nazwać rzecz po własném imieniu, niezdolności technicznój, ile raczej wynikiem odrębnego sposobu artystycznego, i prawiebym powiedział — manieri, jaka mu w pierwszych latach jego zawodu była właściwa i stanowiła wtedy jedno z najwybitniejszych znamion jego oryginalności.

Jeżeli który z pisarzy naszych, to właśnie Juliusz uważany być może zdaniem mojem za szczególnego wyobraźciela romantyzmu w poezyi. Romantyzm — jestto jeden z owych wyrazów, o których znaczeniu można mówić bardzo długo i powiedzieć bardzo wiele, a jednak nie wyczerpnąć wszystkiego. Na to jednak zgodzi się każdy podobno, że przywiązane są do jego istoty i pewne odrębności co do ducha i pewne właściwości co do formy.

*) Była dana na scenie lwowskiej dwa razy w ciągu roku 1862.

Pomijając zupełnem milczeniem tamte, a mając w obecnej chwili tylko te ostatnie na oku, przyznajmy sobie, że romantyzm formy—wprawdzie nie z istoty rzeczy, lecz bardzo często w skutku, de facto, wychodzi na to samo, co genialny kaprys, co niezawisłość najzupełniejsza od wszystkiego, co pozytywne, co jakimkolwiek rozważeniu podlegające, co przez techniczne wymagania kompozycji warunkowane.

Poeta holdujący przesadnie temu kierunkowi sztuki, w ciągu pracy około szczegółów dzieła rozpoczętego poczyną sobie wedle najswobodniejszego widzi-mię swojego; i rzucając jeden rys tak, drugi owak, ma zwykle swoje przyczyny, dlaczego w taki właśnie je sposób rzucił. Lecz to są tylko jego przyczyny. Zdarza się czasem, że nie ma i żadnych przyczyn; ale mu coś mąjaczy, jakby je miał; i to nieokreślone, jemu samemu niedościgłe poczucie wystarcza, aby kierowało już jego ręką. Jeżeli go wspomaga w pracy prawdziwe natchnienie i wielki talent, to poczucie owo go nie zawiedzie. W przeciwnym razie — zawiedzie go niezawodnie i to na bezdroża dziwactwa, na trzęsawiską marzycielstwa, na jakich tak często na początku tego stulecia widywano owych to poetów niemieckich kuszących się rywalizować z sławą Göthego i Schillera, których w literaturze téj znają pod imieniem romantyków i którzy — powiedzieć można — zdyskredytowali to godło.

Com tu powiedział w ogóle, nie zamierzam tego oczywiście stósować literalnie do poety, już w pierwszych latach czynności swojej pisarskiej tak znakomitego, jak nasz Słowacki. Miał wszelako i on pewne swoje nawyczki, którychbym się nie wahał kłaść głównie na karb źle zrozumianego romantyzmu. Jego odrębny sposób rozwijania osnowy poetyckiej zależał — pod względem technicznego artyzmu — na tém, że więcej on zawsze tylko na trącał i napomykał, nawiązywał i urywał, jednem więc słowem, szkicował i fragmentyzował, aniżeli żeby miał być wszystkie przejsia kreacyi swojej wykonywać szczegółowo, w równej mierze i w nieprzerwanym ciągu.

Cała sztuka jego (w dziełach przypadających na pierwsze lata zawodu, o tych bowiem tu jedynie mówię), polega na tém:

rzucić pełnemi garściami światła na stanowcze tylko momenta, a resztę zostawić w cieniu, jeżeli nie zupełnie po za ramami obrazu. Sprawiać wielkie wrażenia sporadyczne — oto główny cel jego tworzenia. Czegoby zaś całości niedostawało, niech sobie tam tego czytelnik własnym przemysłem dopełni! —

Byli, trafiają się może jeszcze, wielcy i godni europejskiej sławy artyści dramatyczni — tak aktorzy, jak i śpiewacy sceniczni, którzy początkowe sceny sztuk i w ogóle wszystkie obojętniejsze ustępy oddawali zazwyczaj z umyślném jakimś zaniedbaniem i bezbarwnością, ażeby za to w chwilach rozstrzygających błysnąć niespodziewanie całą świetnością talentu i samym kontrastem wrażeń najpotężniej olśnić publiczność. Owoż w podobny zupełnie sposób występują i w dziełach naszego poety szczegóły zakończone tém jaskrawiej na widok, im mniej są podniesione poprzedniejsze partye utworu. Te świetne chwile w jego kreacjach sprawiają wrażenie jakoby grup rzeźbiarskich, plastyczném dźwiękiem ciosanych; ale zato przestrzenie pomiędzy jedną taką grupą a drugą traktowane są od niechcienia, często lekkomyślnie, co się zowie, byle zbyć. Owoż — gdyby to zaniedbywanie się, gdyby to homeryczne w miejscach niektórych zasypianie odnosiło się do wiersza, do języka, do innych tym podobnych zewnętrzności poetyckich: — nie byłoby nic zgoła do powiedzenia przeciwko przyswojeniu sobie takowego sposobu. Ale najgorsza w tém, że się ono — nawet w rodzaju poezyi tak realizmem przesiąklój, jak dramat, u Juliusza właśnie do zupełnie czego innego ściąga. Albowiem wiersz autora Maryi Stuart jest owszem w każdej części dzieła mistrzowski, język jego zawsze się iskrzy brylantami najczystszej wody! Natomiast niedbałość epizodyczna, o jakiej mowa, dotyczy u niego samejże rzeczy, obmyślenia osnowy, dotyczy samej kompozycji, wiązań budowy, częstokroć samychże fundamentów. I to jest właśnie fatalna strona tej manieri, wielce powabnej skądinąd. Cóż, bowiem z tego, że stanowczo chwile i wydatniejsze ustępy w większym dziele poetyckiem będą w sobie oddane z całą świetnością geniuszu? Jeżeli tych chwil walnych powody, jeżeli tych ustępów potężnych wiązanie polega na jakichś kruchych, wątłych i że tak powiem, uproszonych tylko premisach,

a krytycznej próby nie wytrzymuje: w takim razie i to wszystko, co na tém oparte, zawisło jakby w powietrzu i nie może wywieść prawdziwie głębokiego wrażenia. Uderza i podoba się w pierwszej chwili: po dłuższem zastanowieniu nie zaspakaja.

Tak na przykład piękną jest niezaprzeczenie scena VI aktu trzeciego w Maryi Stuart, scena, gdzie się Rizzio po raz ostatni żegna z królową i gdzie zostaje zamordowanym. Jeżeli jednak zważymy, że Rizzio miał wedle rozkazu Maryi wyjechać niezwłocznie i jeszcze téj nocy, i że były bardzo ważne powody, ażeby jak najrychlej odjechał, i że też już stało na tém (w ostatniej scenie aktu II), że się już więcej nie pokaże na jej pokojach: — to prawdziwie nie wiedzieć, jakiej okoliczności przypisać to widzenie się jego jeszcze z królową? W pewnej recenzji uczyniono uwagę, że się Marya w Włoszu kochała i że dlatego więc jako dawnego kochanka, przyjmuje go jeszcze u siebie, ażeby się z nim pożegnać. Ale przypuszczenie takie nie ma żadnej podstawy. Świat wprawdzie posądzał królowę o te miłostki. W rzeczy samej nie było ich jednak między nimi. Bo czyż w takim razie mogłaby ona mówić w monologu (w scenie VII aktu II):

„Wszak z dawna mnie obarcza czarne podejrzenie,
Myślą, że kocham Rizzia“...

Czyżby wreszcie, w takim razie, mogła się była ostatnia scena aktu II odbyć takim tonem pomiędzy nimi, jak jest skreślona w dramacie? A zatem niepodobna jest wymyśleć sobie żadnego dostatecznego powodu, dlaczego Rizzio po tém wszystkim, co zaszło, otrzymuje to wezwanie do Maryi, zwłaszcza że tegoż samego czasu ma się przecież pojawić w jej komnacie i Botwel, także przywołany tam przez nią. Cóż więc jest? Oto poeta musiał wprowadzić owego wieczora czy nocy Włosza do pokojów królowej, gdyż u stóp to jej miał być Rizzio koniecznie zamordowany. Lecz zupełnie zaniedbał uzasadnić téj jego niespodziewanej bytności o téj porze w tém miejscu; i cierpi na tém budowa sztuki. —

Weźmy inny przykład. — Kiedy po zamordowaniu już Rizzia i po oddaleniu się jego zabójców, Marya omdlała odzyskuje przy-

tomność i spostrzega przybyłego tymczasem do jęj komnaty Botwela: wtedy rzuca się rozpaczliwie sama w jego objęcia —

„O niech teraz te światła, te pochodnie zgasną!

Żeby mój wstyd ukryły... Kocham cię Botwelu!

Nie jest to czas ukrywać i tać uczucia,

Rzucam się na twe łono, już jestem zgubiona“!

To zwierzenie, które wśród takich okoliczności, tak bez ogródki czyni Marya Stuart kochankowi swojemu, zdaje się być oparte na głębokiej znajomości serca ludzkiego. I gdyby tak się rzeczy miały, jak je sobie Botwel tłumaczy:

.... „W dobrą trafiłem godzinę.

Wieki trzeba czekać na takie wyznanie,

A teraz ją zdradziły rozpacz, obłąkanie“....

zwierzenie to byłoby rzeczywiście, jak tam ktoś o tém powiedział: „psychicznie uzasadnione!“ Byłaby to wielka exkuza dla bohaterki dramatu, że upada; i wielka zasługa poety, że téj sprawie taki dał obrot. Lecz to zwierzenie się królowej, jako i samo przybycie Botwela o téj porze w to miejsce, nie jest bynajmniej przypadkowe. Wszakże on już poprzednio przez pazia królowej został tu zawezwany na tę godzinę, na jęj wyraźny rozkaz! (Obacz scenę II w akcie III.) Dalęj Marya Stuart nie teraz dopiero rzuca się w tę przepaść, w jaką się miała dla nięj obrócić ta miłość ku Botwelowi, bo już w scenie poprzednięj (w scenie VII aktu II.) widzieliśmy ją, co się zowie, przygotowaną i zdecydowaną do tego kroku.

„O teraz przybądź do mnie! przybądź tu Botwelu!

Przybądź! nie mam korony i nie mam pierścienia —

Przybądź! już się nie lękam Boga i potwarzy,“ i t. d.

A zatęm, nie jestto bynajmniej następstwem okropnęj dopiero chwili owęj i „rózpaczy“ i „obłąkania,“ że się rzuca Marya sama w jego objęcia. Choćby bowiem te okropności wszystkie i nie były zasły, choćby był Rizzio jeszcze przy życiu: to byłoby się stało i wtedy nawet. to samo. Bo i cóż byłaby powiedziała królowa Botwelowi przybywającemu do nięj w nocnęj porze i na jęj własny rozkaz? — Podobno mnięj więcęj to samo, co i teraz z jęj ust usłyszał! —

Albo cały ten pomysł (w akcie V.) z ową lampą płonąca przed ołtarzem, której Botwel koniecznie uparł się użyć do podpalenia prochów pod Henrykiem Darnlejem, ażeby go wysadzić w powietrze — Marya Stuart wzdyga się na taką myśl świętokradzką. Czyni, co tylko może, ażeby nie dopuścić do tego. Cała scena dotycząca téj chwili jest pełna wielkich wrażeń tragicznych. Jeżeli jednak rozważymy, że wszystek ten opór czyniony jest przez kobietę, która przed chwilą męża swego już własną ręką intencyjnie zamordowała, (boć wiedziała ona o tém, że truciznę zabójczą, a nie napój usypiający leje w czarę podaną mu do wypicia, skoro konwulsyjnie drżała jój ręka w chwili, kiedy ją do niej wlewała; skoro powiedziała wyrazy:

„Przeprasz, jakby leżał w śmiertelnej pościeli!

Człowiek, co może jutra, jutra nie zobaczy,

U stóp moich klęczący błaga przebaczenia“) i t. d.

jeżeli mówię rozważymy, że taki potwór kobiecy, jakim jest już Marya Stuart po owej piekielnej scenie w wiejskim domku męzowskim, wzbrania się teraz pozwolić lampy do podpalenia miny, gdyż to jest lampa święcona: — to wygląda to wszystko, jakby na puste tylko jakieś ceregiele! Tragiczność wrażeń na myśl taką ulatuje, a natomiast zostaje tylko niesmak i tém większy wstręt do osoby, której wyobrażenia okazują się tak anormalnie pomieszane....

Owoż w takich to niedokładnościach kompozycyi upatruję ostateczną i najgłówniejszą przyczynę, dlaczego Marya Stuart zaspakajając w tylu najświetniejszych ustępach w tak wysokim stopniu wymagania artystyczne, nie czyni jednak zadość etycznym dzieła poetyckiego warunkom. Jeżeli w którym dziele, to w téj właśnie tragedyi uderza to ogólne spostrzeżenie co do natury całego sposobu, właściwego Słowackiemu w początkowych latach jego poetyckiej czynności, że bez porównania więcej jest rzeczą porywać, zadziwiać i zapalać wyobraźnię swego czytelnika czy widza, aniżeli umieć zająć myśl jego i prowadzić ją krok za krokiem, jak służebnicę woli swojej — do celu, o który chodzi.

ROZDZIAŁ CZWARTY.

Dalszy ciąg rzeczy zaczętej w poprzedzającym rozdziale. Nieco o powieści poetyckiej jako nowej formie poezyi. Bielecki — Mnich — Arab — Żmija. Ogólny wniosek. Byronizm i jego ślady w poezyi polskiej.

Reszta ówczesnych utworów Słowackiego, Jan Bielecki, Mnich, Arab, Żmija — wszystko to ujęte jest w formę tak zwaną powieści poetyckiej. Jestto ściśle biorąc, mieszany rodzaj poezyi, w tym kształcie prawie zupełnie nieznanym przed wystąpieniem na początku tego wieku najcelniejszych poetów angielskich. Za głównego twórcę tej formy uważać można najwłaściwiej Byrona, który w tymto sposobie wykonał najznakomitsze swoje i najwięcej europejskiego rozgłosu sprawiające utwory. Za tym przykładem rozeszła się wziętość powieści poetyckiej niebawem na wszystkie literatury postronne. Poeci polscy także ją przyswoili sobie niebawem. Obok Mickiewicza Grażyny, była Marya Malczeskiego pierwszym w literaturze naszej stanowczym przykładem tego rodzaju poezyi i służyć może za jeden z najdoskonalszych wzorów kiedykolwiek wykonanych w tym kształcie. Przeważa w nim oczywiście pierwiastek opowiadawczy i opisowy; to też przynależy forma rzeczona głównie dziedzinie Epiki. W gruncie rzeczy atoli poemat, o jakim mówimy, mało ma wspólności z naturą owych plastycznych, szerokiemi korytem zwolna a majestatycznie się toczących kreacyi, jakich przykłady najwydatniejsze znajdujemy w rozległych epopejach starożytności, a przede wszystkim w Iliadzie i Odysei. Powieść poetyczna kipi spadzistym łożyskiem, na spienionych falach, ujętych w wąskie ko-

ryto. Nie rozlewając się bynajmniej, jak tamte, na cały obszar przedmiotowego życia danej epoki, nie przywiązując żadnej wagi do wydatnego w rzeźbiarski sposób postaciowania szczegółów: pędzi ona co prędzej naprzód w ślady za jednym tylko punktem, a tym punktem — osoba samego bohatera.

Na pozór wiele w tém wszystkiém podobieństwa do toku, do rytmu dramatycznych kreacyi. Ale bo też jest w tém wszystkiém i coś więcej, jak pozór. Jak się w dramacie przed oczyma naszymi zlewa zewnętrzność zdarzenia i wewnętrzność uczucia (namiętność) w genezę czynu, w akcyę:—tak i w skład téj nowej, téj romantycznej formy epizmu wchodzi już cały zasób artystycznych potęg liryki. Uczucia osobiste poety, jego smętność, żal, nienawiść, jego zwątpiałość i zrozpaczenie, jego zapal ożywczy, i miłość i ogień namiętny, słowem — co tylko wre na dnie własnego jego serca — wszystko to znajduje tu wyraz bezpośredni i wplata się jak idealny duchowy wątek w materialną ośnowę przedmiotu pieśni.

Utwor taki sprawia na słuchacza wrażenie, jak kiedyby kto spoglądał na ruch przesuwających się widzeń wywołanych do życia czarodziejskim pędzlem malarza, przy odgłosie jakiejś napowietrznej muzyki, która ten świat kolorów owiewa tonami i uzupełnia.

To zespolenie dwóch odrębnych żywiołów poezyi tém więcej jest wdzięczne i dla poety dogodne, że dozwala jego natchnieniu najzupełniejszej swobody. Wolno mu tu, kiedy zechce, spocząć na pewnym ustępie z całém rozmiłowaniem w szczegółach flamandzkiego malarza; wolno mu znowu dawać się porwać pędowi, w którym całe partye obrazu zbywane być muszą kilku zaledwo ogólnymi rysami. Wolno mu snować wątek powieści, jak kolej rzeczy wymaga; wolno mu zwikłać go nagle, urwać, rzucić zasłone zagadki na najciekawsze ustępy, i zwracając wyobraźnię słuchacza ku innym ogniom tego łańcucha zdarzeń, wprowadzać inne widoki, ażeby — niezadługo i te znowu porzucić. Słowem: im więcej różnaitości, swobody i subiektywizmu autora w rzeczach tego rodzaju: tém też więcej zwykłe wrażenia.

Talentowi Juliusza z saméj natury rzeczy odpowiadał naj-

właściwiej ten rodzaj pracy. Próby zastosowania tej metody do utworów dramatycznych nie zawsze były na miejscu. Natomiast w poematach, o których rzecz obecnie, znalazł on się że tak powiem, na własnym gruncie. To też bodaj które pomiędzy rychlejszemi jego dziełami tak od razu trafiło do powszechnego czytających smaku, jak **Jan Bielecki**, którego utworzenie przypada właśnie na tę przestrzeń czasu pośrednią, jaka była pomiędzy napisaniem *Mindowy* a *Maryi Stuart*.—Lesław Łukaszewicz, autor znanego *Rysu dziejów piśmiennictwa polskiego*, jak wiadomo, nie był wielkim krytykiem; ale tém pewniej zato znajdujemy w zdaniach jego o dziełach autorskich odgłos wyobrażeń, jakie powszechnie popłacały naówczas pomiędzy czytających ogółem. Owoż w edycji dziełka swego ogłoszonej we dwa lata po śmierci poety (w edycji z r. 1851), mówi on o Bieleckim w takich wyrazach: „We wszystkiem, co muza Słowackiego wyspiewała, znajdziesz ustępy piękne, a całość zawsze niesmaczną. Pospolicie dziwaczy. Tylko powieść Jan Bielecki udała mu się.“ — Tosamo niemal donosił o tej powieści matce i sam poeta, a to zaraz po pierwszém dzieł tych wyjściu z pod prasy.

„Początek Jana Bieleckiego jest nie do rzeczy.“) Jednak Bielecki jest najwięcej chwalony przez wielką liczbę, której takiej cichej poezyi potrzeba“....

Równocześnie zdaje się ze słów powyższych i to zatem jeszcze wynikać, jakoby autor sam tak wielkiej wagi do tego swego utworu nie przywiązywał. Że przynajmniej stawiał *Żmiję* i *Maryą Stuart* o wiele wyżej: to nie podlega wątpliwości żadnej.

Przedmiot poematu wzięty jest w części z kronik, w części

*) Rzeczywiście wstęp do Bieleckiego jest niestósowny i bez żadnego związku z całością. Ale bo też jestto ustęp później dopiero doczepiony. Boć poemat sam pisany był jeszcze r. 1830 w Warszawie, a wstęp jest daty o rok cały późniejszej. We wstępie są już zużytkowane wrażenia, jakich doznał autor 1831 r. w Londynie, kiedy zwiedzał Westminster, z czego też potem zdawał w takisam sposób sprawę matce listownie. Takie przystawki późniejszej daty zazwyczaj się nie udają.

z ustnej tradycji, przywiązanej do głównych miejsc zdarzenia, a mianowicie do Brzeżan (w Galicyi wschodniej).

Współczesny zdarzeniu temu Bielski w Kronice Polskiej tyle o Bieleckim zapisał, że kiedy w r. 1589 Tatarzy w wielkiej liczbie na Podole i Ruś wtargnęli, plądrując z niezmierną szkodą dla okolicznych mieszkańców: zaszło z nimi kilka potyczek, między którymi bitwa pod Baworowem była jedną ze znaczniejszych. Bitwy tej wprawdzie pohanicy nie wygrali, owszem od tej dopiero chwili „jeli ustępować“. Ustępowali wszelako z niemałą ilością zabranego w niewolę ludu i szlachty. Z tych niektórzy złożwszy okup niemały, wyszli na wolność po niedługim czasie. „A Korycińskiego — są słowa dziejopisa — Bielecki mając z nim z dawna przyjaźń, darmo puścił. Był ten Bielecki Polak Lublinianin herbu Janina, jedno się poturczył i przyjechał z Turek do Polski za króla Stefana, i tu chciał mieszkać; jedno że przecie swój wiary złą odstąpić nie chciał. Król Stefan chcąc go najwięcej do poselstwa zatrzymać, żeto umiał język tatarski i turecki, nazna- czył mu był opatrzenie pewne na Podolu; ale król dał, a panowie wzięli. O co rozniewawszy się Bielecki, zbiegł do Tatar i Tatary na ojczyznę swą nawiódk.“ —

Lakoniczne wyrażenie Bielskiego: król dał, a panowie wzięli, uzupełnia cokolwiek podanie brzeżańskie. Przechowała się w niem pamięć, że jeden z rodu, którego własnością niegdyś były Brzeżany, z rodu Sieniawskich, wioskę Bieleckiego gdzieś położoną w sąsiedztwie najechał, dworek szlachcica wraz z cha- tami włościan puścił w perzynę, a na ostatek całe to miejsce pługiem kazał zaorać i w puste pole zamienić.

Taki więc był surowy materiał poematu. Zdarzenie to przed- stawiało różne strony, na których mogła być spocząć wyobraźnia poety. I tak, najbliższe może, co się tu nasuwało jako wdzięczny temat do obrobienia — byłato ta zagadkowa postać poturczonego Polaka na tle zygmuntofskiej epoki! Widzieliśmy za dni naszych kilka przykładów podobnej zamiany krzyża na księżyc, a poczei- wój nazwy polskiej na jakiegoś beja lub paszę. Ale to były ma- newra polityczne — komedye, dowódzace nibyto wielkiej dyploma- cyi i miłości ojczyzny u tych, co się na owe awantury puścili.

Szczęście im tam Boże na tej drodze! Jeżeli jeszcze dziś myślą, że nie popełnili wielkiej niedorzeczności, tém lepiej dla nich. W wyjątkowém naszym położeniu dzisiejszém wszystko to jednak daje się, jeśli nie chwalić, to przynajmniej rozumieć. Ale wtedy! W czasach tak normalnych, takiej głębokiej wiary, w czasach gdzie sobie z religii jeszcze żartów robić nie pozwalano — byłto wypadek dziwnie nierymujący ze wszystkiém, na czém tylko ta Rzeczpospolita stała. Jakichże to chyba nadzwyczajnych potrzeba było kolei losu, żeby się była mogła wyrobić taka osobistość, jak owa przez historyka odmalowana! Szlachcic polski — poturczony — wrócił do kraju — otrzymał od króla opatrzenie, jest wolny i niezawisły — i mimo tego nie chce czy nie może „złój wiary swojej odstąpić.“ Ileż w tém wszystkiém zagadek! Ile domysłów się tu nastęrcza względem przeszłości Bieleckiego, względem jego związków z drugą ojczyzną, względem jego własnej indywidualności, czego wszystkiego historia wcale nie odsłoniła. Była wtedy w młodszém gronie poetów naszych w ogóle wielka skłonność do obrabiania przedmiotów orientalnych. Sam Słowacki hołdował tej skłonności. Otóż nastęrczała się tu jedyna w swoim rodzaju sposobność uczynienia zadość temu pochopowi przejętemu od Byrona i Moora, nie rozmiijając się przeto z rzeczywistą tradycją i narodową i nawet historyczną.

Albo rzuciemy okiem na inną stronę téjże tradycyi. Autor, któryby był obdarzony pewnym zmysłem dziejowym, któryby dla natchnienia swego szukał podstaw więcej przedmiotowych, byłby się tu uczeplił tych słów kronikarza: Król dał, a panowie wzięli, i byłby podniósł głównie ów fałsz odwieczny w stósunku możnowładców dawnéj Polski do braci młodszéj, do szlachty, która choć z prawa we wszystkiém niły równa magnatom, była w rzeczy saméj jednak ciągle przez nich traktowana z odtrącającém lekceważeniem. Z tegoto fałszu wynikły u nas wszystkie klęski publiczne. Wszechwładność panów taka, jak była w dawnéj Polsce, nie byłaby mogła mieć miejsca, gdyby prawa im przynależne a prawa niższéj szlachty były rozgraniczone. Rozgraniczenia tego nie dopominali się możnowładcy, bo zagarniając przy każdéj sposobności dla siebie wszystko, co się zwało wolnością

szlachty, więcej posiadali mocy, niżby im takowej była dać mogła najdalej choćby posunięta forma rządu oligarchiczna. Rozgraniczenia tego nie zażądała i szlachta, bo jój miłej było znosić i nadużycia, a chlubić się dogmatem że szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie, aniżeli przyznać, że ta równość — to tylko urojenie, i poprzestać na czémś skromniejszym. Ani tedy od jednych, ani od drugich nie wychodziła inicjatywa do ustanowienia stósunku, któryby kładł wreszcie koniec temu systematycznemu przechytrzeniu się obu stanów. Zamęt pojęć, jaki w tój mierze panował, zakończył się dla całego państwa — jego upadkiem, a nim jeszcze do tego przyszło, sprowadzał na osoby pojedyncze w ciągu wieków bardzo często katastrofy równie jaskrawe, chociaż się takowe skrupiały tylko na nich samych i ich rodzinach. Przykładów takich dzieje dostarczają podostatkiem. Owoż i w tym razie z danego materiału dawała się wysnuć kreacya szerszych rozmiarów, rdzennie trafiająca w samo serce naszych instytucyi i obyczajów, w której żyłyby i kipiały namiętności, może najdalej posunięte i najwięcej też tradycyjne ze wszystkich, jakie tylko były znane dawnemu społeczeństwu naszemu.

Słowacki, wierny stanowisku, jakie zajął w poezyi, szukający wszędzie ideału wedle swego punktu widzenia, pochwycił rzecz z inną zupełnie strony. Jego fantazyja zajęła się tu tylko widokiem walki jednego ze wszystkimi, widokiem krzywdy, jakiej doznaje od świata szlachetny, niewinny, słabszy... W całym szeregu ogniów, stanowiących łańcuch zdarzeń, jakie sobie wysnuć można z podania o Brzeżanach i o Bieleckim, pocie naszemu najpoetyczniejszym się zdawał — nie tyle jeszcze ów pęd namiętny, stromą drogą prowadzący człowieka do zbrodni, byleby tylko się zemścić: ile ów nadmiar cierpień, dojmujących po zemście, już dokonanej a w taki sposób. Owoż to położenie tragiczne człowieka, który nawet po spłaceniu swęj krzywdy widzi się pod stopami tryumfującej przemocy; ten żal do świata, że go tenże zmusił do czynów, których on sam nie może sobie przebaczyć; to osamotnienie na świecie istoty, dla której ani za życia nie ma nigdzie miejsca pomiędzy ludźmi, ani nawet po śmierci nie będzie kawałka ziemi na mogiłę — to były motywa w całym oném wydarzeniu dziejo-

wém, dla których zwrócił Słowacki na przedmiot ten uwagę. One też jedynie wprowadza w ramy obrazu, wykluczając historyzm i wszystko inne, jako przybory obojętnej treści.

„Co było w kraju? nie skreślę do razu.

Jeden cień tylko maluję obrazu“...

Oczywiście wypadło właśnie z tego powodu niejeden szczegół, ze strony surowego materiału podany, przekształcić inaczej, aby początki i powody katastrofy odpowiadały założeniu. Rozstęp między opowieścią poety a podaniem polega głównie na tém, że podanie ukazuje w Bieleckim renegata już od pierwszej chwili jego powrotu do kraju; w poemacie zaś był on wprawdzie kiedyś za młodu w niewoli tureckiej, ale wrócił z niej niesturczony. Dopiero później krzywda, jakiej od magnata doznaje, rzuca go na drogi zdrady kraju i wiary. — Wszystkie te premissa zresztą zbywa autor jak najkrócej. Jestto dla niego tylko rusztowanie do budowy, której ostateczne odsłonięcie przypada na drugą dopiero połowę poematu. Ze słów urywkowych dowiadujemy się tedy w początkowych pieśniach tyle jedynie o tém, że działo się to za panowania króla Stefana. W brzeżańskim zamku żył możny, dumny starosta — mieszkanie jego przepychem nie ustępowało w niczém grodowi królów. Ale na czołe magnata od niejakiego czasu zawiśła chmura jakaś posępna. Jakaś skryta troska dręczyła go tajemnie, pomimo skarbów i włości i tłumu sług i téj szaty złocistej, w której jaśniał. Od tygodnia poczęły się do zamku jego nieustające zjazdy... W komnatach jego gościnność i uprzejmość i biesiady huczne. Znikła z groźnego możnowładcy oblicza zwyczajna duma. Otworzył na oścież serce dla okolicznej szlachty i karmi ją i poi i schlebia chodopachołkom. Pozwala się rozlegać po domu swoim swobodnie hucznemu gości swoich gwarowi. Po tygodniu takowej uprzejmości wypływa wreszcie oliwa na wierzch.

„Héj! szlachta znacie Bieleckiego Jana? —

Dawniej w niewoli gnił u Bisurmana,

A dziś się z pany w jednym stawia rzędzie,

Jak król udzielny w darowanej grzędzie...

A kiedy zamki walą się pod gromem:

On podparł domu walące się ściany

I tak spokojnie między niemi żyje
 I tak szczęśliwy, że nad jego domem
 Co wiosny bocian nowe gniazdo wije....

Z dalszej mowy wynika, że ten więc szlachcic podły, jak się starosta o Bieleckim wyraża, miał z nim jakąś zwadę i wytoczył sprawę przed króla.

„I jam był winien, winien był Sieniawski!! —
 I oko w oko przed króla obliczem
 Widziałem wroga!.. Nie próżno przychodził:
 Król go pochwalił, zachęcił, nagrodził;
 Nie spojrzał na mnie i odpawił z niczém!...“

Przy łaskawej pomocy życzliwej braci, która właśnie spija wino starosty, znajdują się jeszcze jednak sposoby powetowania téj krzywdy...

„O! dzisiaj ptaka ja wypłoszę z gniazda
 Jękiem i dymem, iskrami płomieni!...
 Bracia — noc widna! niedaleka jazda!
 Słyszałem, dzisiaj Bielecki się żeni;
 Nim wróci, niech mi Pan Bóg dopomoże,
 Dom zrzucę, spalę, grunt domu zaorzę“...

Temu wezwaniu okazuje się zgromadzona szlachta powolną:

„Miodem i winem i ucztą zagrzany
 Tłum szlachty powstał z ochotnym oklaskiem —
 Już most zwodowy pod kopyty dzwoni“. —

W drugiej pieśni przenosi nas autor w wnętrze kościoła. Rzecz się dzieje w Brzeżanach. Dla dopełnienia obrzędu ślubnego, staje tu przed ołtarzem Bielecki, Anna i cały orszak weselny: tymczasem dom pana młodego — w niedalekiej odległości od Brzeżan — prawie wyludniony z mieszkańców, nie ma nikogo, coby go bronił przed tą hałastrą, niosącą mu zniszczenie. Ta napaść nie wchodzi tu w ramy obrazu. Jesteśmy świadkami tylko sceny ślubnej, która zresztą, równie jak poprzednie ustępy, zbyta jest ogólnymi tylko rysami. Tak młodożeniec, jak panna młoda — sąto jeszcze tylko typy powszechne. Do wnętrza ich serc nie zazieramy. Co tu o nich słyszymy, ściaga się więcej do ich powierzchowności, do ich ubioru, do orszaku, który im towarzyszy. Nawet ich uczucia są tylko zwyczajnym w razach podobnych

nastrojem duszy. Gdyby nie te kilka szczegółów, które urywkowo w poprzedzającej pieśni rzucił był o Bieleckim starosta, to bohater poematu byłby dla nas człowiekiem zupełnie nieznanym, chociaż go w tym ustępie mamy tak blisko przed sobą. — Podobnie urywkowo opowiedziane jest i przybycie młodożeńców do domu Bieleckiego. Domu tego już nie znajdują. W miejscu, gdzie przed kilku jeszcze dniami był dwór i wioska, znajdują tylko rolę świeżą zaoraną i głuchosć. Cała ta więc sytuacja znowuż naznaczona tylko kilku rysami. Zdaje się, jakby poeta słów żałował dla wszystkiego, co go dopiero prowadzi do właściwego tematu. Nawet burza uczuć, obudzonych w bohaterze poematu tą dojmującą krzywdą, zbyta jest cała w tych kilku wierszach:

„Patrzą, nie wierzą... Sam Jan staje, słucha,
Blednieje — nagle z tłumu się wyrывa,
A w tłumie była cichość straszna, głucha.

Wkrótce Jan wrócił — prędko jak błysk gromu
Stanął przed żoną obłąkany, blady.
Na jego szatach widać krwawe ślady...

— „Anno,“ rzekł, „Anno wracaj! nie mam domu!
Nie wrócę z tobą, obelga dotkliwa!

Zniósłbym nieszczęście, lecz nie zniosę sromu.

Już mnie domowe szczęście nie omami:

Wracaj o Anno! ty będziesz szczęśliwa,

W twojem objęciu zalałbym się łzami.

Ja nie mam domu!...“ Zadrżał i spał konia,

I jak wiatr szybko poleciał przez błonia“.

I oto już wszystko, co o tém mówi poeta.

Odtąd Bielecki zupełnie znika ze sceny. Przez niemały czasu przeciąg ani wieści, co się z nim dzieje. Żona po nim już przywdziała żałobę... Gdy wtém nagle zapowiada się znowu bliska jego w stronach owych obecność przez owo tajemnicze zlecenie przysłane Annie, ażeby się i ona także znalazła na balu maskowym, który wyprawia w zamku swoim starosta.

Na tymto balu — w przedostatniej pieśni — przychodzi dopiero do takich zdarzeń, że ów aż dotąd dla nas prawie nieznanomy staje się naprawdę najwydatniejszą postacią poematu. Tu

dopiero odsłania się w nim typ tego demonizmu, téj dzielności pchniętój na przepaściste szlaki zaguby, o której wizerunek jedynie chodziło autorowi. — Jakich przejść w usposobieniu duszy trzeba było, ażeby z normalnego człowieka przedzierzgnąć się w podobnego demona, tego poemat nie odsłania. Ani słowa nawet o tém, co się zewnątrznie działo z Bieleckim od chwili, gdzieśmy go stracili z oczu. Ale wynagradza nas za to poeta gotowym widokiem tego, czém on jest teraz, kiedy znowu staje przed nami. Cała postać Bieleckiego tak jest zmieniona, że za pierwszym spojrzeniem własna żona go nie poznaje. Podobne przestoczenie zaszło i w zewnętrznych jego stósunkach. Pokazuje się bowiem, że aby wyrzucić zemstę na magnacie, który go skrzywdził, człowiek ten wyparł się wiary, ojczyzny i przeszedł na stronę najzaciętszych jej nieprzyjaciół. Zbratawszy się z Tatarami,

„Czoła złocistym przysłonił turbanem

I wiarę złotym księżycem naznaczył.“

Po takim czynie, jako wódz ordy pohańców, naprowadził na Polskę zagon tatarski. Nie wahał się splawić we krwi tysiąca chat i dworów, których mieszkańcy nie zawinili mu w niczem, byleby tylko zawisł ten piorun zagłady i po nad zamkiem starosty. I owoż woli jego dzieje się zadość. Zmienacka, kiedy się w grodzie brzezańskim sproszeni goście bawią w najlepsze, zalały tłumy najezdców wszystkie sienie i komnaty zamkowe. Bielecki

„Leci na czele i służbę pomija,

Nikogo dotąd uderzyć nie raczył,

Miecz jego w pochwach — on wzrokiem zabija!

Już wpadł do sali, zaraz za nim w ślady

Straszny wiatr zawył na ściany zamkowe,

Światła zadrżały, zgasły, tylko błądy

Świecił się promień lamp w alabastrowe

Ukrytych głazy... Wpadł jak śmierci mara

I wyjście mnogą wartą zabezpiecza....

Pan Brzeżan z mieczem stał w obec Tatara.

Błysnęły szabli obrazy święcone,

I padł starosta na twarde granity. —

Zaśmiał się Tatar... śmiechem obudzone

Zabrzmiało echo — był to jęk kobiety“...

Aż dotąd zdrada i mściwość wiodły Bieleckiego do celu jakby po drodze różami tylko usłanej. Dosięgnął pragnień swoich nakoniec. Widzi dumę, która zniszczyła całe szczęście jego na ziemi, powaloną u stóp swoich i skarconą strasznie. Nie będzie już ten magnat nikogo krzywdził na świecie! I pierwszy haust z podanego do ust zemsty puharu zdawał się słodki. Ale słodycze takich upojeń prędko się przemieniają w truciznę. Na najwyższym zenicie swoim Bielecki słyszy jęk, jak echo złowieszcze czynu, którego się dopuścił. Ten jęk przyzywa go do świadomości—powiada mu, co uczynił. Ten jęk najdroższej mu na ziemi istoty staje się dla niego hasłem cierpień stokroć dotkliwszych, aniżeli krzywdy, które aż dotąd od drugih znosił. Własne sumienie się w nim odzywa i mówi mu, że taka zemsta — to sromota, to dopiero ze wszystkich upokorzeń — największe! Teraz dopiero ów wróg jego, nibyto zwyciężony, rzucił go pod stopy swoje — na wieki! Dotąd miał on do czynienia z nim jednym tylko: od téj chwili obraca się przeciwko niemu cała ojczyzna, kościół, rodzina własna. Komu tylko miła cześć prawa, komu tylko święte, co jest świętością, gardzi nim i odtrąca od siebie. Jest wymazanym z liczby synów ziemi, co go zrodziła. Ze społeczności kościoła wyrzuca go kłątwa biskupia. Rozbudza się w winowajcy bolesna, niczém nie zagłuszona świadomość zbrodniarza, wywołańca. A mimo tego, nie przestał on jednak należeć sercem do tych wszystkich, którzy go odtrącają—gdyż żyć po za ich sferą nie może!

Cała ostatnia część poematu, zawierająca w sobie ten obraz cierpień człowieka odepchniętego bezlitośnie przez całe społeczeństwo, wykonana jest z taką siłą uczucia, z taką głęboką prawdą poezyi, że śmiało ją stawić można na równi z celniejszymi pięknościami naszej literatury. Szczególnie zaś podnosi wartość rzeczzonego ustępu idealna postać Anny, z dziwnym urokiem stawiona na samym przedzie obrazu w pieśni ostatniej. Jestto niejako kontrast serca, przeciwstawionego bezduszości instytucyi, zdolnych tylko potępiać bezwarunkowo. W osobie Anny wcielił poeta całe współczucie i że tak powiem, solidarność swoją z tym poe-

pnyim ideałem, jaki sobie w postaci Bieleckiego wymarzył. Anna bynajmniej nie tai tego przed sobą, że czyny jój męża są wobec ludzi i Boga występne wielce i grzeszne. Z jękiem rozpacz, mdlejąca, ujrzała go idącego po tój drodze zbrodniczej. Ale ta kobieta ma serce! Przyznając zbrodnię, umie ona wniknąć i w pobudki takowej. Odgaduje konieczność, która jój męża skłoniła do powzięcia takiego postanowienia. Lituje się nad nim i w jego upadku, jako go miłowała za dni szczęśliwszych. Słowem: Anna rozumie Jana. To też porzuca bez wahania i dom rodzicielski i kraj ojczysty, byle tylko nie opuścić opuszczonego przez wszystkich. I towarzyszy mu wiernie przez całą jego wędrówkę aż do samej godziny zgonu. A kiedy mu świat na ostatek i grobu nawet w nielitości swojej odmawia, onato słabemi dłońmi swojemi grzebie dla niego mogiłę. I czując wśród tój ostatniej posługi, siły coraz bardziej mdlejące, nadaremnie do drzwi cerkiewnych powtarzając stukanie, ażeby Bóg się zmiłował, kiedy ludzie nie mają dla niej litości: niknie biedna z wysilenia nad grobem — niedokopanym! Gaśnie w niemój boleści zwolna, „jako w Bogu tonące modły — jako daleki śpiew“, i usypia przy zwłokach męża — na wieki...

Najpiękniejszy ten ustęp na samym końcu powieści — miała to być ze strony poezyi niejako rehabilitacya człowieka, którego twardy porządek ziemski potępił nazwiskiem zdrajcy, a nad którym anioł boży w postaci kobiety owój — zapłakał. I te łyzy czyste miłości i zlitowania tak zaważyły na szali onego żywota, do połowy złożonego z przestępstw, a do drugiej połowy z cierpień, że i my potomni sympatyzujemy ostatecznie z bohaterem tój staropolskiej tradycyi.

Jeżeli jednak z nim sympatyzujemy, to tylko pod następującem zastrzeżeniem. Widzę się tu zmuszonym przypomnieć, co się już wyżej powiedziało w ogóle o formie powieści poetyckiej, że wielką w niej odgrywa rolę owa urywkowość i epizodyczność, pozwalająca autorowi dobrą część swego zadania co krok pozostawiać własnemu domysłowi czytającego. Owoż i w tym razie od czytelnika to jedynie zależy, zapędnąć sobie własną wyobraźnią tę przerwę, jaka przypada na środek poematu, kiedy to Bieleckiego

po zniszczeniu jego wioski z oczu tracimy, aż do powtórnego jego wystąpienia na scenę, w roli przywódcy Tatarów. Doznana ze strony starosty obelga i krzywda, a przy niej i ogłoszenie z całego mienia, jak są opowiedziane przez autora, mogły wprowadzić i musiały zrodzić w sercu szlachcica namiętne pragnienie zemsty. Jednakże dalekie to wszystko jeszcze jest od jaskrawości pobudek, jakieby zejść musiały, zanimby się człowiek w położeniu Bieleckiego ówczesném puścił na takie drogi zapamiętałęj żądy odwetu! Wyprzeć się wiary ojców swoich i nie tylko zapomnieć o ojczyźnie, ale ją jeszcze splawić w powodzi krwi niewinnęj — to są rzeczy, o które się nie tak łatwo pokusić. Łatwiej to wszystko pomyśleć i zamierzyć, aniżeli wykonać. Prędzej się kto odważy na wszelką inną zbrodnię, choćby największą, choćby najprzeciwniejszą naturze ludzkiej, niżeli na to. Doprowadzenie rzeczy takiej do końca jest wynikiem długiego pasma planów i środków i obmyślonych sposobów, które potrzebują dla siebie i czasu długiego, zanim zrodzą ostateczny swój owoc. Owoż właśnie z tego powodu szła namiętny, któryby pchnął kogoś na razie ku stronie takiego postanowienia, sto razy tymczasem by się ulotnił i ostygł, zanimby dzieło doszło do skutku.

Jeżeli zatem patrzymy na Bieleckiego i w tej jeszcze chwili jego zawodu z pewną wiarą w prawdę poezyi: to chyba już jedynie dlatego, ponieważ wychodzimy z przypuszczenia, iż nie zależało na tém autorowi, żeby przedeptać, że tak powiem, krok za krokiem tę całą przestrzeń, jaka człowieka dzieli od normalnego usposobienia aż do najwyższej burzy wszelkich żywiołów w jego jestestwie. Wyobrażamy sobie na przykład, że się Bielecki poprzednio w inny sposób i niejednokrotnie kusił o dokonanie zemsty; że wszystkie jego usiłowania wywarcia jej w granicach, że tak powiem, względnie godziwych, były wobec przemocy, wobec przezorności magnata nadaremne; przypuszczamy, że tymczasem mogła i niejedna nowa obraza zejść ze strony tryumfującego możnowładcy, która serce szlachcica już i bez tego zranione, tém zapamiętałym bolem porwała... Słowem poddajemy się wrażeniu, jakbyśmy słyszeli z ust poety, że on tę całą skalę pośrednich pobudek, zażegających coraz silniej, wiodących coraz nie-

uchronniej człowieka do ostateczności, otwiera dla naszej wyobraźni, ale zakrywa dla oczu naszych, i że im ukazuje wtedy dopiero znowu swego człowieka, kiedy ten stanął już na samym szczycie tego szaleńczego i opętania, które jak ogień piekący pozbawia go odpowiedzialności za wszystko, co przedsięwzięje w tym stanie...

Rzecz o **Mniehu** i **Arabie** zbędziemy krótko. Sąto utwory już z tego powodu mniej znaczenia mające, że były tylko odbiciem wrażeń wzbudzonych obcym natchnieniem. Rozczytywanie dzieł poetów angielskich a mianowicie Moora i Byrona, których fantazyja lubiła się zasilac zasobami wschodniego świata, poddało Słowackiemu myśl przeniesienia i swoich także ideałów na tło stosunków orientalnych, chociaż ich wtedy nie znał jeszcze inaczej, jak tylko z książek. Utworzenie obu poematów było podzielone pracą nad innemi rzeczami. Mnieh powstał przed Bieleckim, zaraz po ukończeniu *Mindowy*. A Arab należy do plodów najpóźniejszych w obu tych tomach, gdyż tylko *Żmija* jest jeszcze późniejszej daty. Rzecz dziwna, że wartość tych dwóch orientalnych powieści, nieskończenie nierówna, ma się w odwrotnym właśnie stosunku do czasów, w których jedno i drugie powstało. Arab, pomimo wybornego wiersza i wszystkiego, coby rzec można na pochwałę o jego zewnętrznej formie, jestto prawdziwy lapsus ingenii; podczas gdy Mnieh, pominawszy pewne nieprawdopodobieństwa w szczegółach, poniekąd wytrzymuje krytykę.

Głównym tematem jest i tutaj odstępstwo wiary i tradycji ojczystej. Szczególna rzecz, że ta właśnie materyja tak często zaprzętała wtedy wyobraźnię młodego poety. Między siedmiu jego pracami objętymi w obu tych tomach, cztery obracają się właśnie około tego motywu. *Mindowe* zmienia religią z rachuby i nieszczęrze. Bielecki z konieczności. *Żmija* udaje chrześcijanina z powodu przypadkowych okoliczności. Jeden tylko Mnieh zostaje apostatą z całą wiarą, że dokonywa zmiany na lepsze, i czyni to z wolnej woli. Są zatem, jak widzimy, pewne odcienie w szczegółowym przeprowadzeniu tej myśli; ale grunt rzeczy jest zawsze jeden i

następstwa czynu takiego. Prowadzi to zawsze do osamotnienia jednostki na tle całej reszty sobie podobnych i do nieuchronnej walki z ogółem, ani zdolnym zrozumieć pobudek tej apostazy, ani też skłonny do przebaczenia takowej. Ta kolizja była tedy ciągłym przedmiotem rozmyślań Słowackiego przed rokiem 1831...

Poeta stawia przed nami zakonnika jakiegoś w klasztorze na górze Synai, zdającego spowiedź z całego życia, spowiedź ostatnią, gdyż wątek życia tego człowieka właśnie się kończy. Młodość jego, pełna świetności, nie taki zapowiadała mu koniec. Syn zwierzchnika jednego z najdzielniejszych pokoleń arabskich, przywoził i sam za młodu nieraz w napadach na karawany.

„Niegdyś na czele pokolenia ludu

Ścigałem w piaskach z płócien miasta błędne“.

Nie chodziło mu przy tém bynajmniej o zdobycz, o pomnażanie skarbów dziedzicznych. Szukał niebezpieczeństw, bo gardził spokojem życia. Walki miały dla niego urok, bez względu na to, jaki ich skutek. Przygody, trudy, niewczas były potrzebą jego ducha.

„Niegdyś szczęśliwy wśród nędzy i trudu,

Pogardy okiem patrzyłem na nędzę“...

.....

„Marzyła dusza!... Ileż razy w spieki

Ścigałem w stepach znikome obrazy“...

Gdy więc tak często bez celu zapędzał się ten młody Arab w stepy bezludne, zdawało mu się raz jednego, jakby słyszał jakiś przeciągłe a melodyjne tony, które mu z daleka wiatr zachodni przynosił.

„Wypuszczam konia i gonię za śpiewem;

Śpiew ten brzmiał w niebie, na ziemi, dokoła —

Coraz doganiam wyraźniejsze tony,

Wkrótce ujrzałem złoty krzyż kościoła:

Tym smutnym śpiewem brzmiały wasze dzwony.“

Prześliczne jest miejsce, gdzie dziki ten syn pustyni opisuje pierwsze wrażenie, jakiego doznał za wniknięciem do chrześcijańskiej świątyni:

„Wchodzę — stanąłem przy ciemnym filarze,
 W oczach się lśniły złociste ołtarze,
 Wyście śpiewali i światła palili.
 Ściana jak niebo gwiazdami okryta;
 Każda kolumna jak palma stepowa,
 A na jój czole złoty liść rozkwita,
 A pod jój stopą skała marmurowa.
 Promień z barwionych bijąc szyb kościoła,
 Niósł z sobą obraz na szkle malowany,
 A potem w dymie kadzidel zbłąkany,
 W mglistych błękitach utworzył anioła.
 Nie znałem wówczas sztuki malowidła,
 Widziałem tylko, że anioł nade mną
 Rostaczał złotem malowane skrzydła,
 Spływał i patrzył w duszę moją ciemną“....

Wrażenia te tak silnie wstrząsnęły duszą Araba, że porzucił wiarę ojców i został chrześcijaninem.

„Ty mówisz, mnichu, że to dzieło cnoty? —
 Ale Bóg ciężką zesłał na mnie karę!
 Dni moje gorzkie zatruły zgryzoty:
 Wszyscy odbiegli, bracia się zaparli,
 Sam ojciec przeklął: — „Idź wyrodne dziecko!
 Idź w świat! i zostań sam jeden na świecie“...“

Ta klątwa ojca spełniła się dosłownie. Młody renegat, odepchnięty i nienawistnie prześladowany przez swoich, ziścił nawet sam owo straszne przekleństwo. Zaczepiony przez brata, zabił go, nie wiedząc w chwili czynu, komu śmiertelną ranę zadaje. Napadnięty potem przez ojca, uszedł wprawdzie przed jego gniewem i przywdziewszy habit zakonny, zagrzebał się w owym samotnym klasztorze. Lecz i tam dosięgła go fatalna siła przekleństwa. Przy odpieraniu napadu jakiegś tłuszczy Arabów, którzy w nocy, znie-nacka, uderzyli na klasztor, żeby go złupić, jegoto oręż powalił trupem herszta owego tłumu. Klasztor został ocalony, ale się okazało, że tym hersztem — był jego ojciec...

Tak więc (nie przeczę, że wielkim kosztem podobieństwa do

prawdy!) jego własna ręka spełniła w całej grozie owę klątwę ojcowską.

„I pokolenie płacze po swym królu;
A jam ostatni z królów pokolenia,
Jako pszczoła matka, gdy w wymarłym ulu
Siedzi posępna nad córek grobami,
I sama szuka grobowego cienia.“

Mógłby teraz zażywać spokoju, kiedy wyginęli już wszyscy, którzy mu go zamaćali, gdyby... nie własne jego serce! Onoto zaczyna się teraz domagać praw swoich, których zaspokoić nie nie potrafi na ziemi. Świat nowy, w który przeszedł, murem opasany klasztornym, nie odpowiada jego pragnieniom, nie czyni za- dość jego ideałom, i nie może być jego światem! Takie życie, to śmierć przed zgonem, to martwość! Pod kapturem zakonnym

„Myśl moja wyszła, jak źródło stepowe,
Ja sam jak palma usycham i więdnę“...

Nawet pacierze tych ludzi, których już widzi w myśli snu- jących się około trumny, w której go zamkną, gdy umrze: — martwe to modły, zimna to boleść!

..... „Niosą kir, kobierce
I światła w rękach i zakryte czoła;
Modlą się za mnie — lecz nawet pozoru
Nie ma boleści!... Zimne mnicha serce
I modły zimne jak mury klasztoru!“

Domierza tedy życia w chrześcijańskim klasztorze, ale wi- dzi się w nim jakby wygnańcem z innego świata, jakby obcym pośród obcych. A tamten świat, do którego myślą powraca „cho- ciaz łza jego, pamięć przodków plami:“ już się także odsunął od niego przepaścią nieprzebytą na wieki! Ani więc tu, ani tam — nigdzie — nie ma dla niego miejsca! Żył samotnie— umiera z uczuciem opuszczonego przez wszystkich, z wiedzą, że i za grobem nie znajdzie swojej sfery. Żałuje przeszłości, którą zmarnował, rozpacza o przyszłości, której nie zasłużył. Ostatnia jego wola zaleca, aby mu wykopano gdzie na samotnych stepach grobowiec, wśród jakiejś kwietnej oazy, gdzie może drzewa czul- sze będą, niżeli serca ludzkie.

Drugi poemat, zatytułowany *Arab*, uważam za poroniony plód excentrycznej... mizantropii raczej, aniżeli fantazyi. Słowacki tak się wżył w ten świat ideałów ujemnych, iż mu się zdawało, że dość uderzyć w ten ton nieustającej zwady z całym rodem człowieczym, żeby zagrać melodyą, żeby stworzyć poemat. Przesuwa tu przed oczyma naszymi wicherzącego, jak uragan stepowy, nie człowieka, ale demona jakiegoś, którego przeszłość zgola niewiadoma, a témsamém i powody całej jego wściekłości zwróconej przeciwko ludziom. Nie znam żadnego dzieła, nietylko Słowackiego, ale w całej literaturze, naszej i postronnych, w którejby treść całej owój wtedy przez niego wyznawanej doktryny była wypowiedziana tak wręcz i bez żadnej ogródki, jak właśnie w tym poemacie. Jestto najlepsza satyra, jaką dla zdyskredytowania stanowiska takowego tylko było można napisać. Sądzi się sama i nie ma potrzeby dłużej się nad tą rzeczą rozwodzić.

Przystępuję do ostatniego z utworów, które zamierzyłem rozebrać w tym rozdziale, do *Żmii*; i zdaje mi się że się nie rozminę z przekonaniem ludzi mających zdrowe zdanie o tego rodzaju rzeczach, jeżeli powiem, że ten oryentalno-ukraińsko-histeryczno-fantastyczny poemat o sześciu pieśniach nie tylko z wyższego, to jest etycznego punktu widzenia, ale nawet i pod względem artystycznym uważać trzeba za pracę, która się zupełnie nie udała autorowi. Pozostawia ona przy czytaniu niesmak jakiś wielce niemiły, którego powody zdaje mi się, nie polegają jedynie na zbyt rażących nieprawdopodobieństwach, jakie się tu spotykają, ale jeszcze i na czémś więcej. Autor sądził o tém wszystkiém inaczej. Nazwał utwór ten romansem poetycznym z podań ukraińskich i zamieścił go na samém czele tomu pierwszego w przekonaniu, że to jest najdoskonalsze dzieło jego ze wszystkich, które wtedy ogłaszał. Oto, co w téj mierze pisał do matki, która jak się zdaje musiała była w ogóle zrobić jakąś mniej korzystną uwagę o budowie niektórych jego utworów.

„Zdanie Mamy jest zupełnie słuszne; ale przeczuwam, że postrzegany przez Mamę brak w całościach jest skutkiem

rozpierzchłych pieśni Żmii. Muszę więc tu wam wyznać, że ten nieporządek w układzie jest koniecznym, że Żmija zdaniem mojem i wszystkich jest najdoskonalszym z moich poematów. Jeden z najsławniejszych naszych krytyków (?) powiedział o mnie przeczytawszy Żmiję, że cały naród ożył w pieśni; że tam, gdzie inni z murów cegielki dobywali, ja całe mury wzniosłem. Cieszy mnie, że Żmiję wszyscy znajdują najlepszym, bo to jest mój ostatni poemat; widać więc, że postępuję i kształcę się". (dnia 30 lipca 1832 z Paryża).

Ta wzmianka o zdaniu owego „najsławniejszego z krytyków“ dostarcza tylko jednego przykładu więcej na to, że jeżeli w innych literaturach krytyka jest wielką dźwignią i dla powodzenia pisarzy i do kierowania smakiem czytającego ogółu: — u nas rzecz się ma wcale przeciwnie. Tak zwani krytycy nasi — z małym wyjątkiem, począwszy od pierwszych czasów, gdzie się zjawili — uczynili wszystko, żeby kiedyś powiedziała o nich ta karta dziejów literatury, która tę sprawę podniesie, że gdyby autorowie i zdrowa część społeczeństwa byli poszli za nimi: byłoby się wreszcie skończyło na tém, że u nas czarne byłoby białem, rozumne niedorzecznem, chorobliwe szczytnem, oklepiane jedynie uprawnionem i t. d. Dałaby się z tego tekstu napisać bardzo ciekawa monografia i warto, żeby się kiedy kto zajął tym przedmiotem. Bajka Krasickiego o Młynarzu, synu jego i ośle mogłaby tu służyć za ilustracją do każdej karty; i wyszłyby na wierzch rezultaty zabawne i ciekawe, choć niekoniecznie pochlebne, a tém mniej budujące... Co się tyczy autora Żmii, śnać go łudziła albo ta okoliczność, że było to najmłodsze dziecię jego ducha, albo mu też może to pochlebiało, że cała osnowa tego poematu była jego własnej inwencji. W notach dodanych na końcu poematu wyraźnie zwraca też autor na to uwagę, że „romans tu umieszczony jest prawie zupełnie utworem imaginacji.“ Z dalszych słów wynika, że wszystko, co przejął gotowego z podań przeszłości do ułożenia sobie tak rozległego przedmiotu, ograniczało się do następujących bardzo mało ważnych punktów oparcia. Jest gdzieś na Ukrainie wał ogromny, nazywany przez lud wałem Żmii; ten zaś zdaniem niektórych miał być jednym z pierwszych i najdawniejszych wodzów Zaporozża... Wiadomą dalej

jest rzeczą, że Kozacy na łodziach swoich, które nazywali czajkami, podejmowali nieraz dalekie wyprawy morskie, i czasem zapędzali się aż pod mury samego Carogrodu. Oprócz tego jest znowu wzmianka w którymś pamiętniku polskim, że razu pewnego został jakiś Basza turecki wzięty w niewolę przez Kozaków i był trzymany na pośmiewisko w klatce, jak drugi Bajazet... Nakoniec opowiada Beauplan w znanym swoim opisie Ukrainy sposób, w jaki Kozacy i Tatarzy polować byli zwykli na sumaka. Tenże pisarz wspomina też o jakichś ruinach zamku, wzniesionego niegdyś wysoko po nad wodą na jednej z wysp dniewprowych. I oto już wszystko, z czego samemu dopiero wypadło autorowi dosnuć sobie reszty osnowy dla wypełnienia poematu o sześciu pieśniach. Nie bywszy zresztą sam nigdy ani w okolicach nad Dnieprem, ani też w krajach tureckich, któreto światy obydwu służą tu na przemian za scenę zdarzeń, zmuszony był puścić wodze fantazyi i ledwie się tedy owędy wiadomościami z drugiej ręki zasilął, jakich mu dostarczali Beauplan, Grądzki, Zaleski, Goszczyński, a głównie poeci angielscy, malujący orientalne stósunki.

Powyższe okoliczności oczywiście nie mogły być po temu, żeby dzieło tak założone rozległe, wypadło tak korzystnie, jak się tego można było spodziewać już po autorze Maryi Stuart i Bieleckiego. Z téjto głównie przyczyny koloryt Żmii jakoś zanadto jest mglisty, wątpliwy. Sfera tego poematu zanadto jest fantastyczna, jak na poemat tradycyjny w rodzaju na przykład Zamku Kaniowskiego; a zanadto ma znowu barwy historyczno-miejscowej, jak na utwór czystej fantazyi w sposobie Aryosta. Jest to tak dalece i jedno i drugie zarazem, że ostatecznie czyni wrażenie rzeczy, o której się mówi, że jest ni to, ni owo...

Ale te wszystkie niewłaściwości nie byłyby mogły Żmii — przy talencie poety — tak stanowczo zaszkodzić, gdyby nie inna pomyłka, na którą warto zwrócić uwagę. Żeby rzeczy nie przedłużać, pomijam milczeniem gwałtowne naciągnięcia i nieprawdopodobieństwa, na które dzieło to laboruje w wysokim stopniu, a które zbyt są rażące, żeby potrzeba było je wykazywać. Nie powiem ani słowa o chorobliwości figury odgrywającej tu główną ro-

lę, bo musiałbym chyba tylko powtórzyć, com w ogóle o ludziach Słowackiego powiedział. Zato podneszę uchybienie, którego się autor tylko w samym Żmii dopuścił, a które zdaniem mojem główną jest tego przyczyną, że utwor ten w czytaniu męczy i nuży. Uchybienie to upatruję w posunięciem po za wszelkie granice miary rozstrzeleniu pojedynczych ustępów Żmii. Niepodobieństwem jest dla czytelnika, aż do środka pieśni piątój (a zatem przedostatniej), ogarnąć tu okiem wiązania łączącego poszczególne zdarzenia i epizody w całość. — Skądinąd podnosi to wprowadzie artyzm dzieł poetyckich, jeżeli miesza się do ich składu i cokolwiek nieprzeniknionej na razie tajemniczości. Wyłożenie wszystkiego od razu jakby na dłoni — z rozmazującą najmniejsze drobnostki expozycją, spospolitowałoby tylko ośnowę poematu. Taka zupełna ewidencja może być tylko zaletą prozy, a nie poezyi. Ale autor nasz przesadził tu w dobrych chęciach, i posunął ubieganie się o tę kunsztowną nieprzeniknioną w budowie Żmii do tego stopnia, że zamiast czytelnika zaciekać temi ciągłemi zagadkami, które mu poddaje, raczej go czyni wreszcie obojętnym na wszystko.

W pierwszej pieśni maluje w obszernych ramach łowy na sumaka. Ponieważ wcale się nie domyślamy, jaki te łowy związek mieć mogą z głównem założeniem powieści, czytamy je z roztargnieniem, życząc sobie co prędkiej końca. Następuje pieśń druga, a w niej wprowadzenie nowej zupełnie postaci, Xeni. I tu znowu ani sposób dorozumieć się, co ta epizoda ma za związek z łowami, i co ona znaczy w całości poematu? Dociekamy, kto jest ta Xeni? Przypominamy sobie, żeśmy coś podobnego już i gdzieindziej widzieli — w Zamku Kaniowskim. Natrętna kochanka Nebaby nawet imieniem się nie różni od zagadkowej postaci w tej części „Żmii“. Ale Słowacki daje domysłom naszym inny obrot, wkładając w sam środek tego epizodu długą „Powieść kozacką“ o Rusałce w sposobie dumek Zaleskiego. Tym ustępem najmityczniejszej ośnowy najzupełniej zbija nas z tropu, na którychśmy już już wpadali. To też przeczytaliśmy całą część drugą dzieła i znowu nie rozumiemy nic! W nadziei, że nam zagadkę wyjaśnią dalsze karty, przystępujemy do pieśni trzeciej. Ale tu zastępuje nam drogę znowu inny obraz, obraz zbrojnej wyprawy

czajek kozackich na morze Czarne. Czujemy się tu wprawdzie już na gruncie głównych wypadków; ale się wychyla znowu inny przedmiot nadaremnych dociekań naszych, Zulema. Wprowadza ją poeta tak tajemniczo, że się osłonioną być zdaje całemi warstwami mgły nieprzejrzanej. W pieśni czwartej przychodzi na pełnem morzu do boju między czajkami Żmii a jakimś okrętem tureckim. Selim, syn baszy i dowódcy tego okrętu, ginie w tej walce, sam basza pierzcha. Lecz kto ten Selim? kto ten basza? jakie znaczenie tej potyczki na morzu? czy było to tylko zajście przypadkowe, czy też ma bliższy związek z główną osnową? — I to wszystko — jeszcze zagadka! I w piątej nawet pieśni cała pierwsza połowa ma znowuż wszelkie pozory ustępu nienależącego do rzeczy. Chodzi tu o wzięcie w niewolę jakiegoś baszy anatolskiego, które też i przychodzi z wielkim trudem do skutku. Dopiero wreszcie od środka tej części Żmii, naraz zaczyna się wyjaśniać, że te wszystkie pasma rozpieczę, które w pojedyn-
czych pieśniach zużyły i niecierpliwiły uwagę, tworzą całość jednolitą i dopełniają się wzajem. Łowy na sumaka — Xenii ze swoim dzieciąciem — powód istotny wyprawy na miasta mułmańskie — zapalczywa walka z Selimem — szalona nienawiść ku baszy, którego Żmija nareszcie pochwytyje w niewolę — zagadkowa osobistość Zulemy itd. wszystko to nagle staje się teraz zrozumiałem, usprawiedliwionem, dodałbym że się staje i pięknem, gdyby było rzeczą ludzką, przeistoczyć naturę wrażeń — już odebranych. Ale wrażenia odebrane należą do przeszłości, a ta stęgła jest i nic działać wstecz na nią nie może. To też przez to zanadto późne odkrycie nader sztucznego węzła powieści mało się zmienia na lepsze ostateczny sąd czytelnika o dziele, które już jest przeczytanem i w ciągu czytania nie bardzo zajmowało.

Stanęliśmy u kresu. Znamy teraz już ducha tych pierwszych prac Słowackiego, na mocy szczegółowego tychże rozbioru, i pojmujemy wszyscy podobno, ileto prawdy było w owych słowach Mickiewicza, że poezya tego młodego wieszczka — to gmach, sta-

wiany piękną architekturą jak wzniosły kościół, tylko że w kościele tym Boga nie ma. Zdanie to na razie oburzyło Juliusza. Bo też prawdopodobnie nie rozumiał on jeszcze wtedy, co mu właściwie Adam zarzucał. Słowa te na pierwszy rzut oka wydają na zarzut bezbożności. Do bezbożności Słowacki ani w życiu własném, ani w pismach swoich się nie poczuwał. Lecz Mickiewicz miał też zupełnie co innego na myśli i wyrzekł to, co rozumiał, w formie przenośni, a nie w dosłownym sensie. Nie wytykał on tu braku religii, ale brak rzeczy, która témsamém jest w poezji, czém jest obecność bóstwa w kościele; wytykał brak tego, co stanowi cel wszelkiej sztuki, a tém jest: wiara w lepszą część człowieka i w możność doskonalenia się jego tak jako jednostki, jako i w zbiorowości. Skeptycyzm społeczny zabija wszelkie popędy działania, a témsamém znosi i podstawę saméjże poezji, téj najpotężniejszój dźwigni z materyalizmu ku ideałom.

W kilka lat potem i samemu autorowi Żmii otworzyły się oczy na ten brak w początkowych jego kreacyach. Już w trzy lata po ogłoszeniu takowych, przyznał się matce, że „znenawidził swoje pierwsze utwory i że czuje potrzebę, aby coś jasnego nappełniało jego karty, aby więcej łez było w słowach“... A pod koniec życia jeszcze surowiej o nich sądził. „Wstyd mi — mówił natenczas — wielu melancholii byrońskich. Strach, aby one nie zaraziły innych.“

W saméj rzeczy, byłato tylko jakaś naleciałość skądinąd, której się w młodszych latach wielki ten talent poddawał. Byronizm — pojmowany i przesadnie i jednostronnie — oto, co przyjął Słowacki nie tylko za regulatora w pracach swoich autorskich, ale poniekąd nawet i w życiu. I w życiu swoim, zwłaszcza za młodu, był on w wyobrażeniach i sądach, w nałogach i imaginacyjnych cierpieniach swoich, co się zowie bajronistą. Było w tém z razu coś sztucznego; lecz wzrósł młody nasz poeta i dojrzewał pod wpływem tego kierunku tak konsekwentnie i systematycznie, że mu się to bajronizowanie wreszcie przemieniło w drugą naturę.

Ale bo też młodość Juliusza przypadła właśnie na czasy najgłośniejszój sławy i największój w świecie umysłowym przewagi te-

go genialnego człowieka. Wygórowanie przewagi téj poczyną się od roku 1824, roku śmierci Byrona. Wprawdzie był Byron już i za życia przedmiotem powszechnego podziwu. I wielbicieli jego i antagoniści (a było ich pomiędzy Anglikami niemało), w tém jednym się między sobą zgadzali, że był to geniusz pierwszego rzędu. Stémwszystkiém aż do r. 1824 wyjątkowe, niezwykłe, częstokroć gorszące okoliczności jego życia rzucały cień niekorzystny na wszystko, co tylko wychodziło z pod jego ręki. Oskarżano go o rzeczy, które popełnił i których nie popełnił. Do niekorzystnych o nim pogłosek, które miały po sobie słuszość, doczepiło się — nie powiem drugie tyle, ale nieobliczone mnóstwo baśni i potwarzy ohydnych, wyległych w bujnej wyobraźni jego nieprzyjaciół lub też tych bezmyślnych plotkarzy, którzy choć go nie widzieli na oczy, umieli jednak rozpowiadać o nim, jakby go znali najlepiej. Z tak mętnych źródeł wyrobiła się o nim z czasem opinia — w Anglii i po za Anglią — najbałamutniejsza w świecie. I na mocy téj opinii nie tylko ryczałtem potępiono życie jego prywatne, ale potępiano i cały zawód jego jako pisarza. Dzieła Byrona miały rzeczywiście więcej związku z osobistością autora, aniżeli by to powiedzieć można o jakimkolwiek innym pisarzu. Rzadko tylko i wyjątkowo podejmował on przedmioty, któreby nie potraçały o zdarzenia rzeczywiste, których był świadkiem, uczestnikiem lub sprawcą. Dodajmy do tego, że wszystko co pisał, lubił otaczać umyślnie jakąś tajemniczością. Przy takich okolicznościach ani się było można spodziewać spokojnego i bezstronnego sądzenia jego utworów. Chcąc je rozumieć, trzeba było znać wewnętrzne dzieje poety, a te zaledwie najbliższym przyjaciółom Byrona były wiadome. Liczba takowych była bardzo mała, wreszcie nikt ich natenczas nie słuchał. To też nawet najżyczliwsi, pod wpływem obiegujących po całej Europie plotek, dziwnie sobie tłómaczyli jego kreacje. Przypomnijmy sobie tylko na przykład, co Göthe w szczególny sposób rozpowiada o znaczeniu Manfreda, w rozprawce pisanéj w kilka lat po ogłoszeniu tego dramatu, ale jeszcze za życia autora! Jeżeli więc tak niepodległy, tak bystry i życzliwie dla Byrona usposobiony umysł nie był zdolny ani przeniknąć prawdy, ani też w jéj czystém świetle spo-

glądać na jego twory: cóż dopiero za wyobrażenie mogła mieć o nich cała massa zwyczajnych czytelników?

Dopiero tedy po śmierci jego nastąpiło, czego się zresztą i sam Byron spodziewał. Znajdują się w pamiętniku jego te słowa: — „Sprawiedliwość będzie mi wymierzona wtedy dopiero, kiedy ta moja ręka, która to pisze, będzie tak zimna, jak serca, które życie moje zatruiły.“ — Począł się teraz objawiać nagły a stanowczy zwrot wyobrażeń, w kierunku ku zupełnej rehabilitacji zmarłego, ku apoteozie nawet, choć do takowej znowu nie było dostatecznych powodów. Zwykle to zjawisko w kolejach sądów ludzkich, zawsze skłonnych do przeskoku z jednej ostateczności w drugą... Zmiękły serca surowe na samą wieść o zgonie wieszczka. Zgon ten zbyt wczesny, w 37 roku życia, w porze najwyższej siły jego geniuszu — zgon idealny i prawie bohaterski, na klasycznej ziemi Hellady, w chwili jej wybijania się z pod barbarzyńskiego jarzma na niepodległość, wśród usiłowań, które odepchnięty od własnej ojczyzny Byron nie tylko majątkiem własnym sownie wspierał, lecz i pieśnią natchnioną to wywoływał, to unieśmiertelniał — zgon ten mówię pod tylu względami chlubny i nadzwyczajny rozbroił zaciętość wszystkich. Teraz dopiero — odezwali się wielbiciele poety. Z dokumentami w rękę przemówili przyjaciele zmarłego. Pojawiły się równocześnie biografie, pamiętniki, wspomnienia, listy, rozmowy i tym podobne pisma dotyczące Byrona. Odparto fałsze, uchylono potwarze, odsłonięto zalety i piękną stronę zgasłego życia. Stał rzetelny wizerunek poety — wizerunek poetyczny nad miarę, uwieńczony aureolą cierpień i krzywd, w znacznej części niezasłużenie doznanych — w moralnym względzie daleki wprawdzie od ideału i ze wszystkimi znamionami krewkości ludzkiej, ale dlatego nie gorszy od tysiąca innych, którym pomimo tego przecie nikt nie zamącał pokoju. W miarę takiej rehabilitacji osoby autora, zaczęto odtąd w świetle rzetelnej prawdy i o czynach jego poetyckich sądzić inaczej, i to pod względem ich moralnego znaczenia; artystycznej potęgi bowiem nie odmawiano dziełom jego i przedtém.

Gdy się to wszystko działo w ojczyźnie poety, wzięła i dalsza Europa z zajęciem żywszem na nowo dzieła Byrona do ręki.

Były one jćj już znane w pewnej części i dawniej z sporadycznych przekładów francuskich i niemieckich, z których najrychlejsze przypadają na czasy przed rokiem jeszcze 1820. Ale właściwie teraz dopiero zaczęto na wyścigi na najrozmaitsze języki tłómaczyć wszystko, co tylko pochodziło z pióra Byrona. Nie było w Europie literatury, na którejby obliczu w latach owych nie pojawił się już mniej, już więcej wydatny odbłask natchnień tego poety.

Temu powszechnemu prądowi nie mogła się oprzeć i nasza literatura. Wpływ Byronizmu w Polsce, przed rokiem 1830 i przez kilka jeszcze lat potćm, był w samej rzeczy większy może, niż się to dzisiaj niejednemu wydaje. Zestawienie przekładów dzieł Byrona na polskie nie daje wprawdzie ani o czasie, ani o stopniu tego wpływu dokładnego wyobrażenia. Gdybyśmy bowiem z nich o tćm mieli brać miarę, to wypadłoby wnosić, że przewaga bajronizmu zaczęła panować u nas na dobre dopiero około r. 1833; albowiem najlepsi nasi tłómacze tego poety wtedy dopiero wystąpili. *) Tymczasem wniosek taki byłby zupełnie mylny.

*) Notuję tu najcelniejszych:

Julian Korsak (Wićzien Czynonu 1830, Lara 1833). Adam Mickiewicz (Giau 1834). A. E. Odynieć (Korsarz 1834, Narzeczona z Abydos 1838, Niebo i Ziemia 1841, Mazepa 1843). Franciszek Morawski (Wićzien Czynonu 1841, Manfred, Mazepa, Obłćżenie Koryntu, Paryzyna 1853). Józeć Paszkowski (Manfred, Kaim 1842). Antoni Zawadzki (Werner, Żale Tassa, Narzeczona z Abydos, Wyspa 1846). Antoni Czajkowski (Beppo, około tegoż czasu; Don Juan, w rćkopisie). W. hr. Baworowski (Childe Harold 1856, Don Juan 1863). Michał Budzyński (Childe Harold 1857, Proroctwo Dantego 1858). Adam Pajgert (Wyspa 1859). Michał Chodźko (Manfred 1860).

Pierwsi nasi przekładcze Byrona, Bruno hr. Kiciński (Korsarz, Obłćżenie Koryntu 1820) i Władysław Ostrowski (Dzićwica z Abydos 1821, Giau 1830), nie mieli sił po temu, żeby dzieś jeszcze można było kłaść jakiś przycisk na ich przekładach. Pierwszy, to jest Kiciński, tłómaczył zresztą tylko z francuskiego, a nie z oryginału. — Przed rokiem także jeszcze 1830 spolszczył niektóre pieśni Byrona przecudnym wierszem Mickiewicz (Pożćgnanie Childe Harolda — Sen — Eutanazyja). Lecz to są rzeczy krótszej objćtości.

Oprócz tych wszystkich co tylko wymienionych, było jeszcze po r. 1834 kilku innych mniej zasłużonych tłómaczów polskich Byrona.

Od czasu bowiem pojawienia się *Pieśni Janusza*, *Komedyi Nieboskiej* i *Pana Tadeusza*, a zatem właśnie od r. 1833 i 34 poezja nasza zaczęła brać taki obrot, że bajronizowanie, jeżeli się kiedy wynurzyło na nowo, to należało już w każdym razie do zjawisk wyjątkowych i mniej też cenionych w piśmiennictwie. Tém bardziej zato zajmował ten kierunek umysły między 1824 a 1833. O czém ażeby się przekonać, nie dość jest dopatrywać posępnych barw bajronowskich na tle takich kreacyi pierwszego rzędu, jak na przykład *Zamek Kaniowski* albo *Marya*; lecz trzeba spojrzeć na płody poetów i rymotwórców pomniejszych. Naśladownictwo tych pisarzy przesadne, a wreszcie entuzjazm bezwarunkowy dla dzieł Byrona i dla wszystkiego, co tylko tchnęło tym duchem, musiał w gronie młodszej mianowicie generacyi przechodzić wtedy wszelkie granice, skoro jeden z ludzi naszych najwytrawniejszych a zarazem najwyrozumialszych, Brodziński, widział się zmuszonym w tym przedmiocie głos zabierać po kilka razy, przestrzegając w cierpki sposób przed niebezpieczeństwem grożącym z téj strony literaturze. Brodziński zaprawdę nie należał do liczby przeciwników nowego zwrotu poezyi. Owszem, onto był, który się głównie przyczynił do nadania jój takowego kierunku. Z saméj zasady było zatem w owéj kwestyi sędzia bezstronny. A jednak w rozprawach jego krytycznych z czasu przed r. 1830 znajdujemy częste wycieczki przeciw téj manii ogarniającej umysły.

Oto, co na przykład pisał był o tém w rozprawie *O Exaltacyi i Entuzjazmie*:

„Byron pędzłem najwięcej poetycznym zaciera wszelką poezję tego i przyszłego świata. W nieśmiertelności i nieskończoności samę tylko nicotę pokazuje i chciałby, żeby człowiek do niczego nie przywiązany, niczemu nie ufający, wkoło boleścią i ni-

Wyczerpującą o nich wszystkich wiadomość znaleźć można w dobrym artykule bibliograficznym przez K. Estreichera zamieszczonym w *Rozmaitościach Lwowskich* r. 1859, Nr. 17 i 18.

Dzięki usiłowaniom wymienionych pisarzy, posiadamy obecnie całego już niemal Byrona przełożonego na polskie. Nie znalazły dotąd tylko jeszcze następujące (większe) utwory: *Marino Faliero*, *Dwaj Foskarowie* i *Sardanapal*. —

cością, zagrożony, sam w sobie piekło wzniecił i w niem się strawił. Nie Wirgiliusz, jak Dantemu, nie Muza, jak wszystkim poetom, ale zły duch otwiera mu, równie jak jego Kaimowi, i serca ludzkie i światy nadziemskie, kryjąc we wszystkiem rządzącego Boga. Nadto, umiał on słabościom ludzkim nadać nie tylko powab, ale i pewny pozor wyższości, której źródłem i celem jest tylko namiętność w sobie ograniczająca człowieka i kłóca go z sobą samym....

„Czuje, na jak wiele się waży, mówi dalej Brodziński, czyniąc podobne uwagi o geniuszach tak słusznie wsławionych. Przecież zważając na pochop do naśladowania poetów, którzy tak oddzielnem byli zjawiskiem, godzi się w sprawie prawdziwej poezyi przemówić. Byron sam tylko mógł być takim, jakim był poeta. Próżno każdy usiłuje trafić jego drogą do celu. Od niego poczęli młodzi poeci gwałcić swoje pogodne uczucia, nosić w sercu sami nie wiedzą jakie tajemnice, i gorzko marzyć i szukać tego, co właśnie w pełni mają. Niknie w nich poetyczna naiwność; wiosnę życia szpecą nienaturalnie, liściem jesiennym od zarazy pożółkłym. Miasto tkliwego udziału ze światem, który ich łączy do siebie, kłóca się z nim; wyszukują starannie, ażeby tęsknić do czegoś, rozbierają swoje uczucia, jak bohaterowie sceny francuskiej swe położenia i w sprzeczności z własną naturą chcą znaleźć poezję“...

Za te słowa o Byronie gromił później Brodzińskiego Mickiewicz z katedry w Collège de France.*) I rzeczywiście zdaje się być na pozór wiele przesady w tych sądach Brodzińskiego o duchu lorda-poety. Wszelako krytyk nasz nie polemizował też z nim samym, ale z jego naśladowcami, o których śmiało powiedzieć można, że więcej w utworach ich bajronizmu, aniżeli w samym Byronie. U tego bowiem zawsze jest takt artystyczny i pewna miara we wszystkiem. Są zawsze okoliczności, które demoniczność postaci jego albo łagodzą, albo przynajmniej tłómaczą; które pozwalają jej się pojawiać, lecz że tak powiem w formie koncesyi. Bajroniści przeciwnie przyjęli wszystkie desperacye

*) Obacz Kurs roku IIgo, lekcya 29.

bajrońskie za wątek uprawniony sam przez się, za materiał gotowy — za rudę czystego złota, którą tylko topić i przelewać w posagi. I dlatego też miał rozważny autor Wiesława zupełną słuszość, kiedy wypowiadał przekonanie, że naśladowanie tego poety może być dla nas daleko więcej szkodliwem, niż wszelkie inne naśladownictwo. Jeżeli zaś co samym skutkiem usprawiedliwiło te Brodzińskiego obawy, to właśnie rola w jakiej wystąpił na początku swego zawodu oto nasz młody poeta! Bajronizm jestto klucz jedyny, za pomocą którego zrozumieć można, jak człowiek genialny, tylu nadzwyczajnymi warunkami usposobiony na prawdziwego wieszczę narodu, mógł się przez czas tak długi zaprzątać ideałami, które były po za wszelką wspólnością z gruntem naszego poczucia narodowego. Czy zwrócimy uwagę naszą na ogólne idee podłożone dziełom, któreśmy co tylko przebiegli, jako pomysły zasadnicze, czy też na ludzi w nich działających: w jednym i drugim razie wniosek nasz nie będzie inny, jak tylko że te wszystkie typy były odbiciem (dodajmy mocno skrzywioném!) tradycji byrońskich.

ROZDZIAŁ PIĄTY.

Druga połowa roku 1832. Ukończenie poematu *Lambro*. Smutne doniesienia z domu. Nowe niesnaski z Mickiewiczem. *Dziady*. Nagły wyjazd z Paryża. P. Lenormand i podróż do Genewy.

Ogłoszone poezye stanowiły przez kilka miesięcy po ich wydaniu główny przedmiot, na który była zwrócona uwaga autora. W listach swoich z owego czasu często do tego punktu powraca, jużto udzielając matce wiadomości o tém, co o dziełach jego emigracya sądziła, jużto odpowiadając na uwagi, jakie o nich przesyłała mu rodzina jego z Krzemieńca. Były bo też i szczególne przyczyny, dla których pragnął, aby to pierwsze jego wystąpienie dobrze było przyjęte. Miał on już wtedy w tece materyału nowego dosyć na zapełnienie trzeciego tomu. Poemat *Lambro* już był ukończony w r. 1832 (i to w pierwszych miesiącach). Chodziło więc znowu o fundusze na pokrycie dalszych kosztów nakładu, a miała ich dostarczyć dopiero sprzedaż dwóch tomów wydanych, z którą jednak nie wiodło się tak pomyślnie księgarzom, jak się z razu autor spodziewał. Dlatego też ogłoszenie trzeciego tomu wypadło odłożyć na czas późniejszy...

Pomiędzy listami, jakie z powodu dzieł ogłoszonych poeta nasz od różnych osób odbierał, doręczono mu i słów kilka z Wilna — od Ludwiki Ś. Przypominam, że posłał jój był w lipcu jeszcze egzemplarz dzieł swoich w darze, a przytém i list, z powodu którego równocześnie pisał do matki: „O! gdyby ona odpisała do mnie! Ale nie spodziewam się“... Otóż nad spodziewanie jego, po trzech miesiącach — z początkiem października — podziękowanie za pamięć od Ludwiki nadeszło.

„Ile z listu sądzić mogę, Ludwisia nie gniewa się za pamięć moję; owszem gniewa się, że za mało pamięci o niój w książkach. Otó są słowa z jój listu: — „Miło mi było w mojej cichój samotności przebiegać te odcienie myśli i uczuć znajomój mi duszy. W tych tworach poetę tylko widać — chował się człowiek — nieraz się jednak człowiek zdradził, a ja go poznałam... Żadnej już nie czytam książki; ale poezye Pana jak przyjaciela dawnego, nie jak książki przyjął, i tak zostaną u mnie, póki ja jeszcze cierpieć będę na ziemi.“ (Z listu z d. 8 Grudnia 1832 r.).

Na to spostrzeżenie, że się w utworach jego poetyckich ukrywał człowiek, rzucił autor taką uwagę:

„Spodziewam się, że jak wydrukuję Lambro, to mnie nie będzie obwiniać, że się kryję z mojami uczuciami. Myśle tylko nad tém, że trudno go będzie tam przesłać, bo Lambro straszny“...

Zresztą ówczesne życie Słowackiego w Paryżu nie nabierało wcale w oczach jego powabów. Znajomość z rodziną p. Pinnard była utrzymywana, ale jakoś od niechęć. Z samą panną Korą to zrywał, to zawięzywał znowu; lecz stósunek ten nie obiecywał długiej przyszłości — mimo jój przywiązania do niego. To też wyobraźnia jego łatwo zajmowała się innemi wrażeniami, przy lada sposobności — zawsze przełotnie i zawsze w taki sposób, że serce jego w tém wszystkiém wcale nie brało udziału. Więcej ono było przystępne dla uczuć przyjaźni, choć i w tym względzie nie było ono otwarte dla byle kogo. Z pomiędzy małej liczby osób, które wtedy w bliższych zostawały stósunkach z poetą naszym, był może jeden tylko, o którym powiedzieć można, że go łączyła ze Słowackim prawdziwa przyjaźń. Byłto człowiek cierpiący, schorzały, nierokujący długiego życia; nazywał się Zienkowicz. Do niego to ściaga się, co tu przytaczam z jednego z listów pisanych w owym roku do matki:

„Odebrałem znów list z Wersalu. Wspominam o nim dlatego, że słowa napisane na końcu, „twój do śmierci“, przez człowieka, który wie sam, że jest jój tak bliskim, dziwne na mnie i wstrząsające uczyniły wrażenie. Skąd ten człowiek mógł zawrzeć w dwóch słowach tyle poezyi! ... O godzinie 11 z rana wyjechałem do Wersalu, który leży o dwie nasze mile od Paryża, Zienkowicz wyszedł na moje

spotkanie, ale w drodze ominął się ze mną. Przyjechawszy więc, nie zastałem go w domu, lecz wkrótce nadszedł. Mieszkanie jego zupełnie wiejskie. Za domem ma niewielki ogródek, zarosły trochę dzikimi chwastami i opuszczony, ale bardzo miły dla mnie, bo właśnie pisząc moje pamiętniki dzieciństwa (Godzinę Myśli), tak się rozmarzyłem w przeszłości, że koniecznie dzień jeden musiałem przepędzić w cichym wiejskim domu. Ogród pięknym mi się wydawał — było tam kilka winogrodów rozpiętych na murze, — morel owocem okryty — kilka kwitnących róż — gruszek pachnące — i naokoło mur szary, a w kacie ławka z drzewa i nadpróchniała, gdzie córka gospodyni musi co dnia szyć i pracować, bo koło ławki widać dwie zachowane na pniu róże blade i już osypujące się z liści. Na tej ławce usiedliśmy, i często przerywając rozmowę, zastanawiałem się słuchając tej wiejskiej ciszy. Wszystko było zgodne z tą ciszą; nawet ten młody człowiek, który siedział koło mnie i oddychał ciężko — blade — i za kilka tygodni może także cichy i śpiący. — O piątą godzinę siedliśmy z nim do domowego obiadu. Jak zwykle u chłopców, było dobre wino, porter angielski, a wtenczas rozmowa zaczęła się weselsza. Do stołu posługiwała nam córka gospodyni 13letnia dziewczyna, bardzo do Hersylki (przyrodniej siostry Juliusza) podobna. Stawałem w jej obronie, ile razy mój towarzysz, jak zwykle, cierpki trochę w chorobie, gniewał się na nią za uchybienia w potrawach popełnione, bo często widział, że nie dopełnili jego rozkazów, gdy chciał aby potrawy litewskim były zrobione sposobem. Chcąc raz dziewczynkę znięszaną wywieść z ambarasu, poprosiłem ją o pachniący różowy groszek zatknięty w jej pelerynce. Wybiegła do ogródka i narwała mi mnóstwo groszków, ale w przyniesionym bukietie poznałem groszek, który zniknął z jej pelerynki, bo wszystkie inne może umyślnie przez nią, były zerwane ciemniejszego koloru. Udając, że tego nie spostrzegłem, powiedziałem do niej: ja nie o te kwiaty, ale tylko o twój różowy groszek prosiłem. Uśmiechnęła się — zarumieniała i odpowiedziała, pokazując na bukiet: *il est là, oh! vous le reconnaissez bien.* — Bardzo mi się podobała ta delikatna scena, i bądź pewną moja Mamo, że żadnym słowem nie zniszczyłem jej uroku. Potem Zienkowicz sporządził litewski kaliszan, taki jakiegoś w Wilnie pijali. Było tam piwo, porter, wino, syrop z konfitur, cukier, cynamon, cytryna i grzanki, słowem było wszystko, co tylko się mogło w wazie pomieścić... a tak był dobry, że się nawet mojej dziewczynie podobał... Po obiedzie poszliśmy do kró-

lewskiego pałacu, a kiedyśmy wychodzili, dziewczynka wyszła za mną na ulicę — i patrzała długo: — odwróciłem się jeszcze z daleka — uśmiechnąłem się i lekko schyliłem głowę. Chodziliśmy długo po parku — i słońca krąg czerwony zachodził za drzewami, tak że nań patrzeć można było. O godzinie 9tej wsiadłem do dyliżansu i tak szczęśliwie, że sam jeden w nim jechałem. Przez całą drogę marzyłem — jeżeli chce Mama wiedzieć o czém — to o dziewczynce. I wkrótce ujrzałem coraz gęściejsze latarnie — potem elizejskie pola — a potem ogłuszył mnie huk miasta. O godzinie 11tej wysiadłem na oświeconej gazem ulicy Rivoli. — Wracając do domu, ujrzałem w jednej bramie starca w porządnym surducie z tak schyloną siwą głową na piersi, że twarzy dojrzeć nie można było. W obu rękach trzymał kapelusz, ciemność nadawała mu jakąś wielkość nieszczęścia. Wrzuciłem mu do kapelusza pieniądz miedziany, bo mi przyszła myśl, że to może być udana wstydzącej się nędzy postać. Stał nieporuszony — milczał. Wstyd mi było myśli krzywdzącej starca — wróciłem się i rzuciłem do kapelusza pieniądz srebrny: — milczał... To milczenie tak mnie zastanowiło, że gdybym miał pieniądz złoty przy sobie, wróciłbym.... i chciałbym być, żeby jeszcze raz milczał.... Kochana Mamo! nie czytaj nikomu tego listu, bo mnie wezmą za głupca, że będąc w Paryżu, piszę o dziewczynie, co mi dała groszek, i o żebraku, który milcząc przyjął jałmużnę“... (dnia 30 lipca 1832).

Oprócz Zienkowicza miał Słowacki w owych czasach w Paryżu drugiego jeszcze towarzysza, z którym się świadczył i codziennie widywał. Był nim wspomniany już wyżej Michał Skibicki, tensam, któremu przypisane są Arab i Mnich wraz z wierszem umieszczonym na czele tych utworów. Oprócz tych dwóch, nie ma w listach śladu, żeby był wtedy w emigracji kto inny jeszcze bliższy serca Juliusza. Jest wzmianka (w miesiącu lipcu r. 1832) o przybyciu do Paryża Bohdana Zaleskiego, ale obojętna.

„Spotkałem dziś rano Boh. Zaleskiego; zaszedł mi drogę i poznał z daleka, choć bardzośmy się mało znali przed tem.“

Jest zapisek o Stefanie Witwickim, że także przyłączył się do grona żyjących na wygnaniu, ale z dodatkiem bynaj-

mniej nie świadczącym o wielkiej życzliwości. Jest słów kilka o Lelewelu, lecz niekorzystnych:

„Człowiek z kutasami u bótów (tak Śl. zwykle Lelewela w tej korespondencji nazywał) jak antreprenier w kłopotach, traci szacunek u ludzi, bo się ciągle intrygą zajmuje i w tutejszej babilońskiej wieży pomieszał języki. Smutno tu patrzeć na to, co się tu dzieje“... (list z dnia 9 listopada 1832).

Jest notatka o pani Hofmanowej, ale także sucha, jeżeli nie uszczypliwa.

„Jest tu panna niegdyś Tańska i pisze, jak słyhać, opisanie Paryża dla dzieci — może to być bardzo ładne. Zdaje się, jakoby się tu cała literatura przeniosła, to jest literatura młoda — literatura kobieca, garbata trochę — literatura kłótniwa trochę, paszkwilowa — a została się tylko u siebie literatura klasyczna czyli niema“...

To też w strony ojczyste, do grona rodziny, w przyszłość, która go kiedyś ze swymi miała połączyć, najbardziej się lubił przenosić myślą Słowacki z tego gwaru i wiru krzyżujących się stósunków, jakie tworzyła ówczesna emigracja. Miłość matki i przywiązanie rodziny miały go wynagrodzić za wszystko.

„Gdyby ludzie o wszystkiem nie zapominali — pisał d. 9 listopada 1832 — ty matko i mój ojciec zostawilibyście mi na świecie wielu przyjaciół. Ja... nie powinienem mieć syna, bo nawet dla siebie jednego przyjaciela znaleźć nie mogę — cóżbym mu więc zostawił?“ —

Nadzieja, że odzyska kiedyś miejsce stracone przy familijnym stole i że znajdzie wszystkich i wszystko na dawnym miejscu — ta nadzieja najwięcej w nim podtrzymywała otuchę. Nie raz i obojętny przedmiot w Paryżu nasuwał mu na myśl to jego ulubione marzenie. Oto na przykład pisał raz jednego coś matce o wybornych brzoskwiniach francuskich, i to mu przypomniało, że niegdyś o nich w Wilnie i Jan Śniadecki z pochwałami wspominał.

„Kiedys i ja na starość z Wami zasięde do stołu, jak Jan — z siwym włosem i z białemi najeżonemi brwiami. Wtenczas będę gadał o paryskich brzoskwiniach“...

Nadzieje jego atoli zamierały jedna po drugiej — za dotknięciem o twardą rzeczywistość. Listy nadsyłane mu z kraju

często były zwiastunami bolesnych zdarzeń. Wczytywał w nich to o tym, to o owym z pomiędzy dobrych znajomych, przyjaciół, nieraz i krewnych, że go skrzydła płynącego czasu zmiotły do grobu. Prawie równocześnie doniesiono mu właśnie w ciągu owych miesięcy o śmierci Alexandry, przyrodniej jego siostry w Wilnie za mąż wydanej, i o jego wuju Janie Januszewskim, że powodem długiego niepowrotu jego w r. 1831 z obozu powstańców podolskich nie była, jak zrazu przypuszczano, niewola, lecz zgon w jednej z potyczek. Po rozstrzygnięciu w taki sposób długiej niepewności o losie męża, wdowa po nim pozostała (Julia) z drobnym dziecięciem (Stasiem) ściągnęła także do Krzemieńca z Wierzchówki, w której aż dotąd mieszkali. Cała tedy reszta rodziny zgarnęła się w jedno miejsce, obsiadła jedno ognisko.

„Jak Wam teraz dobrze być musi (pisał w liście z d. 3 września) tak wszystkim razem w waszym spokojnym Krzemieńcu! Wystawiam sobie Wasze koło domowe, i Melankę maleńką, kręcącą się koło smutnego Stasia. Jak Wam teraz dobrze być musi! Ale jak mi okropnie myśleć, że kiedyś, powróciwszy do was, nie zastanę tylu osób. A tak często marzyłem, jakto ja kiedyś będę w domu Olesi, jak będę z Julką odwiedzał podroste Julinki. Nie możecie sobie wystawić, jak to jest trudno oddalonemu o mil kilkaset pomyśleć sobie, że to wszystko snem nie jest — Wilno bez Olesi! Wierzchówka bez Julki!...”

W miesiąc później otrzymał doniesienie, że i téj Melanki, którą sobie wystawiał kręcącą się w familijném kółku w Krzemieńcu, nie ma już w domu rodziców! Była to jego siostra cioteczna, córka drugiego jego wuja, Teofila Januszewskiego; dziewczyna przez całą rodzinę, a szczególnie przez naszego poetę bardzo umiłowana. W żadnym prawie liście on téj maleńkiej nie pomijał milczeniem; lubił się przypominać jéj dzieciennéj pamięci i zawsze zapytywał, co tam porabia? Z Drezną jeszcze (1831) list jeden pisząc, żartobliwie jéj obiecywał, że jak powróci do Krzemieńca, będzie ją uczył po niemiecku, „bo ładny to w ustach dam język.“ A teraz mu doniesiono, że to dzieciątko zgasło...

Wyjmuje kilka ustępów z listu pisanego pod bezpośredniem wrażeniem chwili (d. 4 października 1832):

„Wczoraj rano o godzinie 9tej położyłem się, aby zasnąć. Zaledwo zamykałem oczy, usłyszałem stukanie do drzwi — list od Was — senny siadłem do czytania — list ten spadł ciężarem na rozigrane i drżące prawie zmysły... O! bo też nigdy nic podobnego nie czytałem, jak ten list Mamy. W nim taka ogromna poezya smutku, że nikt, nikt z żadnych pisarzy do niej się nawet nie zbliżył. Matko moja! tyle w liście twoim prawdziwej boleści — tak wiernej, że płakałem, czytałem — i znów płakałem. Potem na kawałku papieru leżącym na stoliku napisałem trzy nagrobki i posyłam je — nie przemienione.

Nagrobków, o których tu mowa, żądano od niego w liście. Jeden miał być dla Melanki, drugi dla Olesi, a trzeci dla Jana Januszeńskiego.

„Gdybym ja był szczęśliwszym (pisze dalej, zwracając mowę do rodziców umarłych), tobym Wam może przywiąza nie dzieci zastąpił. Ale ja złym jestem kaznodzieją szczęścia. Te dni mną całym zatrzęsły, a kiedy to piszę, zalany jestem łzami i czuję, że uczucia moje są skrzywione, bo wstrząśniony smutkiem, znajduję w nim jakąś głupią, poetyczną, exaltowaną rozkosz... Darujcie mi — bo ja w dzieciństwie kształciłem się tak, abym nie był podobny do ludzi — a teraz dopiero pracuję nad sobą, aby być podobnym do człowieka“...

.....„I znów na wasz list spojrzałem — i wiersz napisany przez kochanego Dziadunia zdaje mi się najsmutniejszym, bo on mi się wydaje, jak jakiś anioł- duch z tamtego już na wpół świata wyglądający, który wśród płaczących zawsze jedno i znane mi napisał słowa: „Ja ciebie mój kochany wnuku pozdrawiam i powodzenia życzę.“ Ta jednotonność słów robi te słowa tak uroczystymi, że mi się zdają błogosławieństwem Boga... Więc Dziaduniu kochany, klękam przed Tobą i przyrzekam Ci, że wnuk twój będzie umiał kiedyś, jak twój syn starszy, dług wypłacić, którego Ty dla starości wypłacić nie mogłeś... I Ty, kochana Babuniu, nie wstydź się wnuka wierszoklety, bo on oprócz wierszy ma jeszcze do rozrządzenia życie — a może Bóg mu pozwoli skonać, jak skonali — —

.....„Mamo kochana, czuję jak Tobie teraz smutno! List Twój Mamo zasmucił mię, ale razem piękność jego jest tak zachwycająca, że prawdziwie dumny jestem. List ten, jeśli kiedyś o mnie pisać będą, wykryje tajemnicę całą, że jeżeli miałem jaką poezyą w sercu, to ją od Ciebie wzięłem. Zwłaszcza to wyrażenie: „Mama powtarza,

niech się dzieje wola Boga; ja zaś wspomniawszy na ciebie, niezdolna do wyrzeczenia słów tych“ itd. jest ogromnym obrazem Matki, która nawet przed Bogiem dzieci swoje zakrywa — i Bogu nawet, jeżeliby miał syna jój zabić, broni. Te słowa miłości i przywiązania Twego do mnie, z duszy wyrwane, słowami mojemu zapłacone być nie mogą, lecz całym życiem“...

Ale przejdźmy od tych smutnych rzeczy do więcej obojętnych, do potocznych szczegółów w Słowackiego korespondencji.

„Żebyście Wy wiedzieli — pisał do krewnych dnia 9 listopada 1832 — jak ten świat nudny! Zupełnie inny, niż nam się wydaje. Zwłaszcza Paryż — jestto prawdziwe więzienie dla człowieka bez wielu pieniędzy. Bo w inném miasteczku, a nawet mieście, cudzoziemiec wchodzi zaraz do dobrych towarzystw. Tutaj zamknięte są domy. Trzeba mieć kabriolet własny, żeby się otworzyły. Zwłaszcza teraz noblesa wyniosła się prawie z Paryża — la bourgeoisie, ta brylantowa poczwara, która zajęła jój miejsce, nie przypuszcza do siebie, tylko bogatych. Chcąc zainteresować jaką damę, trzeba po angielsku gadać — udawać Anglika, bo widza, że Polacy nie mają pieniędzy. Udawać zaś Anglika, jestto udawać głupca i oryginała, bo takimi są Anglicy. W jednym tylko względzie Paryż mi się lepszym wydał, niż o nim marzyłem. Gdy bowiem do nas kto z Paryża przyjedzie, zaraz ma jakiś dziwny spiczasty kapelusz, jakiś frak wywrócony, itd. W Paryżu zaś przeciwnie; nie widziałem tu elegantów tak jak u nas z półkniętym kijem — z nakrochmalonym halsztuchem. Wszyscy skromnie i zgrabnie ubrani. Ubierać się zaś można, jak się komu podoba. Śmiałoby tu wyszedł na ulicę w dziadowskiej lisiurce, którą niegdyś jak syn marnotrawny dziadkowi zarwałem. Widziałem tu nieraz ludzi trochę podstarzałych na modnym spacerze w jesieni przechadzających się w błękitnym jasno wutowanym szlafroku, na frak zamiast płaszcza wdzianym. — Jeżeli chcecie sobie Julka wystawić, chodzi on w dni mniej zimne w długim aż po kostki ciemno ceglastym surducie krojem angielskim na jeden rząd guzików zapiętym, który mi już drugą zimę służy; w dni zimne w granatowym płaszczu z długim kołnierzem i z bobrowym futrem, które mam od kochanej Mamy; a w dni ciepłe, w czarnym tuzurku krótkim“...

Podobne wzmianki nawet o garderobie zdarza się nieraz czytać i przy innych sposobnościach w jego korespondencji. Słowacki

nie był elegantem z profesyi i nie przywiązywał do odzieży zbyt wielkiego znaczenia. Ale była inna przyczyna, dla której nie tylko lubił uważać na swoją powierzchowność, ale i chwalić się przed matką, że o tych drobnostkach nie zapomina. Oto chodziło mu o pewną rehabilitacyą całego rodzaju poetów, oskarżanych zazwyczaj o zaniedbywanie się; a przyczyniało się może do tego i trochę opozycji z powodu znanego antagonizmu...

„Zostawszy raz poetą — chcę ująć powszechnę nagany, która nasz ród wystawia jako opuszczony i niedbały — i nie chcę, aby mnie tak jak Mickiewicza, do domu gry (?) nie wpuszczono, bo go służący wzięli za lokaja i dali odpowiedź, że ma źle zawiązaną chustkę...” (list z d. 30 lipca 1832).

Pomimo ciągłych wyrzekań na Paryż, na Francuzów i na Emigracyą, z którą rad nierad musiał się stykać — za nadejściem jesieni 1832 Słowacki z konieczności godził się i na dalszy pobyt w tym mieście. Żeby nie ziębnąć w pokoiku swoim przez zimę, kazał go urządzić zawczasu więczej na sposób polski.

„Dzisiaj zabezpieczyłem się od zimna — pisał dnia 9 listop. 1832. Kazałem sobie piec postawić, bo kominek wiele mi zjadał drzewa i ciepła nie dawał, — a pracując wieczorami, trzeba było ciągle o ogniu pamiętać, i to rozrywało moje uwagę.“

Plany zajęć i rozrywek na całą zimę także już były zrobione. Przy pracach, które mu same płynęły z duszy, spróbował wtedy po raz drugi roboty, która mu miała dostarczyć środków do ogłoszenia IIIgo tomu Poezyi.

„W tym miesiącu byłem sześć razy na tragediach francuskich... dla poznania się lepiej z Francuzami terazniejszymi i z grą aktórek; albowiem pod sekretem powiem Ci Mamo, że piszę tragedya dla jednego z tutejszych teatrów; nie wiem jednak, czy mi ją przyjmą i zechcą wystawić, i czy zechcą zapłacić“...*)

*) Między papierami po śmierci poety przez rodzinę jego przywiezionymi do kraju, rzeczywiście znaleziono dwa małe urywki z francuskiego dramatu pisanego jego ręką, a poprawianego gdzieś indziej inném pismem, zapewne przez jakiegoś rodowitego Francuza. Urywki te są z końca sztuki: jeden z czwartego, drugi z piątego aktu. (Musiała ona zatem stanowić kiedyś całość skończoną). Była pisana prozą,

Ażeby się uzdolnić do jak najpomysłniejszego dokonania in-
nych utworów, które obmyślał, żądał w tymże liście od matki
niektórych książek polskich.

„Jeślibyś mogła, kochana Mamo, to mi przez jadącą
siostrę Michała (Skibickiego) przyslij dzieła Jana Kocha-
nowskiego, które masz w swojej szafce; a jeżeli można, to
dostańcie także przekładu Jerozolimy przez Piotra, bo
mi tu te dwa dzieła dla języka bardzo są potrzebne. Teraz
albowiem nie mam, jak tylko Trembeckiego; i uważam, że
mój styl twardnieje nieznacznie“...

Wreszcie donosił rodzinie i o zabawach, jakich sobie w cią-
gu tej zimy dla urozmaicenia czasu pozwalać postanowił: kiedy
wtem nagle zaszło zdarzenie, które te wszystkie jego projekta
pokrzyżowało stanowczo.

Niepomału zdziwić się matka musiała, kiedy wyczytała w li-
ście Juliusza już w miesiąc później doniesienie następujące.

„Kochana Mamo! pobyt mój w stolicy nachyla się już
do końca. Za dni kilkanaście wyjeżdżam do Genewy. Po-
trzeba zmusza mnie do wyjazdu, więc i dobrze, że mnie
przynajmniej w poetyczniejsze krainy posyła. Wiele miałbym
pisać o tym miesiącu, ale nie wiem, jakimi słowy“...
(Z listu z d. 8 grudnia 1832).

Jaka potrzeba zmuszała go do wyjazdu z Paryża, z tego się
matce nie tłumaczył. Przytoczył natomiast wiele różnych powo-
dów, mających niby usprawiedliwić to nagłe jego postanowienie.

„Przez kilkanaście dni, które poprzedzą mój wyjazd,
będę ciągle zwiedzał teatru, bo mi się zdaje, że do
Paryża nie prędko, a może i nigdy nie powrócę.
Bo tu przykro — drogo — niespokojnie. Między nami cią-
gle zwady — a w tych zwadach wykrywają się tak puste
głowy, że aż to obraża dumę narodową. A potem, będąc
w Genewie, między Paryżem a Florencją, któżby do Pa-
ryża wracał? Pisałem już, że interes zmusza mnie

miała za treść sprawę Beatryczy Cenci, którą później opracował
Słowacki wierszem po polsku. Ale osnowa polskiego dramatu zupeł-
nie odstępuje od pomysłu, wedle którego, ile wnieść można, rzecz
ta była przeprowadzona w sztuce francuskiej. — Urywki rzeczzone zbyt
mi się zdały mało znaczące, żeby je zamieszczać w zbiorze pism
Słowackiego pośmiertnych.

do wyjazdu. Ale zapewne z własnej woli w Genewie zostanie na mieszkanie i wiele sobie obiecuje przyjemności, i listy moje może ciekawsze będą, jak Wam doniosę o mieszkaniu Russa, Woltera, a nadewszystko jak pielgrzymkę na Mamy intencją odprawię i zwiedzę Coppet, gdzie pani Staël mieszkała. Może na wiosnę znajdę sobie gdzie mieszkanie nad jeziorem genewskim w jakim wiejskim domku — i tam oddam się rozmyślaniom nad marnościami światowemi, bo ja stworzony jestem do życia mniszego, spokojnego, i w najludniejszych miastach tworzę sobie samotność — ale nudną, przerywaną hukami powozów, rozmową nudnych znajomych. Więc mnie nie obwiniaj Matko, że cichszej samotności szukać będę“...

I w drugim liście potem pisanym, już datowanym z Genewy (z d. 30 grudnia 1832) nie wypowiadał się Juliusz, co mu tak zacieżyło na sercu. Rzucił tylko nawiasem wzmiankę o ostatnich chwilach pobytu swego w Paryżu, która tém bardziej mogła każdego zaciekawić:

„Powiem Ci jeszcze, moja Mamo, że mnie w jednym zgromadzeniu ziomków proszono na klęczkach prawie, ażebym został. Ale już było zapóźno, przygotowania do podróży już były porobione“...

Dopiero po upływie całego niemal roku dowiedzieli się krewni rzetelnej przyczyny, która Słowackiego wypędziła z Paryża. Świadczy ona może o zbyt daleko posuniętej drażliwości u niego; rozważywszy jednak wszystko, przyznać należy, że w jego położeniu trudno było inaczej sobie postąpić. Rzecz tak się miała.

Pod sam koniec roku 1832, w miesiącu listopadzie czy grudniu, wyszło w Paryżu dzieło, o którego mającém niebawem nastąpić ogłoszeniu donosił już poprzednio matce swojej Słowacki. Pojawiła się *Dziadów Część trzecia*. W jednej scenie tego utworu występuje, jak wiadomo, figura, której tam dano ogólną nazwę *Doktora*. Zajmuje ona jedno z przedniejszych miejsc na całym planie obrazu, ale jest wystawiona w takim świetle, że odpowiedzialność za te wszystkie bezprawia, jakie się działy w Wilnie w latach 1823 i 1824, spada na nią w znacznej części i to z tém większą sromotą, że jestto rodak i członek ciała uniwersyteckiego, którego więc obowiązkiem było zasłaniać od gwałtów

młodzież niewinnie prześladowaną; a on tymczasem działa w poemacie Mickiewicza jako intrygant podlegający jeszcze podejrzliwość Nowosilcowa tak przeciw młodzieży jak profesorom, i nie wstydzi się być jego nadskakującym pochlebcą, a nawet denuncyantem wręcz oskarżającym profesora historii Lelewela i kuratora uniwersytetu księcia Czartoryskiego o spiski przeciw rządowi w gronie uczniów utrzymywane.

Mickiewicz wprawdzie nie nazwał w *Dziadach* po imieniu tego doktora. I stądto może też poszło, że stawiając go jako figurę typową, z wyobraźni wziętą, a nie z rzeczywistości, pozwolił sobie nie tylko intrygi z historycznymi zdarzeniami rzeczywiście związek mające na karb jego położyć, ale dodał do nich jeszcze i kilka rysów dokończonych, (na przykład owo zajęcie nieludzkie z X. Piotrem itp.) które same jedne wystarczałyby najzupełniej na to, żeby każdego potępić na całą wieczność...

Wiedział oczywiście każdy, kto tylko z zajęciami czasu owego jakkolwiek był obeznany (a któż ich w emigracji nie znał natenczas?), że tą figurą bezimienną był profesor medycyny w uniwersytecie wileńskim Dr. Becu, rzeczywiście od piorunu w roku 1824 zabity, jak to i w *Dziadach* jest przedstawione.

Czy oskarżenie podobne ojczyma Słowackiego było uzasadnione i sprawiedliwe?

Nam późniejszym, oddalonym od czasu i. miejsca zdarzeń, w obec takiej powagi jak autor *Dziadów* — trudno zaiste zaprzeczyć temu dzisiaj stanowczo. Sądzę atoli, że był to w każdym razie jeden z tych smutnych przykładów, w jakie pierwsze lata po upadku powstania 1831 roku szczególnie były obfite, przykładów mówię ryczałtowego piętnowania ludzi nieraz niewinnych znamieniem odstępstwa, zdrady i Bóg wie jakich przekroczeń. Chociażby nie żyli jeszcze ludzie, co pamiętają te czasy, a którzy, o ile mi się mówić z nimi zdarzyło, po większej części zgadzają się na to, że się tym krokiem względem profesora Becu dopuścił Mickiewicz grubiej przesady: to już samo porównanie rzeczy, jak jest dana w *Dziadach*, ze znanym pisemkiem Lelewela „Nowosilcow w Wilnie,” okazuje, że musiał być Mickiewicz, kiedy

układał tę scenę, w dziwném jakimś rozdrażnieniu. Wychodząc z tego punktu widzenia, można i trzeba wprawdzie wierzyć, że wypowiadał autor *Dziadów* to co pisał, w najgłębszym przekonaniu i w najlepszych zamiarach, i że się czuł podniesionym na wysokość, z której giną przed okiem drobne względy na pojedyncze osoby, w obec zamiaru podniesienia pewnej idei; pomimo tego wszystkiego zaprzeczyć tego jednak nie można, że przedstawienie jego scen wileńskich z r. 1823 więcej było poetyczne, niż zgodne z prawdą, a sądy o osobach niektórych w wysokim stopniu polegały na uprzedzeniu.

Lelewel był naocznym świadkiem, a nawet jednym z głównych aktorów całego tego dramatu. Był on nadto osobistym przeciwnikiem stronnictwa w uniwersytecie wileńskim, po którego stronie stał Becu. Co większa, i Lelewel miał przekonanie, że profesor ten czynnie się i umyślnie przyczynił do oddalenia jego z katedry wraz z niektórymi innymi jeszcze profesorami. Nie było tedy powodu, ażeby winę profesora Becu Lelewel zmniejszał, i widać też po całym sposobie, jakim rzeczy te opisuje, że mu bynajmniej na tém nie zależało, ażeby go od zarzutu oczyścić. Przeciwnie! sądzi on o nim z uprzedzeniem; o zachowaniu się jego opowiada namiętnie. I cóż mu więc takiego zarzuca? Jestże najmniej podobieństwo pomiędzy winą, jaką mu przypisuje historyk, a ową rolą, w jakiej go wystawił w dziele swójem poeta? Bynajmniej! podobieństwa, stósunku nawet między jednym przedstawieniem a drugim nie ma żadnego...

Wprawdzie grube są i Lelewela zarzuty przeciw niektórym profesorom, a między nimi i przeciw Doktorowi Becu. Stém-wszystkiem, kto tylko całe przedstawienie rzeczy w wspomnioném dziełku Lelewela przejdzie z uwagą i rozwagą bezstronną: niepodobna żeby nie widział, że grzeszyła niewątpliwie jedna strona, ale grzeszyła i druga. Tu podejrzliwość — tam zaciekiłość, tu brak umiarkowania i taktu w postępowaniu, a tam przebieganie znowu miarki w sądach o dążności i postępach przeciwnego obozu: — takieto były na nieszczęście w ówczesnej inteligencji litewskiej przymioty, od których wymówić nie można ani ednych ni drugich.

Starsi nie pojmowali w ówczesnych okolicznościach inną drogi ku lepszemu, ku upragnionej przyszłości: jak drogę jawną, pewną, bezpieczną — drogę opartą na podwalinach danego stanu rzeczy — wśród pracy powolnej wprawdzie i niejaskrawej, ale trwałym skutkiem wynagradzającej za trudy. W podziemne knowania żadnej wzbudzić w sobie nie mogli wiary. Lękali się entuzjazmu, którego kierunek ginał w mistycznych jakichś sferach extazy, a doniosłość przekraczała wszelkie granice rzeczy prawdopodobnych, a nawet możliwych.

Dla młodszych profesorów i dla całej uniwersyteckiej młodzieży mało wtedy miało uroku, co nie nosiło piętna tajemniczości i nie wiało wonią zakazanego owocu. Niepokonana moc jakaś parla całą tę generacją ku robotom, o których ostatecznych następstwach bodaj który z nich samych miał wtedy jasne wyobrażenie. Oda do młodości była ich pieśnią. Gorąca wiara w to, czego wszyscy pragnęli, przy wzgardliwem odrzucaniu na bok wszystkiego, co wyglądało na kalkul — to była modła postępowania tego zastępu.

W owych czasach nazywano to wszystko romantyzmem. Ale wiedziano już wtedy dobrze, że się w tej nazwie ukrywało coś więcej, jak same kwestye dotyczące poezyi lub estetyki...

Takie były dwa stronnictwa w łonie społeczeństwa naszego, których głównym ogniskiem był w owym czasie uniwersytet wileński. — Stronnictwo gorętsze zwyciężyło. Jego hasła wzięły z czasem na całą rozległość kraju zupełną przewagę nad instynktami przeciwniej partyi. Co tylko szczytnego posiadamy w literaturze — zawdzięczamy niewątpliwie popędowi i świetnej inicjatywie, jaka była dana z tej strony. I po za literaturą nawet — wszystkie pierwszorzędne sprawy nasze publiczne od owego czasu poczynawszy, były prowadzone kierunkiem, jaki narodowi wytknęło i ciągle potem wytykało przekonanie tychto zwolenników peryodycznie obudzać się mającego w społeczeństwie naszym zapału i wiary w cudowność polityczną. Łatwo tedy było Mickiewiczowi — w uczuciu odniesionego tryumfu... wprawdzie tryumfu nie pod murami Warszawy, ale tylko w zakresie myśli i niedalój jak

między swymi — łatwo mu było w roku 1832 na owych pokonanych, prześcigniętych, już w mgłę zapomnienia ginących przeciwników niegdyś swego zastępu rzucać gromy wzgardy i potępienia! Ale dziś — kiedy dalszy przebieg romantyzmu owego w polityce leży już przed nami doprowadzony do ostatecznych kresów, i owoce jego dojrzałe jak na dłoni widne są wszystkim: — dziś zdaje mi się, ani sam nawet Mickiewicz ani Lelewel nie śmieliby już w podobny sposób jak dawniej sądzić o ludziach owój epoki...

Czas wreszcie powiedzieć to sobie, że może ci starzy i niaby zacofani antagoniści Lelewelowskiej partii w uniwersytecie wileńskim nie byli wcale ani tacy obskuranci, ani tacy obojętni dla kraju, za jakich ich okrzyknięto wśród walki! Mieli oni rozum i kochali ojczyznę równie dobrze, jak drudzy! A że się nie mogli z młodszymi godzić na sposoby, jakimiby jej służyć: — za to winować ich nie należy.

Za to winować by można tylko znękanie, ciężkie i ciągle jeszcze chore społeczeństwo nasze, na którym się ci młodszy przerachowali potężnie, a które ludzie przeciwnego tamtym obozu znać dobrze znali. Wedle tego, jakim je znali, miarkowali oni swoje postępowanie. Ich przekonaniem było: wprzód ogół narodowy odrodzić, a potem — przyszłości to pozostawić, co tamci czynić chcieli od razu, jakby wszystkie okoliczności już były przygotowane do tego.

Ale wróćmy do rzeczy. Samo się rozumie, że co tu mówię o profesorach wileńskich umiarkowańszych dążności, rozumie o ogólnym kierunku tychże postępowania, a nie o pojedynczych krokach bez taktu, jakich się niejeden i między nimi pod uciskiem prześladowania dopuścił czasem. Zupelnie zaś tego, co powiedziałem, nie ściagam do takich zaprzachców i nikczemników, jak na przykład Pelikan, późniejszy rektor uniwersytetu, który zajmował zgola odrębne stanowisko...

Co się tyczy doktora Becu, sam Lelewel w jednym miejscu broszury swojej, w nocie dodanej niżej textu na dole, a zatém, jak jest prawdopodobna, dopisaną później, kiedy już był ochłonał z pierwszej niechęci przeciwko niemu, sam Lelewel przyznaje, że byli

koledzy, którzy rzeczono go profesora dla osobistych uraz „zamierzali złośliwie zgubić;“ że nie brakło nawet i na takich uczniach uniwersytetu, co dawniej w domu jego bywali, a potem dostawszy się do kozy, „płatali wesoło i nieszkodliwie“ (?) profesora w sprawę, za którą zostali uwięzieni. A więc i jego stanowisko było zachwiane. I jemu groziło niebezpieczeństwo. Broniąc się z konieczności przeciw złośliwości jednych, a lekkomyślności drugich, może nie trafiał zawsze na sposoby najstósowniejsze; może powodując się zbyt znacznie osobistém rozdrażnieniem i żalem, postąpił sobie w czém niezupełnie, jak należało; lecz trzebaż było zaraz rzucić bezwarunkowego potępienia kamieniem na człowieka, który w pracowitym zawodzie swoim całe życie przeżył bez skazy, dopędzał późnego wieku wśród czci powszechnéj i miał, jak to sam Lelewel wzmiankuje, i przedtém i w ciągu owego śledztwa najściślejszą przyjaźń z Janem Śniadeckim?! Ta jedna okoliczność, ta jedna rękojmia, ta jedna data o przyjaźni ze Śniadeckim już zdaniem mojem wystarcza, żeby mu nie przypisywać winy, o jaką go może wtedy w Wilnie posądzano chwilowo. Charakter tak nieposzlakowany, wzrok tak bystry, znajomość pobudek ludzkich taka wytrawna, a nadewszystko owa surowość zasad, która Śniadeckiego przez cały ciąg życia jego jako osobistość tyle podnosi po nad innych ludzi tych generacyi, nie byłaby mu pewnie dozwoliła żyć w poufałym stosunku z kolegą, któryby stał na jednéj linii z intrygantami, jak Pelikan albo ta inna hołota, która się obławiała w zyski i rosła w honory przy owéj sposobności...

Wspominana tu Lelewela broszura, w sposobie pamiętnika traktująca o owych czasach i stosunkach wileńskich, obchodzi nas tu bliżej z innéj jeszcze przyczyny. Została ona ogłoszona drukiem po raz pierwszy w Warszawie w ciągu listopadowego powstania, w pierwszych miesiącach roku 1831. Zważywszy, że w niąto właśnie ojczym Juliusza w takiém świetle jest przedstawiony; dalej, że wyjazd Słowackiego z Warszawy już w marcu tegoż roku nastąpił nagle, tajemniczo, bez dostatecznych powodów takich, z którychby się było można wytlómaczyć przed matką; dodając do tego i to nareszcie, że we wszystkich listach

swoich Słowacki odtąd nie wspomina nigdy o Lelewelu inaczej, jak tylko w wyrazach świadczących o namiętnej niechęci i z gryzącem szyderstwem: — zdaje się być rzeczą więcej niż prawdopodobną, że tej jego jakby ucieczki z Warszawy — bez planu, w świat obcy, byle daleko, w ciągu wojny z niejakiem jeszcze powodzeniem trwającej — nie mogło być co innego powodem, jak właśnie owa broszura! Dla mnie przynajmniej jest to wniosek, o którego trafności wcale nie wątpię. Niepodobiestwem było dla Słowackiego oddychać dłuższą atmosferą miasta, które zdawało mu się, że patrzyło na bezkarną zniewagę imienia, które jego matka nosiła. Nie śmiał jój wyznać, że dlatego wyjeżdża z kraju, ponieważ jeden z mężów składających rząd najwyższy w stolicy, człowiek w dniach owych może najpopularniejszy w narodzie, którego przeto trudno było niepokoić wtedy o rzeczy czysto prywatne... dopuścił się takiej krzywdy względem dobrej sławy jój męża. Dlatego to wtedy wołał osłonić milczeniem, co go właściwie wypędziło z Warszawy. Dlatego też i w późniejszych listach tak się o tém mimowolnie nieraz wyrażał, że tylko za pomocą takiego tej zagadki wytłómaczenia można i wyjazd i dziwne o jój pobudkach napomknięcia i niechęć ku Lelewelowi w korespondencyi jego zrozumieć.*)

Jeżeli go zaś już ta publikacya Lelewela tak boleśnie wtedy dotknęła: témci bardziej uczuć musiał teraz tę nową krzywdę, jaką rodzinie jego wyrządził w Dziadach Mickiewicz. Nie przeto tylko, że tu mniemana wina jego ojczyzna dosięgała rozmiarów prawdziwie monstrualnych. Lecz wszakże to było dzieło, które czytane być miało i odczytywane przez wszystkich! To był poemat — to był Mickiewicza poemat!... Pamiętniczek Lelewela, szorstkim stylem pisany, mógł ugrzęznąć w rękach samych tylko uczonych, samych historyków z zawodu; ani z rzeczy ani z formy nie mógł sobie obiecywać nieśmiertelności. Dziady były dziełem poety, na którego zwrócone były oczy każdego, kto tylko język polski rozumiał. Broszury Lelewela nie znała matka Juliusza i nigdy

*) Obacz miejsca odnoszące się do całej tej sprawy na stronach 24 i 25, 40 i 135 niniejszego dzieła.

się o jój exystencyi nie dowiedziała, jak o tém wnosić można na pewne z milczenia o tém dzietku w listach do niej pisanych. Lecz możnaż było przypuszczać, żeby i Dziady rąk jój dojść nigdy nie miały? Lelewel wreszcie, w czasie kiedy drukował swoją książeczkę, był zupełnie obojętnym człowiekiem dla Słowackiego. Ani wiek, ani stósunki, ani zawód nie zbliżał ich obydwóch do siebie. Inaczéj rzecz się miała z Mickiewiczem. Jeżeli już nie dla innych powodów, to przez sam wzgląd na obecność Juliusza na emigracyi w Paryżu, przez wzgląd na to, że to brat jego młodszy po lutni, że z nim koleguje w przełożeniu nad Towarzystwem Literackim — już dla tych mówię przyczyn nie godziło się Mickiewiczowi obierać sobie właśnie jego ojczyzna za ofiarne go kozła, któryby dźwigał cały ogrom wzgardy poety dla wszystkich samolubów i zaprzańców, jacy tylko byli i kiedykolwiek być mogli...

To też łatwo sobie wystawić, co się po przeczytaniu téj książki dzieć musiało w duszy naszego poety tyle zawsze drażliwego, a tak serdecznie przywiązanego do Matki... Oto, co jój pisał w rok dopiero po wyjeździe swoim z Paryża, kiedy ona wiedziała już skądinać o wszystkiém:

„Więc wiecie o Adamie! Och! teraz dopiero powiem, ile mié kosztowało przełamanie pierwszego popędu dumy! Skorom przeczytał, chciałem się koniecznie strzelać z nim i natychmiast posłałem list do Michała (Skibickiego) przyjaciela mego, aby mi pomocy swojej użyczył. Przyszedł Michał wieczorem, i różnemi radami odwiódł mnie od zamiaru. Była to jedna z przyczyn, dla czego do Genewy wyjechałem — i teraz nie uwierzycie, ile męki cierpię, ile kroć ludzie chcą zdanie moje o Adamie usłyszeć. Nienawidzę go!... Wyjątek z mojej przedmowy*) on obciął i umieścił w piemku, ale tak obciął, że mu dał całkiem inne znaczenie — pozor jakiejś uszczypliwości. A przedmowa moja jest raczéj mojem usprawiedliwieniem i wszyscy, którzy ją całą przeczytają, przyznają, że Adam ze złą wiarą postąpił. Onto bowiem o dziełach literackich w piemku pi-

*) Mówi o przedmowie do IIIgo tomu Poezyi, obejmującego Łambro. O utworze tym, który wyszedł w początku roku 1833, będziemy niżej mówili osobno.

sał. — Nic mi nie pozostaje, jak okryć Ciebie Matko moja, promieniami takiej sławy, aby Cię inne ludzi pociski dojsć nie mogły. I muszę tego dokonać — Bóg mię sam natchnął — bo rozwinął w myśli mojej wielkie dzieło.*) Część pierwszą za kilka dni posyłam do druku i teraz przepisuję. Wierz mi Matko droga, że się nie zaślepiam, żem to dzieło osądził po napisaniu obcego człowieka rozważą... i drukuję bezimiennie. Będzie to równiejsza walka z Adamem“... (Z listu rokiem później pisanego z Genewy d. 30 listopada 1833).

— Kiedy już zapadło niecofnięte postanowienie przeniesienia się do Szwajcaryi, rozpoczęto przygotowania do bezzwłocznej podróży. Wśród najrozmaitszych zajęć, jak to bywa na wyjeźdném, przyszła do głowy myśl Słowackiemu odwiedzić jeszcze sławną wówczas wróżkę paryską, pannę Lenormand. Było to w samą wilią Bożego - Narodzenia.

„Dwoma dniami przed wyjazdem Michał rano wchodzi do mnie i pośród rozmowy wspomina coś o sławnej pannie Lenormand. Musisz ją Mama znać z reputacyi, bo ona niegdyś Cesarzowi wróżyła. — Ułożyliśmy natychmiast projekt iść do panny Lenormand. Szczęściem wiadoma nam była ulica, gdzie mieszkała; dom zaś, w którym żyje ta Sybilla, oznacza napis nad bramą: „Librairie de Mlle Lenormand.“ Wchodzimy do sieni, wita nas stara duguenna pytając, czy przyszliśmy na konsultacyą. Odpowiadamy, że tak, i wpuszczeni jesteśmy do pokoju ładnie umeblowanego, w którym całe ściany okryte obrazami rozmaitych cudów przyrodzenia i wśród tych malowideł wisi ogromny portret samej wróżki, w aksamitnej czarnej sukni, ze złotą u dołu frenzlą i w zamysłonej postaci odmalowany. Kilka osób przybyłych przed nami czekało na kabałę, słysząc było w drugim pokoju ciągle mruczenie czarownicy. Wpuściła nas nareszcie do swego pokoju. Jak wygląda, opiszę: Jest to baba stara, lat ma ze 60, otyła, niska, z garbem na plecach, ubrana w szarą sukni, na głowie mnóstwo loków i na nich na bakier aksamitny ogromny czarny beret, jak męska czapka; rysy twarzy ma zupełnie polskie, trochę ciocię P. przypomina. Siadła na krześle z poręczami,

*) Stósuje się to do *Kordyana*, który był napisany w rok po wyjściu *Dziadów*, w Genewie.

przy biurku z wytartym suknem, na biurku leżało mnóstwo kart rozmaitej wielkości. Usiedliśmy oba przy biurku. — Zapytana, odpowiedziała, że ceny wróżby są rozmaite, od 6 aż do 60 franków. Prosiłszy o sześciu-frankową przyszłość. A więc przynajmniej sami, że ludziom, co po 6 franków płacą za głupstwo, nie mogła wielkich cudów przepowiedzieć. Zadała mi pierwszemu następujące pytanie: „w którym miesiącu rodziłem się?“ — „w Augustcie;“ „którego dnia?“ — „23;“ „Jaka pierwsza litera imienia?“ — „J.;“ „pierwsza litera kraju?“ — „P.“ „Jaki kolor najwięcej lubię w ubiorze?“ — „czarny.“ „Jakie zwierzę najwięcej lubię?“ — „psa.“ „Jakiego zwierzęcia najbardziej niecierpię?“ — „pajaka.“ „Jaki kwiat najbardziej lubię?“ — „różę.“ Na tém zakończyła, i wzięwszy talią kart zwyczajnych, ułożyła z nich długi szereg, dwie zawsze karty odrzucając. Potem wzięła ogromne karty, z dziwnymi wizerunkami, i kazała mi z nich wybrać jedenaście lewą ręką, inne zaś odrzuciła. Potem z trzeciej, równie ogromnej talii kazała mi wybrać 23 karty; z wybranych ułożyła ogromny wachlarz i z wachlarza zaczęła wróżyć, jak excytazr jednym głosem i niezmiernie prędko. Wróży zupełnie pospolite; między innemi powiedziała, że będę się dwa razy kochać; że rozpoczynam podróż, której mi rozpoczynać nie radzi aż do odebrania pewnych wiadomości; że dopiero w dziewięć miesięcy będę miał stałe o losie moim wiadomości; że jestem zdatny, ale radzi mi wykończyć to, com naszkicował; że między 27mym a 28 rokiem mojego życia będę bardzo szczęśliwy, że w tych latach wiele dla mnie zajdzie wypadków. Oto są wszystkie prawie przepowiednie; ostatnia tylko dosyć interesująca. Michałowi nie powiedziała, że zaczyna podróż; a ponieważ ję mówił, że kocha konia, wróżyła mu, że się na polu walki odznaczy. — Tumanibaba i niczém zbywa chorych na zdrowy rozsądek pacjentów.)* — Po tak przepędzonej godzinie wyszliśmy z Micha-

*) Ażeby zaspokoić czytelnika ciekawość i powiedzieć mu o wypadku tych przepowiedni, póki pamięta jeszcze o wróżbie; nadmieniam, że jednak w tym pojedynczym razie niekoniecznie „baba tumanibaba!“ Niejedno się z ję zapowiedzi spełniło rzeczywiście. I tak, co się tyczy dwukrotnego zakochania — okaże się niżej, że w tém było wiele prawdy, chociaż nie trzeba brać rzeczy w zbyt ścisłym sensie. Obietnica szczęścia i czasu obfitego w wypadki między 27 a 28 rokiem życia, ściągnęła się wprawdzie do skromniejszych nieco rozmiarów, bo tylko do podróży do Włoch i na Wschód, odbytej

łem do ogrodu Luxembourg. Gadaliśmy długo drwiąc z siebie nawzajem, a potem mimowolnie wpadliśmy w długie zamyślenie, aż on pierwszy odezwał się: „Wiesz, szkoda, żeśmy babie nie dali po 60 franków, może by nam co więcej powiedziała.“ Odpowiedziałem śmiechem na te jego słowa, malowały one doskonale łatwowierność człowieka, zdradzały go aż do głębi serca. Ale ja także wyznać muszę i jemu to wyznałem, że także przez czas zamyślenia na tę samą myśl wpadłem.“ (List z dnia 30go grudnia 1832 z Genewy).

W wilią wyjazdu pożegnało grono bliższych znajomych Słowackiego obiadem na cześć jego wyprawionym przez któregoś z przyjaciół. A nazajutrz, dnia 26 grudnia, w samo więc drugie święto Bożego Narodzenia, o godzinie 7mej wieczorem wsiadł do dyliżansu.

„Przyjaciele, z których jeszcze dwóch przy powozie mnie czekało, stali wokół, gadając ze mną przez okna ka-

w. r. 1836—37. Stęmwszystkiem, chociaż nie były to czasy bardzo szczęśliwe, to były one jednak jeszcze stósunkowo najszczęśliwsze w całym życiu poety od chwili wyjazdu jego na emigracyą, a nawet i najobfitsze w wypadki, a przynajmniej w przygody. A co ze wszystkiego najdziwniejsza, to że trafiły właśnie na wiek jego oznaczony!

Byronowi, kiedy jeszcze był chłopcem, wróżyła także wieszczka jakaś, nazwiskiem Msr. Williams. Przepowiedziała mu, że rok wieku dwudziesty siódmy i trzydziesty siódmy będzie dla niego niebezpiecznym. „Jedno się rzeczywiście spełniło,“ pisał Byron w swoich pamiętnikach, stósując rzecz do swego ożenienia, które przypadło właśnie na rok jego 27my. „Nie zapomnę nigdy 2go stycznia 1815. Było mi, jak gdyby podpisywali mój wyrok śmierci. Lady Byron (młoda panna) była jedyną spokojną osobą w całym towarzystwie. Ksiądz wymówił nazwisko moje fałszywie; matka narzeczonej wrzeszczała; ja drżałem jak osowy listek, dawałem odpowiedzi nedoręczne i nazwałem żonę po ślubie Miss Millbank (nazwisko pannieńskie)“... Tak tę rzecz opisywał Byron w kilka lat po owym ślubie złowieszczym, który zatruł mu całe życie goryczą. Nie upłynęło wiele czasu i okazało się, że i druga przepowiednia owęj wróżki miała się spełnić. Mając właśnie lat 36 i kilka miesięcy, poeta zakończył życie.

Więc wierzyć przepowiedniom? — Nie zawsze! Ale zdarzają się czasem rzeczy na ziemi i na niebie, o których się nie śniło naszym filozofom... Byron w nie wierzył, Walter Scott także, i Rousseau, i Göthe, i Napoleon — i wiele innych wielkich ludzi!

rety... i przy świetle latarni dziwnie się wydawała postać wychudła i blada suchotnika (Zienkowicza), który się wywlekł z mieszkania i stał nieruchomy na deszczu. Widzę go dotąd przed sobą, jak mówi Szekspir, oczyma duszy mojej, choć go może oczyma głowy nigdy już nie zobaczę. Ruszył dylizans, to ogromne zwierzę, nadziane różno-narodowym tłumem, i jechaliśmy długo przez ciemne ulice, potem przez pont Neuf, a potem przez ulice, na których nigdy nie byłem, choć blisko półtora roku siedziałem w Paryżu. I tak zakończyłem paryski epizod mojego życia. W nocy nie mogąc rozerwać niczém mojej uwagi, przebiegłem myślą mój pobyt w tém mieście — i nic nie znalazłem przyjemnego — żadnego wspomnienia, prócz chwili, w której przyniesiono mi pierwsze dwa tomiki moich poezji.“

A znajomość z panną Korą? — Nie ma o niej wzmianki w tém rozmyślaniu poety o najbliższej swojej przeszłości. Pożegnanie się ich obojga było, zdaje się, z jego strony obojętne; dla niej było bardzo bolesne.

„Powiem ci Mamo, że mnie kilka osób w Paryżu załowało, mówi Juliusz w inném miejscu tegosamego listu. Kora płakała i z drugiego pokoju było słychać łkanie; a kiedy wyszła do salonu, czerwone miała tak oczy, że siostry za rzecz potrzebną uznały mówić przedemną, że ma mocny katar mózgowy, nad czém bardzo ubolewałem.“

Ale wróćmy do przerwanego opisu podróży.

„Przejeżdżałem przez ładną Francją — ładną nawet w zimie, bo pola, choć skrzepłe, zachowują jednak zieloną barwę. W dylizansie, w którym jechałem, znajdowało się kilku Francuzów, którzy na górach wysiadali z powozu i szli piechotą. Zacząłem ich naśladować i często po całej mili uchodziłem. Co dziwniejsza jeszcze, że w towarzystwie naszym znajdował się jeden sławny szybko-biegacz, który się w Paryżu popisywał i któremu dotrzymywałem kroku. — Towarzysze moi pierwsi znudzili się pieszemi wędrówkami i na końcu samotny musiałem je odbywać. Wszedłszy na jedną górę, spotkałem się po raz pierwszy z zimą; murawa była cała szronem obsuta, futro u mego płaszcza obmarzło; wyprzedziłem z daleka dylizans i stanąłem sam jeden, a widząc naokoło skały, waszemi imionami próbowałem ich echa... Jechałem przez Tonnerre-Dole; wszędzie śliczne okolice. Nakoniec trzeciego dnia, o godzinie piątej z rana, przyjechalśmy do St. Laurent, położonego na górze Jura, skąd trzeba było wziąć sanki, aby przebyć śniegi

tęj góry. Sanki dano nam zupełnie do naszych bud podobne. Towarzystwo dyliżansowe w dwie się budy zabrało, bo było już nas tylko czterech. Siedliśmy więc, ja z moim ciągłym towarzyszem Szwajcarem w pierwsze sanie, dwóch kupców francuskich w drugie, na trzecie spakowano rzeczy i ruszyliśmy z górki na górkę. Co za rozkosz — śnieg dawno niewidziany — tu sanna, tu po gołoledzi sanki nad przepaścią grożą zatoczeniem się. Co za rozkosz jechać na południe sankami! — O 7miej zaczynało się rozjaśniać. Jechaliśmy brzegiem doliny Mijou, która się kilka mil ciągnie. W dolinie między sosnami stoją opuszczone szalety, domki, w których latem pasterze mieszkają. Na końcu doliny widać wielką bramę, to jest góry z dwóch stron. spływają i kończą wąwóz, a w tym ujściu doliny kawał mgły wisiał do ziemi, jak srebrna kortyna. Słońce oświecało ten zimny i zamarzły obraz. — W oberży samotnej na górze Jura jedliśmy obiad, a po obiedzie pokrzepieni, zaczęliśmy nową podróż z góry na dół. Dosyć wam powiedzieć, że przedkim kłusem jechaliśmy z tej góry godzinę, i porzuciwszy najpiękniejszy czas na górze, wpadliśmy nagle w krainę mgły, tak że spojrzawszy na otaczający naokoło i na śpiący na ziemi obłok, nie mogliśmy prawie wmówić w siebie, żeby o tej porze na szczycie góry słońce świeciło. Zjechawszy z Jura, w pół godziny stanęliśmy na gruncie Szwajcarów, w ojczyźnie Wilhelma Tella. Jechałem koło Ferney; widziałem z daleka zamek Woltera i kościółek, który Bogu postawił. — Ferney mniej na mnie zrobiło wrażenia, niż sama droga. Przez 12 godzin widząc śniegi wokół, o was marzyłem, marzyłem o dawnym dzieciństwie, o dniach przepędzonych między sosnami. Tak mi było miło i smutno razem, że wam tego wystawić nie potrafię. — O półtoręj mili od Genewy znów siedliśmy w dyliżans na kołach i o 5tej wieczór wjechaliśmy do miasta. Teraz patrzcie na początek listu, a będziecie mieli wyobrażenie, jak pierwsze chwile w tej miejscinie przepędziłem.“

Początek listu był taki:

„Nie masz smutniejszej dla mnie chwili, jak ta, w której przybywam do obcego miasta. Dzisiaj o 5tej wieczór przyjechałem do Genewy, wniosłem się do hotelu pod Wielkim Orłem i nie mogąc po nocy włączyć się po nieznanym mieście, kazałem sobie do pokoiku przynieść herbaty i przy ogniu kominka marzę i piszę list ten do kochanej Mamy.“ (Wszystko z listu datowanego z Genewy dnia 30 grudnia 1832).

ROZDZIAŁ SZÓSTY.

Rok 1833. — Pensjonat na przedmieściu genewskim i jego gospodynie. Tryb życia Słowackiego w Genewie. Nowe stósunki i znajomości. Wrażenie francuskiej recenzyi jego Poezyi. Teatr genewski. — Wiadomość o zgonie Zienkowicza. — Lambro oddany do druku, przedmowa do niego. — Życie towarzyskie roku owego dość zajmujące. Boston — Eglantyna — Eliza. — Wiosna — różne figury z dalekich krajów sąsiadujące teraz z Słowackim — rodzina Uwarow — Potopow — hrabina Seidwitz — misyonarz Wolf itd. — Wycieczki w góry okoliczne. — Uroczystość szkolna — imieniny Juliusza. — W jesieni praca nad Kordyanem.

Zaraz nazajutrz po przyjeździe do Genewy znalazł tam Słowacki kilku ze swoich dawnych znajomych, i ci mu dopomogli w wynalezieniu mieszkania. W ich towarzystwie i wśród stósunków genewskich wcale przyjemnych, po niewielu już dniach, owe przykre uczucia, jakich doznawał w pierwszej chwili za przybyciem do tego miasta, ustąpiły miejsca usposobieniu nie tylko znośnemu, ale nawet bez porównania swobodniejszemu, aniżeli w Paryżu.

„Genewa jest niezmiernie drogą — pisał dnia 5 stycznia 1833, w dalszym ciągu listu, z któregośmy dali ustępów kilka w poprzedzającym rozdziale — i wszyscy, nawet najbogatsi cudzoziemcy mieszkają w tak nazwanych pensjonatach. Pochodziwszy trochę, znalazłem bardzo piękny pensyon w wiejskim domu o kilkadziesiąt kroków od miasta położonym (aux Paquis Nr. 10 pod Genewą). Kosztuje mnie na miesiąc 130 franków, bez opatu. Szczęśliwie bardzo, że się do tego pensyonu dostałem, bo moi ziomkowie mają w nim dobrą opinią. Gospodyni pensyonu nazywa się Mme. Patteg. Jeżeli zobaczycie Grocholskiego

lub Kosielskiego, powiedzcie im, że zaraz na wstępie zapytała mi się panna Patteg, czy ich znam; i odtąd ciągle mi o nich gada. Oni kiedyś mieszkali u tej samej pani, trzy razy przejeżdżając przez Genewę: ale wtenczas pensyon był w mieście, dziś zaś zmienił lokal i ukrywa się w ogrodzie między świerkami i sosnami.

„Muszę Wam opisać pensyon Genewski. A naprzód dom, w którym się mieści, potem gospodarstwa moich portrety skreślę — potem opiszę mój pokój — a potem moich towarzyszy. Dom leży trochę za miastem, ale wyszedłszy z niego, w kwadrans można być na drugiej stronie Genewy. Bo Genewa mniejsza jest prawie od Kamieńca, tylko domy są stare i wysokie. Możecie sobie wystawić, jak jest mała, kiedy pomimo największej drogocności mieszkań, liczy tylko 24,000 mieszkańców. Otoż dom, w którym mieszkam, stoi w ogrodzie za miastem, wysoki na trzy piętra, szary z zielonemi okienicami. W ogrodzie najwięcej jodeł i sosen, o kilkadziesiąt kroków jezioro Genewskie, którego jednak dla innych wiejskich domów z okien nie widać. — Pani Patteg — jestto stara kobieta, przyjemnej twarzy i niezmiernie dobra. Przeczuję, że gdybym kiedy zachorował, w jej domu nie byłbym jak obcy. Córka jej, panna Eglantyna Patteg, wszystkiem w domu się trudni. Jest to panna mająca około lat 30 — ładną, być dawniej musiała — teraz pokazują się w niej wady starszej panny. Stémwszystkiem bardzo przyjemna w konwersacyi, i dobrze gada o swoich znajomych. Czułe wspomina Groch. i Kosiel., z uśmiechem mówi o Ilkiewiczu, którego także znała, a który musiał się bardzo zmienić od czasu, jakśmý go widzieli, — bo wystawiła mi go panna Pattek jako nadzwyczaj wesołego i miłego w towarzystwie. — Przybywszy na pensyon, zastałem w nim familią francuską — starego pana z żoną i synem, bo tu i kobiety mieszkają w pensyonach. Ci państwo wczoraj wyjechali — jeden mi tylko więc został towarzysz — jestto Francuz, ksiądz protestancki, z którym grywam w szachy wieczorami. Mała ta liczba pensyonaryuszów powiększa się nieskończenie w lecie. Wtenczas mnóstwo przyjeżdża Anglików, często ładne przybywają Angielki — a wtenczas pensyon staje się bardzo przyjemną wioską naszą. Wszyscy się bez przymusu schodzą w godziny uczt — bawią się — wieczorami pływają po jeziorze i późno przy księżycu wracają do domu. — Mam pokoik bardzo ładny, zupełnie wiejski — z obiciem w kraty zielono karmazynowe — biurko czeczotkowe — ogromny, ale ogromny fotel aksamitny, w którym jak siedę, to mnie nie widać — i krzesła i sto-

łek i piec okrągły — okna, jak zwyczajnie w Szwajcaryi, z małemi szybami — a przed oknami świerki — sosnę — dąb stary — wiele krzewów — murawę teraz nawet zieloną — i kłęb z róż. Okna moje są obrócone na wschód, będę więc miał w lecie słońce — i w ładny poranek otworzę sobie okna i będę miał zapach róż — zapach balsamiczny jodeł. Nie uwierzysz Mamo, jak mnie te jodły cieszą, jak mi jest przyjemną ta wiejska cisza, która mnie w około otacza. Zdaje mi się nieraz, że już osiadłem na wsi, abym odpoczął po trudach życia. W domu, w którym jestem, zupełnie mi uczuć nie dają, jakoby był za pieniądze, i to mi jest bardzo przyjemnie.

„W pensjonacie tym wstają wszyscy o 9tój rano — o 10tój schodzą się do wielkiej sali na śniadanie, złożone z jajek miętko gotowanych, z mięsa na zimno, z kawy i herbaty. Ostatnie te dwa napitki przyprowadzają tu doskonale — ale kawa w mieście jest niegodziwa. Potém rozchodzą się wszyscy. Ja idę najczęściej do miasta, do salonu lektury — odwiedzam moich znajomych — i znów o 4tój schodzimy się na obiad. Ile razy jem obiad smaczno zgotowany — dziękuję Bogu, że mi się od paryskich traktarów wyzwolił — i czuję, że mi to daleko lepiej na zdrowiu. Po obiedzie często ktoś z dam genewskich do pani Patteg przychodzi z wizytą — i tak pozawczoraj wieczór przepełdziłem na rozmowie z panną Liną, jest to ładna z czarnemi oczyma Szwajcarka — a we czwartek mam pójść do jej rodziców na wieczór. O 9tój godzinie pijemy herbatę — i potém przy kominku ciągnie się rozmowa, po której każdy do swego pokoju odchodzi.“

W ciągu następnych tygodni i miesięcy przywykał Słowacki coraz więcej do miejsca swego nowego zamieszkania, i do ludzi, którzy go otaczali. Ujrzał się tu bez wielkiego zachodu pośród nader ożywionych stósunków towarzyskich, na brak których często w Paryżu narzekał. Oto, co swoim Krzemieńczanom o tém wszystkiém opowiadał (w liście z dnia 10 lutego 1833 r.):

„Co do mojego terazniejszego położenia, bardzo miłe życie prowadzę. Mieszkam u ludzi, którzy kazali mi Mamie napisać, że mnie bardzo kochają i starają się to samo dla mnie uczynić, co chcą aby dla ich oddalonego syna czyniono. Stara dama, pani Patteg, ciągle mnie się pyta o moje chęci — gusta; wszystkiemu chce dogodzić — nad zdrowiem mojem czuwa — słowem, mogę Wam zareczyć, że bardzo godna i uczciwa osoba. Jej córka, panna Eglan-

tyna, bardzo mnie także lubi — stara się bawić — w kilku domach mnie zapoznała, a w domach tych przyjmują mnie ze znaczną atencją i rozróżniają od innych. Winien jestem pannie Eglantynie, że wprowadzony zostałem na kasyno i bywam na niem często dosyć. Kasyna tutejsze są bardzo świetne. Szwajcarki, ładne blondynki jak śnieg, mieszają się w kołach walca z zamyślonemi Angielkami, których tu jest najwięcej. Tańczą tylko kontredanse, walce i galopady. Zaproszony byłem także na kilka balów przez nieznaną osobę — dziwny to wcale zwyczaj! Byłem na jednym z nich i z trudnością wyśledziłem przeczućmi prawie gospodynią, której się trzeba było ukłonić. Na takich balach tańczą mazura, i to mi największą sprawą przyjemność. Najprzyjemniejsza jednak część dnia dla mnie jest ta, którą przepędzam w domu. Jestem zupełnie na wsi — z rana po śniadaniu wychodzę z panną Eglantyną do ogrodu. Czas tak mamy śliczny, że dzisiaj w lutym chodząc w surducie, spotniałem. Ogród zawsze zielony, pełny sosen i jodeł — niebo błękitne — a na horyzoncie wysoko wznosi się Mont-blanc śnieżny — lekko jak chmura skreślony — czasem wiankiem białej chmury okryty. Wyrysuję Wam kiedyś i przysię widok domu, w którym mieszkam, wzięty z ogrodu. Chodząc tak z rana, często pannie Eglantynie opowiadam różne przypadki mojego życia i zbieramy fijołki, które się już pokazują. Kilka dni temu pani Patteg umyślnie dla mnie dała wieczór i kilku Polaków zaprosiła — kilka było dam ładnych. Bawiłem towarzystwo jak mogłem, nauczyłem mazura — z trudnością przypomniałem sobie z dziesiątek figur — i bardzo były panny kontente. Potem ustawiłem wszystkie do angieła, i znów im różne nasze figle pokazywałem. Wkręciłem wszystkie w długiego gąsiora i tak się rozhasałem, że im wszystkie tańce pokazał aż do kozaka. W głębi duszy jednak czułem nadzwyczajny smutek, wspomnienia tłumem cisnęły się do głowy i napępiały puste serce“...

„Miałem jeszcze jedną wielką przyjemność. Jednego wieczora przyszła do nas pani Morin. Jestto żona jednego z pierwszych doktorów — bywam u nich — ona sama Włoszka — trochę sawantka, ale w miarę — ma ładną córkę, która się nazywa Lina — i sama śpiewa prześlicznie metodą włoską. Otóż pani Morin przyszła do nas wieczorem i wśród konwersacyi powiedziała mi z uśmiechem: „Młody N. N. mówił mi dziś, że w jednym z dzienników francuskich czytał długi i pochlebny artykuł o poezjach Juliusza Słowackiego. Czy Pan znasz tego poetę? Udałem, że mnie ten

artykuł mało obchodzi; ale nazajutrz z bijącym sercem pobiegłem do Société de lecture, gdzie znajdują się wszystkie dzienniki, i wynalazłem krytykę moich poezyi w *Revue Européenne*.) Bardzo pochlebnie mówią: zaczynają od wyjścia na świat Bogarodzicy — dają tłumaczenie tego hymnu — potem mówią o Ziemi z pochwałami — potem przytoczony jest w tłumaczeniu wyjątek wiersza do Skibickiego — rozbiór dość obszerny tragedyi, z cytacyami — pochwała śmierci błazna i charakteru jego w Maryi Stuart. Nakoniec tłumaczenie całego Araba wcale niezłe. Jest wszędzie trochę ocukrowanej krytyki — ale jest i to, że mam lat 22 i że rzuciłem podstawy wielkiej literackiej sławy. — Widziałem potem w Société de lecture czytających artykuł o mnie — widziałem, jak jeden dobywszy pugilaresu, imię moje zapisywał, nie wiedząc, że tak blisko niego stałem — a to mnie nadzwyczaj bawiło. Wczoraj znalazłem w gabinecie czytających samego poważnego pana Morin, który zapewne przez żonę wysłany, nad rozbiorem moich poezyi siedział. Wszystkie damy moje znajome starają się, aby tego żurnalu dostać — i wiedzieć, co ja za jeden?”

„Właśnie rok temu, jak drukowałem w Paryżu poezye. Pobyt w Dreźnie, w Londynie, w Paryżu — zupełnie inne obrazy i bardzo odcieniami wydatne zostawił w mojej pamięci. Pobyt w Genewie różni się zupełnie, i spodziewam się, że utworzy obraz wspomnień najcichszy i najprzyjemniejszy; bo dom, w którym mieszkam, latem napęłnia się mnóstwem wojażerów. Bardzo to będzie korzystnie dla mnie, że nie wychodząc z domu, będę się w różnych towarzystwach ocierał. Już teraz rozmowa moja łatwiejsza, dosyć mnie w salonie w dobrém świetle wystawia. Pomaga mi w tém rodzaj małej sławy, która rzuca jakiś urok na moje rozmowy, a przynajmniej ludzi dobrze o mnie uprzedza i często tłumaczy milczenie moje, które zgubiłoby w opinii innych. I sam nie czując się w potrzebie ciągłego gadania, gadam więcej, bo nie doświadczam żadnego przymusu“.

O samém mieście Genewie takich udzielał spostrzeżeń:

„Teatr tutejszy jest szkaradny, albowiem wiele jest metodystów w arystokracji, którzy teatr za zakazaną i zgu-

*) Zdaje się, że tento artykuł wyszedł potem i w osobnej broszurce, wydanej r. 1833 w Paryżu p. t. *Notice sur les poésies de Jules Slowacki*, podpisanej przez p. Lemaitre.

bną uważają zabawę. Obyczaje genewskie zadziwiają. Nigdzie nie ma mniej intryg — ale wiele jest plotek, jak zwyczajnie w małym mieście. Zwyczaj tu jest, że panny same chodzą po ulicach; zwyczaj także, że przed pobraniem się młodzi ludzie kochają się po lat 10. Słowem, wiek tu złoty trwa dotąd, i z tego względu miasto dziwną ma postać moralną. Arystokracja tutejsza złożona z kupców i zegarmistrzów — nudna bardzo i płaska. Oto macie w kilku słowach rys Genewy.“ (List z dnia 10 lutego 1833, z Genewy).

Lubo oddalony znaczną przestrzenią od miejsca dawniejszego swego pobytu, wiedział Juliusz jednak, co się dzieje w Paryżu, odbierając mnóstwo listów od znajomych tamtejszych; i porównując stan rzeczy tam, a około siebie, powtarzał bardzo często: „lepiej mi jest w Genewie, niż w Paryżu“....

W listach paryskich donoszono mu nieraz o osobach, które go szczególnie interesowały, o Zienkowiczu, o pannie Korze, o Mickiewiczu i t. d. Wiadomości o Zienkowiczu były coraz smutniejsze, wreszcie przysłano mu doniesienie o jego zgonie.

„Pisałem wam o moim wyjeździe — o moim chorym przyjacielu.... Okropną odebrałem wiadomość — w kilka dni po moim wyjeździe mocno zasłabł — był bez nadziei — siedział nieruchomy na łóżku i ciągle powtarzał: „nie ma Julka“ — a wymawiając te słowa płakał. Kilku znajomych ciągle go pilnowało — kilkoma dniami przed śmiercią odebrał mój list — a list był wesoły, szalony prawie, bo nie wiedziałem, że się tak źle miał. Czytano mu ten list — płakał. Dnia 18 w nocy o 10 godzinie wszyscy go opuścili i został tylko służący. W pół godziny potem chory otworzył oczy — westchnął trzy razy i skończył. Pochowano go na cmentarzu père la Chaise, gdzie tyle razy całe ranki przepędzałem.... Matko moja, pomódł się za tego, który kochał do śmierci twój syna i któremu twój syn nie w zamian nie dał, tylko łzę po śmierci“. (z Genewy dnia 10 lutego 1833).

O pannie Korze pisano mu z Paryża, że go zawsze wspomina, — rumieniając się, kiedy go kto inny wspomina. — „Druk mego *Lambra* — mówił z tego powodu Juliusz do matki w tym samym liście — przypomni jój, jak niegdyś drukując poezye chodziłem do nich co ranka i gadałem z nią przez długie godziny.

Będzie jej trochę smutno, kiedy to wspomnienie pierwszej cichej miłości stanie jej przed oczyma“....

To jest ostatnia wzmianka o pannie Pinnard w korespondencji Juliusza.

Nie długo potem, w początkach marca (1833), zaczął się rzeczywiście druk tomu III Poezyi. Korektę mu arkuszami z Paryża przysyłano. W maju było już dzieło gotowe i w rękach publiczności. Są zamieszczone w tym tomie: poemat w dwóch pieśniach p. t. Lambro, i następujące krótsze utwory: Hymn do Bogarodzicy — Kulik — Pieśń legionu litewskiego (te trzy rzeczy ogłoszone już były podczas listopadowego powstania w Warszawie) — Duma o Wacławie Rzewuskim — Paryż — i Godzina Myśli.

Dla tego jednego poematu — pisał autor o Godzynie Myśli“ do matki — chciałbym, abyście tom III czytali kiedyś. Jestto poemat serca, w którym jest całe moje dzieciństwo. Matko moja, kiedyś w Westminsterze naszego kraju może mi dadzą kąt jaki! Śmieję się ze mnie, ale ja czuję, że mam w sobie duszę sławy, która ze mną umrzeć nie może“... (z listu z dnia 15 marca 1833).

Na czele tego tomu Poezyi położył autor Przedmowę, w której się skarży na obojętność, z jaką przyjęto dawniejsze jego publikacye. Między innemi rzeczami są w niej i następujące ustępy:

„Minał ów czas błogi, chociaż mało korzystny dla literatury naszej, kiedy umieszczona w Dzienniku Warszawskim oda, duma lub ballada, nadawała imię pocie. Trzydziestu prenumeratorów dziennika (albowiem tytu ich było) rzucało nazwisko nowe na woskowane posadzki salonów, i romantyczny poeta brał chętnie, znajome nadający imię; nadto pisma czasowe dziennie zamglonymi niemczyzną okresami rzucały z paszcz sfinxowych zagadkę sławy autorskiej — szczęśliwy, kto ją zrozumiał, szczęśliwszy, kto w pokorze ducha niezrozumianej wierzył. Dziś dziennikarze owi, twórcy literackich królów, milczą...”

.... „Szanuję szkołę religijną, owę wieczerzę pańską polskich poetów, do której zasiedli w Paryżu: — sądzą bowiem, że wypływają z przekonania; że nie jest sztucznie natchnięta słowami Fry-

deryka Schlegla, który w katolickiej religii źródło jedyne poezyi upatruje. Oddaliłem się wszelako od idących tą drogą poetów; nie wierzę bowiem, aby szkoła De-la-Menistów i natchnięta przez nią poezya była obrazem wieku itd.“

Z powodu onój przedmowy pisał później — po wyjściu już dzieła — do matki, jak następuje:

.... „Od dni 20 wyszedł na świat tom IIIci moich poezyi... Przedmowa krótka i gryząca trochę obraziła Mickiewicza. Zemścił się w jednym z małych pisemek, ale dosyć niezgrabnie. Polakom tu mieszkającym podoba się ten tom bardzo — ale nie wiem, jak u Was sądzić będą ludzie. O ten tom bardziej jestem niespokojny, niż o dwa pierwsze. Napiszcie mi, jeżeli o nim co usłyszycie. Jeżeli tak dalej płodną będzie moja imaginacya, jeżeli co roku zacząć tomy nowe drukować, to wkrótce w waszój małej szafce będziecie mi musieli poświęcić całą jedną полицę — a po mojej śmierci ten, co mię poznać zechce, będzie musiał mieszać cały ze mną obcować. Takie są teraz sny moje“... (z listu pisanego w czerwcu 1833).

Cały zajęty planami coraz nowych utworów, czuł na wygnaniu swoim dotkliwie brak sposobności zasilania się ożywcem źródłem literatury ojczystej, zwłaszcza dawniejszój. Dzieła Kochanowskich, o które w Paryżu jeszcze prosił, nie nadchodziły. Nie ma prawie listu, w którymby o nich nalegliwie nie przypominał. Oprócz tych dwóch Zygmuntończyków, żądał jeszcze i Obrazu wieku panowania Zygmunta III przez Siarczyńskiego.

„To dzieło wielkim byłoby dla mnie skarbem! Ta mała biblioteka polska wiecznie mi będzie towarzyszyć, i będę bogatszym od wszystkich moich kolegów. Co Ci tylko Mammo wpadnie w ręce ze starych kronik, które się czasem po rękach Żydów walają, to mi przyslij.“ (list z d. 15 marca 1833).

Wśród tych rozmyślań o swojej przyszłej sławie i o drogach, któreby go do niej zawiadły, wśród pracy nad pierwszemi scenami nowego dzieła (Kordyana?), której zwykle ranki poświęcał, nie stronił w owych czasach Juliusz i od zabaw towarzyskich. A było do nich wiele sposobności w domu pani Patteg. Dawano amatorskie przedstawienia komedyi — tańczono na wieczorkach wiele.

„Czy wierzycie — pisał w tymże liście do krewnych — że ja tu pierwszy animuję towarzystwo? Kiedy tańczę, młodzież ściga mnie oczyma i zgodnie mi pierwszego miejsca ustępuje. Na ostatnim wieczorze zdziwiłem ją walcem tańczowanym tak, jak u nas tańczy wojsko, to jest uderzając ostrogami. Ja zaczynam mazura, ja prowadzę kotyliona i pokazuję nowe figury, jakoto: z szalem, z czterema królami kartowymi i t. p. Często gram do tańca na fortepianie — i potem panna Patteg opowiada mi, co o mnie damy gadają — i bardzo pochlebne rzeczy słyszę, o czém Wy z trudnością wierzyć możecie. Widzieliście mnie bowiem dzieckiem nudném, teraz zaś umiem czasem grać rolę wesołego chłopca, i tylko domowi widzą mnie smutnym i posępnym. Nie odraża ich to jednak odemnie, bo moje położenie oddalone od Was i od kraju usprawiedliwia tygodniowe spliny.“

Kiedy nie było tańców, siadano do zielonego stolika i bawiono się grą w karty.

„Wiecie jak najczęściej przepędzam wieczory? Oto przychodzi do nas stara dama, zupełnie do pani Lebrun podobna, z żywszą trochę imaginacją. Otóż ta dama — pani Patteg — ja — i minister protestancki, który u nas mieszka, zasiadamy do bostona. Gram doskonale w bostona — i nieraz staje mi w myśli moje dzieciństwo. Bo pamiętam, jak niegdyś jako dziecko leżąc na sofie w Mianewskiego jeszcze mieszkaniu, widziałem mego ojca, Rustema, Bogatkę przy zielonym stoliku, i mówiono mi, że grają w bostona — że do Słowackiego przyszli na bostona.*) Gra ta nie jest tak nudną, jak mi ją wystawiano — owszem, daleko łatwiejsza od wista i ma tysiąc rozmaitości.“

Przy takiem zachowywaniu się, przy takićj łatwości w potoczném towarzyskiem pożyciu — nie dziw, że Słowackiego w cichym domku owym na przedmieściu Genewy wszyscy lubili. A szczególnież zdaje się, że go lubiła coraz więcej panna Eglantyna Patteg.

„Dobrze z nią żyjemy (pisał w liście z dnia 15 marca) — zwierza mi się ze wszystkiego i mówi, że żadnej ze swych przyjaciółek tegoby, co mnie, nie wypowiedała.“

W miesiąc później uskarżał się gorzko poeta, że mu matka pozwoliła tak długo czekać na swój odpis.

*) Mianowski i Rustem byli koledzy starego Słowackiego, profesorowie wileńscy.

„Dwa miesiące, a raczej cały miesiąc drugi tortury moralne wycierpiałem. Co dnia czekałem postańca z poczty od godziny 11 do 2, a od drugiej godziny, kiedy już nie było nadziei, rozpacz mnie porywała. Dopiero kładąc się spać, myślałem znowu o godzinach nadchodzącej poczty, i tak było przez cały miesiąc... Kochana Eglantyna cieszyła mię, jak mogła. Często całe ranki przepędzała na dziedzińcu, czekając pocztmistrza... Często widząc go mijającego dom, biegła za nim lękając się, aby nie zapomniał był wstąpić. Nie uwierzysz Mamo, jakito jest mój stróż anioł ta Eglantyna. Ale teraz nie ma jój tutaj, wyjechała do starój i chorój ciotki w Lionie i dopiero za dni czternaście wróci.“ (d. 24 kwietnia 1833).

Przez te dni czternaście starała się sama pani Patteg, matka Eglantyny, rozweselać rozmową smutnego swego lokatora. Ale jój wysilenia, ażeby go rozerwać, nudziły Juliusza. Natomiast była inna osoba, która lepiej знаła tajemnicę, jak mu skrócić chwile przemijające zanadto zwolna. Było jój imię Eliza. Oto, co o niej pisał (d. 26 kwietnia):

„Właśnie teraz wracam z kościoła protestanckiego, gdzie słuchałem pilnie kazania. Byłem tam, przyznam się tobie Mamo, dla widzenia jedné miłej osóбки, która mi wczoraj powiedziała, że będzie na kazaniu. Gdybym sobie mógł wystawić, że podróżuję dla przyjemności — gdybym sobie mógł każdej chwili powiedzieć: jeżeli zechcę, to Mamę za dwa miesiące zobaczę, wtenczas obecne życie wydawałoby mi się bardzo przyjemne. Panny nie opuszczają mię. Dawniej Eglantyna chodziła ze mną po całych dniach po ogrodzie — dziś, gdy jój nie ma, stokroć ładniejsza od niej panienka odwiedza nas co dwa dni z matką. Dlaczegoż nas odwiedza?... zapewne nie dla widzenia starój pani Patteg... A zresztą, sądz sobie Mamo, jak chcesz, — ale prawdziwie zdaje mi się, że glina, z której mię Bóg ulepił, nabrała jakiegoś magnetycznego pociągu, który wiąże do mnie serca panien... Eliza, tak się nazywa przychodząca do nas często panienka, jestto osóбка mała, bardzo podobna do Kazimiry Niepokojczyckiej — ma czarne oczy pełne iskier, wiele dowcipu i miłości w mówieniu, wiele prostoty i ma lat około 24, (więc właśnie tyle, co i nasz poeta liczył ich sobie natenczas. Eglantyna miała niestety lat wtedy już około 30). Dawniej bywała u nas rzadko, tylko na wieczorach, wtenczas podobala mi się bardzo — i ubierałem ją zawsze, gdy wychodziła; a dlatego ją ubierałem, że podobał mi się jój

kapelusz... Wszystkie damy przychodzą na wieczory w kapeluszach ogromnych z czarnej lewantyny, z tak wysokim przodem, że nie dotyka kapelusz włosów. Kapelusze te nazywają się *calèche*, koczki... i szepecą niezmiernie wychodzące z balów damy. Otóż kapelusz panny Elizy, choć do wszystkich innych podobny, odróżniał się czarną koronką szeroką i spadającą na czoło. Gdy się w niego ubrała, podobna była do świeżej róży rozkwitłej na oknie gotyckim; więc dlatego ubierałem ją, gdy z wieczorów odjeżdżała. Matka jej jest wdową i ma córkę przy sobie i syna ładnego w Paryżu. Życie jej matki teraz jest bardzo piękne. Gdy widzi gdzie dom jaki osierocony śmiercią... dom, od którego wszyscy weseli odbiegli, tam najczęściej z córką przepełdza wieczory — u starych — u chorych. Eliza musiała się nauczyć bostona—aby grywać w takich domach ze starcami i z nieszczęśliwymi; dlatego twarz jej nosi wyraz dobroci i spokojności. Często chodząc z Elizą po ogrodzie, obrywamy po listku margerytki. Raz gdy nie przyszła przez dni cztery, chciałem jej dać do zrozumienia, że mi tęskno bez niej: więc wstałem rano, poszedłem do miasta, kupiłem śliczne dwa bukiety kwiatów, wróciwszy do domu, ułożyłem je naśladując Twój gust Mamo w układaniu bukietów, a potem w ogrodzie zerwałem dwie margerytki małe—i w środek ogromnego bukietu włożyłem. Bukiet ten posłałem Elizie — ale od pani Patteg. Nie zawiodłem się, przypomnienie się było skuteczném — przyszła z Mamą wieczorem — i mówiła mi, że złą była na margerytki naszego ogrodu, które jej nieprzychylny dały wyrok. Widzisz Mamo, że znalazła te dwa małe kwiatki, choć były w tysiącu ukryte. Ja zawsze mnóstwo mam po niej słów cichych, łagodnych, smutnych, z których tak widna miłość, że jej nie chcę zapytać, czy mnie kocha; bo mówiła mi, że była smutną przez 4 dni, a ja nie pytałem, dlaczego. Gdy chciałem wiedzieć, co robiła wczorajszego wieczora, odpowiedziała: Tak mi było smutno, że położyłam się o godzinie 10 i czytałam. Jaką książkę? zapytałem.— Nowy Testament. Kiedy jestem smutna, nic innego czytać nie mogę... i mówiła dalej: dziś rano obudziwszy się, zdziwiłam się, że mi wesołe przychodziły myśli, i przeczułam, że dzień ten będzie szczęśliwy. W tym dniu odebrała bukiet — i chodziliśmy po ogrodzie. Dobra dziewczynka! Nie wiem, czy Ciebie takie detale interesują; ale te detale są całą rozmaitością mego życia; bardziej mnie zajmują, niż mój tom IIIci, który za 8 dni wyjdzie z druku.“

Byłoto słowo, którego zaledwo się spodziewać było można z ust Słowackiego, tyle zawsze zajętego swojemi pracami poetyckimi. To też matka to przeczytawszy, pewnie co więcej tam sobie pomyślała o Elizie, jak tylko: „dobra dziewczynka!”

A trzeba właśnie było, że mu w dniach owych pisała, czyby nie było dobrze, gdyby sobie którą z tych panien, z którymi miał tyle sposobności przestawać, upatrzył na towarzyszkę życia i złagodził choć takim związkiem cierpkość samotności tułacza? Tak praktyczne widoki nie przypadały jednak do myśli poetyzującego młodzieńca.

„Ty mi Matko pisesz o ożenieniu?” — odrzekł jój na to w tym samym liście, gdzie właśnie tyle o Elizie donosił. „Nie chciałbym niszczyć twoich marzeń — a jednak zdaje mi się, że ja wiecznie na samotność skazany jestem, bo mojej żonie ciężarem być nie myślę. Dosyć, że nim jestem dla Ciebie...”

„Mówią mi czasem ludzie, że ja mam wyższe zdolności. Po takich mowach ludzie często myślę z goryczą, że jest tylu, którzy z małym talentem utrzymują całe rodziny — zasłaniają je od niedostatku; a ja jestem jak niepotrzebne ziele! Jestem nawet ciężarem dla ciebie Mamo moja!... Przebac mi, że taką drogę obrałem, ale wrócić nie mogę...”

„Wierzę w przyszłe życie, bo to niepodobna, żeby Bóg Ciebie nie nagroził za to, że Ci dał takiego syna! Jedna stara dama, przeczytawszy artykuł o mnie w *Revue Européenne*, napisała mi bilecik, w którym po wielu pochwałach nareszcie napisała: *heureuse votre mère!* Ona także jest matką. Więc myślałem sobie, że może ten wykrzyknik zagłuszy nieco słowa mego sumienia, które mi powiada, że Ty jesteś nieszczęśliwą przezemnie.”

Wracając do projektów, jakie sobie matka układała, do projektów ożenienia Juliusza, te już dlatego były więcej niż trudne do doprowadzenia do skutku, ponieważ uczucia jego, choćby obudzone w sposób wiele obiecujący, zbyt rychło zawsze urywały się jakoś.

O Elizie na przykład nie ma już ani jednej wzmianki w dalszej korespondencji!

Byłóż rzeczywiście prawdą to, co pisał był niedawno przedtém o sobie:

„O kochani moi! smutno mi, smutno czasem — i często — bo się już przerabiam na obywatela świata! Już się ani do miejsc, ani do osób, z którymi żyję, nie przywiązuję tak silnie, jak w dzieciństwie — i to jest jedną z wad jakieś nabywa serce tułacza“... (d. 30 grudnia 1832).

...„Szczęśliwy, kto nigdy z oczu komina ojcowskiego nie straci — kto jak liść uwiedły padnie u stóp drzewa, na którym wyrósł!“ (z listu z d. 22 września 1833 r.)

Byłóż, powtarzam, w samą rzecz to tułaczę jego życie przyczyną, że się serdecznie nie był zdolny do nikogo przywiązać? Czy też może przeszkadzał temu ów obraz w pamięci jego niezatarcie wyryty... obraz, który mimo wszelkiej dumy i na przekór najsilniejszym postanowieniom, ażeby zapomnieć o nim, ciągle mu się odnawiał przed oczyma?

„Kochana Mamo (pisał w czerwcu 1833), czy Ludwisia S. wyjeżdża do Odesy? Spytaj ją, czy o przyrzeczeniu swoim pamięta.“) Spodziewam się, że mój tom IIIci pogodzi ją trochę ze mną.“ —

Pośród zajęć, rozrywek i melancholijnych rozpamiętywań, któreśmy opisali powyżej, minęła tedy pocie naszemu pierwsza zima w Szwajcaryi i nadeszły upragnione miesiące wiosny. Zakwitły wonne bzy w ogrodzie Eglantyny — w parę tygodni później horyzont domku jej matki zamknięty drzewami okrył się tysiącem róż — nadeszło lato. Z początkiem każdego lata pensjonat pani Pätteg zwykł był napępniać się mnóstwem różnych podróży. Przygotowany na to Słowacki, cieszył się już naprzód ową różnorodnością, jaką to w dom wprowadzi. Posłuchajmyż opowiadań jego, rozrzuconych po całej korespondencji owego roku, o współmieszkańcach, których miał w ciągu lata 1833.

„W domie, w którym mieszkam, mijają się różne cienie, jak w czarnoksiężskiej latarni. Najprzód z jaskółkami przyleciał pewien Anglo-Skot — niezmiernie cichy i nabożny — młody i dziecinny... Kupił zaraz siatkę na motyle i cały ranek uwijał się z nią po ogrodowej łące. Jak mi to boleśnie przypominało moje dzieciństwo — Mickuny, Wilejkę — lasy sosnowe i jeszcze coś —. To dziwnie, że

*) Prosił ją z Paryża jeszcze Juliusz o przysłanie sobie portretu, który mu też ona nadesłać obiecała, lecz później.

już teraz nie mogę łowić motylów! Anglik ten po 2 tygodniach pobytu z nami wyjechał do Lozanny“...

„Dom po odejździe Anglika został pustym przez czas niejaki — wtém jednego poranku zwała się, jak lawina, ogromna familia rosyjska, pani Uwaroff, córka ministra, z dziećmi. Z początku doznałem elektrycznego wstrząśnienia, — teraz bardzo dobrze jesteśmy, niezmiernie grzeczni dla siebie. Pani Uwaroff sama już jest w dosyć podeszłym wieku, żywa i krzycząca — córka najstarsza dosyć rozlana i szeroka, ma twarz przyjemną i ładne czarne oczy. Włochy mało się odbiły na jęj imaginacyi — została nieociosaną statua. Ma sztambuchy, w których włoscy artyści stósując się do jęj gustu, wszystko jaskrawymi kolorami malowali. Śpiewa, robiąc zawsze 3 omyłki w aryi każdej — nigdy mniej, ani więcej. W nótach ma mnóstwo polskich teraźniejszych śpiewanych mazurków, które zapewne w ogień pójda za powrotem. — Młodsza jęj siostra żywa i piękna, jeszcze dziecko. — Synek mały w czerwonej huzarce haftowanej złotem bardzo dobry dziewięcioletni chłopczyk. Przyjaciół syna karzeł lat ma 40, łokieć i ćwierć wysokości, twarz pomarszczoną, ale głowę nie nazbyt wielką; uśmiecha się do wszystkich i nie jest bynajmniej gniewliwym. — Przy dzieciach guwerner — ze wszystkiego do Szantyra mierzącego pola w Jaszunach podobny. Przy pannach guwernatka, dwie panny służebne i służący. — Oto jest cała familia wojażerów — zdaje mi się, że dostatecznie odmalowana. Całe 3 piętra domu rozlegają się od ich krzyku; mówią różnymi językami i nieraz mi się zdaje, że jestem w Babilońskiej wieży. — Niedawno miałem rozczulającą scenę z powodu karła. Doniesiono mu bowiem, że jego ojciec umarł. Wystawcie więc sobie tę małą figurkę upośledzoną; przy herbacie — wyciągnął z kieszeni małą chusteczkę do nosa i ocierał łzy, które mu mimowolnie płynęły. Okropnie było myśleć, że on wracając do kraju, nie znajdzie osoby, któraby go może jedna tylko nie z uraganiem przyjęła. Została mu wprawdzie siostra, która w Petersburgu lekcye na fortepianie daje i z tego się utrzymuje. Po herbacie, kiedy odchodził do swego pokoju, gdzie śpi na dwóch krzesłach, przystąpiłem do niego i ścisnąłem go za ręce. Widać, że mi wdzięczny był za to uściśnienie, bo od tego dnia wstając z rana — i odchodząc wieczór, zawsze zbliża się do mnie i biorąc rękę moję w dwie swoje małe rączki, ścisła z całej siły“ — (list z czerwca 1833 r.).

Familia ta rosyjska czas tylko krótki zabawiła w Genewie. Po ich odjeździe tyle jeszcze Słowacki donosił o nich matce:

... „Z obu stron między nami panowała taka delikatność, żeśmy sobie uczuć nie dali różnicy narodowej. Zdało mi się nawet, że te osoby mnie dosyć polubiły; bo po odjeździe w listach, pisanych do pani Patteg, dały mi długie dowody pamięci. A panna Alexandra (starsza córka) odjeżdżając, zostawiła mi rysunek przez siebie zrobiony domowi wiejskiego, w którym mieszkał niegdyś Byron.“

Kiedy jeszcze mieszkali ci Rosyanie w owym domku genewskim, urządzali różne wycieczki w okolice. W wyprawach tych towarzyszył im czasem i Słowacki.

„Jeden z tych spacerów najprzyjemniejszy był na góry otaczające jedną stronę Genewy — góry, z których mniejsza równa waszej zamkowej górze.... Damy jechały w dwóch powozach, ja zaś dostałem sobie dosyć niezłą szkapkę i tak przyjechaliśmy aż do stóp Salève. Tam wszyscy wsiedliśmy na osły, — moje zwierzątko największe i najmocniejsze prowadziło cały orszak, orszak wesół, śmiejący się, błyszczący różnymi kolorami sukien damskich. Na górze czekało nas wiejskie śniadanie — na długim stole z desek — pod gruszami i jabłoniami. Potem oczy nasze rzuciliśmy na ogromną dolinę, po której płynie kręty Rodan — jezioro — w końcu jeziora najeżona dachami Genewa i kilkanaście innych miasteczek — łąki — drzewa — słowem widok ogromny — rozległy — prawdziwie prześliczny! Po górach snuło się mnóstwo dzieci, ubranych fantastycznie w pióra, z chorągwiami i muzyką. Były to dzieci Szwajcarów, bawiące się w Niedzielę, jak przystoi na potomków Tella. Uformowani w dwa oddziały, snuli się po wąwozach, strzelali z pistoletów — podobni niegdyś do Julka Achillesa w zbroi.... Kilka razy pływałem w czołnach na jeziorze. Majtek, który nas woził, był niegdyś przewoźnikiem Byrona, i dlatego często z nim wchodziłem w rozmowę. Stary wiosłarz dotąd o niczem nie gada, tylko o angielskim poecie — zdaje mu się, że jakaś część sławy przy nim została, przy długim obcowaniu z lordem.... Między innymi szczegółami opowiada, jak raz z Byronem poszli w zakład o lujdora, kto z nich prędzej na drugi brzeg jeziora dopływie. Nie dziw, że mnie Lord wyprzedził, powiada Maurycy (tak się nazywa majtek), albowiem za Byronem płynęło czołno i służący leżącemu na wznak Anglikowi lał do gardła dobre wino, co nie mało w pływaniu dopomagało. Po-

wiada dalej, że przegrawszy zakład, oddał Byronowi lujdora, który się długo wzbriał, ale nareszcie przyjąć musiał. Dodaje wszelako Maurycy, że Byron chociaż dobrze trzymał się w wodzie, nie wiele robił drogi, bo miał koszlawą nogę, nie większą od jego dłoni. Bardzo czasem wielką przyjemność znajduję w rozmowach majtki, — i patrzę na wielkich ludzi z téj samej strony, z jakiej się na nich lud zapatruje.

„Patrząc co dnia na szczyt góry Mont-Blanc, przychodzi mi często na myśl Malczeski, który po śmierci jednym poematem tak wzrósł, że nawet głową przewyższa naszych poetów. Przebiegając opisanie wejścia na górę Mont-Blanc, znalazłem na ostatniej karcie między wyliczonymi bohaterami tego trudnego przedsięwzięcia imię Malczeskiego, ale skaleczone tak, że gdybym skądinąd o jego wędrówce na tę górę nie wiedział, tobym się był o tożsamości osoby nie domyślił. Nie wiem, dlaczego — ale myśl o Malczeskim została głęboko w moich dumaniach utkwiona; zdaje mi się, że jest coś podobieństwa między nami, — ale burza jeszcze mię nie złamała. Wiesz Matko, że teraz jedyną modlitwą moją jest prośba, aby mi Bóg pięknie i szlachetnie dał umrzeć; bo kiedy pomyślę, że wędrówka moja może być długa — że przyjdzie na mnie nędza — że mię дума moja zabije: to prawdziwie, że mię okropność takiego losu przeraża.“ (z listu z dnia 15 lipca 1833).

W chwili kiedy to pisał, już familii Uwarow w domu pani Patteg nie było. Zmieniły się dekoracye w następujących miesiącach, a raczej wystąpiły na scenę inne osoby, grające jak się wyraża poeta, razem z nim tragi-komedją życia.

Najprzód przybyła po nich znowuż rodzina Rosyan i na długo w miejscu osiadła.

Była to, jak u nas nazywają, pocziwa szlachta.

„Wdowa Potopof, ładna jeszcze kobieta, choć ma w Rosyi córkę dorosłą — bardzo dobrego serca, łagodna jak anioł i prosto-duszna. Kuzynka jój, panna Aneta, zupełnie ze wzrostu i twarzy do Maryi Kukulnikówny podobna — także bardzo dobra i prosta. Kuzyn obu tych dam, pan Szaszin — brzydki z twarzy — ale szczery i otwarty — nie mówi po francusku, tylko po rosyjsku. Z temi osobami jestem, jak można najlepiej. Kuzynowi gadam, co mi przez głowę przejdzie — z panią Potopof także często po rosyjsku rozprawiam. — Obok mego pokoju ma mieszkanie

la Comtesse Seidwitz, lat 65 — z wszelką grzecznością dla dam to piszę, — trochę uróżowana — co dnia w inną sukni — wygorzowana — krzyż dworu wiedeńskiego zawieszony na ogromnej kokardzie nosi przy boku, — za nią zawsze lokaj Niemiec z dwoma poduszkami, które kładzie gdziekolwiek baba usiąść zamierza. Stémwszystkiem jestto bardzo dobra osoba — wesoła — przyuczona u dworu do grzeczności — każdemu ma coś powiedzieć; bardzo lubi kalambury — wozi ze sobą papugę, która kilka słów z okna krzyczy, — a oprócz służącego ma służącą Niemkę, którą sama pilnuje i na klucz zamyka przed wielkimi pokusami — a tak zamknięta panna oknem cały dzień wygląda — i cały dzień śpiewa nieuczonym lecz łagodnym głosem, z akompaniamentem gitary. Biedna dziewczyna, prawdziwie jak papuga wygląda! Ta pani la Comtesse siedzi przy mnie u stołu, ciągle mam z nią konwersacyą, ciągle wyciąga szklanke, do której wina nalewam, a baba cukru nasypuje, a ja znów trochę wody dolewam — i jestem podobnym do Ganimeda. — Z drugiej strony mego pokoju mieszka Anglik — oryginał — łysy, z ogromnym nosem, trochę głuchy, ograniczony i całą sławę swoją ufundował na dobrém graniu w wista, i choć tu po 5 sous punkt gramy, on jakby o wielkie sumy chodziło, łaje, jeżeli który z grających słowo przemówi. Wiecznie w spodniach nankinowych i w tabaczkowym fraku ubrany. — Oto są osoby, które ze mną zajmują pierwsze piętro domu. Dół jest zajęty salonami i pokojem jadalnym; na drugiem piętrze mieszkają gospodynie — dwie Angielki, matka z córką. Córka trochę do Julki Michalskiej podobna — naiwna, żywa jak dziecko; matka ładna jeszcze, tak że za siostrę córki mogłaby uchodzić. Przyjechały ładną kareta, z dwoma służącymi, widać że bogate — nazywają się Donnelan — jadą na zimę do Włoch. Nakoniec mieszka z nami Anglik Hamilton, ładny chłopiec, wysoki, zawsze pięknie ubrany, mało mówiący z powagą i przymusem — oto jest nasze towarzystwo. (z listu z dnia 23 sierpnia 1833).

Nie było to jednak jeszcze całe towarzystwo Juliusza. Przybyła bowiem później nieco jeszcze jedna para do domu pani Patteg — jakiś pan Wolf z żoną, duchowny anglikański, wysłany z Anglii, ażeby ludzi na metodystów nawracał. Ten dowiedział się, że Słowacki jest autorem, przez cały ciąg pobytu wszystkie osoby zaniedbywał, a do niego się przyczepiał; posta-

nowił sobie bowiem wy kierować koniecznie i jego także na metodę protestanckiego.

„O gdybyście widzieli — pisał o nim w liście z d. 22 września 1833 — jego tłustą, okragłą postać — przy chudej żonie — jego uśmiech jezuicki.... Gdybyście widzieli, jak przy stole z jezuicką miną spożywa pokarmy: śmialiście się, jak ci się śmieją, którzy z boku na nas patrzą.“

Z tém później głównie z Anglików złożoném towarzystwem odbywał Juliusz także niekiedy wspólne wycieczki w dalsze okolice Genewy. Jeden z nich szczegółowo opisał.

„Przeplłynęliśmy jezioro i na drugiej stronie widzieliśmy dom, w którym mieszkał niegdyś Byron bawiąc w Genewie. Dom ten teraz zamieszkały przez kogo innego, oddalony o 3 wiorsty od miasta — dom mały, murowany i wcale pospolity. Nie wchodziliśmy do środka — dziedziniec nadzwyczaj smutny, otoczony stajniami — z drugiej strony ogród na schodzącej do jeziora płaszczyźnie. Wioska, w której mieszkał, nazywa się Cologny.*) Wracaliśmy po jeziorze przy świetle księżyca. Nie możecie sobie wystawić, co za przepyszne jezioro przy księżycu... z jednej i z drugiej strony błękitniejące brzegi mgliste — a w końcu jeziora migające światła i rzędy oświeconych okien — to Genewa! Z czwartej strony brzegów nie widać przy świetle księżyca. — Taki spacer byłby zachwycającym z miłemi osobami. Ale wy sobie nie możecie wystawić, co to są Anglicy i Angielki! Jest trzech Anglików w naszym domu — żaden z nich nawet jednej myśli swojej w głowie nie ma. Angielki także nie takie, jak je sobie wystawiałem — wcale nie sentymentalne — i nigdy jeszcze z Anglikami nie było w naszym domu interesującej rozmowy“....

Tak mówił o tém w liście z dnia 22 września. A w miesiąc później, kiedy już wszystko w różne strony porozjeżdżało się z owego ustronnego zacisza na przedmieściu Genewy, znalazło się w jego doniesieniach jednak wspomnienie zupełnie innym to-

*) Pobyt Byrona w tych miejscach nie był długi. Mieszkał on tu tylko w ciągu lata 1816, porzuciwszy Anglię i co tylko rozwiódłszy się z żoną. Następnie, w końcu roku tego, przeniósł się do Włoch. W tymto domku powstał więc Sen — Więzień Chillonu — Ilcia pieśń Childe Harolda i pierwsze pomysły *Manfreda*.

nem wypowiedziane o jednej z osób należących do narodu, który tak niekorzystnie wtedy osądzał.

„Pusty dom nasz — a dla mnie pustynią się zdaje od czasu wyjazdu młodej Angielki, która tu mieszkała, przez drzwi tylko oddalona odemnie, i z którą po całych dniach szaleliśmy. Prawdziwie, że dziwnie, jak wiele dotąd we mnie dzieciniego, a czasem jak wiele splinu.“ (dnia 27 października 1833).

W ciągu jeszcze pełnego lata, w miesiącu sierpniu, kiedy całe towarzystwo owo ożywiało jeszcze dom pani Patteg, miał Słowacki przyjemną scenę, którą opowiadał matce ze wszystkimi szczegółami. Wizytator szkółek miejscowych uprosił gospodynią domu, ażeby mu pozwoliła ogrodu swego na wyprawienie dzieciom festynu.

„Porobiono więc w ogrodzie wielkie przygotowania; jakoto zasadzono słup, na wierzchu którego zawieszono były cacka dla dzieci — pozaczepiano na drzewach w alei hojdałki — pozastawiano stoły: i do tak urządnego ogrodu o godzinie pierwszej weszły dzieci ordynkiem z bębнами wojskowymi na czele i niosąc mnóstwo chorągiewek. Nie uwierzysz Mamo, jaki to ładny widok 400 dzieci ładnie ubranych, ubogich, bogatych — z jaką wesołością wchodzili do ogrodu, jak mrówki rozsypali się po trawie, potem znów około chorągiewek zasiedli. Pani Potopoff, która zostawiła w Rosyi małego synka, chodziła między dziećmi, szukając czy którego podobnego nie znajdzie — i łzy miała w oczach. Ja także — nie wiem dlaczego, oczy miałem łez pełne i coś mię dusiło w gardle. Prawdziwie że nie wiem, jakie to było uczucie. Człowiek najszczerzej płacze, kiedy płacze nad sobą samym, a ja wtenczas żałowałem siebie samego, że mię burza tak gwałtownie od wieku dzieciniego oddzieliła... Podczas gier — cała nasza kompania domowa siadła na ławce między dziećmi. Wtenczas przypomniałem sobie Czackiego — przypomniałem sobie własne uczucia, jakich doznawałem, odbierając oklaski na examinach — i prosiłem wizytatora, aby mi prezentował pierwszego ucznia. Natychmiast wizytator przyprowadził mi za rękę małego 12 letniego chłopczyka, trochę chorego wtenczas; wziąłem go za rękę, powiedziałem mu imię mojej ojczyzny — zapytałem, czy ją zna? Powiedziałem mu kilka pochlebnych rzeczy i dałem mu ładny medal mój, prosząc ażeby sobie kiedyś będąc starszym, przypomniał tę

chwilę. Wiecie, że podczas téj sceny wielu przytomnych żyło miało w oczach. Mały chłopczyk ścisnął mnie za rękę i nie znalazł słowa na ustach. Eglantyna mi potem mówiła, że chciałaby mnie w téj chwili uściskać. — Droga Mamo, są czasem chwile, w których myślę, że Tybyś była ze mnie kontenta.... (z listu z d. 23 sierpnia 1833).

Podobnie rzewnych, ale i miłych zarazem uczuć doznał Słowacki w tymże samym miesiącu przy innéj jeszcze sposobności. Były to jego urodziny — dzień sierpnia 23ci: w dniu owym rozpoczynał 25 rok życia. W wilią dnia tego doręczono mu list z Krzemieńca, „który choć smutny, był mu najmilszém wiązaniem.“ Nazajutrz po odebraniu listu, w sam dzień urodzin, obudził się o godzinie 7mej i spostrzegł rękę, która naprzód odchyliwszy firanki, rzuciła na jego łóżko bukiet kwiatów. Zapewne bukiet ten będzie od Eglantyny, pomyślał sobie.

„Przebudzony tak mile, nie mogłem i nie chciałem spać dłużej, choć zazwyczaj do 10, to jest do śniadania łóżko zalegam; ale pomyślałem sobie, że miléj mi będzie, pierwsze dwie godziny tego dnia Tobie Mamo poświęcić — i oto piszę do Ciebie.“

Kiedy tak pisał, bukiet dany mu na wiązanie stał przed nim — w głębi jednéj róży w bukiecie spał sobie spokojnie zielony żuk. „Zdaje mi się — są słowa Juliusza — że on ma teraz los podobny do mnie — który spoczywam cicho w głębi pięknego szwajcarskiego ogrodu“... Potém zszedł na śniadanie i zastał pannę Eglantynę samą, która go zniewoliła, aby przyjął od niéj złotą obrączkę.

„Obrączka ta otwiera się — i we środku napis: 23 Aout 1833. — To dziwnie, że tak pamiętała o dniu moich urodzin, o którym kiedyś w zimie jeszcze mówiłem — a tego miesiąca zapytywany o dzień kilkakrotnie, nigdy nie chciałem powiedzieć. Obrączkę tę, z pierścionkiem niegdyś od babuni darowanym, na jednym palcu noszę.“

W dalszym opisie donosi o powinszowaniach ze strony niektórych Polaków w Genewie bawiących, o obiedzie, na którym pito jego i matki jego zdrowie, i o wieczorku, na którym tańczono do 11 w nocy. —

Zwróćmy teraz uwagę naszą na autorską czynność poety — na tle towarzyskich stósunków, któreśmy właśnie poznali. Zajmo-

wały fantazją jego przez ciąg całego tego roku pierwsze pomysły do dzieła, którém, ile wnosić można, był wydany później poemat pod tytułem *Kordyan*. Już w marcu (1833) donosił matce, że ranki poświęca pracy nad jakimś nowym utworem. W lipcu wspomniał o nim w sposób, że wątpić nie można, iż miał na myśli to właśnie dzieło. Za nadejściem jednak lata, przesuwające się przez dom, w którym mieszkał, coraz nowe osoby sprawiały mu tyle roztargnienia, że w tym wirze i zamęcie niepodobna mu było przedłużyć pracy. Rzucił tedy pióro, z uśmiechem nieco szyderczym zwrócił oczy badawcze na oryginalne te typy, z którymi pod jednym dachem się mieścił — i doznając już to przyjemności w towarzystwie z tylu żywiołów różnych złożonóm, już moralnego znużenia, bawił się — nudził — marzył — wygrywał na fortepianie — czytał bardzo wiele; ale nie pisał nic. W ogóle nie czuł w sobie żadnego do poważnej pracy przez całe te miesiące popędu.

„Napada mię czasami chęć czynniejszego życia,“ — takimi słowy opisywał usposobienie swoje w korespondencji z czerwca i lipca — „marzę o różnych projektach; ale wszystko to na próżno.... Siedzę cicho i spokojnie nad brzegami jeziora — i myślę o Was. Czasem jestem tak odrętwiały, że potrzebowałbym, aby mię pszczoły Twojej Mamó pasieki pokąsały. — Smutno mi, smutno!“...

Z nadchodzącą jesienią — i cisza w domu z powodu powoli rozjeżdżających się gości i wrodzona właściwość, że o tej porze właśnie zazwyczaj nawiedzała go jakaś konieczność poetyckiego tworzenia — wszystko to zaczęło składać się na to, że owe pierwsze zarysy dzieła, jeszcze na wiosnę rzucone, nabierały w jego wyobraźni coraz więcej ciała i kształtów.

„Tę zimy zamyślałam pisać i pisać — mówił o sobie w liście z d. 22 września: — jestem jak góra w połogu. Prawdziwie nie wiem, jaka jest organizacya we mnie, że się tak o pewnych epokach ożywia myślami — przepełnia — wylewa — i znów jestem jak Turek (przez pół roku), po wytrzeźwieniu się z opium; zupełnie zimny i prozaiczny.“

W październiku donosił:

„Anglicy i Angielki i wszystkie inne narody, które przez lato dom nasz napępniały — z przyjściem jesieni unio-

sły się jak jaskółki na południe. W towarzystwie samych tylko gospodyń domu możebym się nudził szalenie, gdyby nie kraina marzeń i urojeń, która silniej niż kiedykolwiek oddzieliła mnie od świata. Piszę wielkie dzieło — napisałem już 1300 wierszy; ale to jest jeszcze niczem w porównaniu do całej budowy... (z listu z d. 27go października 1833).

W końcu listopada mógł już zdać sprawę z dalszego postępu pracy:

„Cały ten miesiąc pracowałem nad nowym poematem i w dni 20 napisałem 2,200 wierszy. Czuję jakąś pociechę, myśląc, że moja młodość nie jest zupełnie straconą dla dobra Ojczyzny mojej. Przynajmniej tak sobie powiadam i słodzę tem wszystko... Książki Kochanowskich odebrałem z taką radością, jak gdybym witał przyjaciół. Będę je zawsze chował, bo notatki Ojca i Twoję kilka wyrazów, Mammo, uświęciły je dla mnie. Czytam ciągle teraz oba dzieła na przemianę i znajduję, że Treny są niezrównanej piękności. Uwagi Ojca mego po większej części znajduję słuszne; w niektórych tylko miejscach widzę, że go gust ówczesowy klasyczny, a raczej francuski trochę obłąkał. — W teraźniejszej poezji Brodziński się najwięcej do Kochanowskiego zbliża — ale jest od niego niższy o trzy wieki. Oprócz tych dzieł nic więcej teraz nie czytam, bo po całych dniach przepisuję na gwałt mój nowy poemat, który nazywa się *Kordyana*. Dziwne to imię sam dla mego idealnego człowieka znalazłem... (z listu z dnia 30 listopada 1833).

Z samej skwapliwości przepisywania widać, ile zależało autorowi na jak najrychlejszem w świat wyprawieniu téj książki. Temu życzeniu stawały znowu w drodze zwykłe trudności z powodu braku funduszków nakładowych. Za poprzednio wydane tomy kosztą zwracały się z wolna, bardzo późno i jak to mówią, tylko kapaniną, a pewnej części takowych nawet pozbawiała go nierzetelność osób do rozprzedaży użytych albo księgarzy, na których też często wyrzeka.

„Ci, którzy je wyprzedają, tacy są hołszy, że mi przychody moje kręcą — i długo zatajają. Słowem przekonuję się, że księgarze — jestto najgorsza klasa. Wszyscy do Zawadzkiego podobni... (list z d. 23 sierpnia 1833).

Dało się jednak jakoś wszystko załatwić. W miesiącu styczniu czy lutym następnego roku pojawił się w Paryżu poemat, bez żadnej przedmowy i bez wyrażenia imienia autora, pod ty-

tułem: *Kordyan*, Część pierwsza Trylogii — Spisek koronacyjny. Paryż 1834. 12° str. 159.

Autor dziełem tém zamierzał rzucić rękawicę Mickiewiczowi, pójść w zapasy ze sławą jego: dlatego też wydał je beziemiennie. „Będzie tak równiejsza walka z Adamem,” wyrzekł przy wiadomój nam już sposobności do matki. Stawiał Kordyana wyżej nad wszystkie swoje aż potąd ogłoszone utwory. Obiecywał mu wielkie powodzenie: „Wyjście na świat tego poematu będzie dla mnie bardzo ważną epoką,” — pisał mając przed sobą pierwsze arkusze druku do korekty sobie przysłane (d. 3go stycznia 1834). I miał przekonanie, że „osadził to dzieło swoje po napisaniu obcego człowieka rozważą.”

Nim się dalej zapuścim w rozpowiadaniu o kolejach życia poety, zatrzymajmy się na tém miejscu i pomówmy nieco o téj jego świeżo wydanej publikacyi, jako też o utworach, które zapełniają wydany przed nią tom III. Przedsięwzięliśmy sobie bowiem iść w ślady nie tylko za ruchem zdarzeń w życiu jego zewnętrznym, ale i dopatrywać rozwoju wewnętrznej w nim siły, której miarą były dzieła z kolei wydawane.

ROZDZIAŁ SIÓDMY.

Zdanie o poemacie Lambro. Czy narodowość poezyi na tém polega, ażeby obrabiać materye brane jedynie ze sfery własnej? — Rozbiór Kordyana — kilka uwag o Dziadach Mickiewicza i o Garczyńskiego Wacławie.

W wydanym w roku 1833 tomie trzecim Poezyi Słowackiego zajmuje główne miejsce „powieść poetyczna“ w dwóch pieśniach nazwana Lambro. Rzecz wzięta jest z historii nowogreckiej, z drugiej połowy zeszłego wieku. Lambro był dowódcą Greków, którzy namówieni przez jedno z wielkich mocarstw północnych do zrobienia powstania, zostali następnie pozostawieni sobie samym i niesumienne zdradzeni w chwili stanowczej. Powstanie naturalnie upadło. Przyplacili je strumieniami krwi wytoczonej najdzielniejsi synowie tego ujarzmionego narodu.

Podjąwszy jako przedmiot do dzieła zdarzenie wzięte z dziejów postronnych, poeta rozminął się z praktyką przestrzeganą i wtedy i dziś jeszcze w literaturze naszej. To też w przedmowie usprawiedliwia to zboczenie swoje z drogi utartej. — „Myli się ten, kto sądzi, że narodowość poezyi zależy na opisywaniu narodowych wypadków; wypadki są tylko szatą, ciałem, pod którym trzeba szukać duszy narodowej lub duszy świata... Lambro jest to człowiek będący obrazem naszego wieku, bezskutecznych jego usiłowań; jestto wcielone szyderstwo losu, a życie jego jest podobne do życia wielu teraz mrących ludzi, o których przyjaciele piszą, czém być mogli, o których nieznajomi mówią, że nie byli niczém“...

Powyższe zdanie Słowackiego o warunkach narodowości w po-

ezyi nie przypadło do przekonania pisarzów zajmujących się w latach owych krytyką. Jeden z najdzielniejszych pomiędzy nimi, mający po sobie powagi tém więcej jeszcze przez to, że był zarazem i sam znakomitym poetą—Goszczyński, zupełnie się inaczej na rzecz tę zapatrywał. On żądał koniecznie, aby w poezyi polskiej nawet przedmiot był swój i własny. To też mówiąc o Słowackim, pogardliwie prawie wyraził się o Lambrze: — „Nad dziełami obcej osnowy, jak Lambro, nie nasza rzecz zapuszczać się w uwagi.“ *)

Mnie się zdaje, że słuszność tak stanowczo jest po stronie Słowackiego, że nie ma nawet potrzeby tego dopiero dowodzić. Wprawdzie teorya Goszczyńskiego utrzymuje się dotychczas w praktyce. Zacieśniliśmy więc może, aniżeli by należało, horyzont poezyi naszej. Przy obecnych stosunkach nie jestto wprawdzie bez pewnych ubocznych korzyści. Ale prędzej czy później przyjdzie chwila, gdzie się to jednak będzie musiało zmienić. W każdym razie godzi się być mniemania, że użyłoby to niwę pięknej literatury naszej, gdybyśmy czasem pomnażali jej plony zasobami czerpanymi z przeszłości przynajmniej innych rodów słowiańskich. Może nas dzisiaj odstrasza od podobnych zetknięć pusta mara panslawizmu. Byłaby to bardzo nieuzasadniona obawa! Jeżeli już nie co innego, to ostatnie sceny Kordyana, o którym niebawem przyjdzie nam mówić, mogłyby stanąć za dowód, że bez narażenia się na niebezpieczeństwo obłądów panslawistycznych, można w tych dalszych światach słowiańskich znajdować nieraz przedmioty godne fantazyi Szekspira. Dzieje nasze są czyste, pod etycznym względem nieskończenie wyższe od przeszłości nie tylko innych słowiańskich plemion, ale i wielu dalszych europejskich społeczeństw; ale właśnie, przeto ogólne ich znamię stanowi pewna że tak powiem, beznamietność. To też rzadko kiedy udaje się na tém tle wzniesć dzieło większych rozmiarów, któreby samą treścią doraźnie działało na wyobraźnię i tchnęło grą tych pasyi

*) Obacz bezimiennie ogłoszoną jego rozprawę „Nowa Epoka poezyi polskiej“ w Powszechnym Pamiętniku Nauk i Umiejętności krakowskim, r. 1835.

gwałtownych, bez których pewne rodzaje poezji nie mogą się obejść.

Poddając to napomknięcie nawiasowe pod rozwałę szczególnie naszych dramatycznych pisarzy, wracam do poematu, o którym mam zdanie moje powiedzieć. Podzielam najzupełniej z Goszczyńskim wstręt, który go powstrzymywał od zapuszczania się w uwagi nad Lambrem. I ja nie mam zamiaru rozpoczynać szczegółowej analizy tego utworu, któremu z mego stanowiska jednakże nie dlatego odmawiam wyższej wartości, że to „dzieło obcej osnowy“, lecz że wykonanie i całe przeprowadzenie obranego przedmiotu uważam za chybione pod każdym względem.

Czego chciał Słowacki, zabierając się do téj pracy? — Powiada on w przedmowie o swoim bohaterze, że „jestto człowiek będący obrazem naszego wieku i bezskutecznych jego usiłowań“. — Obaczmy, czy to prawda.

Rozebrawszy rzecz z pięknych rymów, wierszy, obrazów i tympodobnych przyborów poetyckich, którym nie zarzucić nie można, bo pod tym względem wykonał autor dzieło z całym przeպчыem: ściągnijmy osnowę poematu do jaknajściślejzego streszczenia i okażmy w suchych słowach, jakito człowiek dostarczył tu rysów na skreślenie obrazu naszego wieku...

Bohaterem poematu jest młody wódz w jednym z tych licznych powstań, jakie poprzedziły wydobycie się ostateczne Grecyi z pod tureckiego jarzma. Miał on być już w którymś z poprzednich ruchów czynny udział; ale wtedy, skoro tylko przyszło do walnej bitwy, skończyło się wszystko dla téj sprawy jak najgorzej. Cały zastęp Greków wyginał. Lambro sam jeden tylko potrafił opuścić pobożowisko przy życiu. Udał on się natenczas na emigracyą — „lecz nie samotny! znalazł się ktoś drugi, co przy nim giermka podjął się usługi“. (Byłato Ida, jego kochanka. Odpowiedzialność za ten pomysł niedorzeczny — musi rad nie rad przyjąć tym razem na siebie Byron, protoplasta całej famillii typów tego rodzaju). — W kilka lat później zaczęło się w Grecyi zanosić na nowy wybuch. Wystąpił w narodzie natchniony poeta Ryga i budził pieśnią swoją ducha z letargu; któreś z mocarstw popierało pomysł powstania: więc przyszło wreszcie do

pierwszych objawów jawnej walki między ludnością grecką a rządem. Na pierwszą wieść o tém wszystkiém Lambro emigrant zjawił się w kraju! Powrócił z daleka z gotowém postanowieniem odegrania w tym ruchu zbrojnym, który się właśnie zaczął, roli naczelnego wodza. Ale zaczyna i to powstanie bardzo rychło doznawać niepowodzenia: pierwsze starcia Kleftów z Turkami wypadły nieszczęśliwie; co gorsza, ów wieszcz narodowy został ujęty w niewolę, i właśnie przygotowuje się scena straszna, gdzie go w skutek zapadłego wyroku mają stracić publicznie.

Właśnie w przededniu téj exekucyi, schodzi się Lambro w umówioném miejscu z kochanką. (Ida od niejakiogo czasu nie dzieła już z nim wygnania, ale spędzała czas w kraju. Teraz, po długim niewidzeniu, witają się tedy z sobą na nowo). Przy téj sposobności zapoznajemy się nieco lepiej z osobą bohatera powieści. Widzimy w nim rodzzonego brata Mindowy, Botwela, Żmii itd. z różnicą chyba, bez jakiej nie znaleźć i dwóch listków na drzewie. Melancholia i sceptycyzm — oto znamiona choroby duszy tego człowieka. Na twarzy przyszłego zbawcy Grecyi „jakiś szatan mięsza“ rozpacz i śmiech szyderczy i cierpienie; a na dobitkę, wyczytuje jeszcze na niej kochanka „ostatni stopień wszystkich nieszczęść... nudę“! — Dalsza rozmowa odsłania, że Lambro został (już po oddaleniu się Idy od niego) korsarzem, nad czém oboje, i ona i on nawet także, ubolewają. Dawniej — mówi Lambro o sobie — byłem innym człowiekiem; ale mię nieszczęście złamało! To też teraz szerzy on śmierć z obojętnością około siebie, jak daleko tylko działa okrętu jego sięgają, i z uśmiechem dziwnéj radości patrzy nawet na konanie własnych majtków, którzy wiernie dzielą z nim wszystkie koleje losu...

Po tym obrazie Lambra, który pomimo wszystkich starań, jakie podjął autor, żeby go otoczyć urokiem pewnej wielkości, wzbudza jako człowiek odrazę, a jako przyszły zbawca narodu najwyższe niedowierzanie: — następuje epizod rzeczywiście oddany z niepospolitym talentem — jedyne miejsce w tym poemacie, które się może i które się musi każdemu kto je czyta podobać, opis wykonania wyroku na wskazanym na śmierć poecie. Postać giną-

ojej na szubienicy ofiary oddana jest à bas-relief, niewielu tylko rysami; ale te kilka rysów staje za szczegółową opowieść o całym jego szlachetnym życiu i daje wymowne, tryumfujące świadectwo tym ideałom, którym Ryga wszystko na ziemi poświęcił. — Nie podnosi za to bynajmniej w oczach naszych osobistości głównego bohatera czyn, jakiego Lambro dokonywa właśnie przy tejże egzekucyi, mszcząc się nibyto za tę krew niesprawiedliwie przebraną. Jestto brawura — może wyborna, żeby dowieść kwalifikacyi na korsarza, ale niewiele dobrego rokująca o rozumie wodza narodowego! Poeta opisywał to wszystko na nieszczęście w inném przekonaniu.

Po spaleniu w taki awanturniczy sposób tureckiego okrętu, czeka Lambro, co powie na to naród, i gotuje się do dalszego działania. Ale nim przyszło do tego, żeby się choć był dowiedział, jakie jest usposobienie ludności: — przytrafiło się na jego korsarskim statku, tejże nocy co nastąpiła po owym akcie brawury, zdarzenie, które położyło koniec i karyerze jego jako naczelnika sił zbrojnych powstania narodowego, i... poematowi. Zdarzenie to bardzo naturalne, choć dla czytelnika wcale niespodziewane! Okazuje się bowiem — w drugiej pieśni — że Lambro, oprócz innych przymiotów niekoniecznie potrzebnych wodzom naczelnym, posiadał jeszcze i ten najniepotrzebniejszy ze wszystkich, iż był nałogowym... amatorem opiatu. Poeta starał się tę smutną stronę swego bohatera ubarwić i osłonić, ile to tylko być mogło. Zamiast powiedzieć otwarcie, że się Lambro lubił zapijać, wyraża się tedy w tych poetycznych słowach:

„Że Lambro co dnia bledszy o północy
Szaleje trucizn namiętném piciem
I życie mieni na sen gorączkowy.“

Tym razem — po tém co zaszło, tuż przed czynami, jakich się Ojczyzna ma prawo po nim spodziewać — czuje to Lambro, że mu jakoś nie wypada brać i tej nocy czary do ręki... Nadeszła północ: nasz człowiek trzyma się twardo! łamie się z nałogiem, jak tylko może. Ale ludzie tego rodzaju daleko pochopniejsi bywają do walki z całym światem, niżeli ze sobą samymi! Siebie zwyciężyć nasamprzód, a potem dopiero zapróbować i z drugimi

tego samego: — téj zasady Słowacki w młodocianyeh robotach swoich nie zastosował nigdzie! Tak też miała się rzecz i z Lambrem. Długo on dumał błądy samotnie na pokładzie swego okrętu — patrzył w milczeniu na spokojną powierzchnię morza, oświeconą bladém światłem księżyca — bladł coraz bardziej i chwiał się: nagle upadł bez przytomności. Po jakiś chwili wróciły siły — powstał: — ale teraz gromkim głosem zażądał swojej zwyczajnej czary! — Podano mu ją — wypił. Zbieg przypadkowy okoliczności sprawił tu nieco zamęt. Zamiast pazia, który obsługiwał w razach takich naszego kapitana okrętu, wcisnęła się tym razem była do niego przebrana za pazia Ida: ona mu tedy podać musiała fatalną czarę owę, której zażądał. Kiedy ją nalewała, drżała jéj ręka i kilka kropel trucizny wpadło do czary więcéj, niż należało. Więc nastąpiło, co musiało: otrul się bohater poematu. —

Powyższe streszczenie saméj osnowy Lambra uwalnia mię od potrzeby rozwijania uwag i nad artystyczną i nad moralną wartością poematu. Zdaje mi się, że byłby to utwór wyborny, gdyby był wykonany w formie satyry, parodyi, komedyi dowcipnej i gryzącej, słowem czegoś z dążnością szyderczą. Chodzi tu wprawdzie o rzeczy zbyt poważne i wzniosłe, żeby się który z poetów polskich był mógł ośmielić na to. W naszej literaturze takie traktowanie podobnego przedmiotu byłoby niepodobieństwem. Ale gdyby taki Heine na przykład, dla którego nie było rzeczy, z którejby nie baraszkował, był się zabrał do tego: to jestem pewien, że nie potrzebowałby on w całej téj powieści niczego zmienić ani też dodać ni ująć, a byłby wystawił farsę, któraby stanowiła kamień węgielny dla jego autorskiej nieśmiertelności. Figura Lambra — to typ stworzony dla Heinego! Jako ideał — jestto zero, ladaco: — ale właśnie przeto, że będąc zerem, chce uchodzić za wielkiego człowieka, jestto niewyczerpany materiał dla komika i humorysty...

Na nieszczęście, podług założenia poety, miał to być człowiek, „będący obrazem naszego wieku i bezskutecznych jego usiłowań.“ Tak jest, niezawodnie! Usiłowania

naszego wieku są bezskuteczne, ale właśnie tylko dlatego, że tacy ludzie, jak Lambro, i w taki sam sposób, jak on, narzucają się społeczeństwu na przewodników, a ono daje im się prowadzić i wyzyskiwać! Nie przeczę tego zatem, że udało się tu Słowackiemu dać dość wierny wizerunek jednego z całej legii tych mniemanych bohaterów, którzy są prawdziwą plagą bieżącego stulecia! Zaszła przy tém jedna tylko mała pomyłka. Poeta stworzył karykaturę, a rozumiał, że stawia ideał! W przekonaniu, że roztacza obraz poetycznej wielkości, starał on się bohatera swego uposażyć w wszelkie warunki zapewniające dla postępów jego współczucie i podziw czytelnika: gdy tymczasem odsłania się z pod tych sztucznych osłon wyobraźni autorskiej sama tylko nędza i zgniół moralna jego człowieka, tém przykrzejsza dla oka, że występuje z olbrzymiemi uroszczeniami i z dumą, której nic zgola nie usprawiedliwia.

Razem z poematem Lambro zostawiamy po za sobą okres Słowackiego bajroński (a raczej pseudobajroński), i przechodzimy do naturalniejszych natchnień i do więcej przynajmniej samodzielnych kierunków w jego zawodzie. Bez symptomatów pewnej chorobliwości nie obyło się i w tém drugiem stadium u niego; ale przynajmniej była to już chorobliwość, jakiej w owym czasie podlegali tysiące. Zbliżył się więc poeta nasz więcej do usposobienia ogółu. Pierwszym czynem na téj nowej drodze był Kordyan. Pod każdym względem możnaby go nazwać słupem granicznym pomiędzy pierwszą dobą poety a drugą.

Dziełem tém więc Juliusz przekonał naród o swém niepospolitem uzdolnieniu poetyckiem, aniżeli tém wszystkiém razem, co wydał poprzednio. Kordyan wyszedł bezimiennie. Nie od razu zdołano się domysleć, kto jego autorem. Byli tacy, którzy w pierwszej chwili przypisywali go Mickiewiczowi.

„Mój śpiew ostatni — pisał autor Kordyana niebawem po jego ogłoszeniu do matki — jeżeli nie podobał się, to zadziwił. W jednym z pism po francusku wydawanych czyta-

tem o nim zdanie i rozbiór pochlebny—o tyle, ile przeciwna partya ganić nie może; a ta przeciwna mi partya, są to nieszczęściem wszyscy poeci, na których czele Adam. Od tego bowiem sam pierwszy stronić zacząłem. Wielu jednakże w Paryżu przypisuje pieśń moję Adamowi. Oto wyjątek z listu do mnie pisanego: — „Byłem przytomny, jak Ogiński atakował Adama, i kiedy ten się wypierał, że nie jest autorem dzieła i że nie wie o niczem, Ogiński rzekł: to przynajmniej wiemy, że Pan chce to mieć tajemnicą.“ — W drugim liście (mówi dalej Słowacki) pisze mi jeden ze znajomych: — „Z Memla (?), dokąd egzemplarze posłałem, piszą mi o Kordyanie z wielkiem uniesieniem — i biorą to za pracę Adama.“ — Z tych dwóch doniesień widać, że w wielu miejscach bezimiennie wydaną moję pracę przypisują innemu. Znajac uprzedzenia naszych w tym względzie, nie jest mi niemiłą taka pomyłka“... (z listu z dnia 27 kwietnia 1834).

Do mniemania takiego przyczynić się mogło niejako podobieństwo w zewnętrznej formie pomiędzy Kordyanem a wydaną niedawno przedtém Częścią IIIcą Dziadów Mickiewicza. I jedno i drugie dzieło jest ~~nie~~ regularnym, niescenicznie ułożonym, lecz zato wielkiej lirycznej siły dramatem. Jest nawet pewne pokrewieństwo i w całym poмысле. Na okoliczność tę atoli zbyt wiele przycisku kłaść nie należy; pokrewieństwo to bowiem wynikło z intencji, w jakiej Słowacki zabrał się do napisania Kordyana. Chciał on, jak to już wyżej okazałem, dziełem tém — rzuciwszy niejako rękawicę Mickiewiczowi, iść z nim o lepszą. Mickiewicz stworzył w postaci Konrada wizerunek najszlachetniejszych i zarazem do najwyższego stopnia siły i natchnienia podniesionych wysiłen właściwych generacyi współczesnej. Bohater jego, póki jeszcze nosił imię Gustawa, wpłatany był we wszystkie potoczne stósunki świata i doznał najdotkliwszych bólów, jakie tylko mogą zranić serce zwyczajnej jednostki w społeczeństwie. Przesiliwszy się w duchu, czyli jak to poeta wyraża: przetworzywszy się w Konrada, bohater Dziadów podniósł się po nad poziom tych wszystkich pragnień i zawodów osobistych i wyłącznie poświęcił życie ojczyźnie. Pragnie ją „dźwignąć i uszczęśliwić;“ lecz nim przystąpi do czynu, żąda od Boga... rządu dusz! Konrad czuje się nieśmiertelnym i jako Bóg sam wszechwładnym myślą własną, „którą

ludzie mu nie dali“, „tą myślą, co niebiosom pioruny wydarła.“
 Czuje się w sobie równym Bogu uczuciem, „co się samo w sobie chowa—jak wulkan, i tylko dymi niekiedy przez słowa.“ Ale temi dwiema dźwigniami, dopóki one w nim samym tylko zawarte, nie spodziewa on się ani przemóc ani podnieść odrętwiałego ciężaru martwej bryły, jaką mu się być wydaje w danych stó-sunkach cała massa narodu. I dlatego żąda od Boga potęgi, żąda bezpośredniej, nieograniczonej, choć niewidzialnej władzy nad duchami ludzkimi...

„Ja chcę władzy! daj mi ją lub wskaż do niej drogę!

Tę władzę, którą mam nad przyrodzeniem,

Chcę wyrzucić na ludzkie dusze!“

Konrad chce nad bliźnimi władzy doraźnej, i to nie za pośrednictwem pieśni, ani wiedzy, ani siły zbrojnej, ani nawet cudów:

„Chcę czuciem rządzić, które jest we mnie,

Rządzić, jak Ty, wszystkimi zawsze i tajemnie:

Co ja zechcę, niech wnet zgadną,

Spełnią, tém się uszczęśliwią,

A jeżeli się sprzeciwią,

Niechaj cierpią i przepadną!“

Ponieważ zaś tej potęgi nadludzkiej nie otrzymuje Konrad od Boga, wpada w szal rozpacz i zaczyna wątpić o dobrej woli stwórcy. Ośmiela się do bluźnierstwa:

„Kłamca, kto Ciebie nazwał miłością —

Ty jesteś tylko mądrością!“

To jest najwyższy zenit, do którego się wznosi bohater Działów, przynajmniej w wydanej części dzieła. Bóg nie zsyła na niego kary za tę pychę i za takie buntownicze wypowiedzenie posłuszeństwa niebiosom, albowiem płynie ona u niego z miłości kraju, z nieszczęścia... zresztą modlą się za nim anieli i dobrzy ludzie (matka zmarła Konrada, X. Piotr, Ewa). I pozwała Konradowi — po uznaniu korném obłędu — wyjść z tych walk ducha czystym, rozgrzeszonym i nawet przeznaczonym w przyszłości do wielkich rzeczy. Ale do spełnienia tych obietnic nie przychodzi w tej części dzieła, tak iż Adama ideał, jak tu jest

dany, ostatecznie nie wychodzi z po za sfery samych tylko zamiarów, pragnień i uczuć... I jeżeli walczy, to ohyba z Bogiem walczy, a nie z temi potęgami ciemności, nie z temi monstrualnościami wieku, na powaleniu których właśnie zależy.

Otóż Słowacki podjął umyślnie w dziele swoim właśnie tę myśl w powyższy sposób wytoczoną przez Mickiewicza, ale zamierzył wykonać ją po swojemu i o tyle lepiej, że wprowadził bohatera swojego właśnie w ten zakres, w jakim Konrada nie widzimy, ta jest w zakres czynów. Punkt wyjścia zatem jeden jest u obydwóch poetów; ale ludzie ich różni i zawody ich różne. Słowacki nie mógł spodziewać się osiągnąć wyższości nad swoim współzawodnikiem ani potęgą natchnienia, ani artyzmem, ani wykonaniem szczegółów; bo to wszystko było tak niezrównaném u niego, że wszelka chętką do walki z nim na tém polu byłaby chyba lekkomyślnością. Słabszą stroną Dziadów jest ich ogólny pomysł — niejasno i niecało rzucony! To też w tém tylko mógł upatrywać Słowacki możność jakichkolwiek korzyści swoich nad nim, że zamierzył bohatera swego dalej doprowadzić w zawodzie podjętych usiłowań, aniżeli się w Dziadach Konrad na drodze swojej posunął. A zarzutu, że się przedmiotem zanadto zbliża do Mickiewicza, zarzutu tego się autor Kordyana nie mógł obawiać. Boć umyślnie i samochcąc i wręcz wyzywając Adama do walki, wytoczył ideę jego na nowo jakby przed sądy drugiej instancyi.

Skorośmy już wpadli na ten trop uwag dotyczących genezy obecnego utworu, niech mi wolno jeszcze będzie zwrócić uwagę na inne dzieło, które równie, a może nawet i więcej jeszcze wpłynęło na wyobrażnię poety w chwili, kiedy obmyślał układ Kordyana. Mówię o poemacie Stefana Garczyńskiego „Wacława Dzieje.“ Kto tylko dwa te dzieła zechce porównać ze sobą, to niepodobno ażeby go nie miało uderzyć dziwne podobieństwo pomiędzy niemi. Wartość artystyczna Kordyana wprawdzie nie-skończenie jest wyższa. Ale założenie, główny pomysł i zamiar artystyczny w obydwóch tych utworach jest niewątpliwie i oczywiście — jeden tylko. Charaktery wprawdzie głównych figur zna-

cznie się różnią. Wacław — to filozof, myśliciel; wrodzonym usposobieniem swoim więcej na Fausta albo na Hamleta zakrawa. Kordyan przeciwnie jest marzycielem namiętnym i entuzystą, — w pierwszej wiosnie życia podobny do Wertera, w dalszej młodości przypomina Manfreda; w głównej zaś akcji, w sile wieku (w III-cim akcie) — nie wiem do kogo bym go porównał... Snać jest on tu tylko Kordyanem, jest tém czém go mieć chciał poeta, typem samoistnym i własnym. Przy tak różnych charakterach atoli, zamiar i role obydwóch tych ludzi godzą w jedno i to samo. Niemniej szczegóły i postaci podrzędne tak się w obu poematach wzajemnie przypominają, że niepodobna, żeby się miały rzeczy te spotykać ze sobą zupełnie przypadkowo. Tak na przykład cała ta scena na czele Juliuszowego dramatu nazwana „Przygotowanie“ — to tylko bujne i fantastyczne rozwinięcie idei, która u Garczyńskiego wcielona jest w jedną osobę, w osobę „Nieznajomego.“ A ten spisek koronacyjny, służący i tu i tam za punkt centralny, za oś, około której toczy się wszystko! A ta piękna postać starca, jaśniejącego zapalem i srebrnym włosem tak wydatnie na tém tle ciemnym tajemnych obrad... Wszystko to są szczegóły, które — trudno przypuścić żeby miały być bez wszelkiej zawisłości wzajemnej.

Gdyby poemat Garczyńskiego wyszedł był później, aniżeli Kordyan, byłby to tylko plagiat, plagiat bardzo błdy. Tak jednak nie było. Wacław jest dziełem rychlejszém. Czy go Słowacki znał, pracując nad swoim dramatem? — Mnie się zdaje, że go znać musiał.

Wacława Dzieje pisane były w Dreźnie, w ciągu roku 1832, a wyszły z druku w Paryżu r. 1833 w miesiącu czerwcu albo najpóźniej w początkach lipca.*) Kordyan zatrudniał myśl Słowackiego już w ciągu wiosny tegoż roku (1833). W środku lipca już był plan jego gotowy. Rzecz ostatecznie jenak spisana została dopiero w miesiącach jesiennych. Nie było tedy niemożności fizycznej, dla którejby mu nie miał być znany utwór wielkopolskie-

*) Wyrozumieć to można z dat listów Mickiewicza do Garczyńskiego pisanych w sprawie drukujących się właśnie jego poezyi.

go poety, przed ostatecznym dokonaniem Kordyana. Niemożność ta znika do reszty, jeżeli wspomnimy, że Stefan Garczyński przez ciąg tegosamego lata bawił w Szwajcaryi, a nawet spędził czas niejaki (miesiąc sierpień) w saméjże Genewie wraz z Mickiewiczem, który go tu (po raz ostatni przed jego śmiercią) widzieć przyjechał z Paryża. Czy się Juliusz przy téj sposobności zapoznał osobiście z Garczyńskim, tego nie wiem i wątpię, żeby było przyszło do tego. Bytność autora Dziadów w mieszkaniu Garczyńskiego nie mogła go do zabrania téj znajomości zachęcać. Zresztą Słowacki nie był pochopny do pierwszych wizyt, a Garczyński znowu był już natenczas bardzo cierpiący i zapewne także nowych znajomości nie szukał. Stémwyszystkiem nie mogło być bez tego, żeby ta jego bytność w Genewie choćby za pośrednictwem trzecich osób nie była miała zwrócić uwagi Słowackiego na niego i na świeżo wydane jego poezye w Paryżu, których exemplarze musiały się rozejść wtedy i pomiędzy Polakami bawiącymi w tém mieście. W kilka miesięcy po zgonie już Stefana Garczyńskiego (w liście z d. 3 stycznia 1834) donosił Juliusz matce o nim w następujących wyrazach:

„Ukazał się był na chwilę nowy talent poetyczny, Garczyński. Wydał dwa tomiki, w których było wiele pięknych rzeczy, a więcéj jeszcze nadziei; ale nie-szczęściem suchoty zniszczyły go — i umarł. Ciągłe wzdychał do Neapolu i miał nadzieję, że tam dojechawszy uzdrowi się; ale nieborak w drodze w Awinionie życie zakończył.“ —

To wspomnienie pobieżne, pisane właśnie nad korektą drugiego arkusza Kordyana, którego mu w ciągu druku dosyłało dla kontroli z Paryża — są to, zdaje mi się, słowa człowieka, który nie znał się osobiście z autorem i co o nim wiedział, to od trzecich osób (inaczej bowiem byłby ciekawych szczegółów niewątpliwie więcéj o nim udzielił); ale który niezawodnie czytał jego poezye. Jeżeli zaś znane mu były takowe w pierwszych dniach roku 1834: to dlaczegoż nie miałby ich był znać i jaki kwartał rychléj?

Nie przeto mówię o téj okoliczności, żebym chciał z tego punktu widzenia uwłaczać w czémkolwiek autorowi Kordyana.

Mimo to wszystko bowiem konkurencji pod artystycznym względem z Wacławem to dzieło obawiać się żadną miarą nie potrzebuje. Lecz ciekawą zdaje mi się być rzeczą dochodzić, gdzie tylko na to pozwalają okoliczności, niewiadomych zazwyczaj wpływów, jakie towarzyszyły poczęciu dzieł poetyckich. Ileż światła rzucają na tę zagadkę geniuszu nieraz szczegóły wiadome o Szekspirze.

A krom tego jest jeszcze jedno, czego milczeniem tu pominąć nie można. Kiedy Mickiewicz, w Paryżu jeszcze, zajęty był właśnie drukiem poezji Garczyńskiego, pisał on do niego z powodu *Dziejów Wacława*, co następuje:

„Niezawodnie pokazuje się, że więcej przez twoją głowę przeszło myśli, niż przez moje, choć ja moje wiele lepiej wyrobiłem. Ileż wierszy w Wacławie, nad którymi dumam jak nad drogami w Pompei, myśląc o kołach, które musiały w tył i w przód wyjechać, nim tę koleinę wygryzły! Nie byłem nigdy zdolny czuć zazdrości poetyckiej; ale mnie się zdaje, że gdyby Wacław był nie twoim utworem, to bym może zazdrościł autorowi: Teraz kocham go, jak gdyby wspólne dziecko. Możesz być pewny, że to dzieło zupełnie leży w teraźniejszym czasie i dziwnie odbija stan duszy wielu ludzi“...*)

Że się nie pomylił Mickiewicz, iż myśl dzieła tego leżała rzeczywiście w usposobieniu czasu: tego najwymowniejszym dowodem okoliczność, na którą zwracam właśnie uwagę. Widzimy bowiem, że w tym samym niemal czasie zajmował ten przedmiot wyobraźnię i naszego poety. W ciągu rozmyślań nad nim wpadła mu w ręce praca Garczyńskiego. Kreacya ta ożywiła jego imaginacyą i dorzuciła żywiołów palnych w ognisko, które już i bez tego gorzało. Kilka zarodków gotowych wniosła w ramy jego obrazu. Ale zarody te przybrały tu dziwną bujność, pod wracem czuciem genialniejszego ducha. Co u Garczyńskiego jest tylko napomknięte, niedonieszone w wyobraźni, mgliste, niekiedy chorobliwe: to się ukazuje w utworze Słowackiego przynajmniej pod artystycznym względem rozwinięte do pełni i wykonane plastycznie.

*) List Mickiewicza do Garczyńskiego z Paryża dnia 12 stycznia 1833.

Nawet i po za obrębem względów na artyzm mała jest wartość Wacława w porównaniu z tém dziełem. Garczyński jeszcze w najlepsze bajronizuje, Słowacki właśnie się z pod wpływu tego otrząsa. Garczyńskiemu się bohater jego wydaje tytanem — ideałem skończonym... a kiedy nie wie, jak nieudolność jego usprawiedliwić, radzi sobie w taki sposób, że oto — urywa dzieło w półśrodku! Autor Kordyana podobny jest do niego w pierwszej połowie swego dramatu. W trzecim akcie... spostrzegł się i osądził swego człowieka.

Te kilka myśli ogólnych niechaj zastąpi to wszystko, co w dalszym rozbiórce Kordyana zdawać się może będzie nie dość dokładnem. Są okoliczności — łatwe do odgadnienia, które nie pozwalają na zupełnie swobodne traktowanie tego przedmiotu. Zresztą jest to tylko ułamek większej całości, do utworzenia której nie przyszło. Autor zapowiadał trzy takie dzieła, pomiędzy sobą związane węzłem trylogii. Trylogia ta, jak z prologu czyli „Przygotowania“ na czele umieszczonego wnosić trzeba, miała obejmować wypadki z przed r. 1830, z czasu samegoż powstania, i zapewne z dalszych lat potem. Kordyan stanowi tylko część pierwszą trylogii. Dalszych części nie ma. Materiał części trzeciej zdaje mi się, że wpłynął w głównych zarysach w utworzonego nieco później Anhellego. Środkowy dramat pozostał niezapełnioną próżnią. Jego osnowy nawet się domyslić nie można, chociaż surowy materiał jest każdemu wiadomy.

Jeżeliby się jednak godziło, odgadującym sposobem rzucić zarys ogólnej myśli, na tle której ta obszerna budowa miała się wznieść: to napomknienia tu i owdzie spotykane w części pierwszej upoważniają przypuścić, co następuje:

Żyjemy w wieku materyalnym, karłowatym, upadłym, w wieku w którym się nic światodziejowego nie dokonywa w ludzkości. Jestto dzień wypoczynku stwórcy po pracy, dzień siódmy, szabat myśli bożej w tworzeniu dziejów powszechnych.

„Bóg przez sześć dni dziejowych stwarzał ziemskie ludy.

W pierwszym dniu stworzył państwo modlące się Judy:

To była ziemia — na nią wyrosły narody. —

W drugim dniu — porozlewał wschodnich ludów wody;
 W trzecim — jak drzewa, greckie wyrosły plemiona;
 W czwartym dniu zaświeciło z gór Sokrata słońce;
 W piątym — wzleciały orłów rzymiańskich znamiona,
 To były ptaki; — a na dnia piątego końce
 Padła noc wieków średnich, długa, zachmurzona —
 W szóstym — człowieka zlepił Bóg: Napoleona!
 Dziś dzień siódmy — Bóg rękę na rękę założył,
 Odpoczywa po pracy, nikogo nie stworzył“...

Słowa te znajdujemy wyrzeczone w 6tój scenie aktu IIIgo, przez figurę fantastyczną, która tam ma nazwę „Doktora,“ a którą oczywiście jest Szatan. Przybywa on do szpitala, ażeby i kusić Kordyana i naigrawać się z niego. Zdawałoby się wprowadzić mogło, że ponieważ szatan to mówi i to jeszcze w takim zamiarze: nie jest to przeto nic więcej, jak tylko prosty fałsz, sofizmat, przypuszczenie przewrotne, nie mające żadnej spółki z rzeczywistym pomysłem autora. Tak jednak nie jest. Poeci zwykli — jak wiadomo, dawać nieraz i demonom mimowolnie wypowiadać ukrytą prawdę. Są to zazwyczaj prawdy gorzkie dla ludzi, ale zawsze prawdy. Przypomnijmy sobie tylko Mefistofela w Fauście. Ma się rzecz podobnie i w razie obecnym. Doktor Słowackiego rzuca wprowadzie w scenie téj wiele i zdań bałamutnych, bezwzględnie obłądnych. Ta jednakże myśl jego spływa doskonale z całym założeniem poematu, i jeżeli się różni od innych miejsc podobnych w „Kordyanie,“ to chyba tylko tém, że rzecz jest tutaj wręcz wyrzeczone i nazwana po właściwém swoim imieniu. Taki wypadek wynika też ostatecznie z całego przeprowadzenia dzieła, do tego stopnia że bez tego klucza zrozumienie celu jego wcale byłoby niepodobnem.

My na ostateczny sens tego dyktu piszemy się. Jest on niestety — de facto co się zowie prawdziwy! Ale zobaczymy, co idzie za tém.

Kiedy więc w myśl założenia poety ta siła twórcza, dodania, boża, która kieruje biegiem świata, obecnie wyjątkowo odpoczywa po pracy i nie tworzy nic: poczuwają się do tém większej czynności w wieku obecnym demoniczne potęgi. Pragnienie i

zabiegi tych potęg zawsze ku temu zniżają, ażeby się niweczyło w samym zarodzie to wszystko, czego ludzkość pragnie i za szczęście swoje uważa. W tym też celu i teraz przystępują one do dzieła. Pierwszy ustęp Kordyana, nazwany Przygotowanie, odsłania właśnie te ich roboty. W samej chwili poczęcia się wieku obecnie bieżącego, w nocy z dnia 31 grudnia 1799 na 1 stycznia 1800, zgromadzają się na ustroniu, w chacie niegdyś Twardowskiego, najprzedniejsze mocy szatańskie i przygotowują zapas kierowników narodowych na cały wiek dziewiętnasty:

..... „Dziś pierwszy dzień wieku,
Dziś mamy prawo stwarzać królów i nędzarzy
Na całą rzekę stuletniego cieku.
Więc temu narodowi stwórzmy dygnitarzy,
Aby nimi zapychał każda rządu dziurę.“

Oczywiście wychodzą z tego kotła szatanów same osobistości zdaniem poety niedołężne, wsteczne, potrzeb wieku niepojmujące, jeżeli zgoła nie napiętnowane czém gorszym jeszcze. I tak nasamprzód otrzymuje tam sankcyą na wielkiego człowieka XIX wieku — Chłopicki. Na dalszych kierowników wydarzeń, które mają nastąpić, przeznaczeni zostają: Czartoryski, Niemcewicz, Lelewel, nakoniec Krukowiecki. Obok nich jeszcze zostaje przygotowaną dla tém pewniejszej zguby narodu cała zgraja świetnych bohaterów salonu i brukotłuków („wymuskani rycerze-ospalcy“); niemniej i tłum niezliczony krzykaczy i intrygantów („co narodowej chwycą się mównicy — dyplomatycznych mowców plemię“)...

O takich siłach ma się tedy snuć odtąd wątek spraw, dotyczących żywotnej kwestyi jednego z głównie w stuleciu tém do działania powołanych narodów, aby się dokonało, co przepowiedziało piekło, że „wiek co przyjdzie, ucieszy szatany...“

W jaki sposób winy tych wszystkich ludzi, tak lekkomyślnie stawionych na jednej linii ze sobą, zamierzał autor w dziele swoim rozwinąć i udowodnić? — na wyrozumienie tego braknie nam wszelkiego punktu oparcia. Ich role przypadają prawie bez wyjątku dopiero na czasy, które miały być pomieszczone w ramach dalszych obrazów, składających tę trylogią. W Kordyanie — wyja-

wszy jednego Niemcewicza — kończy się wszystko na tej ryczałtowej kondemnacie rzuconej na nich w prologu bez żadnego tejże poparcia. Gdyby autor był poprzestał na twierdzeniu, że tak usiłowania Chłopickiego, jak X. Czartoryskiego i wreszcie Lelewela w r. 1831 były nadaremne; że kroki ich były nieodpowiednie celowi itd. nie mielibyśmy nic przeciwko temu do powiedzenia. Ale wystawiać w nich istoty, z piekieł przysłane na zaturę narodu: to cokolwiek gruba przesada. Gdyby która z osób nazwanych była autorem powstania; gdyby się byli okazali chciwymi władzy; gdyby ją byli przemocą lub podstępem sobie przywłaszczyli, odtrącając od steru innych, zdolniejszych; a po tém wszystkiém okazali niezdolność, złą wolę albo złą wiarę: — wtedy można by składać na nich odpowiedzialność za wszystko i godziłoby się pocie wprowadzać ich w dzieło swoim w taki sposób, jak to jest uczyniono w Kordyanie. Tak to jednakże nie było. Na tę genezę z kotła szatanów zasłużyli sobie zatem chyba zupełnie inni! Powziąć lekkomyślne postanowienie — wykonać je gorzej, niż niedorzecznie — rozdmuchać pożar — potem niewiedzieć, co z nim począć — w braku lepszej rady przyjść do ludzi, których ani wiek, ani stanowisko, ani wyobrażenia ani tradycje nie były potemu, żeby mogli uwierzyć w dzieło z którym nie mieli żadnej wspólności, i powiedzieć im na klęczkach i upominając, z prośbą i groźbą: teraz ty prowadzić musisz, bo ty masz zaufanie w narodzie, a my go nie mamy! — nareszcie po wszystkiemu winić ich i przeklinać za to, że się ta z góry i w zarodzie samym zwichnięta robota nie udała: — to wszystko dźiać się może tylko w społeczeństwie tak zupełnie pozbawioném zmysłu politycznego, jak nasze!... Na obronę Słowackiego wprowadzić powieździe można, że takie wtedy były wyobrażenia o tém powszechne. W takito sposób odbywały się sądy o rzeczach i o ludziach z r. 1834, przez kilka lat potém wśród całej emigracyi, a nawet po większej części i w kraju. Łagodzi to niezawodnie zarzut zrobiony temu ustępowi Kordyana. Ale mylność założenia całego dzieła dlatego się nie naprawia.

Większej jeszcze niesprawiedliwości dopuścił się autor Kordyana przeciwko Niemcewiczowi, o którym dlatego tu z osobna

mówię, ponieważ jego jednego tylko wina jest w zupełności niby odsłonięta i przeprowadzona w dramacie. — Mówi o nim Słowacki w prologu w takich wyrazach, że się wierzyć nie chce, żeby się to do Ursyna odnosić mogło:

... „Starzec, jak skowronek
Zastygły pod wspomnień bryłą
Na pół zastygłą, przegniłą —
Poeta — rycerz — starzec — nie,
Dziewięciu Feba sułtanie .
Eunuch“ itd.

Że nie kto inny jednak, jak ten mąż, pod tylu względami dobrze ojczyźnie zasłużony, jest tu rozumiany, to się dowodnie okazuje w czwartej scenie aktu IIIgo, gdzie mniemana jego zbrodnia jest skreślona śmiałym pędzlem i bez ogródki. Wystawiony tam jest Niemcewicz jako Prezes knowań (z r. 1829), które się odbywają w podziemiach kościoła św. Jana w Warszawie... Pomimo wyraźnego zamiaru poety, ażeby rola, jaką tam wypadło starcowi temu odegrać, wiekuście go potępiała: postać Ursyna występuje tam po nad tłumem zebranych zapaleńców tak czysto, tak posagowo i z taką szlachetnością, że nie można mu było wystawić piękniejszego pomnika, jak ową właśnie sceną Kordyana.

Ale wrażenie takie sprawia ten ustęp tylko w umysłach głębszych. Czytelnik nierozumny, z rzeczami najświeższych dziejów kraju źle obeznany, rzuca czytając to miejsce, na siwe włosy starca tesame gromy, jakie na niego myślał że rzuca poeta, kiedy je pisał. I byłże jaki, choćby też najmniejszy powód do tego wazystkiego? To już polega na czystym urojeniu! Nie widzę potrzeby rozwodzić się nad samym spiskiem koronacyjnym, który tu stanowi główny przedmiot. Byłto... pierwszy w nieskalanych jeszcze wtedy dziejach naszych, szalony — na szczęście nie czyn, lecz tylko czynu zamiar. Co o nim nasz autor włożył w usta Prezesowi sprzysiężonych, co u Garczyńskiego mówi przeciw tej robocie „Nieznajomy“, uważany przez tamtego poetę w skutek dziwnego pómieszania pojęć równie za wroga dobrej sprawy, jak nim jest u Słowackiego Niemcewicz: — wystarcza to zupełnie

do ocenienia i moralnej projektu tego wartości i nawet praktycznej jego pożyteczności w bezpośrednich i dalszych skutkach. Tego jednego wszelako milczeniem tu pominąć nie można, że choćby tam sobie zresztą każdy rozumiał o tych zamysłach z r. 1829, co mu się żywnie podoba: to w każdym razie wnieoszany tu w nie został Niemcewicz — co się zowie, jak Płat w credo. Nie miał on z niemi nic zgola do czynienia! Że plany te spełzły na niczém, temu Niemcewicz nie winien! — jedynym tego powodem był brak energii i odwagi, kiedy nadeszła chwila działania, u samych autorów tego projektu.*)

Śmiało zatem powiedzieć można, że cała ta część Kordyana wypadła jak najfatalniej. Autor nie znał faktów, a pozwolił sobie, idąc za utartym przykładem drugih, rzucić (nibyto *pro bono publico*!) potępienie na starca, który całe życie poświęcił dobru narodu, a w mniemanej owój zbrodni żadnego nie miał udziału. Ironia losu zrządziła, że spotkało to właśnie człowieka, który z taką gościnnością przyjmował niegdyś w Ursynowie młodego autora Mindowy. Postąpił więc sobie z nim Słowacki gorzej jeszcze, jak Mickiewicz w Dziadach z jego ojczymem. Mogli sobie obaj podać teraz ręce do zgody: krzywda nie powinna boleć takiego, który ją i sam drugim lekkomyślnie wyrządza. —

Rzuciliśmy ogólny zarys pomysłu, na którym zdaje się że miała stanać cała budowa trylogii. Teraz powiedzmy zdanie nasze o części jej wykonanej, a mianowicie o samymże bohaterze utworu.

Na tle wieku, z góry potępionego za karłowatość i niejako wskazanego na to, żeby w dziejach minął bez wieści, stworzył poeta postać, która przerasta małość duchową ludzi tych generacyi, i czuje nędzę takiego życia, i pragnie je czém wznioślejszém zapełnić, i rzuca się z jednego kierunku w drugi... ale klątwa wieku położyła znamię swoje i na tym duchu. Jestto natura głębsza, ale chora na duszy; jestto entuzysta, ale bez charakteru;

*) Bliższe szczegóły o tém wszystkiém podaje w dziele swoim Mochnicki.

jestto bohater, ale o słabych nerwach. Reszta tłumu — najszczerzej szłwacza z tego kału, w którym brnie — nie żąda i nie chce od nikogo poświęceń. Ani rozumie, ani też nie popiera wysiłku podobnych ludzi. Tym—braknie znowu tej siły, przelania swego zapału w ogół. Gore tedy cały ogień w ich własném wnętrzu, gore płomieniem jaskrawym, ale racowym: to też nim jeszcze nadejdzie godzina — cała moc ducha i ciała u natur takich zwęglą się w popiół.

Kordyan Słowackiego łączy w sobie prawie wszystkie znamiona wielkości. Wzgarda życia, gotowość do ofiar, żądza sławy, dzielność i duma szlachetna — sąto niezawodnie warunki niezbędne człowiekowi mającemu pełnać społeczeństwo nowymi tory. Pomimo tego wszystkiego, odsłonił w nim umyślnie i z całą świadomością poeta także i własności ujemne, niedostatki, dla których one zarody wyższości w duchu Kordyana nie dopełniają się do rozmiarów prawdziwej wielkości charakteru, na jaki się niby zanosi. W ogóle jest coś spaczonego, jest i coś z sobą sprzecznego w tym duchu. Szuka on pola szerokiich działań i nie wzdryga się przed żadnemi trudnościami: a w każdej jednakże sprawie hamują go jakieś pęta, staje mu na przeszkodzie jakaś siła, której nie zwąłęzyć. Te pęta, ta siła jemu na przeszkodzie stojąca — one wynikają głównie z niego samego. I w tém też właśnie tragiczność jego zawodu.

Jedną z głównych takich ujemnych własności w charakterze Kordyana jest melancholia. Melancholia ma to wspólne z reflexyą, że jak jedna tak druga, jeśli przemożnie i wyłącznie opakuje człowieka, zabija w nim wszelką zdolność do ostatecznego działania. Hamlet Szekspira przez ciąg całego dramatu morduje się ze skrupułami bezdennéj jakiejs reflexyi, i przeto właśnie nie dochodzi wcale do powzięcia żadnego postanowienia. Podobnie ma się rzecz z melancholią. Komu się smutek wpije aż w samę rdzeń serca i zamieni w drugą u niego naturę: takiego człowieka dzielność duchowa jest jakby znurtowana. Każde silniejsze wstrząśnienie wystarczy, aby odsłonić niemoc na zewnątrz takiej wiecznie w sobie tylko pracującej natury.

— „Wierzcie mi, wierzcie ludzie! jam jest wielki, mocny“ —

mówi Kordyan w chwili najwyższego zapału do sprzysiężonych, w scenie owych narad prowadzonych w podziemiach kościoła. Kładzie mu poeta wszelako w usta natychmiast takie słowa, które to zapewnienie potężnie ograniczają:

„Jedyną słabość zamknę w sercu tajemniczym —

Robak smutku mnie gryzie... tak, że mówiąc z wami,
Chciałbym przestać — i usiąść i zalać się łzami!...”

W ogóle zdaje się, że było zamiarem Słowackiego okazać jakąś sentymentalną miękkość w naturze swojego bohatera. Kiedy na przykład już postanowił Kordyan wziąć na się wykonanie czynu, który zdaniem jego przyniesie dla ojczyzny zbawienie, ale dla niego śmierć: — widzimy go w owej chwili w takim oto usposobieniu:

PREZES.

„Na Boga, Kordyanie,

Ty masz gorączkę, w oczach dziwne obłąkanie —

KORDYAN.

To nic! starcze. To włos mi siwieje i boli —

Włos każdy cierpi — czuję zgon każdego włosa;

To nic. — Na grobie wsadysz dwie różdżki topoli

I różę. — Potém spadnie łez rześistych rosa,

To mi włosy ożyją. — Masz pióro przy sobie?

Chciałbym spisać imiona płaczących nademną.

Ojciec w grobie — i matka w grobie — krewni w grobie —

Ona — jak w grobie. — Więc nikt po mnie! wszyscy ze mną!

A szubienica będzie pomnikiem grobowym“ itd.

Jestto prześliczne miejsce i niezawodnie jedno z lepszych w dramacie. Wątpliwości nie podlega, że takich rozpamiętywań zdolna być może tylko natura poetyczna, głęboko czująca, najidealniej szlachetna. Ale jeżeli to jedno pewne, to równie będzie pewnym i owo, że kto już tak fantazyjuje przed czasem, kto tak ze łzami rozbiera swoje poświęcenie, samotność i ofiarę, zanim jeszcze dzieła dokonał, i z takim usposobieniem przystępuje do rzeczy: ten jój pewnie nie potrafi dopełnić! Entuzjazm, serce, w ogóle władze duchowe będą go parły do czynu; ale ciało samo, fizy-

czość, nerwy rozigrane temu się oprą. A natenczas opadną go dokoła wspomnienia, widma, strachy jakieś w wyobraźni rozkołysanej wyległe... i taki zamęt powstanie w głowie takiego człowieka, że owo z taką niby pewnością siebie powzięte i zapowiedziane jego postanowienie niepodobna żeby się mogło skończyć inaczej, jak tylko w sposób téj sceny, co potem następuje w dramacie, w sposób mówię sceny 5tój aktu III (w przedpokoju komnaty carskiej).

Są i inne jeszcze strony w charakterze Kordyana, których nie podobna nazwać inaczej, jak chorobami wieku, a które i sam już autor świadomie odsłonił jako braki i niedostatki. Patrząc na człowieka tego z pewnego oddalenia, biorąc duchowy jego wizerunek w całości: każdy powtórzyłby do niego to co mu mówi spowiednik jego w więzieniu:

„Synu! powstań z prochu

I leć do Boga, ale przebacź światu!

Bóg cię wyrwa z łwiój paszczy i z lochu,

W którymbyś uwiądl nakształt mdłego kwiatu“...

Zważywszy jednak na ten brak miłości ludzkiej, zdradzający się mimowolnie w wyznaniu Kordyana, które on składa spowiednikowi niby to w formie skargi, że nie ma nikogo na świecie, któremu by miał coś do przekazania.... że nikt z ludzi nie był dla niego przyjacielem; zważywszy na to, co mu Kordyan dalej oświadcza, iż słyszy jakiś głos tęskny w głębi ducha swojego, który

„Pamiętek woła i śladu na świecie:“

to w każdym razie niepodobna niewiedzieć i tego, że wiele w téj naturze jest niekonsekwencji i jak na bohatera narodowego, za jakiego on sam chciałby siebie uważać — nader drobninnych, acz zresztą wcale ludzkich i poetycznych nawet podnietek. Jeżeli bowiem tacy mu obojętni ci ludzie, że nie obdarzył ani jednój duszy na świecie imieniem przyjaciela, to jakież tedy źródło zamierzonych jego poświęceń? Na cóż mu też w takim razie ów ślad na świecie, którego koniecznie pragnie? i dla kogoż te pamiętki, które by rad pozostawił po sobie? — A nadto: czy to też tylko świat jedynie temu winien, że Kordyan na nim nie

miłego dla siebie nie pozostawia? Czy się Kordyan usilnie starał zasłużyć sobie na to, na brak czego się teraz skarży? Czy Kordyan żył w świecie? czy w nim żył w taki sposób, że zasłużył na miłość ludzką? Czy ludzi poznał? Czy to potępienie, jakie na nich wszystkich ryczałtem rzuca, nie płynie też więcej z jakiejś dumnej, choć bardzo może poetycznej fantazyi, aniżeli z rzeczywistego doświadczenia?...

Wszakże słyszymy w téjże saméj scenie i następujące oto jeszcze z ust własnych jego wyznanie:

„Gdybym był wiedział, że tak bez powrotu
Ziemie żegnałem: przed chwilą odlotu
Patrzyłbym na świat innemi oczyma —
Dłużej, ciekawiej, a może ze łzami; —
Bo tam pomiędzy ogrodu kwiatami
Jest pewnie piękny kwiat — a ja go nie znam!
Może dźwięk jaki nowy struna daje,
A jam nie słyszał! — Czegoś mi nie staje!“ itd.

Powyższa analiza natury, stawionej jako główna postać tego dramatu, okazuje w niej zatém z jednej strony niezawodnie szczytny i wyjątkowy fenomen w dzisiejszém społeczeństwie; z drugiej strony jednakże jest to i fenomen patologiczny, wizerunek choroby wieku. Że się czasy nasze zdobyć nie mogą na prosty, mniej czuły i poetyczny, ale zato zdrowy w sobie a potężny organizm, ale wydają w najlepszym razie tylko takich Kordyanów: — w tém całe nieszczęście obecnego stulecia! Słowackiemu zaś poczytuję to za zasługę, że z pewną świadomością wprowadził w dzieło swój typ taki. Garczyńskiego Wacław jest chorobliwy w wyższym daleko stopniu, a poeta tego nie widzi.

Wszystko, co dotąd się powiedziało, stósuje się do Kordyana, jakim go widzimy w akcie IIIcim. Ta też właśnie tylko część dzieła i zasługuje na rozbiór i wytrzymuje go. Ona sama jedna stanowi tutaj wszystko. Pierwszy i drugi akt — są to tylko przystawki, niezawodnie szczątki dawniejszych planów, na wiosnę (1833) powziętych, a jesienią odrzuconych. Powleka je

jeszcze w całej sile ów koloryt źle pojętego bajronizmu, jaki znamionuje dawniejsze Słowackiego roboty. Z artystycznego punktu widzenia węzeł ich z właściwą sztuką jest zgola luźny. Przy małej zmianie jednej i drugiej sceny Aktu IIIgo, mogłaby się zupełnie obejść architektura tego dramatu bez tych skrzydeł psujących tylko proporcya. Autor zdaje się, że dlatego tylko pozostawił je przy zrębie nowój budowy, ponieważ chciał dać czytelnikowi spojrzeć na rychlejsze koleje życia swojego bohatera. Miało to wyjaśnić tę całą stronę patologiczną charakteru Kordyana. Powody niedostatków w jego charakterze upatrywał autor w jego przeszłości w nienaturalny sposób przebytėj; daje tedy klucz w rękę czytelnikowi do rozumienia tego wszystkiego.

W akcie więc pierwszym spotykamy się z Kordyanem w jego 15 roku życia. Widzimy go — przynajmniej powiada on to o sobie — cierpiącego bardzo! Cierpienia jego jednak nie wzbudzają najmniejszego współczucia. Jestto dziecko w karykaturze, przeżyte, strawione czczością życia jak starzec, paniątko jakieś, zepsute widać próżnowaniem i otoczeniem. Leży sobie oto wygodnie pod wielką lipą na dziedzińcu swojego dworu i marzy... o czém? — o świata tego marnościach!! Już patrzy na rodzaj ludzki z piętra, jak geniusz; gardzi tłumem (wyraz w takich razach nieunikniony), i żali się, że nie widzi celu życia przed sobą.

„Oto ja sam, jak drzewo zwarzone od kiści!

Sto we mnie żądz, sto uczuć, sto uwiedłych liści!

Celem uczuć — zwiędnięcie; głosem uczuć — szumy

Bez harmonii wyrazów. — Niech grom we mnie wali!

Niech w tłumie myśli jaką myśl wielką zapali“... itd.

— Nadaremnie mu stary sługa, dawny wiarus napoleoński, prawi o wielkich swojej młodości wspomnieniach. Kordyan ciekawie go słucha, czasami wyznaje sobie:

„Wstyd mi! starzec zapala we mnie iskrę ducha.“

Ale ta iskra płomienia w nim nie wydaje, bo młodzienszek już zbyt jest mądry, żeby w co dodatniego wierzyć.

„Gdzie ludzie oddychają, ja oddech utracam.

Z wyniosłych myśli ludzkich, niedowiarka okiem

Wsteczną drogą do źródła mętnego powracam.“

Główną zaś przyczyną téj całej biedy jest, że się małoletnie paniątko kocha.

„Jam się w miłość nieszczęsną całém sercem wsączył“!...

Przedmiotem téj miłości, dlatego nieszczęsnej, bo niewzajemnej, jest Laura, osoba starsza nieco aniżeli kochanek, która go też za dziecko — zresztą wiele obiecujące uważa i jako takie traktuje. Ta Laura, jestto znana nam już z pierwszego rozdziału panna Ludwika, a Kordyanem w tym Akcie jest nie kto inny jak Julek Słowacki z czasów wileńskich. Rzeczywiście, cały ten akt, jakoby około jedynéj osi obracający się około miłosnego stosunku rzeczonej pary, jest to tylko parafraza dramatyczna odpowiedniego ustępu owéj „Godziny Myśli,“ w której autor swoją własną młodość opisał. Wiersz ten łączy się tak bezpośrednio z aktem Iszym Kordyana, że początek tego ostatniego byłby nawet niezrozumiały, gdyby go nie był tamten utwór poprzedził. Godzina Myśli kończy się tym czterowierszem:

„Oto jest romans życia, niesklamany niczém —
Zabite głodem wrażeń jedno z dzieci kona,
A drugie z odwróconém na przeszłość obliczem
Rzuciło się w świat ciemny! — Powieść nie skończona.“—

Kordyana zaś początek taki:

„Zabił się młody. — Zrazu jakaś trwoga
Kładła mi w usta potępienie czynu,“ itd.

Kto się zabił? — tego by się czytelnik wcale więc z Kordyana nie mógł domyślić, gdyby nie było wskazówki ze strony tamtego poematu, że mowa jest o przyjacielu owym poety, o Ludwiku Spitznaglu, który z melancholii sam sobie życie odebrał.

Wkładając w ten sposób autor w opowieść dziejów Kordyana ustęp z własnéj swojej przeszłości, nie zamierzał przeto bynajmniej pod przybraném imieniem przedstawić w dramacie siebie samego. Chciał on tu tylko dać wizerunek młodości spędzonej nienaturalnie i tak niefortunnie, że z niéj jak z fałszywego punktu wyjścia snuć się już musiał i dalszy wątek życia bezładnie. Więc podłożył bohaterowi swemu żywcem historią własnéj swojej młodości, nad którą nie przypuszczał, żeby być mogło coś jeszcze jaskrawszego.

W akcie drugim Kordyan już jest dorosłym. Jak się zdaje, przeboleł on już zawody, jakich w pierwszej wiosnie wieku doznał w skutek owych melancholii miłosnych. Wyleczony zupełnie on jednak z tego wszystkiego nie jest. Szuka tedy zdrowia duszy pod różnemi niebami. Spotykamy go wędrowcem to w Londynie, to gdzieś na skalistém wybrzeżu morza, to na Watykańie, to na szczytach gór szwajcarskich. Raz go widzimy rzucającego się w sam wir zbytku i zmysłowej rozkoszy — to znów błędzącego samotnie z Szekspirem w rękę, albo oddającego korny pokłon głowie kościoła. Kordyan szuka wszędzie leków na swoją słabość, szuka trwałości i prawdy w uczuciach; szuka ducha w pozornych formach, imponujących jeszcze ludzkości. Pragnie znaleźć choć w jednym świata zakątku ten kwiat piękności i prawdy, któryby odpowiedział jego złotym marzeniom, a zakrył smutną rzeczywistość z przed oczu. Nadaremnie! To co go miało uleczyć, staje się dla niego nową trucizną. Przekonywa się, że wszystko jest na ziemi sprzedajne, fałszywe, zewnątrz pozornym szychem poszyte, a wewnątrz puste i martwe...

„Próżno myśl geniusza świat cały pozłaca,
Na każdym szczeblu życia rzeczywistość czeka.

Prawdziwie, jam podobny do tego człowieka,

Co zbiera chwast po skałach życia — Ciężka praca!“

Owoż więc straciwszy siłę ducha do reszty w tych wędrowkach pomiędzy ludźmi w dalekim świecie, rzuca się wreszcie w objęcia natury, natury dziewiczej, niepokalanéj, dzisiaj jeszcze takiej saméj, jaką kiedyś wyszła z rąk stwórcy. To jeszcze piękność — jedyna, ostatnia dzisiaj piękność w stworzeniu! Wspina się na sam wierzch najwyższej góry alpejskiej, ze szczytu jéj ogarnia okiem cały widnokrąg. I w téj czystéj atmosferze owianéj wonią lepszych wieków, w atmosferze nie mającéj żadnéj wspólności z tym kałem technienia, jakiém oddychają zaludnione niziny ziemskie, zapala się w nim pragnienie zużytkowania tych ostatnich niestety szczątków już życia na pożytek czegoś dodatniego na świecie.

„Uczucia po światowych opadały drogach...

Gorzkie pocałowania kobiety — kupiłem!

Wiara dziecinna padła na papieskich progach —
 Nic — nic — nic — aż w powietrza błękanie
 Skapałem się i ożyłem
 I czuję życie!“

„O! gdyby tak się wedrzeć na umysłów górę,
 Gdyby stanąć na ludzkich myśli piramidzie
 I przebieć czołem przesądów chmurę
 I być najwyższą myślą wcieloną!
 Pomyśleć tak — i nie chcieć? o hańbo! o wstydzie!
 Pomyśleć tak — i nie móc? w szmaty podrę łono!
 Nie móc? to piekło!

Mogę — więc pójde! ludy zawołam! obudzę!“

W takim usposobieniu — natchniony, porwany — ale tylko uczuciem i zapałem — nie wola ani też konsekwencją dawniejszego żywota, powraca Kordyan do kraju i rzuca się w wir czynów. Z winy własnej i z winy okoliczności, wśród zawodu — upada...

Działania jego, od tej chwili poczynawszy, zamyka w sobie akt trzeci. Rozbierać go szczegółowo nie będę. Wystarczy tylko nadmienić, że jeżeli gdzie, to właśnie w tych kilku scenach, które odtąd następują po sobie, okazał Słowacki tyle świetności i potęgi prawdziwego talentu dramatycznego, że tylko dziwić się można, że nie zajął w późniejszych swoich pracach odpowiedniego takim początkom miejsca w tym rodzaju poezji. Dramatyczne jego pisma później wydane ani siłą, ani przedmiotowością, ani wreszcie samą artystyczną dzielnością nie dorównywały już tym kilku mistrzowskim scenom, tworzącym dzieła tego aktu trzeciego. W ogóle jestto część utworu, którą pod względem artystycznym zdaniem moim liczyć należy do najpiękniejszych rzeczy, jakie literatura zawdzięcza Słowackiemu.

ROZDZIAŁ ÓSMY.

Rok 1834 i 1835. — Wiara w przeczucia. Śmierć babki. — Eglantyna. Przykrości wygnania dają się czuć pod każdym względem. Smutne usposobienie. Skromne życzenia, bez nadziei ich osiągnięcia. — Wierczorki genewskie. Prace i studia: Filozofia — Biblia — Georges Sand. Wallas — Mazepa — Balladyna — Horsztyński. — Lepsze chwile — Nowa znajomość — Marya W. — Podróż w miłym towarzystwie i dalsze z tego następstwa. — Rozczarowanie — trzy miesiące samotnego pobytu w górach. Przesilenie i nowe ideały. „W Szwajcaryi“ — Anelli.

Do liczby rzeczy, nad zbadaniem których tysiące już sobie głowy łamało, a które pomimo tego na zawsze pozostaną zagadką dla filozofów i niefilozofów, należy niewątpliwie i pytanie, czy człowiek zdolny jest samym instynktem odbierać czasem wrażenia z zdarzeń, które dopiero w przyszłości spełnić się mają? Psychologiczną tę wątpliwość rozstrzygnąć dlatego prawie jest niepodobno, że nader trudno jest zebrać rzetelne w tej mierze fakty. Przypadek odgrywa tu wielką rolę. Co zaś najgorsza, to że najczęściej się zdarza, iż ci którzy podzielają wiarę w przeczucia i radziby zapewnić tej wierze jak najszersze między ludźmi rozpowszechnienie, sąto albo mistycy, którzy sobie roją że niestworzonych rzeczy doznają, albo oszuści, którzy wprost kłamią dziwy nadprzyrodzone. Bądź jak bądź — przeczyć temu jednak nie można, że zdarzają się niekiedy natury, natury za zwyczaj fizycznie wątpliwe i z zarodem pewnej chorobliwości w sobie, a zato duchowo więcej rozwinięte, niż ogół: którym wyjątkowo dany jest ten dar przeczuwania zdarzeń dopiero nadejść mających. Że zaś do nich należał i Juliusz Słowacki: tego możnaby na podstawie jego ko-

respondencyi dowieść najpozytywniej. Prawie każde nadchodzące nieszczęście, czy to w familii czy dotyczące kraju, sprawiało w jego umyśle jakąś nieopisaną trwożę, z której sobie nie umiał zdać sprawy przed czasem. W listach jego pełno na to dowodów, że wysyłane do niego doniesienia o zgonie czyim w rodzinie zastały go prawie zawsze, czy to przez sny szczególne, czy bezpośrednim instynktem przygotowanego na to, że się dowie o czémś bolesném. Słowacki sam zastanawiał się nieraz nad tém swoim usposobieniem. Nie umiał go sobie wytłómaczyć, ale wierzył w przeczucia i często też w dziełach swoich (zwłaszcza za życia niewydanych) zastósowywał artystycznie ten wypadek spostrzeżeń zrobionych na sobie samym.

„Prawdziwie, że to jest coś niepojętego — ta magnetyczna władza przeczucia (pisał był z Paryża jeszcze *) przypominając sobie, co się z nim, bawiącym wtedy w Londynie, działo w nocy przed dniem 15 sierpnia 1831, dniem tak pośepnie zapisanym w dziejach listopadowego powstania). Gdy dnia tego zszedłem na śniadanie, Anglicy mnie dopytywali się o przyczynę pomieszczenia. Odpowiedziałem im, że musiało się stać coś smutnego w mojej ojczyźnie, i Anglicy śmiali się ze mnie. A ja tryumfowałem, kiedy w dni 15 nadeszły gazety; i Anglicy patrzeli na mnie, jak na człowieka obdarzonego władzą drugiego widzenia Szkotów.“

W jesieni r. 1833 zakończyła życie po kilkodzienniej chorobie babka jego w Krzemieńcu. Juliusz nic nie wiedział o jej słabości; a jednak przez cały ten czas dręczyło go i w tym razie jakby widmo jakieś ciągle mu zaglądające w oczy.

„Niespokojność jakąś dręczy mnie ciągle... Często zatrudniony czytaniem albo jaką cichą pracą, wstaje nagle; jak waryat chodzę z myślami, od których odpędzić się nie mogę. Ta niespokojność prawdziwie ma jakąś twarz ludzką i bladą, którą widzę nieraz nagle wyrastającą z kart książki, którą czytam, i nie rozumiem książki.“ —

Stan ten duszy przypisywał on wtedy tylko melancholicznój swojej skłonności. Wyjątkowo nie przypuszczał tym razem wcale, żeby mu to zwiastowało jaką smutną wiadomość. A takowa już była w drodze do niego!

*) d. 4 października 1832 r.

„Niespokojność ta (pisał dalej w tym samym liście) często jak jakaś gorycz odbiera nagle smak pokarmom, które do ust niosę. I muszę z nią walczyć, jak z domowym wrogiem. Dziwnie to, że imaginacja moja jest jedynym źródłem wszystkich moich nieszczęść i wszelkiego szczęścia na ziemi!... Bo prawdziwie, że jestem szczęśliwy często tą władzą twórczą urojonych wypadków. Szczęśliwy jestem każdego wieczora, kiedy piszę — każdego ranku, kiedy chodzę po suchych liściach w ogrodowej alei. Nie możecie wystawić sobie, jaki wdzięk ma tutejsza jesień. Dotąd czas najpiękniejszy — słońce świeca na wpółpożółkłych drzewach, zdaje się być bardziej złociste i piękne. Murawy zachowały tu dotąd smaragdową barwę. Kilka dni temu o południu pływałem czolnem po jeziorze. Wystawcie sobie jezioro czyste i równe jak zwierciadło... tak równe, że kiedy koło mnie przepłynął z daleka parowy statek, w kwadrans potem widziałem zbliżający się fałd czarnej rozbitej kołem parnego statku wody — fałd ten posuwał się zwolna — wspaniale, i czolnem mojem lekko zakotyssał — przeszedł, popłynął dalej — a czolno znów stało nieruchome na zwierciadle wody. Wystawcie sobie po dwóch stronach jeziora brzegi zielone, nad brzegami w oddaleniu topole pożółkłym liściem okryte, jak złote kolumny — wiele drzew zielonych — wiele białych domków i pałacików, a za tym brzegiem Mont-Blanc biały — świeżym śniegiem z przyległymi mu górami okryty — podobny do jakiegoś sybirskiego kraju, podobny do snycerskiego posagu sybirskiej krainy. Wśród takiej natury trzeba być smutnym, albo trzeba się kochać!“ (z listu z d. 27 października 1833).

To też był poeta nasz smutny bardzo całej owiej jesieni i przez ciąg zimy, która po niej nadeszła. Do drugiej zaś alternatywy, jaką postawił, do zakochania się w kim — nie przychodziło! Zdaje się wprawdzie, że był on przedmiotem tkliwszych uczuć dla osoby, która go widywała codziennie. Chociaż jednak może on był kochany, to jednak za to wzajemnością jęj nie odpłacał. Jeżeli zaś odpłacał, to tylko chyba przywiązaniem brata. Czasem wprawdzie zdawało się, jakby się już zanosiło i na coś więcej. Na tę jednak tylko nadziei miłości kończyło się wszystko u niego!

„Fundusze moje uszczuplają się — pisał 3 stycznia 1834 r. — rzuć Genewę i pójde gdzie żyć w wieśniaka szwajcarskiego domu. Byle piękną naturą otoczony — nie

dbam o zwierzęce wygody życia! Dziś nawet, Mamo moja, gdybyś mi szczerze napisała, że interesa nasze wymagają tego, dziś nawet skutecznym byłby ten projekt cichego życia w górach. Albowiem nie widzę w tém ani upodlenia ani śmieszności. Mówiłem raz już o tym projekcie pannie Eglantynie — a ona ani się śmiała z niego ani go potępiała jak szaleństwo, i tylko mię prosiła, abym nie zapomniał, że ona mię uważa za brata, a matka jój za syna.“

Zajawszy ten stosunek przywiązanej do niego siostry, dzieliła ona szczerze wszystkie jego cierpienia. Lubiała często mówić z nim o jego matce, przypisywała się w listach, które on pisał do niej, i miewała też od niej listy. Nieraz mu powtarzała, że matkę jego kocha bardzo, że do niej pojedzie i będzie się jój starała syna zastąpić, a przynajmniej ulżyć jój, mówiąc jój o nim.

Owoż więc, co i Juliusza do niej coraz bardziej przywiązywało. W téj mierze ciekawem jest, co pisał o sobie w czerwcu 1834, z powodu jój wyjazdu z domu na 5 tygodni.

„Panna Eglantyna wyjechała przed 5 dniami do Paryża, gdzie na nią jój wuj czeka i dziwy paryskie jój chce pokazać. Odjazd jój bardzo mi smutny — bo ona szczerze do mnie przywiązana — jak siostra — i bardziej może, niż siostra. Nie uwierzysz Mamo, jak smutny mi był ranek jój wyjazdu. Miała odjechać o godzinie 4 z rana, przyrzekłem więc, że ją o trzeciej obudzę; jakoż nie położyłem się spać i czytałem leżąc na kanapie do godziny 3ciej. Srebrne jakieś światło porankowe oblało drzewa i murawy ogrodu, przeszedłem przez pokoje i stukaniem do jój drzwi obudziłem ją. Ty wiesz Mamo, jaką posępność ma w sobie chwila odjazdu. Ubrała się — wyszliśmy z domu przez rozwidniający się ogród — wschód słońca blaskiem złościł się — ptaszki śpiewały po drzewach i zimno poranku napępniało jakimś dziwnym elektrycznym drżeniem. O! chciałbym was postawić na wzgórk, na którym staliśmy, czekając powozu. Z tego wzgórka widać było całe błękitne jezioro, za niem śnieżne góry, nad którymi wstawał ze snu biały Mont-Blanc. Eglantyna płakała jak dziecię — ja byłem takim, jakim mię często Mama widziałaś, z ponurą walką myśli na czole. Każda taka chwila budzi we mnie jakieś odległe wspomnienia — każda taka chwila smutna teraz jest jakoby zwierciadłem, w którym całe moje smutne życie widzę w mieszanych kolorach. Zaszedł wreszcie powóz — wsiadła do niego — a ja zostałem sam je-

den — jak słup na zielonej murawie — patrząc na ozłoczone niebo. W kilka chwil potem weszło słońce — naprzód jakieś ogniste płomienie wytrysły z ziemi i wahały się — przelewały się — aż cały krąg słońca wyszedł na niebo. O godzinie 5ej wróciłem do siebie — pozamykałem okienice i dziwnie posępnego wrażenia doznałem, widząc na kanapie rozrzucone książki, które chwilą pierwój czytałem i które porzuciłem w nieładzie, idąc zbudzić pannę Eglantynę. Zdaje mi się, Mamo kochana, że ty pojdziesz, co było smutnego w tym powrocie myślą do kilku ubiegłych godzin. Po wyjeździe Eglantyny smutno mi było bardzo. Ona miała nademną jakąś panującą władzę siostry. Kiedy mi list jaki zasmucił, jaka wiadomość zła zgryzła — ona umiała z twarzy mojej wyczytać smutek i zawsze jej się musiałem wyświadczać — a po spowiedzi lżej mi było.

Po jej odjeździe czuł Juliusz więcej jeszcze, niż kiedy, jednostajną samotność swego życia. Nic mu nie dolegało, było mu — jak się wyraża — dosyć znośnie na tym świecie; a jednak zdawało mu się, że żył przez ten miesiąc jak kwiat, na jednym miejscu — tąsamą rosą i tamsamym słońcem — dziś jak wczoraj — jutro jak dzisiaj... Jedne tylko listy, które do niego Eglantyna podczas tej podróży swojej pisywała, „listy długie i miłe,“ urozmaicały mu trochę tę jednostajność czasu.

„Przynajmniej — powiada — w godzinę nadejścia poczty oczekiwałem czegoś; gniewałem się, kiedy pocztylion z pustymi rękoma przeszedł koło domu, i znów nadzieję obrałem na jutro. Nie myśl, kochana Mamo, żeby te listy przynosiły mi nadzwyczajne szczęście. Oczekiwałem każdego, jak małej jakiejś nowości. Karmię się już tylko teraz ułamkami, czyli obłamkami uczuć i szczęścia.“ (dnia 13 lipca 1834).

Ta trudność, ta jakby niemoc wzbudzenia w sobie silniejszych uczuć, pomimo że się w owych latach tyle osób, godnych może aby wywołać takowe, przesunęło około niego, było nieraz przyczyną, że Słowacki był sam ze siebie niekontent.

„Na jednym wieczorze w domu jednego z panów włoskich tańcowałem. Widziałem tam trzy ładne Angielki, które wszystkim prawie głowy zawróciły, na mnie tylko nie zrobiły żadnego wrażenia. Lękam się, czy już nie umarłem, bo mi się zdaje, że już nigdy kochać nie będę. W mojej głowie utworzył się jakiś obraz, jakieś wyobrażenie ogro-

mněj miłości, niepodobne do osiągnięcia. Moi znajomi wszyscy latają za temi Angielkami, jak wróble i bawia się. Czasem im zazdroszczę“... (d. 5 lutego 1835).

Podobnie niezapełnioną próżnię czuł w sobie Juliusz i ze strony innego jeszcze uczucia — przyjaźni. Miał on, w Paryżu jeszcze mieszkając, dwóch ukochanych przyjaciół. Jeden z nich atoli umarł, drugi późniejszém postępowaniem swoim okazał, że nie zasługiwał na zaufanie niczyje. Za przybyciem do Genewy, nie był poeta ściślej już z nikim.

„Oprócz moich gospodyń, które mi sprzyjają bardzo, (pisał dnia 18 grudnia 1834) nie mam przyjaciela na tym szerokim świecie.“

Wprawdzie bawiło wtedy w Genewie, w różnych czasach, nieraz po kilku młodych Polaków, z którymi niekiedy się widywał Słowacki. Warto tu na przykład wspomnieć o wiejskiej uczcie, którą mu razu pewnego wyprawili jego rodacy, w sam dzień imienia jego matki, w r. jeszcze 1833.

„Imieniny twoje, Mamo, musiałem wczoraj obchodzić ze znajomymi. Chłopcy młode przyjechali po mnie o godzinie 10tej z rana i powieźli z sobą na obiad — na wieś, pod góry genewskie. Było nas kilkunastu. Kiedyśmy jechali — chmury czarne snuły się po niebie — sam tylko Mont-Blanc biały świecił się od słońca, jak posąg Sybiru. Potém deszcz lunął rześisty — ale po deszczu najśliczniejsza tęcza rozwinęła się nad nami. Wszystko to poruszyło aż do głębi serca nasze — w téj tęczy widzieliśmy jakąś wróżbę. Zasedliśmy do stołu, jeść nie wiele znaleźć mogliśmy w wiejskiej oberży, ale szampan wszystko wynagrodził. Na prośbę kolegów pierwszy raz improwizowałem, i domyślicie się, że ta tęcza była treścią mojej ody. Koledzy klaskali w ręce, a potém ściskali mię ze łzami — a potém pili moje zdrowie; a kiedy im powiedziałem, iż Ty Mamo, nazywasz się Salomea — pili twoje zdrowie. Najbardziej rozczulająca była chwila, kiedy po różnych pieśniach zaintonowaliśmy wszyscy pieśń: Święty Boże! święty mocny — święty nieśmiertelny — zmiłuj się nad nami! Ten hymn kościoła naszego nieraz mię do płaczu pobudzał — a w téj chwili miał w sobie coś ogromnego... Młodzi, około stołu oparci na dłoniach, podobni byliśmy do dawnych ojców naszych. Wystawcie sobie tę garstkę na obcej ziemi, a pewnie uczujecie wrażenie, ja-

kiem nas natchnęła ta pieśń pobożna. Nasze uczty połączone są ze smutkiem. Łzy pijemy w naszych kielichach, i kielichy są pełne goryczy, dopóki Bóg ich od nas nie odwróci.“ (z listu z d. 30 listopada 1833).

Takie poważne a miłe jednak chwile, w towarzystwie ziomków spędzone, były wszelako rzadkimi zdarzeniami w posępném życiu wygnańca. Nie mogły mu one zastąpić tego, czego pragnął najwięcej. Zresztą przy podobnych okolicznościach powiększało się tylko koło jego znajomych. Imieniem przyjaciela — przez cały ten czas przepędzony w Szwajcaryi, nie obdarzył Słowacki z nich żadnego.

„Nie mam teraz nikogo, coby mi najmniejszą chwilę życia skrócił przyjazną rozmową — nikogo, coby mi przyjaźnie rękę ścisnął. Wina to mego odludnego życia — wina miejsca, w którym żyję; nakoniec mam w sobie coś, co tak na ludzi działa, że nigdy ze mną spoufalić się nie mogą. Często szukam w głębi serca mego przyczyny tego, i znaleźć nie mogę. Bóg mi przeznaczył miejsce w jakimś ciuchym klasztorze. Dlaczegoż nie dał mi téj mistycznej pochodni, z którą w klasztorze mógłbym się zamknąć i latać na skrzydłach wiary w jakąś błękitną krainę nieskończoności?“ (d. 5 lutego 1835).

„Ludzie mnie trzymają za żelazo — bardzo zimne! Wszak pamiętasz Matko, że jeszcze na Julka dziecko mówiono, że dumny. To wina mojej twarzy — i Boga. Zdaje mi się, że Bóg miał włożyć kiedyś moją duszę w orla, co śpi na igłach śniegu, nie budząc się, kiedy wichur obrywa mu pióra; co nie ma przyjaciół i szczęśliwy, że sam — patrzy na słońce! Szkoda, że nie poszedł stwórca za pierwszą myślą, że zrobił ze mnie posępne nic! Takby mi dobrze było ze skrzydłami — i z jękiem ptaka w piersiach! Trzeba zniżyć lot“ ... itd. (d. 30 czerwca 1835).

Dawniej — w pierwszych latach młodości i nawet jeszcze w Paryżu, kiedyto wydawał pierwsze tomy swoich poezyi — zapalała go nadewszystko myśl sławy. Nadzieje jego, na téj podstawie oparte, nie miały granic! Zdawało mu się, że warto wszystko, co człowiek nazywa szczęściem na ziemi, poświęcić temu jednemu ideałowi; albowiem sława wszystkie rodzaje szczęścia w sobie zamyka i jest już sama przez się szczęściem najwyższém. Zwolna, w latach dalszych, o których teraz mówimy, zaczęły

się przed oczyma poety rozplýwać coraz bardziej w nicość uludy tego marzenia. W miarę im się więcéj zbliżał do sławy, tém się bardziej przekonywał, że w niej nie znałé tego wszystkiego, czego się dawniej od niej spodziewał. Nęciła go ona wprawdzie i teraz jeszcze. Kiedy patrzył, jak w r. 1835, na małej jednéj wysepce genewskiego jeziora, stawiano pomnik dla Russa, wobec całej ludności miasta zalegającej brzegi jeziora, przy nieustających wystrzałach z armat: wtedy w chwili, gdy wkładano złoty wieniec na głowę posagu tego wielkiego pisarza, lzy mu się polały z oczu. Właśnie tego samego dnia z rana był on otrzymał wiadomość z kraju, że jego Kordyan z powszechnym zapalem został przyjęty w Krakowie. Ta okoliczność tém bardziej go nastrojała do rzewnego udziału w całej owéj uroczystości ludowéj. Nie mogła się nie zrodzić myśl w jego duszy, że kiedyś... i jemu może które z miast jego ojczyzny będzie oddawało w podobny sposób dowody czci przynależnéj... Uznania tego był Juliusz pewien. Wiedział jednak, że to nastąpi dopiero późno, kiedyś — kiedyś długo po jego śmierci! Wiedział, przeczuwał, że życie jego będzie już do końca takie smutne, jak dotąd, i że on pozostanie na zawsze taki samotny pomiędzy ludźmi.

„Tak się już teraz ograniczyłem w moich żądaniach, że żadne błyszczące marzenia nie śmieją klócić mojej spokojności. Inaczej to było, kiedym był jeszcze dzieckiem! Pamiętam, że przez długie godziny nieraz chodząc po pokoju, rozwijałem w myślach moich jakieś świetne szczęścia, bogactw i sławy obrazy. Niski sufit mego w Wilnie pokoiku nie wstrzymywał mojej bujającej myśli. Żał mi dziś nieraz, że ta władza marzeń zagasiła we mnie. Jedyna myśl mię teraz pociesza w życiu — oto zdaje mi się, że jestem tém, czém być powinienem. Zdaje mi się, że nie minął mojego powołania, że zapełniam sobą jedną małą kratkę na świecie.“ (d. 6 czerwca 1834).

„Czasem chodząc po alei ogrodu przy świetle księżycy, mam jakieś uczucie samotnéj dumy, które mię pociesza. Ludzie, którzy mię teraz zapominają, może będą kiedyś pamiętać o mnie; a kiedy przyślą tutaj wygrzebywać popioły leżące po zielonych cmentarzach, może także i mnie wezmą i zaniosą do mojej ziemi. O takim teraz marzę powrocie“... (d. 5 lutego 1835).

Jakże odbijała od tego posępnego obrazu, w którym on sobie teraz swoje przyszłość malował, jasna, pogodna, prawdziwie sielska dola najmiłszego jemu ze wszystkich poety zygmuntownskiego, a nawet obydwóch Kochanowskich!

„Prawdziwą rozkoszą dla mnie są oba Kochanowscy. Codzień odczytuję ich dzieła. Jak ten Jan Kochanowski był spokojny i szczęśliwy w swój chacie — z żoną — z dziećmi! Pod wyniosłą lipą Czarnolesia musiał sobie po obiedzie zasypiać — i do téj lipy tak piękne wiersze napisał. Prawdziwie mu zazdroścę jego chaty — lipy — żony — dzieci — i czasów szczęśliwych, w których żył“... (d. 27 kwietnia 1834).

I Juliusz marzył często o podobnym kąciку własnym, o ustronnej chacie takiéj, w którójby żył bez troski o jutro, nie pytając się o świat dalszy, — byle razem z matką, od którój rozłączenie tém bardziej coraz stawało mu się przykrejsze, że w téj miłości synowskiéj, jak to sami widzimy, zamykały się wszystkie jego uczucia. Rzeczywiście matka zastępowała mu wszystko na świecie! Była to jedyna osoba na ziemi, którą gorąco kochał i w którój miłość ku sobie wierzył. A Słowacki tak koniecznie potrzebował być choć przez kogoś kochanym! Gdyby nie ta matka, gdyby nie listy, które go do niej idealnie przenosiły, gdyby nie ta niewidzialna opieka, pod którój skrzydła myślą się tulił: toby mu życie na tém samotném wygnaniu było ciężarem nie do zniesienia, niepodobieństwem... Ileż on cierpiał, że do niej wrócić nie może, że jéj — zamiast pociech spodziewanych — zaprawił resztki życia goryczą, sieroctwem, osamotnieniem.

„Mamo moja! tobie Bóg nagrodzi za miłość twoję dla syna jakiéms dziwném i niewymowném szczęściem — — Musiałem uspokoić i zatrzymać pióro, bo zaczęło pisać łzami“... (d. 5 lutego 1835).

... „Syn twój z daleka ręce do ciebie wyciąga i prosi cię, Matko, abyś mu przebaczyła, że cię tak samą na świecie zostawił, bez żadnych przyjemności życia, pomiędzy pomnażającymi się codzień grobami rodziny. Mamo moja, czyśmy my starzy? czyśmy my przespali wieki lat, że tak nam wielu osób brakuje? Czy nas Bóg złączy kiedyś, dla tego abyśmy przed śmiercią mogli sobie powiedzieć, żeśmy żyli — abyśmy na zmienionych twarzach naszych wyczytać mogli to samo słowo: Żyliśmy. ...Matko moja, uśmiechnij

się! Niech Ci przyjdą wesole myśli — wesole marzenia! Wróć kiedyś — a jeżeli nie, to znajdę sobie za granicą ładną — dobrą — może nawet bogatą żonę... Będę miał synów — córki; wybiorę najpiękniejszego z synów i przyślę go na twoje kolana. Tylko Matko odpędzaj go od książek, niech nad śmiercią Hektora nie płacze, niech się nie uczy od Jowisza Iliady zmarszczeniem brwi świat wstrząsnąć! Daj mu zimną Eneidę, której Julek częstém czytaniem nie podarł. — Niech ze spalonego miasta uczy się z Eneaszem unosić Boga, matkę, żonę, dzieci — niech nic nie zostawia po sobie, czego by mógł żałować... (dnia 27 października 1833).

To były tylko myśli przelotne, wyrzeczone nie na seryo, — fantazy, któremi chciał tylko matkę rozerwać i rozweselić. Daleko też częściej snuł on sobie marzenia, których celem ostatecznym był — nie powrót do Krzemieńca, ani też otoczenie się rodziną jako głowa rodziny, ale tylko maleńki domek własny i matka w nim. Nieraz w listach powtarzał, że teraz główném jego zatrudnieniem były marzenia, które się ograniczają do bardzo małej rzeczy, to jest do własnego byle gdzie domku.

„Chciałbym mieć coś swojego na téj ziemi, coś bardzo maleńkiego, coś bardzo pełnego kwiatów, drzew i zieleności“...

Fantazyja jego już mu go malowała w gotowych kształtach. Miała to być chatka biała jak śnieg — z zielonemi okienicami, z czerwonym dachem — obsadzona różnobarwnemi malwami.

„Malwy są to moje ulubione kwiaty. Dziwnie, że je tak lubię, chociaż nie mają zapachu. Sądziliby z tego ludzie, że jestem zupełnie nieczuły.“

Z tyłu, za domkiem, miało rość kilka jodeł i kilka brzóz drżących. Ścieżki byłyby wysypane żółtym piaskiem, i jaskółki gnieździłyby się nad gankiem. Wszystkoby w téj chatce było maleńkie, tylko salonik powinien być dosyć obszerny —

„abyśmy oboje mogli krążyć i mijać się łatwo; gdyż lubię kwiaty, tak jak Ty Mamo, i tak jak Ty powziałem jeszcze i zwyczaj chodzenia długiego w kółku po pokoju. Śmieją się nieraz domowi, widząc mnie krążącego jak gwiazda około marmurowego stołu po pokoju. Jedni myślą, że agitacyi używam dla zdrowia, inni, że wiersze składam i komponuję; a to jest tylko rodzinny mój nałóg. Tak chodząc, najczęściej nie myślę o niczym, dogadzam tylko nie-

spokoju nerwów moich. — Kiedyż więc Mamo, obsadzi-
my mały nasz domek malwami? O! jakieby to szczęście
było!“ (d. 13 lipca 1834).

Cel życzeń był tedy sformułowany, gotowy. Chodziło tylko o
to, gdzieby osadzić na realnym gruncie ten obrazek w wyobraźni
zrodzony? Chodziło o rozstrzygnięcie pytania, w którym się kra-
ju zjechać i osieść? Tu mu się na myśl nasuwały różne punkta.
Lwów — Dreżno — Kraków — którekolwiek z miast włoskich —
wreszcie Genewa, w której już mieszkał... Każda z tych miej-
scowości trzymała uwagę jego czas jakiś wyłącznie zwróconą na
się; po dojrzałszym jednak namyśle odsłaniały się trudności w pra-
ktycznem przeprowadzeniu projektu w życie, dla których niepodob-
no było ludzić się nadziejami. Klimat Krakowa wystawił mu ktoś
jako niestósowny dla jego skołatanego zdrowia.

„Wielu mi mówiło, że tam choćbym największe ostro-
żności około mego zdrowia przedsiębrał, dłużej nad miesiąc
nie mógłbym wytrzymać.“ (d. 28 września 1834).

Zresztą tak do Krakowa, jak do Lwowa lub wreszcie do
Dreżna, okazywało się przeniesienie zbyt utrudnionem z powodu
okoliczności politycznych, które nad wszelkie wyobrażenie były
uciaźliwe w tych latach. Wyprawa partyzancka do pewnych pro-
wincyi polskich roku 1833, której intencye i szczegóły dotych-
czas mało komu w kraju są znane, nie pozwalała ani myśleć o
wykonaniu projektów, jeżeli takowe dotyczyły powrotu emigranta
w te strony. To też wyraźnie do téjto okoliczności odnosi się Sło-
wacki, kiedy powiada:

„Nieszczęśliwe polityczne wypadki, do których się bynaj-
mniej nie mieszałem, nie pozwalają mi ani w prawo, ani
w lewo. Miejsce, gdzie teraz jestem, mogę w pewnym wzglę-
dzie za rozległe uważać więzienie. Nie pojmiecie tego, jak
nam źle, jak nigdzie przytułku nie ma“... (dnia 27 kwie-
tnia 1834).

Co się nakoniec tyczyło zamieszkania wspólnego we Włoszech,
albo też sprowadzenia matki do bardzo przyciśnionej drożyzną
życia Genewy: — i takowe okazywało się przy bliższem rozpa-
trzeniu także niepodobieństwem, a to dla braku dostatecznych fun-
duszów. Majątek téj rodziny nie wystarczał na to, ażeby mie-
szkać mogli oboje w rzeczonych krajach.

Łudził się tedy biedny wygnaniec tylko przypuszczeniem jednego jeszcze projektu, który równie był niepraktyczny, jak wszystkie inne, chociaż miał więcej pozorów.

Mówiono mi o jednym domku w Dauphiné we Francyi, o kilka mil od Genewy. Domek ładnie umeblowany, małeńki, wśród łąk, otoczony małą błękitną rzeczką, z ogrodem — słowem ładna mała pustelnia na pustyni. O półczwarty mili od niej Lyon, miasto wielkie i największe po Paryżu we Francyi. Domek ten możnaby, jak powiadają, mieć za 10,000 franków, to jest za 18,000 złp. Prawda, że ziemia przyłączona do niego nic prawie nie przynosi, bo mały jest kawał téj ziemi; ale życie w tym domku byłoby wcale nie drogie. Jakby mi tam dobrze było z Mamą! Na zimę moglibyśmy jechać do Lyonu albo do Genewy, a skoro tylko słońeczko dogrzeje, uciekalibyśmy do naszej chaty. W okolo najpiękniejsze okolice — śliczne góry — po górach zamki, dawne i odnowione. W tych zamkach na lato często przyjeżdżają i mieszkają panowie. — Powiedz mi, Mamo, czy Ci się nie podoba ten projekt. Czy może myślisz, że ja tak, jak Fortunat, zniechęciłbym się prędko cichém i samotném życiem? Tobie się może Mamo, wszystkie takie projekta wydają romansowe i niepodobne do skutecznienia. Ale prawdziwie, że w tym wieku, gdzie tyle jest oschłości i rzeczywistości zimnej w wypadkach, ludzie szukają cichych schronień, jak dawniej szli do klasztorów. Gdybym wiedział, że jest jaki sposób zgromadzenia i zebrania naszych funduszów, to mówiłbym Ci o tym domku z jak najusilniejszym naleganiem. (d. 7 marca 1835).

Co matka na tę propozycyą odpowiedziała, nie wiem. Ale i ten projekt upadł.

Wśród takich niepowodzeń, można sobie wystawić, co się dziać musiało w duszy Juliusza, którego usposobienie skłonne było do melancholii już z urodzenia. Sposepniał, zgorzkniał, zobojetniał dla otaczającego go świata. Był w r. 1834 już zupełnie innym człowiekiem, jak w roku poprzednim. Wtedy, wszystko w Szwajcaryi było dla niego jeszcze nowością. Obudzało jego ciekawość, nasuwało nowe myśli, często nawet się podobało. Z jakąż niecierpliwością oczekiwał on był wtedy przy nadeżdżającej wiosnie przybycia owych wędrowców z najróżniejszych krajów do domu Pani Patteg, których mu zapowiedziano na lato! Z jakąż

dokładnością malował potem w listach ich wizerunki! Była to jakby jaka zajmująca galeria najrozmaitszej szkoły obrazów, które nasz poeta studyował. Wrok jeden później nie miało to wszystko już żadnego interesu dla niego. Dom się zappełnił znowu nowemi figurami. Ale Słowacki zaledwie rzucił okiem na tych ludzi, którzy z nim żyli pod jednym dachem i zasiadali do jednego stołu. Nic prawie o nich w tym roku nie miał już do doniesienia matce. Wszystko, co o nich pisał, zawiera się w tych oto niewielu rysach:

„Wiele zamorskich figur przemija teraz koło mnie. Jaskółki angielskie rozpoczęły swój przelot na południe — i teraz dwie damy i jeden Anglik mieszkają w domu naszym. Nie możecie sobie wystawić, jak ci wszyscy wojażerowie są głupi, jak wszystkim czegoś nie dostaje! Jeszcze nie widziałem w domu naszym do rzeczy człowieka, ani przyjemnej kobiety. Z żadnym nie można mieć rozmowy interesującej. Wielu Anglików nie czytało Byrona! Inni o nim jak przez sen gadają. Cóż, dopiero zapytać się ich o europejskiej literaturze! Damy dwie, które są w naszym domu, przesłizne z twarzy i z urody; ale już mię piękność ich gipsowa doskonale znudziła. Chciałbym, aby przez dzisiejszą noc zbrzydły, a nabrały dowcipu i przyjemności. Ale one zapewne nie chciałyby takiej metamorfozy.“ (dnia 6 czerwca 1834).

Nie zajmował się tedy żywiej niczem i nikim, nie bywał prawie u nikogo. Przez ciąg całej zimy ostatniej nie przyjął był żadnego zaproszenia na bale, bo go nudziły. Zaledwie dał się namówić pójść na kilka małych wieczorów, na których także nie szczególnie się bawił; główną bowiem zabawą, jak powiadał, było tam jadło i picie.

„O godzinie 7 zaczyna się kolacya — zasiadają damy i mężczyźni około stołu pełnego szynek, indyków zimnych z trufkami i ciast cukrowych, któremi Szwajcarowie nad innymi narody celują, i przy takiej kolacyi trzeba siedzieć aż do godziny 11 czasem.“—

Po takiej heroicznój próbie cierpliwości i — apetytu, zaczynały się tańce, a pomiędzy nimi czasem i mazur. Ależ jak też tańczono tego nieszczęśliwego mazura!

„Dwadzieścia już z górą osób płci obojój uczyłem z różnym skutkiem tańcować mazura, ale żaden mężczyzna

nie umie ani w takt biegać, ani à propos uderzyć w podkówkę.“ (d. 20 lutego 1834).

Owoż pojmie to pewnie każdy, że tryb taki spędzania wieczorów także nie przyczyniał się bardzo do zachęcenia naszego poety, ażeby więcej się oddawał towarzystwu, aniżeli samotności. A chociaż czuł, że takie wegetowanie, takie trawienie się w sobie samym nie może być dla nikogo korzystnym, i chociaż go matka za to strofowała w swoich listach, że nie żyje z ludźmi: rzeczy to wszystko jednak nie zmieniało. Odpisywał jój w takim razie:

„Czuję sam sprawiedliwość twoich Matko wyrzutów i co zimy staram się poprawić. Zaczynam wizyty — i znów odpadam w dawny grzech samotności. Widać, że jest coś w moim charakterze nietowarzyskiego. Zdaje mi się, że gdybym miał władzę ziemską, byłbym okrutnym władcą jak wszystkie zwierzęta żyjące samotnie. Szczęściem to dla ludzi, że nie jestem niczem“... (d. 28 września 1834).

Teraz zwróćmy uwagę naszą na wewnętrzne życie poety—na jego zajęcia umysłowe, na to co czytał i co pisał w ciągu roku 1834.

Po napisaniu Kordyana oddał się przedewszystkiém studyum filozofii, i to głównie filozofii niemieckiej. Wpływu jój w pismach jego wprawdzie nie widać; że był jednak czas, gdzie się nią dosyć zajmował, o tém wspomina w kilku ówczesnych listach do matki.

„Pracuję teraz ciągle — czytam bardzo wiele — rzuciłem się cały w filozofią niemiecką. Pomimo wielu czczych marzeń idealizmu, karmi ona moje imaginacyą.“ (d. 3 stycznia 1834).

Pomiędzy doręcznemi dziełami, które szczególnież rozczytywał, stawiał na pierwszém miejscu i „niewyczerpaném dla siebie źródłem pociechy“ nazywał pisma obydwóch Kochanowskich, i Biblią. Wzięcie do rąk pisma św. zawdzięczał przypadkowi. Oto ów misyonarz angielski, nazwiskiem Wolf, którego to w dość śmieszny sposób opisywał w przeszłorocznych listach swoich, jako sąsiada i prozelitę pracującego nad jego nawróceniem, zostawił mu na pamiątkę już na wyjeźdném stary i nowy Testament, a

przyciem i kilka innych dzieł teologicznej treści. Tych Słowacki czytać nie myślał, ale za Biblią był mu bardzo wdzięczny.—„Ta księga, są jego słowa, każdemu człowiekowi w życiu towarzyszyć powinna.“ — Była ona oczywiście w języku angielskim. Słowacki postarał się niezwłocznie o pismo św. w polskim języku i już w lipcu (1834) donosił: „Do mojej polskiej biblioteki przybyła mi Biblia w naszym języku, którą często z rozkoszą czytam.“ — Z obcych poetów przenosił nadewszystko Szekspira i Danta. Od czasu, jak wyjechał z Paryża, zastąpili oni u niego miejsce dawniej zajmowane prawie wyłącznie przez Byrona. Z francuskich nowoczesnych pisarzy najwięcej uderzała go zaczynająca się właśnie w owych latach dopiero wsławić Georges Sand.

„We Francyi jest teraz nowa autorka, która wkrótce panią Stael zaćmi. Jestto rodzaj Byrona w spółnicy, to jest Byrona w prozie. Nie wiadomo dotychczas z pewnością, jak się nazywa, bo się ukrywa pod męskiem imieniem Georges Sand. Ale pewnie jest kobietą. Niektóre dzienniki pisały, że się nazywa pani Dudevant. Napisała trzy romanse przesłiczne, ostatni dziwny i bardziej do poematu, niż do romansu podobny.“ (d. 24 marca 1834).

W tymże samym liście donosił także o własnem dziele, które miał wtedy pod ręką, a które było więc pierwszą jego pracą większą od czasu ogłoszenia *Kordyana*. Wzmianka ta tém bardziej jest ciekawa, że dzieło, o którym mowa, nie zostało wydaniem i nawet w pozostałych papierach doszukać się po śmierci poety nie można było ani śladu tego utworu.

„Ponieważ o wszystkich moich czynnościach donosić Ci zamierzyłem, otóż donoszę Ci Mamo, że teraz zajęty jestem pisanem nowej tragedyi o Wallasie, szkockim rycerzu. Wiesz, co mię do niej przywiodło? Długo myślałem, jaki w dziejach różnych narodów najczystszy jest bohater i z najpiękniejszą duszą... Przypomniało mi się, że kiedyś w dzieciństwie, kiedyś mię Mama do uczenia się francuskiego języka zachęcała, mówiłaś mi: „Poznasz Wallasa życie“. Samo imię Wallas uderzyło magnetycznie na moję imaginacyę. Wystawiałem sobie coś podobnego do burzy — która Wali lasy. Nie mogę zdać sprawy z tego wrażenia, ale czuję je dotąd... W kilka lat potem czytałem romans: *Les chefs Ecosais*. Mama wtenczas grałaś na fortepianie smu-

tnego niemieckiego walca. Smutne wrażenie romansu tak się pomieszało z tą muzyką, że dzisiaj przez walec tylko romans widzę, jak we mgle. Teraz w różnych historykach poznałem się z rzeczywistym Wallasem. Już w tragedyi nie romansowo, ale w historycznej prawdzie maluję tego człowieka; ale układając tragedya — i pisząc ją teraz, często wstaję od stolika i idę do fortepianu i gram tego samego walca — aby koloryt wspomnień smutkiem napełnił moje karty. Tragedya tę poświęcę pamięci Jasia.*) Zobaczycie, że będzie jeżeli nie dobra, to przynajmniej niepospolita. Otóż widzisz Mama, że ja zawsze taki sam. Ciągłe układam kamiki na własny grobowiec — a życie puszczam mimo siebie. Wszystkie przyjemności życia mijają mię — i obchodzą kołem — mówiąc: nie przeszkadzajmy temu człowiekowi, on o przyszłości pogrobowej marzy... O Mamo, ale ja jestem szczęśliwym — tak jak jestem; i czasem nie mogę zrozumieć, jak ludzie inni bez takich wrażeń żyć mogą! Zdaje mi się, że chleb, który spożywają, musi pachnąć nicością.“ (dnia 24 marca 1834).

Byłto zatem pierwszy plód zrodzony tego roku, owoc miesiący wiosennych. Przez całe lato fantazyja poety potem, jak zwykle, wypoczywała. Z jesienią — znalazło się znowu natchnienie i zrodziło w ciągu miesiąca października jeden z celniejszych utworów Słowackiego, znowu dramat — *Mazepę*. Okoliczności towarzyszące powstaniu tej sztuki są opisane w następujący sposób:

„Wytańcowawszy się na jednym wieczorze (u pani W., Polki bawiącej wtedy z rodziną swoją w Genewie, — wieczór ten dany był w ostatnich dniach września), „wróciłem do domu, i jak na nieszczęście, ponieważ to zwykła pora roku, w której mię napada poetyczna kanikuła już od lat czterech bez wyjątku, gdyż w tej porze rodzę zwykle, na-jutrz po wieczorze przyszła mi myśl jakaś do głowy. Myśl ta galopowała tak przez cztery godziny, że stała się długa na pięć lokciowych aktów. I nie dziw, że galopowała, bo też myślałem o galopującym Mazepie. Jakoż we dni kilkanaście napisałem tragedya, na której byś płakała Mamo, jeżeli nie po Mazepie, to po Julku. Mazepa ten jednak nie wygalopuje na świat tego roku, bo handel przecięty — i z książkami źle idzie. Więc będę cierpliwy — poczekam rok jeden, czy się spusty bibliotekarskie nie otworzą... Tym-

*) Jana Januszewskiego, wuja Słowackiego.

czasem niech Mazepa leży w tece; a jeżeliby mię wicher jaki zmiotł z tego świata, nim go wydam, to proszę was i zaklinam, abyście się o ten plód u pani Patteg dopomnieli i wydali kiedyś na świat — nie zapomnijcie!.. Ale co ja bzdurzę o wicherach zmiatających ludzi ze świata, kiedym zdrów jak ryba — kiedy nawet krew, co mi nieco do głowy biła po napisaniu gwałtowno-krwawej tragedyi, Bóg łaskawy nie pijawkami, ale prosto krwotokiem z nosa sprowadził na dół — i nawet od lekkiego zapalenia takim prostym sposobem mię uchronił.“ (d. 7 listopada 1834).

Po napisaniu Mazepy, jednostajność i bezbarwność życia więcej się Juliuszowi dawała w znaki, niż kiedykolwiek.

„Nigdy jeszcze tak smutno nie przepędzałem zimy — pisał w liście z d. 18 grudnia 1834. Nie wiem, dlaczego, ale głębsza niż kiedykolwiek melancholia i obojętność napały na mnie... Gdybym się nie lękał nadto romantycznego porównania, powiedziałbym, że z myślami mojami podobny jestem do psa, co się sam za ogon chce złapać i kręci się długo na jedném miejscu — nakoniec znużony wywraca się i usypia pod kominem.“

Na taką słabość nie było lepszego lekarstwa, jak rzucić się w nową pracę. Tak się też stało.

„Całe dnie (pisał dalej w tymże liście) przepędzam w domu przy moim kominku — ale długie wieczory przez te dwa miesiące (od 18 października do 18 grudnia) trawiłem na pisaniu. Od kilku dni dopiero skończyłem moje prace, i teraz czuję jakąś odrętwiałość. Zdaje się, że przez ten czas natężone władze myślenia rozkręcają się teraz jak struny jakiego instrumentu — i za kilka dni powrócę do zupełnej ciszy zwyczajnego życia. To smutno! Już wieczorem żadne mary nie przyjdą mi nawiedzać — żadna idealna piękność nie uśmiechnie się do mnie! A tyle idealnych figur przeszło przez mój pokój, w ciągu tych dwóch miesięcy. Niektóre wyszły przez okna — inne spaliły się w żarze kominka — inne nareszcie zostały zasuszone w papierze, jak bratki, albo inne kwiatki niepełne“...

„W przeciągu miesiąca upłynionego napisałem nową sztukę teatralną — niby tragedją, pod tytułem *Ballady na. Z wszystkich rzeczy, które dotychczas moja mózgowica urodziła, ta tragedia jest najlepszą, zwłaszcza że otworzyła mi nową drogę, nowy kraj poetyczny, nietknięty ludzką stopą, kraj obszerniejszy, niż ta biedna ziemia, bo idealny.*

Zobaczysz kiedyś Mamo kochana, co to za dziwna kraina i czasy. Tragedya cała podobna do staréj Ballady—ułożona tak, jakby ją gmin układał,—przeciwna zupełnie prawdzi historycznéj — czasem przeciwna podobieństwu do prawdy; ludzie jednak starałem się aby byli prawdziwymi i aby w sercu mieli nasze serca... Nie mogę Ci tu dać kochana Mamo, wyobrażenia dokładnego rodzaju dramatyczności o mojej tragedyi. Jeżeli ma ona rodzinne podobieństwo z którą znajomą sztuką, to chyba z królem Lirem Szekspira. O! gdyby stała kiedy przy królu Lirze! — Szekspir i Dant są teraz moimi kochankami — i już tak jest od dwóch lat; im więcej się w obydwóch wczytuję, tém więcej widzę piękności. Mamo moja! jakże ja byłbym szczęśliwym, gdybym mógł z tymi dwoma umarłymi usiąść pod jaką lipą albo dębem, przed moją własną chatą — w mojej rodzinnej ziemi — i marzyć — i pisać marzenia — i gwarzyć z tobą, kochana Mamo — i opowiadać Ci z zapalem plany moje poetyczne, tak jak niegdyś bywało. Tu jestem tak samotny, że nikt nie słucha moich marzeń. Jak dobrze Szekspir maluje ten stan w Richardzie II. Rycerz skazany na wygnanie ubolewa nad swoim losem i mówi: „Język mój będzie mi teraz niepotrzebnym, tak właśnie jak rozstrojona lira albo harfa, lub też jak sztuczny instrument, odemknęty i podany temu, co nie zna żadnych prawideł harmonii. Uwięziłeś język w ustach moich. Znadto już jestem stary, abym jak dziecię wziął znowu mamkę. Wyrokiem twoim skazałeś mię na bezmowną i niemą śmierć.“ — Te słowa zawsze czytam z głębokim smutkiem“... (d. 18 grudnia 1834).

Z powodu że Mazepa i Balladyna powstały prawie w jednym ciągu i czasie, nastęczyło się autorowi mimowolnie porównanie tych dwóch utworów ze sobą. Wypadek porównania tak dalece był korzystny dla ostatniego dziecięcia, a niepomysłny dla rychlejszego dramatu, że nie wiele brakło, a byłby to życiem przypłacił ów płochy pazik Jana Kazimierza.

„Zakończyłem moje zimowe prace (pisał dnia 5 lutego 1835), i z dwóch tragedyi jedna mi tylko została, bo jedną spaliłem w moim kominku. Mazepę taki smutny los spotkał. Druga zaś, Balladyna, jest moją faworytką, i będzie czekała, aż będę miał czem posmarować prasy drukarskie. Zdaje mi się, że mnie moi księgarze haniebnie oszukują, bo mi przestali posyłać rachunki i milczą jak krety w norze, czekając zapewne mojej osobistej wizyty. Prawdziwie, że nikomu na świecie zaufać nie można, a

mniej, niż innym, ufać trzeba ludziom, którzy nie mają pieniędzy. W tém położeniu jest jegomość, który się trudni mojemu książkami. Cóż więc robić? Trzeba się spuścić na jego grzeczność i sumienie.“

Dla braku tedy funduszków nie drukował Słowacki nic zgola od czasu ogłoszenia *Kordyana* (1834) aż do r. 1838. *Balladyna* wyszła dopiero 1839. Poeta się wykoshował na publikacye swoje poprzednie, a koshta się nie wracały.

W obec stanowczego doniesienia powyższego o spaleniu *Mazepy*, nie wiedzieć, jak sobie tłómaczyć, że utwor ten jednak później wydany został. Albo go poeta w następnych czasach napisał powtórnie i lepij, niżeli pierwszą razą; albo też miał wtedy tylko zamiar zniweczenia tego dramatu i donosił o zamiarze, jakby o rzeczy dokonanej, a później jednak wstrzymał się z dopełnieniem już zapadłego wyroku. Które przypuszczenie w rzecz trafia, niepodobno dzisiaj rozstrzygnąć. Mnie się atoli zdaje, że więcej ma za sobą prawdopodobieństwa drugie, niż pierwsze.

Obejmując teraz jedném spojrzeniem to wszystko, cośmy w powyższém opowiedzieli z osobna, widzimy, że przez cały ten czas spędzony w Genewie, skierowana była usilność Słowackiego głównie ku dramatycznej niwie poezyi. *Kordyan* (1833) — *Wallas* — *Mazepa* — *Balladyna* (1834) — oto dzieła bez przerwy następujące jedno po drugim, a same sceniczne. Rok 1834, smutny skądinąd w życiu Juliusza, nie był tedy pod każdym względem taki niewdzięczny. Owszem, w zawodzie autor-skim — było to jedno z jego lat najświetniejszych; w każdym razie był to rok urodzaju, że tak powiem, był to rok trzech żniw...

W ciągu wiosny 1835 widzimy poetę zajętego jeszcze jedną nową, większych rozmiarów pracą, i znowu dramatyczną. Był to jedna ze sztuk nigdy za życia jego nie drukowanych i niewiadomo, jaki był tytuł tego utworu. Oto, co pisał o tém do matki d. 24 maja 1835:

„Piszę teraz więcj, niż kiedykolwiek, a co dziwniej-sza, że piszę prozą. Abym ci dowiódł Mamo, jak Ty jesteś zawsze przytomna moim myślom, jak chciałbym wspomnie-nie Twoje ze wszystkimi marzeniami nawet poetycznymi połączyć, powiem Ci, że jedna z heroin mojej nowej

tragedyi nazywa się Salomeą. Zobaczysz kiedyś, że piękna jak lilia, i nieszczęśliwa prawie, jak Ty — tylko z innych przyczyn. Bóg wie, dla kogo ja to piszę i kiedy to wyjdzie? Zdaje mi się, że piszę zupełnie dla siebie — i stąd więcej może będzie naturalności — i bardziej rozwinięte zarysy. Kiedyś to wszystko ktoś wyda na świat — może mały Staś, jak dorosnie“...

Sztuką, o której tu mowa, nie jest *Sen srebrny Salomei*, jak może niejeden z czytelników moich wnioskuje. *Sen Salomei* jest napisany wierszem, i powstał w czasach późniejszych, dopiero w okresie towianizmu. A ta sztuka była pisana prozą i w r. 1835.

Pomiędzy papierami, stanowiącymi cały zapas autorskiej pozostałości po Juliuszu Słowackim do rąk moich oddanej, odzukałem rzeczywiście rękopis zdefektowany, z wydartymi kilkunastu kartkami tak z końca jako też tu i owdzie ze środka, z początku zaś tylko uszkodzony o tyle, że mu tu braknie jednej karty, na której być musiał tytuł dzieła zapewne i spis osób w niem działających. W tym rękopisie znalazł się dramat w 5 aktach, prozą pisany, o którym nie wątpię, że jest owém dziełem dokonaném roku 1835 w Genewie, zwłaszcza że jedna z pierwszorzędných figur do niego wprowadzonych nazwana jest Salomeą. Wcieliłem go do zbioru pism Słowackiego pozgonnych i dałem mu na chybi trafi tytuł „*Morsztyński*.” — Wprawdzie więcej zdaje się być prawdopodobném, że główną rolą w téj tragedyi była rola Szczęsnego, tak iż imię to właściwiej się nastroczało na tytuł sztuki, niżeli tamto. Nie śmiałem jednak dawać w taki sposób domysłowi temu niejako sankcyi; albowiem skądinąd powstają wielkie wątpliwości, żeby poeta był się miał oprzeć tutaj przedewszystkiém na téj naturze tak pod moralnym względem nijakiej i tak też zresztą biernie tylko działającej w całym tém zawikłaniu. Ale jestto zawsze jedna z postaci i najstaranniej przeprowadzonych i z widoczną predylekcyą autora — prawdziwy typ człowieka ośmnastego wieku, obdarzonego wyższymi instynktami i przeznaczonego na coś zupełnie innego, gdyby duch czasu, otoczenie i jakiś fatalizm wiszący nad tą całą rodziną nie były w nim zwichnęły tych szlachetnych zarodów. — Rola Salomei



zajmuje także jedno z miejsc niepoślednich w dramacie. Wina tej kobiety, gdyby nam był znany koniec całej intrygi, okazałaby się zapewne mniejszą, niż się to zdaje w obecnym stanie tej sztuki. Wnoszę zaś o tém ze słów Słowackiego, danych rozstrzelonym drukiem w przytoczonym wyżej ustępie listu jego do matki. Pomimo tego, i Salomea jednak nie jest osobą, której imię mogłoby posłużyć za firmę dla całego utworu. Nawet w razie, gdyby się przypuściło, że w zaginionych scenach donośniejszém jeszcze być mogło wszystko, co ona czyni i cierpi: ograniczają tę rolę do czegoś tylko drugorzędno owe słowa poety w korespondencji: „jedna z heroin.“ — Z tych przyczyn woląłem tedy oświadczyć się za Horsztyńskim i zdaje mi się, że w tym szlachcicu lepszej przeszłości, imponującym majestatycznie nawet w scenach, gdzie nie znajduje w sobie dość siły, żeby się oprzeć rozpacz, zgromadził autor wszystkie promienie dodatnich światła, kontrastujących z pośepnością tego obrazu.

Ocalone sceny tragedyi, o której tu mówimy, są nierówniej wartości. Obok ustępów potężnej siły i prawdziwie dramatycznej werwy, znachodzą się i sytuacje przewlekłe, zapełnione tą ekliwą melancholią, od której poeta nasz w owych latach nie był jeszcze zupełnie wyleczony. Sądu jednak o tém wszystkiém dać stanowczego nie można; z powodu bowiem, że jak na złość przypadają na sceny zaginione właśnie najkrytyczniejsze chwile w toku całego działania: niepodobna wyrzucić na pewne, co tu stanowiło główny węzeł intrygi i jakie autor dał rozwiązanie jój zawikłaniu. W skutek tego pozostaje więc niewiadomém, jak się części dramatu poszczególne miały do ogólnej całości; i jaki był stosunek poety względem figur w nim działających, to jest w jakich miarach porozdzielał on swoją sympatyą między ludzi, których różne uosobienia maluje. —

Teraz przystępuję do opisania ustępu w życiu mego poety, który mocno kontrastuje z resztą dni jego. Sprawia on wrażenie podobne do owęj chwili, kiedy śród całodziennęj słoty błysną ukradkiem z za obłoków promienne wróżby lepszego jutra. Wła-

śnie w czasie, kiedy powstawał wspomniany powyżej dramat, zaczęło się w podobny sposób rozpogadzać w sercu poety. Świat zaczął mu się zdawać piękniejszym. Były to dni trwającej właśnie wiosny. Wiosna sprowadzała zwykle nowe życie do domu, w którym gościł Słowacki. Ale tym razem nie wiosna była przyczyną, że i on teraz godzić się na to zaczynał, że to życie jest piękne. Do niego zaczęło się wtedy uśmiechać jeszcze coś więcej, jak samo tylko słońce na niebie...

Osoba, którą wtedy się zajął, — o ile z listów jego wnosić — nie bez pewnej wzajemności i z drugiej strony, była mu już znana od dość dawnego czasu. I dziwna rzecz! z początku ani cienia nie było jakiegokolwiek rodzącej się pomiędzy nimi skłonności. Przeciwnie, rychlejsze wzmianki Juliusza o pannie Maryi W. były tego rodzaju, że na pewne wniosłyby można, że mu się ona w pierwszej chwili raczej nie podobala.

Rodzina ta polska bawiła w Genewie już od r. 1833. Znajomość Słowackiego z tym domem datowała od listopada, tegoż roku.

„W tym miesiącu — pisał był zaraz po pierwszym poznaniu, dnia 30 listopada 1833 — miałem kilka wieczorów. Wprowadzony byłem do domu pani W., która tu mieszka z synami i z dwoma córkami. Starsza — dorosła już panna, ale wcale nieładna, gra ślicznie na fortepianie. Field będąc tu, dawał jój lekcyje, i gra zupełnie Fielda metodą; więc jój granie bardzo mi miłym było“...

Tak więc opisywał poeta swoją Maryą po pierwszym z nią się poznaniu. Taki nic zgoła nie obiecujący był téj znajomości początek.

Od owéj chwili bywał Słowacki w domu pani W., ale rzadko i tylko raczej, że się tak wyrażę, z obowiązku towarzyskiego. W miesiącu sierpniu 1834, zdarzyła się sposobność zawiązania bliższej znajomości. Pani W. zamierzyła odbyć z dziećmi podróż po najpiękniejszych okolicach Szwajcaryi i zaproponowała Juliuszowi, ażeby im towarzyszył.

„Nie mogłem oprzeć się pokusie“ — pisał za powrotem z téj wycieczki, d. 21 sierpnia. Wziawszy więc mantelzak na plecy, ostatniego dnia zeszłego miesiąca siadłem

na statek parowy i ruszyłem przez błękitne jezioro. Nigdy w życiu mojem nie widziałem jeszcze tak pięknych obrazów jak te, które przez 20 dni przemijały przed moimi oczyma... Ileż razy chciałbym być trzymać Cię Mamo za rękę, kiedy się nachylałem nad przepaściami! Zmiana ciągła miejsc sprawiała to często, że w nich upatrywałem różne z rodzinnymi miejscami podobieństwo. Nigdy tyle cieniów przeszłości nie stanęło przedemną. Różne twarze znajomych i umarłych stawały po drogach i przeprowadzały mnie jak wierne przyjaciół... różne zapomniane piosnki cisnęły się do ust moich — było mi smutno i miło“...

Ponieważ wiele obrazów i wiele wspomnień z téj podróży weszło później, przepuszczone przez idealny pryzmat poezyi i oddalenia — w skład jednego z najpiękniejszych poematów, jakie tylko stworzył Słowacki, nie od rzeczy tedy będzie zamieścić tu kilka dokładniejszych szczegółów o owéj wędrowce szwajcarskiéj, ile że opis jéj dany w korespondencji poety, zawiera w sobie ustepy, które, jak sądzę, i bez względu na tę uboczną ich ważność mile będą przez każdego czytane.

„Abyś mię sobie Mamo dobrze wystawić mogła, muszę Ci opisać mój fantastyczny ubior. Miałem płócienną bluzę haftowaną zielonym jedwabiem, czy też włóczką — pas czarny skórzany — białe szarawary — kapelusz ze słomy białej i czarnej pleciony, dosyć niski, z ogromnemi skrzydłami i opasany purpurową wstążką — do tego na grubéj podeszwie trzewiki — i kij wyższy odemnie, biały, z żelaznym kołcem, jakiego zwyczajnie górale używają. W ubiorze tym wyglądałem tak młodo, że mi dawano lat 15 wieku. Towarzystwo nasze składało się z 9 osób. Pani W., dwie jéj córki — panna Maryanna, młoda ale nie ładna, dosyć jednak miła i mnóstwo mająca talentów, druga córka jeszcze dziecko. Przy pannach była guwernatka Francuzka, panna M., trochę podtatusiała i ciągle zajmująca się botaniką. Trzech synów pani W. i jeszcze jeden młody Żmudzin, i ja. Towarzystwo to nie było tak przyjemne, jakbym ja żądał; ale też nie było nieznośne; owszem różnica charakterów podróżujących osób dobrą razem tworzyła harmonię. Najmłodszy z synów pani W. był naszym pajacem, ciągle nas śmieszył i bawił. Najstarszy, który niedawno stracił i pochował w grobie kochankę, był osobą melancholiczną towarzystwa; ja zaś chociaż nie straciłem kochanki, byłem także osobą ponurą towarzystwa, — nie zawsze jednak!

Rano 31 lipca statek parowy ruszył z nami, rzucając na miasto kłęby czarnego dymu. Widziałem przemijające jeziora brzegi — pożegnałem oczyma Paquis — i Paquis zniknęło. Kolejną wysuwały się z jeziora Coppet; gdzie pani Stael mieszkała — potem Lausanne, Vevay, z drugiej zaś strony skały Meilleries, sławne skały, skąd kochanek Heloizy najpiękniejsze listy pisał. Przepłynęliśmy koło sławnego zamku Chillon, i na koniec wylądowaliśmy w Villeneuve.“

Tam czekał na nich najety powóz i zawiózł ich do Bex, gdzie przenocowali i zwiedzili tamtejsze kopalnie soli. Trzeciego dnia podróży, powędrowali ku klasztorowi św. Bernarda.

„Wszyscy mężczyźni szliśmy pieszo dzień cały, drogą przez Napoleona wykutą. Z obu stron ogromne góry, rzeka płynie przepaścią pod nogami — chaty nędzne — ludzie ubodzy. O wschodzie słońca spotkaliśmy w górach pogrzeb ubożego człowieka. Kilkoro ludzi w łachmanach i ksiądz stanowili cały orszak, a śpiew pogrzebowy nie mógł przewyższąć szumu potoków. Mammo moja! jak mi się ludzie wydawali mrówkami! O godzinie 5 wieczorem wjechałem na mułe w krainę śniegów — potem między skałami, w ciemnym i mglistym powietrzu ukazał się klasztor... Ksiądz Gwardyan w czarnym habicie stał na ganku — pies ogromny leżał na dziedzińcu, jak z marmuru wykuty — za klasztorem błyszczało opalone w skalistym brzegu czarno-olowiowego koloru jezioro. Klasztor ten gdyby nie był przez mnichów zamieszkały, byłby prawdziwie zachwycający! Niestety, ludzie nie odpowiadają często wielkości powołania. Ksiądz Gwardyan, świecki i światowy, uśmiecha się do dam, a ujęcie jego nieźle by się wydawało nawet na dworze Ludwika XIV. Spaliśmy w celach zimnych jak lodownie. Refektarz wygląda jak salon światowy, a siedzące towarzystwo około kominka, śmiechem i żartobliwą rozmową odstrasza wszelką myśl wzniosłą i smutną. Blisko klasztoru stoi mały domek, gdzie składają się znalezione w śniegach trupy. Okropny to widok! w różnych pozycjach zmarli siedzą — leżą — jedni do szkieletów podobni — drudzy czarną skórą powleczeni... okropny to widok!“

Stamtąd weszli znowu w uśmiechającą się krainę wiosny. Po dwóch dniach podróży stanęli u stóp góry skalistej, żółtego koloru, nazwiskiem Ghemi. Ta była tak stroma, że nie do góry, ale do sterczącego w niebo muru była podobna. Wnijscie na nią zabrało im, na mułach jadącym, trzy godziny. Droga w gzygzak

wykuta, ciągle wisiała nad przepaścią. Po drugiej stronie téj góry znaleźli precudną okolicę. Była to dolina z najpiękniejszymi drzewami i kwiatami; na pochyłości stoku kaskady srebrne z gór spadające i prześliczne szalety.

„O matko, ileż razy w tych miejscach myślałem o Tobie! Ileż razy cisnął mi się do moich ust refrain Göthego:

„Czy znasz ten kraj? znasz go o moja miła?

Tam byłby raj, gdybyś Ty ze mną była“...

Następnie wsiedli do łódki i płynęli jeziorem Thoun-Brien z do sławnej kaskady Giesbach.

„Patrząc na nią (powiada nasz wędrowiec), przychodziła mi na myśl Zofijówka, a potem łańcuch myśli rozciągał się dalej, aż do Wierzhówki... Byłem w Julinkach i chciałem głośno wołać zmarłych po imieniu“...

„Po odwiedzeniu wodospadu Giesbach, damy nasze zmęczone i przerażone podróżą po przepaściastych górach, rzuciły nas i pojechały inną drogą do Luzern; my zaś chłopczy, trochę smutni z rozłączenia się, trochę weseli z odzyskaną wolnością, poszliśmy pieszo przez góry. Tu dopiero widać nasz zachwycający nas zaczął karmić dolinami“...

Zwiedzili Lauterbrun i podziwiali kaskadę Staubach— „której spadająca woda nigdzie się prawie o skały nie odbija, ale przez sam lot z takiej wysokości zamienia się na wstęgę mgły białej i leci na dolinę.“ Widzieli w niedalekiej oddali Jungfrau wiecznym śniegiem pokrytą, „co stoi jak olbrzym biały.“ Przebiegli nieopisaną piękności dolinę Gründelwald. Tu dochodziły ich huki spadających z najwyższych szczytów lawin, do grzmotu dalekiego podobne. Weszli na górę Faulhorn i nocowali w oberży na jej szczycie, ażeby mieć nazajutrz z rana sposobność przypatrzenia się wschodowi słońca. Patrząc na słońce wschodzące, kiedy ich mgły naokoło owiały, zdawało im się, przedzielonym temież mgłami od reszty świata, że stoją na pokładzie okrętu płynącego do nieba. Podobny widok mieli i z góry Rhigi przez którą także wiodła ich droga. Idąc tak przez dolinę Oberhassli—Rosenlauen—Grimsel, a potem drogą św. Gotarda, przechodzili przez sławny most-dyabli na nią, i nareszcie po 9 dniach takiej wędrówki, jeziorem czterech kan-

tonów, najpiękniejszym ze wszystkich jezior szwajcarskich, przybyli do Luzern, gdzie na nich damy już od dni 7 czekały.

Zwiedzili potem jeszcze wszyscy razem kaplicę Wilhelma Tella i ową skałę, na którą Tell wyskoczył, odepchnąwszy Geslera na jezioro. Nareszcie przez Bern powrócili do domu. —

Powrót ten dał im się uczuć jakby przejście z poezji w prozę.

„Zastąpił dom pełny cudzoziemców, i może to z tej przyczyny wojaż zostawił mi jakiś ponury smutek i tęsknotę; bo z ciszy gór wszedłem nagle w gwar ludzi, którzy się na chwilę poznają, aby się znów rozłączyć i zapomnieć o sobie — gwar zimny, nie bawiący, nie dowcipny, nie rozumny, ale on zwyczajny gwar świata. Jedna panna Eglantyna tylko obaczyła mnie i powitała z radością“... (d. 21 sierpnia 1834). —

Czytając cały ten opis podróży w listach Juliusza, zachwycić się można nieprzebranym bogactwem najpoetyczniejszych obrazów, które co krok przeplatają opowiadanie. Ale nie ma tam jeszcze ani śladu tego wszystkiego, czém technie ów wspomniany już wyżej poemat, choć w nim odnajdujemy niektóre sceny i daty, podane w korespondencji że tak powiem, w materyale surowym. Była na przykład i w listach już wspominana kaplica Tella i lawiny i pokłady lodowe i wreszcie „owa w szwajcarskich górach cudowna kaskada, gdzie Aar wody błękitne mi spada.“ Ale dopiero poemat dodaje do tego wszystkiego:

„Tam ja ujrzałem! i wnet rozkochany,
Że z tęczy wyszła i z potoku piany,
Wierzyć zacząłem i wierzę do końca;
Tak jasną była od promieni słońca!
Tam zakochały się w niej moje oczy,
A za tym zmysłem, co kochać przymusza,
Poszło i serce, a za sercem dusza.
I tak się zaczął prędko romans kłecić,
Że chciałem do niej przez kaskadę lecieć“...

.....
„Odtąd szczęśliwi byliśmy i sami,
Płynąc szwajcarskich jezior błękitami —
I nie wiem, czy tam była łódź pod nami,

Boim z duchy prawie zaczynał się bratać,

Chodzić po wodach i po niebie latać,

A ona tak mię prowadziła wszędzie“ itd.

W ogóle tego kolorytu miłości, połączającej te wszystkie w rzeczywistość światło oglądane obrazy — nie ma jeszcze w korespondencji, jako go nie było wtedy jeszcze i w uczuciach Juliusza. Miały się one tą barwą eteryczną błogości rozpromienić dopiero później. Fantazji to więc poetyckiej tylko dziełem jest-że tego co nastąpiło potem, znajdujemy już odbłask na tle wrażeń przeżytych wtedy.

W następnych miesiącach stosunek Słowackiego do domu pani W. nie zmienił się w niczem. Bywał on tam rzadko kiedy, tak iż mu nawet wymawiano, że tak zaniedbuje swoich towarzyszków podróży. Przyjął jednak zaproszenie na kilka tańczących wieczorów, na których donosi że się bardzo dobrze bawił. Pomi, mo tego, jeszcze w listopadzie 1834 skarżył się, że mu nudno w Genewie; jeszcze w lutym 1835 wspominał o pannie Maryannie, że „ma wiele wdzięku dobrego serca, ale nieładna!“ jeszcze w marcu donosił, że skoro tylko nadejdzie wiosna, będzie się starał „wyrwać z tego nudnego miasteczka, gdzie pleśniej jak ostrzyga nad jeziorem.“ W tymże samym jednak już liście (z d. 7 marca 1835) możnaby schwytać poetę naszego jakby na słówku mimowolnie rzeczonem, które w nim zdradzało coś, do czego się jeszcze wtedy nie przyznawał przed sobą samym.

.... „Jestem dosyć sentymentalną figurą i mam czasem dziwne przecucia. I tak panna W. zaatakowała mię niedawno, abym jęj w sztambuchu kartkę białą zabazgrał. Zaraz przy stole usiadłem — umoczyłem pióro i te płacziwe wiersze napisałem méj towarzyszcze po alpejskich górach:

„Byli tam, kędy śnieżnych gór błyszczą korony,
Gdzie w łąkach smutnie biją trzód zbłąkanych dzwony,
Gdzie się nad wodospadem jasna tęcza pali...

Tam byli kiedyś razem — i tam się rozstali.

A po latach — wróconym ojczyźnie pielgrzymom

Bławatkami gwiazdziste kłaniały się żyta —

Jechali błogosławiąc chat wieśniaczych dymom,

Wszyscy pod jeden ganek. Matka, siostra wita
 Synów, braci, przyjaciół. Są wszyscy — są wszyscy. —
 Przy jednym siedzą stole — przy czarach nalanych —
 A wczoraj tak dalecy — a dzisiaj tak bliscy!
 I nikogo nie braknie oprócz — zapomnianych...
 Młoda Marya do tańca każe stroić lutnię
 I usiadła -- spoczywa... Nagle do sąsiada
 Rzekła: ach! kogoś braknie.... Tu podkówka utnie
 W takt mazurka. „On umarł“ sąsiad odpowiada.
 — „Cichoż na jego grobie?“ — „Słowików gromada
 Śpiewa na srebrnej brzozie cmentarza tak smutnie,
 Że brzoza płacze“ — —

W miesiąc, czy we dwa po wpisaniu do sztambucha tych
 wierszy, tak się okoliczności złożyły, że pani W. zamierzając
 w ciągu nadchodzącego lata wyjechać już z Genewy, a nie ma-
 jąc zamówionego mieszkania na te kilka miesięcy, które ją z dzie-
 ćmi jeszcze zatrzymać miały w Szwajcaryi, zajęła kilka pokoi
 w „pensyonie“ pani Patteg, a więc w tym samym domu, w któ-
 rym mieszkał Słowacki. Było to w pierwszych dniach maja.
 Mógł tedy teraz już autor powyższego wiersza w albumie, dono-
 sić matce więcej zajmujące o sobie wieści.

„Ja teraz w liczném towarzystwie domowém wesoło do-
 syć czas przepędzam — przynajmniej mam z kim pogadać,
 a czasem potańcować... Miałem bardzo przyjemną scenę.
 Oto damy tu miały u siebie dzieła mojego ojca, i położyły
 je na stoliku, otwarte na portret jego. Nie mogę Ci opi-
 sać Mamo, jakiego doznałem wrażenia, spostrzegłszy na-
 gle jego wesołą, pogodną i uśmiechającą się twarz. Zdawało
 mi się, że przyszedł do mnie pytać się o moje życie i zo-
 stawić mi naukę spokojności, jeżeli nie szczęścia“... (d. 24
 maja 1835).

Wśród takich cichych, miłych, życzliwie nastrojających zda-
 rzeń domowych, odbywała się zwolna i niepostrzeżenie jakaś
 przemiana w sercu poety. Widując się po kilka razy na dzień
 z paniami, przysłuchując się melodyom, które z dziwną rzewno-
 ścią wygrywała uczennica ulubionego mu Fielda, uczestnicząc
 z ochotą we wszystkich zabawach i wycieczkach, jakie wspólnie

układali do pobliskich okolic miasta, grał Juliusz z dziećmi pani W. w zającą z pustotą dziecka, a w listach ciągle powtarzał: — „Jestem w domu pełnym dźwięku mojej rodzinnej mowy“... „dostać mi dobrze teraz na świecie“!...

... „Koszono siano w naszym ogrodzie. Dziwna i interesująca nowina, że koszono siano! Ale wystaw sobie Mamo, jak to miło czuć woń przeszłości. Pamiętam, że raz w Mickunach stojąc na łące przy koszących ludziach, wyjąłem jakiś srebrny pieniążek, zdaje mi się, że złotówkę, i dałem ją chłopu, który wszystkich innych wyprzedzał. O laur, o nagroda! Nie byłże ze mnie mały Czacki? — Otóż kiedy skoszono siano, wyszliśmy wszyscy po śniadaniu i położyliśmy się na kopach rozrzuconych — panie i panny i chłopcy — i tak leżeliśmy całą niedzielę, święcąc dzień boży, nie myśląc o niczym, odurzani zapachem umarłej i i zabitej trawy“...

„List ten noszący cechę mego teraźniejszego usposobienia, najchętniej Ci Mamo przedstawi mnie w takim humorze, w jakim teraz żyję. Atmosfera imaginacji — kraj przeszłości — wyspa ideału — przerznięta rzeką łez — o jakże to niemieckie! Ale dalibóg prawdziwe! Panna Marya W., która mieszka z nami, także zapłynęła trochę w kraj ideału i o niczym nie marzy, jak o pustelnicznym domku — nad rzeczką, o czarnej sukience — o lekarstwach dla chłopów — o topolach szumiących nad pustelnią — i nareszcie o spowiedzi, którą ma odbyć przed pewnym mnichem... kiedyś. Tym mnichem kartuzem mam być ja en personne — nie kto inny. Dowodzę jej jednak czasem, że jaki pan podkomórzczy w krainie Lachów — dobrze opatrzony w szlachecką układność, talenta, wasy, podkówki i ostrogi, wybiję z głowy pustelniczego domku, a ja nie będę mógł kartuzowem wspomnieniem zdobyć liliowej duszy dla aniołów. Młode nasze Polki zawsze przebywają bardzo piękne krainy marzeń, aby się kiedyś zamknąć i zakopać w najnudniejszej rzeczywistości.“ (d. 30 czerwca 1835). —

Otóż taki był początek i taki przebieg dziejów tej szczególnej w swoim rodzaju miłości. Przelotny to epizod w życiu poety. Jak krótki sen! Odbija od reszty życia, jak mała zielona oaza, rzucona na rozległe rozłogi spickłego stepu. Miłość ta wzrosła tajemnie — żyła eterycznie, niewyznana, bez nadziei, choć może nie bez niejakićj wzajemności — i rychło pogrzebana została. Z mogiły, w której zamknął jej wspomnienia poeta, wytry-

śnął kwiat — czysty jak lilia wodna, a smętny jak płacz. Tym kwiatem był poemat napisany niedługo potem: „W Szwajcaryi“...

Doskonałym komentarzem, dlaczego te uczucia pozostały, jak prawdopodobnie, nawet dla samej Maryi wprowadzić może odgadwaną, ale nie wyznaną jej tajemnicą — jest miejsce w jednym z rychlejszych jego listów (z d. 24 maja 1835), a które oto następuje:

„O! jak ja się zawiodłem, myśląc kiedyś, że pisząc zrobię sobie pewny dochód, niezależny od okoliczności; że kiedyś będę w stanie ofiarować Ci Mamo przynajmniej na rok gościnny pokój za granicą; że kiedyś będę Ci służył do stołu — i całował ręce Twoje — i klękał przed Tobą i dziękował za wszystko, coś uczyniła dla mnie. Nie! Bóg mię zapisał w księdze przeznaczenia w wielkiej rodzinie tych ludzi, o których po śmierci powiadają księgi, że... Nie chcę dokończyć, bo już Cię raz droga Mamo, nieuważne słowo w liście moim przeraziło. Ale nie jeden ja nie mogę wylać z głowy chleba! Oto Adam... ożenił się — co rok dwa wydał dzieła — i teraz musiał odprawić służbę, a żona jego sama trudni się kuchnią!... Czy tam u was kalendarze zajmują miejsce na policach bibliotek? Trzeba jednak nie upadać. Walka z obojętnością ludzi podobna jest do walki Tytanów... Rzucił mi na czoło wielkie światło piorunu — będę pięknym kiedyś“...

W ciągu lata zaczęli się państwo W. wreszcie coraz bardziej spieszyć do podróży; zbliżała się chwila ich odjazdu do kraju.

„Mąż pani W. przyjechał po nią i ma wkrótce porwać stąd całą rodzinę. Szczęśliwi! wracają — wracają ułożyć się i pomieścić w domu rodzinnym na resztę życia — usnuć sobie domowe szczęście — żenić synów — wydawać za mąż córki — zasadzać ogrody — siał zboże — budować i przybudowywać domy — patrzeć na zachód słońca — wyjeżdżać do lasów na herbatę z przyjaciółmi, z wiejskim sąsiedztwem... Zazdroszczę! choć takie szczęście podobne mi się wydaje do kwiatowego cmentarza — bo i nad cmentarzem chcę często powiedzieć, jak Luter patrząc na groby w Worms: Invideo, quia quiescunt. Zazdroszczę, bo cicho spoczywają! Czy też ja kiedy dojdę do przedśmiertnego spoczynku? Pamiętasz Mamo te węże, które widzieliśmy kiedyś na moczarach pińskich, obwijące się koło lilii wodnych i grzejące się na słońcu? Chciałbym na rzecze żywota znaleźć

taki biały kwiat, obwinać się koło niego i zasnąć! To bardzo mistyczne i ciemne, Matko moja! Lilia wodna niech się Tobie zamieni w jaką miłą, spokojną i cichą dziewczę — a zrozumiesz moje żądanie. O! o! o! z takim wykrzyknikiem konają osoby w moich tragediach — z takim długim westchnieniem kona moja nadzieja... Byłem u panny Lenormand, obrywałem tyle razy margerytki, zdmuchiwałem cykorye, wiązałem trawy, szukałem czterolistnej koniczyny: i dotąd nie wiem, co mię na świecie czeka. Zdaje się jednak, że musi coś czekać!...

... „Myślę za miesiąc wyjechać w góry i osiąść na kilka miesięcy w jakiej chacie — oberży, aby widzieć chmury jesienne łamiące się po skałach, aby się napoić pięknnością natury i mieć na długo serce pełne myśli rozplywających się w Bogu. Nie uwierzysz Mamo, jak podróż przeszłoroczna wpłynęła wielce na wewnętrzznego mnie — a jak ja często mówię — na wewnętrzznego we mnie anioła. Zdaje się, że myśli moje odmłodziły“...

To było pisane d. 30 Czerwca. Projektowany wyjazd w góry za miesiąc był niezawodnie w związku z mającym także niezadługo nastąpić odjazdem państwa W. Myśl rozłączenia dręczyła go już naprzód. Nie miał odwagi spędzać pierwszych chwil po oddaleniu się Maryi, w tych samych miejscach, „gdzie ją widywał i gdzie się z nią bawił.“ Wszystko w około niego byłoby mu ja tu każdej chwili przypominało. Wołał przeboleć stratę i cierpienie swoje gdzieindziej.

Zaszły jednak okoliczności, z powodu których jego oddalenie się w góry nastąpiło o wiele rychlej, aniżeli jak sobie zamierzał, za miesiąc dopiero. Wyjechał jeszcze w pierwszej połowie lipca, nie doczekawszy nawet wyjazdu Maryi z Genewy.

Oto, co pisał do matki we dwa miesiące potem, już z miejsca nowego swego pobytu:

„Od dwóch miesięcy już nie w mieście, ale na wsi zamieszkałem nad jeziorem Lemana, w najpiękniejszym miejscu. Długo byłoby pisać, co i jak przeniosło mię w dzikie strony. Ludzie różnie o tem sądzą. Jedni mówią, że się był szalenie zakochał w pannie W. i uciekłem. Nie ma w tem za grosz prawdy. Ponieważ z Tobą, najdroższa Matko, mówię otwarcie, otóż wyznam Ci, że uciekłem — a to dlatego, że biedna córka domu widząc mię dosyć zajętego paniąką młodszą od niej — i widząc tę paniąkę do-

szyć mi przyjazną — zaczęła schnąć i niebezpiecznie zachorowała; i matka domyśliła się, o co rzecz idzie — i musiałem postąpić sumiennie, to jest odjechać, chociaż żał mi było domu, gdzie 2 1/2 lata mieszkałem, gdzie mi nawet w ostatnie dni było bardzo wesoło“... (list bez daty, ale snąc pisany w wrześniu 1835).

Z dalszego ciągu tegoż listu okazuje się, że odjeżdżał bardzo smutny, i że go też i żegnano nieobojętnie.

„Płakałem odjeżdżając — płakany“... „Przy odjeździe taki smutek, taka nuda mnie opadła, że zakazałem, aby mi nie przysyłano książek. Wziąłem tylko kilka moich ulubionych autorów, z tymi, jako to z Szekspirem i Byronem, chodzę po górach — kładę się pod drzewami — i czytam. Śliczne trawy — śliczne kwiaty — woń wiejska przypomina mi dziecinne czasy — myślę o Mickunach i Wierchowce“...

Że nie tylko myślał o dziecinnych czasach, ale i o bieżących, i że nie tylko przenosił się myślą do Mickun, ale i do Genewy, w której owa „dosyć mu przyjazna panienka“ ciągle jeszcze bawiła: na to dowodów w korespondencji nie znaleźć. Ale za to znajdują się na to dowody między jego poezjami, za życia autora nie wydanymi. Znalazło się w pozostałych papierach Słowackiego pięć prześlicznych poezji lirycznych, które choćby nie miały wyraźnego podpisu, że tam i wtedy powstały (między 20 a 30 lipca 1835), to jużby samą treścią swoją wskazywały dostatecznie, że właśnie przypadają na tę chwilę życia poety. Mają tytuły: Przekleństwo do ***; Rozłączenie, Stokrotki, Chmury, Ostatnie wspomnienie do Laury.

Dwa pierwsze wiersze odsłaniają szczególnie owoczesne usposobienie autora:

Przekłeta! Ty wydarłaś ostatnie godziny
Szczęścia mego na ziemi! ty żądem godziny
Wygnałaś na samotność... Bądź wiecznie przekłeta!
Każdy mój jęk zna ciebie — każda łza pamięta.

Bo kiedy nieszczęśliwy zaklinałem ciebie,
Abyś mi dała nieco przyjaźni i ciszy:
Toś ty mi łyż w powszednim podawała chlebie
I jęcząc, z jękiem w sercu mówiłaś — niech słyższy!

Cierpiałem i uległem. Dziś samotny jestem...
 Lecz wiédz, że w samotności, okryty żalobą
 Oczy błędne obracam za każdym szelestem,
 Czekam — ale nie ciebie, tęsknię — nie za tobą!

Tój czekam omamiony, tój samotny płaczę,
 Która mi była siostrą na wygnania ziemi —
 Myśląc, że kiedyś duszy oczyma zobaczę
 Tę, co w duszę oczyma patrzy anielskimi,

A nigdy serca mego nie umiała krwawić,
 A tak się ze mną duszą i myślami dzieli,
 Że już dziś sami boscy nie wiedzą anieli,
 Czy ją dla mnie potępić, czy mnie dla niej zbawić.

A ty! a ty, co lałaś żółciowe gorycze,
 Skoro się otwierała serca mego rana —
 O gorzej niż przekłeta! widmo tajemnicze
 Złój przeszłości... przekłeta bądź — i zapomniana!

Że się ten wierz ściąga do Eglantyny, to po tém wszystkiém,
 co powiedziano wyżej, zdaje się być niewątpliwém. Każdy pewnie
 na to się zgodzi. — Obaczmy teraz, jakimi słowy przemawia
 poeta do Maryi:

Rozłączeni — lecz jedno o drugim pamięta!
 Pomiedzy nami lata biały gołąb smutku
 I nosi ciągle wieści. Wiem, kiedy w ogródku,
 Wiem, kiedy płaczesz w cichój komnacie zamknięta.

Wiem, o jakiej godzinie wraca bolu fała,
 Wiem, jaka ci rozmowa ludzi łzę wyciska.
 Tyś mi widna jak gwiazda, co się tam zapala
 I łą różową leje, i skrą siną błyska.

A choć mi teraz ciebie oczyma nie dostać:
 Znajac twój dom — i drzewa ogrodu i kwiaty,
 Wiem, gdzie malować myślą twe oczy i postać,
 Między jakimi drzewy szukać białej szaty.

Ale ty próżno będziesz krajobrazy tworzyć,
Osrebrzać je księżycem — i promień światłem.
Nie wiesz, że trzeba niebo zwać i położyć
Pod oknami, i nazwać jeziora błękitem;

Potem jezioro z niebem dzielić na połowę
W dzień zasłoną gór jasnych, w nocy skał szafirem,
Nie wiesz, jak włosem deszczu skałom wieńczyć głowę,
Jak je widzieć w księżycu odkreślone kirem.

Nie wiesz, nad jaką górą wschodzi ta perełka,
Którą wybrał dla ciebie za gwiazdeczkę-stróża.
Nie wiesz, że gdzieś daleko, aż u gór podnóża,
Za jeziorem — dojrzałem dwa z okien światła.

Przywykłem do nich — kocham te gwiazdy jeziora
Ciemne mgłą oddalenia — od gwiazd nieba krwawsze,
Dziś je widzę, widziałem zapalone wczora,
Zawsze mi świecą — smutno i blade — lecz zawsze...

A ty — wiecznie zagasłaś nad biednym tułaczem;
Lecz choć się nigdy — nigdzie połączyć nie mamy,
Zamilkniemy na chwilę i znów się wołamy,
Jak dwa smutne słowiki, co się wabią — płaczem.

Nad jeziorem Lemana d. 20 lipca 1835 r.“

Sąto prawdziwe brylanty naszej poezji lirycznej. —

Jedyną pociechą w tych samotnych rozpamiętywaniach i cierpieniach wygnańca, była przepyszna natura, która go otaczała. Wioska, w której osiadł wtedy Słowacki, nazywała się *Veytoux*. Chociaż to było w górach, w okolicy bardzo ustronnej, wynalazł on tam sobie jednak bardzo miłe mieszkanie.

„Najalem śliczny pokoik — cudnie umeblowany — błękitny; z okna widać winnicę — za winnicą jezioro, jak pół nieba wywróconego na ziemię — za jeziorem góry *Meilleries*, sławne w Heloizie Russa: słowem trudny do opisanja widok! Osoby, które Neapol i Hellespont widziały, mówią że ten im wyrówna. Ludzie wszyscy tu pięknie zbu-

dowani — mnóstwo kobiet przesłicznych — zgrabnych — a wszyscy zdają się szczęśliwi. Kiedy to tak będzie zawsze i wszędzie?... W dzień pokój mój — jezioro — niebo — góry — wszystko błękitne, ale dziwnie czyste i przezroczyste. Jaskółki przylatują do pokoju i tłuką czasem pierśią o zwierciadło... Prześliczne miałem księżycowe nocy — wtenczas wychodziłem nad jezioro — siadałem na małym przyładku wchodzącym do wody. Z jednej strony miałem księżyc, z drugiej strony zamek Chillon, który z okna o 200 kroków widzę. Pierwszy raz słyszałem w starej wieży śpiewanie puszczyka. Co mi w takich nocach przechodziło przez głowę, trudno wypowiedzieć. Czasem żalowałem ludzi i rycerzy, którzy ginęli niegdyś w tym zamku — a dziś zapomnieni — i zamek ich tak cichy, stoi w księżycowym blasku. Potem pytałem siebie, za co ci ludzie ginęli? i odpowiedź była napisana w światełkach chat wieśniaczych... Nigdzie wieśniak nie jest tak szczęśliwy i bogaty, jak w tych stronach. Otóż ci rycerze, którzy dawniej ginęli, zapewnili zgonem swoim szczęście przyszłych pokoleń. Widziałem więzienie pyszne Chillonu, widziałem filary i pierścienie żelazne, do których przykuwano więźni. Czytałem Byrona patrząc z bliska na mury zamku, i Więzień Chillonu piękniejszym mi się wydał.“ (Wszystko z listu bez daty wspomnianego wyżej).

Pobyt jego na tej uroczej pustyni trwał 3 miesiące — przez część lipca, sierpień i wrzesień. W początkach października powrócił. Gdyby się wnioski w literalnym sensie wysnuwać miało z wiersza owego do Eglantyny, zatytułowanego Przekleństwo, toby przypuszczać należało, że zerwany został wszelki stósunek pomiędzy poetą naszym a domem pani Patteg. Tak się jednakże nie stało. Wiersz był pisany pod wpływem chwilowego rozżalenia i w rozdrażnieniu. Niejedno też w nim położyle należy na karb tylko fantazji poetycznej, która zawsze rzeczywistość potęguje w bezmierność i nieskończoność. Zresztą nie obeszło się bez kroków, które mu ułatwiły powrót do dawnych gospodyń.

„Jestem bardzo samotny — pisał był jeszcze w Veytoux mieszkając, w wrześniu. Na dole w domu minister protestancki, dobry do rzeczy człowiek, świeży wdowiec z pięciorgiem dzieci. Z nim czasem gawędzę. Ale smutny jestem. Pani W. z familią wyjechała do Drezna. Odprawiała ją wiele osób. Panna Eglantyna umyślnie ją odprawiała, aby potem mnie odwiedzić — i była u mnie —

i płakała — i tysiąc próśb, abym wrócił. I matka jej ciągle mnie zaklinała. Ale tak mi znudniało to, cóm porzucił, że wolę samotność nad jeziorem. Muszę jednak odwiedzić moich dobrych ludzi, co mnie karmili i kochali przez 2 lata, i dlatego jutro wyjeżdżam, chociaż ze smutkiem jadę. Takiego doznaję uczucia, jak gdyby mi się coś na świecie przez dwa lata klejonego nie sklepiło“...

Pojechał tedy na kilka dni do Genewy i „przyjęto go tam, jak się wyraża, jak syna“. Potem wrócił jeszcze do siebie. Ale się już oswajał z myślą, że następującą zimę spędzi jeszcze pomiędzy niemi, co też i nastąpiło rzeczywiście.

Wstrząśnienia moralne, jakich doznał zeszłego lata, miłość — może pierwsza rzeczywista, a nie fantastyczna tylko miłość w życiu Juliusza, odosobnienie od zewnętrznego świata, który go zawsze więcej drażnił, aniżeli myślą głębszą podsycał, wreszcie dzika, a jednak pełna uroku natura, w której objęcia cały się rzucił: — wszystko to sprawiło, że ten trzymiesięczny pobyt nad cichymi brzegi jeziora miał stanowić w zawodzie jego porę pewnego przesilenia. Czy weźmiemy pod rozwagę dzieła jego, które wtedy powstały, czy stan duszy poety, w jakim siebie wtedy malował, dostrzeżemy, że była to dla niego krisis, ale krisis zbawienna. Na okazanie zmiany w duchowém usposobieniu Juliusza, przytoczę tylko następujące słowa, godne pod każdym względem zastanowienia:

..... „Wyznam Ci Mamo, że zniecierliłem moje pierwsze utwory. Czuje potrzebę większej doskonałości; rozwinęło się we mnie jakieś nowe piękności uczucia. Nie wiem jeszcze, jak się ono przyoblecze w słowa, ale starać się będę, aby coś jasnego napelniało moje karty, aby więcej leż było w słowach. Mam lat 25, trzeba abym już był tém, czém być mam; i dlatego może nienawidzę moich pierwszych dzieł. Lubię jednak więcej nad inne Godzinę Myśli. Coś w niej jest, co mnie samego kołysze przeszłości dźwiękiem — jakąś cichą, dawną piosenką. — Trzy miesiące spędzone pośród najpiękniejszych widoków przyrodzenia były wielką dla mnie nauką. Uważałem harmonią, która wszystko łączy i nalewa jednym kolorem. Postrzegłem, że sztuka powinna naśladować tę dziwną wszystkiego jedność. Zastanawiałem się długo nad drzewami, kwiatami, szmerem i dźwiękami natury — widziałem ją z bliska, błę-

kitną — albo chmurną. Raz wyszedłszy na wielką górę — pod nogami miałem wielki parów, zarosły sosnami, bardzo ciemny, przetrnięty potokiem. Było to w niedzielę rano — dzwon kościoła wiejskiego, nadzwyczaj głośny i ponury, napełniał całe powietrze — cały ten obraz ożywiony był duszą dzwonu, jak ciemny poemat, w którym grzmi imię Boga. Nie wiem, dlaczego opisałem tę godzinę, ale zdaje mi się, że Ty sobie Mamo droga lepiej mnie wystawiasz w takim obrazie. Jestto niby wizerunek symboliczny tego, co czuję teraz“. (d. 20 października 1835).

Nie mniej okazują coś odmiennego — w porównaniu z dawniejszymi dziełami — i pisma jego z owego czasu. Należą tu najprzód owe wyżej już wspomniane liryczne rzeczy, które poeta, jak się w liście jednym wyraża, spozierając na jezioro, napisał. Dalej powstał niewątpliwie w owymże czasie także poemat „W Szwajcaryi“, utwor wyraźnie jeszcze pod wpływem świeżych wrażeń pisany, ale już wrażeń po swojemu przekształconych przez wyobraźnię. Można by go więc nazwać prawdziwem *Dichtung und Wahrheit* owego epizodu życia poety i żywcem zastósować do niego słowa, które parę lat rychlej rzucił był Juliusz o podróżach:

„Wojaż bardzo wiele daje wyobrażeń, szkoda tylko iż wszystko ukazuje mniej pięknem jak było w imaginacyi. I potem zostają w pamięci dwa obrazy: jeden taki, jaki być powinien, oczami wymalowany; drugi piękniejszy, dawniej utworzony przez imaginacyą. Kiedyś utworzy się trzeci — najpiękniejszy — z imaginacyi i z sensnego przypomnienia — i połączy w sobie wszystko najpiękniejsze z obu obrazów.

Nakoniec doliczyć należy do prac w owym czasie powstałych jeszcze także i Anhellego*).

*) Co do Anhellego nie ma wprawdzie pozytywnej pewności, ale jest za to wiele wskazówek ubocznie prowadzących do wniosku, że i to dzieło pomyślane, a nawet rozpoczęte być musiało już w Veytoux, chociaż ostatecznie wykończonem zostało dopiero w Genewie w ostatnich miesiącach roku 1835. Wskazówki te są następujące: W liście owym jeszcze w lecie z nad jeziora pisanym znajdujemy takie miejsce: „To co się po tych (które znasz) dzieciach narodzi (= wyjdzie z druku), będzie tysiąc tysięcy razy godniejsze Ciebie, moja droga Mamo. Nawet zamyslałam Ci ofiarować na pierwszej stronicy nowe, zape-

Dłaczego zaś ogłoszenie powyższych prac nastąpiło o wiele później, Anhellego dopiero w roku 1838, a poematu w Szwajcaryi w r. 1839: na to odpowie najwymowniej następujące i skądinąd jeszcze ciekawe miejsce w tymże liście (d. 20 października 1835):

...„Książki moje mało mi przynoszą, bo daleki od Paryża, wystawiony jestem na wszelkie szachrajstwa księgarzy. Ci mi przysyłają rachunki, których zrozumieć nie mogę, i czasem po kilkadziesiąt franków dają, kiedy im się podoba. Przychód dwóch tomów pierwszych poszedł na druk następnych, a te zaledwo się teraz opłacają. Ty moja droga, nie będziesz mną pogardzać za to, że ja na moje pióro wielkiego odbytu znaleźć nie mogę — Ty nie będziesz z sztyderską litością innych, obcych ludzi patrzeć na mnie kopiącego się w ziemi, jak biedna mrówka. Idę nieznanym i smutnym, ale kiedyś może powiedzą ludzie, że wart byłbym własnego domku — ogrodu i kilku przyjaciół. Dlaczego takie zniechęcenie, zapytasz droga moja — dlaczego? Oto z bardzo małej przyczyny. Dziś widziałem jednego z moich ziomków,

wne téj zimy (co przyjdzie) wylęgłe dzieciątko. Dopiero to, żaręczam Ci Matko, będzie Twoim wnukiem; powiedz, czy Ci to nie zaszkodzi.“ (Nadmieniam, że w kopii listu, którą mam przed sobą, dopisała matka Juliusza do tego miejsca na dole uwagę, że mowa jest o Anhellim. Co też tém bardziej zdaje się zasługiwać na wszelką wiarę, że owa obawa, ażeby dedykacja nowego dzieła matce nie zaszkodziła, szczególniejsz do tego właśnie utworu daje się odnieść). — Nieco później, d. 20 października — spotykamy znowu taką o tém wzmiankę w genewskiej już korespondencji poety. „Postąpiłem w moim nowym poemacie i chciałbym bardzo téj zimy co wydać.“ — Na październik zatem albo listopad przypada dokończenie, a na owe miesiące spędzone w górach poczęcie i zaczęcie utworu, którym — mimo to, że o kilka lat dopiero później został oddany do druku — i z tego jeszcze powodu zdaje się być Anhelli, pisany stylem biblijnym, że przez cały ciąg owego właśnie roku Pismo święte było jedną z ksiąg rozczytywanych codziennie i z rozmyślowaniem przez Słowackiego. Pełno o tém wzmianek w owoczesnych jego listach. „Często wieczorem — pisał był na przykład w liście z d. 7 marca 1835 — przed zaśnięciem czytam głośno rozdział Biblii. Mam ją po polsku. Przedwczoraj tak mocno wrażyła mi się w imaginacyą męka Chrystusa, że we śnie umęczenie całe widziałem i obudziłem się okropnie przerażony“...

który po kilka razy nazywał mnie poetą, a nakoniec wyznał, że nic jeszcze nie czytał mojego. Prawda, że to był handlarz win, który z próbkami jeździ po świecie i interesu domu swego załatwia; bierze kilka tysięcy franków na rok pensyi i zamyśla się ożenić ze starą wdową kupca i handel winny wziąć w posagu. — Rozsądny człowiek!

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY.

Rok 1836 do połowy 1837.—Przygotowania do podróży włoskiej — trudności pasportowe. Wyjazd do Rzymu — wrażenia — nowe znajomości, Krasiński. Neapol — Sorrento — poemat „Wacław”. Podróż na Wschód. Grecya — Egipt — Kairo — piramidy — spotkanie z przyjaciółmi koło Dendery. Teby — jazda na wielbłądach ku Palestynie. Kwarantanna w El-Arish. Jerozolima — noc u grobu Chrystusa. Ruiny Balbeku — Klasztor ormiański na Libanie — spowiedź — „Ojciec Zadżumionych”. Bajrut — powrót okrętem do Liworny.

Do wszystkich tych w poprzedzającym rozdziale opisanych okoliczności, które przez ciąg 1835 roku naprężyły wyobraźnię, ale też i niepokoiły umysł poety naszego, doliczyć należy jeszcze jedno, o czém tam nie wspomniałem. Oto otrzymał on był w maju jeszcze rzeczonego roku od matki i od krewnych swoich wiadomość, że się wujostwo jego (Teofil Januszewski z żoną) wybierają w podróż do Rzymu. Na towarzysza tej podróży wzywano i jego, uwiadamiając zarazem, że projekt ten przychodzi tak niezwłocznie do skutku, że w dniach, w których on wiadomość o tém odbierze, podróżni już będą w drodze. Na razie zasmuciła Słowackiego dotkliwie myśl, że się z nimi w tę podróż nie wybrała i matka. Skoro jednak rozważył, że stały temu na zawadzie przeszkody, których jak mu donoszono, usunąć nie było można, poczytał sobie i to za pociechę niemałą, że przynajmniej wuja i przyrodną siostrę swoje zobaczy.

Wycieczka do Włoch należała od dawna do najżywszych życzeń Juliusza. Chwycił się tedy oburącz myśli, jaką mu teraz poddano, chociaż przewidywał już w pierwszej chwili, że trzeba

będzie pokonać niejedną trudność, jeżeliby rzecz ta, dla obu stron tak upragniona, nie miała i tym razem pozostać tylko marzeniem. Wprawdzie brakowi funduszków, który mu się szczególnie właśnie w owych czasach nieraz czuć dawał, można było czy tym, czy owym sposobem zapobiec. Ale jak tu od władz rządowych otrzymać pasport w te strony? Rząd szwajcarski nie wzbraniał emigrantom pobytu w granicach własnego kraju, lecz pasportów żadnych im nie wydawał do państw obcych. Trzeba się było chyba starać o to we Francyi. Słowacki niezwłocznie też napisał do przyjaciół swoich paryskich, aby uczynili odpowiednie kroki w tój mierze. Czekał na odpowiedź niecierpliwie. Przez kilka miesięcy nie było jój wcale, wreszcie (we wrześniu) odebrał uwiadomienie, że rząd francuski robi trudności, lecz że jest jeszcze nadzieja rezolucyi pomyślniej, ponieważ wdały się w to wysoko położone osoby. Tymczasem krewni nalegali listami, już z Włoch pisywanymi, ażeby Juliusz przyjazd przyspieszył, parła go do tego i niecierpliwość własna — ale pasportu z Paryża ciągle nie było. Z powodów już powyżej wskazanych, były czasy owe dla osób w położeniu Juliusza pod względem, o który właśnie chodziło, nad wszelki opis uciążliwe. W październiku (1835) otrzymał nowiny, które mu prawie wszelką odebrały otuchę. W listopadzie błysnęło znowu małe światełko nadziei. Miała się zająć jego sprawą jakaś księżna, wiele wpływu wywierająca w sferach rządowych. Ale Słowacki mało ufał tym obietnicom i uważał już cały ten projekt wyjazdu swego za Alpy za rzecz przepadłą. Martwił się z tego tém bardziej, że względ na coraz szczuplejsze jego dochody nakazywał mu bądź co bądź porzucić Genewę jako miejsce zanadto drogie dla niego. Nie wiedział, gdzie się obrócić. Do Paryża powracać sobie nie życzył. Więcej zdawała mu się być dla niego stosowną Bruksella. Ostatecznie też postanowił przenieść się do tego miasta. Czekał tylko jeszcze na powrót Januszewskich i ułożył się z nimi, że jeżeli obiorą sobie drogę jakim traktem przez Alpy niezbyt od szwajcarskich granic odległym, to i on się tam stawi, ażeby się przynajmniej raz jeszcze w życiu zobaczyć z nimi. Miało to nastąpić jednak dopiero na wiosnę. Zimę tedy (z roku 1835

na 1836) wypadło mu jeszcze przepędzić w domu pani Patteg w Genewie.

Przez cały ten czas, gdzie się rzeczy ważyły pomiędzy nadzieją, że mu pasport przyśła, a obawą, że trzeba sobie będzie szukać nowego przytułku gdzieś tam pomiędzy Belgami, miotał nim niepokój, niesprzyjający autorskiej czynności.

„Zimę tę niewiedzieć jak przepędzam — pisał do matki dnia 17 listopada 1835. Ciągła nadzieja wyjechania stąd do Teofilów porwała łańcuch moich marzeń. Ja, co zawsze w jesieni nawiedzany byłem przez jakąś nową myśl poematu, tego roku głowę mam podobną do niezapalanej latarni. Więc nudzę się; czczość myśli jest największą dla mnie męką. Nie wiem, o czém marzyć, a nie mając w głowie żadnego zmyślonego obrazu, muszę myśleć o nudnej rzeczywistości.“

Od tego listu, pisanego w listopadzie, aż do korespondencji włoskiej, która się poczyną z dniem 28 maja 1836, jest przerwa ani jednym słówkiem nie zapełniona, której powodu nie umiem wytłómaczyć sobie zupełnie. Nie wiadomo tedy, ani czy co napisał tej zimy (prócz dokończenia *Anhellego*), ani kiedy mu nad wszelkie spodziewanie nadesłano ów upragniony pasport z Paryża; ani też jakie były okoliczności towarzyszące godzinie wyjazdu. Dość że w miesiącu styczniu czy lutym (1836) opuścił Juliusz dom, w którym przez całe trzy lata przemieszkując, tyle doznawał życzliwej gościnności; w którym mu tyle natchnień przeszło przez serce i zrodziło niejedną z celniejszych jego utworów; w którym wreszcie błogie, nigdy przedtem w takiej czystości jemu nieznane światelko tego, co pocziwy niegdyś Karpiński, nazywał najpiękniejszém szczęściem na ziemi, uśmiechać się zaczęło do niego, ażeby tém prędzej potem ukryć się za obłokiem i — dogasać powoli w cichych wspomnieniach wygnańca. Wyjeżdżał z postanowieniem spędzenia na włoskiej ziemi przynajmniej roku całego. Jechał pocztą do Marsylii, stamtąd na statku parowym, morzem do Liwurny; następnie, po trzech dniach wypoczynku w tém mieście, do *Civita Vecchia*, a stąd nakoniec łodem do Rzymu, gdzie go krewni oczekiwali. Rozpoczynając tę podróż, znał już cokolwiek język włoski. Miał on jeszcze w roku 1834 sposobność

poduczenia się jego w towarzystwie pewnego Włocha, który w Genewie w jednym domu z nim mieszkał i ciągle w tym języku rozprawiał ze Słowackim.

Bawił w Rzymie razem z Januszewskimi przez trzy miesiące od początku marca do końca maja. Mieszkali razem; w pierwszych tygodniach, dopóki jeszcze z będących wtedy w Rzymie rodaków mało kogo znali, był Juliusz nieodstępnyim ich towarzyszem. Poźniej znalazły się nowe znajomości i to ze wszech miar miłe i zajmujące; więc trzeba odtąd było poecie dzielić czas swój między nich wszystkich, ażeby i jednej stronie i drugiej zadość uczynić.

Z całego czasu spędzonego nad Tybrem jest tylko jeden list Juliusza, pisany do matki na kilka dni przed wyjazdem do Neapolu, d. 28 maja 1836. Wypiszę z niego, co tylko rzuca jakie światło na życie poety w owych miesiącach; uprzedzam jednak, że nie będą to szczegóły ani w części tyle dokładne, jak z czasów genewskich.

O wrażeniach, jakie na nim stolica chrześcijańskiego świata zrobiła, nie ma w liście żadnej wzmianki. Natomiast znalazło się w pozostałych papierach kilka tercynów, wtedy zapewne pisanych, które dają odgadnąć uczucia, z jakimi oglądał Juliusz ostatnie szczątki wielkości starożytnego Rzymu.

R Z Y M.

Nagle mię trącił płacz na pustém błoniu:

„Rzymie! nie jesteś ty już dawnym Rzymem“...

Tak śpiewał pasterz trzód siedząc na koniu.

Przede mną mroczne błękitnawym dymem

Sznury pałaców pod Apeninami,

Nad nimi kościół ten... co jest olbrzymem.

Za mną był morski brzeg i nad falami

Okrętów tłum, jako łabędzie stado,

Które ogarnął sen pod ruinami.

I zdjął mię wielki płacz, gdy tą gromadą

Poranny zachwiał wiatr i pędził dalej

Jakby girlandę dusz w błękitność bładą.

I zdjął mię wielki strach, gdy poznikali
 Ci aniołowie fal — a ja zostałem
 W pustyni sam — z Rzymem, co już się wali.

I nigdy w życiu takich łez nie lałem,
 Jak wtenczas, gdy mnie spytało w pustyni
 Słońce, szyszacy Bóg, czy Rzym widziałem?

Było zatem w pierwszych wrażeniach rzymskich coś przyniatającego do ziemi smutkiem naszego wędrowca. Usposobienie to jednak potem minęło. I dlatego też pisał na odjeźdném w liście owym z Rzymu wysłanym na przykład co następuje:

„Jak dziwnie powietrze włoskie działa na moje zmysły, tego opisać nie mogę. Mam tysiąc zachoeń, tysiąc wielkich podlotów do nieba, chciałbym tu być przepędzić moję przeszłość.“

Wspominałem wyżej o znajomościach, które z bawiącymi w Rzymie rodakami zawiązał w owym czasie Słowacki. Oto tutajto spotkał on się po raz pierwszy w życiu z wieszczem, którego imię tak jest przyjaźnią i poezją z jego imieniem związane, jak imię Moora z Byronem, jak Garczyńskiego z Mickiewiczem. Mówię o Zygmuncie Krasińskim. Wiekiem prawie równiecnicy (Zygmunt o trzy tylko lata młodszy był od Słowackiego), talentem poetyckim, dla tłumu czytających mało wtedy jeszcze przystępnym, tak ściśle spokrewnieni ze sobą — zrozumieli się oni od razu i tak sobie wzajemnie do serc przyłgnęli, że ten związek ich duchów pozostał dożgonnym, pomimo wstrząśnień przelotnych, które w ostatnich latach życia Juliusza zagrażały zerwaniem téj idealnej przyjaźni. W czasach pierwszego poznania Słowacki, chociaż autor kilku już dzieł wydanych, mało jeszcze w kraju był ceniony jako poeta. O Krasińskim chyba najbliżsi wiedzieli, że pisze; *Agay Han* i *Nieboska* komedya były już ogłoszone (1834), lecz bezimiennie; *Irydyon* przechodził właśnie przez prasy paryskie w dniach owych, gdy się ci dwaj młodzi ludzie po raz pierwszy ujrzeli na rozwalinach nieśmiertelnego miasta.

.... „W ostatnich czasach żyłem w Rzymie z kilku ziomkami moimi, młodymi, zapalonymi, i tych towarzystwo ożywiało mię nieco. Jeden z nich miał wiele podobieństwa do dawnego dziecinnego przyjaciela mojego Ludwika. Rozmawiając z nim, przyszło mi na pamięć wiele dawnych uczuć i wiele dawnych wyrazów. Chodziliśmy razem na spacer i najczęściej przepędzaliśmy wieczory w willi Mills. Jestto ogród pełny róż i cyprysów, zasadzony na ruinach dawnego pałacu cesarzów rzymskich.*) Przy świetle księżyca kiedy kwiaty wydawały dziwne zapachy, kiedy ruiny otaczające tę willę przybierały kształt duchów, a Rzym daleki w siniej mgle tonął, z dziwném rozemdleniem serca myślałem o przeszłości. Nieraz Ciebie, moja droga, wspomniałem cicho i głośno... opowie Ci to kiedyś Zygmunt, mój towarzysz romansowych wędrówek, bo może on prędko Ciebie widzieć będzie, a obiecał mi, że to uczyni, jak będzie mógł najspieszniej po powrocie z zagranicy... Z Zygmuntem biegaliśmy po odległych spacerach. Wieczorami tak na żywych i pasjonowanych rozmowach czas nam zbiegał, że często wracałem do domu, kiedy się już Teofilowie spać położyli. Przeczytałem był wszelkie moje prace Teofilostwu, które się im nie bardzo podobały — (to się ściaga, jak mi dobrze wiadomo, jedynie do Balladyny) — „i mówili mi zawsze, że szlachta nie zrozumie. Młodzi moi znajomi z chciwością pożerali, cokolwiek im udzieliłem“...

Z innych osób wtedy w Rzymie poznanych wymienić potrafię tylko Alexandra Hołyńskiego, młodego obywatela z Białej Rusi z pod Witebska, i Zenona Brzozowskiego z Ukrainy, którzy obydwa, jak sądzę, objęci są właśnie razem z Zygmuntem w tém wyrażeniu „młodzi moi znajomi“; dalej rodzinę baronostwa Richthoffenów z Poznańskiego, i Alexandra Potockiego, który się liczył do Emigracyi.

O Richthoffenach znajduje się taka wzmianka w listach Juliusza:

... „Mąż Niemiec — żona Polka, bardzo miła osóbką, wiele gadająca, z rodzaju naszych przymilających się i zwinnych kobietek warszawskich. Gdybyś sobie, droga moja, wystawić mogła, coto za urok jest dla nas w Polkach! jak one zdają się nam z innego świata, lepszego, zgrabniej-

*) Cudne to miejsce dzisiaj nieprzystępne jest dla publiczności; przeszło bowiem w posiadanie zakonu Salezyanek.

szego stworzeniami: tobyś się nie dziwiła, że słysząc tylko o tej pani, lataliśmy jak waryaty z Zygmuntem po willach włoskich, aby ją zobaczyć. Ideał utworzony w imaginacyi rozprysnął się za pierwszém spotkaniem tej damy w ogrodzie Borghezeych, i teraz została mi w niej tylko miłutka znajomość, bo mnie Alexander Potocki zarekomendował, a moje nazwisko, już trochę znane, pomogło mi do otrzymania dobrego nader przyjęcia“ (dnia 28 maja 1836).

W pierwszych dniach czerwca rozstał się Juliusz z Krasieńskim i razem z krewnymi wyjechał z Rzymu do Neapolu. Hołtyński i Brzozowski w kilka tygodni później także się tam znaleźli. O trybie życia w tém mieście najlepiej zawiadomi następujący wyjątek z listu:

„Od piętnastu już dni siedzę w oknie mojem, na ulicy św. Łucyi*) w Neapolu, patrząc na błękitne morze, na Wezuwiusz, na Neapol ciągnący się w półkregu na lewo, w dzień biały, w nocy jaskrawy tysiącem światel. Mam balkonik mały nad morzem, na balkoniku stoi krzesło i różny wazon; w tém krześle siedzę jak śpiący, plawiąc różne obrazy na błękitnym dymie tureckiego tytoniu; czasem podnoszę głowę i widzę... co? Teofila z Gajem (dawny znajomy z Wilna, który z żoną także podróżował wtedy po Włoszech) siedzących na drugim balkoniku na górze i patrzących na morze. Tak zwyczajnie część dnia upływa w kontemplacyach. Pod wieczór robimy różne projekta spacerów, które czasem przychodzą do skutku, a czasem niezgodnością głosów zerwane, kończą się na tém, że każdy z nas idzie w swoją drogę; to jest: Teofilowie na ludną i publiczną promenadę prowadzą się jak dwoje gołąbków, Gajostwo idą skupować lawy i obrazki, a ja wracam znów na moje siedzenie na balkoniku i przemarzam cały wieczór. Takie jest życie moje, niech go (jak powiada Adam) słuchacz w duszy swój dośpiewa.“

....„Zachwycony jestem Neapolem, a jednak za dwa dni myślę wyjechać na cichsze mieszkanie do Sorrento. Dlaczego? wyznam ci moja droga, że już mię przejażdżkowe życie dosyć zmęczyło. Myśl moja, która przez trzyletnią spokojność przywykła do wewnętrznego i ciągłego życia, tutaj gniewa się na mnie, że ją widokiem różnokolorowym ciągle zatrudniam i męczę... Dlatego w Neapolu nie chce mi się długo siedzieć, a w Sorrento przywołaniem mocnych

*) Był to dom położony pod Nrm. 3 na ulicy S. Lucia.

myśli będę się starał zapełnić tę czerzość, która mię teraz nadto lekkim czyni i nosi po wierzchu wszystkich marzeń. Raz tylko na Wezuwiuszu, patrząc na słońce wschodzące, odwróciłem się i modliłem się i łzy miałem w oczach. Raz tylko od kilku miesięcy coś czułem więcej na mnie z tamtego świata. Ale czy uwierzysz, droga, że Herkulanum i Pompei nie zrobiły na mnie żadnego wrażenia! Chodziłem po ulicach Pompei z cygarem w zębach, jak po spalonej wiosce: uliczki małe, brukowane przed wiekami, z dwóch stron grobowce, i domki bez dachów i sufitów uróżowane jak stare kobiety szczytkami malowideł czerwonych; małe framugi wylepione muszelkami, z których niegdyś lały się źródła wody, dziś nie płaczące; świątynia Izys mała, z wyrocznią, która dziś restaurowana ledwieby na małych dzieciach uczyniła wrażenie strachu: mały cyrk teatralny odkryty, ani przy jego kolumnach nie stoją zaschłe trupy aktorów, ani po schodach siedzą spaleni na węgiel słuchacze. Odgrywał na nim tylko Gaj komedya, bo chciał wziąć z murów mały kamyk marmurowy na pamiątkę, a cicerone odkrył rzecz i pamiątkę wyjął czulemu sentymentalizującemu wojażerowi z zanadru... Ja na to wszystko patrzałem siedząc w łoży. — Wchodząc do domu poety, towarzystwo odezwało się do mnie po polsku, abym pierwszy, jako poeta, progi przestąpił. Cicerone nasz przebiegły zaraz zrozumiał, o co rzecz chodzi, zaraz powołanie moje wywahał i dowcipnie się znalazł, bo przystąpiwszy do mnie rzekł: Ponieważ Pan jesteś u siebie, więc mi coś daj! Na tak zgrabne przemówienie się nie mogłem nic odpowiedzieć, tylko brzęczącym słowem, które zaraz imię moje poety zamieniło w ustach cicerona na tytuł *Eccellenza*, i tak uradowany przewodnik zaprowadził mię do najtajniejszych zakamarków poetycznego domu, pokazując mi różne bezwstydne i rozwiązłe obrazki. O! poeto starożytny, nie żał, że ciebie niepamięć zasypała, a dom twój popioł przywalił! — Kiedy patrzę na Wezuwiusz i na białe domki u stóp jego nad morzem, myślę że możnaby w jednym z tych domków szczęśliwe pędzić życie; trzebaby tylko z trzykroć majątku. Wtenczas Ty, moja droga, miałabyś mieszkanie z ogródkiem pełnym róż, tulipanów i anemonów; ja miałbym także cichą i żaluzjami zielonemi zasłoniętą pracownię, łódkę z białym żagielkiem na morzu, konia, a potem miłą i dobrą żonę, różowe dzieci, a potem niechby choć popioł przysypał nasze grobowce!“ (dnia 20 czerwca 1836).

Owoż dobitny przykład, co to jest człowiek z wrodzonym usposobieniem do ciągłych marzeń i przyzwyczajony samymi okolicznościami do życia w napowietrznej sferze samych tylko ideałów fantazyi. Potrzeba pragnień jakichś nigdy nie zaspokojonych zamienia się u ludzi takich w drugą naturę. Dopóki żył samotny w Szwajcaryi: tęsknił do rodziny, skarżył się gorzko, że nie widzi nikogo ze swoich około siebie. Po wielkich z trudnościami przebojach i po długim czekaniu, ma ich teraz przy sobie... i cóż poczyna? Oto zamyśla o wyjeździe do Sorrento, ażeby ich samych zostawić w Neapolu! Marzy natomiast o własnym domku nad morzem. Gdyby posiadał, co tu wyraził, szukałby znowu czego innego na świecie! Prawdziwy poeta w życiu, jak w pismach...

Myśl wycofania się ze zgietku miejskiego w zacisze wiejskie w samą rzecz doprowadził do skutku. Pojechał do Sorrento i przesiedział tam cały czerwiec, podczas kiedy Januszewscy ciągle w Neapolu bawili. Z końcem miesiąca do nich powrócił i taką zdawał sprawę matce z tego pustelniczego miesiąca:

... „Przepędziłem miesiąc cały w Sorrento blisko Neapolu, sam jeden, bo Teofilowie miasta nie chcieli porzucić, ja zaś potrzebowałem przeżyć choć miesiąc jeden między drzewami, daleki od zgietku brukowego, i znalazłem sobie mały pokoik, z którego nie widać nie było prócz gaju cytrynowego i morza, za morzem w mgłę oddalenia Wezuwiusz. Całe dnie przepędzałem z sobą samym i z Szekspirem. Zrazu chodziłem się kąpać w morzu, i te kąpiele przez miesiąc cały brane nie przyniosły innego skutku, oprócz czasowego osłabienia, które ustało, skorom kąpeli zaprzestał. Życie moje wiejskie w Sorrento przypomniało mi dnie samotne przepędzone w Veytoux nad brzegiem jeziora; i to podobieństwo dwóch chwil błędnego życia miłem mi było. Pisałem trochę, myślałem, czasem się modliłem, kiedy w bliskim kościółku grający organ dochodził do mojej cichej celi. Czasem, jak w obrazach włoskich albo flamandzkich, słuchałem oparty na murze grającej na gitarze dziewczyny. Była to młoda moja gospodyni, która mi ciągle dawała serenady. Zawsze widać mię było nad morzem w godzinę zachodu słońca, bo lubiłem słuchać powiewu wiatru, który ciągle od morza na ziemię wiejący, w chwili zachodu obracał się nagle i gonił za słońcem na morze. I tak przeszedł mi cały miesiąc życia bez żadnej różności... Je-

dnostajność taka nie znużyła mnie jednak wcale, i byłbym dłużej pozostał w mojej zaciszy, gdyby nie bliski wyjazd Teofilów i nie chęć przepędzenia z nimi ostatnich dni mojego tu pobytu, zwłaszcza że dla braku funduszków nie mogę ich odprowadzić do Florencyi“... (Neapol, dnia 3 sierpnia 1836).

Wzmianka powyższa „pisałem trochę“ nasuwa pytanie, które też z dzieł Słowackiego powstało wtedy? Jestto wątpliwość trudna do rozwiązania. Już to w ogóle czasy te spędzone we Włoszech nie wydały wielkiego plonu. Zbyt wiele przeróżnych wrażeń miał do przyjęcia w siebie Słowacki w tym nowym dla siebie świecie; zbyt był zajęty tém wszystkiém, co się działo około niego, żeby był mógł dawać posłuch i wewnętrznym natchnieniom, powołującym go do autorskiej czynności. Pomiedzy niewydanemi za jego życia rzeczami znalazłem zaledwie trzy pomniejsze utwory, które niewątpliwie przypadają na te włoskie miesiące. Sąto poezye liryczne, zatytułowane *Sumienie* (z podpisem: dnia 1 maja 1836),*) „*Rzym*“ (przytoczony powyżej w całości), i kilka strof mających napis „*Ułamki*“, podobnież tercynami dantejskimi pisane, jako ten wiersz poprzedni. To wszystko, jak rozumiem, rzucone było na papier w Rzymie. Na ów miesiąc w Sorrento nie mam nic, coby odnieść mógł z pozostałych jego papierów. Z dzieł dawniej drukowanych jeden tylko Wacław (wydany roku 1839) mógłby być utworem tegoto czasu. I rozważywszy wszelkie okoliczności, które tu zbyt długo byłoby szcze-

*) W wierszu „*Sumienie*“ zdaje się ściągać znowu wszystko, jak w owém „*Przekleństwie*“, do Eglantyny. Ażeby jednak czytelnik nie poddawał się mylnym przypuszczeniom, jakie mu się przy czytaniu tego wiersza zapewne następują, uważam sobie za obowiązek nadmienić, że literalnie brać nie można niektórych wyrażen, jakie się tam znajdują. Jest w całym tym stosunku poety do Eglantyny w ogóle wiele rzeczy bardzo trudnych do wyjaśnienia; lecz co pewne, to że i potem byli oni dobrze ze sobą, korespondowali i wspominali o sobie życzliwie. Słowacki przynajmniej w listach swoich do matki z téj epoki mówi o niej zawsze tonem przywiązanego brata. „Dobra siostra moja genewska“, „listy siostry mojej Eglantyny miłe mi są, bo sercem pisane“, itp. oto wyrażenia, w jakich o niej zawsze przemawia.

gółowo rozbierać, przypuszczenie powyższe nabiera tyle prawdopodobieństwa, że co do mojej osoby śmiałybym nawet na pewne twierdzić, że poemat ten wtedy musiał być napisany. Była to kreacya, jak rozumiem, osnuta na tle tego wszystkiego, czego się o ostatkach życia tego bohatera powieści Malczeskiego naśluchać mógł Słowacki w Rzymie od niektórych rodaków tamże bawiących a dobrze obeznanych z domu tuluzyńskiego dziejami i misteryami. Powodu do rozmów o tém dostarczała już sama bytność pomiędzy nimi Alex. Potockiego, który był, jak wiadomo, najstarszym z synów Szczęsnego z żony jego Zofii Greczynki.

Lecz wróćmy do biografii poety. Zamiarem jego było więc pozostać, kiedy krewni odjadą (a miało to nastąpić z końcem miesiąca) w Neapolu i nadal, aż do nadejścia funduszów, któreby mu pozwoliły udać się potem na kilka jeszcze miesięcy do jakiego innego miasta. Tymczasem zaszła na kilka dni przed chwilą, która ich rozłączyć miała, nagle decyzya ima, i z powodu takowej odebrała matka Juliusza niespodzianie następujące doniesienie w liście datowanym z d. 24 sierpnia 1836.

„Zdziwisz się Mama zapewne, odebrawszy list ten na wsiadaniu prawie pisany. Wyjeżdżam na Wschód, do Grecyi, do Egiptu i do Jerozolimy. Projekt ten od dawna zrobiony i kilka razy odrzucony ode mnie, jako nadto straszne przedsięwzięcie, przyszedł nakoniec do skutku. Odbędę sześciomiesięczną wędrowkę w towarzystwie Zenona Brzozowskiego i w Alexandryi połączę się z dwoma moimi współtowarzyszami podróży“ (Hołyńskimi, z których młodszy, Alexander, poznany jeszcze w Rzymie, głównie go namówił do tej wyprawy i też dopomógł do wykonania projektu). „Będzie więc nas czterech żeglujących po Nilu aż do pierwszej katarakty. Nie lękaj się o mnie, moja droga, ani fraśuj się o sposoby dosyłania mi czego. Mam wszystko zabezpieczone.“

... „Teofilowie odradzali mi wojaż; ale kiedy się wałęsam, czy go mam przedsięwziąć czy nie: otworzona losem biblia zdecydowała mię następującym wierszem: „Kościóły azyjskie pozdrawiają was.“ Może to droga moja weźmiesz za przesadę, ale wierszowi temu zawierzyłem i on mię prowadzi w daleką drogę. Dziś wieczór o godzinie 12 w nocy wyjeżdżam z Neapolu do Otranto, stamtąd do Korfu, z Korfu do Aten, z Aten do Alexandryi, taki przynajmniej ma-

my teraz ułożony plan podróży; jak go dalsze okoliczności zmienią, nie wiem. Spodziewam się, że ta podróż będzie mi użyteczna; chociażby tylko ustaliła moc charakteru, którego potrzeba do przedsięwzięcia i wykonania rzeczy połączonej z trudami znacznymi: to już dosyć będę z niej miał korzyści. Obaczę nowe kraje, nowych ludzi; będę żył z nimi, będzie mię nosił wielbłąd karawany i pomyślę o śmierci na grobie Chrystusa. Będę się tam modlił za tych, których kocham, a potem z sercem pełnem pamiątek i obrazów wrócę do jakiejś cichej europejskiej samotności.“

Ta podróż wschodnia stanowi najwięcej zajmujący, najtreściwszy i zarazem najpoetyczniejszy okres w życiu Słowackiego i w całej korespondencji jego do matki. Żałować tylko należy, że nie mamy wszystkich listów, w których udzielał swoich wrażeń w ciągu owego czasu. Przez ciąg 10 miesięcy — tak długo bowiem podróż ta trwała — wyprawił Juliusz do Krzemieńca w ogóle pięć listów z dokładnemi sprawozdaniami ze wszystkiego, gdzie był i co widział. Dwa pierwsze z tych pięciu listów gdzieś po drodze przepadły. Jeden z nich datowany był z Aten, z miesiąca września; drugi pisany był w Alexandryi, w jakie półtora miesiąca potem. Tych dwóch listów nie ma więc w zbiorze, i dlatego też nader niedokładne będą szczegóły nasze o tej pielgrzymce poety, o ile takowa dotyczy Grecyi i północnego Egiptu. Potem pisał do matki jeszcze trzy razy; to jest z Bajrutu w lutym (1837) posłał do Krzemieńca dwa listy, niezwłocznie jeden za drugim, a trzeci list, który był pisany na morzu śródziemném na dni kilka przed zawinięciem do portu, w czerwcu rzucił na pocztę w Liwurnie. Te trzy numera znajdują się w zbiorze i z nich czerpiemy wszystko, co poniżej nastąpi.

Ażeby zacząć od ogólnego obrazu usposobień wędrowca naszego w ciągu podróży, stawię na czele następujące miejsca, wyjęte z listu pisanego d. 17 lutego 1837 w Bajrucie.

...„Sześć miesięcy włóczę się jak wariat po świecie; widziałem tyle rzeczy, że nie pojmuję, jak oczy moje mogły wydolać zmysłowi wzroku; czułem wiele, byłem wesoły, zachwycony, płakałem. Miałem całe dni pełne dumań, całe miesiące pełne roztargnienia, i dwie wielkie niespokojności, to jest niespokój o Ciebie, i drugą niespokojność, że się Ty o mnie troskać musisz“...

...„Uważam już podróż moję za skończoną prawie: zwiedziłem Grecyą, Egipt, Syryą, Palestynę, i przybyłem do miasta portowego Bajrut, skąd ruszę prosto do Włoch. Czekam tylko, aż piękny czas nadejdzie i podróż morską zupełnie bezpieczną uczyni. Na miesiąc lub dwa zamierzam udać się do klasztoru Bel-chesz-Ban. Tam będę pędził życie samotne, do szwajcarskiego podobne; towarzystwem mojem będą zakonnicy ormiańscy i jeden malarz Rzymianin, który do kościoła maluje obrazy. Miejsce, które obrałem na odpoczynek, jest jedno z najładniejszych w Syrii. Spodziewam się, że mi bardzo będzie przyjemnie spędzić trochę czasu w zaciszy na rozmyślaniu, bo chociaż podróż ta bardzo mnie zajęła, nieraz tęskniłem za spoczynkiem i spokojnością domku w Paquis. Pomimo wielu niewygód i złych przepraw zdrowie moje służy mi przewybornie; i kiedy mój towarzysz (Zenon Brzozowski), silniejszy stokroć ode mnie, nie mógł uniknąć lekkiego zapalenia oczu na łódce nilowej, ja zupełnie obszedłem się bez lekarstw, jakich nam dostarczył pewny nasz rodak doktor w Kairze. Dziesięć dni ciągłej słoty wytrzymałem na koniu, ciągle wędrując ku Jerozolimie. Ale o tém wszystkiém napiszę Ci moja droga obszernie w drugim listku“...

...„Moja Mamo, do której ja z różnych stron świata ciągle wracałem myślą, chcąc się z Tobą podzielić każdym widokiem, każdym wrażeniem; dlaczego Ty nie możesz być choć przez kilka chwil ze mną, teraz w tej chwili... abym mógł płakać położywszy twarz na rękach twoich... Spokoju! Byłem nad jeziorem, gdzie niegdyś Chrystus z taką spokojną pokazywał się twarzą, choć bardzo cierpiał w głębi serca“...

O Grecyi zaledwie tę krótką wzmiankę spotkać można w jednym z późniejszych listów:

...„Grecya pełna ruin precudownych podobiała mi się bardzo, i bardziej niż Rzym mnie zachwycała. Egipt zatętnił Grecyą w mojej pamięci. Nic cudowniejszego nad ruiny nad Nilem będące. W liście z Alexandryi pisałem, jakiegom wrażenia doznał, widząc się pierwszy raz w orientalem mieście, i żałuję tego listu, bo już teraz niepodobna byłoby tego opisać.“ (d. 11 lipca 1837 z Liwurny).

W Alexandryi wylądował Słowacki dnia 21 czy 22 października (1836). Dwa dni przedtém, napisał prześliczny ów „Hymn o zachodzie słońca na morzu“, zaczynający się od słów:

„Smutno mi Boże! dla mnie na Zachodzie
 Rozlałeś tęczę blasków promienistą —
 Przede mną gasisz w lazurowej wodzie
 Gwiazdę ognistą —
 Choć mi tak niebo ty złocisz i morze,
 Smutno mi Boże!“

Dnia 22 października, w gospodzie alexandryjskiej wypoczywając po niewczasach podróży, złożył drugi wiersz, także dopiero drukowany między pośmiertnymi dziełami, „Do Teofila Januszewskiego“.

W niewiele dni potem, nie zatrzymując się dłużej w Alexandrii, wsiadł na łódkę nilową i pogonił za przyjacielem swoim Alexandrem Hołyńskim, który go wyjazdem swoim z Neapolu wyprzedził i bawił wtedy gdzieś w głębokim Egipcie, koło posągów Memnona. Pierwszą stacją w tej żegludze Nilem było Kairo.

... „Dnia 28 października przybyłem łódką do Kairo. Pyszne miasto, piramidy z daleka widać było, pełno lasów palmowych, całe przedmieście w ogrodach. Na drugi dzień po przybyciu do Kairu odbyłem podróż do piramid. Oba (Słowacki i Brzozowski) byliśmy na małych osiołkach, i dziwnie na tém stworzeniu małeńcy wydawaliśmy się przy olbrzymich gmachach granitowych. Piramidy jednak nie tak mnie zadziwiły ogromem. Beduini w białych płaszczach zbiegli się zewsząd, aby nam służyć za przewodników, i biorąc nas za ręce, wciągali przez ciemne, granitem wykładane korytarze aż do małych pokojów we wnętrzu piramid będących, w których stały dwie niegdyś, dziś tylko jedna granitowa trumna. Wyszliśmy z ciemnych piramid, zaczęliśmy się drzeć po kamieniach aż na ich szczyt, wciągany zawsze za ręce od dwóch Arabów. Byłem na szczycie najwyższej piramidy. Cudowny widok! Szczyt Faulhorna, kopuła św. Piotra, Wezuwiusz, piramidy, były to dla mnie jak najwyższe gałązki na drzewie, na których ja, biedny ptaszek wędrujący, siadałem na chwilę, aby odetchnąć. Widziałem więc piramidy! ale zato straciłem obraz, który sobie o nich moja imaginacja tworzyła. W Kairze uliczki małe, mnóstwo sklepów; przed wyjazdem z tego miasta pokazano mi w sklepie biały płaszczyk z wełny, robiony w Tunisie, a zwany burnus. Wybrawszy najcieńszy, jaki tylko był na wschodzie, kupiłem go dla Ciebie, moja droga,

myśląc, że Ci do przebędzie obwinąć się w niego jak w lekkie i miękkie prześcieradło i tak leżeć na swojej małej kanapce. Mój towarzysz obiecał mi, że cię ten płaszczyk tunetański dojdzie. Drugi taki płaszc, ale gruby i pospolity, okrywa mnie jadącego na koniu, a w Jeruzalem nadawał mi postać Krzyżaka. Widziałem targ niewolników i jedną ładną Abisynkę, za którą dawano już 1000 fr.“

... „6 listopada wzięwszy na miesiąc łódkę z ośmiu marynarzami, którzy zupełnie byli na nasze rozkazy jak niewolnicy, puściliśmy się Nilem ku pierwszej katarakcie, szukając spotkać się z dwoma Hołyńskimi, którzy nie doczekawszy się puścili się przed nami w tę drogę. Śliczna podróż! Rysowałem wiele, słowa bowiem były niedostateczne do wydania wszystkiego, co uderzało w oczy. Mnóstwo żorawi lecących po błękitie, mnóstwo innych ptaków wodnych, chmury gołębi unoszące się nad wioskami, wioseczki z ziemi bite, najczęściej w lasach palmowych stojące, czasem ogromne skały i sępy wielkości człowieka siedzące o zachodzie słońca na górach, nareszcie przy Siut pierwszy krokodyl leżący na piasku, dla którego porwali się od stołu, aby mu się z bliska przypatrzeć, wszystko to tworzy teraz w imaginacji sen bardzo piękny“... (z listu datowanego z Bajrntu d. 17 lutego 1837).

Przerywam to opowiadanie, aby nawiasowo nadmienić, że pomimo uwagi o „niedostateczności słów“ do wydania wrażeń takiej podróży, znalazło się jednak kilka rzeczy w pozostałych jego papierach, które poeta napisał pod wpływem wrażeń na miejscu. Jestto najprzód wiersz „Odwiedziny piramid,“ z datą dnia 2 listopada 1836; i drugi pod tytułem „Rozmowa z piramidami“ (oba ogłoszone dopiero w zbiorze pośmiertnym). Dalej liryczna pieśń nosząca nazwę „Na Nilu.“ Nakoniec znany już dawniej, bo dołączony do Lilli Wenedy „List do Alexandra H(ołyńskiego) pisany na łódce nilowej.“ Już początek tego wiersza maluje dokładnie sytuacją:

Rozdzielił nas gościniec płynnego szafiru;
Ty w Tebach, ja dopiero wypływam z Kairu.
Spodziewałem się niegdyś, że miło nam będzie
Złączyć na Nilu skrzydła okrętów łabędzie;
Razem odwiedzać mumii balsamiczne składy,
Razem oczy w nilowe rzucać wodospady

I razem jako dawniej, kończyć spór zacięty
 O cień Chrystusa z drzewa przez Woltera zdjęty.
 Dziś próżno cię wyglądam i próżno mię czekasz,
 Wiatrem, który mię niesie za tobą, uciekasz;
 A twój brak tak mi serce w podróży oziębia,
 Żem przedsięwziął do ciebie pisać przez gołębia.“ itd.

Co się tyczy rysunków wspomnianych w liście powyższym, i te się także znalazły pomiędzy pozostałymi papierami poety. Leżą właśnie przede mną. Są z nich jedne wykonane ołówkiem, drugie akwarelkami. Jest ich wszystkich 15, mają daty poczynszu od 27 października do 26 listopada (1836). Niektóre z nich wcale się Słowackiemu udały, i może by warto było dać je do jakiego obrazkowego pisma peryodycznego.

Dnia 19 listopada przyszło wreszcie do upragnionego spotkania się z Hołyńskimi. Wszystkie szczegóły téj miłej sceny tak wtedy w pamięci Słowackiemu utkwily, że jeszcze w rok potem, w Florencyi bawiąc, spisywał owo zdarzenie, jakby się działo właśnie przed jego oczami.

... „Wiedząc już, że jakieś łódki cudzoziemskie są w pobliżu, wziąłem strzelbę na ramiona i z jednym Arabem puściłem się przed łódką naszą brzegiem, aby się mieszkalców wiosek o tych cudzoziemcach wypytać. Po godzinie drogi ujrzałem z daleka ich pawilony w jednym z kanałów nilowych i spostrzegłem dwóch młodych w europejskich ubiorach na na piasku. Pędem bić zacząłem do nich, młodszy brat skoro mię obaczył, także zaczął bić ku mnie i rzuciliśmy się w uściski zobopolne, dumni ze spotkania się na téj ziemi cudów. Wkrótce nadjechała łódź z Zenonem, którego już mój Arab uprzedził, że znalazłem tych, za którymiśmy ścigali. Wszyscy więc razem, służącym powierzywszy straż łódek, poszliśmy do oddalonej o godzinę drogi Dendery. Największy ten po piramidach gmach w zachwyceniu nas pograżył. Chodziliśmy między kolumnami, jak odurzeni; siadaliśmy na ziemi, rozmawiając z litością o wojażerach europejskich, którzy takich cudów wystawić sobie nie mogą; słowem nakarmiliśmy oczy, serce i zamknęliśmy do serca dzień pamiątek tak cudowny, że nawet przyjaźń naszą między nami powiększył. Potem Hołyńscy zaprosili nas do łodzi na obiad, a my ich na poncz wieczorem do

siebie. O godzinie 12 w nocy rozjechaliśmy się; towarzysze nasi bowiem już wracali z katarakty, my zaś dopiero jechaliśmy do niej. Łódki ich ze śpiewem majtków oddaliły się szybko wodą niesione, nasz zaś okręciak przeciwko wodzie płynął z trudnością i łamał księżycowe fale.“ (Florencya, d. 24 listopada 1837).

Przyjechawszy do katarakty, wzięli na dzień jeden osiołki i ruszyli, objeżdżając Nil, do Nubii, ażeby widzieć wyspę Fileę, sławną z ruin i pięknego położenia. Potem skierowali drogę ku Tebom i zwiedzili tak ruiny tego miasta „przechodzące wszystko ogromem,“ jako i statuy Memnona o wschodzie i o zachodzie słońca. Wreszcie —

„Dnia 10 grudnia to jest po trzydziestokilkodniowej podróży na Nilu, wróciliśmy do Kairu, gdzieśmy zastali kilku rodaków już dawniej znajomych, oraz Hołyńskich. Pięć dni przepędziliśmy znowu w tém mieście, i potem siadłszy na wielbłądy, kupiwszy sobie namiot, z dwoma sługami i beduinami, puściliśmy się przez pustynię z Kairu do Gazy. Nie wystawisz sobie droga, jak to dziwnie siadać na klęczącego wielbłąda, jak się to trzeba trzymać siodła, kiedy wielbłąd się podnosi i trzy razy człowieka rzuca w różne strony wstając na nogi; lecz jeszcze nieprzyjemniej jest siedzieć na nim, kiedy klęka, zdaje się, że się dom pod człowiekiem wali. Wielbłądy idąc drogą, pasą się wonnym tamaryntem, i beduini pędzili nas jak pasącą się trzodę. Życie takie i podróż taka ma dziwny powab. Czas był najpiękniejszy. Pierwszą noc spaliliśmy w grobowcu świętego tureckiego; była to mała biała kapliczka z kopułką: święty nieboszczyk leżał po jednej stronie, my po drugiej. Cienki mur nas przedzielał, w którym były dwa okienka i przez te mieliśmy ze świętym komunikacyą. Wielbłądy leżały wieńcem koło ognia przed grobowcem, nad tą kaplicą rosło wielkie czarne drzewo, w którem całą noc śpiewał puszczek. Potem co wieczora rozbijaliśmy nasz podróżny namiot, przez osiem dni bowiem jedną tylko widzieliśmy wioseczkę. Małe różne wydarzenia takiej podróży stają się bardzo znacznemi i urozmaicają się dziwnie. Czy to kilka gazeli skaczących po stepie, czy ślad hyeny, czy spotkanie karawany, czy widok samotnego beduina, który ze swoim wielbłądem przebywa pustynię i obok naszych ogniów swój ogień rozkłada — nic z tych rzeczy nie jest obojętnem. Zachody słońca pyszne, krzaki cierniowe palące się lekkim płomikiem jak koronki brabanckie, słowem przyjemna po-

dróż w pustyni. Jużśmy przybyli do El-Arish, gdzie trzeba było siedzieć pod namiotem dni 12 kwarantany. Ale o tém i o dalszej podróży w następującym liście. (Z Bajrutu, d. 17 lutego 1837).

Odsiadując kwarantanę razem z towarzyszem swoim Brzozowskim (Hołyńscy bowiem byli pozostali w Kairze), doznał Słowacki w tém miejscu pustém, położoném na samém pograniczu Egiptu a Syrii, rozlicznych przygód, a wcale niespodziewanych. Ustęp, który poniżej wypisujemy, tém bardziej jest ciekawy, że wiele z tych obrazów, zdjętych tu z natury, odnajdujemy i w pięknym jego poemacie: Ojciec zadżumionych w El-Arish.

„Teraz opiszę Ci moję kwarantanę w pustyni przy maleńkiem miasteczku El-Arish. Wystaw sobie, droga, że po ośmiu dniach podróży w piaskach dano nam na odbycie kwarantany 12dniowej równinę piasku gładką jak stół, otoczoną wzgórkami piaszczystymi do koła, nic więcej. Wyznaczono tylko miejsce, gdzie miały stać nasze namioty, określono obręb, za który nie mogliśmy przechodzić, i zostawiono na łasce pana Boga. Wszakże do maleńkiego namiotiku, który z sobąśmy mieli, przydano dwa drugie, jeden dla nas, drugi dla ludzi, ale ten ostatni tak podarty, że słońce było w nim panem. Dokoła żadnego mieszkania, gdzieby się było można schronić na przypadek deszczu, słowem miejsce smutne, którego cisza przerywana tylko była dalekim szumem śródziemnego morza, i po dwóch innych stronach horyzontu widać było dwa smutne palmowe lasy. Rozłokowaliśmy się nareszcie na tym piasku, wygrzebaliliśmy w nim kuchenkę, ja wziąłem namiot wielki, mój towarzysz w naszym maleńkim rozłożył swoje graty, i tak zastała nas wigilia Bożego Narodzenia. Wieczorem towarzyszył mi dobytwszy zapomnianego czakana, zagrał mi wiejską kolędę, której słuchałem z rozczerpleniem leżąc na dywaniku w mojej budzie. Podziękowałem mu i wieczór nadszedł... Wtém niebo okryło się chmurami, burza piorunowa, ale najokropniejsza z wszystkich burz, nadeszła i trwała całą noc, to jest 13 godzin. Nie możecie sobie wystawić, jaką okropność miała dla nas obu, leżących w osobnych namiotach, ta noc bezsenna, której każda chwila zdawała się ostatnią, tak gromy były okropne, bliskie i gęste. Świeca kilkakrotnie zapalona zawsze gasła, deszcz przedarł się przez płótno namiotu, a kałuże podmywając nasze łóżka położone na ziemi, zmusiły nas do zwinienia wszystkiego w jeden

pakiet, i sami byliśmy parasolami naszych rzeczy. Nakoniec nad rankiem ustała burza i deszczyk lekki tylko pozostał. Wyszedłem, aby zobaczyć co się z moim towarzyszem stało, i winszowaliśmy sobie wzajemnie. Wtém patrząc, aż mała rzeczka płynąca przez dolinę wzbiera, przerwywa brzegi i białemi krągłemi falami bieży prosto na nasze namioty. Zrazu nie mogłem pojąć, co to znaczy, tak widok nowój inundacyi nowym był dla mnie. Wkrótce poznałem całe niebezpieczeństwo, i za pomocą sług znieśliśmy namioty i rzeczy nasze w kwadrans czasu na mały piaszczysty wzgórek, a woda zajęła miejsce nasze w dolinie. Tak więc dzień pierwszy świat pochmurny przeszedł nam smutno suszącym się na górze. Głodni, bo o kuchni myśleć nawet nie było można, przemokli, bez namiotów, spać musieliśmy na wilgotnym piasku, nakrywszy go mokrą rogożą i dywanem. Potém czas piękny wrócił, i trwał aż do przyjazdu naszego do Gazy*. (Bajrut, d. 19 lutego 1837).

Wartoby było, aby po tym krótkim, sprawozdawczo tylko tu rzuconym opisie, odczytał sobie teraz czytelnik cudną przedmowę do powieści o Ojcu zadżumionych. Znajdzie w niej to samo — ale tam i strojnziej i szczegółowiej jest wszystko opowiedziane.

Kiedy minęły dni kwarantany, ukłękły znowu wielbłądy przed wędrowcami naszymi i podniosły się z nimi, „wyciągając długie, węzom podobne szyje, ku grobowcowi Chrystusowemu.“ Wjęchali na ziemię kłasyzną Palestyny. Bardzo krótko bawili w miastach leżących im po drodze, Gazie i Jafie. Bez wytchnienia dążąc ku Jeruzalem, stanęli wreszcie u bram miasta d. 13 stycznia (1837) o godzinie 9 wieczór.

... „Zastaliśmy bramy miasta zamknięte: cisza grobowa, księżyc, szczerkanie psów odpowiadające na nasz stuk do bramy — niepewność, czy firmany nasze otrzymają nam wejście, czy trzeba będzie na polu nocować — jakieś wspomnienia krzyżackie... wszystko to pańiętnym mi uczyniło przyjazd do Jeruzalem. Nareszcie po dwóch godzinach otwierają się bramy, zajeżdżam do klasztoru. Szpitznagel*)

*) Alexander Spitznagel, wicekonsul w Jafie, przyjaciel uniwersytecki Słowackiego i zapewne brat Ludwika, bawił wtedy właśnie przypadkiem w Jeruzolimie, o чём nasz poeta dowiedział się po drodze.

słysząc głos cudzoziemców, schodzi na dół; biorę go za ramiona, obracam ku sobie, mówię mu: Oleś! — Nie poznaje mnie... Pytam go po kilka razy: jakto? czy mnie nie znasz?... Odpowiada mi po trzykroć: Niech Pan daruje, ale prawdziwie nie przypominam sobie...! Nakoniec musiałem ze ściśnioném sercem wymówić moje imię i nazwisko... Jeżeli przykrą mi była ta chwila, to jeszcze przykrzejsze pożegnanie jego nazajutrz, bo go ani na pół dnia zatrzymać nie mogłem... Przyszedł do mnie i wzięwszy za rękę, powiedział: do zobaczenia. Oddawszy mu uściśnienie, z dosyć gorzkim uśmiechem odpowiedziałem, że jeżeli wyjeżdża, to już zapewne nie do zobaczenia żegnać się trzeba... Cały ten dzień było mi smutno. — Z dnia 14 na 15 miałem przepędzić noc u grobu Chrystusa... na wspomnienie téj nocy tak miałem rozigrane nerwy, że łzy rzucały mi się z oczu. Noc u grobu Chrystusa przepędzona zostawiła mi mocne wrażenie na zawsze. O godzinie 7 wieczór zamknięto kościół, zostałem sam, i rzuciłem się z wielkim płaczem na kamień grobu. Nade mną płonęło 43 lamp, miałem biblią, którą czytałem do 11 w nocy; o pół do dwunastej weszła do grobu młoda kobieta i mężczyzna, jak sądziłem, małżonkowie, którzy musieli mieszkać w klasztorze i zrobili wotum odmawiać co dzień pacierz w nocy na grobie. Jakoż oboje pomodlili się krótko, pocałowali ów kamień, a potem przyszedłszy do mnie oboje, pocałowali mnie w rękę. Tak byłem zmieszany, że nie wiedziałem, jak się znaleźć. Wyszli — zostałem sam. — O północy dzwon drewniany obudził w kościele księży greckich. Różne wiary, każda mająca swoją mniejszą lub większą zagrodę w tym gmachu, budzić się zaczęły na głos tego dzwonu. Grecka bogata kaplica oświeciła się lampami, na górze ormiański kościółek zapalił także świece i zaczął swoje śpiewy. Kopt mający małą drewnianą klatkę, przyczepioną do katafalku pokrywającego grób święty, także (jak widziałem przez szczeliny) zaczął w swojej altanie dmuchać na żar i gotować samotne kadzidło. Katolicy także w dalekiej kaplicy zaczęli śpiewać jutrznię, słowem, po północy ludzie obudzili się, jak ptaszki w gzymsach jednej budowli budzą się, świergocąc każdy po swojemu o wschodzie słońca... Grecy na grobie odprawiali mszę, potem Ormianie; o drugiej zaś w nocy, ksiądz rodak wyszedł ze mszą w imieniu mojej ojczyzny, a ja klęcząc na tém miejscu, gdzie anioł biały powiedział Magdalenie: „Nie ma go tu, z martwych wstał“, słuchałem całej mszy z głębokim uczuciem. O

trzeciej w nocy znużony poszedłem do klasztoru, i spałem snem dziecka, które się zmęczy łzami.“ (Z listu jak wyżej).

Zwiedzał potem wszystkie ważniejsze punkta Palestyny, wspomniane w piśmie św. Odbywał pielgrzymkę tę konno. Był u morza Martwego, w Betleem, w wiosce Jerycho, na Jozefata do linie, w Nazaret i w Tyberyadzie, ciężko nawiedzonej nieszczęściem na kilka tygodni przedtém. W skutek trzęsienia ziemi w mieście tém nie zostało ani jednego domu całego i 500 ludzi zginęło pod ruinami. Oglądał jezioro genezaretańskie i rozpamiętywał sceny biblijne, przywiązane do tego miejsca. Cała ta ziemia palestyńska wydawała mu się dziwnie uroczą, pełną najpiękniejszych kwiatów, podobna do różnobarwnego kobierca. „Góry tylko, na których stoi Jerozolima, dzikie, niepłodne, nadają temu miastu straszliwą fizyonomią, i okropną jest dolina Jozefata“...

Wyjehawszy z Tyberyady, w pięć dni stanął w Damaszk, który choć położony w bardzo pięknej okolicy, mało go zajął i przypominał mu Kairo. Potém przebył śnieżny Antylibanon i znalazł się między ruinami Balbeku (dawnego Heliopolis). Niewypowiedzianie ruiny te go zachwyciły. Przypominał sobie, że kiedyś, kiedy jeszcze był dzieckiem, leżało w domu rodziców jego na fortepianie dzieło wielkie z ogromnymi sztychami, o ruinach Balbeku i Palmiry, które on nieraz wtedy przeglądał.

„Stojąc między kolumnami rzeczywistemi teraz, przypomniałem sobie te chwile dzieciństwa, i serce moje było pełne smutku.“

Stamtąd przejechał konno także Libanon, równie zasypany śniegiem, jak Antylibanon, i zjechał do krainy, w której zastał najpiękniejszą wiosnę.

„Jedne drzewa wcale nie straciły zieloności, drugie się w nią teraz ubierają. Migdały pruszą kwiatem, słońce pyszne, słowem jestto prawdziwie ziemia obiecana! Nie wyruszę z niej, aż za dwa miesiące. Nie pojadę do Konstantynopola, bo mię to miasto niewiele interesuje; wolę jeszcze poznać się z Libanem i z chrześcijańskim ludem Maronitów“...

To było pisane d. 19 lutego 1837 w Bajrucie. Krainą, o której mówi, była nadbrzeżna, wzdłuż morza Śródziemnego ciągnąca się część Syrii, która niegdyś stanowiła kraik starożytnych

Fenicyan. W kilka dni potém, w Bajrucie, nastąpiło rozłączenie się obydwóch towarzyszków podróży. Zenon puścił się łądem do Europy i poprowadził na Konstantynopol konie arabskie, które po drodze kupił. Poeta pozostał w Syryi. Wrócił sam jeden w góry libańskie i zamknął się tam na 45 dni w jednym klasztorze, zwanym w języku syryjskim Spoczynek umarłych (Belcheshban). Oto, co o nim pisał w kilka miesięcy po wyjściu już z téj pustelni:

„Miejsce prawdziwie bezludne, klasztor zbudowany na skale, dobrzy księża ormiańscy, piękne kwiaty rozwijające się wiosną na górach, rozległy widok na morze z mojej celi—wszystko to miłe mi zostawiło wspomnienie. Na dowód, jak pozyskałem przyjaźń księży, opiszę wam tylko mój wyjazd. Dobrzy ojcowie zasmuceni, że ich porzucam, dali mi wszelkie prowizye na drogę i wino; lecz kiedy przyszło osła dźwigającego łądować, pokazało się, że ogromnego butla wina udźwignąć nie mógł. Radosny byłem z tego zdarzenia, bo myślałem, że się zdołam wymówić od przyjęcia podarunku; lecz niestety! księża wysłali za mną człowieka, który na żyłastych ramionach przyniósł za mną, trop w trop lecąc, butel aż do Bajrutu. Gdybym miał jaki mój własny domek w Europie, schowałbym ten doskonały trunek, aż się kiedyś zjedziemy; lecz ponieważ niepodobna mi jest włożyć się z nim po świecie, więc go pijam, czyli raczej co niedzieli częstuję nim sześciu ojców Kapucynów, którzy na jednym ze mną okręcie wracają z ziemi świętej, i tym sposobem zyskuję sobie u nich wielkie poważanie i (ponieważ to są Hiszpanie) tytuł Don do mego imienia.—Ale wróćmy do klasztoru libańskiego. Przepędzałem dnie całe na dumaniu; wieczór szedłem do małego źródła, gdzie dziewczęta wiejskie przychodziły czerpać wodę, i rozmawiałem z niemi po arabsku, a trzeba wiedzieć, że cały mój arabszczyzny zasób składa się ze 200 wokabul bez spójników i przypadkowych zakończeń. Nieraz matrony syryjskie dawały mi rękę, abym je brał za puls, myśląc że jestem doktorem; każdy bowiem Europejczyk na Wschodzie uważany jest za doktora. To mnie dziwnie bawiło.“

„Choć życie moje w klasztorze przez 45 dni było dosyć niezabawne, wyjeżdżając z niego uczułem dziwną tęsknotę. Ja miałem przed sobą podróż i włóczęgę — ci spokojni zostawali w swoich celach... dziwnie zazdrościłem im jednostajności życia! Nie zapomnę nigdy wrażenia, jakie uczy-

niło na mnie ostatniego ranka, kiedym się obudził, stuknięcie do drzwi, które rozbudzało śpiących po celach zakonników. Tak było tego poranku, tak miało być jutro, tak zawsze dla nich — a ja wyjeżdżałem do Bajrutu, gdzie miałem wsiąść na okręt i ruszać do Europy, gdzie nikt mnie nie czeka, gdzie się ja niczego nie spodziewam... Siadłem na koń; przewodnicy i muły z rzeczami szli za mną, potem człowiek z butlem na plecach — i cała krotkość takiego orszaku rozweselić mnie nie mogła. Obejrzałem się, byłem na dole, klasztor rysował się na niebie, a na dachu klasztornym płaskim stały małe czarne figurki. Byli to księża, którzy mnie oczyma przeprowadzali. — Dzień Wielkiej Nocy przepędziłem w tym klasztorze, i przyjechał umyślnie ksiądz Jezuita, ofiarując mi się na spowiednika. Zrazu nie chciałem tego uczynić; lecz jego przyjacielskie nalegania sprawiły, że wypowiadałem mu się ze wszystkich grzechów mego życia. Ale kiedy w szarej godzinie poranku uklęknąłem przed nim, chcąc wymówić pierwsze słowo: rozplakałem się jak dziecko, tak mi to przypominało dawne lata, dawną niewinność — wszystko, od czego mnie potem długie lata oddzieliły... Po skończonej spowiedzi ksiądz wstał, uderzył mnie po ramieniu i rzekł: idź w pokój! wiara twoja zbawiła ciebie.“ (Z listu pisanego na morzu, d. 14 czerwca 1837).

Przeszło 6 tygodniowy ten pobyt Słowackiego w klasztorze Belcheshban przypada na miesiąc marzec (1837) i na skrajne tygodnie obu przyległych miesięcy. Czas ten nie był spędzony na samém tylko „dumanin“, jakby wnosić można z ustępu powyżej przywiedzionego. W dalszej osnowie tegoż listu znajdują się te jeszcze słowa:

„Na górze Libanu pracowałem trochę, i owoc moich marzeń także ze mną wędruje. Myślałem nawet zamknąć go w butelkę, aby na przypadek rozbicia (okrętu) można go rzucić w morze i tak coś po sobie ocalić. Ale potem mnie jakaś religijna wzięta filozofia, i myśląc o marności rzeczy światowych pomyślałem, że jeśli mnie weźmie, to niech i wszystko moje bierze Neptun“...

Nie powiada poeta, co pisał w owym klasztorze. Mnie się zdaje, że mogła to tylko być albo powieść o Ojcu Zadżumionych w El-Arish, albo też Podróż na Wschód, poemat w sposobie Byrona Childe-Harold, zamieszczony w zbiorze po-

Fenicyan. W kilka dni potém, w Bajrucie, nastąpiło rozłączenie się obydwóch towarzyszków podróży. Zenon puścił się łądem do Europy i poprowadził na Konstantynopol konie arabakie, które po drodze kupił. Poeta pozostał w Syryi. Wrócił sam jeden w góry libańskie i zamknął się tam na 45 dni w jednym klasztorze, zwanym w języku syryjskim Spoczynek umarłych (Belcheshban). Oto, co o nim pisał w kilka miesięcy po wyjściu już z téj pustelni:

„Miejsce prawdziwie bezludne, klasztor zbudowany na skale, dobrzy księża ormiańscy, piękne kwiaty rozwijające się wiosną na górach, rozległy widok na morze z mojej celi—wszystko to miłe mi zostawiło wspomnienie. Na dowód, jak pozyskałem przyjaźń księży, opiszę wam tylko mój wyjazd. Dobrzy ojcowie zasmuceni, że ich porzucam, dali mi wszelkie prowizye na drogę i wino; lecz kiedy przyszło osła dźwigającego łądować, pokazało się, że ogromnego butla wina udźwignąć nie mógł. Radosny byłem z tego zdarzenia, bo myślałem, że się zdołam wymówić od przyjęcia podarunku; lecz niestety! księża wysłali za mną człowieka, który na żyłastych ramionach przyniósł za mną, trop w trop lecąc, butel aż do Bajrutu. Gdybym miał jaki mój własny domek w Europie, schowałbym ten doskonały trunek, aż się kiedyś zjedziemy; lecz ponieważ niepodobna mi jest włożyć się z nim po świecie, więc go pijam, czyli raczej co niedzieli częstuję nim sześciu ojców Kapucynów, którzy na jednym ze mną okręcie wracają z ziemi świętej, i tym sposobem zyskuję sobie u nich wielkie poważanie i (ponieważ to są Hiszpanie) tytuł Don do mego imienia.—Ale wróćmy do klasztoru libańskiego. Przepędzałem dnie całe na dumaniu; wieczór szedłem do małego źródła, gdzie dziewczęta wiejskie przychodziły czerpać wodę, i rozmawiałem z niemi po arabsku, a trzeba wiedzieć, że cały mój arabszczyzny zasób składa się ze 200 wokabul bez spójników i przypadkowych zakończeń. Nieraz matrony syryjskie dawały mi rękę, abym je brał za puls, myśląc że jestem doktorem; każdy bowiem Europejczyk na Wschodzie uważany jest za doktora. To mnie dziwnie bawiło.“

„Choć życie moje w klasztorze przez 45 dni było dosyć niezabawne, wyjeżdżając z niego uczułem dziwną tęsknotę. Ja miałem przed sobą podróż i włóczęgę — ci spokojni zostawali w swoich celach... dziwnie zazdrościłem im jednostajności życia! Nie zapomnę nigdy wrażenia, jakie uczy-

niło na mnie ostatniego ranka, kiedym się obudził, stuknięcie do drzwi, które rozbudzało śpiących po celach zakonników. Tak było tego poranku, tak miało być jutro, tak zawsze dla nich — a ja wyjeżdżałem do Bajrutu, gdzie miałem wsiąść na okręt i ruszać do Europy, gdzie nikt mnie nie czeka, gdzie się ja niczego nie spodziewam... Siadłem na koń; przewodnicy i muły z rzeczami szli za mną, potem człowiek z butlem na plecach — i cała krotkochwilność takiego orszaku rozweselić mnie nie mogła. Obejrzałem się, byłem na dole, klasztor rysował się na niebie, a na dachu klasztornym płaskim stały małe czarne figurki. Byli to księża, którzy mnie oczyma przeprowadzali. — Dzień Wielkiej Nocy przepędziłem w tym klasztorze, i przyjechał umyślnie ksiądz Jezuita, ofiarując mi się na spowiednika. Zrazu nie chciałem tego uczynić; lecz jego przyjacielskie nalegania sprawiły, że wyspowiadałem mu się ze wszystkich grzechów mego życia. Ale kiedy w szarej godzinie poranku uklęknąłem przed nim, chcąc wymówić pierwsze słowo: rozplakałem się jak dziecko, tak mi to przypominało dawne lata, dawną niewinność — wszystko, od czego mnie potem długie lata oddzieliły... Po skończonej spowiedzi ksiądz wstał, uderzył mnie po ramieniu i rzekł: idź w pokój! wiara twoja zbawiła ciebie.“ (Z listu pisanego na morzu, d. 14 czerwca 1837).

Przeszło 6 tygodniowy ten pobyt Słowackiego w klasztorze Belcheshban przypada na miesiąc marzec (1837) i na skrajne tygodnie obu przyległych miesięcy. Czas ten nie był spędzony na samém tylko „dumaniu,“ jakby wnosić można z ustępu powyższej przywiedzonego. W dalszej osnowie tegoż listu znajdują się te jeszcze słowa:

„Na górze Libanu pracowałem trochę, i owoc moich marzeń także ze mną wędruje. Myślałem nawet zamknąć go w butelce, aby na przypadek rozbicia (okrętu) można go rzucić w morze i tak coś po sobie ocalić. Ale potem mnie jakaś religijna wzięła filozofia, i myśląc o marności rzeczy światowych pomyślałem, że jeśli mnie weźmie, to niech i wszystko moje bierze Neptun“...

Nie powiada poeta, co pisał w owym klasztorze. Mnie się zdaje, że mogła to tylko być albo powieść o Ojcu Zadżumionych w El-Arish, albo też Podróż na Wschód, poemat w sposobie Byrona Childe-Harold, zamieszczony w zbiorze po-

Fenicjan. W kilka dni potém, w Bajrucie, nastąpiło rozłączenie się obydwóch towarzyszków podróży. Zenon puścił się łądem do Europy i poprowadził na Konstantynopol konie arabskie, które po drodze kupił. Poeta pozostał w Syrii. Wrócił sam jeden w góry libańskie i zamknął się tam na 45 dni w jednym klasztorze, zwanym w języku syryjskim Spoczynek umarłych (Belcheshban). Oto, co o nim pisał w kilka miesięcy po wyjściu już z téj pustelni:

„Miejace prawdziwie bezludne, klasztor zbudowany na skale, dobrzy księża ormiańscy, piękne kwiaty rozwijające się wiosną na górach, rozległy widok na morze z mojej celi—wszystko to miłe mi zostawiło wspomnienie. Na dowód, jak pozyskałem przyjaźń księży, opiszę wam tylko mój wyjazd. Dobrzy ojcowie zasmuceni, że ich porzucam, dali mi wszelkie prowizye na drogę i wino; lecz kiedy przyszło osła dźwigającego łądować, pokazało się, że ogromnego butla wina udźwignąć nie mógł. Radosny byłem z tego zdarzenia, bo myślałem, że się zdołam wymówić od przyjęcia podarunku; lecz niestety! księża wysłali za mną człowieka, który na żyłastych ramionach przyniósł za mną, trop w trop lecąc, butel aż do Bajrutu. Gdybym miał jaki mój własny domek w Europie, schowałbym ten doskonały trunek, aż się kiedyś zjedziemy; lecz ponieważ niepodobna mi jest włóczyć się z nim po świecie, więc go pijam, czyli raczej co niedzieli częstuję nim sześciu ojców Kapucynów, którzy na jednym ze mną okręcie wracają z ziemi świętej, i tym sposobem zyskuję sobie u nich wielkie poważanie i (ponieważ to są Hiszpanie) tytuł Don do mego imienia.—Ale wróćmy do klasztoru libańskiego. Przepędzałem dnie całe na dumaniu; wieczór szedłem do małego źródła, gdzie dziewczęta wiejskie przychodziły czerpać wodę, i rozmawiałem z niemi po arabsku, a trzeba wiedzieć, że cały mój arabszczyzny zasób składa się ze 200 wokabul bez spójników i przypadkowych zakończeń. Nieraz matrony syryjskie dawały mi rękę, abym je brał za puls, myśląc że jestem doktorem; każdy bowiem Europejczyk na Wschodzie uważany jest za doktora. To mnie dziwnie bawiło.“

„Choć życie moje w klasztorze przez 45 dni było dosyć niezabawne, wyjeżdżając z niego uczułem dziwną tęsknotę. Ja miałem przed sobą podróż i włóczęgę — ci spokojni zostawali w swoich celach... dziwnie zazdrościłem im jednostajności życia! Nie zapomnę nigdy wrażenia, jakie uczy-

niło na mnie ostatniego ranka, kiedym się obudził, stuknięcie do drzwi, które rozbudzało śpiących po celach zakonników. Tak było tego poranku, tak miało być jutro, tak zawsze dla nich — a ja wyjeżdżałem do Bajrutu, gdzie miałem wsiąść na okręt i ruszać do Europy, gdzie nikt mnie nie czeka, gdzie się ja niczego nie spodziewam... Siadłem na koni; przewodnicy i muły z rzeczami szli za mną, potem człowiek z butlem na plecach — i cała krotkość takiego orszaku rozweselić mnie nie mogła. Obejrzałem się, byłem na dole, klasztor rysował się na niebie, a na dachu klasztornym płaskim stały małe czarne figurki. Byli to księża, którzy mnie oczyma przeprowadzali. — Dzień Wielkiej Nocy przepędziłem w tym klasztorze, i przyjechał umyślnie ksiądz Jezuita, ofiarując mi się na spowiednika. Zrazu nie chciałem tego uczynić; lecz jego przyjacielskie nalegania sprawiły, że wyspowiadałem mu się ze wszystkich grzechów mego życia. Ale kiedy w szarej godzinie poranku ukleknąłem przed nim, chcąc wymówić pierwsze słowo: rozplakałem się jak dziecko, tak mi to przypominało dawne lata, dawną niewinność — wszystko, od czego mnie potem długie lata oddzieliły... Po skończonej spowiedzi ksiądz wstał, uderzył mnie po ramieniu i rzekł: idź w pokój! wiara twoja zbawiła ciebie.“ (Z listu pisanego na morzu, d. 14 czerwca 1837).

Przeszło 6tygodniowy ten pobyt Słowackiego w klasztorze Belcheshban przypada na miesiąc marzec (1837) i na skrajne tygodnie obu przyległych miesięcy. Czas ten nie był spędzony na samém tylko „dumaniu,“ jakby wnosić można z ustępu powyżej przywiedzonego. W dalszej osnowie tegoż listu znajdują się te jeszcze słowa:

„Na górze Libanu pracowałem trochę, i owoc moich marzeń także ze mną wędruje. Myślałem nawet zamknąć go w butelce, aby na przypadek rozbicia (okrętu) można go rzucić w morze i tak coś po sobie ocalić. Ale potem mnie jakaś religijna wzięła filozofia, i myśląc o marności rzeczy światowych pomyślałem, że jeśli mnie weźmie, to niech i wszystko moje bierze Neptun“...

Nie powiada poeta, co pisał w owym klasztorze. Mnie się zdaje, że mogła to tylko być albo powieść o Ojcu Zadżumionych w El-Arish, albo też Podróż na Wschód, poemat w sposobie Byrona Childe-Harold, zamieszczony w zbiorze po-

Fenicyan. W kilka dni potem, w Bajrucie, nastąpiło rozłączenie się obydwóch towarzyszków podróży. Zenon puścił się ładem do Europy i poprowadził na Konstantynopol konie arabskie, które po drodze kupił. Poeta pozostał w Syrii. Wrócił sam jeden w góry libańskie i zamknął się tam na 45 dni w jednym klasztorze, zwanym w języku syryjskim Spoczynek umarłych (Belcheshban). Oto, co o nim pisał w kilka miesięcy po wyjściu już z téj pustelni:

„Miejsce prawdziwie bezludne, klasztor zbudowany na skale, dobrzy księża ormiańscy, piękne kwiaty rozwijające się wiosną na górach, rozległy widok na morze z mojej celi—wszystko to miłe mi zostawiło wspomnienie. Na dowód, jak pozyskałem przyjaźń księży, opiszę wam tylko mój wyjazd. Dobrzy ojcowie zasmuceni, że ich porzucam, dali mi wszelkie provizye na drogę i wino; lecz kiedy przyszło osła dźwigającego ładować, pokazało się, że ogromnego butla wina udźwignąć nie mógł. Radosny byłem z tego zdarzenia, bo myślałem, że się zdołam wymówić od przyjęcia podarunku; lecz niestety! księża wysłali za mną człowieka, który na żyłastych ramionach przyniósł za mną, trop w trop lecąc, butel aż do Bajrutu. Gdybym miał jaki mój własny domek w Europie, schowałbym ten doskonały trunek, aż się kiedyś zjemy; lecz ponieważ niepodobna mi jest włożyć się z nim po świecie, więc go pijam, czyli raczej co niedzieli częstuję nim sześciu ojców Kapucynów, którzy na jednym ze mną okręcie wracają z ziemi świętej, i tym sposobem zyskuję sobie u nich wielkie poważanie i (ponieważ to są Hiszpanie) tytuł Don do mego imienia.—Ale wróćmy do klasztoru libańskiego. Przepędzałem dnie całe na dumanii; wieczór szedłem do małego źródła, gdzie dziewczęta wiejskie przychodziły czerpać wodę, i rozmawiałem z niemi po arabsku, a trzeba wiedzieć, że cały mój arabszczyzny zasób składa się ze 200 wokabul bez spójników i przypadkowych zakończeń. Nieraz matrony syryjskie dawały mi rękę, abym je brał za puls, myśląc że jestem doktorem; każdy bowiem Europejczyk na Wschodzie uważany jest za doktora. To mnie dziwnie bawiło.“

„Choć życie moje w klasztorze przez 45 dni było dosyć niezabawne, wyjeżdżając z niego uczułem dziwną tęsknotę. Ja miałem przed sobą podróż i włóczęgę — ci spokojni zostawali w swoich celach... dziwnie zazdrościłem im jedynostajności życia! Nie zapomnę nigdy wrażenia, jakie uczy-

niło na mnie ostatniego ranka, kiedym się obudził, stuknięcie do drzwi, które rozbudzało śpiących po celach zakonników. Tak było tego poranku, tak miało być jutro, tak zawsze dla nich — a ja wyjeżdżałem do Bajrutu, gdzie miałem wsiąść na okręt i ruszać do Europy, gdzie nikt mnie nie czeka, gdzie się ja niczego nie spodziewam... Siadłem na koń; przewodnicy i muły z rzeczami szli za mną, potem człowiek z butlem na plecach — i cała krotkochwilność takiego orszaku rozweselić mnie nie mogła. Obejrzałem się, byłem na dole, klasztor rysował się na niebie, a na dachu klasztornym płaskim stały małe czarne figurki. Byli to księża, którzy mnie oczyma przeprowadzali. — Dzień Wielkiej Nocy przepędziłem w tym klasztorze, i przyjechał umyślnie ksiądz Jezuita, ofiarując mi się na spowiednika. Zrazu nie chciałem tego uczynić; lecz jego przyjacielskie nalegania sprawiły, że wyspowałem mu się ze wszystkich grzechów mego życia. Ale kiedy w szarej godzinie poranku uklęknąłem przed nim, chcąc wymówić pierwsze słowo: rozplakałem się jak dziecko, tak mi to przypominało dawne lata, dawną niewinność — wszystko, od czego mnie potem długie lata oddzieliły... Po skończonej spowiedzi ksiądz wstał, uderzył mnie po ramieniu i rzekł: idź w pokój! wiara twoja zbawiła ciebie.“ (Z listu pisanego na morzu, d. 14 czerwca 1837).

Przeszło 6tygodniowy ten pobyt Słowackiego w klasztorze Belcheshban przypada na miesiąc marzec (1837) i na skrajne tygodnie obu przyległych miesięcy. Czas ten nie był spędzony na samém tylko „dumaniu,” jakby wnosić można z ustępu powyżej przywiedzionego. W dalszej osnowie tegoż listu znajdują się te jeszcze słowa:

„Na górze Libanu pracowałem trochę, i owoc moich marzeń także ze mną wędruje. Myślałem nawet zamknąć go w butelkę, aby na przypadek rozbicia (okrętu) można go rzucić w morze i tak coś po sobie ocalić. Ale potem mnie jakaś religijna wzięła filozofia, i myśląc o marności rzeczy światowych pomyślałem, że jeśli mnie weźmie, to niech i wszystko moje bierze Neptun“...

Nie powiada poeta, co pisał w owym klasztorze. Mnie się zdaje, że mogła to tylko być albo powieść o Ojcu Zadżumionych w El-Arish, albo też Podróż na Wschód, poemat w sposobie Byrona Childe-Harold, zamieszczony w zbiorze po-

śmiertnym. Kiedy jednakże rozważam cały nastrój wpierw wymienionej powieści, nastrój nader smętny i poetyczny, i porównam z nim ówczesne usposobienie poety, dumającego tak samotnie w ormiańskim owym klasztorze: to mi się zdaje, jakoby daleko było prawdopodobniejszym przypuszczenie, że owato powieść wtedy powstała, aniżeli żeby tam miał być Juliusz nad „Podróżą” pracować. Ton tego poematu jest zbyt już wolny, szyderczy i niepoważny, by to miał być owoc i zarazem odbłask tej religijnej kontemplacji autora, w jakiej go tam widzieliśmy. Daleko właściwszą jest rzeczą odnosić Podróż do czasu spędzonego później we Włoszech, a mianowicie w Florencyi.

Jakoś dnia 6 albo 7 kwietnia, pożegnał się Juliusz z zakonnikami Libanu i powrócił do portowego miasta Bajrutu. Nie znalazł w porcie, jak się był spodziewał, żadnego okrętu odpłynąć mającego do Europy, i długo musiał czekać na okręt. Z tej przyczyny w Bajrucie przepędził z jakie 40 dni w hotelu. Pierwsze dni takiego tam siedzenia były dla niego nieznośne, mimo uczynności konsula, który mu książek do czytania pożyczał i nieraz go z uprzejmą gościnnością do domu swego zapraszał. Nakoniec jednak zdarzył los, że przyjechał tam z Jerozolimy starszy Hołyński, brat Alexandra, przyjaciela poety. Znajomość Słowackiego z starszym Hołyńskim była dotąd tak mało znacząca i przelotna, że zaledwie się mogła uważać za znajomość. Widzieli się tylko raz jedyny wtedy nad Nilem, kiedy to wspólnie wszyscy oglądali ruiny świątyni w Denderze.

„Nie znałem go i myślałem, że w towarzystwie jego nie znajdę przyjemności; ale przeciwnie, on sam pierwszy zbliżył się i związał się ze mną. Całe dni potem przepędzaliśmy razem chodząc na spacer, rzucając spojrzenie ukradkiem na zakryte wschodnie piękności. Ulubionem miejscem naszym był cmentarz w Bajrucie, gdzie co wieczora siadaliśmy razem na marmurowym turbanie, patrząc na morze i słuchając płaczu tureckich kobiet, które na grobowcach znajomych rozścielały bukiety kwiatów, niezmordowane w oddawaniu czci zmarłym, wierniejsze niż nasze kobiety wspomnieniom. Marzyłem kiedyś będąc dzieckiem o takich cmentarzach, o takich cyprysach, jakie teraz widziałem na oczy... Słowem dobrze nam było, i mnie dobrze, bo znalazłem w nim przyjaciela. Kiedy miałem wy-

jeżdżać, Hołyński myśląc, że może moja kiesa wypróżniła się, różnymi sposobami starał się wszcząć dyskurs o pieniądzach. Nareszcie jednego wieczora zaczął mówić — zająknął się i przestał; ścisnąłem go za rękę, kończąc sam zaczęta przez niego frazę. Dobry chłopiec, rzucił mi się na szyję i rozplakał się rzewnie łzami, usiłując koniecznie, abym wziął u niego 2000 fr. Z największą trudnością wymówiłem się od tego i musiałem go przekonać, że mam pieniądze wystarczające mi na powrót do Europy... Ale łez tych nigdy nie zapomnę, i Ty go, droga moja, za to wiem że kochać będziesz. Ostatnie dni spędziliśmy razem. W wigilią mego wyjazdu razem byliśmy na balu u mego konsula. Ładna to, jak na Bajrut, była feta: fajerwerki, balon puszczony, dziedziniec zamieniony w salę do tańca, kilka kobiet wschodnich w arabskich ubiorach, żony konsułów itd. Tańczowano przy pozytywku; bo fortepiany choć są, lecz aby je nastroić, do Europy instrument posyłać potrzeba. — Muszę Ci tu także napisać, że mi rodacy moi zrobili reputacją poety; więc wszyscy ubiegali się, abym z nimi gadał, i od czasu Lamartina naznaczyli mój pobyt pierwszą kreską. Dosyć mi to było miło, zwłaszcza że po tym balu nazajutrz miałem wsiąść na okręt i puścić się w daleką podróż. Była więc w tém jakaś poetyczność, której wyrazić nie potrafię. (Z listu, jak wyżej).

Nazajutrz po tym balu rozstali się nasi przyjaciele ze sobą i z Bajrutem. Słowacki wsiadł na okręt i pożeglował do Cypru, a Hołyński, który nie chciał już w tém mieście zostać potem ani godziny bez niego i dlatego też już pierwój był rzeczy swoje wyprawił naprzód, dosiadł konia i ruszył w góry libańskie do cedrów Salomona. Było to jakoś w pierwszej połowie maja.

W dobry miesiąc potem znajdował się nasz wędrowiec na morzu już gdzieś niedaleko włoskiej Liwurny, i pisał list (datowany z d. 14 i 15 czerwca), list ostatni z podróży, w którym udzielał matce spostrzeżeń swoich zebranych na pokładzie okrętu.

....„Życie moje na statku jest bardzo jednostajne. Wstaję przed wschodem słońca i obserwuję gwiazdy, w których się teraz głęboko zaciekam, pomagając często oku naszym okrętowym teleskopem. Potem widzę czerwieniące się niebo, koguty na rzeź przeznaczone pieją i głos ich dziwnie się wśród morza wydaje, przypominając spokojność życia wiejskiego; kot okrętowy wychodzi igrzać ze mną, ży-

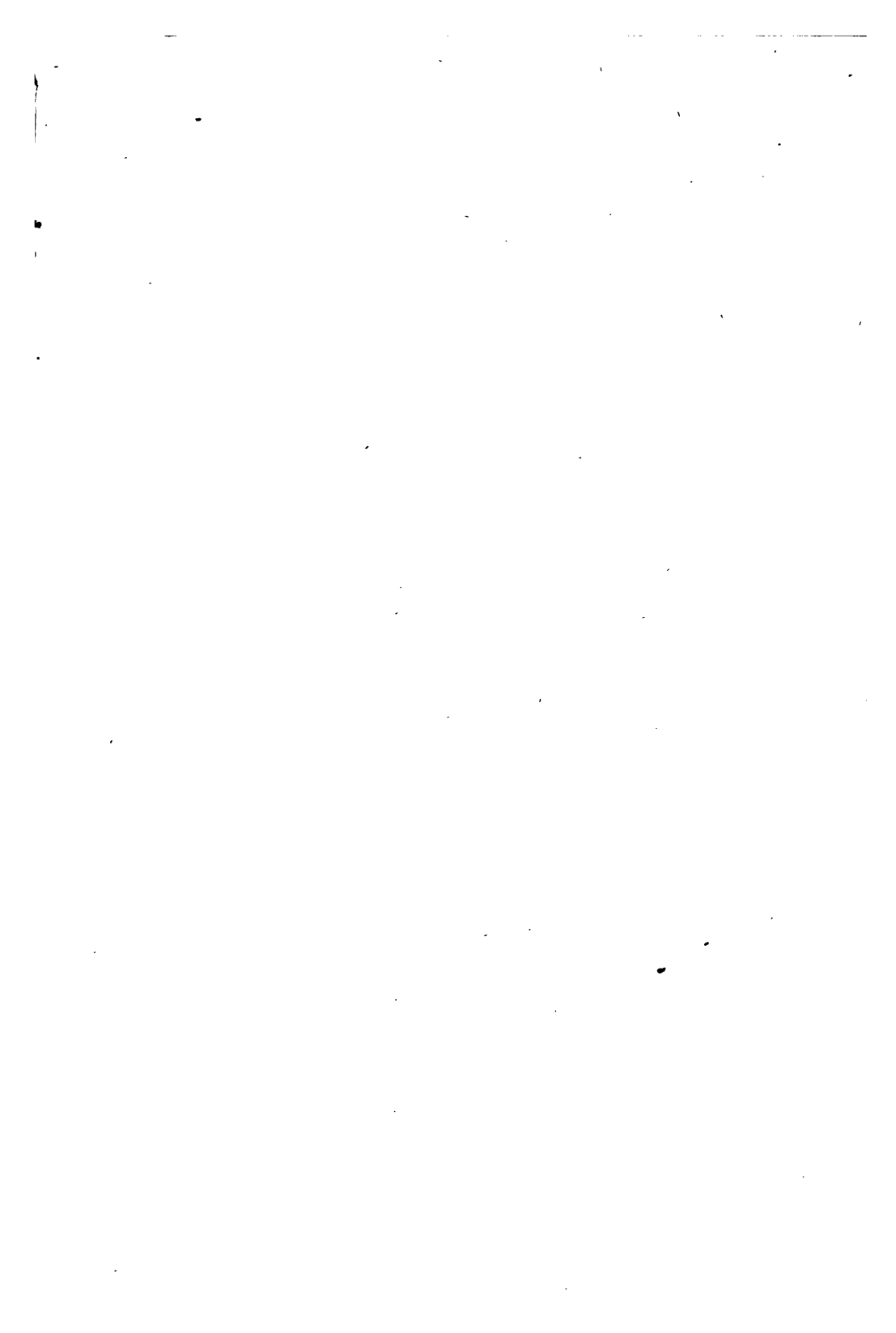
wy i wesoly o godzinie porannéj; potém wschodzi słońce, a pokład okrętowy czerni się od habitów sześciu mnichów, rzucających spokojne łże; potém kawa, ranne godziny zajęte czytaniem, marzeniami—przy obiedzie nieraz mój butel budzi wesołość... Po południu o godzinie 5 cały okręt odmawia głośno rożaniec do Najświętszej Panny, prosząc ją o wiatr dobry... i nakoniec wzywa swoją rodziną Madonnę de Monte Negro, aby się opiekowała nim i o wiatr pomyślny prosiła... Wieczera i obserwacye gwiazd wschodzących dzień mój kończą... Czasem z którym z mnichów gram w warcaby... Nakoniec piszę dziś ten list na mojej szkatułce na kolanach, siedząc na pokładzie okrętowym i ciesząc się, że po trzydniowej ciszy zawiął nam wiatr dobry i do portu Liwurny prowadzi.

...„Podróż morska miała dosyć dobry wpływ na mój charakter. Przywykłem być z kim ciągle, nie mając osobnego pokoju, gdziebym się mógł zamykać... Przywykłem do wielu niewygód, przekonałem się, że obiad bez mięsa obejść się może i że należy czasem pościć, tak jak nieraz pościliśmy z Zenonem, żyjąc przez dzień cały ryżu garsteczką, przy niedzieli tylko jedząc kury. Zdrowie moje prawdziwie cudownie mi służyło. Spałem nieraz na wilgotnej ziemi pod namiotem na wietrze, i zdrowszy teraz jestem po tém wszystkiém, niż przedtém. Słowem, uznaję nad sobą samym opiekę Boga i ufam, że ją nie tylko nade mną, ale i nad Tobą rozciągnie, bo inaczej cobym ja robił na ziemi? — Dziwném teraz będzie bardzo dla mnie przejście z życia wschodniego do zwyczajów europejskich: widzieć, że znakiem uszanowania nie jest już nakrycie głowy, a zdjęcie trzewików; że obrusa nie kładą pod stołem, ale na stole; że ludzie nie jedzą palcami, że pozdrawiając kogo nie przytykają ręki do ust i do czoła ani do serca, jak w ziemiach arabskich... Wczoraj jadłem nową potrawę, był to żółw morski, któregośmy ułowili śpiącego na wodzie. Mięso jego dobre, wonnością wydawało się trochę do łososia podobne. Prowizye nasze wystarczały nam do końca, woda się nie zepsuła, kury potłuszczały; trzy barany, długo nas swoją figurą bawiące na pokładzie okrętowym, już nie exystują; a śmierć ostatniego była oplakana rzewnymi łzami przez okrętowego chłopczyka, który się był do zwierza przywiązał jak do braciszka i ze strony barana podobne przywiązanie uzyskał, tak że baś biedny, póki żył, jak pies biegał za nim. —

... „Mam ufność, że ta podróż zupełnie bezużyteczną nie będzie. Tyle nowych obrazów tkwi teraz w mojej pamięci. Przyszłość będzie się dziwnie w mojej głowie na takim tle odbijać. Choćby tylko promień takich pięknych wspomnień miał upaść na starość moją, jeżeli dożyję starości... Kiedyś, usiadłszy z Tobą na cmentarzyku krzemienieckim, będę Ci opowiadał o grobach dawnych i wielkich ludzi, i o pomnikach starych wieków. A słuchając moich wspomnień, będziesz się tak uśmiechać, jak niegdyś słuchając marzeń moich o przyszłości“... (Z listów z dnia 14 czerwca i 19 lutego 1837).



[illegible]





JULIUSZ SŁOWACKI

JEGO ŻYCIE I DZIEŁA

W STÓŚUNKU DO WSPÓŁCZESNÉJ EPOKI.

TOM DRUGI.

1. The first part of the paper is devoted to a discussion of the

main results of the paper.

2. The second part of the paper is devoted to a discussion of the

main results of the paper.

JULIUSZ SŁOWACKI

JEGO ŻYCIE I DZIEŁA

W STÓSIUNKU DO WSPÓŁCZESNEJ EPOKI.

PRZEZ

ANTONIEGO MAŁECKIEGO.

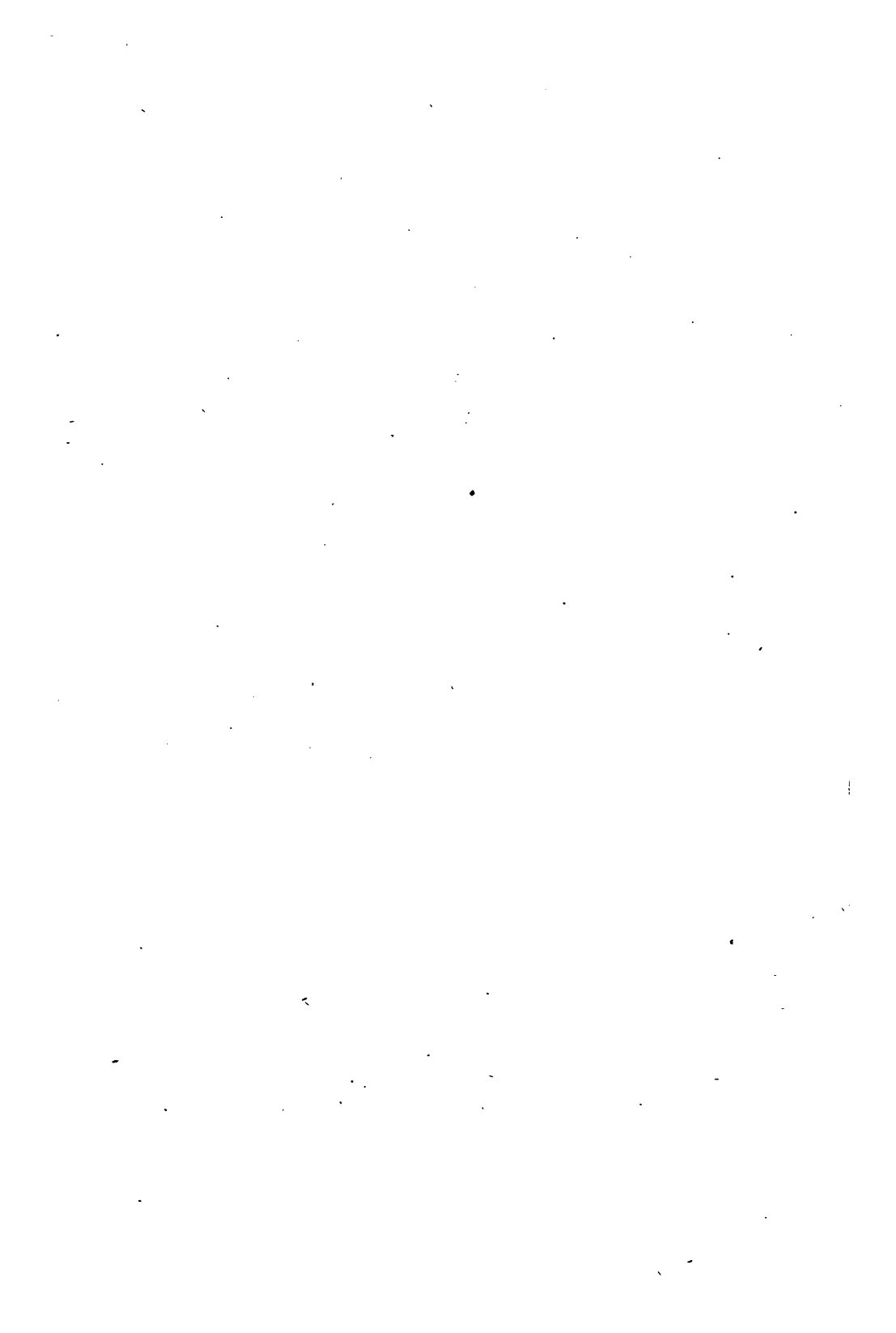
TOM DRUGI.

LWÓW.

NAKŁADEM AUTORA.

Z Drukarni Zakładu Narod. im. Ossolińskich.
Pod bezpośr. zarządem uprzyw. dzierżawcy Alex. Vogla.

1867.



ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Druga połowa roku 1837 i cały 1838. — Przybycie do Liworno. — kwarantana — smutna wiadomość z domu. — Poeta osiada we Florencyi — przywiązane do miasta tego wspomnienia Danta — towarzyskie stósunki. — Wiersz „Do Księgarza“ — Poema Piasta Dantyszka o piekle — „Podróż na Wschód.“ — Znajomość z księżną Survilliers — mania muzykalna we Włoszech. — niespodziewany epizod w życiu — p. Aniela M. — Sonety. — Zygmunt Krasiński w Florencyi — korespondencya Słowackiego z matką na czas dłuższy przerwana — wyjazd jego do Francyi. — Na kilka miesięcy przedtém druk Anhellego, jako też Poematu o Piekło. — Rozbior krytyczny Anhellego.

Dnia 17 czerwca 1837 okręt, na którym wracał Słowacki ze Wschodu, zawinął we Włoszech do portu. Był to port miasta Liworno. Stósownie do obowiązujących tam w czasie owym przepisów, podróżni przybywający ze Wschodu zmuszeni byli zaraz po wyjściu z okrętu odbywać kwarantanę. I Słowacki formalności téj przykrój poddać się musiał. Klauzura ta trwała dla niego przeszło 3 tygodnie. Dnia 11 lipca dozwolono mu przenieść się wreszcie do miasta. Wtedy kazał się zawieść do tegoż znowu hotelu, w którym nocował rokiem pierwej, kiedy spieszył z Genewy do Rzymu powitać krewnych, którzy tam na niego czekali. Dziwnym trafunkiem, dano mu teraz nawet tensam znowu pokój, który i wtedy zajmował. Chętnie dał się wprowadzić do numeru tego Słowacki. Miło mu było widzieć się przez dni kilka w kąci, którego wszystkie sprzęty odświeżały mu w pamięci tę przeszłość tyle jeszcze nie dawną, a tak zupełnie jednak różną od chwil obecnych. Przed rokiem miał przed sobą krainę, o której

pięknościach mówiła mu wyobraźnia wszystkimi urokami poezyi. Miał zobaczyć Rzym i wszystkie przepychy jego. Wiedział, że w nim oczekuje go i coś droższego jeszcze, aniżeli wszystkie przepychy świata — rodzina, przywiązana do niego. Teraz widział się opuszczonym przez wszystkich swoich — może na zawsze. Wracał z świata poezyi w stósunki znane sobie, powszednie, rzeczywiste, uregulowane aż do przesytu — pełne prozy, tęsknoty, samotności — nawet fizycznie blade i wypłowiałe w porównaniu z tém wszystkiém, z czém się pożegnał...

„Prawda to, co powiadają ludzie wschodni, że kto raz tamtego powietrza zakosztował, to jeżeli może, nazad tam znów powraca pomimo wszystkich niewygód ciągłej podróży. Tak tam dziwnie lekkie jest życie, że mi teraz Europa ciemną się wydaje. Poczerniały domy — zgęstniało powietrze — na zwierciadło marzeń ktoś chuchnął i zamglił szkło... Chciałbym jeszcze raz być na Libanie.“ (z listu z dnia 24 listopada 1837 r.).

Przez cały czas wędrówki swojej po różnych częściach świata nie miał Słowacki ani jednego listu od matki. Inaczej to być nie mogło. Matce Juliusza nie było nigdy wiadomo, gdzie syn jej bawi i jak się długo w którym miejscu zatrzyma. Odbierała listy od niego zawsze znacznie po czasie. Niektóre z nich ginęły nawet po drodze. Nie było zatem możliwości utrzymywać z nim jakąkolwiek korespondencją, dopóki by nie powrócił do Europy. Juliusz to pojmował i nie spodziewał się też, dopóki podróż trwała, żadnych wiadomości z Krzemieńca. Lecz teraz — wychodząc z kwarrantany — niecierpliwie i z bijącym sercem wyglądał chwili, która mu przyniesie owe listy, jak się spodziewał, czekające już na niego w tém włoskiem portowym mieście. Trwoga go zdejmowała na tę myśl, co w nich wyczyta. Co się tam dzieje w jego kółku rodzinném? czy matka zdrowa? czy wszyscy... Nie śmiał nawet domówić końca tego pytania. A jednak nasuwało mu się ono pomimowolnie i ciągle, jak widmo jakie, przytomne i nurtujące w głębi tajemnych jego myśli. Nadaremnie się opędywał przed ciężkiem jakimś przecuciem, które go dręczyło, ilekroć o Krzemieńcu pomyślał.

Pierwszy list, który otrzymał i który w rzeczy samej już od kilku tygodni na niego czekał, nie zawierał w sobie nic takiego, coby było mogło usprawiedliwić ową trwogę, jakiej doznawał. Donosiła mu w nim matka, że się powodzenie i zdrowie wszystkich w domu w tym samym znajduje stanie, co dawniej. W dni kilka potem doręczono Słowackiemu list drugi — i teraz dopiero nastąpiło, czego się on obawiał i co przeczuciem przewidywał przez cały czas przymusowego pobytu swego w zamknięciu kwarantany. W liście było doniesienie o nowym zgonie w gronie rodziny. Za tylu innemi drogami mu osobami, których nie miał biedny nasz tułacz nigdy już w życiu oglądać, poszedł i ojciec jego matki, patriarchy całej rodziny.

„Więc już i ten starzec w kontuszu, którego pomarszczone powieki błyszczały łzami przy moim odjeździe, nie przywita mnie wracającego! — Nasza rodzina podobna jest do żorawi, które widziałem na pustyni egipskiej. Jeden się porwał — wszystkie za nim poleciały długim szeregiem w błękit — i wkrótce jęku ich słyszać nie było.“ (Z listu z dnia 21 sierpnia 1837, pisanego z Florencyi).

— Nie mając powodu dłuższego przebywania w mieście, ważnym jako punkt handlowy, ale jak wiadomo bardzo mało posiadającym w swych murach takich warunków, któreby zająć mogły umysł artysty albo poety, po dwóch czy trzech dniach wypoczynku porzucił nasz podróżnik Liwornę i pojechał do stolicy Toskanii. Było to w połowie lipca. — Słowacki nie umiał w owym czasie zdać sobie dokładnie sprawy z tego wszystkiego, co względem siebie zamierza na przyszłość. Mianowicie nie wiedział zgoła, które miasto i któryby kraj obrać sobie za miejsce stałego odtąd pobytu. Florencyi, pod tylu najróżniejszymi względami ciekawej i zdolnej zająć każdego, kto tylko szuka duchowego pokarmu i wielkich wzorów sztuk pięknych, słynącej z cudnego położenia w najprzyjemniejszej części Włoch całych, ojczyzny tylu znakomitych pisarzy i w ogóle kolebki całej pięknej literatury włoskiej — Florencyi mówię nie znał naówczas wcale jeszcze poeta nasz. Owoż właśnie z tego powodu postanowił tam się udać i tam spędzić przynajmniej kilka najbliższych miesięcy, dopóki mu oko-

liczności nie pozwoliły powziąć ostatecznych zamiarów nadal co do swego losu na świecie. Był w owych latach we Florencyi osiadły od dość dawnego już czasu malarz Polak, nazwiskiem Zaidler, rodem także z Krzemieńca, dobry znajomy całej Słowackiego rodziny. Juliusz wiedział o jego tam bytności już przedtém i zaraz za przybyciem swoim do miasta dopytał się o niego. Przy Zaidlera pomocy wyszukał sobie mieszkanie, składające się z dwóch gustownie umeblowanych pokoi, za które płacił miesięcznie 27 franków. Było ono położone na ulicy *Via dei banchi* pod numerem 4216. Później mieszkanie to zamienił na inne — w domu własnym Zaidlera.

Życie Słowackiego we Florencyi, o ile z listów jego wnosić można, nie było połączone z tym pożytkiem i z temi przyjemnościami, z jakimi by niezawodnie było połączone nie tylko dla innych, lecz nawet i dla niego samego — wśród innych okoliczności. Serce jego było stęsknione. Piękności natury, skarby sztuki już mu nie wystarczały. Raczej przesycony on już był wrażeniami tego właśnie rodzaju, przeżywszy pod ich wyłącznym wpływem tyle już czasu samotnie. Potrzebował on teraz raczej towarzystwa ludzi, ludzi znajomych, bliskich, kochających, kochanych. Silnie niż kiedy, tęsknił do kraju i do rodziny. Przenosząc się myślą daleko, patrzył na to wszystko, co go naokół otaczało, obojętnie. Wśród przepychu rzeczy, które drugich zachwycają, często się nudził.

„O jakżebym chciał usiąść kiedy na trawie przed domkiem Teofila, wtenczas kiedy Ty matko masz przyjechać wieczorem!.. Widzieć na drodze pył przybliżającego się powozu, który mi Ciebie przywozi — potem rzucić się w Twoje objęcie — wypłakać się z wszystkich żalów na Twojem sercu — wyskarżyć się Tobie ze wszystkich zawiedzionych nadziei i uspokoić się nareszcie przed słońca zachodem, aby widzieć, jak ta złota gwiazda zachodzi nad Teofila łanami — cicha — rozpromieniona — podobna jasnemu żywotowi pocziwego człowieka... Za jeden taki spokojny wieczor, za jeden taki zachód słońca oddałbym wszystkie dni zachodnie mojego życia“...

... „Od czterech prawie lat miałem zawsze koło siebie rodzaj familii. Zawsze kilka godzin w dniu przechodziło mi z ludźmi. W podróży nawet zawsze miałem jedną różową i

uśmiechającą się twarz koło siebie. To też teraz często się sam znajdując w mojem samotném mieszkaniu, zadziwiony jestem długością cichych godzin, zwłaszcza wieczorem. Kilka listów z Genewy przyczyniło się do téj niespokojności. Tam przekonani byli, że ja wyszedłszy z kwarantany, zaraz nad jezioro Lemanu polecę. Nie widząc mię, dziwią się — płaczą — nareszcie myśląc, że mi brak pieniędzy przeszkadza, nalsali mi przed kilku dniami jakąś osobę, która chciała mi koniecznie pożyczyć na konto pani Patteg tyle franków, ilebym potrzebował. Ujęło mię to, choć nie przyjąłem pieniędzy. Teraz odbywam z sobą wielkie walki, czy jechać, czy nie, — i chciałbym mieć kogoś, coby mi tę wątpliwość rozwiązał. Nieraz mię wabi mój spokojny kominek w Genewie, moje drzewa i fijołki kwitnące w złotém zimowém słońcu. Nieraz zatrzymuje mię przypomnienie różnych nieprzyjemności, od których wyjazdem do Włoch uwolniłem się“...

... „Nie dziw się, moja droga, że ja niegdyś taki odłudek, dzisiaj się lękam samotności. Dawniej sny moje i złote nadzieje na przyszłość otaczały mię w koło — dawniej terażniejszość była dla mnie jakby tylko sienia, prowadzącą do czegoś lepszego. Teraz się to wszystko na wspak obraca. Ale na Boga, jeszcze się nie poddam zniechęceniu, i Ty droga moja, łagodnemi słowy dopomóż mi do tego“... (z listu z dnia 21 sierpnia 1837).

Długie rozmyślanie, gdzie się na dłuższy czas urządzić, czyby pozostać we Florencyi, czy też raczej powrócić znowu na brzegi genewskiego jeziora, skończyło się wreszcie na tém, że się pierwszeństwo włoskiemu miastu dostało. Przyczyniły się do tego głównie zbyt nalegliwe listy z Genewy, w których go, że tu użyję jego słów własnych, jak niewolnika naglono, aby koniecznie rzucił Florencyą i nad jezioro wracał.

„Sylka (pani Hersylia Januszewska), protektorka Eglantyny, wypchnęłaby mię gwałtem i zapakowała na statek parowy; lecz ja odpisałem tak nareszcie, że mi teraz zupełną wolę zostawiają robić, co mi się podoba. Listy między nami rzadsze są teraz. Ona już utraciła nadzieję powrotu mego, a ja nie chcę jęj ożywiać na nowo. Siedzę więc przez zimę tutaj i najmuję mieszkanie w domu Zaidlera“...

„Przepędziwszy tu zimę i popracowawszy trochę, chciałbym na wiosnę pojechać do wielkiego miasta (Paryż) — z książką pod pachą, jak student, z suknią splamioną atra-

mentem, z piórem za uchem — i znów oddać wielki ukłon
mojej królowej Sławie, jako wierny jój do śmierci błazen“...
(z listu z d. 3 października 1837).

Zamiar wystąpienia po tak długim milczeniu na nowo
w szrankach publicznych i odezwania się jako narodowy poeta —
nie teraz dopiero zajmował myśl Słowackiego. Już odsiadując
kwarantanę w Liworno rozmyślał on nad szeregiem publikacji,
które zamierzał niebawem przyprowadzić do skutku. Wiersz żar-
tobliwy „Do księgarza“, ogłoszony dopiero w zbiorze dzieł
Juliusza pozgonnych, zaczynający się od téj strofy:

Jeszcze chodzą przed oczyma
Róże, palmy, wieże, gmachy,
Kair, Teby, Tyr, Solima —
Mój Eustachy!

wiersz ten, mówię, właśnie wtedy był napisany. Zamawiał sobie
w nim wojażer nasz, przybywszy do Europy, wpół żartem a wpół
na seryo przedewszystkiém względy wydawcy pism polskich we
Francyi (Eustachego Januszkiewicza), i już naprzód snuły mu się
przed oczyma owe rozliczne kłopoty, jakich z konieczności dozna-
wać muszą pisarze, nim płody swoje do rąk publiczności oddadzą.

Lecz ty wyrwiesz mię z latargu,
Ty pomieszasz róż zapachy
Księgarskiego wonią targu,
Mój Eustachy!
Będę tobie wdzięczny za to,
Przypomnisz mi kraj i Lachy
Zniechęceniem, troską, stratą,
Mój Eustachy! itd.

Targ księgarski, zniechęcenie, troska, strata i inne tym po-
dobne rzeczy, same przez się bardzo niemiłe, miały więc dla Sło-
wackiego teraz po tak długim wypoczynku prawie powab jakiś —
urok nowości.

Nimby się jednak odnowiła z temi wszystkimi praktykami
dawna znajomość, chciał poeta nasz pierwój napisać koniecznie

coś o podróży swojej po Wschodzie. Miał to być dług, oddany najbliższej przeszłości, którą przeżył. Podobnej daniny domagała się od niego także i terażniejszość, która mu właśnie płynęła, a raczej miejscowość, w której żył. Wszystko we Florencyi przemawiało do niego wspomnieniami wielkiego wieszczą, który się w tém mieście narodził, spędził w niém znaczną część życia, a potem ujrzał się w konieczności pójść na wygnanie i tułać się daleko od niewdzięcznej ojczyzny — do saméj śmierci.

„Czasem idę do kościoła Santa Croce i stoję przed pomnikiem Danta, a posąg jego ponury, patrzący z wysoka na mnie, zdaje mi się mówić jakieś wyrazy natchnienia. Czasem idę do Galeryi i wpatruję się w Wenus Medycejską, chcąc aby piękność jéj przeszła do mojej duszy“...

...„Ulubionym moim księżycowym spacerem jest jeden bok katedralnego kościoła. Nieraz marzę sobie, że tak chodził po tych kamieniach zamyślony Dante. Wyznam Ci jednak, droga Mamo, że mi często dystrakcyą sprawiają zgrabne i ładne Florentynki. Nigdzie podobnych figurek nie widziałem i wybrałbym łatwo sto dziewczątek, w które gdyby mi Bóg tylko pozwolił włożyć duszę podług mego upodobania, to w każdej ze stu mógłbym się dziś zakochać szalenie. Takie, jak są, przyciągają oczy, ale nie serce“... (z d. 21 sierpnia 1837).

Pod wpływem takich więc wrażeń — doznając z powodu samego miejsca to roztargnienia, to inspiracyi — pracował Słowacki we Florencyi nad dwoma utworami.

Jeden z nich był mniej rozległego zakresu i został wykonany w całości: Poema Piasta Dantyszka herbu Leliwa, o Piekło. Pomysł do niego zawdzięczał autor niewątpliwie miejscu, gdzie bawił, i wspomnieniom do niego przywiązanym.

Drugi poemat był zamierzony w daleko rozleglejszych rozmiarach. Miał on objąć w sobie celniejsze wrażenia i przygody zaszłe w ciągu kilkomiesięcznej podróży autora po Grecyi, Egipcie i Palestynie, opowiedziane tym tonem lekkim jak lot motyla, którego z takim powodzeniem i Byron także użył niegdyś do złożenia w kształt poematu wspomnień swojej pierwszej podróży. Ale nastrój angielskiego poety w poemacie Childe-Harold zdaje się być więcej smętny... Była to pierwsza próba Słowackie-

go w tym rodzaju poezyi. Okazuje się tak z téj już pracy, jako i z drugiej, znacznie późniejszej, z Beniowskiego, że miał Słowacki szczególny dar do składania tych strof dziwacznych, wypowiadających posłuszeństwo wszelkim utartym prawidłom sztuki, mieszających w jedną gmatwaninę wszystkie żywioły poezyi, wszelkie uczucia człowieka — a jednak zajmujących i porywających każdego w najwyższym stopniu. Czy się czytelnik z autorem zgadza, czy nie; czy przyklaskuje gorzkiej ironii, z jaką tenże smaga wszystko, co mu się w stósunkach tegoczesnych widzi przewrotném, czy się gorszy jego szyderstw zuchwalstwem: w każdym razie podziwiać musi geniusz pisarza, maczającego pióro w łzach i żółci z taką łatwością i z takim skutkiem. — Całość poematu, o którym mowa, miała się składać z kilkunastu — sądząc z tego, co zostało dokonaniem, przynajmniej z 15 albo 20 pieśni. Praca nad nim przerwała się już na pieśni szóstej, z niewiadomego powodu. — Trudno jest obecnie o tym poemacie jako całości wyrzucić zdanie stanowcze. Ale zdaje się, że gdyby cały plan tegoż był przeprowadzony do końca, miałaby w nim literatura nasza niewątpliwie jedno z celniejszych dzieł poetyckich, jakkolwiek niektóre ustępy razilyby może wybredniejsze umysły — i czasem słusznie...

Sześciopieśniowy urywek poematu, o którym tu mówimy, został w całości ogłoszony dopiero w zbiorze pism Słowackiego pośmiertnych. Autor w późniejszych latach do druku wcale już oddawać go nie zamierzał, co widać stąd, że jeden ustęp z niego prawie dosłownie jest wcielony do Beniowskiego. — Pierwotny tytuł był: *Podróż z Neapolu do Ziemi Świętej*. Zamieniliśmy to na nieco ogólniejszy napis: „*Podróż na Wschód*“, z powodu że o Ziemi świętej nic jeszcze w tych sześciu pieśniach nie ma. —

Wspomniałem wyżej, że w pierwszych czasach pobytu Słowackiego w Florencyi było jego zamiarem wyjechać do Paryża już z wiosną roku 1838. Do tego nie przyszło. Cały ten rok 1838 przesiedział poeta nasz ciągle jeszcze w Florencyi, tak iż cały czas życia jego w tém miejscu doszedł ostatecznie przeciągu blisko 18 miesięcy. Jednym z głównych powodów tego odraczania

wyjazdu do coraz dalszych miesięcy był właśnie ten o Podróży poemat, a raczej pewien brak natchnienia i zapału, który ukończenie jego opóźniał i utrudniał. Oto, co o tém znajdujemy w liście z dnia 2 kwietnia 1838 r.

... „Korzystałbym natychmiast z wolnych skrzydełek, aby przelecieć kawalek błękitnego morza, dotknąć piórami szczytu Alp śnieżystych i powędrować jeszcze dalej, gdyby mię nie zatrzymywały tu jeszcze niedokończone moje prace; przyrzekłem bowiem sobie, że z prózną teką nie pojadę do wielkiego miasta piszących waryatów. Doznaję prawie wyrzutów sumienia, że dotąd nic ani o piramidach ani o grobowcu Chrystusa nie napisał. Ale jak mówi dawna piosneczka: serce nie sługa — nie zna co to pany itd. tak i ja o mojej imaginacji powiedzieć mogę. Zrobiłem spostrzeżenie, że dla nas ludzi z pod północnej gwiazdy niedźwiedzia, Włochy są antyimaginacyjną krainą. Mój starszy i wielki Pierwszy (?) bawiący tu dawniej przez lat kilka, nic nie napisał — i dopiero przybywszy między błędne zórawie, zaczął śpiewać i rymy łać obficie. Z tego wnoszę, że imaginacji potrzebne jest ojczyste, a przynajmniej zbliżające się do ojczyzłego powietrze; potrzebna jest także atmosfera napelniona westchnieniami ludzi czujących i oświeconych; potrzeba nareszcie trochę poklasków, trochę cienia drzew niepospolitych i smutnych, jakimi są laury, a w niedostatku tych, sosny i jodły litewskie. Tego wszystkiego braknie tu. Więc dobranoc marzeniom“...

To niekorzystne pod poetycznym a raczej kreacyjnym względem mniemanie o Włoszech wypowiadał Słowacki już i przed wyjazdem swoim do Grecyi, jeszcze w listach z Neapolu pisanych. Musiało to zatem być u niego spostrzeżenie przydłuższém doświadczeniem stwierdzone. I teraz, we Florencyi, często w tenże sposób określał swoje usposobienie.

„Cokolwiek bądź (pisał d. 19 maja 1838), muszę się wyrwać z téj dżdżystej Florencyi, chociaż tu raj prawdziwy dla ludzi ze szczupłym dochodem, ale raj materyalny — prowadzący za sobą dziwne uśpienie władz umysłowych. To dziwnie, że ja, co ze łzami prawie wyjeżdżałem z libańskiego klasztoru, gdzie tylko dni 40 jak na pokucie przesiedział, a takię wyjeżdżając doznałem tęsknoty, jak gdyby miło mi było życie z tymi dobrymi mnichami przepędzić, czuję, że z Florencyi bez żadnego żalu wyjadę! Pierwszy raz mieszkanie moje nie przywiązało mię do siebie, choć

bardzo ładne i poetyczne. Osoby mi przyjazne nie utonęły mi w sercu, słowem, jestto dla mnie dziwny fenomen — ta oziębłość dla wszystkiego i dla wszystkich. Czy to już starość? Lecz ja tak mało używałem serca, mojego, że jeszcze młode być musi. Chciałbym się znów odhartować w jakiej nauce suchej i dającej mi codzień nowe zagadki, jak matematyka. Ten kto doznał przesylenia idealnych marzeń, zrozumie i pojmie tę żądzę. Tęskno mi prawie za najsuchszymi godzinami życia, za moją niegdyś biurową pracą. Zdawałoby się prawie mogło, że władza moich zachceń zwaryowała. Lecz dosyć tego, boję się bowiem, abym pisząc tak, nie zasłużył na te smutne: „a dobrze ci tak!“ „a na co...?“ Skończ sama, droga moja, tę wymówkę, na co polecałem jak pliszka nad szerokie morze, kiedy dosyć szerokie były dla mnie stawy trzciną obrosłe, i na co się zakochałem w Wenerze Medycejskiej? na co się zapatrzyłem na posąg Danta stojący w Santa Croce — dla czego pokochałem orły gubiące się w szczelinach lawin szwajcarskich — na co strząsałem owoce Hesperyd na pomarańczach wschodnich rosnące, kiedy mogłem tylko spokojnie iść do Żołobów albo pod Łysą Górę i strząsać sobie przezroczyste wiśnie w naszych rodzinnych ogrodach? Wyszędłem był na szeroki gościniec, i ten mię odprowadził daleko, nie wiedzącego, gdzie idę; a teraz wędruję przy blasku słońca umarłych... Niech mi Twoje błogosławieństwo towarzyszy! Życie jedno stracone jest tak małą rzeczą, że nie warto żałować, kiedy stracone na niczém.“

Tak pisywał w napadach melancholii i zniechęcenia. W innych chwilach inaczej on sądził jednak o kolejach swego żywota.

...„Jak mię też Bóg wysłuchał! Ja go zawsze dzieckiem prosiłem, aby mi dał poetyczne życie. To też on wszystko tak klei, żeby serce moje napelnił najpoetyczniejszymi wrażeniami. Prowadzi mię po błękitnych morzach, nad brzegami wód spokojnych i na góry chmurami okryte i na szczyty piramid“...

„O! wiele ja miałem cudownych chwil w życiu! Na co więc ta gorycz, z jaką czasem piszę o stanie mojej duszy? Gwiazda, co mi świeci, piękniejsza jest od wielu innych“... (z listów z d. 3 października i 21 sierpnia 1837, z Florencyi).

— Dodajmy teraz do tego wewnętrzznego wizerunku poety w ciągu jego pobytu we Włoszech, kilka rysów towarzyskiego pożycia, jakie go otaczało.

Oprócz Zaidlera, z którym się we Florencyi dopiero poznał i w domu jego zamieszkał, oprócz Zenona Brzozowskiego, towarzysza podróży, który na czas krótki pojawił się tu znowu, zastał on tu znajomą sobie jeszcze z czasów rzymskich rodzinę hr. Hermanostwa Potockich. Do tego przybyło jeszcze poznanie się z hr. Zdzisławem Zamojskim. Z Potockimi robił niekiedy wycieczki w przyległe okolice. Z panem Zdzisławem miewał rozmowy — jak się wyraża — podobne do platońskich. Oprócz tego bywał też czasem w domu księżnej Surveilliers, i u pani Komar, która spędzała tam wtedy zimę z córkami.

O księżnej Surveilliers jest kilka zajmujących szczegółów w listach Słowackiego do matki, które tu przytaczam.

„Księżna Surveilliers spotkawszy mię raz na ulicy z Hermanem Potockim, żądała aby mię ten ostatni jój przedstawiał, i musiałem więc z nią w karecie siedzącą zrobić znajomość. Jestto córka Józefa (Bonapartego, brata Napoleona I), a wdowa syna Ludwika — mała osóбка — bardzo mała — z twarzą dosyć przyjemną — bardzo bogata — bardzo wielka amatorka sztuk pięknych — dosyć dowcipna, ale czasem nieśmiała w rozmowie, przynajmniej ze mną. Jestto jedyny dom florencki, gdzie bywam“...

„Co środy znajduję tam koło dobrze dobrane, starające się dowcipem naśladować paryskie zgromadzenia. Jedni rysują szkice, drudzy gadają o literaturze, o sztukach pięknych. Muzyka tylko tam nie wchodzi. Dobrze! Bo gdzie muzyka się wciśnie, zwłaszcza we Włoszech, to zaraz bierze górę i staje się panem zgromadzenia i zamyka usta i głowy zasklepia. U Włochów pierwsza Cantatrice — *c' est un grand homme!* Innę wielkości nie znają na ziemi, tylko wielkość gardła.“

Daléj Słowacki żartobliwie dodaje:

„Tytuł mój wojażera egipskiego, pielgrzyma do Ziemi świętej, bardzo mi teraz pomaga w towarzystwie. Mogę czasem poprawiać Lamartina — czasem nadawać sobie trochę kolorytu i postawy rycerzy Tassa — czasem robić się mistyczną anegdotą, rodzajem Giaura — czasem karykaturuję siebie, wiażąc na kark wielbłąda — słowem że wyciągam różnymi sposobami korzyść z odbytych wędrówek, które i w samotnych moich godzinach bawią mię, jak sen piękny“... (z listów z d. 24 listopada 1837, z 22 lutego i 2 kwietnia 1838 r.).

Z powyższej wzmianki o przecenianiu muzyki w Włoszech możnaby wnosić, że Słowacki był jej nieprzyjacielem. Zapewne, nie był on ani entuzystą ani też wielkim mistrzem w tej sztuce; niemuzycznym jednakże nie był, owszem sam nawet pielęgnował muzykę. Miewał w mieszkaniu swoim zawsze najęty fortepian i niejedną szarą godzinę wygrywaniem na nim zapełniał; a jeżeli kiedy, to właśnie w pierwszych miesiącach po powrocie z podróży wschodniej wiele czasu na to poświęcał.

„Całe godziny teraz gram z nót na fortepianie (donosił np. w liście z d. 3 października 1837) i bardzo w muzyce postępuję. Zacząłem ją lubić i nabrałem cierpliwości. Wziąłem abonament na nóty i coraz nowe przegrywam. Muzyka i moje umysłowe prace zabierają mi dzień i wieczór cały“...

Kilka miesięcy później (d. 2 kwietnia 1838) donosił, że przez ciąg zimy wielkie poczynił postępy w czytaniu nót; dodaje jednak następujące wyrazy:

„Przeklinam Foka (był to niegdyś jego metr muzyki w Wilnie), że mię gamy, prostej gamy nie nauczył. Biegłości mi płynnej braknie i dla tego ludzie, którzy się na czuciu nie znają, a tylko sypanie grochu w grze lubią, nic nie pochwalą w moim melodyjnym talencie. Czy znacie koncert z Krakowiaka Chopina? Przესliczny! ale trudny jak dyabeł“...

Ale ażeby wrócić do głównego przedmiotu, t. j. do stosunków Słowackiego z towarzyskim światem florenckim: dodajmy, że chociaż mu tam na znajomych domach nie brakło, w których i często bywał i mile był widziany, rodzaj ten życia wcale jednak mu nie wystarczał.

„Od niejakięgoś czasu — pisał d. 2 stycznia 1838 — dałem się wciągnąć mimowolnie w świat i już od kilku tygodni prowadzę życie pełne roztargnienia, co mię męczy i nudzi. Żałuję, że zostałem na zimę we Florencyi; nie bowiem nie pracuję i z rozpaczą myślę o moim 28 roku życia, kończącym się na marnościach światowych“...

„Braknie mi tu bardzo towarzystwa młodych ludzi. Nie mam z kim żyć po przyjacielsku, a ci, o których wyżej wspominam, choć są bardzo dobrze ze mną, tyle wad mają i taki niedostatek w uczuciowych skarbach, że zawsze między nami są progi do przejścia i nigdy ich nie przestąpimy.“ (d. 24 listopada 1837).

Niekorzystne to mniemanie o rodakach, którzy z nim mieli znajomość i zyczliwi byli dla niego, w tém zdaje mi się miało głównie przyczynę, że mierzył ich wszystkich podług skali naj-milszego sobie ze wszystkich swoich przyjaciół, podług skali genialnego Zygmunta. Często się myślał przenosił w czasy, kiedy wspólnie obydwa bawili w Rzymie. Nie było wtedy Krasieńskiego we Włoszech — przepędzał zimę z roku 1837 na 1838 w Wiedniu. Stósunki między nimi były utrzymywane tylko listownie.

„Zenonek czasem mi z Wiednia hieroglifami o swoich zabawach pisze. Z téjże saméj stolicy przychodzą mi milsze listy od przyjaciela niegdyś mojego w Rzymie, który mi przypomina przechadzki po willi* róż.), marzenia w Kolizeum i wszystkie inne smutne spaceru po ruinach Cezarów.“ (d. 24 listop. 1837).

„Nie mam tu zachęcenia do pracy, nie mam porady. Nie mam nawet jednéj osoby, którejbym się mógł zapytać, czy moje dziecko głupie jest czy rozumne; albowiem sobie nie wierzę i niespokojny jestem... Nie mam nikogo, co by mię ożywił — i podniósł trochę. Żal mi, że nie mam tu Zygmunta K., którego towarzystwo w Rzymie miało dla mnie umysłowie mówiąc, lekarskie, uzdrawiające skutki“...

...„Serce moje znów się napelnia jakimiś nieograniczonymi zachceniami (pisał w listach z października i z następnych miesięcy r. 1837); dziwna jakaś, czcza melancholia dręczy mię. — Chciałbym się kochać, ale nie wiem w kim... Teofilowie już Ci musieli powiedzieć, droga moja, że to jest jedno z najgłówniejszych żądań mojego teraz życia! Gadaliśmy z nimi o tém nieraz, siedząc na balkonie domu św. Łucyi w Neapolu, czekając aby się księżyc pokazał nad Wezuwiuszem i rzucił nam kolumnę światła przez morską zatokę. Otóż znów rok przeszedł cały, a ja się nie kocham... Co to będzie? — Poznałem tu ładną jak anioł Amerykankę, i to był kamień probierczy mojego ostygnętego serca. Zdawało mi się zrazu, że to była jedna z nimf Niagary — podobna do tych widm, które Manfred wywoływał z tęcz nad wodospadami, i już miałem zachwycić ognia z jej błękitnych oczu: kiedy mię odstręczyła od niej jej ciąga wesołość — ciągly prawie uśmiech na rozkwitłych ustach. Włożyłem więc znowu jak ptak głowę pod skrzydło i po-grążyłem się w moje sny melancholiczne“...

*) Willa Mills na Palatynie.

Snów tych marzących przedmiotem nie była już jednak uwielbiana tyle w Genewie przed kilku laty Marya W. Oddalenie i co do czasu i co do miejsca, ujęło jęj wspomnieniom wiele uroku w wyobraźni Juliusza. A mylne doniesienia, którym on dawał wiarę, zamieniły zyczliwość dla nięj nawet w zupełną obojętność. Już więc zdolny był mówić o nięj spokojnie — nawet zimno — prawie powiedziałbym złośliwie!

...„Mówią, że się Chopin z Maryą W., a niegdyś moją Maryą ożenił. Może poszła za niego trochę z przyjaźni dla mnie, bo mówią ludzie, że Chopin do mnie jak dwie krople podobny. Jak to sentymentalnie, pójść za człowieka podobnego temu, którego się pierwszą miłością kochało! Stałość i niestałość harmonizują się w takim zdarzeniu — i podług Suedenborga, już w niebie nie z dwóch, ale z trzech dusz robi się jeden anioł po śmierci. Ale w tym przypadku niech Marysia na mnie nie liczy. Wolę się do innęj jakięjś światłej istoty w niebie przylepić. Dla nięj dosyć — Orfeusza! Skrzydła tego anioła będą z siedmiu pedałów, a z klawiszów ząbki“... (z listu z d. 2 kwietnia 1838).

W parę miesięcy potem ocknęły się znowu w Słowackim nadzieje i uczucia, na brak których w sercu swoim tyle się skarżył. W ciągu lata r. 1838 przybyła do Florencyi zamożna pewna rodzina z Podola czy Ukrainy, złożona z czterech osób, z ojca, matki, córki i jakięjs już w dojrzałszych latach kuzynki. Córce, która nas tu głównie interesuje, było na imię Panna Aniela. Otóż do nięj to były później napisane owe dwa cierpkie Sonety z napisem: „Do Anieli M.“ drukowane dopiero pomiędzy pośmiertnymi pismami, w tomie I. Jakkolwiek cały ten epizod w życiu Juliusza pozostał bez konsekwencji, dla samego jednak choćby tylko wyjaśnienia rzeczonych sonetów przywiodę tu ustępy z jego korespondencji, mające związek z tą rzeczą. Znajomość z państwem M. zrobił Słowacki w czasie, gdzie się już na dobre zabierał do wyjazdu z Florencyi. Wyjazd właśnie w skutek tego znowu się odwlekał. Otóż, co pisał właśnie z tego powodu w liście z d. 21 sierpnia 1838 r.

„Znalazłem ludzi, którzy mię lubią, kochają i chcieli zatrzymać; więc jeszcze na jakiś czas zostanę. Tymi ludźmi przyjaznymi jest dom M....., kuzynów Ż. i ta pańienka, od której on odebrał niegdyś rekuzę, która go w me-

lancholią i w dalekie kraje zagnała. Sam stary M. dobry i wiele gadający człowiek, do tyła mi robił grzeczności, że nareszcie przełamał mój zwyczaj samotnika i przyzwyczał mię do tego, że co wieczora prawie z nimi na gawędzie czas trawię. Żona jego dla interesów pojechała tu stąd na Ukrainę i chciała bardzo być w Krzemieńcu, aby Ciebie poznać i o mnie Tobie mówić. Czy jęj droga przez nasze miasteczko wypadnie, nie wiem; ale jeszcze kilka dni temu, M. mówił mi, że od Ciebie droga spodziewa się upoważnienia, aby wziął nademną opiekę i rząd samowładny.... Nawet pani M., dla wszystkich dość zimna, ze mną jest dobrze i nawet z szacunkiem. Kuzynka ich, panna Helena, w wieku już, nabożna i słaba, także się uśmiecha, kiedy przychodzę. Słowem, jakżem miał wyjechać, kiedy może w Paryżu nie znalazłbym nikogo, coby mi sprzyjał, a tu są tacy, co mię z otwartemi rękami przyjmują?“

O wszystkiém tedy i o wszystkich matce donosił, tylko nie o osobie, któraby była mogła właśnie najwięcej ją zaciekawić. Uzupełniając rzecz z ulotnych wzmianek, rozrzuconych po innych listach, spróbujemy my z naszój strony dodać tu wizerunek panny Anieli. Była to panienka zajmująca — nie tyle piękna, ile miła i kształtna — bardzo starannie wykształcona i co nazywają myślącą; ale... że użyjemy słów własnych korespondencji, „strasznie popsuta“, albowiem była to p a n i w domu, samowładnie rządząca nad ojcem i nad matką. Poecie naszemu okazywało całe jęj mimowolne postępowanie, że musiała ona nim być zajęta. Uważały to i osoby dalsze, bywające w tym domu. Każde jego przyjęście sprowadzało rumieniec na lica panienki. Widząc przychylność całego domu ku sobie i tak życzliwe usposobienie w osobie, która i na nim, ile ze wszystkiego wnosić, korzystne od piérwszėj chwili sprawiła wrażenie, zaczął się Juliusz panną Anielą coraz żywięj zajmować. Że jednak miała ona różne też swoje słabostki, których jako baczny obserwator nie mógł nie widzieć, trzymał więc uczucia i kroki swoje na wodzy, namyslał się, doświadczał, zwłóczył, tak iż postępowanie jego mogło się wydawać chłodném i chwiejném. Mimo wszystkich oznak przywiązania ze strony panny, a grzeczności ze strony rodziców, czegoś on temu wszystkiemu, co niby widział, niezupełnie jeszcze dowierzał, choć powia-

da, że były wyraźne kroki ze strony trzecich osób, które go zachęcały, ażeby jawnie i stanowczo w roli konkurenta wystąpił.

„Może to był sen i przywidzenie z mojej strony; ale jakże było nie śnić, kiedy mi często ojciec gadał przy stole nawet i otwarcie takie np. słowa: Popracuj nad sobą, popracuj i zakochaj się, a ja cię ożenię. Na co panna pło-
nęła, a ja nie wiedziałem, co myśleć“...

Dalszego wątku tych stósunków nie podejmuję się dopowiedzieć czytelnikowi, szczegółów bowiem w listach o tém nie dają dokładnego wyobrażenia. Zdaje się, że wmięszanie się w rzecz nieproszonych przyjaciół, intrygi jakieś, w części może uwiecznienie wuja Juliusza, które zaszło na Wołyniu właśnie w ciągu tego stósunku, a przedewszystkiém owo zbyt wyczekujące zachowanie się konkurenta w obec panny z wyobraźnią nieco exaltowaną, pozwoliło przeminać chwili najsposobniejszej i nadało myślom p. Anieli taki późniój kierunek, iż się wszystko między nimi skończyło ostatecznie na niczém. Słowacki wyjechał potém do Paryża; ona z rodzicami pozostała jeszcze na rok następny pod niebem włoskiém i — rzecz dziwna, umarła we Florencyi w kilka miesięcy po wyjeździe Juliusza. —

„Może z mojej strony było nadto dumy, która się téj panience mogła opieszałością wydawać; gdyby jednak miała szlachetniejsze uczucia, zrozumiałaby dlaczego tak nienaturalczywie starałem się o nią. Ona miała miliony, jam nie mógł jój nic dać nawzajem. Ale to już przeszło. Ona mię teraz widzi z nieba — bo już nie żyje!..

...„Przyznam Ci się jednak, droga moja, iż kiedym się o jój śmierci dowiedział, cierpiałem. Bo choćby to było u niój chwilową tylko myślą, aby mię wybrać z tłumu i zrobić szczęśliwym, to już jój to nadało w oczach moich postać litośnego anioła, a śmierć jój dopełniła obrazu. Ileż razy teraz chodząc po ciemnych alejach tutejszego ogrodu, zdaje mi się, że mi ona drogę zachodzi, że się jój cień rumieni i spuszczaając oczy przede mną, pyta się: dla czegoś mię nie kochał? Śmierć ją upiększyła w moich oczach“...
(Z listu już pisanego z Paryża, d. ? listop. 1839 r.).

Powyższe doniesienia o śmierci p. Anieli przeniosły nas mimowolnie w czasy Słowackiego paryskie. Jeszcześmy jednak do nich nie doszli. Cofnijmyż się zatem myślą teraz o rok cały na-

powrót, ażeby dopełnić wizerunku zajęć jego florenckich, w ciągu roku 1838.

Właśnie w czasie piérwszój swojój znajomości z rodziną M., przystąpił był Słowacki do urzeczywistnienia wspomnianego już powyżej zamiaru, odezwać się wreszcie znowu jako autor publicznie występujący i w szybkiej kolei wydawać teraz jedną pracę po drugiej. Od czasu ogłoszenia *Kordyana* (1834) aż do owój pory, czytająca publiczność prawie zupełnie go była straciła z oczu. Chodziło o to, żeby złożyć teraz przed nią cały snop planu usiłowań czteroletnich i nieprzerwanych, choć podejmowanych w ukryciu, i zająć jako pisarz miejsce sobie należne. Słowacki miał wtedy chwilowy zamiar, przenieść się właśnie z tego powodu do Paryża niezwłocznie, i pisał pod wpływem tego postanowienia do matki dnia 10 lipca (1838), co następuje:

„Wyjeżdżam 25 tego miesiąca do Paryża, albowiem wysłałem tam przedemną jedno moje maleńkie dzieciątko, które już w tych dniach musiało się na świecie pokazać. Nie wiem, jaki będzie los jego i bardzo ciekawy jestem, czy mu się powiedzie na świecie, zwłaszcza że mu zamierzam wkrótce za przyjazdem nowych dać braciszków. Piérwszy z tych chłopczyków, którego już puściłem z opieki, nazywa się *Anhelli*. Melancholiczną i trochę chrystusową ma twarz — wielką prostotę w ubiorze — i niepodobny jest do niczego. Zaczynam więc znów życie mniej opasłe. Więcej dla mnie ciekawe będą dni i godziny. Interesują mnie także moi dawni znajomi, których od pięciu lat nie widziałem. Jeżeli źle mi będzie pomiędzy nimi, uciekam znów w góry alpejskie lub pirenejskie, i osiadam w nich na zawsze, jak pustelnik.“

Zapowiedziany wyjazd Słowackiego z Florencyi już w ciągu lipca, nie przyszedł wprawdzie do skutku, z wiadomych nam już przyczyn; nie przeszkodziło to jednakże wyjściu z pod prasy owego dzieła w najbliższym czasie. Imię autora tym razem było wyrażone na tytule. Takowy brzmiał krótko:

„*Anhelli* — przez Juliusza Słowackiego.“ Paryż, 1838. 12^o str. 108. — Przedmowy żadnej.

Kiedy Słowacki ujrzał przysłany sobie do Florencyi piérwszy exemplarz téj książki, donosił o tém w wyrazach, które żywo

przypominają i radość jego i owę przesadnie szczęśliwą pewność siebie, wzbudzoną w nim za ukazaniem się dwóch pierwszych tomów „Poezyi“, wydanych przed sześciu laty w drukarni panny Kory.

„Przedwczoraj (powiada w liście z d. 21 sierpnia 1838) miałem dzień miły dla mnie. Oto przysłano mi z Paryża moje ostatnie dziecko, które 11 dni dopiero żyje, w ładną sukienkę ubrane, potulne, melancholiczne, prosto mówiące, dziecko słowem, które ja kocham bardzo i o którym zaręczano mi, że mu się dobrze powiedzie. Odebrałem je z rana w niedzielę — więc porzuciwszy obojętnie, ubrałem się i poszedłem na śniadanie; ale mię coś ciągnęło do domu i do mego dziecka. Więc już chciałem powracać spiesźnie; ale przypomniałem sobie, że jest niedziela, że kościoły otwarte, że Bóg tak jest dobry dla mnie. Więc poszedłem do wielkiej, ciemnej, pustej katedry i stanawszy w środku, zacząłem myśleć o Bogu, aż oczy moje napęłniły się łzami. Upokorzyłem się, bo mi się zdawało, że tego ranka urośł nieco i że Bóg upokorzenie moje widzieć będzie, jak gdyby jaka z najwyższych kolumn upadała przed nim. Otóż takie były myśli moje, takie uczucia po odebraniu tego nowego płodu. Dziwnie, jak we mnie katolicyzm jest dumny!... Potem poszedłem do M. pochwalić się, i jadłem z nimi obiad, wesoły jak rzadko bywa i dosyć kontent ze świata. — Chrzcziny tego nowego dziecka bez żadnego kosztu obeszły się, albowiem uprzednie moje na niego zapracowały — i jeszcze mi coś zostało.“

Już w parę miesięcy potem — w drugiej listopada połowie — wyprawiony został do Paryża do druku drugi rękopis. Było „Poemat o Piekło“, a zatem ostatnie, najświeższe dzieło ze wszystkich, jakie naówczas autor miał w tece. Ofiarował je w przypisaniu „Żałosnej ludu polskiego Wdowie“, a rozumiał przez te słowa miasto Warszawę. Kilka wierszy stanowiących właśnie tę dedykację, na pierwszej karcie poematu, mają podpis „dnia 15 listopada 1838 r. z Florencyi“. Była to niezawodnie data dnia, w którym rękopis był oddawany na pocztę. Książka została odbita i weszła w obieg księgarski zapewne z końcem jeszcze tegosamego roku, chociaż zwyczajem księgarskim położono na tytule cyfrę roku następnego. Cały tytuł był taki:

Poema Piasta Dantyszka herbu Leliwa o Piekło, przez Juliusza Słowackiego. Paryż 1839. Format 12^o.

Zwyczajam moim nie mogę udzielić czytelnikowi o tém dziele żadnej osobistej wzmianki autora zaczerpniętej z jego poufnych zwierzeń. Pierwsza to publikacya, o której najgłębsze milczenie w całej jego korespondencji. Dzieło samo nie było tego powodem, lecz zdarzenia uboczne. Listy Słowackiego ukazują w tém miejscu przerwę i to nader znaczną. Od 21 sierpnia 1838 aż do 24 czerwca 1839, a zatem przez całe 10 miesięcy, nie odebrała matka poety ani jednego słowa od syna. Powodem tego milczenia była ta okoliczność, że w jesieni 1838 r. brat jej Teofil dla jakichś podejrzeń o winy polityczne w domu własnym na wsi na Wołyniu został aresztowany, a następnie wyrokiem sądów wojennych wskazany na wygnanie. Jako miejsce wygnania była muznaczona Perma w głębokiej Rosyi. Ściągnęło to, jak się samo rozumie, i wszelkiego rodzaju nieprzyjemności i niemałe straty materyalne na tę całą rodzinę. Pani Becu była z tego powodu trzymana przez 5 miesięcy pod śledztwem w Kijowie, i nie mogła od owęj chwili już utrzymywać stósunków z synem. I Juliusz, któremu wiadomość o tém wszystkiém doniesiono z boku natychmiast, nie śmiał jako wychodzić listami swymi kompromitować matkę i zawiesił z tego powodu zupełnie korespondencyą. Tak więc niepodobno mi jest udzielić bliższych szczegółów o stósun-kach i krokach mego poety, o ile takowe przypadają na przeciąg rzeczonych 10 miesięcy.

Pierwszym, który mu przywiózł tę smutną z kraju wiadomość, był Zygmunt Krasiński. Przybył on do Florencyi w miesiącu październiku (1838) i pocieszał w téj ciężkiej niedoli jak mógł, biednego towarzysza swojego, dopóki tenże bawił jeszcze we Włoszech. Ile mu wdzięczny był Juliusz za tę jego serdeczną przyjaźń, o tém najlepiej przekonywa wiersz wtedy napisany do niego, w chwili kiedy wyjeżdżał już z Florencyi. Wiersz ten, przez niedopatrzenie niezamieszczony w zbiorze pism jego pozgon-nych, był następujący:

DO ZYGMUNTA.

„Żegnaj, o! żegnaj archaniele wiary,
 Coś przyszedł robić z mojem sercem czary,
 Coś w łzy zamienił jego krew czerwoną,
 Wyrwał je z piersi, wziął we własne łono,
 Ogrzał, oświecił — by nie poszło w trumnę
 Ani spokojne mniej, ani mniej dumne.

„Więc gdzieś, daleko, u boskiego celu
 Chwała dla ciebie, o serc wskrzesicielu!
 A dla mnie pokój dla ducha i kości,
 Bo tym obojgu trzeba — spokojności...
 Lecz jeśli ducha nadchodzą morderce,
 Lecz jeśli walka jest: — dałeś mi serce!

Florencya 4 grudnia 1838.“

Na zakończenie rozdziału, w którym chciałbym wyczerpnąć wszystko, co tylko miało związek z pobytem Słowackiego we Florencyi, przejdę od biografii do krytyki. Powiedziało się wyżej, że na czas ten florencki przypada ogłoszenie dwu tomików, nakładem własnym autora drukowanych w Paryżu. Tu pora zastanowić się nad tém, co się w takowych mieści. Poemat *Piasta Dantyszka o Piekło* przejdę milczeniem. Nie jestto utwor z liczby celniejszych. Nie daje powodu ani do szczególnych pochwał ani też do ujemnych wywodów takich, którychby każdy czytający sam sobie nie potrafił utworzyć. Poemat ten i w pierwszej chwili małe sprawił wrażenie i później nie potrafił zjednać sobie rozgłosu. W tym razie zgadzam się i ja najzupełniej z wyobrażeniami o tém ogółu. To jedno mógłbym chyba dodać do nich, na podstawie bliższego obeznania się z życiem ówczesném Juliusza, że praca, o której tu mówimy, była że tak powiem okolicznościowa, wywołana samą miejscowością jego ówczesnego pobytu. Była to rzecz pisana w stanie ducha mniej podniosłym.

Natchnienie prawdziwe nie dawało tu pocie tych skrzydeł, na których w innych czasach wznosił się nieraz w najwyższe sfery twórczości. Było więc więcej płód woli i rozmysłu, niż bezpośredniego rzutu fantazyi... To też, właśnie z przyczyn powyższych, nie nastęrczają się z okazji tego poematu do powiedzenia ani nawet takie uwagi, któreby choć ubocznie mogły mieć jakąś ważność przy określeniu kierunku i stanowiska poety w czasie, kiedy to pisał. Inaczej za to ma się rzecz z drugą jego publikacją z czasów florenckich, pochodzącą z lat, kiedy przemieszczał jeszcze w Genewie. Nad nią warto zastanowić się nieco dłużej.

Pospolicie spotyka wszystkie Słowackiego utwory zarzut, że są zbyt trudne do rozumienia. Po dokładnem rozpoznaniu osobistych okoliczności, dotyczących poety, mniemana niezrozumiałość dzieł jego okaże się przesadą. Prawdziwie uzasadnionym pozostanie powyższy zarzut tylko w obec jednego poematu. Tym poematem jest *An helli*. Nie wiem czy jest, czy był kto dotąd tyle szczęśliwy, żeby się mógł pochwalić, że w nim na wskrós przyniósł cały autora zamiar. Pomimo tego — rzecz dziwna! — nieprzystępność i niejasność w całym *Anhellego* układzie doznaje w wyjątkowy jakiś sposób szczególnej pobłażliwości u wszystkich. Cudny język, dziwnej czystości formy, kilka postaci wymarzonych z niezrównaną poezją i te ustępy poszczególnie, tu i owdzie po całym dziele rozsiane, które już same przez się zostawiają jakiś smętny obraz w myśli czytającego, wystarczyły *Anhellemu* za przepustkę w charakterze jednej z najlepszych kreacyi.

Zygmunt Krasinski, kiedy się dowiedział o śmierci Słowackiego, pisał do przyjaciół jego w Paryżu zajętych właśnie pogrzebem: — „Połóżcie mu napis na grobie: Autorowi *Anhellego*, a ten jeden wystarczy dla zapewnienia mu sławy na pokolenia przysze.” — Ze słów tych widać, że autor *Irydyona* najwyżej stawiał *Anhellego* między wszystkimi utworami zgasłego przyjaciela. A skoro tak wysoko dzieło to cenił, zdawałoby się, że je musiał i doskonale rozumieć. Czy je rzeczywiście rozumiał? o tém zdania mogą być różne. Odzywał on się i w rychlejszych już latach, za życia jeszcze Juliusza, po kilka razy i przy różnych sposobnościach w podobny sposób o tym utworze. W liście

do Romana Z. (Załuskiego?*) wprost nawet dotknął punktu, o który nam tutaj chodzi. — „Na żaden sposób (tak się list rzeczony zaczyna) nie mogę uznać za prawdę i słusność niesprawiedliwości wyrządzonej przez publiczność Juliuszowi. Zapytam się: w czym go nie rozumieją? Ty pierwszy powiedz mi, czegoś w nim nie rozumiał?... I mówiąc w dalszych wyrazach z tego właśnie punktu widzenia o niektórych jego pismach — z osobna, mianowicie o „Trzech Poematach“ i Balladynie, tak pisze dalej: — „Teraz o Anhellim. Zaprawdę potrzeba potęgi uroczej, genialnej, nadzwyczajnej, by Sybiru otchłań tak wystroić w alabastry śniegów i sine oczy gwiazd. Gdym czytał, wzdychałem — tęskno mi było, żal się mnie Boże, do Sybiru! Przez kilka nocy Sybir śnił mi się jakby Eden melancholijny. Wiesz że mówią, iż czasem duch samobójstwa niesłychane obiecuje rozkosze, szepce do ucha i ludzi i nęci i porywa. Otóż piekło Sybiru nie przestając być piekłem, przybrało w Anhellim taką uludę dziwną, prześliczną i straszną, okropną i ponętą zarazem“...

Czy te słowa — zresztą tak poetyczne, przekonująco o tém, że ten co je pisał, wnikał w wewnętrzną myśl Anhellego: o tém sąd pozostawiam czytelnikowi. Podobnie ogólnikowej treści są i uwagi Krasińskiego o Anhellim wyrzeczone rok później w artykule o Słowackim, danym do Tygodnika**). Więcej wprawdzie szczegółowe były myśli jego o tém udzielone K. Gąszyńskiemu w roku 1838 z Wenecyi***): jednakże i one żadną miarą nie wystarczają na to, żeby nam dziś wytłómaczyć, dlaczego Krasiński stawiał tak wysoko poemat, z którego, jak widzimy, równie nie byłby umiał zdać sprawy dostatecznej, jak wszyscy.

Był snąć w owém pokoleniu poetów jakiś dziwny pociąg do tajemniczości w artyzmie, tak iż mglista zagadkowość dzieł poe-

*) List ten był pisany w r. 1840 dnia 13 maja w Rzymie. Ogłoszono go w Dodatku Czasu 1859 r. w zeszycie na miesiąc marzec.

**) Tygodnik Literacki poznański, rok 1841, str. 181.

**) Obec Wyjątki z listów Z. Krasińskiego, strona 43.

tyckich nie była poczytywana za nłomność, lecz raczej przydawać miała uroku częściom obrazu więcej wydobytych na światło. Co tonęło w pomroku, choć nie przemawiało do oka, mówiło do wyobraźni. A ta po swojemu — u każdego czytelnika inaczej — dopełniała tego, co w obrazie było zakrytém. Nie chodziło o to, co poeta zamierzał, ale co się dawało marzyć nad książką, w duszy własnej. Było to, jak z utworami muzyki, które także wzbudzają myśli w słuchaczach, ale zazwyczaj w każdym inne i aż do pewnej granicy zupełnie dowolne...

Nie stósuje jednakże tego, co tu mówię, do całej osnowy Anhellego. Jest w tém dziele dobra połowa szczegółów, w których się mieści świadomy zamiar poety. Spróbujmy, czy nie potrafimy choć tę część poematu odstónić.

Ażeby to ułatwić, powiedzmy sobie przedewszystkiém, że autorowi bynajmniej nie chodziło w Anhellim o krainę sybirską, choć z niej zrobił pozorną scenę swojej powieści, ani też o stósunki wygnańców i osiedleńców sybirskich. Ktoby to wszystko chciał brać dosłownie, musiałby co krok sprzeczać się z poetą, wytykając mu to nieznanąomość przedmiotu, to brak podobieństwa do prawdy. Zaraz na samym początku poematu czytamy, że przyszli wygnańcy w liczbie około 1000 osób na ziemię sybirską i zbudowali dom drewniany, aby zamieszkać w nim razem w zgodzie i w miłości braterskiej. A kiedy już dom ów stanął, wtedy każdy zajął się swoją pracą, oprócz ludzi, którzy chcieli aby ich nazywano mądrymi i zostawali w bezczynności mówiąc: oto myślimy o zbawieniu ojczyzny... Słowacki wprawdzie osobiście nie znał Sybiru; ale równie jak każdemu z nas, nie mogło i jemu nie być wiadóm, że ani pierwsze, ani drugie pomiędzy wygnańcami zasłanymi do téj krainy żadną miarą nie mogłoby być praktykowaném. — Również nie miałaby sensu w znaczeniu dosłowném ta cała scena z dziećmi i popem na tatarskim koniu siedzącym, która jest opisana w rozdziale IIIcim (wydanie lipskie, str. 109). To jest obraz rzeczywistych stósunków, lecz nie pod niebem sybirskiem. — Podobnie nie słyszał też nikt w Sybirze „o turmach i o wtrąconych do nich więźniach, których twarze smutne i blade patrzą się przez kraty

w niebo" (rozdział IV str. 111). Cały ten ustęp wzięty jest niezawodnie z rzeczywistego życia, lecz do sybirskich stósunków to nie przystaje. — Scena ukrzyżowania trzech fanatyków, z których każdy przez własnych ziomków zostaje przybitym na krzyż za swoje mrzonki (rozdział X str. 126 i 127) — i to są znowu rzeczy, których na Sybirze nawet rozbijała wyobraźnia poety nie będzie śmiała umieszczać, — chyba w allegorycznym znaczeniu, w sensie symbolicznej przenośni. — W drugiej połowie XIgo ustępu (str. 131 — 133) ukazuje autor wstającą z grobu w kształcie płomienia postać biskupa, którego kości pogrzebane są w śniegach sybirskich. Ze słów, jakie biskup ten mówi do Anhellego, widzi każdy, że to Sołtyk. Mielizbyśmy przypuszczać, że to pomyłka poety? Nie miałooby być i Słowackiemu wiadomém, że grób Sołtyka znajduje się na Wawelu, a miejsce wygnania jego było z téj strony Uralu?..

Mógłbym to dowodzenie znacznie przedłużyć; myślę jednak, że i to, co powiedziałem dotąd, wystarcza, ażeby przyjąć za punkt wyjścia w rozbiórze niniejszym przypuszczenie, że w Anhellim przez Sybir i przez wygnańców sybirskich rozumieć koniecznie trzeba co innego, jak to co na razie sam brzęk słowa nasuwa. —

Poeta daje widocznie w dziele obecném wizerunek doli całego narodu, przegląd wszystkich jego stósunków, obraz i cierpień, które znosimy od drugich, i win, jakie sami przeciw sobie popełniamy. Sybirem podobało mu się nazwać całe nasze położenie społeczne. Obejmuje więc w tym wyrazie kraj nasz cały przedewszystkiém, a potem emigracyą z r. 1831, nakoniec i wszelkie strony świata zaludnione wygnańcami polskimi, nie wyłączając zresztą z liczby takowych także i pustyń sybirskich.

Upatrywaćby można w tém wszystkiém coś artystycznie niewłaściwego, coś... że powiem, naciągniętego. Użyty symbol słabo odpowiada podłożonemu sobie znaczeniu. Odnieść to należy na karb osobistych też jedynie okoliczności poety, że użył téj właśnie formy. Anhelli był pisany w Genewie. Stała Słowackiemu wtedy ciągle przed oczyma owa olbrzymia biała góra, o której mawiał w listach swoich, że „jest podobna do snycerskiego po-

sągu sybirskiej krainy“. Ten widok codzienny zakutego w lody i śniegi Mont-Blanc, odbity w wyobraźni, przyjął w się zwolna wszystkie medytacje poety o ojczyźnie i o rodzinie, o szczęściu którego nie zaznał, o samotności, na którą był wskazany... Z czasem w duchu jego tak się jedno i drugie zlało, że mu się już czuć nie dawała niepokrewność i nawet sprzeczność między tłem a obrazem, między formą a rzeczą samą. Obydwie strony w fantazyi jego spłynęły w jedność, nierozłącznie spojona. Owinęło się zaś około téjże jeszcze i coś trzeciego, co także było tylko skutkiem przypadkowych owoczesnych osobistych stósunków: — mówię o stylu biblijnym, jakim jest napisany Anhelii *).

Odnosząc Anhellego w taki sposób do symbolicznego rodzaju poezyi, uważam za potrzebne rzucić tu mimochodem jeszcze tę ogólną uwagę, że symbolika w sztuce może być dwójaka. Mogą w jęj zakresie być same takie tylko przenośnie, które ściśle wyobrazają myśl sobie podłożoną i po za granicę téjże myśli wcale nie przesiegają. W takim razie ruch i kształty użytych form symbolicznych stósują się wiernie i niewolniczo do wewnętrzznego swego znaczenia. Wszystko w nich tém znaczeniem przesiąkło, a po za okrąg tego znaczenia ani krokiem już dalej pomysł symboliczny nie idzie. To jest symboliczność ścisła — łatwa wprawdzie do odgadywania i przezroczysta, ale skostniała, uboga w artystyczne powaby i jakby spętana tém czémś drugim, sobie obcém, co w nią włożono. Bywają znowu utwory symboliczne zgola odmiennéj natury. Figury i znaki w zakresie téj drugiej symboliki, stworzone pierwotnie na to, żeby coś takiego znaczyły, czém same przez się nie są, wprawdzie z razu przyjmują na się piętno podłożonego sobie znaczenia, ale na tém bynajmniej nie poprzestają. Zostawszy raz wywołane do życia, jako udzielne twory fantazyi, zatrzymują ruch i nadal w własnym swoim kierunku; skutkiem czego wynikają z nich kształty zewnętrzne i sytuacje takie, które nie mają żadnej wreszcie wspólności z pierwotném, z główném znaczeniem. W takim razie

*) W tomie I na stronie 241 wspomnieliśmy, że czytanie pisma św. było w owych latach codziennym zwyczajem Słowackiego.

allegoryczność miesza i wkle się ciągle z bezpośrednią dosłownością utworu. Sceny i kształty znaczą rzecz, o wyrażenie której z założenia głównie chodziło, ale dają też oprócz tego i więcej jeszcze, to jest dają i siebie same. Tak powstaje symboliczność swobodna, fantastyczna, będąca nieskończenie trudniejszą do rozumienia, aniżeli tamten jej rodzaj, ale wolna od tej martwoty i sztywności, na jaką z natury rzeczy wskazane są symboliczne tworzywa poprzedniej kategorii. Ten drugi rodzaj symboliczności jest najwłaściwszym w zakresie twórczości poetyckiej: i do tego jej rodzaju policzyć też należy i Anhellego.

Względna zatem trudność do rozumienia tego utworu (gdyby się kończyło na takiej tylko trudności), byłaby prostém tylko następstwem przyjętej formy, a raczej rodzaju poezji, w którym jest wykonany Anhelli. Taka trudność nie byłaby wadą. Ustępy Anhellego jednakże, nadarzające się, jak każdy przyzna, dość często, które się całkiem usuwają z pod możności wykładu, okazują, że autor nieraz zbyt się daleko dawał fantastyczności porywać i przesadzał niekiedy w dobrych chęciach otoczenia symboliczności poezją i cudownością. W tém więc całe źródło mglistości i wszystkich w ogóle wad Anhellego. —

Przystępuję teraz do szczegółowego przeglądu myśli Słowackiego w dziele niniejszém.

Poeta daje na samym początku wizerunek widocznie emigracyi naszej ówczesnej. Exystencją jej nienormalną, między obcymi, na tułactwie, zowiąc figurycznie życiem w Sybirze, powiada:

„Przyszli wygnańcy na ziemię sybirską i obrawszy miejsce szerokie, zbudowali dom drewniany, aby zamieszkać razem w zgodzie i miłości braterskiej; było ich zaś około tysiąca ludzi z różnego stanu.“ Mieli ci nieszczęśliwi między sobą utrzymywać nadzieję, „bo nadzieja przejdzie z nich do przyszłych pokoleń i ożywi je“. Mieli czuwać nad sobą, „bo byli jak ludzie stojący na podniesieniu“...

I rzeczywiście „przez jakiś czas był pomiędzy nimi wielki porządek i wielki smutek; albowiem nie mogli zapomnieć, że są wygnańcami i że już nie zobaczą... chyba Bóg zechce —“

Lecz czasy tego porządku i smutku nie były długie. Niektórzy tylko z nich zajęli się swoją pracą. Niebawem znaleźli się między nimi, „którzy chcieli aby je nazywano mądrymi i zostawali w bezczynności, mówiąc: Oto myślimy o zbawieniu ojczyzny“... I okazało się aż zbyt rychło, że ten zastęp wygnanców był tylko jedną plagą więcej dla społeczeństwa, z łona którego wyszedł. — „Dobrzy byliby z nich ludzie w szczęściu, ale je nędza przemieniła w ludzi złych i szkodliwych; albowiem serca ich były słabe. Byli ludem starym, których wskrziesić na duchu cudem jest“...

To więc wizerunek pierwszy stanu społeczeństwa naszego — w latach, w których był pisany Anhelli.

Począwszy od rozdziału III do IX ciągnie się cała galerya podobnych tegoż stanu obrazów. Jestto niejako wędrówka dantejska przez cały obszar stósunków exystencji owoczesnej narodu. Figura fantastyczna, Szaman, prowadzi przez to społeczne piekło poetę, jak w Komedy Boskiej Wirgili prowadził włoskiego wieszca. Ci dwaj spotykali na drodze swojej różne potępione za swoje przeszłość osobistości. Anhelli spotyka się z równie potępionemi, lecz nie indywiduami, ale stósunkami, spotyka się z cierpieniami kolosalnemi narodu, które się już zamieniły w stały obyczaj, w panujący i niezmienny stan rzeczy...

Cała ta część dzieła i najartystyczniej jest wykonana i najłatwiej poddaje się wyrozumieniu. Nie ma potrzeby zatrzymywać się tu nad składającymi ją ustępami z osobna. Wszystkie obrazy są wzięte z rzeczywistego życia. Wprawdzie otacza je zawsze pewna ornamentyka fantastyczna, cudowność, która analizy nie znosi. Zrażać się tem nie należy, taki już bowiem jest cały sposób poematu, który mamy przed sobą. A bardzo zmyślnie też postąpił sobie poeta, że ku końcowi tego przeglądu narodowych cierpień i pokut (na str. 126) od niechcenia rzucił słowo, które ten cały szereg obrazów, pod względem ich formy, pozwala uważać za rzeczy ukazane że tak powiem na tle widzenia, za sen. „I przekonany był Anhelli, że widzenie kopalni snem było, albowiem nie wiedział, jak z nich wyszedł.“ —

Na dalszych kartach, od rozdziału dziesiątego począwszy, następuje że tak powiem, wytłómaczenie, dlaczego dzieć się mogą pod okiem bożem takie monstrualności społeczne. Autor wraca do owego zastępu tysiąca ludzi mieszkających w wspólnym domu, pozostawionych przy woli własnej, od których zaczął całe swoje opowiadanie. W obrazach co tylko przeprowadzonych przed oczyma naszymi, odsłonił co naród znosi i cierpi. W scenach, co teraz następują, przychodzi mu okazać, co to społeczeństwo czyni. Ma on tu na oku, jak się już rzekło, przedewszystkiem ówczesną emigracyą. Ale jak emigracya była tylko odbłaskiem tego wszystkiego, czém naród cały wtedy był w sobie i co był czynić gotów, gdyby tylko na to pozwalały okoliczności: tak też i całe opowiadanie, które tu poeta daje, nie do samych tylko emigracyjnych stosunków ściągać należy, ale do całej sumy postępowania i zabiegów w narodzie, o ile takowe nawet w daném położeniu były wynikiem własnych instynktów i jako czyny wolnej woli stanowiły o doli społeczeństwa w przyszłości. — Cóż się tedy dzieje pośród owęj liczby wygnańców, co mieli mieszkać razem w zgodzie i miłości braterskiej i czuwać nad sobą, gdyż byli jako ludzie stojący na podniesieniu? — Poeta odsłania jeden rys tylko w ich usposobieniu ówczesném. Czy że nie dostrzegał innych wad, które toczyły i toczą ustrój społeczny nasz, czy że nie chodziło mu, jak tylko o symboliczne naznaczenie tego stanu chorobliwego, ku czemu wystarczała już i ta jedna skazówka: — dość że podnosi tylko samą nieudolność polityczną owych tysiąca ludzi, jako znamię, które cechuje wszystkie ich kroki. Marzycielstwo, fanatyzm, bezmiłość itd. są to już tylko drugorzędne przymioty i wyniki głównej winy, jaką odsłania, a którą wedle niego jest ta nieuleczona jakaś zapamiętałość, z jaką społeczeństwo nasze, jakby fatalizmem jakimś pędzone, chcąc ojczyznę zbawić, tylko coraz głębszą dla niej wykopuje mogiłę...

Owi wygnańcy tedy, mówi poeta, sobie samym zostawieni, po niedługim czasie klócić się zaczęli pomiędzy sobą. „I podzielili się na trzy gromady; a każda z nich myślała o zbawieniu ojczyzny. Więc pierwsza na czele miała grafa Skir, który utrzymywał stronę tych, co się przebiorą w kontusze i nazywać

się będą szlachta, jakby z Lachem na nowo przybyli do kraju pustego. A druga miała na czele żołnierza chudego imieniem Skartabellę, który chciał ziemię podzielić i ogłosić wolność chłopów i równość szlachty z żydami i cyganami. A trzecia na czele swoim miała księdza Bonifata, który chciał kraj zbawić modlitwą i na ocalenie kraju podawał sposób jedyny, iść i ginąć nie broniąc się, jak męczennicy... —

W taki więc sposób oznaczywszy hasła, które czasu owego, kiedy był pisany Anhelli, rzeczywiście wiele już sprawiały wrzawy w teorii, a w późniejszych latach po kolei odegrały role swoje w praktyce: maluje poeta w dalszém opowiadaniu zachowanie się tych gromad w stosunku wzajemnym jednej do drugiej.

Gromada Skartabelli, uzbrojona w siekiery, gotuje się do rozprawy z drugimi gromadami w swój sposób, w polu. Siła i siekiery mają tedy podpomóc prawdzie. Ale nim przyszło do walki, nabożny zastęp Bonifata poddaje radę, żeby ten spór raczej przed sądy Boga wytoczyć. Rada została przyjęta, stawiają tedy trzy krzyże, na każdym ma być przybity męczennik swego stronictwa. „A kto najdłużej żyć będzie, przy tym zwycięstwo.“ — Wystąpili więc trzej rycerze, którzy za swoje przekonanie śmierć ponieść chcieli. Nie byli wybrani losiem, lecz z własnej woli. Bardzo trafnie, z wielką znajomością stosunków, dodaje do tego poeta: — „Nie byli to gromad wodzowie, lecz jedni z najmniejszych“...

„I zawieszono na krzyżach ludzie owe obłąkane i przybito im ręce ćwiekami; a ten co był na prawo krzyczał: równość! A ten co był z lewej krzyczał: krew! Wiszący zaś pośrodku mówił: wiara!“ — Nadaremnie, kiedy ich przybijano do krzyża, dał się słyszeć głos z nieba wołający: „Co wy czynicie?“... Dopiero kiedy było po czasie, kiedy ludzie owi trzej na krzyżach swoich skonali, dopiero wtedy tłumy zaślepione przejrzały, że się to nie godziło. Porwane strachem, rozbiegły się wtedy samopas, każda gromada w inną stronę, aby tak brojąc coraz gorzej, ostatecznie rozprząc się do reszty i zatonać w zgiełku, śmiechu i wrzaskach, w szczękaniu kielichów i brudnych pieśniach.

— „Wichry rozsiewają dębu nasiona i różnoszą je po ziemi; lecz wichry te będą przekłete, co wasze mowy i rady do ojczyzny zaniosą. Oto obraziliście ludy téj ziemi — i z oszczepami stoją czyhając na was; psy ich nawet czyhają, aby z was którego rozedrzeć.“

Te słowa prawdy wkłada autor w usta Szamana. Szaman je wypowiada wygnancom i zostaje za to przez nich zamordowanym. Prawdy jednak z nim razem zabić oni nie potrafili. Kończy się z nimi, jako im było przepowiedziano, że pomrą marnie przed dopełnieniem się czasu. W wielkim dniu zmartwychwstania, w chwili tryumfu sprawiedliwości, nie ma już na ziemi ani śladu po tych ludziach ani po szopie, którą sklecili swemi rękami. Ich nienawiści wzajemne, ich smutki, ich rzekoma miłość ojczyzny, ich szamotania się gorączkowe strawiły się same w sobie. Wrogowi nie zaszkodziły, dla nich samych były przekleństwem i zgubą.

Póty pierwsza połowa dzieła.

Na tém ciemném tle rozpaczliwych stosunków, w przeciwstawieniu do tych typów potępionych w massie i jako massa pozostawionych też w głębi obrazu, spostrzegamy na pierwszym planie kilka postaci z osobna zwracających na się uwagę. Ich oblicza także są smętne, ale idealne. Sympatya nasza jest z nimi. Widać ze wszystkiego, że je wymarzyła miłość artysty. Oto w samym środku téj grupy widzimy pogrążonego w zadumaniu młodziana, z obliczem ku zachodowi zwróconém — to Anhelli. U stóp jego klęczy schylona jak pokutnica niewiasta — Ellenai. Przed nimi idzie Szaman, mędrzec sybirskich pokoleń. A w górze, jak uroczyste widzenie, wznosi się świetlana postać anioła — Eloee... O napisanie gorzkiej satyry, o samo tylko potępienie naszego społeczeństwa, nie mogło chodzić poecie. Miał on niewątpliwie przed oczyma jakiś zamiar dodatni, wdzięczniejszy, kiedy tworzył ten poemat. Obaczmy, czy go nie odgadniemy z oblicza której z tych czterech przedniejszych figur obrazu.

Nim powiem o Anhellim, co mam na myśli, niech mi wolno będzie powiedzieć choć słowo o autorze. Słowacki w życiu swoim mało zaznał szczęścia. Żył samotny, opuszczony, często

nawiedzany przez rozpacz. Nicraz zadawał sobie pytanie, dlaczego cierpi? Szukał przyczyn, rozmyślał nad celami, dla których dostała mu się taka właśnie rola w podziale; lecz — odpowiedzi na zapytanie to nie znajdował. Poeta nasz nie pojmował jasno bytu swojego na ziemi. Nie widział przed sobą celu swojego, ani nie umiał zdać sobie sprawy ze stósunku, w jakim zostawał do reszty społeczeństwa.

To co człowieka dręczy jako niedocieczona zagadka, zazwyczaj bywa nieustającym tematem jego rozmyślań. Żeby się pozbyć téj myśli męczącej umysł, zwyczajny człowiek najchętniej o tém gada, z kim tylko może. Badacz rozpoczyna o takiéj kwestyi dzieło uczone. Artysta, poeta... tworzy sobie z téj wewnętrznej męki serca swojego w wyobraźni ideał i znajduje już przez to samo zadowolenie, że go ogląda przed sobą przedmiotowo, jakby to było coś osobnego, w czém jak w zwierciadle przejrzeć się można.

Taka praca albo doprowadza do rozwiązania tajemnicy, albo przynajmniej do pewnego oswobodzenia się od niéj. Jestto jakby zadośćuczynienie popędowi, który dopóki zamknięty, nie daje mi-ru. Jestto jak ze smutkiem, jeśli takowy kogo nawiedzi. Samo wynurzenie i podzielenie się nim z drugimi przynosi ulgę. Najdotkliwszą jest boleść, kiedy nie ma się na nią nawet przed kim poskarżyć. Powiernik czyjéj zgryzoty już przez to samo, że słu-cha, staje się pocieszycielem. Słowem, jest w człowieku potrzeba wygadania tego, czém przepełnione jest serce; a poeta czyni po-trzebie téj zadość — tworząc.

Otóż i autor Anhellego chciał pozbyć się téj ciągłej myśli, która go prześladowała pytając: — Dlaczego ty cierpisz? Na co ty się rodziłeś, jeżeli takie miało być twoje życie? Czy twoje smutki zdadzą się na co? Dlaczego drudzy ludzie, dlaczego bra-cia twoi żyją inaczej?... Chciał mówić poeta nasz pozbyć się tych trapiących wątpliwości ducha swojego za pośrednictwem twór-czej pracy, i miał przekonanie, że stawiając w wyobraźni przed sobą człowieka, to samo co on zajmującego stanowisko na świecie i obdarzonego podobnym duszy nastrojem, w i d e a l n y m, skoń-

czonym wizerunku téj wymarzonej natury znajdzie zwierciadło, zdolne rozwiązać niejedną i z własnych jego zagadek.

Bohater jego poematu — nie jestto zatem prosta, pochlebiająca osobistęj próżności kopia tylko osoby autora. Jestto ideał i prototyp — ale wymarzony w tymże kierunku. Jest on pod względem położenia swego na zewnątrz także jednym z liczby owych tysięcy ludzi, zesłanych na wygnanie. Tęskni do ojczyzny, do normalnej doli społecznej, równie boleśnie, jak oni. Lecz krom téj jednej z nimi wspólności, nie ma między Anhellim a tym tłumem wygnańców żadnego podobieństwa. Widzimy w nim człowieka wyjątkowego. Drogi jego takie, że po nich idzie samotny, smutny... Będąc „czysty jak lilia biorąca z wody liście i kolory niewinne“, pozostaje z dala od tych nienawistnych i gorączkowych zapędów, na jakich tamci zużywają swoje siły, znajdując przynajmniej złudzenie, że coś działają. „W duszę Anhellego wlna jest miłość serdeczna dla ludzi i litość.“ Pomimo tego jednak, ta jego wyższość duchowa nie staje się nikomu do niczego przydatną. Anhellemu zbywa na sile, któraby wzięła panowanie nad resztą ludzi i czy to z ich wolą, czy mimo ich woli sprowadziła ich z téj drogi błędnej, po której idą. Anhellego siła nie jest z tego świata. Jestto w społeczeństwie poeta. Zamieszkał w nim anioł poezyi i zamienił go całego na swoje tylko narzędzie — czyli jak to po kilka razy wypowiada w dziele swojém Słowacki: „Anhelli opętany jest przez Anioła.“ Właśnie przeto, najwznioślejsze uczucia jego zużywają się w sobie, nie przetwarzają się w czyny. Całe życie jego upływa mu więc beczynnie, w odosobnieniu — w niewysłowionym smutku. Nie widać, żeby z tego wynikał jaki owoc — czy to dla niego samego, czy dla pokolenia, pośród którego żyje, czy dla ojczyzny.

A jednak powiada o tym człowieku Szaman: — „Oddany jest na niego większy ciężar, niż mogą unieść inni, aby w nim było odkupienie“ (str. 107). Jest zatem konieczność i cel takiego życia, tylko że Anhelli tego nie wie o sobie i nie powinien, nie może o tém wiedzieć. Inaczéj bowiem cierpienia i smutków ten nie miałby już ani tego stopnia ani tego znaczenia.

To zdaje się być kluczem najwłaściwszym do rozumienia roli,

w jakiej wymarzył poeta bohatera swego utworu. Ta smutna egzystencja bez pociech i bez świadomości celu, któremu służy, przeprowadzona jest od początku do końca tak logicznie, jednolicie i z tak wyraźnym zamiarem, że wątpić wcale nie można, iż o to właśnie autorowi chodziło.

Ażeby się o tém przekonać, zestawmy wydatniejsze momenta, zapomocą których odsłania się charakter tej idealnej natury.

— „Oto szafirowe niebo i gwiazdy białe patrzą na mnie, mówi Anhelli o sobie. Sążto gwiazdy tesame, które mię widziały młodym i szczęśliwym? Dlaczegoż nie powstanie wichry, co mię z ziemi zwieje i zaniesie w krainę cichą? Dlaczego ja żyję?

„Oto już jednego włosa nie ma na głowie mojej z tych, które były dawniej; oto się nawet kości we mnie odnowiły: a ja zawsze pamiętam... A nie ma jednej kawki w powietrzu, któraby nie spała przez jedną noc życia w spokojnym gnieździe. Lecz o mnie Bóg zapomniał.

„Chciałbym umrzeć. Bo zdaje mi się, że gdy będę umarłym, to sam Bóg pożałuje tego, co ze mną uczynił.“ (str. 130).

— To są uczucia, pod wpływem których widzimy go w środku zawodu. — Nie mniej smutne, posępniejsze jeszcze, są ostatnie Anhellego chwile na ziemi. Przeżył wszystkich swoich, patrzył na zgon obu istot, które na ziemi były jedyne, co go kochały (Szaman i Ellenai); dożył zagłady i całego owego pokolenia, do którego rodem należał, a które wśród bezowocnych szamań z losem i pośród przekleństw wzajemnych zmarniało, nie pozostawiając ani znaku po sobie. Pozostał sam jeden w swoim świecie Anhelli — „jak harfa z porwanymi strunami“. I oto czasy mają się ku dopełnieniu, straszne przesilenie się waży i dzień odrodzenia jest bliski. Jeszcze jedna noc, noc długa, okropna, ciemna, „sybirska“, lecz tylko jedna: a „dzień wielki“ po tej „nocy wielkiej“ zaświta. Ale Anhelli o tém wszystkiém nic nie wie! Aniołowie, którzy przychodzą zwiastować mu śmierć, nie mówią mu ani słowa o tém, co ma nastąpić w tak bliskim czasie. Mówią do niego słowami, których dźwięk taki, jakby się wszystko skończyło. Opuszczają go, wyrzekłszy co mu mieli zwiastować, jakby nie było żadnej już pociechy dla niego. Wyraźnie

chodzi o to pocie, aby to życie, idealne i ofiarne, zgasło już w tym strasznym zmierzchu między światem urności a nocą rozpacz. w tém duchowym półświecie nadziei i beznadziei, które jest największą ze wszystkich męczarni serca. Pod tym tylko warunkiem będzie z życia człowieka tego ofiara, godna stanąć za odkupienie... Dopiero po spełnieniu się życia takiego nastąpić może chwila... oczekiwana!

W takito sposób tłómaczę sobie cały ów obraz w rozdziale XV, gdzie się znajduje kilka wyrażen i pomysłów, które z innego punktu widzenia byłyby albo trudne do zrozumienia albo nawet zdolne wykładu, wręcz przeciwnego przekonaniom poety. Mianowicie mam tu na myśli to miejsce:

„I rzekli mu aniołowie: Oto przyszliśmy ci zwiastować, że dzisiejsze słońce wstanie jeszcze, lecz jutrzejsze nie pokaże się nad ziemią.

„Przyszliśmy ci zwiastować ciemność zimową i większą okropność, niż jakiej ludzie doznali kiedy: samotność w ciemnościach.

„Przyszliśmy ci zwiastować, że bracia twoi pomarli, wściekli od krwi ludzkiej, a ty jesteś ostatni.

„A jesteście ci sami, którzy przed wiekiem przyszli do chaty kołodzieja i usiedli za jego stołem w cieniu lip pachnących.

„Lud wasz wtenczas był jako człowiek, który się budzi i powiada sobie: oto mię rzecz miła czeka o południu i weselić się będę wieczorem.

„Zwiastowaliśmy wam nadzieję, a teraz przyszliśmy zwiastować koniec i nieszczęście, a Bóg nie kazał nam wyjawiać przyszłości.“ (str. 142).

— Pomimo skarg, jakimi odpowiada na te Aniołów słowa Anhelli, ciemna zasłona przyszłości nie zostaje mu odchyłona. Zaledwie mimochodem, w formie pytania, tonem wątpliwego niejako przypuszczenia, nasuwają mu Aniołowie myśl, która gdyby mu była oznajmiona jako pewność zwiastowana z ich strony, byłaby osłoda jego niedoli, a nawet wynagrodzeniem sowitým za wszystkie cierpienia jego:

„A wieszli ty, czy od spokojności twojej nie zależy żywot jaki, a może żywot i los milionów?

„Możesz jest wybrany na ofiarę spokojną, a chcesz się zamienić w piorun gwałtowny i być rzuconym w ciemność dla przestrachu zgrai?“ (str. 144). —

W ostatnim dopiero rozdziale przypuszczenie to otrzymuje piętno prawdy i pewności. Wypowiada je tam poeta powtórnie, przez usta Eloï, w sposób dowodnie ukazujący, że to jeden z pewników w obrębie jego przekonań, i że w tej myśli zawarte było całe założenie, jakie podjął w dziele niniejszém: — „On był przeznaczony na ofiarę, nawet na ofiarę serca.“ (str. 147).

Lecz w tej formie słów tych już nie słyszał Anhelli, jako nie miał słyszeć i tryumfalnych hasel, które równocześnie powstawały już natenczas na ziemi i „jakoby szum burzy wielkiej“ powoływały „ludzi silnych do życia, a do zmartwychwstania narody.“ Chwila ta przyszła dopiero nazajutrz po jego zgonie. Ten zgon cichy i samotny, po życiu bez żadnych pociech, miał być właśnie warunkiem nadejścia czasu, którego obrazem kończy się cały poemat.

Na tém kończę, com miał do powiedzenia o głównej postaci w tym utworze.

— O Szamanie i innych osobistościach w skład Anhellego wchodzących, wystarczy i krótkie słowo. Szaman jest tylko fantastyczną postacią, allegoryą. Zupełnie mylném byłoby rozumienie, że w nim uosobiony jest geniusz sybirskich antochtonów. O sybirskie mądrości nie chodziło wcale poecie. Że go autor stawia jako króla i kapłana ludów tamtejszych, to tak obojętne, jak że Szaman jest ubrany w futra i korale, a na głowie ma wieniec z węzów nieżywych zamiast korony. Jestto wszystko tylko fantastyczny ornament — proste następstwo tego, że w ogóle takiej formy i tej przenośni za tło poematu użyto. Skoroć się rzecz niby dzieje w Sybirze, toć i mędrzec ów na jej przestrzeniach musiał się zjawić. Więcej jednak w fantastycznej jego postaci istotnego znaczenia nie ma, jak że to jest plastyczne uosobienie tego wszystkiego najwznioślejszego, czego ani w tłumie owych tysięcy wygnańców, ani nawet w Anhellim nie ma. Chodziło o to, ażeby pośród tego pokolenia, przywalonego fatalizmem

szału i grzechu, dać się czasem odezwać głosowi siły i prawdy, chociaż jój nikt więcej między nimi nie słucha, tylko poeta Anhellu. Chodziło dalej o okazanie, że to wszystko boże i żywotne, czego pełen jest Szaman, nie ma za naczynie i za narzędzie swoje owej generacji wygnańców, lecz zostaje zewnątrz nich — a więc... w obcym człowieku. Szaman jednakże (powiada poeta) nauczył się tego wszystkiego od ojców naszych, „których znał i widział jak żyli bogobojnie“ (str. 106). A zatem mądrość jego jestto własna nasza tradycya narodowa, ale nie będąca w posiadaniu obecnych pokoleń — tradycya jak dla dzisiejszych ludzi, zapomniana. — Rola Szamana w poemacie jest zresztą jedną z podrzędnych. Działanie jego tylko pozornie zdaje się być wydatniejszém, niżeli niém jest w istocie. Oprowadzanie bowiem owo Anhellego po różnych miejscach kraju, „ażeby mu ukazać wszystkie cierpienia ludu jego i wszystkie nieszczęścia téj ziemi“, jestto tylko złudzenie wyobraźni czyli środek artystyczny, na to użyty, ażeby połączyć z sobą rozrzucone wizerunki narodowej martyrologii i nadać im ciąg jakby akcyi jednolitej. Rzeczywiście ruch ten odbywa się w duszy własnej Anhellego. Jestto widzenie...

Ellenai zdaje mi się być w poemacie jeszcze więcej podrzędnej tylko wagi. Jestto tylko akcesoryum do Anhellego. Wyobraża jedyną z znikomych osłód, która mogła zastąpić temu zboliałemu sercu jakiś cień ludzkiego szczęścia. Ellenai idzie za Anhellim, podziela jego samotność, kocha go jak siostra i więcej... ale to wszystko miało trwać tylko znikomą chwilę. — Chodziło widocznie poecie o to, ażeby ukazując, jak u stóp jego przedwczesną śmiercią uniera jedyna, która go rozumiała, tém posępniejszym jeszcze uczynić obraz smutku pierwszorzędnej w dziele osoby.

Uboczne napomknięcia o przeszłości téj niewiasty zdają mi się rzeczą dla głównego pomysłu już obojętną. Poeta przedstawia w niej pokutnicę. Nie wiadomo, czy dało mu do tego powód jakie osobiste przypomnienie z życia własnego, czy też może tylko biblijny obraz Magdaleny klęczącej u stóp Chrystusa posłużył mimowiednie za wzór do odtworzenia go tutaj. Bądź co bądź — nie upatrujmy w tém wszystkiém niczego więcej, jak tylko przy-

padkowe, w taki właśnie przeprowadzone sposób wykończenie obrazu. Postać Ellenai miała być wydetałiowana — autorowi się podobało dokonać tego w tych rysach; mógł on być użyć do tego i innych środków, a wrażenie całości byłoby pozostało *tosamo*.

Najwięcej fantastycznym tworem imaginacyi, do tego stopnia, że niepodobno tu już wchodzić w rozbiór jego znaczenia, zdaje mi się być w *Anhellim Eloë*. Pierwotnie zapewne przesunęła się przez myśl autorowi intencja, wprowadzić w skład poematu uosobienie Sławy. Nie miała to być owa sława rozgłosna, stugębna, z zimną admiracją po świecie roztrębująca czyję wielkość i nieśmiertelność, jak sobie takową zwykle wyobrażamy; ale raczej rzewna, cicha, łzawa pamięć po zmarłych, przywiązana do mogił, gdzie leżą ich kości, i zarazem obecna w sercach, dla których te mogiły są drogie i swoje. Takiej to sławy pragnął dla siebie poeta nasz i taka też tylko jej postać zdawała mu się godną znaleźć miejsce w jego obrazie. Stworzywszy sobie symbolicznie wcielenie tego pomysłu, widząc go w kształcie niewieściego anioła „z białemi skrzydłami i ze smutną gwiazdą na włosach, który chowa umarłe i strzeże ich grobów“, zadumał się autor nad tą cudną postacią. I fantazyja jego tworcza pochwyciła tę allegoryą w swój zakres. Myśli poety popłynęły daleko: znalazły się całe dzieje, cały rodowód dla tej istoty anielskiej. Symbol sztywny przetworzył się w życie, w imię, w romans i pokutę za niego, przemienił się w dziewicę zdolną uczuć ludzkich i splacającą cierpieniem wszystko, co w tych uczuciach bywa niższego sfery czystych aniołów.

„Oto się zowie *Eloë*, a urodziła się ze łzy Chrystusowej na Gulgocie, z tej łzy która wylana była nad narodami.

„Gdzieindziej napisano jest o Anielicy tej, jako zgrzeszyła ulitowawszy się nad męką ciemnych Cherubinów i umiłowała jednego z nich, i poleciała za nim w ciemność.

„A teraz jest wygnaną jak wy jesteście wygnani, i ukochała mogiły wasze i piastunką jest grobowców, mówiąc kościom: nie skarżcie się, lecz śpijcie!

„Przywyknij do niej za życia, albowiem będzie na mogile

twojej stąpać przy blasku księżyca; przywyknij do głosu jej, abyś się nie obudził, gdy mówić będzie.“ (str. 131).

Owoż więc i cała powieść, która się jak bluszcz zielony owinęła koło pomysłu, nie będącego pierwotnie niczem więcej jak tylko allegoryą. Powstał w taki sposób ideał dziwniej czystości w wykonaniu — eteryczny i niebiański, że i pedzel mistrza z Fiezoli nie stworzył nic więcej serafickiego. Ale symboliczne znaczenie ulotniło się z tego obrazu.

I tak pozostaje niejeden szczegół, niejeden inny jeszcze ustęp w *Anhellim*, który analizy nie dopuszcza. Jestto ta treść jego połowa, która i wynika ze samej tylko fantazyi, i nie przemawia, jak do fantazyi. Ubolewać trzeba, że jeśli miało już dzieło to w taki sposób być wykonane, nie ma przynajmniej wydatniejszej granicy pomiędzy miejscami tego właśnie rodzaju a szczegółami, które coś znaczą. Przez zręczniejszą rozdzielanie światła i cieni, jako też przez bacniejsze przestrzeganie miary wszędzie właściwej, mógł był poeta ten dział fantastyczny i tylko akcesoryalny widoczniej odznaczyć od symbolicznych poematu ustępów. Tego zupełnie zaniedbał.

Drugi zarzut możnaby *Anhellemu* uczynić ze strony wniosku, który z niego wynika. Ziszczenie się pragnień narodowych, a w najgorszym razie odrodzenie innych społeczeństw, ma wedle Słowackiego być więc zawisłym od takich cichych ofiar, od takich niekrwawych męczeństw, jakiem był cały zawód *Anhellego* na ziemi. Miałoby to rzeczywiście być prawdą? Trzebaż, ażeby najczystszy i najlepszy w narodzie marnieli w beczynnym smutku? Żeby konali samotnie jako nieświadome misy swojej narzędzia przeznaczenia czy opatrności, domagającej się... „odkupienia“? Czy społeczeństwu zda się to na co, że ten i ów — wyrzucony z zastępu czynnych — strawi się w samotności i melancholii? Czy taką idealną protestacją daje się co naprawić? Czy łzami, które tylko Bóg widzi, spłaca się wina pokoleń, które żyły i które żyją? Czy to wystarcza?

Są pytania, na które i milczenie jest odpowiedzią, a do takich pytań niezawodnie należą i obecne. Doktryna ostatecznie przeprowadzona w *Anhellim* jest mętna i fantastyczna. Gubi się ona

w nieznurtowanych głębinach mistycyzmu. Mistycyzm ten w pojęciu o przeznaczeniu swoim na świecie, jako poety, daje się wprawdzie poniekąd zrozumieć u Słowackiego. Położenie jego było w owych latach, kiedy utwor ten pisał, tak smutne pod każdym względem, że wcale się dziwić nie można, iż go znajdujemy przywalonego takim brzemieniem moralnego znękania. Bezwzględnie i przedmiotowo jednak rzecz biorąc, trudno to inaczej nazwać, jak zbłąkaniem — szukaniem wyjścia z trudności na drodze, która do celu nie wiedzie.

ROZDZIAŁ JEDENASTY.

Rok 1839 i 1840. — Poeta osiada w Paryżu i wydaje Trzy Poemata, toż Balladynę. — Korespondencya z Krasińskim. — Kilka słów mimochodem rzuconych o wartości wydania „Wyjątków z listów Z. Krasińskiego“. — Słowa Krasińskiego o Mickiewiczu, Słowackim i Cieszkowskim. — Stósunki Juliusza z matką, zawierają się na nowo. — Życie jego w Paryżu — stósunek do Emigracyi — Amnestya. — Wychodzi z druku Mazepa i Lilla Weneda. Powstają nowe dzieła: Krakus — Wallenrod — Beatryx Cenci — dramat Beniowski i niektóre pomniejsze rzeczy, to wierszem, to prozą pisane. —

Niedługo po napisaniu owego wiersza „Do Zygmunta“, oznaczonego datą dnia 4 grudnia 1838 r., któryśmy zamieścili w poprzedzającym rozdziale, i w każdym razie zapewne jeszcze przed Nowym Rokiem, opuścił Słowacki piękną stolicę Toskanii i przeniósł się do Paryża. Z przyczyny przerwy w jego korespondencyi do matki, o której powodach wspomnieliśmy już w rozdziale poprzednim, nieznane mi są bliższe szczegóły podróży i przybycia poety do wielkiego miasta, jak zwykł był zawsze Paryż nazywać. Mianowicie niewiadomo mi, czy jechał przez Szwajcaryą i czy po drodze odwiedził dawne swoje gospodynie genewskie.

Stanawszy na miejscu, Słowacki zajął się zaraz wydawnictwem dzieł swoich. Trzy poematy, w różnych czasach i różnijszych jeszcze miejscach powstałe, t. j. Ojca Zadżumionych, „W Szwajcaryi“, i Wacława, pomieścił w jednym tomiku i wydał go pod napisem:

Trzy Poemata, przez Juliusza Słowackiego. Paryż 1839. 12° str. 121.

Niezwłocznie potem wyszła:

Balladyna, tragedia w 5 aktach, przez Juliusza Słowackiego. Paryż 1839. 12° str. 212.

Obydwa te dzieła wyjść musiały z pod prasy najdalej około końca miesiąca lutego. Tygodnik Literacki poznański w numerze z dnia 18 marca donosi o nich, jako o nowościach będących już w rękach publiczności.

Balladyna była więc czwartą już z kolei Słowackiego publikacją w tym drugim jego autorskim zawodzie. Od czasu wydania Anhellego minęło już było kilka miesięcy. Napróżno brał poeta nasz do ręki różne ówczesne pisma czasowe, czy w nich nie znajdzie śladu wrażenia, jakie dzieło to sprawić mogło na czytelnikach. W żadnym z nich nie było, czego szukał. Wprawdzie pojawiła się recenzja Anhellego niezbyt głęboko w przedmiot wcho-
dząca w Tygodniku Literackim poznańskim (autorem jój był Nepomucen Sadowski); lecz to nastąpiło dopiero później, w numerach kwietniowych 1839 r. W chwili, kiedy się drukowała Balladyna, dochodziły poetę na to najulubieńsze jego dzieło ze strony bliższych znajomych same tylko skargi, że Anhellego niepodobno rozumieć. A w dalszych kołach zalegało o nim, jak o wszystkiem, co przed tém wydał, — milczenie głucho.

Z tego to powodu dołączył autor do Balladyny przedmowę, ułożoną w kształcie listu do jedynego między ludźmi, o którym wiedział, że słyszy i rozumie głos jego.

Cudny ten list zaczyna się od przypowieści, którą miano mu opowiadać w Grecyi nad Salaminij zatoką.

„Stary i ślepy harfiarz z wyspy Scio przyszedł nad brzegi morza egejskiego, a usłyszawszy z wielkim hukiem łamiące się fale, myślał że szum ów pochodził od zgiełku ludzi, którzy się zbiegli pieśni rycerskich posłuchać. Oparł się więc na harfie i śpiewał pustemu morza brzegowi, a kiedy skończył, zadziwił się, że żadnego ludzkiego głosu, żadnego westchnienia, żadnego pieśń nie zyskała oklasku. Rzucił więc harfę precz daleko od siebie, a te fale, które śpiewak mniemał tłumem ludzkim, odniosły złote pieśni

narzędzie i położyły mu je przy stopach. I odszedł od harfy swojej smutny Greczyn, nie wiedząc że najpiękniejszy rapsod nie w sercach ludzi, ale w głębi fal egejskiego morza utonął“.....

Następnie daje autor kilka prześlicznie, choć nie zbyt jasno wypowiedzianych wskazówek, jakby chciał ażeby była rozumiana ta nowa jego tragedia; wreszcie kończy temi słowami:

„Rozpisałem się długo, a zamierzyłem być tylko napisać:

„Autorowi Irydyona

na pamiątkę

Balladyne

poświęca

Juliusz Słowacki.“

Odpowiedź, która na to ze strony Krasińskiego nadeszła, znajduje się w rękach moich. Stanowi ona pierwszy w szeregu dziesięciu listów, przez tegoż poetę do Juliusza pisanych, które się znalazły w pozostałych tegoż papierach. Korespondencya ta całkowita przypada na czas od 23 lutego 1840 do 12 kwietnia 1843 r. *).

Wydawca powszechnego zbioru listów Krasińskiego, których tom pierwszy wyszedł p. t. „Wyjątki z listów Zygmunta Krasińskiego“ (Paryż, 1860), wyrażony pod przedmową literami K. G. (zapewne pan Konstanty Gaszyński), miał także już, jak się zdaje, przed sobą kopie rzeczonych dziesięciu listów. Dziwną jednakże jest rzeczą, że nie chciał, czy nie mógł, czy też wreszcie nie umiał wydawca zrobić z nich ani tyle użytku, ażeby ich ogłoszenie zdało się komu na co. W ogóle pojąć nie umiem, czego chciał pan Gaszyński czy też rodzina zmarłego, wydając rzeczoną książkę? Najprzód bowiem porozrzucono wszystkie listy poety na różne kategorie, najdowolniej przyjęte, nie trzymając się wcale ciągu czasu, w jakim były pisane. Jeżeli cały cel oddania do rąk publiczności listów prywatnych wielkiego człowieka na tém jedynie zależy, ażeby to rzuciło jakieś światło

*) Nadmieniam, że kilka wyjątków, tylko wyjątków, z tych listów godnych ogłoszenia w całości, dano już w Dzienniku Literackim Lwowskim r. 1852 i 1857.

na jego życie, na genezę jego wyobrażeń i że tak powiem, na całe dzieje jego wewnętrznego istnienia: toć oczywiście nie można objawów tego wszystkiego porządkować inaczej, jak tylko w naturalnym ciągu i łańdzu, a takim jest jedynie porządek czasu. Ale to jeszcze byłaby najmniejsza wada rzeczonęj publikacyi. Pan Gaszyński pozwolił sobie i okrawać jeszcze listy Zygmunta! i jak okrawać! Z dziesięciu tych listów do Słowackiego pisanych, które znam w całości, mogę brać najlepszą miarę o generalnej zasadzie, podług której tam rozstrzygano, które ustępy są niby to stósowne do publikacyi, a które znowu mniej zajmujące. Co tylko w liście było prawdziwie ciekawem, co tylko miało jakie takie odniesienie czy to do chwili czy też do indywidualności obojga osób korespondujących ze sobą, to wszystko podobało się szanownym wydawcom właśnie odrzucić! A wcielono do książeczki same tylko miejsca ogólnikowe, filozofematy, *loci communes*, sentencye itp. któreby mógł każdy do każdego napisać, z tą chyba jedną różnicą, że stylem nie dorównałby Krasińskiemu. Na dobitkę zaś, ażeby konfuzya była co się zowie gruntowna, uważano tam jeszcze za stósowne, nie tylko zataić chwilę, kiedy który taki z listu poety wycinek był napisany, ale i do kogo był wyrzeczony! Przecież Krasiński miał zwyczaj kłaść na listach swoich dokładne daty i roku i miejsca i dnia nawet, kiedy co pisał! A tam tylko miejsce i liczba roku są położone. Oznaczenie zaś dnia i miesiąca zmazano, jakby to było rzeczą zgola obojętną, wśród jakich chwilowych okoliczności myśl która w duchu poety zabłysła. Zapewne, najczęściej wszystko to jedno jest, czy kto co powiedział z początku roku, czy z końca, szczególniej jeżeli to dotyczy zwyczajnego człowieka. Ale kiedy sprawa z wielkimi ludźmi, których żywot prędzej czy później będzie przedmiotem szczegółowych dociekań, to nieraz na takiem wskazaniu wszystkich towarzyszących okoliczności właśnie najwięcej zależy. A któż je wskazać potrafi, jeżeli nie będzie dokładnie wiedział, gdzie i kiedy się co działo? Kto wydaje czyje listy, a zatem materyały dopiero do późniejszego opracowania: ten przewidzieć tego naprzód nie może, który szczegół się okaże czasu swojego w ważnych punktach właśnie rozstrzygającym, a

który jest pobocznej i obojętnej wagi. Wydawca listów pośmiertnych powinien dać wszystko w takiej postaci, jak to jego ręką doszło, i uważać wszystko za nietykalne! Co się tyczy wreszcie osób, do których listy Krasińskiego były pisane, te osłonięte są taką tajemniczością, jakby to komu zbrodnią było i wstydem, że z nim korespondował Krasiński! Tylko o pierwszym dziale listów wiemy, że były pisane do pana Konstantego, i o ostatnim, że do dzieci poety. Dwa zaś pośrednie działy, gdzie właśnie mieszczą się i okruchy rzeczonych dziesięciu listów do Słowackiego, te zaległa mistyczna zagadkowość do tego stopnia nieprzenikniona, że nawet wiedzieć nie można, ile się tam ukrywa osób, które odbierały te listy.

„Pragnąc, aby ta książka — mówi pan Gaszyński w przedmowie — mogła bez przeszkody krążyć po całym obszarze dawnych ziem polskich, musiano tymczasowo usunąć z niej wiele ważnych i znakomicie pięknych listów. (— A czemużby takich listów nie ogłosić osobno?) Z wszystkich zaś innych zamieszczono jedynie główne (?) ustępy, stanowiące pewną artystyczną całość.“

Mnie się zdaje, że o artystyczną całość nie chodzi wcale w ogłaszających się zbiorach korespondencji, zwłaszcza prowadzonej z różnemi osobami; lecz jedynie o autentyczność i sumienność. Listy Krasińskiego zresztą same przez się całość taką będą składały, bylebyście je tylko dali tak, jak były napisane, bez użycia nożyc niepowołanej ręki. I pod tym też tylko dopiero warunkiem mogło być nastąpić rzeczywiście to co wyrzekł pan Gaszyński na końcu swojej przedmowy jako nadzieję, to jest: że „każdy czytelnik, który dawniej tylko uwielbiał — teraz ukocha autora tych listów i stanie się pośmiertnym jego przyjacielem.“

Ale dajmy temu już pokój i powróćmy do rzeczy.

Ogłoszona w r. 1839 Balladyna z ową na czele przedmową nie zaraz doszła ręką Krasińskiego. Spotkał on się z dziełem tém dopiero w kilkanaście miesięcy później, za przybyciem swoim do Rzymu w r. 1840. I wtedy też dopiero podziękował Juliuszowi

za owe serdeczne słowa wymierzone do siebie, listem drugim i zajmującym, z którego warto tu przytoczyć kilka ustępów*).

.... „Widać, że Cię nie doszły nędzne wiezasy, ale nie nędzne myśli pod ich strzępami ukryte, któremi przed sześciu tygodniami dziękowałem Tobie za twoją pamięć — za twój list. Wtedy dopiero doszły do mnie słowa twoje, chociaż napisane przed rokiem. Com przed laty myślał o siostrze Aliny, to samo do dnia myślę. *Midsummer night's dream!***) Nic doskonalszego, a jednak rzeczywistszego co do formy i treści swojej nie ma na świecie...

... „W Tobie leży jeden ze znaków, że to, co poczytują za umarłe, nie umarło. Życie twoje duchowe jest tak wzniosłe, że mi zawsze jest jakoby znakiem zmarłych wstania. Znam takie trzy duchy, każdego wielkim w swoim okręgu... Jeden przeszedł — minął — zostawił za sobą obelisk granitowy wśród pustyni — obelisk stoi — ten co go postawił, uczy Szwajcarów, jak nie mają nigdy umieć po łacinie... Drugi posiadał wszystko, na czém zbywało pierwszemu — posiadał język polski, tak jak się posiada kochankę, gotową na każde skinienie... na śmierć, gdy każesz, na życie, gdy spojrzysz — posiadał i objął ten język magnetyzera cudną potęgą, tak że nie on za językiem, ale język za nim goni i prosi się jego i mówi mu: „Ot! cały twój jestem — każ, a posłucham — zawołasz, przybiegnę — mrugnieś w niebo, polecę tam — wskażesz piekło palcem, zstąpię do piekła — chcesz bym stwardniał w bryłę? patrz, marmur ze mnie — bym w gaz się ulotnił? patrz, jakim błękitny, i znów śniady, a przezroczysty, płynny, prawie już nie będący — jednak zawsze twój.“ — Ten drugi duch zagarnął pod siebie wszystkie widnokreśli wyobraźni. To, co w pierwszym było jednością — twardą, granitową, w siebie garnącą świat, w pewne ciasniejsze kluby niż sam wszechświat chwytającą — tu się stało rozplynieniem, powrotem

*) To co tu daję, może zarazem posłużyć za próbkę, w jakim to stosunku mają się autentyczne listy Zygmunta do tych okiełszowanych fragmentów, które znamy za pośrednictwem ich paryskiego wydawcy. Z całego np. tego długiego listu dano tam tylko urywek 18 wierszowy, zawierający bardzo obojętną dla każdego, chociaż skądinąd poetycznie sformułowaną definicyę Poezyi. Wszystko inne zaś poczytano jakby za niebyłe. Mówię o urywku na str. 193 i 194, zaczynającym się od słów: „Poezya, mojem zdaniem...”

**) Angielski tytuł sztuki Szekspira „Sen Nocny Letniój.”

do szerzy, do płynności światła — do gry tęż — do fal muzyki — do woni kwiatów — do wszystkiego, co tylko chce się rozprysnąć i rozwiać na wszystkie strony, by znaleźć nieznalezionego Boga. Jest forma panteistyczna niezawodnie w tym drugim duchu. On stoi jak szyba mórz wśród wszechświata, i odbija wszystkie słońca — księżyce — anioły — bogi — szatany, co się przesuwają nad nim. W nim właśnie jest jedność ich wszystkich. Stąd pochodzi, że czasem ludzie jego własności nie umieją odkryć, bo im zawsze chodzi o to, co mają najbliżej pod nosem, nie o to, co nad głowami ich się dzieje — a to jednak dzieje się w niebie... Ten drugi duch... ty wiesz, że to Ty! — Trzeci... to August Cieszkowski, ale ten należy do Filozofii. Otóż z was trzech odgaduję łąčno, że ziemia, co was wydała, zieloną jest i że na jej mogiłach kwiaty porosną...

... „Zresztą ty lepij to wszystko wiesz odemnie. Mojem zdaniem, komu zaraz sypną się wieńce laurowe, ten znać że dyabłą bufonadę, przystępną, zrozumiałą natychmiast wszystkim powiedział. Kto ma nigdy nie umierać, niech poczeka trochę, aż żyć zacznie. Wszystko co tylko ma styczność z wiecznością, powoli się odbywa.

... „Julu, zaklinam Cię, nie dbaj o te gwary, co kiedyś nawrócą się do Ciebie. Trzymaj naksztalt harfy eolskiej duszę twoją wyżej nad wszystkie dłonie ludzi, wśród powiewów nieba. Niech myśli Boga — promienie gwiazd i skrzydła przelatujących aniołów grają na niej, — a nie myśli ludzi — redakcyje paryskie — zdania — uwagi — naprawy. Przemieszaj trochę żółci do twoich lazurów. Obaczysz, jak ten ziemski pierwiastek chemiczny ziemię przynęci do Ciebie. Więcej jest wątrób na ziemi, niż serc. Ach! jakże Cię wtenczas będą rozumieć wątroby. Dalej, niezawodnie żółć jest w poemacie tym klejem, co spaja rozerwane części jego bytu, co świat cały przeistacza w jego osobę. Spróbuj, oni o to się domagają. Dopiero uczują Twoją rękę, gdy z gruba na nich uderzysz, gdy im spadnie ciężka — kościasta na skronie. Dopóki wzniesiona w powietrzu — i ku gwiazdom — ku przybytkowi Boga: dopóty oni myślą, że to biała lilia rosnąca niewinnie na łąk błękitnych przestrzeni. Do korda i na sejmik — rąbać mi i siekać — a zastawiając trupy na placu, znów porość w skrzydła i zawisnąć na niebie“...

Tój rady Słowacki posłuchał i z dobrym skutkiem, jak się to pokazało; ale dopiero po roku.

List kończy się takim ustępem:

„Bądź zdrow — bądź szczęśny — bądź kochany! — nie mówię bądź sławny, bo będziesz nim. Nie życzę nikomu tego, co mu bogi dali. Dotąd wielki artysta, tylko artysta, Cię obejmie, zgruntuje, zrozumie. Ale ty zstąpisz niżej — ty wsiąkniesz w serca malutkich. Gdybym miał i ja narzeczcie jedną Ci uwagę uczynić, to jedyną tylko bym uczynił: Granit rzuć pod twoje tęcze. Tęcza gdy łukiem się zakala po niebie, winna stopy śliczne oprzeć na podstawie granitowej, to jeszcze ją lepiej tęczą robi. — A teraz myśl o mnie, pamiętaj o mnie... Tobie tortury zaczęły, mnie skończą życie... Oddasz mi kiedyś ten napój pociechy, który zawsze sączyłem tobie — a nie tak z czary mōzgu mego, jak z serca. Bądź mi sercem kiedyś — kiedyś w przyszłości! Ściskam Cię, jak dawniej nad drogą bolńską“...

To wszystko wyjmujemy więc z listu Krasińskiego z dnia 23 lutego roku 1840, datowanego z Rzymu. Rok ten pamiętny jest w życiu tego poety z ogłoszenia „Trzech Myśli Ligezy“ —

Tymczasem, w ciągu jeszcze poprzedniego lata, rozpoczęła się na nowo korespondencya między naszym poetą a jego rodziną. Ułatwiły się cokolwiek stósunki. Wuj Słowackiego był jeszcze trzymany na wygnaniu, ale czujność władz przestała już tyle ciężać na jego krewnych. Zagadnięto tedy znowu Juliusza nowinami z Krzemieńca i ośmielono do odezwania się wzajem. Pierwszy z listów jego do matki, stanowiących ten drugi, że tak powiem, rozdział korespondencyi pomiędzy nimi, ma datę 24-czerwca 1839 r. —

Wielka to jednakże już różnica między listami Słowackiego pisanymi teraz a dawniej! Pisywał on odtąd już tylko rzadko i krótko, i udzielał wiadomości o rzeczach jedynie obojętnych, ogólnych. Częstokroć nawet dopiero odgadnąć trzeba, o czem właściwie mówi Słowacki, kiedy używa słów zupełnie trywialnych i skądinąd zgoła co innego znaczących. Ukryta myśl nawet i takich miejsc jest wprawdzie pod politycznym względem bardzo niewinna; ale jemu wyraźnie o to chodziło, ażeby zatarte były wszelkie ślady, że te listy pochodziły od niego. Dlatego też unikał odtąd systematycznie wszelkich wzmianek o zawodzie i powodzeniu swoim jako pisarza, i nic nie donosił o dziełach, które

piisał albo wydawał. Ten brak najciekawszej właśnie i najważniejszej strony jego korespondencji daje mi się czuć bardzo, kiedy ten rozdział piszę. Nawet osobę i imię swoje przez czas pewien zastępował inną osobistością i inną nazwą. Zaczął pisywać do matki jako niby jakaś młoda jej przyjaciółka czy też wychowanka. Nazywał się więc Zosia; Matkę tytułował: Moja kochana Sally (Salomea było jej imię). Niekiedy zaś, kiedy mu już koniecznie wypadało dobitniej mówić o sobie, wyrażał się w taki sposób, jakby mówił o kimś trzecim. Imię tej osoby było natenczas *Mr. Jules d'Avallon*, jakiś niby to Francuz. Równie też rzadko kiedy dawał datę czasu i miejsca, skąd co pisał. Zwykle było to zupełnie pomijane milczeniem; niekiedy Paryż był zastąpiony jaką miejscowością krajową; tak np. znajdujemy list jeden pisany niby z Podhorzec...

Niezawsze jednak umiał Słowacki utrzymać się w granicach tej przybranej roli przez ciąg całego listu! Natura jego zbyt była nieprzedmiotowa i zbyt bezpośrednia, żeby się nie był miał zapominać niekiedy. Tak na przykład, począwszy list z razu w charakterze Zosi, na dalszych jego stronicach mówił: byłem, widziałem, zdrów jestem itp. Często napotykały i co do istotnej nawet osnowy takie nieostrożności i niekonsekwencje. Gdyby listy te były ściągnęły na się uwagę urzędowych listów literatury badaczów, przekonany jestem, że właściwy autor byłby łatwo odkryty w tej analizie filologicznej. Nam dzisiaj jednak pochopność ta autora do wypadania z roli może być tylko dogodną i dla celu naszego najkorzystniejszą.

Owoż, na zasadzie tych listów, znajdujemy Juliusza w ciągu lata 1839 w tym samym stanie moralnym, w jakimśmy go widzieli w latach poprzedzających. Mieszkał w stancyi najętą na ulicy *des Pyramides* pod Nr. 6. Żył samotnie, pracował wiele, od emigracyjnych zatargów trzymał się zdala.

... „Bylbym szczęśliwym, gdyby mi nie brakło familijnego życia; żyję bowiem jak mnich — a Ty nie pojmiesz, jakto serce przez takie życie usycha; jak zamierają wszelkie uczucia, jakby sama natura mściła się, że się od jej zwyczajnych dróg oddalamy. Mam teraz na świecie kilka

przyjaciół takich, którzy mię szacują i bronią; ale ci wszyscy są odemnie dalecy. A tu otoczony jestem ludźmi, do których przylgnąć nie mogę. Zazdrośni bowiem są — małego serca — niezdolni ani uczuć ani pojąć szlachetnych myśli; słowem są to zatarte szelagi, zimne, spleśniałe! Najwięcej więc czasu przepędzam sam, pisząc sobie i bawząc różne awantury i przywidzenia, z czego taka korzyść, że mi życie złości i różnemi okrywają tęczami. Są to miłe mi okienka w chacie mojej, przez które widzę wiele rzeczy i twarzy znajomych. Czy życie takimi snami zajęte życiem jest, nie wiem; ale to pewna, że mię od wielu rozpaczy broni i czasem przyjemność sprawia.“ (z listu pisanego niewiadomo w którym miesiącu, ale w roku 1839).

Takich wyrzekań na emigracyą paryską bardzo wiele jest w listach Słowackiego ówczesnych.

„Koledzy moi zepsuci są biedą — życie z nimi bardzo niemiłe! Wystaw sobie, droga, ludzi znudniałych, którzy o niczém gadać nie chcą i nie umieją, ludzi, którzy się odłączyli zupełnie od towarzystwa jak wykleci, i żyją między sobą, nudząc się wzajemnie. Robią, co mogą, abym ich nienawidził! Mam jednak i pomiędzy nimi pewną powagę, którą mi nadaje czystość moja wewnętrzna. Wolałbym szczerą miłość, ale téj nie ma pomiędzy nami, a stworzyć jęj nie mogę!“

.... „Nuda miejskiego życia, stan pieniężny etc. wywiera zgubny wpływ na umysł. Są dni, których niczém zająć nie można. Człowiek się rzuca w kraj imaginacyi i żyje w nim. Ale są reakcye okropne, w których umysł nudzi sam siebie. Wtenczas ani wieczór przepędzony na graniu w wista, ani gawronienie się po ludnych ulicach nie jest lekarstwem. Świeżość umysłu traci się, a nabycie wiadomości, których nikomu udzielić nie można, czyni umysł podobnym do spiżarni zawalonej spleśniałymi wiktuałami.“ (z listu z d. ? listopada 1839).

... „O! gdyby tylko 200 dukatów na rok! Żylibyśmy oboje w jakiej willi otoczonej różami i pomarańczami we Florencyi. Czasem posłuchałabyś śpiewów włoskich — czasem i ja bym Ci sam za towarzystwo wystarczył. I takby nam płynęły dni — njebardzo świetnie, ale miło, z błogosławieństwem bożem dla obojga. Czyż i tyle skromnego szczęścia nie można uprosić u Boga? Myśl, myśl nad tém, droga moja, a choćby przyszło część tego co mamy stracić, ja tak życie nasze urządzę, że nam wystarczy. Wierz

mi, droga! Ja nie mam żadnych snów wielkości, a i Ty może nie bardzo chcesz złoczonego szczęścia“... (z listu z d. 24 czerwca 1839).

Tylko takie miejsca czytając, pojąć można, dlaczego tyle talentów, tyle zapału, tyle gotowości do ofiar, ile jęj było w Emigracyi ówczesnej, wydało jednak tak mało plonu dla kraju pożytecznego i znędzniało, jak ów kwiat exotyczny, pozbawiony ożywczej rosy i grzejącego promienia słońca. W ten tylko sposób zrozumieć można, dlaczego Mickiewicz we dwa, najwięcej we trzy lata po przybyciu do Paryża na emigracyą, tworzyć zupełnie zaprzestał; dlaczego wszystko, czego się tylko tknęła ręka tych biednych wygnańców, przybierało jakiś krzywy kierunek, wiało tchnieniem chorobliwem i mimo najpoczeiwszych chęci, więcej szkodziło niżeli pomagało...

Byli to ludzie w samęj rzeczy, jak się Słowacki wyraża, zepsuci biedą i samotnością, strawieni nieszczęściem i tą ciągłą tęsknotą, która się stawała tém niecierpliwszą i tém zapędliwiej przechodziła w niewyrozumiałość wzajemną, posuniętą do wysokiego stopnia, im bardziej przedmiot bezpośredni działania ginął z oczu tych nieszczęśliwych. Nienaturalność atmosfery, którą na obcój ziemi przymuszeni byli oddychać, i brak celu dalszego życia przy ciągłych rozczarowaniach — oto co nam tłómaczy wszystko...

A jednak żyli oni w silném przekonaniu i wierze, że ich cierpienia nie będą nadaremne! Stali na stanowiskach swoich, jak jaka stracona czata, i uważali sobie za obowiązek dotrwać na zajętych posterunkach do końca.

W r. 1840 zapowiadane były w krajach pod berłem rosyjskiem na korzyść pewnych kategorii wychodźców politycznych niejakiie ulaskawienia i ulgi. Przy téj sposobności poruszono w gronie Emigracyi pytanie: czyby z téj amnestyi nie należało korzystać? Zdania były różne. Ostatecznie zdaje się jednak, że w skutek owéj amnestyi mało kto powrócił do kraju.

Ważne jest miejsce w jednym z listów Juliusza, ściągające się właśnie do téj okoliczności. Powtórzę je tu dosłownie, zatrzymując sposób allegoryczny, jakim się w owéj porze zwykł był wyrażać.

„Przejeżdżając przez wioskę moję pan Andlej, mówił mi, że widział Ciebie, że gdy widział, płakałaś — i to mi serce rozdarło. Ale Ty wiesz, gdybym ja mogła porzucić moję kuzynkę ślepą i sparaliżowaną, już byłabym dawno z Tobą, już bym Ci służyła z całą miłością biednej dziewczyny a Twojej niegdyś wychowanki. Nieszczęśliwy ten świat, że nie pozwala nam robić, cobyśmy chcieli, ale nas wiąże i krępuje różnemi wymaganiami i obowiązkami! Oby przynajmniej Twój brat nie był opuszczony w powszechném, jak słyszę, ulaskawieniu! oby już był przy Tobie! (z listu z d. 21 października 1840).

Z tém się wiąże ów wiersz Słowackiego Do Matki, ogłoszony dopiero w wydaniu pozgonném, który jeszcze lepiej uczucia ówczesne autora wyraża:

Zadrży ci nieraz serce, miła Matko moja,
Widząc powracających i ulaskawionych.
Kląć będziesz, że tak twarda była na mnie zbroja,
Tak uparte wytrwanie w zamiarach szalonych.

Wiem, że wróceniem mojem lat bym ci przysporzył; —
Wszakże gdy się pytają, czy twój syn powraca?
Mów — syn twój na sztandarach jak pies się położył
I choć wołasz — nie idzie, oczy tylko zwraca...

Oczy zwraca ku tobie!... Więcój nic nie może —
Tylko spojrzeniem tobie smutek swój tłómaczy;
Lecz woli tutaj konać, niż iść na obrozę,
Bo woli zamiast hańby — pić czarę rozpaczy!

Przebacże mu, o moja ty piastunko droga,
Że się tak zaprzepaścił i tak zaczeluścił;
Przebacz... bo gdyby nie to, że opuścić Boga
Musiałby — toby ciebie pewno nie opuścił!

— Pomimo wszystkich tych smutków i przeciwności, autorska energia Słowackiego w owych czasach trzymała się jednak krzepko i rosła przy ciągłej pracy. Wydawnictwo dzieł dawniejszych, a teraz przeznaczonych do ogłoszenia, także szło swoim

torem. Na samym początku 1840 (w ciągu miesiąca stycznia albo lutego) wyszedł dramat niegdyś przez autora na spalenie skazany, a teraz zapewne częściowo przerobiony:

Mazepa, tragedia w 5 aktach przez Juliusza Słowackiego. Paryż. 1840. 12° str. 145.

Krytyka téj sztuki przez K. Libelta pojawiła się w Tygodniku Literackim poznańskim już w numerze z d. 30 marca 1840, okoliczność popierająca powyższy wniosek o chwili wyjścia Mazepy.

Niezwłocznie potem opuściła prasę praca zupełnie nowa, świeżo napisana:

Lilla Weneda, tragedia w 5 aktach przez Juliusza Słowackiego. Paryż. 1840. 12° str. 154.

Była drukowana w ciągu miesiąca kwietnia, jak tego dowodzi data, położona przez autora pod przedmową. Przedmowa ta, prześlicznie napisana, jest znowu w formie listu do Krasińskiego. List ten nazwałbym prawie poetyczniejszym, niż sam poemat. Dziwnie pięknóm jest mianowicie zakończenie tych kartek:

„A teraz, kiedym ci się wypowiadał, usiądź na ułamku jakiejś dawniej ruiny, albo pod cieniem Wirgilowego lau-ru i niech cię gwarząca moja przeszłość otoczy! — Usiądź nad kryształową jaką i smętną wodą, abyś z książką moją mógł to zrobić, co zamysłona z białą różą w ręku dziewczyna: to jest, oberwać ją liść po liściu, rzucić w wodę płynącą i pytać się losu listków o los człowieka. A zniszczywszy tak ciało Lilli Wenedy, odtwórz ją na nowo w myśli swojej większym blaskiem odzianą — i piękniejszą sto razy — i niech ta postać do nas obojga należy! niech będzie jako łańcuch łączący dwóch Wenedów ręce, nawet w śmierci godzinie! — A tych dwóch wodzów... czy ty myślisz Irydyonie, że tworząc ów myt jedności i przyjaźni, nie łudziłem się słodką nadzieją, że kiedyś i nas tak we wspomnieniach powiążą i na jednym stosie postawią? — Ty mię wtenczas umarłego będziesz trzymał na piersiach i mówił mi do ucha słowa nadziei i zmartwychwstania, albo wiem za życia słyszałem je od ciebie jedynie!”

Autor Irydyona był owego lata, w którym go doszły te słowa, na ciele chory, a na duchu znękany. Bawił w Karlsbadzie

natenczas. Byłby mógł i wtedy to samo już powiedzieć o sobie, co rokiem później pisał do innej osoby:

„Sądziłem, że przeznaczon do życia wśród ludzi żywych; — nie wiedziałem, że ulice z grobów będą domem moim, umarli towarzystwem, kościół największy świata — salą godową; posagi białe mroźnego blasku — koleżeństwa dawnego zastępcami; równiu mazowieckich — kampania rzymska przypomnieniem; — i że młodość moją tak beczynnie strawię, tak chorobliwie zeżrę, tak nikczemnie utracę!...“

Odpowiedział Słowackiemu natenczas listem, który w szeregu owych dziesięciu mnie znanych zajmuje drugie z kolei miejsce.

„Drogi Julu — tak się zaczyna ów list, datowany z Rzymu z dnia 19 grudnia 1840 — i Lilla i list twój odane mi są. O pierwszej, już temu 5 tygodni, długi a długi do ciebie wyprawilem artykuł. Iżaliś go odebrał?*) Przeczytałeś skargę białej dziewczyny? Uznałeś w głębi serca jej prawo do skargi? i rozrzewniłeś się nad nią? Czy cię zły duch Szekspira nie popchnął do niesprawiedliwego ofuknienia się na klęczącą u stóp twoich?“...

Z tych słów godzi się wnosić, że było coś w Lilli Wenedzie, z czego nie zupełnie był zadowolony Krasński. Może nam się uda w przyszłym rozdziale odgadnąć, o co mu też chodziło.

— A teraz przechodzę do rzeczy, na której wyjaśnienie niecierpliwie pewnie czytelnicy moi czekają. Powinienbym powiedzieć na podstawie listów poety, które dzieła jego nowe powstały w tym czasie stałego już odtąd pobytu jego w Paryżu, za wrotem z Włoch. Na nieszczęście w listach Słowackiego odpowiedi na to nie znaleźć. Spotyka się w nich tylko, i to po kilka razy, zapewnienie, że ciągle pracuje, że wiele pisze; ale bliższych o tém szczegółów nie ma.

„Teraz żyję, jak mogę; bazgrzę sobie i czas mi upływa, a tak prędko, że prawdziwie przerażam się jego szybkim znikaniem“ —

Oto w taki to ogólny i lakoniczny sposób wzmiankował w latach owych poeta o swoich literackich zajęciach.

*) Artykuł, o którym tu mowa, nie znaleziono między papierami Słowackiego.

Biorąc w pomoc rezultaty, do jakich mię doprowadziło głównie rozpatrzenie się w pozostałych Słowackiego papierach, obejmujących jużto utwory całkowite za życia jego nie drukowane, już szczątki, urywki i fragmenty rozmaitych rzeczy nie dochowanych w całości: nie waham się stawić na pewne twierdzenia, że cały ten szereg lat od 1839—1842 stanowił w życiu naszego wieszczą w ogóle okres kulminacyi jego talentu, energii i dzielności. Wszystko prawie, co tylko było owocem owéj epoki, bez różnicy czy było ogłoszoném już przez samego autora, czy teraz dopiero w wydaniu naszém, okazuje w nim łatwość tworzenia, samodzielność, trzeźwość duchową, takt artystyczny i w ogóle dojrzałość, do jakiej nigdy przedtém zbliżyć się nie potrafił. W 30 tedy roku życia stanął Słowacki na téj wyżynie artyzmu, jaką w ogóle zająć było mu przeznaczoném w ciągu jego zawodu. Samo się rozumie, że ta wyżyna jego najwyższa nie była to doskonałość bezwzględna. Nie mogła ona być nawet ani względną jego doskonałością. Boć wątpliwości to nie podlega, że gdyby nie te smutne okoliczności, w jakich ciągle życie jego płynęło, gdyby mianowicie nie fatalna owa przyniesiona przez Towiańskiego zaraza ducha i mistyka, która jak prawdziwe dopuszczenie i kara boża, w roku 1842 obłąkała tyle znakomitych i pierwszego rzędu mężów naszych żyjących na emigracyi, a między nimi i Słowackiego: — to ciągły postęp jego jako wieszczą narodowego idąc takimże torem i dalej, byłby ostatecznie osiągnął zupełnie innego kresu. W obec atoli tego wszystkiego, co zaszło i na czém się skończyło: czas ów powyżej wskazany — było stosunkowo jego najświetniejszą epoką.

Pomiędzy ogłoszeniem *Balladyny* (1839) a *Beniowskim* (1841), powstały w ogóle następujące dzieła nowe:

Nasamprzód w tym szeregu widzimy wspomnianą już wyżej i wydaną w r. 1840 *Lillę Wenedę*, niejako kontynuacją pomysłu, na tle którego *Balladyna* była osnuta. Autor zamierzał „z Polski dawnéj utworzyć fantastyczną legendę, z ciszy wieków wydobyć chóry prorockie“... „Uśmiechnij się teraz Irydyonie — pisał do Krasieńskiego w przedmowie do *Balladyny* — bo oto naśladowując francuskich poetów, powiem ci, że *Balladyna* jest tyl-

ko epizodem wielkiego poematu w rodzaju Aryosta, który ma się uwiązać z sześciu tragedyi czyli kronik dramatycznych.“ — Otóż drugą taką kronikę dramatyczną, drugą taką przedwiekową Polski legendę miała stanowić właśnie Lilla Weneda.

A trzecią była tragedia **Krakus**. Według wszelkiego podobieństwa do prawdy — bytło utwor dokonany niedługo po napisaniu Lilli, i w tymże samym sposobie. Na nieszczęście, z dramatu tego nie pozostało więcej, jak tylko początek. Między autografami poety znalazł się z téj sztuki tylko jeden arkuszyk, listowego papieru, nader drobném zapisany pismem, prawie bez żadnych poprawek i z dokładném zawsze oznaczeniem nazwisk osób prowadzących z sobą dyalog. Z tego wnoszę, że to był już odpis na czysto. W brulionie bowiem zwykł był Słowacki pisać tok dyalogu w taki jedynie sposób, że przy każdej jego przerwie dawał na początku wiersza tylko linijkę, na znak, że tu zaczyna mówić kto inny. Zresztą w brulionach jego bywają też dość częste przekreślenia i odmiany. Skoro zaś upoważnia wszystko do wniosku, że rzeczony arkuszyk mieści w sobie text już przepisywany: godzi się w każdym razie być zdania, że **Krakus** był utworem całkowitym, a nie urywkiem; urywków bowiem i tylko napoczętych robót nie zwykł był Słowacki nigdy przepisywać na czysto. Przeciw twierdzeniu temu nie dowodzi niczego, że nie ma obecnie z **Krakusa** więcej, jak tylko te cztery pierwsze sceny, które dopiero dało poznać czytającej publiczności lwowskie wydanie. W ogóle chcąc sobie to wytłómaczyć, że między pozgonnemi Słowackiego pismami tyle znalazło się fragmentów, wiedzieć należy, że nie miał on nigdy zwyczaju używać do pisania poszytów. Czy to komponując, czy też munduując rzecz już skończoną — zapisywał on zawsze arkuszyk za arkuszykiem; a kiedy rzecz była doprowadzona aż do samego końca, składały się te pojedyncze arkusze w zwitki, i w tym stanie, niezeszyte, składane bywały między plikami najrozmaitszych innych papierów. W wyjątkowych tylko razach i nie inaczej jak z powodu szczególnych chyba okoliczności (np. jeżeli ktoś drugi miał się zająć przepisaniem autografu), zwitki takowe były zszywane w poszyty i tworzyły całość nie tak już łatwą do

rozprószania. Przy wielkiej poniewierce, jakiej papiery Słowackiego później podłóc musiały, (powiedzieć tego nie umiem, czy to było po jego zgonie, czy jeszcze za życia, kiedy pod wpływem Towianizmu zmienił kierunek i nie cenił sobie prac z przed roku 1842), było to rzeczą bardzo naturalną, że z owych zwitków luźnych arkuszy ginęły całe partye, a niekiedy przepadało i wszystko, z wyjątkiem kilku albo jednego tylko arkusza, szczególnym ocalonego trafem. Za takito arkusz przypadkowo dochowany z całości, uważam i fragment, o którym tu mówimy. A potwierdza mię w tém mniemaniu i ta jeszcze okoliczność, że arkusz, w którym fragment ten się mieści, zapisany jest jak najnabiej aż do samego dołu, i rzecz się urywa w takiem miejscu, że widocznie musiał tu być jakiś ciąg dalszy...

Co się tyczy pytania, jakie przedmioty zamierzał Słowacki opracować w dalszych dramatach, to jest w kontynuacji Lilli Wenedy, Krakusa i Balladyny: na to odpowiedzieć nie umiem. Miejsce mianowicie czwarte i piąte musi pozostać na zawsze niezapełnionem, brakuje tu bowiem nawet dla domysłów wszelkiego punktu oparcia. Ostatniem ogniwem tego fantastycznego łańcucha pieśni, z sześciu złożonego dramatów, mógł być utwor osnuty na dziejach dogorywającej Litwy pogańskiej, który także dochował się tylko w urywku i dany jest w wydaniu lwowskiem pod nazwiskiem Wallenrod. Za trafność téj nazwy nie zaręczam, w rękopisie poety bowiem żadnego tytułu nie było, gdyż sztuce téj w ogóle braknie początku; i oświadczam z góry, że jeżeliby kto twierdził, iż tu dzielny Witold więcej na bohatera sztuki zakrawa, niż melancholijny z rozdartém sercem Wallenrod, to i ja bardzo pojmuję powody takowego mniemania. Patrząc atoli na rzecz tę ze stanowiska naszego poety, zdawało mi się, że większa, a przynajmniej głębsza i poetyczniejsza rola do odegrania była tu przeznaczona znurtowanemu nieszczęściem charakterowi mistrza Krzyżaków, aniżeli normalnej i doraźnie działającej naturze Kiejstutowicza. Takiem jedynie powodem skłoniły mię do nazwania sztuki téj „Wallenrodem.“ Spis osób, dany na czele tego fragmentu, jest także tylko dodany przez wydawcę, a nie przez poetę; jażko ani wątpię, że na téj małej ilości figur nie kończyło się

w całym organizmie dramatu. Zaprzeczyć nie można, że niektóre z charakterów są nader silnie rzucone. W ogóle ujmuje w tym urywku kompozycja pełna prostoty i prawdy, ciągły ruch akcji, zawikłanie różnostronnych interesów prowadzone z dramatycznością i życiem, sceniczność bacznie przestrzegana w całym układzie — słowem zalety, na jakich nieraz dawniej zbywało nawet ogłoszonym Słowackiego dramatom. Nieodżałowana szkoda, że i ta praca nie doczekała się lepszych dla siebie czasów inaczej, jak tylko w tym stosunkowo tak drobnym już tylko szczątku! Szczątek ten stanowiłby pierwszą połowę całej sztuki, gdyby nie brakło początku aktu pierwszego. Rękopis, w którym się znalazły te sceny, jest własnoręczny; stanowią go dwa arkusze listowego papieru, wypełnione równie drobnym pismem, jak w Krakusie. Pierwszy arkusz, nieodszukany w pozostałych papierach, zawierał w sobie expozycję i niewątpliwie to wszystko, czego sztuce braknie obecnie z początku. Ocalone dwa arkusze szły zaraz po nim. A zdaje się, że być kiedyś musiały i te 3 lub 4 dalsze arkusze, które mieściły w sobie drugą połowę tragedyi; cała bowiem powierzchowność ocalonej części manuskryptu jest tego rodzaju, że koniecznie przypuścić trzeba, iż to jest tylko wyrwany środek z całości.

Co się zaś tyczy drugiego urywku, który w wydaniu lwowskiem dołączony jest do Wallenroda, jako dodatek pod napisem Walter Stadyon: uważam go za robotę zgoła odrębną, w innym jakimś czasie pisaną i nie mającą bliższego związku z tamtym utworem, nad przypadkową tożsamość osoby bohatera. Byłto, zdaje mi się, pomysł luźnie rzucony od ręki i nigdy już potem nie prowadzony dalej. Znalazłem go między tysiącem innych rzeczy — w książeczce, w której zapisywał sobie Słowacki różne noty i spostrzeżenia.

Po Lilli Wenedzie, Krakusie i Wallenrodzie, wymieniam jako czwartą pracę Słowackiego na te lata przypadającą, dramat pod tytułem „Jan Kazimierz.“ Daje o nim wiadomość P. Reitzenheim w broszurze swojej francuskiej o Juliuszu Słowackim, wydanej w Paryżu r. 1861. Autor broszury, jeden z bliższych niegdyś znajomych poety, mówi o dramacie niniejszym w sposób, który dowodnie przekonywa,

że mu takowy był znany jako całość skończona i zupełna. Przy tém robi uwagę, że w żadnym innym Słowackiego utworze nie dochodziła dosadność i dokładność artystyczna do tego stopnia, co tutaj. Mianowicie charaktery Jana Kazimierza, Czarneckiego, toż obojga Radziejowskich miały być oddane w sposób prawdziwie godny Szekspira. Te pochwały P. Reitzenheima wzbudzają tém więcej żalu, że i ten utwór tak znakomity przepadł prócz kilku scen, któreśmy odszukali w zamęcie papierów pozostałych i wcielili do fragmentów dramatycznych, objętych w trzecim tomie pism pośmiertnych. Sceny rzeczone przypadają prawdopodobnie na akt Iszy, w każdym razie na pierwszą połowę sztuki; znalazły się pisane drobną ręką, własną ręką poety, i zapełniały wszystkie jeden arkuszyk takiegoż papieru, jaki był użyty do Krakusa, do Wallenroda i w ogół do tych wszystkich rzeczy, które w owych latach powstały. To rozstrzyga o czasie, w którym być musiał napisany Jan Kazimierz. Cały zewnętrzny pozór arkuszyka, o którym tu mówimy, przekonywa dostatecznie, że stanowił pierwotnie tylko część rękopisu, złożonego niegdyś z kilku podobnych arkuszy. Przy wyraźném świadectwie p. Reitzenheima niepodobna o tém wątpić, że i ten tedy dramat czasu swego był dziełem doprowadzoném do końca i dopiero w późniejszym czasie podległ zniszczeniu.

Piątą pracę dramatyczną, powstałą w tymże ustępie życia, była *Beatryx Cenci*. Była pisana w roku 1840, w pierwszych miesiącach.*) — Tragedyą tę oddano mi w rękopisie w nader charakterystycznej postaci, ani nawet nie przypuszczając, żeby w tych 6 arkuszykach, w których się ona mieściła, miała znajdować się całość. Arkusze były i tutaj rozleciałe, nieponumerowane. Zapel-●

*) Wiadomość tę można uważać za pewną. Między papierami Słowackiego znalazła się luźna karta, z napisem jego ręki: „Tragedya — *Beatryx Cenci* — napisana — 1840 roku.“ W Tygodniku Poznańskim donoszono w r. 1840 już dnia 18 maja, że się dramat Słowackiego pod tym tytułem właśnie drukuje w Paryżu. Doniesienie to było co do głównej rzeczy, t. j. co do druku, przedwczesne, a nawet zupełnie mylne. Ale nasuwa wniosek co do czasu powstania tej sztuki.

niał je dyalog, którego rozłożenie między mówiące osoby oznaczone było najczęściej samymi tylko kreskami. Żadnych odznaczeń, gdzie się scena jaka kończy a zaczyna nowa. Słowem rękopis ten był w takim stanie, że po długich nadaremnych usiłowaniach złożenia sześciu arkuszy owych w taki sposób, żeby się rzecz dała powiązać z sobą w ciąg jakiś: nabrano już przekonania, że i to tylko są urywki, a raczej szczątki niestanowiące całości, z powodu że kilku arkuszy widocznie braknie. Mianowicie sprawiło to trudność w zorientowaniu się w rękopisie, że nie można było dopatrzeć, gdzie właściwie jest początek tragedii. Był to bowiem dopiero pierwszy koncept utworu, brulion, w którym nie tylko dużo było ustępów przekreślonych, a potem zastąpionych nowymi pomysłami, rzuconymi na papier w miejscu nieraz bardzo odległym od sceny, do której rzecz należała, ale nawet zdarzały się tam czasem wsunięte i kawałki zgola do tego przedmiotu nienależne, np. pochodzące z *Lilli Wenedy* itp. — Przy troskliwem staraniu udało mi się przecież wniknąć w plan budowy całej tej sztuki. Uznawszy dwie sceny — niedokończone i zgola też nie wiążące się z żadnym miejscem właściwego tekstu *Beatryczy* — za przelotne tylko projekta do pomysłów, w ciągu już pracy uznanych przez autora za mniej właściwe, i usunawszy takowe na bok: zrekonstruowałem cały pozostały materiał tego dramatu w taki sposób, iż nie dodając ani słowa od siebie, złożyłem objątek wszystkich 6 arkuszyków w jeden nieprzerwany ciąg akcji. — Wspominam tu o tém wszystkiém tak szczegółowo z tej przyczyny, ponieważ pozór i stan rękopisu sztuki niniejszej rzuca światło na te wszystkie arkuszowe urywki ocalone z innych utworów, o których wspomniałem wyżej. Miała się niewątpliwie i z nimi rzecz zupełnie, jak tutaj, tylko że przypadek był dla *Beatryczy* Cenci łaskawszy i sprawił, że z rozproszonych arkuszyków tą razą ocalały wszystkie.

Na ostatek odnoszę, z pomiędzy prac *Juliusza* dramatycznych, do tejże pory owe dwa urywki, które pod nazwą *Fragmentów z dramatu o Beniowskim* zamieściłem na samym końcu tomu trzeciego. Te urywki zapełniają w rękopisie dwa osobne arkusze, nie mające jeden z drugim żadnego związku. Format i

rodzaj papieru, toż cała powierzchowność pisma i tu znowu zupełnie jest taka sama, co w utworach wymienionych powyżej. Na tém też opieram domysł, że i ten dramat musiał być owocem czasu między 1839 a 1841. Zató nie śmiem nic rozstrzygać co do pytania, czy i obecny utwór stanowił kiedyś całość zupełną. Można by przytoczyć ważne powody, mówiące za tém i przeciw temu. Przeciw przypuszczeniu całości dramatu „Beniowski“ przemawia sama exystencya poematu wydanego pod tymże tytułem. Zdaje się, że poematu tego nie byłby rozpoczynał Słowacki, gdyby był miał w tece ukończony dramat, osnuty na przygodach téjżesaméj osoby. Z drugiéj znowu strony sama już powierzchowność ocalonych tych dwóch arkuszy, w których się urywki niniejsze mieszczą, wskazuje na to, że i to musiały być części jakiegós dłuższego manuskryptu. Niemniej potwierdza ten domysł i ów wiersz, w kształcie Parabazy wstawiony pomiędzy aktem drugim a trzecim, w którym autor w własnéj swojej osobie przemawiając do czytelnika, wspomina o takich scenach jako już przeprowadzonych, których nie znaleźć ani w jednym ani w drugim fragmencie. Oczywista rzecz zatém, że w każdym razie kreacya ta musiała być przynajmniej większych natenczas rozmiarów i że była dalej posunięta ku końcowi, aniżeli się to obecnie zdaje, wnosząc z ocalonych ustępów. Szkoda wielka, że utwór tak zupełnie od wszystkiego odmienny, co tylko Słowacki kiedykolwiek napisał, i w ogóle wyjątkowego rodzaju w całej literaturze naszéj, nie doczekał się czasu publikacyi w zupełniejszój postaci!

Tyle o pracach Słowackiego ówczesnych w scenicznym zakresie poezyi. — Na owe także lata przypadają niektóre poezye krótsze, częstokroć niemaléj artystycznój wartości. Mianowicie „Wiersz na sprowadzenie zwłok Napoleona,“ „Do Matki,“ i „Pogrzeb Kapitana M.“*) zaliczyć można do najpiękniejszych rzeczy, jakie liryka polska wydała.

*) Był to kapitan Józef Meisner, zmarły w Paryżu dnia 23 października 1840, w 39 roku swego życia. Emigracyjne pisma donosiły z wielkim żalem o zgonie tego znakomitego oficera z czasu powstania 1831 roku.

Nakoniec choć krótkim słowem wspomnieć tu jeszcze należy o dwóch urywkach napisanych prozą, które były czasu swego drukowane w poznańskim Tygodniku Literackim, przez kilka numerów roku 1840 i 1841. Jeden z nich był tam zatytułowany „Święcone u J. O. Ks. Radziwiłła Sierotki;“ drugi „Preliminaria peregrynacyi do ziemi św. J. O. Ks. Radziwiłła Sierotki.“ Pod tym drugim napisem złączyłem je oba w jedno i zamieściłem w tomie Iszym Pism pośmiertnych pomiędzy rzeczami prozą. Jestto tylko rzut jakiś urywkowy. Ile wnosić można, autor zapewne więcej w tym przedmiocie nie pisał, jak tylko to co dano w Tygodniku.

Jak wiadomo, rozgłosne „Pamiętki Soplicy“ pojawiły się po raz pierwszy z druku w Paryżu w roku 1839. Zrobiły od razu wiele wrażenia. Witwickiego przedmowa, dana na czele téj publikacyi, postawiła talent nieznanomego jeszcze naówczas autora od razu na jednym z najwyższych szczytów wziętości literackiej. Każdy gawędy te czytał, każdy je pod pierwszém wrażeniem uroku opowiadania podziwiał. Sowizdrzalska i na tle dziejów przeszłego wieku niezbyt mądrze się malująca postać księcia Karola Radziwiłła, w obrazie Rzewuskiego przybrała wszelkie pozory genialnego magnata, który żył niby to tylko na usługi braci szlachty i dla dobra rzeczypospolitej. Nie wiedzieć skąd i naco, ale od tego czasu książę Panie Kochanku liczony być zaczął powszechnie do najpopularniejszych ludzi i do najpoetyczniejszych figur naszej przeszłości, do czego się później tém więcej jeszcze przyczynił tegoż autora Listopad.

Pośród téjto więc admiracyi powszechnéj tak talentu (na co zgoda), jak i dążności autora „Pamiętek“, chwycił za pióro Słowacki. Spróbował stworzyć coś także w tymże rodzaju. Nie umiem sobie wprowadzić w sposób stanowczy z tego zdać sprawy, czy rzeczywiście w dobrej wierze puścił się drogą wskazaną i był na moment niczém więcej, jak tylko naśladowcą pana Soplicy: czy też raczej, jak rozumiem, dlatego tylko wziął pióro Rzewuskiego do ręki, ażeby własnym jego językiem, rubasznym i staropolskim, i w tymże samym idąc kierunku, w którym on sobie zdobył wawrzyny, w kierunku mówię bezwarunkowego uwiel-

bieńia pieczeniarkstwa dawněj szlachty w stósunku do magnatów, a obłudy tych ostatnich w stósunku znowu do szlachty — napisać niejako komentarz o etyczněj wartości tego wszystkiego, co się tak bardzo w osobie Radziwiłła i otaczającój go hałustry podobało naszěj publice. Ubolewać nad tém jednóm tylko należy, że sobie obrał Słowacki za bohatera téj parodyi nie już księcia Karola, ale inną osobistość z téjże rodziny, to jest księcia Mikołaja Krzysztofa Radziwiłła Sierotkę, który żył w XVI wieku, i że na tę świątobliwą, prostoduszną i prawdziwie *moris antiqui* postać dziejową przeniósł stylem i sposobem Rzewuskiego wszystkie owe sowizdrzańskie fantazyje i wybryki magnackie, w puste pozory dewocyi i dobrodusznosci przybrane, któremi osmnastowiekowy Radziwiłł „panie Kochanku“ umiał tumanić łatwowiernych do tego stopnia, że go nie pozbawiła téj sztucznej popularności ani bitwa pod Stuckiem, gdzie nienajzaszczytniej hetmanów, ani konfederacya radomska, w której w tak prawdziwie sromotny sposób dał się nadużyć do odegrania roli figurantamarszałka...

Ten tedy zamiar wydrwienia rogatěj dumy, schowanej pod płaszczykiem bononii, był zupełnie na miejscu wobec uroszczeń, za których wyraz można było uważać już owę pierwszą książkę późniejszego Jarosza Bejły. Lecz sposób, jakim zamiaru tego chciał dokonać wtedy Słowacki, uważam za chybiony. Mikołaj Krzysztof Radziwiłł nie zasłużył sobie na taką profanacyą. Zresztą zdaje mi się, ile sobie przypominam, że ówczesna publiczność odczytała te urywki w Tygodniku Literackim, nie domyślając się wcale, w jakiej dążności one były pisane. Przyjęła rzecz za dobrą monetę. —

Dla dopełnienia obrazu całej téj części życia autora Ballady, nie pozostaje, jak tylko przywieść jeszcze jeden wyjątek z jego korespondencyi owego czasu. Nie zaszkodzi, jeżeli będziemy też jeszcze mieli wyobrażenie, jak poeta obdarzony tak potężną zdolnością, pisarz tak płodny, właśnie w porze największej dojrzałości i twórczości swego geniuszu, był urządzony w swojém mieszkaniu. Warto doprawdy, żeby na podstawie własnych słów

Słowackiego, tchnących zresztą takim godzeniem się na ten los opłakany, jakiego wtedy zażywał, zrobił sobie czytelnik w własnej myśli porównanie między dołą autora Polaka, a Francuza, Niemca albo Anglika. Porównanie to nie bardzo będzie pochlebnem dla społeczności naszej, tyle zawsze skłonnej wierzyć w swoje zamiłowanie rzeczy ojczystych...

Ażeby było zrozumiałem, co tu przytoczę, muszę nadmienić, że w owych czasach Słowacki otrzymał od matki jakąś część majątku ojczystego w kapitale od razu sobie przysłanym, zamiast co dawniej bywały mu dostarczane od czasu do czasu tylko kwoty pomniejsze, rozchodzące się natychmiast na bieżące potrzeby życia. Ta możność rozrządzania znacznieszym na raz funduszem, poddała mu myśl sprawienia własnych sprzętów i najęcia sobie mieszkania rocznego. Otóż właśnie z powodu rzeczony okoliczności udzielał w liście z d. 12 kwietnia 1840 roku następujących szczegółów:

„Nasz znajomy pan d' Avallón *) mieszka teraz na rue. Castellane Nr. 11. Jeżelibyś chciała droga od niego jakich sprawunków, to pisz do niego pod tym adresem. Co się mnie tyczy, przyszła mi teraz myśl osiedlić się trochę stałej w miasteczku, gdzie panna Kora była mi niegdyś przyjaciółką. Potrzebowałam, aby mię coś powstrzymało od ciągłego włóczenia się po świecie, zrobiłam więc — co? Już może myślisz, że twoja Zosia poszła za mąż. Nie, bynajmniej! Kupiła sobie tylko meble i mieszka niby u siebie, a nie w zajeżdżnym domu. Wypadnie z tego jakaś oszczędność, a zawsze większa daleko jest wygoda i przyzwoitość. Do kupienia gratów pomagał mi dobry Gaszyński. (Mówi o p. Gaszyńskim malarzu, przebywającym teraz w Galicyi). Z nim razem włóczyliśmy się po magazynach i licytacyach. Bawiło mię to urządzenie się i wejście we własne gospodarstwo: a Gaszyński notował wszystkie moje dziecinne uniesienia i będzie ci je kiedyś czytał z książki. I tak nająłem sobie mieszkanie na 6 piętře (niech ci to dowiedzie, że mam dobre piersi i nogi). Na 6 piętře nająłem więc malutkie 2 klateczki, ale czyste i porządne z widokiem na cudzy ogród, co jest tu rzeczą prawie cu-

*) Mówi tu Słowacki o sobie samym i daje sobie to nazwisko francuskie z obawy, żeby matki nie kompromitować, gdyby wysyłała listy do niego pod własnym jego imieniem.

downa, bo mało jest ludzi, którzy z okien mogą widzieć drzewa, zieloność i rozległy horyzont niebieski, a dla mnie to wszystko było nieodbitnie potrzebnem, zwłaszcza horyzont, w który utopiwszy oczy, czuję jakiś cichy smutek i dalekie wspomnienia, tak miłe mi teraz, odkąd wszystko, co kocham, jest w przeszłości. I ty, Sally moja! Ileż razy, gdy w ostatnią błękitną widokregu zapatrzę się linią, zda mi się, że w téj mgłę jest coś twojej istoty i myśli o tobie rozlanych. Nie dziw się, że dziwnie piszę. Mówiłam Ci, że z okien moich widzę drzewa: wiosna je teraz rozwija, słońce złości, ptaszki w nich świergocą; dziś dzień moich imienin, dziś ludzie z palmami chodzą po ulicach, wszystko mię rozrzewnia, aż mi łzy zalały oczy. O moja!... Świat ten, do któregoś się niegdys z taką niespokojnością wyrwała z twoich ramion, nie dopisał mi, nie zaspokoił. Żadne moje uczucie nie wyrosło! strudzona chcę wrócić do Ciebie — nie mogę...

„Przerwałam pisanie tego listu, aby się uspokoić i skończyć weselszemi myślami.— Chciałbym*) ci opisać moje apartamenta, abyś ty się choć myślał czasem do mnie przenieść mogła. Otóż wchodzi się do mieszkania mojego przez małą kuchenkę, która mi nie jest wcale potrzebna, albowiem nie mam własnego gospodarstwa. W téj kuchence stoi machinka drewniana z robinetami, napełniona wodą; i to nazywa się: *une fontaine*, sprzęt dla tak wysoko mieszkającej koniecznie potrzebny. Potem następuje salonik prostokątny, mający sześć kroków długości, a 5 szerokości. Na kominku lustro w złotych ramach, przed kominkiem kanapka szafirowém suknem pokryta i para podobnych krzeseł... Używane już, ale jeszcze dobrze wyglądają te sprzączki — stoliczek mały mahoniowy, zieloném suknem pokryty, na którym piszę, dwa brązowe lichtarze na kominku... i oto całe umeblowanie mojej pierwszej klatki! W sypialnym pokoju, dwa razy większym od pierwszego, mam paradne łóżko z dywanikiem wschodnim pod nogami, z kapą szafirową — komodę — mały *table de nuit* okrągły, i parę krzeseł takich jak w pierwszym pokoju. Wszystko to koniecznie było potrzebne i nic nie ma zanadto... Ale wszystko porządne i cieszy mię, albowiem mieszkanie najwięcej wpływa na humor. Płacę za nie 25 dukatów na rok, co na tutejsze strony jest bardzo małą kwotą. Od-

*) W liście istotnie jest chciałbym: nasz poeta często wypada z roli.

dźwierny mi służy, to jest czyści pokoje i ściele łóżko, i dostaje za to 13 złot. na miesiąc. Tak uregulowawszy się, jestem cichą i spokojną w mojej klateczce ptaszyną, pracuję, rozmyślam, a Gaszyński teraz namówił mię, żem się wzięła do malarstwa. Nie uwierzysz Sally droga, jak mi papier naklejony, pędzel w rękę i kolory roztarte przypomniały dawne dziecinne lata“...

ROZDZIAŁ DWUNASTY.

Zdanie o wierszu „W Szwajcaryi“ — uwagi o Wacławie — granica aż do której służy poecie prawo traktowania historii podług swojej fantazyi. — Myśl autora w „Ojcu Zadżumionych“ — niewłaściwość wykładu dzieł poetyckich z allegorycznego punktu widzenia. — Mazepa: dawniejsze sądy o tym utworze — jego wprowadzenie na scenę — jego rozbiór. Niejednokrotna nad nim praca odbija się w jego budowie — brak tragiczności w roli głównej daje powód do mylnego pojmowania tego dramatu. Rzut oka na Szekspirowego Otella — na Lira. — Cechy i konieczne warunki charakteru bohaterów tragicznych — z tego punktu widzenia rozbiór roli Amelii. Konkluzya o wartości całego dzieła.

Wyliczyliśmy w poprzedzającym rozdziale cały szereg dzieł Słowackiego, wydanych w ciągu kilku miesięcy. Trzy Poemata — Balladyna — Mazepa — Lilla Weneda. Można do nich dołożyć i Beatryx Cenci, jako sztukę napisaną w owymże czasie. Sąto stósunkowo najlepsze jego i zarazem najniezawisłlej od obcych wpływów wykonane utwory. Odrębność sposobu Juliuszowego najwidomięj w nich się odsłania. Tymto rzeczom przedewszystkiém zawdzięcza poeta nasz to świetne w literaturze stanowisko, jakie ostatecznie zająć potrafił.

Przystępuję w rozdziale niniejszym do udzielenia krytycznych spostrzeżeń moich o pomienionych publikacyach, jako też do rozwinięcia przy téj sposobności kilku myśli o poezyi w ogóle, o ile ciasne granice zadania mego na to pozwolą.

W tomiku zatytułowanym „Trzy Poemata“ były objęte trzy odrębne powieści: Ojciec Zadżumionych, W Szwajcaryi i Wacław. Była to po Kordyanie pierwsza książka Słowackiego, którą publiczność od razu uznała za jedno z najwdzięczniejszych

zbogaceń narodowej poezyi. Szczególnie podobał się wszystkim pierwszy poemat.

Ażeby się nie rozmijać z porządkiem czasu, którego się tu ciągle trzymamy, zwróćmy nasamprzód uwagę naszą na utwór zajmujący w tej publikacji pośrednie miejsce. Wiersz „W Szwajcaryi“ pochodzi z roku 1835, którego okoliczności i w nich położenie poety staraliśmy się w swoim miejscu uprzytomnić czytelnikowi. W taki sposób odsłania się niejedno, co ułatwia wniesienie w skład tej z niezrównanym wdziękiem wykonanej sielanki. Budowa jej i całe przeprowadzenie nie ustępuje w niczem najlepszym kreacyom Słowackiego. Owiewa ją wprawdzie pewna tajemniczość a raczej zagadkowość, nie pozwalająca czytelnikowi wniknąć w sam środek dramatu uczuć, które się w dalekiej odległości przed oczyma jego malują. Ale to wynika z zamierzenia poety. Tego że tak powiem odstępu między opowiadaniem a tymi, co opowiadania słuchają, chciał autor: i wszystko na to jest obliczone.

Osnowa wiersza tego jest nieskończenie prosta. Spotykamy się z parą, którą łączy miłość, następnie i przysięga: oba te węzły rozrywa los jakiś — nienazwany nawet z imienia, niweczaczy to szczęście w samym zawiązku... I oto cała już treść sielanki — mimo prostoty i najzupełniejszej zużytości przedmiotu, przeprowadzonej jednak z taką świeżością barw, w sposób tak zgoła nowy i z tak dokładną a mistrzowską genezą tych wszystkich przejść, z jakich się sprawy tego rodzaju między ludźmi kojarzą, że opowieść dziejów tak krótkich urasta na poemat, a zajmuje jak dramat. Że się z tego materiału udało Słowackiemu stworzyć coś podobnego, w tém główną oczywiście była przyczyną poetycka jego potęga, zdolna i na najmniejszej rzeczy wycisnąć znamię wyższości. Przyczyniło się może do podniesienia przedmiotu i tło, na którym rzecz osadził, uwite z najpiękniejszych rysów przyrody, jakich tylko dostarczyć mogły góry, łąki, jeziora i wodospady Szwajcaryi. Najwięcej jednak ułatwiła osiągnięcie takiego skutku ta okoliczność, że poeta podobnie jak Göthe w Werterze, Mickiewicz w Dziadach itd. odtwarzał tu zdarzenia rzeczywiste, uczucia własne. Wprawdzie powieść jego

w porównaniu z tém wszystkiém, co do niej dało powód, mieści w sobie więcej szczegółów wymarzonych aniżeli istotnych. Tylko sam bowiem początek i zawiązek stósunku, tylko pierwsze kroki na téj różanej, promiennéj drodze mogły być i zapewne były przedstawione wedle tego, co zaszło. Dalszy przebieg, środek dramatu był już dosnuty z wyobraźni. Równie też i koniec jego, jeżeli chodzi o szczegółowe rysy, nie był dosłownie takim w rzeczywistości. Obudzenie z tego słodkiego snu na jawie odbyło się w duchu poety i inaczej i rychlej, niż w poemacie. Grunt rzeczy jednakże nie był już wymarzony w téj części. Zakończenie sielanki podyktowała istotna, wewnętrznym stanem duszy poparta prawda. Stan ten żywcem odbił się w dziele --- bez domieszania uczuć zmyślonych. Poeta czuł całą boleść usposobienia, które właśnie malował. Czerpiąc z osobistej przeszłości, nie potrzebował przyzywać tu do pomocy téj siły, która tworzy z niczego, lecz spisywał, co dyktowało zboliałe serce, niezdolne pogodzić się z tém, co zaszło...

Prawda zatém i zmyślenie, rzeczywistość i poezya, miłość człowieka i geniusz artysty podały tu sobie ręce, ażeby złożyć utwor, w którym nie wiedzieć, co wprzód i co więcej podziwiać, czy idealność całej inwencji, czy realizm i swobodę naiwną, z jaką najmniejszy szczegół jest opisany. Każdy rys zdaje się być wzięty z natury, całość obrazu jednak ma w sobie coś nadziemskiego. Nie znam w żadnej literaturze dzieła, w którójby przedmiot miłosny był traktowany z takim platonizmem, a przecież tak plastycznie*).

*) Dołączam tu zdanie o poemacie niniejszym, Zygmunta Kraśńskiego. — „Jestto tak prześlicznie idylliczne a zarazem tragiczne, tak oderwana a zarazem prawdziwe, że nie podobnego o miłości marzonej nie znam w żadnym języku. Są tam takie szklistości, takie przezrocza, takie bańki tęczane, takie wieńce świeżych wisien nad główkami śnieżnych gołębi, takie przymilania się natury szwajcarskiej, nachylania się gór i słupów z lodu ku sercu, które kocha i szczęsném jest, że czytając zdarzało mi się wykrzykiwać po sto razy w duszy: „Niech go dyabli porwą! Kto po nim potrafi wiersze pisać? Trzeba bezczelnym być, by się brać do pisania wierszy po

Niżej już nieco stawilibym **Wacława**. Był to poemat rokiem późniejszy od wiersza, który właśnie zostawiamy za sobą. Napisał go Słowacki w ciągu pierwszego swego pobytu we Włoszech, jak się zdaje ze wszystkiego, mianowicie w Sorrento (1836). Jeżelibyśmy mieli go cenić według samej tylko zewnętrznej i artystycznej wartości, zasadzając takową na wdziękach stylu, na sile kolorytu, na zdolnej zaciekać osnowie, na umiejętnym wprowadzaniu kontrastów (szczególniej w pierwszej połowie), na mistrzowskiem rzeźbieniu szczegółów itp. to sąd nasz o **Wacławie** wypadłby świetnie. Pod tym względem nie ustępuje on najlepszym utworom w tymże rodzaju Byrona. Pomimo tego jest coś jednak w tej całej rzeczy, co wrażenie jój osłabia i przy czytaniu sprawia uczucie... prawie powiedziałbym niesmaku. Byron podejmując rzeczy podobne, poczynił sobie bardzo trafnie, że je przenosił albo w czasy znacznie odległe, albo na dalekie gdzieś konce świata. Zwyczajnie sceną jego powieści jest Wschód — **Mauretania** — wyspa jaka nieznanego nazwiska — okręt na falach jakiego morza itp. Inaczej rzecz się ma z dziełem naszym. Słowacki daje tu przedmiot oznaczony, narodowy, bliski, świeży — przedmiot, który każdemu z nas już skądinąd jest znany. W tém upatruję właśnie cały powód, dla którego — nie można inaczej powiedzieć, jak tylko, że zaszła jakaś pomyłka w samym wyborze tematu. Najprzód bowiem jest coś przeciwnego uczuciu, wciskać się w czyje sprawy domowe. Przewyciężenia potrzeba, żeby publicznie przetrząsać winy i anormalności czyje, jeżeli się takowe (jak tu po większej części) tylko własnej jego osoby tyczą, a nie oddziaływały na sprawy szersze, niż obręb murów jego pałacu, niż zakres stosunków jego familii. Jeżeli przekroczenia i monstrualności tego rodzaju mają w sobie warunki zajęcia powszechniej uwagi w imię ogólnie ludzkich względów: artysta ma wszelkie prawo podejmowania takich przedmiotów; lecz takt i jakiś instynkt wymaga, żeby rzecz w tej ogólnie ludzkiej sferze została, a nie plątała się w osobiste, domowe, familijne skandaly.

przeczytaniu wierszy Juliusza!..." (Obacz list Krasinśkiego do R. Z. udzielony w Dodatku miesięcznym *Czasu*, tom 13ty, strona 520).

Marya Malczeskiego nieznienicie na tém zyskała, że zdarzenia, które zasły krótko przed pierwszym rozbiorem Polski, w wiadomym punkcie dzisiejszej wschodniej Galicyi, w domu znanym i głośnym, przeniesione zostały przez poetę i w jakieś czasy dalekie, kiedyto jeszcze zdarzały się napady tatarskie, i w miejsca równie nieoznaczone, szeroko dla wyobraźni otwarte, w miejscach że tak rzekę mityczne — na Ukrainę. Zajmuje tam więc czytelnika tylko sam jedynie wypadek, tylko charakterzy osób, wmieszanych w sprawę, i osób tych namietności. Ale kto te osoby? gdzie ich szukać? kiedy żyły? o tém u Malczeskiego ani słowa. Bo że dzisiaj dokładnie wiemy, jaka jest historyczna podstawa tej okropnej powieści: to skutek późniejszych dopiero komentarzy. Poeta z nimi nic nie miał do czynienia i pozostają też one poza ramami poematu. Inaczej to wszystko u Słowackiego. Podejmując przedmiot, właśnie w skutek sławy dzieła rychlejszego poety obłożony wszystkimi przyborami osobistości i historyzmu: miał tu do pokonania już zupełnie inne trudności. Z jednej strony miał do liczenia się z ustalonymi faktami; z drugiej wkraczał w zakres kroniki że tak powiem rodowej, w sprawy domu zanadto znanego w kraju, żeby to był dość swobodny i dość właściwy zakres dla twórczości prawdziwie poetyckiej. Nawet gdyby się był najstaranniej trzymał rzeczywistych wydarzeń, a w niczem nie popuszczał wodzów fantazyi: nawet wtedy poemat jego miałby pozór jakichś plotek, pamfletu*)... Tém gorzej zaś dla Słowackiego, (i to jest drugi zarzut, który przeciw „Wacławowi“ podnoszę), że zamiast obliczać się z historią, owszem aż zanadto się rozmijał z faktami rzeczywistości! W krótkiej przedmowie autor wprowadzie zapewnia, że „od prawdziwych nie odstępując podań, starał się tylko ile możności zidealizować rzecz pełną czarnych mętów i okropności.“ Ale ani podania nawet nie usprawiedliwiają niejednego rysu, znajdującego

*) W tym też sensie wspominał o Wacławie Krasński w liście do Gasińskiego w roku 1839. — „To znakomity poeta, powiada o Słowackim. Jednak w Wacławie potknął się — Malczeskiemu nie dotrzymał kroku. Nie jestto poemat — raczej paszkwil; nie jestto poezya — raczej anekdota“...

się w poemacie, a sprzecznego z tém wszystkiém, co jest skądinąd wiadomém o tych stósunkach.

Tak np. sędziwy wiek kochanka niegdyś Maryi, a później założyciela Targowicy, mamy skreślony między innymi w następujący sposób:

„Niegdyś widziano go w gromadném kole.
Jak trup śród ludzi, jak upiór przy stole.
Zimne po sercach przechodziło mrowie,
Kiedy co mówił, gdy pił jakie zdrowie;
A gdy wziął kielich w rękę trupią, siną,
W kielichu krew się zdawała, nie wino.
Każdy co z gości do stołu zasiadał,
Nie znał go prawie, nigdy z nim nie gadał;
Gdy wszedł — nie wstawał nikt przed tym człowiekiem,
Choć orderami był srebrny i wiekiem“ itd.

Że tu jest wiele przesady, że w wierszach ostatnich braknie nawet na wewnętrzném podobieństwie do prawdy: to zapewne czuje każdy, kto tylko miejsce to czyta.

W ustępie szóstym poeta wprowadza, jako jedynego towarzysza samotnych chwil tego starca, syna jego z pierwszej żony, któremu on jednemu ufa i sprzyja.

„Nareszcie uciekł od ludzi i słońca.
A przy nim tylko jak anioł obrońca
Maleńki, blady i nierozkwitniony
Był smutny synek jego pierwszej żony.
To jedno dziecko przy nim czuwa, tleje,
Jako różyczka przy cedrze, więdnije“ ... itd.

Usuwać zupełnie na bok uwagę, że cała exystencja tego syna z pierwszej żony należy do fikcyi. Każdy wprowadzie, kto tylko czytał Maryą (a kto jój nie czytał?) pomyśli sobie przebiegając ten ustęp, że to nie może być prawdą! Lecz jak powiedziałem, nie robię z tego jeszcze Słowackiemu zarzutu. Tego wszelako zbyć milczeniem nie można, że odstępując tu autor od

dat rzeczywistych, zaplątał się w sprzecznościach nie tylko z Malczeskim, ale nawet ze sobą samym. Wszakże powiada sam o Wacławie, że kiedy tenże był kochankiem i mężem Maryi, był wtedy młodym. „Znałem ja grafa Wacława za młodu“ itd. (ustęp XIII). Teraz go przedstawia, jako starca już przypruszonego siwizną, jako człowieka „srebrnego orderami i wiekiem.“ Jeżeli tedy pomiędzy tamtym czasem a obecną chwilą tyle wody upłynęło: to jakżeż może synek jego pierwszej żony być i w tej jeszcze porze „dzieckiem maleńkiem i nierozkwitnionem“?... Jestto oczywiście nie tylko zboczenie od faktów powszechnie znanych, lecz i w sobie niepodobieństwo.

Podobnie wiele jest rysów, sprzecznych z powszechną a uzasadnioną o tém wiedzą powszechną, w tém wszystkiem, co Słowacki o starym wojewodzie natrąca.

W ustępie XIV powiada:

„Mówią, że ojciec Graf w turmę zamknięty
Umarł przed sądem — a drudzy, że ściety

(za utopienie Gertrudy czyli Maryi) —

„Niktże téj śmierci pomścić się nie umie
Na krwi wysokości, na wyniosłej dumie?
Niktże — prócz syna, co za te popioły
Ojcowi musiał miecz pokazać goły“... itd. itd.

W ustępie XXIV powtarza się to raz jeszcze i to nie tylko szczegółowiej, ale i pewniej, bo już nie w formie głuchej wieści („mówią“), ale sam syn starego wojewody, sam Wacław w zeznaniu przed spowiednikiem to opowiada. Tymczasem rzecz jest wiadoma, że ani podobnego upokorzenia ojciec Wacława za występki swój nie doznał, ani też Wacławowi nikt śmierci ojca jako zbrodni przez niego popełnionej nie wytykał. Od tego zarzutu wolny był zupełnie Szczęsny Potocki.

Niemniej niestosownym się zdaje cały ów wymysł, jakoby Wacław został otruty — i to jeszcze popiołami swych antenatów (!!). — Miłostki żony jego z jakimś „Greczynem w Arnanta stroju“, który samowładnie domem ich trzęsie i wcale się nie tai z władzą tą swoją, także zgola nie przystają do tego, co...

rzeczywiście było. Wreszcie i sam zgon nagły grafinéj, czy to w skutek trucizny, podanéj jéj nie wiedzieć dlaczego i przez kogo, czy z innych przyczyn, nieodslonionych — zdaje się być bardzo słabym szczegółem w całej inwencji. Słowem, pełno jest rzeczy, które w czytelniku wywołują niezadowolenie i protestacyą, nosząc na sobie znamiona zbyt oczywiste zmyśleń. To, co się w tym domu działo, tego poeta po większej części nie zużytkował. Co dał natomiast, tego nie było. Ma się tedy rzecz z całym tym poematem, jakby z obrazem jakiejś katastrofy skomplikowanej, która — bez podpisu, nie wiedzieć co przedstawia, a jak powiesz, co ma znaczyć, to każdy ubolewa nad brakiem podobieństwa do rzeczy albo też nad nieznaną przedmiotem.

Ażeby nie być fałszywie rozumianym, tłumaczę się wyraźniéj, że nie to za niewłaściwość w dziele tém poczytuję, iż sobie autor pozwolił, traktując zdarzenia rzeczywiście zaszłe, czerpać i z własnéj wyobraźni; lecz raczéj, że sobie téj swobody pozwolił w tych właśnie szczegółach, w tych właśnie miejscach obrazu. — W teoryi i abstrakcyjnie rzecz biorąc, nie chciałbym ja hołdować ani zasadzie tych, którzy poecie w pracach zaczerpniętych z historii żadnej nie pozwalają wolności, ani też wyobrażeniom przeciwnego obozu, według których artysta z siebie tylko czerpie, a materyałem historycznym samowładnie się posługuje. Tych ostatnich wyobrażeń najdalej może posuniętym przedstawicielem był Göthe, który mówiąc o jednéj z sztuk Manzonięgo. (Carmagnola) wyrzekł owe słowa przez tylu innych już powtórzone: — „Für den Dichter ist keine Person historisch; es beliebt ihm seine sittliche Welt darzustellen und er erweist zu diesem Zwecke gewissen Personen aus der Geschichte die Ehre ihren Namen seinen Geschöpfen zu leihen.“ — Przy całej czci dla powagi Göthego, śmiem tu być innego przekonania. Prawdziwe warunki powodzenia artystycznego zdaniem mojem niezawodnie zajmują między obydwoma ostatecznościami pośrednie miejsce. Poecie służy bez wątpienia prawo puszczania się w ślady swego natchnienia, które go unosi w krainę ideałów, w sferę prawd wiekuistych, w świat ogólnych dążeń, mających do czynienia raczéj z przyszłością, niż z ubiegłym i stęgniałym

już czasem. Badanie mozolne kronik i lęklive rozmierzanie cyrklem tego wszystkiego, co mu służy za materyał, nie jest zadaniem artysty. Hołdowanie przesadne archeologii zabija wszelką poezją, równie jak i kopiowanie obecności z fotograficzną wiernością nie stanowi bynajmniej sztuki. A zatem z zasady byłbym za pozostawieniem wszelkiej wolności fantazyi poetyckiej, kosztem nawet prawdy dziejowej. Z drugiej strony jednakże jest okoliczność, która tę wolność fantazyi potężnie ogranicza, a to w interesie samejże sztuki. Artysta i pisarz pamiętać powinien o tém, że illuzya jest pierwszym wszelkiej sztuki warunkiem. Właśnie dlatego nie może dzieło jego treścią swoją stawać w sprzeczności z pocuciem, ze świadomością, z wiedzą i wreszcie instynktem tych wszystkich, dla których się właśnie pisze. Żle bardzo byłoby dla nowego utworu, gdyby takowy na samym wstępie spotykał się z opozycją z powodu samej już swojej materyalnej osnowy. A opozycja taka niezawodnie zajdzie mu drogę w każdym razie, gdzie autor nie poszanował uświęconej prawdy dziejowej. Na nic się nie zda poecie przyoblec coś choćby we wszystkie cuda natchnienia, jeżeli czytelnik sprawę wytoczoną zna już skądinąd i widząc, że się takowa miała w rzeczywistości inaczej, jak w jego opowiadaniu, czuje przy każdym kroku, że ma przed sobą nie prawdę ale bajkę, nie wskrzeszenie tego co żyło, ale mrzonki bujnej imaginacyi, więc... sfalszowanie rzeczywistości.

Stądto, nie tylko przez cześć dla dziejów, ale ze względu na ściśle artystyczne potrzeby, są rzeczy, których pod żadnym warunkiem niewolno przeistaczać poecie, jakoto charaktery osób powszechnie znanych w narodzie, wypadki stanowczej doniosłości w następstwach, pewien ogólny koloryt i nastrój wieku, słowem wszystko to, co nawet niebadaczowi z zawodu znaném jest w zakresie pewnego społeczeństwa.

Natomiast wolno poecie bujać na skrzydłach wyobraźni w tych przestworach pobocznych i mniejszej wagi, które historii w jej podwalinach nie tyczą. Wolno mu zmyślać artystycznie, jeśli dzieło jego powstaje w zakresie historycznie nierozjaśnionym. Ujdzie mu nawet minąć się niekiedy z wiedzą przeszłości udokumentowaną studjami, jeśli tę przeszłość po swojemu odtwarza

w języku narodu, stojącego nieco opodal od sceny zdarzeń opowiadanych i właśnie przeto mało lub przynajmniej nie zbyt szczegółowie obeznanego z istotnym tychże zdarzeń przebiegiem. Dlatego łatwiej też jest zawsze poetom obrabiać rzeczy, wzięte z dziejów postronnych, aniżeli przedmioty narodowe*). W pierwszym razie publiczność przyjmuje bez oporu i mniej wierny wizerunek czy to charakteru jakiej historycznej wielkości, czy jakiej katastrofy dziejowej, jeżeli tylko artystycznym warunkom kreacya czyni zadość. W drugim razie przeciwnie kontroluje go w najmniejszym nawet rysie ta cała suma miejscowej znajomości stosunków, która w mniejszej lub większej części jest własnością każdego wykształconego członka tej społeczności. Najmniejsze tedy w razach takich uchybienie już wywołuje niesmak. Najnieznaczniejszy rozdźwięk między wyobrazeniami o tém ogółu a przedstawieniem artysty sprawia ferment w duchu czytającego, a ferment taki żadną miarą nie należy do warunków korzystnie nastrajających do sądzenia nawet i o artystycznej wartości dzieła.

Oczywiście nie idzie za tém, żeby pisarz schlebiał popłaczającym w publice przekonaniom. Do najwznioślejszych jego obowiązków należy, stawać gdzie potrzeba i w wyraźnej nawet

*) Niewątpliwie mniej trudu kosztowało Schillera obmyślenie planu Dziewicy Orleańskiej lub Don Karlosa, aniżeli wynalezienie tragicznej osnowy do Wallensteina. W niemieckim języku, dla Niemców, jest Dziewica Orleańska wyborną sztuką, podobnie i Marya Stuart i w ogóle wszystkie tragedye tego poety, zaczerpnięte z dziejów obcych. Przełożmy je na dotyczące języki, albo co gorsza, kaźmy im być utworami oryginalnymi kaźdej w swoim narodzie, Dziewicy Orleańskiej w francuskim, Don Karlosowi w hiszpańskim itd. a przekonalibyśmy się, że tyleby tam zaraz dało się słyszeć ujemnych uwag o samej stronie ich zewnętrznej i przedmiotowej inwencji, że i podziw dla artystycznej doskonałości témsamém doznałby potężnego ograniczenia. Nie ma rzeczywiście większej trudności, ani też większego tryumfu dla poety, jak obrabiać czy to dla teatru czy w innej poetyckiej formie rzecz historyczną, narodową, a zadowolić publiczność. Rzadko to tylko zdarzyć się może. I właśnie też dlatego życzyćby należało, ażeby się pisarze nasi przy wyborze przedmiotów tak wyłącznie nie zamykali w samym tylko narodowym obrębie.

sprzeczności z ogółem. Lecz niech to będzie w tych tylko razach, gdzie poeta może być pewnym, że prędzej czy później będzie wygrana po jego stronie. Czyli innemi słowy: tylko lepsza znajomość wypadku, o który chodzi, tylko chęć większego zbliżenia się do prawdy, tylko cel wznioślejszego postawienia wytoczonej idei upoważnia artystę do wystąpienia z nowymi pomysłami.

Wywód powyższy nie daje się wprawdzie zastosować dosłownie do poematu, leżącego właśnie przed nami. Kolejne życia człowieka, którego młodość tak idealnie w powieści swojej wystawił Malczeski, a którego dalsze czyny tak posępnie się odbijają na tle dziejów ojczystych — kolejne te, mimo to wszystko, nie dosięgają sfery istotnie historycznej. Późniejsze dni jego płynęły bez publicznego rozgłosu. Starość jego dogasała w ponurém choć złocistém wnętrzu pałacu, zapelnionego chyba tylko ciżbą rezydentów i pieczeniarzy, wyzyskujących próżność magnata. Po za Targowicą (która w obrazie Słowackiego ginie gdzieś w głębi i nawet w spowiedzi zbyta jest kilku tylko słowami), mamy w Szczęsnym Potockim osobistość raczej prywatną, chociaż ród, towarzyskie położenie, majątek itp. nadawały mu jakieś cechy wyższości nad zwykły poziom. Z tém wszystkiém, właśnie z przyczyny tych wyjątkowych okoliczności, i koniec tego człowieka i stosunki jego domowe znane są prawie każdemu. A Słowacki wystawiając z nich niejedno w sprzeczności z tém, co rzeczywiście było, postawił się mimowolnie na jednej linii z pisarzem, który się dopuszcza przeistaczania historycznych pewników. —

Przychodzi mi teraz słów kilka powiedzieć o wierszu umieszczonym na czele tego tomiku, o „Ojcu Zadżumionych“. Według wszelkiego podobieństwa do prawdy, była to pomiędzy trzema poematami najpóźniejsza praca poety, owoc samotnych jego dumań w pustelnicznym owym klasztorze na szczycie góry Libanu (rok 1837). I ani wątpić, że niejeden rys rzeczywisty zawiera się w owej strofie, gdzie autor kładzie w usta skarżącemu się ojcu po stracie wszystkich, którzy go otaczali, owe słowa rozpacz:

Wracam na Liban, do mojego domu —
 W dziedzińcu moim pomarańcza dzika
 Zapyta: starcze! gdzie są twoje dziatki?
 W dziedzińcu moim córek moich kwiatki
 Spytają: starcze! gdzie są twoje córki?
 Naprzód błękitne na Libanie chmurki
 Pytać mię będą o synów, o żonę,
 O dzieci moje — wszystkie, pogrzebione
 Tam pod grobowcem tym okropnym Szecha —
 I wszystkie będą mię pytały echa,
 I wszyscy ludzie, czy wracam ze zdrowiem
 Pytać się będą. — Cóż ja im odpowiem?!

Trudne jest zadanie krytyki wobec rzeczy, mającej pod
 każdym względem prawo nazywać się arcydziełem w swoim ro-
 dzaju. O pochwały trywialne i o wykazywanie zalet, dla każdego
 widocznych, w razach takich chodzić nie może. Do zarzutów nie
 ma żadnego pola. Nie pozostaje tedy i przed „Ojcem Zadżumio-
 nych“, jak tylko schylić czoło i odkładając pióro na bok powie-
 dzieć, że ani między Słowackiego tworami ani w całej naszej li-
 teraturze nie ma rzeczy, któraby wykończeniem, zwięzłością, si-
 łą, prawdą, wreszcie mistrzostwem niezrównanem w urozmaice-
 niu szczegółów przewyższała ten strasznój grozy poemat. Czém
 posąg Laokoona, czém grupa Nioby w rzeźbie, tém to w poezyi.
 Jeżeli chodziło o przedstawienie ciosów nieszczęścia, walącego się
 na głowę upatrzonój istoty, dopóki takowa nie wyda z siebie
 ostatniéj łzy, ostatniego jęku, i przestając już prawie czuć po
 ludzku, nie zamieni się w marmur, z suchą powieką zdolny roz-
 pamiętać swoje boleści: to tego zamiaru zupełnie tu dopiął
 poeta. Taki zaś zdaje mi się był właśnie wszystek cel jego
 w dziele obecném, usprawiedliwiony dostatecznie okolicznością,
 że tego rodzaju zdeptanie całego szczęścia czyjego zdarza się
 nieraz na ziemi naszej — nie pytając o przyczyny, dlaczego
 się zdarza? Przyczyny te pozostaną niedocieczone, mimo wszy-
 stkiego, jak je tam sobie każdy tłómaczy.*

*, Z powyższém sformułowaniem zamiaru autora w tym poema-
 cie wiem że nie wszyscy się zgodzą. Przedmiot jego bywa i inaczej

Załatwiwszy rzecz z poematami, przechodzę do rozbioru dramatów, a nasamprzód do rozbioru *Mazepy*, który między nimi

wykładany. Zaczny i utalentowany nasz pisarz, p. Józef Szujski, odczytał niedawno temu na posiedzeniu Towarzystwa Naukowego krakowskiego rozprawę, w której Ojca Zadźmionych rozbiera, niepo-wszednie piękności tego dzieła podnosi i z Kochanowskiego *Trenami* je porównywa. Rozprawa ta była potem i drukowana w *Rocznikach Towarzystwa*. (*Roczników* poczet trzeci, tom XI, w roku 1866). Pomimo niepospolitych zalet, jakie w pracach rzeczzonego pisarza wszędzie uznaję, a bez których żadną miarą nie jest i rozbiór, o którym tu wspominam: znajduję w nim jednakże i takie zdania, na które nie mógłbym przystać. Mianowicie nie sądzę, żeby między treścią Ojca Zadźmionych a naszym położeniem narodowym obecnym był jaki istotny związek. Szanowny Autor rozprawy zdaje się kłaść na to znaczny przycisk. — „Przymuszeni jesteśmy, są jego słowa, pomimo woli uznać w poemacie Słowackiego więcej, jak fantastycznego życia Wschodu obrazek, więcej jak skończone dzieło sztuki liryczno-epicznej treści; — bo wieszczce przecucie wypowiedziane w roku 1837 o bezprzykładnego sieroctwa czasach... „Źródła jego trzeba nam szukać w myślach wieszczych autora o drogiej jego sercu sprawie narodowej: Tam zrodziła się konieczność utworzenia tego strasznego poematu; stamtąd pochodzi jego natchnienie, jego barwa, jego właściwości... „Arab sierocy Słowackiego jest nie czém inném, jak jedném z strasznych marzeń o domowych sprawach, jedném przecuciem wieszczém więcej, jedną chwilą krzyżowej drogi, którą serdeczną krwią serca oznaczył poeta siedząc w namiocie pustyńnym, a sięgając myślą Ojczyzny. Rodzina jedna, rodzina wielka odbywa pielgrzymkę ku światu przyszłości — ale nim go zobaczy, prawo świata każe ję odbywać kwarantanę zdrowia — prawo świata postawiło ję straż, lekarza i sędziego.. Tymczasem powiód morowej zarazy owiał rodzinę. Może to z tęg sknoty za światem przyszłości, może z braku bliskich, chwytnych celów życia — może na widok tego lekarza i straży. Umiera więc jeden po drugim z członków rodziny dotknięty zarazą. A za każdym wypadkiem przedłuża się środek ostrożności — kwarantana... Takie marzenie mogło nawiedzić autora w pustyńnym namiocie. I z tego marzenia wyszło widmo, ofiara kwarantany i cywilizacyi — starzec bez dzieci, bez przyszłości — bez nadziei. Bóg stanął przed poetą w postaci pogańskiej, w postaci niszczyciela, sojusznika gwałtu i fizycznego zwycięstwa. I zawołał poeta do tego Boga:

O bądźże ty mi pochwalony Allah
Szumem pożaru, co miasta zapala,
Trzęsieniem ziemi, co grody wywraca,

wszystkimi jest najrychlejszej daty.' Wyszedł on z druku dopiero w roku 1840, przyjęty został przez publiczność dość zimno,

Zarazą, która dzieci me wytraca
I bierze syny z łona rodzicielki,
O Allah! Akbar Allah! jesteś wielki! —

Przytoczyłem dosłownie cały przydłuższy ten wywód głównie z tej przyczyny, ażeby omawiając go po swojemu w skróceniu, nie skrzywić w czem mimowolnie myśli szanownego autora. Przyznając, że jest w tém wszystkiém, cośmy przywiedli, wiele zmyślności. Nie przeczę, że jest i pewien pozór trafności w takim wykładzie zamiaru Słowackiego. Pomimo tego jest mojem najgłębszém przekonaniem, że się pan Szajski za daleko posunął. Podkłada poematowi znaczenie, o którym zdaniem mojem nietylko nie marzył poeta wtedy, kiedy go pisał, ale którego nawet trafunkowo, to jest po za świadomą wiedzą poety, w tém dziele nie ma. Tłómaczyć tak Ojca Zadźmionych, jestto robić z niego allegoryą. Zyskuje nabyto na tém znaczenie poematu, że się pod jego widzialną że tak powiem osnową odśłania druga, i głębsza i żywotniejsza, niż tamta. Ale korzyść ta w gruncie jest wielce wątpliwéj natury. Skoro się bowiem z tego allegorycznego punktu widzenia zacznie szczegółowo *examinować* wszystko w utworze naszym: okaże się, że wiele i bardzo wiele rzeczy nie odpowie zgola założeniu, o jakie chodzi. Z czegoby wyniknął ten chyba tylko wniosek, że się dzieło niniejsze... wcale nie udało poecie.

Gdyby szanowny krytyk był się ograniczył do następującego twierdzenia: że między obrazem, jakiemu jest poświęcony poemat, a usposobieniem osobistém i narodowo-społeczném Słowackiego była niejaka analogia — a to o tyle, że poemat przedstawia ciągły szereg ciósów w jednego człowieka bijących, choć tenże nic takiego nie poczuł, żeby można było rozumieć, dla czego mimo wielkości Boga czuwającego nad nami dzieje się taka krzywda nieszczęśliwemu, — poeta zaś jako członek swego narodu nieraz i nie dziesięć razy z punktu wyjścia innych premissów dochodził w samotnych swoich dumaniach do tegoż rezultatu, i właśnie przeto teraz, przy zdarzonej sposobności, z namietnością oskarżyciela i z prawdziwém *con amore* artysty maluje tę jaskrawą bezopatrność i bezlitość, w małych i wielkich rozmiarach praktykującą się wszędzie w świecie... gdyby powtarzam takie tylko było twierdzenie p. Szajskiego: nie miałbym nic przeciw temu do powiedzenia.

Ale jego dowodzenie idzie o wiele dalej i odśłania między poetą a Arabem nie pokrewieństwo stanowisk, lecz allegoryą.

Tłómaczenie utworów poetyckiej literatury naszej w sposób allegoryczny jest w ogóle między nami dosyć zwyczajną rzeczą.

przynajmniej nie sprawił tego wrażenia, co np. Kordyan, Anelli albo Trzy Poematy. Niebawem po pojawieniu się Mazepy, wystąpił poznański Tygodnik Literacki z krytyką (obacz rok 1840, Nr. 13). Była to krótka wprawdzie i nie wdająca się zbyt w szczegóły krytyka, ale znakomitego pióra. Autorem jej był Karol Libelt. Lubo niejedno w dramacie na korzyść poety podniesiono, i uznano w Mazepie zalety, dające powód do chlubnych o autorze nadziei na polu dramatycznej poezji: ogólny rezultat jednakże rzeczonego rozbioru nie był zachęcającym do dalszych na tej drodze usiłowań. Z wytkniętych błędów, największa część rzeczywiście sąto miejsca najsłabsze w tej kompozycji: nie brak atoli i na zarzutach takich, do których wytknięcia nie byłoby pewnie przyszło, gdyby krytyk miał być sposobność wysłuchać, co na obronę swoją byłby powiedział poeta; albo gdyby przynajmniej poeta już w owym czasie był uważany za tę znakomitość w swoim zawodzie, za jaką go w późniejszych, dopiero latach uznano. — Podobnie mniej korzystnie musiał też czasu swego sądzić o Mazepie i Z. Kasiński. Wyrażając się tylekroć i w listach i publicznie z pochwałami o celniejszych utworach Słowackiego, nigdy on do ich liczby nie dołączył tego dramatu. Wziętość obecna tej tragedji była tedy wynikiem dopiero czasów późniejszych. Zdaje się, że dopiero przedstawienie Mazepy na sce-

Każdy utwor głębszej treści, Nieboska Komedia, Irydyon, Król-Duch, nawet Lilla Weneda itd. spotykają czytelników, którzy zamiast zastraszać do nich to, co tak trafnie wyraził Schiller:

„Welchen Leser ich wünsche? — Den unbefangenen, der sich, Mich und die Welt vergisst und in dem Werke nur lebt“,
raczej w dzieła te wnoszą swoje pojęcia i ideały, pospolicie im podkładając to co ich boli. A że boleści i utrapienia nasze są ciągle jedne, więc schodzi na to, że się najrozmaitszym dziełom prawie ciągle jeden temat podsuwa, jakby się one wszystkie kręciły w jakimś kole zaczarowaném, około jednego tylko punktu. Byłaby to dziwna jednak jednostronność i ubóstwo naszej narodowej poezji, gdyby się rzeczywiście tak rzeczy miały... W ogóle uważam przypuszczenie allegoryzmu za ostatni i w razach tylko rozpaczliwych właściwy klucz do dobierania się w intencje dzieł wszelkiej sztuki. Czasem trzeba zrobić użytek i z niego, jako i jam sobie tego pozwolił przy Anhellego rozbiórce. Lecz im rzadziej się tej metody chwytamy, tém lepiej.

nie zwróciło nań powszechniejszą uwagę. Była to pierwsza nasza poety sztuka, która się doczekała tego zaszczytu ze strony naszych teatrów. Odegrano ją po raz pierwszy w roku 1851 (a więc we dwa lata po zaszłej śmierci jej autora) w Krakowie, na benefis panny Ceneckiej. Przyjęcie było dobre, w skutek czego też Mazepa nieraz potem był powtarzany, lecz tylko na scenie krakowskiej. Następnie grano go w tłumaczeniu gdzieś w Niemczech, a nawet zdaje się, że reprezentacya niemiecka o lat kilka wyprzedziła owę pierwszą krakowską.*) Na scenie lwowskiej przyszło do przedstawienia Mazepy dopiero w roku 1861. Teatr publicznością był przepełniony, a coraz powtarzające się tak w ciągu aktów, jak w przestankach oklaski i wywoływania cenniejszych artystów, wymownie świadczyły o powszechném zadowoleniu widzów, choć gra aktorów tylko w niektórych rolach czyniła zadość słusznym wymaganiom. Od tego czasu i we Lwowie weszła ta sztuka w poczet rzeczy częściej grywanych. Najsilniejsze wrażenie sprawiła ona jednak dopiero w trzy lata później, kiedy na tejże scenie wystąpił w roli Wojewody znakomity artysta warszawski Richter, którego znakomity talent miało wtedy miasto nasze sposobność poznać w kilku występach gościnnych. Gra wyborna i mistrzowska p. Richtera oddziaływała korzystnie i na innych artystów, uczestniczących w rzeczonej reprezentacyi.

Tak więc Mazepa ze wszystkich prac dramatycznych Słowackiego nie tylko był pierwszym, który sobie zdobył miejsce i uznanie na scenie, ale onto dopiero utorował do niej drogę i drugim niektórym tegoż poety sztukom: Maryi Stuart, Balladynie, a nawet i Mindowie. Próba z Mindową jednakże się nie udała: sztuka jest słaba (i była zresztą odegrana tylko przez grono amatorów). Reprezentacya Balladyny, raz tylko jeden dotąd, lecz przez artystów z zawodu, w teatrze lwowskim doprowadzona do skutku, także nie wypadła bardzo korzystnie — nie tyle z powodu braku warunków po temu w sztuce samój, ile dla innych

*) Przekład niemiecki dokonany był przez Augusta Dracke i jest drukowany w *Bühnen-Repertoire des Auslandes*. Berlin 1842—46, tomik XIV, numer 111.

przyczyn, które w swoim miejscu wskażę. Marya Stuart utrzymuje się w repertoryach teatralnych, choć nie z takim powodzeniem, jakiegoby się można spodziewać po mistrzostwie jej autora. Lilli Wenedy nie ośmielono się grać dotąd nigdzie. O dramatach, które dopiero wydanie dzieł pozgonnych przyniosło, w tej mierze trudno dziś jeszcze przesądzać. Słowem, okazuje się, że jak obecnie rzeczy się mają, Mazepa jest głównym filarem sławy Słowackiego jako scenicznego poety, i godzi się wnosić, że zapewne nim pozostanie i nadal; w żadnym bowiem drugim jego utworze nie ma już tyle zawikłanej i bogatej w niespodziane zwroty intrygi, tyle ruchu i prądu dramatycznego, tyle scen wstrząsających najwyższą tragicznością; co większa, w żadnej drugiej scenicznej swojej pracy nie potrafił się Słowacki tak utrzymać w karbach utartej i zwykłej rutyny teatralnej, z wyłączeniem wszystkich owych własnych swoich w sposobie właściwości, do których się publiczność powszednia chyba dopiero przyzwyczaić będzie musiała...

Na tém przyznaniu scenicznych zalet Mazepie jednak zadanie moje przestać mi nie pozwala. Przedsięwziąłem sobie mówić o Słowackiego dziełach, nie wedle tego, jakie do nich znaczenie z tej albo owej przyczyny przywiązuje dzisiejszy ogół, ale ze stanowiska prawdziwych wymagań sztuki. Pod tym względem jest o Mazepie niejedno do powiedzenia. Całej osnowy utworu tym razem brać pod rozbiór nie ma przyczyny. Są zato niektóre ustępy jego, o których już to w obronie poety, już wytykając mu uchybienia, niech mi będzie wolno rzucić kilka uwag aforystycznych.

Rzucmy okiem na dzieło to przede wszystkim jako na całość. Tu krytyka znajduje najwięcej dla siebie pola. Główna wada w kompozycji tej tragedyi zdaje się polegać na tém, że jest pewna czy niejasność czy też niejedność w całym téjże przeprowadzeniu, że jest pewien niestósunek między aktem pierwszym a dalszymi. Niestósunek ten widać w całym sposobie wprowadzenia intrygi; widać go w długo trwającej wątpliwości, kto bohaterem sztuki? widać go nawet w niestósowném jej nazwaniu —

według imienia osoby, która tylko podrzędne w porównaniu z drugimi zajmuje miejsce.

Wszystko to ma zaś taki ścisły związek ze sposobem, jak dramat obecny powstał, że niepodobna mi nie powrócić tu raz jeszcze do tego punktu.

Przypominam więc, o czém się już w tomie pierwszym mówiło, że Mazepa było płód pracy Słowackiego jesiennej w r. 1834. Dnia 7 listopada, rzeczonego roku donosił autor nasz matce, że tę sztukę właśnie ukończył. W kilka zaś miesięcy później, 5 lutego 1835, wspomniał w liście, że ją spalił...

Pomimo to, po kilku latach przyszło jednak do tego, że się Mazepa przecie pojawił w druku.

Byłoby tu ważnem rozstrzygnąć pytanie, czy dzieło, które mamy przed sobą, było nowym utworem, a tamten Mazepa rzeczywiście został rzucony w ogień; czy też jest ono owym Mazepą z roku 1834, ocalonym w jakim brulionie, albo zgoła nie oddanym na pastwę płomieniom, lecz tylko może chwilowo zagrożonym podobną katastrofą?

Za pierwszym przypuszczeniem t. j. za rzeczywistém zniszczeniem pierwszego rzutu Mazepy, przemawia następująca wzmianka o Juliuszu Słowackim, dana w jedynym z ostatnich numerów poznańskiego Tygodnika Literackiego z r. 1839: — „Pan J. Słowacki pracuje, jak nam donosi, nad nowym dramatem polskim pod tytułem Mazepa. Jego życzeniu, abyśmy odwołali pogłoskę, iż i on należy do redakcyi Pszonki, czynimy niniejszém zadość.“

Doniesienie powyższe, mające wszelkie cechy pochodzenia z autentycznego źródła, poprzedziło wyjście z druku Mazepy o miesiąc albo najwięcej o dwa miesiące. Zdaje się przeto pod każdym względem zasługiwać na wiarę i najzupełniej rozstrzyga wprowadzoną tu wątpliwość co do czasu powstania sztuki w jej obecnej postaci. Przyjąć tedy można za rzecz zupełnie pewną, że dany do druku Mazepa był czémś inném, jak ów pisany w Genewie dramat z roku 1834. Czy jednak nie weszły do téj nowój redakcyi jakie ustępy z dawniejszego Mazepy, odszukane w papierach i bynajmniej nie zniszczone, to w każdym razie inne

pytanie. Co do mnie: kiedy się zapatruję na obecny skład niniejszego utworu, zdaje mi się, że w nim odkrywam części pochodzące niezawodnie z czasów genewskich. Żeby rzeczy zbytecznie nie przedłużać, zwrócę uwagę dla poparcia mojego zdania na jedno tylko tego właśnie rodzaju miejsce.

Czy przypomina sobie czytelnik zakończenie drugiego aktu w Mazepie? Jestto owa scena, dość niejasna w obecnym układzie sztuki, gdzie do zamyślonego Zbigniewa zbliża się niewidziana przez niego Amelia i stając przed nim, uderza go lilią po twarzy.

AMELIA.

„Cóż tak smutny?

ZBIGNIEW.

Nic — głowa mi cięży jak ołów.

(Amelia daje Zbigniewowi lilię — lecz Ksiądz, który szedł za nią i stoi obecnie przy niej, wyrwa kwiat z ręki Amelii i mówi srogo:)

KSIĄDZ.

Daj do kościoła — lilia jest kwiatem aniołów.“ —

Otóż wcale o tém nie wątpię, że to całe miejsce wcielone tu zostało z pierwszej redakcyi.

W jednym z listów Słowackiego, pisanych w témże miejscu, gdzie powstał pierwszy „Mazepa“, i w czasie o mało co późniejszym (w liście z dnia 30 czerwca 1835), znajduje się wyrażenie, które świadczy, że obraz użyty za ośnowę w powyższej scenie dramatu, był i wtedy jeszcze obecny w pamięci Słowackiego. Piśze on tam matce pół żartobliwie, pół smętnie o osobie, do której całą sympatją swego serca w tym czasie był przywiązany, o p. Maryi W., i powiada, że i ona także „zapłynęła trochę w kraj ideału i że o niczém nie marzy, jak o pustelniczym domku, nad rzeczką — o czarnej sukience — o lekarstwach dla chłopów — o topolach szumiących nad pustelnią — i nareszcie o spowiedzi, którą ma odbyć przed pewnym mnichem... kiedyś. Tym mnichem kartuzem mam być ja, nie kto inny. Dowodzę jęj jednak czasem, że jaki pan podkomorzyc w krainie Lachów — dobrze opatrzony w szlachecką układność, talenta, wasy, podkówki

i ostrogi, wybiję z głowy pustelniczy domek, a ja nie będę mógł kartuzowem wspomnieniem zdobyć liliiowej duszy dla aniołów“...

To miejsce w liście posłużyć może poniekąd za komentarz do zbyt może symbolicznej sceny, co tylko przytoczonej z *Mazepy*. Równocześnie zaś może stanąć i za dowód, że w tym dramacie znajdują się niewątpliwie ustępy z redakcyi jego z roku 1834 całkowicie zatrzymane w składzie jego obecnym. Boć trudno uwierzyć temu, żeby np. scena powyższa była mogła w roku jeszcze 1840 być wykonaną na tle tegoż samego obrazu, który przesunął się był przelotnie przez wyobraźnię poety pięć laty pierwej.

Owoż wnoszę z tego wszystkiego, że Słowacki w końcu roku 1839 i początku 1840 *Mazepę* nie tworzył, ale tylko przerabiał. Nad robotami tego rodzaju ciąży zwykle jakiś fatalizm. Dawny zamiar poety nie daje się zupełnie pogodzić z nowym. Dawne niedostatki kompozycyi ustępują zwykle miejsca... nowym znowu niedogodnościom. Rzecz się naprawia i psuje równocześnie. Zdaje się, że i ówczesna praca naszego wieszczą nie stanowiła wyjątku od tej tak powszechnej reguły. Szczegóły dramatu zyskiwały może na wykończeniu: jednolitość ucierpiała z powodu takowego przelewu.

Stało się z *Mazepą*, jak z *Don Karlosem* Schillera, o którym sam autor jego przyznawał, iż widać to po nim aż nadto, że to nie plód jednej wiosny, ani odlów jednego rzutu. W pierwszej połowie dramatu niemieckiego poety toczy się wszystko około postaci infanta hiszpańskiego, w drugiej stanowczo mu wyrasta nad głowę jego przyjaciel (Markiz Poza), gromadzący w roli swojej odtąd całą wagę intrygi, jakby był bohaterem tragedyi.

Na tento karb wyjątkowych okoliczności, dotyczących samego już sposobu, w jaki powstała sztuka którą mamy przed sobą, kłaść więc wypadnie niedostatki, które wytknąć zamierzam. Zdaje się, że w pierwotnym kształcie *Mazepy* najznaczniejszą rolę w całym przebiegu intrygi dzierżył w rękach paż królewski, którego też imieniem dramat został nazwany. Z tej redakcyi najwięcej pozostało w obrębie dwóch pierwszych aktów. Mianowicie

godzi się wnosić, że akt pierwszy pozostał z niej prawie nietknięty w obecnym składzie. Stądto też na początek właśnie utworu, na expozycyą, przypadło najwięcej takich ustępów, które słusznie zaczepiać może krytyka, jako psujące przejrzystość akcji. Są to szczegóły, nie tylko nie należące do rzeczy, ale nawet rzucające na nią światła fałszywe i zwodnicze.

Tak np. zapytać można, co znaczy w Mazepie to zaraz na samym wstępie dane wprowadzenie figury kasztelanowej Robronoki, która się zupełnie gdzieś zapodziewa w dalszych aktach? Rola ta w dramacie jest co się zowie zbyteczna, a spotykamy ją tu nałożoną kolorami, jakby to był jeden z pierwszych całego zawikłania czynników. Jest to żuk, co nie widzi dla siebie żywiołu jak tylko w kale, i radby wszystko, co jeszcze kałem nie jest, w brud i zgniliznę zamienić. Pomijam, że taka kasztelanowa jest ze strony dziejowej prawdy anachronizmem. Nie można sobie wprawdzie wieku Jana Kazimierza wystawiać jako czasów co się zowie arkadyjskiej czystości. Działy się i wtedy już rzeczy, o których się naszym tuzinkowym epoki téj wielbicielom ani nie śniło. Lecz był przynajmniej zawsze wtedy na tém, co się zdrowego tu albo owdzie dźiać mogło, jakiś pokost przyzwoitości i dekoracyi pozornej, która dopiero w drugiej ośmnastego wieku połowie ulotniwszy się w nicość, odkryła zepsucie w całej nagości. Takiejto bezczelnej otwartości typem skończonym jest właśnie pani Robroncka. Autor przeniósł tę paskudnicę wielkiego świata żywcem z epoki Poniatowskiego i niesłusznie ją umieścił na tle czasów o całe sto lat rychlejszych. Ale jak rzekłem, dajmy tu pokój historii i nie zaczepiajmy téj figury z powodów, które nie mają bezpośredniej wspólności z sztuką. Lecz właśnie-to względy sztuki najsilniej protestują przeciwko wprowadzenin roli téj w dramat. Jestto w nim co się zowie piąte koło u woza. To też toczy się ono przy nim tylko przez ciąg pierwszego aktu—a potem odrzucone zostaje na bok, żeby darmo nie zawadzało biegowi dalszej osnowy.

Wątpić wcale nie można, że w pierwotnej postaci „Mazepy“ musiała Kasztelanowa zajmować o wiele ważniejsze miejsce. Poeta zdaniem mojem zbłądził, że w przerobieniu nie przydzielił jej

znaczniejszej roli, jeśli ją już koniecznie chciał zatrzymać w dramacie. Chodziło tu widocznie o owo tak jaskrawie rzucone zarekomendowanie paza królewskiego przed Amelią (a zarazem i przed widzami), włożone w scenie 3ciej i 4tej pierwszego aktu właśnie w usta pani Robronckiej. Do tej funkcji nie nadawał się snadnie żaden inny z ludzi tragedyi, któryby tu mógł godnie zastąpić Kasztelanową. Nie można tego jednak uznać za dostateczną przyczynę, zatrzymania tej figury w obecnym kształcie dramatu.

Równie uważam za niefortunny tylko wynik dwukrotnie podejmowanej pracy nad niniejszym utworem owę przydłuższą scenę opowiadaną (drugą w akcie I), w której dowiadujemy się od pana Chrzastki o śmieszném zajściu zakulisowém pomiędzy jakimiś Marszałkami dwóch stronnictw sobie przeciwnych, wjeżdżającymi równocześnie w bramę zamku Wojewody. Chodziło widać autorowi o odsłonięcie obłudy, o skonstatowanie dumy zawistnej, przywdziewającej zawsze płaszczyk popularnej w obec drugich uniżoności, jako cechy owego wieku w ogóle, a rzeczonych dwóch naczelników szlachectwa w szczególności. Może dążność taka właśnie w pierwszej redakcyi Mazepy wynikała ze założenia. (Wszakże i sam Wojewoda nie zdaje się być wolnym od podobnego przymiotu. Klęka w akcie I przed królem i zabiera się do ściągania mu z nóg obuwia... A potem jaka duma odchyła się w tym człowieku nawet i przeciwko królowi!) Owoż opowiada pan Chrzastka, jak żaden z owych Marszałków wziąć kroku przed drugim nibyto nie śmiał. I jeden krzyczał: niegodny! i drugi — niegodny! A skoro tylko koniec końcem jeden poważył się wreszcie ruszyć z miejsca i wjeżdżać do zamku jako pierwszy, to się drugi tak tém oburzył, że przyszło do bijatyki... W obecnym składzie Mazepy cała ta scena nie ma najmniejszego związku ani z główną osnową sztuki, ani nawet z żadnym ubocznym jój szczegółem. Tych dwóch Marszałków wcale nie spotykamy na scenie. Artystycznie wklejony jest ten epizod niezręcznie, bo za pośrednictwem przydłuższego tylko o nim opowiadania, które zawsze dramatyczność oziębia. Pomysł sam, kulminujący w obrazie utknięcia w ciasnym korytarzu dwóch tych szlachciców „brzuch z brzu-

chem, nos z nosem“, także jest i niesmaczny i nawet bodaj prawdopodobny. Słowem jestto scena pod każdym względem tak niepotrzebna, że w interesie reputacji „Mazepy“ życzyć wypada, ażeby przynajmniej kiedy się daje rzecz tę na scenie, czynili tu reżyserowie, co do ich obowiązku należy.“)

Najbardziej jednak niefortunném następstwem téj w różnych czasach podejmowanej pracy nad sztuką obecną, będzie niezapreczenie szczególna niejasność włożonego w nią zamiaru. Czytelnik widzi się przez cały ciąg Mazepy w niepewności, o co tu głównie chodzi? Ani sposób znaleźć tu sobie ów punkt konieczny widzenia, z któregoby cała budowa dzieła we wszystkich zakątkach swoich dała się okiem przejrzeć na wylot. Niemalą trudnością okazuje się co do Mazepy nawet wyrozumienie, której z figur w nim działających przydzielono rolę bohatera lub bohaterki dramatu?... Pod tym właśnie względem chwiejność jest szczególnie uderzająca! W pierwszym akcie tak sobie postępuje Słowacki, jak gdyby mu chodziło raczej o zamaskowanie rzeczywistej intencji. Opowiadanie staréj Kasztelanowéj, co się zowie szczegółowe o tym „złotym sowizdrzale“, który wszystkim głowy zawraca, jeszcze nim się Mazepa w zamku Wojewody pojawił; zaraz potem awanturnicze przyjście tegoż na scenę oknem i ta nieznużona ruchliwość, z jaką on od piérszéj chwili wszystkie kąty domu wojewodzińskiego osobą swoją zapełnia — wszystko to dane jest w taki sposób, i tak wydatnymi rysami, że kto nie zna dalszéj historyi, ani chwili wątpić o tém nie może, że w téjto figurze gromadzi się cały interes. Równie prawie ważnym czynnikiem akcji jest Mazepa i w akcie drugim. Zuchwałe spotkanie się jego z młodą żoną Wojewody rankiem w ogrodzie — skarga, z jaką ona właśnie z tego powodu zaraz potem występuje przed

*) W rzeczy saméj dawany był we Lwowie w r. 1864 Mazepa po raz piérszy z wykluczeniem zupełném całej téj sceny, z niewątpliwą korzyścią dla ogólnego wrażenia. — Żałować należy, że śladną miarą przez wgląd na związek pozwolić sobie nie można podobnego wyrzucenia lub choćby tylko skrócenia tych scen, gdzie występuje Kasztelanowa.

królem — bezpośrednio téjże skargi następstwa — wreszcie zająście między Zbigniewem a Mazepą w wybornéj owéj scenie, w której z razu obaj walczą ze sobą, a potem się godzą i przyjaźń zawierają: są to właśnie najcelniejsze tego aktu ustępy. Na mocy scen powyższych, widzowie tworzą sobie od razu pewne wyobrażenie o wzajemnym stósunku osób do sztuki wprowadzonych. Rolę Mazepy poczytując za pierwszorzędną, właśnie przeto rozumieją, że schwycili już w ręce tę nitkę Aryadny, która ich będzie wiodła przez wszystkie przeguby dalszéj zawikłanéj intrygi. Rozpoczyna się akt trzeci. Mazepę zamurują w ąlkowie Wojewodzinéj. Mniemany bohater... ze sceny na długo znika. Pod koniec czwartego aktu zjawia się wprawdzie na nowo. Lecz — tylko już w roli sprawozdawcy i pomocnika w sprawie, która nie z niego idzie, nie jego najgłówniej tyczy i nie od niego zależy!.. Natomiast wydestaje się na wierzch, od trzeciego aktu począwszy, inna postać. Postać ta w aktach początkowych zajmuje miejsce poślednie. Rośnie ona i tam już wprawdzie przed oczyma naszymi, lecz tak zwolna, tak gdzieś stojąc na drugim planie obrazu, tak pod osłoną cienia rzuconego przez inne około niéj figury, że kiedy wreszcie w owéj pełnéj dramatycznych efektów scenie, w której przychodzi do zamurowania ąlkowy, spotykamy się z Wojewodą oczy w oczy, jako z demonem bezlitości i grozy, który cały ruch akcji porywa w swoje ręce, ażeby tego władztwa nie oddać odtąd już nikomu drugiemu aż do samego końca dramatu: — to doznajemy uczucia jakby... jakiegoś zawodu. Widząc się tu zmuszonymi do powiedzenia sobie, że więc Wojewoda jest tą najdramatyczniejszą ze wszystkich figur, której patos ma stanowić właściwy tragedyi przedmiot: doznajemy niemiłego uczucia, żeśmy się tego domyślili tak późno i że wrażenia nasze, otrzymane aż dotąd, trzeba że tak powiem przestawiać na inne miejsce...

Ale co ze wszystkiego najgorsze, to że i ten drugi, ten nowy punkt widzenia nie długo zaspakaja! Przebiegłszy tragedya całą myślący czytelnik żadną miarą zgodzić się na to nie może, żeby wszystkie włókna jéj osnowy zbiegać się miały w ręku staro-
rego męża Amelii. Są charaktery w tym dramacie, są motywa

w całym jego rozprowadzeniu, w które wniknąć z tego punktu widzenia wcaleby było niepodobieństwem. Zatem nie pozostaje, jak chyba powiedzieć sobie, że jedno z dwojga: albo dramat ten zupełnie się autorowi nie udał, albo ktoś inny chyba musi być w nim charakterem centralnym... Jeśliby o to tylko chodziło, kto w Mazepie ma najczynniejszą rolę, kto najjaśniej wybucha namiętnościami, kto najwięcej ze wszystkich huczy i drugich tyranizuje, wreszcie czyja rola dla aktora jest najwdzięczniejszą do odegrania itp. to nie przeczę, że na te wszystkie zapytania odpowiedziećby tylko można wyrazem: Wojewoda! Pokazuje się wszelako właśnie z obecnej sztuki, że na definicyą tego, co to jest być bohaterem utworu scenicznego, nie wystarczają te zewnętrzne kryteria. Najczęściej one wprawdzie spotykają się z przyjętą rze- czy tą definicyą; prawdziwa wszelako istota takowej na czem innym polega. Bohaterem dramatu jest ta jedynie figura, która idealnie zajmuje sam jego środek: tak iż wszystko, co tylko do treści dzieła należy, okazuje się być promieniem wynikającym z tejto roli centralnej. Rola Wojewody żadną miarą nie ma tego stósunku ani do innych figur, ani do całości sztuki. Ze stanowiska wytkniętego przypuszczeniem, jakoby Wojewody namiętność była tu głównym tematem, na podobieństwo szekspirowego Otella, tylko z tą od niego różnicą, iż tu ta monstrualna zazdrość rozwija się na tle dawnego obyczaju polskiego — z tego mówię stanowiska niepodobną jest rzeczą wcale rozbierać Słowackiego Mazepę.

W Szekspira sztuce wszystko się na to składa, ażeby Otella krok za krokiem wprowadzić w ten szal tragiczny, który całe szczęście jego niweczy i przywodzi go do tego, że żonę niewinną i którą tak serdecznie kocha, morduje. Okoliczności nadzwyczajne, mające miejsce przy zaślubieniu Desdemony — przekleństwo ze strony jej ojca — niemniej rodowe, a raczej rasowe pochodzenie Otella — jego osobista przeszłość, szpetność jego powierzchowności — nareszcie przewrotna niegodziwość Jaga, który się wziął na to, żeby małżonków powaśnić: — wszystko to zbiega się w tym jednym punkcie, żeby wzbudzić w Otellu tę kolosalną namiętność, pod której władzą go oglądamy w drugiej połowie

utworu. W dziele Słowackiego nie się zgoda na to nie składa, żeby obudzić w głowie Wojewody podejrzenia i nienawiść przeciw Amelii. Ani jej przeszłość, ani teraźniejsze jej zachowanie, ani nawet skryte skłonności nie dają do tego wcale powodu. Nie ma podżegacza, któryby sztucznie obudzał podejrzliwość w jej mężu. Całym źródłem zazdrości w Wojewodzie jest jego własna zapalczywość, jego zaślepienie, upor, duma — i trochę fatalizmu w zbiegu samych przypadkowych okoliczności. Te momenta żadną miarą nie wystarczają na to, żeby z tego charakteru utworzyć figurę, którejby cierpienia i postęпки były dostatecznym materiałem do stworzenia tragedyi...

Okazuje się tedy, że można przeczytać z natężoną uwagą całą tę sztukę Słowackiego, można ją widzieć kilka razy odegraną na scenie — i być w prawdziwym kłopotcie, co odpowiedzieć na to, jeżeliby kto zapytał: o czyję namiętność w niej głównie chodzi i kto w niej jest pryncypalną postacią? Był rzeczywście już nawet spór o to w lwowskich pismach czasowych, po odegraniu tam po raz pierwszy Mazepy. W jednym dzienniku dano wzmiankę o tej reprezentacyi, rozwiniętą z założenia, że główną rzeczą jest w tym dramacie rola Amelii. Drugi dziennik wystąpił przeciwko temu twierdzeniu, dowodząc, że nie Amelia, lecz Wojewoda ma w Mazepie pierwszorzędne znaczenie. Nie byłoby dziwu, gdyby się był odezwał jaki głos trzeci, forytujący znowu na protagonistę tej sztuki szlachetnego, pełnego najwznieślejszych instynktów, a tak nieszczęśliwie kończącego w niej swój zawód Zbigniewa... Sam ten fakt, że mógł być spór taki względem tego pytania, upoważnia do wniosku, że założenie autora w Mazepie przeprowadzone być musi w sposób jakiś nieodpowiedni celowi. Nieodpowiedniość ta, o ile się nazwać daje chwiejnością jakąś w prowadzeniu wątku dramatycznego, mogła być tedy, jak się to już rzekło powyżej, skutkiem samego sposobu pracy autora nad tym utworem.

Jest jednak i druga jeszcze przyczyna, dla której Mazepa pod wskazanym wyżej względem nie czyni zadość koniecznym wymaganiom krytyki. Za przyczynę tę poczytuję brak znamion

rzeczywiście tragicznych w roli, która w tragedji naszej stanowić miała właśnie sam środek jeśli nie działania, to przynajmniej cierpienia tragicznego. Taką jest rola Amelii. O czém ażeby się przekonać, chciejmy choć jednym rzutem oka spojrzeć na całą rzecz sztuki naszej z punktu widzenia poety i w jego duchu.

Słowacki miał wprawdzie całe współczucie dla cierpień, dla boleści, dla łez, dla pragnień serca ludzkiego. Kochał istotę człowieczeństwa, ale... kochał ją i pojmował tylko w szczególnych, w upatrzonych i wyidealizowanych jednostkach. Dla ogółu, dla „tłumu“ — poeta nasz nie miał serca. Wielką liczbę odsuwał od siebie z wzgardą. Połowa jego poezyi — jestto nieustanna walka z człowiekiem, jakim tenże jest w massie, w rzeczywistości, w obowiązujących społecznych formach, słowem w téj rzeszy tyśiącogłowej, która najszlachetniejsze indywidua pochłania, zamieniając im życie na jeden szereg nieprzerwanych goryczy, przykrości, rozczarowań, a w danym razie i udręczeń.

Zamierzył sobie i w obecnej sztuce wystawić dolę ziemską biednej takięj jednostki, osobistymi przymiotami upoważnionej do lepszego losu, niż jaki ją spotyka w jej otoczeniu. Tą jednostką, tą jedyną postacią w całym dramacie, z którą autor bezwarunkowo sympatyzuje, jest Amelia.

Przypadkową i obojętną zupełnie to jest rzeczą, że ją umieścił na tle stosunków naszych XVII stulecia, za panowania Jana Kazimierza. Cały akt pierwszy Mazepy w wielu względach przeznaczonym wprawdzie zdaje się na to, żeby nam przewrotność wiekowi temu właściwą w różnych napomknieniach naznaczyć. O wiek siedemnasty jednakże i o jego w narodzi naszym drożności bynajmniej tu nie chodziło. Jakiegokolwiek czasy byłby autor rzucił za tło utworowi swojemu, w każdym razie byłby on w nich ze stanowiska swego odstąpił złe przemagające nad dobrem. Pessimistą był nasz poeta. Że tu z przypadkowych przyczyn miał należeć do działających osób Mazepa, którego przygody w pierwszej redakcyi sztuki zapewne traktowane były dosadniej: — stało się mimowolnie, że owa właśnie epoka posłużyła obrazowi za ramy, przez co ten obraz otrzymał pozory historycznej tragedyi.

Rzeczywiście nie ma tu zgola historycznych żywiołów i z tego punktu nie można autorowi czynić żadnych zarzutów.

Biorąc rzecz w tym duchu, jak jest dana, przypatrzmy się z bliska bohaterce dramatu. Widzimy ją od pierwszej chwili postawioną w położeniu nader trudném. Jest żoną, człowieka, do którego nie zbliża ję ani wiek ani serce. Całe usposobienie Amelii, tkliwe i potulne, a ile wnosić, nawet i stósunki towarzyskie dawniejsze, nie rymują z ję położeniem w tym domu. Wojewoda — to magnat, starzec, człowiek popędów impetycznych i samowładnych, dumy twardęj i samolubnej. Popędliwość jego zdolna jest wystawić na szwank życie nawet najdroższych osób.*) Zaślepienie jego nie zna granic, jeżeli raz weźmie zapęd w pewnym kierunku. Nie jest on wprawdzie wyzuty z uczuć ludzkich, które na spódzie serca ukryte, lepsze są niżeli jego postępowanie; ale się wstydzi okazać, że je ma!

„Ba! pańskiemu czołu

Coś cięży, coś dolega — wstyd samego siebie.

Ja go znam. On się prędzęj pod zamkiem zagrzebie,

Niż przyzna się do żalu (*tego co uczynił*).

To panisko dumne!

Ja go znam: taki dzieckiem był i pójdzie w trumnę.

Ja go znam — to dotkliwy jest pan na honorze.“ —

Tak go opisuje stary sługa, który nie na to te słowa mówi, żeby Wojewodę oskarżać, ale raczej żeby go uniewinnić; dobiera więc słów ile możności eufemistycznych na określenie tęg szorstkieg i samolubnej natury.

A Amelia? — Posłuchajmy co o nię trzepie stara Kasztelanowa, kiedy ją widzi raz pierwszy:

„Cóż to jest za dziewczeczka? Ze skrzydeł motyla

Trzewiczki ma — na głowie bez żadnego fiocha — —

*) Powiada mu Zbigniew w akcie III: — „Ojczę, o! będzie ze mną tak jak z moim bratem, Ktęrego ty zabiłeś przed laty niechcący “

ZBIGNIEW.

To Mościa Dobrodziejko, jest moja macocha.

KASZTELANOWA.

Ta młodziutka? To jeszcze dziecko! — A proszę cię

Bądźże mi przyjaciółką, moje piękne dziecko!

Uważaj mię jak swoją. — Cóż? jaka ty ładna!

A to panie Zbigniewie cud! Z sąsiadek żadna

Nie wyrówna. — Nie płoń się, staręj wolno mówić“...

Takto więc dobrane jest ono stadło. Kto je złączył?— Bogu wiadomo. Poeta o tém nie mówi. Łatwo odgadnąć, że wzajemna skłonność nie była tu dziewczęstwem. Groźny rozkaz rodziców, albo krewnych lub opiekuna — to była niezawodnie cała przyczyna, dla której znalazła się biedna sierota w objęciach możnego pana. Po takim ślubie, jakie być może pożycie? Amelia wprawdzie ani słowem nie skarży się na swą dolę, gdyż ją pocziwie, ulegle, cierpliwie znosi. Ale podobno bynajmniej nie rozmija się stara Robroncka z istotną prawdą, kiedy powiada już w chwili pierwszego poznamajomienia się z młodą Wojewodziną:

„Tobie tu jak białemu gołębiowi w klatce,

Ten zamek bardzo smutny, tobie trzeba słońca.“

Owoż w takichto stósunkach postawioną kobietę wprowadza Słowacki w zawiłkiania, które jako wyjątkowe, nieprzewidziane i nie od jęj woli zawisłe, trudność jęj położenia przemieniają w zawód pełen okropności i męki. Widzimy w Amelii przedmiot pokuszeń i ubliżeń, posądzeń i oskarżeń, nakoniec ofiarę brutalnej bezlitości — i to ze strony osób, których rzeczą właśnie było bronić czci i pokoju takiej istoty — jeżeli już nie na mocy praw i wynikających z nich obowiązków w sferze rodziny, to z mocy najwyższej politycznej władzy nad społeczeństwem. Król, wystawiony tu w całej szkaradzie cynizmu — dworzanin jego, lekkomyślny, niesumienny, zepsuty światem, choć nie bez szlachetnych usposobień, które niekiedy dają się z ust jego słyszeć — pasierb, rozmiłowany i niby idealny, gotów życie dla Amelii poświęcić i nawet poświęcający je w końcu, ale bez

najmniejszego pożytku, gdyż miłość jego jest występna, a z takich źródeł wynikają same tylko zgubne następstwa, choćby były zamierzone w najlepszej myśli... nareszcie sam Wojewoda, w zaślepieniu dochodzący zadanej sobie obrazy — nie tam, skąd ta obrazy wyszła, ale na osobie najboleśniej właśnie oną obrazą dotkniętą: — oto najglówniejsze typy w dramacie, których działanie samowiednie i bezwiednie składa się na to, żeby intrygę rozpozczętą tak zgmatwać, tak splatać, tak zwickłać w jeden labirynt nierozdzierznionych nieporozumień, iż życie na takim świecie staje się dla tój bezbronnej, niewinnie potępionej kobiety niepodobieństwem i zmusza ją do przecięcia tego pasma zawikłań — samobójstwem.

Otóż nastrocza się pytanie, czy natura z takich stworzona żywiółów, czy rola w taki przeprowadzona sposób, nadawała się na charakter, zajmujący to główne miejsce w dramacie, jakie zapełnia nasza heroina w Mazepie?

Nie tylebym tu jeszcze był skłonny kłaść przycisk na tём, że rola Amelii, jako przeważnie bierna, nie zdaje się być w należytych stopniu dramatyczną w ogóle. Przyznaję wprawdzie, że utarte nasze o poezyi pojęcia, czy takowe są wysnute z teoryi sztuki, czy w praktyczny pozyskane sposób z rozpatrywań najcelniejszych arcydzieł, żądają tego koniecznie, ażeby z rąk bohatera dramatu wychodziła rzeczywista inicjatywa całego przebiegu sprawy, która się toczy. Pierwszorzędne role bywają i powinny być nie tylko najsympatyczniejsze dla widzów, ale i najwięcej czynne. Na tём polega głównie cała ich waga jako dramatycznych czynników. Od tój reguły jednakże w sferze poetyckiej praktyki zdarzają się przecież czasem wyjątki. Król Lir Szekspira na przykład przeprowadzony jest przez całą sztukę jako zupełnie biernie tylko zachowująca się osobistość. Z wyjątkiem pierwszej sceny, gdzie Lir dzieli królestwo swoje między dwie córki najstarsze, a trzecią niesprawiedliwie wydziedzicza i od serca swego odtrąca, cały dalszy przebieg tragedyi jestto już ciąg nieprzerwany samych ciosów niewdzięczności i prześladowań, które na starca tego spadają. Mimo tak przeważnej bierności bohatera tragedyi, zaliczają przecież wszyscy rzeczony utwor

największego z dramatycznych wieszczów europejskich do jego najgenialniejszych robót...

Na mocy tak wymownego przykładu ze strony dawniejszej dramaturgii, byłoby tedy to uszło i naszemu pocie, że stworzył heroinę w téj sztuce w sposób, jak ją widzimy przeprowadzoną. Jego Amelia choć nierównie więcej znosi, aniżeli czyni, zajmuje przecież już przez to sam środek w rozbiegu akcji, że działanie innych osób bez wyjątku do niej i tylko do niej się ściąga. W jój roli tedy mamy węzeł, łączący w jedno wszystkie szczegóły. A brak dramatycznej czynności może tu być tłómaczony uwagą, że przecież to postać niewieścia...

Natomiast upatruję stanowcze uchybienie poety co do charakteru Amelii w innéj okoliczności. Bohaterka Słowackiego niczem się sama nie przyczynia do tego, że z jednej strony przewrotność i namiętności otaczających ją osób, z drugiej sam nawet zbieg przypadkowych okoliczności przeciwko niej się obraca. Amelia nie wyzwala rzeczywistości do walki; nie zaczęła jój wcale! — Bez zaciągnięcia samochcąc winy, żadna rola nie sprawia prawdziwie tragicznego wrażenia. Kara i cierpienia mogą być nierównie sroższe niż przewinienie: owszem, im nierówniejszy jest ten stosunek, tém więcej na tém zyskuje dotycząca osobistość tragiczna. Ale jakiś powód do tego wszystkiego, co jój znosić przychodzi, koniecznie musi być przez nią dany. Cierpienia i gorzkie rozczarowania Lira nie byłyby miały miejsca, gdyby nie własna jego wola, z niesprawiedliwością i ślepotą i uporem wyzywającym w czyn zamieniona na samym wstępie tragedyi. Wszystko, czego tenże potem od dzieci swoich doznaje, są to tylko następstwa jego własnego czynu. Dał do nich powód; wywołał je: chociaż dopiero nieprawość drugich jest źródłem, z którego wszystko z jaskrawością wynika...

Podobnego przyczynienia się do cierpień, jakie w naszym dramacie znosić przychodzi Amelii, żadną miarą dopatrzeć się nie można w całym jój postępowaniu. Rola jój tak jest przeprowadzona, że jój nigdzie nie zarzucić nie można. Są wprawdzie w pierwszych scenach aktu Igo, są i w dalszym toku sztuki takie miejsca, które — jeżeli się po raz pierwszy dramat ten czy-

ta — zdają się na razie być zdolnemi wykładu, źle uprzedzającego o téj osobie.*) Wykład takowy prostuje się jednakże na jej stanowczą korzyść, w dalszym toku działania. — Nawet w stosunku Amelii do Zbigniewa, nie można nic takiego upatrzeć, coby ją potępiało. On nią zajęty od pierwszej chwili, to prawda. Ona jednakże ani nie podziela tych uczuć, ani się nawet nie domyśla, że jest kochaną. Stąd też ta naiwna swoboda, z jaką się z pasierbem swoim obchodzi (np. na końcu aktu II, w owej scenie z lilią). Dopiero w akcie trzecim, kiedy słyszy od Zbigniewa, że odjeżdża i to na zawsze — kiedy go widzi przed sobą walącego się bezwładnie na kolana i na pożegnanie żądającego błogosławieństwa — na całą wieczność: — wtedy dopiero otwierają się przed oczyma Amelii widoki, równie jej dotąd nieznanne, jak uczucia, które i w niej samój teraz dopiero się rodzą. Po mistrzowsku przeprowadził Słowacki tę skalę psychicznych odkryć, tę rosnącą stopniowość usposobień, słowem tę genezę miłości zapalającej się w wolném aż dotąd sercu jak prochy iskrą dotknięte — niby z nienacka, raptownie, nagle, doraźnie, a jednak nie bez tych przejść pośrednich, niewidomych zwyklemu oku, bez których nie ma potężnych wzruszeń w naturze ludzkiej. Przychodzi więc w taki sposób jakoby do wyznania miłości.

W téj scenie jest perypetya roli Amelii, a razem z nią byłby tedy i pozór winy, którą niby popełnia i za którą pokutuje następnie.

Pozór rzeczony atoli złudnym się okazuje natychmiast. Bezpośrednio po wyrzeczeniu mimowolném pierwszych słów zdradzających jej stan wewnętrzny, odzyskuje matka Zbigniewa świadomość

*) Mam tu na myśli np. owe słowa: „O Boże, król!“ które wymawia Amelia, słysząc wystrzał armatni zwiastujący przybycie Jana Kaźmierza. Podobnie wątpliwymi zdawać się mogą i wyrazy „O Boże!“.. „Tak mi coś na sercu smutno!“ z którymi się odzywa, kiedy Mazepa z natręctwem jej się narzuca. Nie są to jednak objawy niepewności siebie samój w obec tych ponętnych uład i stąd trwogi o przyszłość, ale przeczucia możliwych nieprzyjemności, uzasadnione świadomością okoliczności.

obowiązku swojego i silną wolą nie tylko broni się przeciwko uczuciu, które ją z nienacka już owładnąć poczęło, ale je nawet i zstrząsa z siebie.

....„Jaka plama

Dla mojej czystej duszy tak z Waćpanem gadać!

Jak gdybym rozumiała! — Nie chcę o nic badać —

Ja będę wiecznie Boga za ciebie prosiła. —

Nie bój się: my niewinni! Bóg cierpienia zsyła,

Ale można spokojność wyprosić u Boga.

Ja Pana żegnam wiecznie“... itd. itd.

Gdyby Amelia odkryła miłość pasierba od razu tym to-
nem była odsunęła od siebie, byłoby to wprawdzie może jeszcze
chwalebniej, niż jak się stało. Czyby to jednak było z jej stanowiska
takim aktem heroizmu, jak się to komu może wydaje? — to mi
się widzi inne pytanie. Stoicyzm taki tegoby tylko dowodził, że
Amelia nic nie czuła dla Zbigniewa; że go odprawiła... bo ją
to nic nie kosztowało. Nie ma w tym wielkiego tryumfu, być tam
zwycięzcą samego siebie, gdzie nie ma żadnej walki, gdzie na-
wet pokuszenia nie było. Doznać całej potęgi uludnego na bez-
droża pociągu, a jednak ten pociąg stłumić szlachetnie i na ra-
zie: to dopiero i chwała i zasługa prawdziwa.

Okazuje się zatem, że nawet w tych zawikłaniach z pasierbem
nie podlega postępowanie. Amelii żadnym zarzutem, z zwyczaj-
nego moralnego stanowiska ją sądząc. Lecz właśnie ta jej
wyższość nad wszelkie z tego względu zarzuty nie odpowiada ko-
niecznym żądaniom sztuki. Warunki tragiczności wymagały cze-
go innego. Im doskonalszą w ogólności jest Amelia kobietą, tym
jest słabszą heroiną dramatu. Bo wśród wszystkich tych cier-
pień, które jej przychodzi znosić w dalszej osnowie tragedii aż
do ostatniej sceny, widzimy w niej tylko nie winną ofiarę,
pokutującą za zdrożności, których nie było. A tragedii celem
nie jest bynajmniej wystawiać ofiary i męczenniki, lecz namie-
tności ludzkie, na tle których nawet wiekuiste ideje przybierają
kierunek doczesny i ku ziemi ciężący...

Nie tylko ze strony wymagań sztuki, ale i z etycznego
punktu widzenia rzecz ta nie może być nazwaną inaczej, jak

złudzeniem poety. Cierpienia ani nie zasłużone, ani nie wynagrodzone — to najwyższy fałsz w świecie ducha! W doczesnej rzeczywistości wypadków takich wprowadzie niestety aż nadto. Ale doczesna rzeczywistość — to ustęp całości, której tak początek jak koniec idzie po za granicę widnokągu śmiertelnych. Nie dziw tedy, że jęj nie rozumiemy. Poezya jest odbiciem nieskończoności. Poezya nie jest na to, żeby powtarzała ułomności nędznej naszej exystencji na ziemi.

Desdemona w sztuce Szekspira, w której także zazdrość męża stanowi główną sprężynę akcji, ma na pozór wiele podobieństwa do naszej bohaterki. I ona kończy smutnie, a zupełnie niewinnie. Ale z jakąż to starannością baczny był na to ten niezrównany mistrz w swojej sztuce, ażeby usunąć od nieszcześliwej żony Otella tę woń i aureolę idealnej doskonałości, która w dramacie równie jest nie na miejscu, jak skończone i bezwarunkowe zbrodniarstwo. Cały akt pierwszy Otella temu jest poświęcony, ażeby przeprowadzić przed oczyma widzów w roli Desdemony antecedenecye, w obec których dalsza jęj dola jest tylko logiczną wynikłością własnych jęj... jeśli nie lekkomyślnych, to zawsze nierozumnych, jeśli nie płochych, to w każdym razie excentrycznych i na oślep popełnionych postępów. Mianowicie oddanie ręki takiemu człowiekowi — jest tam nie tylko aktem jęj własnej woli, ale mu towarzyszy jeszcze jaskrawe nieposłuszeństwo przeciwko ojcu, z którego domu podstępnie i obłudnie ucieka. Rzuca się tedy na to burzliwe morze, które ją ma pochłonać, samochcąc i przy niebłogosławieństwie rodzicielskiem. A Amelia w Słowackiego Mazepie i z téj strony jest bez zarzutu.

— Ujmując pod jeden widok wszystko, com w powyższém o obecnej sztuce powiedzieć za potrzebne uważałem, przyznaję jęj więc z jednej strony niepospolite zalety sceniczności, dla których też dramat ten na zawsze pozostanie równie dla widzów jak dla utalentowanych aktorów pożądaną pozycją w repertoryach; obok tego jednak zarzucam jęj rażącą niejasność co do zamiaru, dla którego była pisana. Wydobywszy zaś z pomiędzy różnych możliwych założeń, jakie się nastroczą, to jedno, w którym się

ostatecznie mieścić zdaje rzeczywista myśl autora, przychodzimy do uznania, że przeciw niejednemu w tej dążności protestować koniecznie trzeba. —

Rozmiar dzieła tego nie pozwala zastanawiać się nad pojedynczymi ustępami Mazepy, o których byłoby wiele do powiedzenia. Są w tej sztuce wielkie piękności, na które wartoby było zwrócić uwagę. Są też i mniej szczęśliwe już to wiązania scen między sobą, już rzuty charakterów (np. Jana Kazimierza), któreby koniecznie wytknięte być powinny. Lecz zbyt liczna rozwlełość nie byłaby tu na miejscu; poprzestaję zatem na rozpatrzeniu powyższem samych tylko ogólnych względów.

Rozbior *Balladyny* i *Lilli* odkładam do osobnego rozdziału. Dla urozmaicenia rzeczy rozdział ten nastąpi na dalszych dopiero kartach. Teraz zaś przeprowadzam czytelnika znowu do ustępu z biografii poety.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY.

Rok 1841 i pierwsza połowa 1842go. — Stosunek między Słowackim a Mickiewiczem Słowackiego zdanie o Panu Tadeuszu. — Mickiewicz profesorem w Lozannie. W r 1840 otrzymuje katedrę w Collège de France w Paryżu. Wieczór artystów i poetów — improwizacye — wymówki. Nowa niechęć z okazji ofiarowanego Mickiewiczowi puharu — bezimienny artykuł w Tygodniku Poznańskim — odpowiedź w Trzecim Maju — Beniowski. Wrażenie téj publikacyi — dalsze takowej następstwa — pojedynek. Artykuł Krasiańskiego w Tygodniku Poznańskim burzę poniekąd ucisza. — Wracają spokojniejsze stosunki — otucha i rezygnacya — czynność autorska wzrasta. Dalszy ciąg Beniowskiego — Niepoprawni — Złota Czaszka — Księżę Niezłomny.

Na samym schyłku roku jeszcze 1840 zaszło zdarzenie, które przeważnie wpłynęło na rodzaj i na dążność niektórych robót Słowackiego w roku następnym. Mówię o zajściu pomiędzy nim a Mickiewiczem na owęj uczcie na cześć Adama wyprawionej w Paryżu po pierwszej tegoż prelekcyi. Okoliczność ta — znana każdemu, kto tylko czytał Beniowskiego, lecz tylko w najogólniejszych zarysach — zasługuje, ażeby ją tu podjąć szczegółowo i opisać w duchu rzetelnej prawdy. Były wprawdzie czasu swego artykuły o tém w pismach czasowych. Zdarza się też niekiedy słyszeć i dzisiaj jeszcze ustne opowiadania o owym pamiętnym wieczorze, i to od osób, które utrzymują, że były na nim obecne. Ponieważ atoli w pierwszych więcej przebijają stronnictwo jak dobrej wiary, a w drugich, to jest w ustnych opowiadaniach, daleko więcej bywa znowu bujnej fantazyi, aniżeli wiernéj pamięci: — nie dziw zatem, że to tak niedawne zdarzenie zasunęło się już prawie w krainę mytu. Do istotnych faktów przymieszało się wiele zmyśleń i niepotrzebnych ubarwień. Obaczmyż tedy, ile

w tém wszystkiém, co sobie dzisiaj o tém rozpowiadają, mieści się wątku rzeczywistego.

Znane już nam są dokładnie nieporozumienia pomiędzy dwoma tymi poetami naszymi, o ile takowe odnoszą się do czasów dawniejszych, kiedy to jeszcze Słowacki mieszkał w Paryżu w pierwszych latach po rewolucyi. Przypominamy sobie, że pochodziły one z różnych pobudek. Wrodzona drażliwość, będąca zawsze słabą stroną Juliusza — współzawodnictwo — różność kierunków — zausznictwo nierozsądnych przyjaciół — nakoniec rzeczy niektóre w Dziadach: oto okoliczności, które wtedy napępiały serce młodszego wieszczą coraz większą przeciwko Adamowi goryczą, aż go wreszcie taką ku niemu nienawiścią uniosły, że obrzydziwszy sobie całe otoczenie swego antagonisty i nie mogąc już wysiedzieć na miejscu, ujechał z Francyi nad jezioro genewskie. Od tego czasu stósunków pomiędzy Juliuszem a Adamem nie było właściwie żadnych. Co sobie o tém wszystkiém myślał wtedy Mickiewicz, nie wiem. Sądzę, że siedząc dumnie na swoim tronie jako pierwszy narodowy poeta — ignorował co zaszło i uważał to wszystko za dzieciństwo. Juliusz — ile namiętniejszy i młodszy, a do tego w jednym punkcie skrzywdzony w samej istocie, zatrzymał niechęć przeciwko niemu i nadal. Przedmową do *Lambra*, *Kordyanem* — rzucał to wręcz, to ubocznie rękawicę Mickiewiczowi do boju: Mickiewicz nie widział żadnej potrzeby, ażeby ją podnosić. Potém między nimi ucichło wszystko. W dziełach drukowanych Słowackiego nie ma już ani śladu tego co wrzało u niego w sercu. Ale odzywały się za to od czasu do czasu w listach jego wybuchy żywionej nienawiści przeciwko autorowi *Dziadów*. W r. 1834 pojawił się nowy Adama poemat — *Pan Tadeusz*. Słowacki mieszkający wtedy jeszcze w Genewie, nie otrzymawszy go jeszcze do rąk i tylko z samej wieści wiedząc o jego wyjściu, donosił matce (d. 13 lipca 1834) w tych słowach o tém:

„Adam wydał poema nowe pod tytułem *Pan Tadeusz*. Nie znam jeszcze tego dzieła, bo w kurs nie puszczone. Wiem tylko, że *Pan Tadeusz* jestto szlachcic na Litwie, który się awanturuje między 1811 a 1812 rokiem“...

W daleko jeszcze uszczypliwszych wyrazach udzielał później wiadomości o Mickiewiczu, że się ożenił (w liście z d. 7 listopada 1834). Dopiero w końcu tegoż roku złamało się wreszcie ostrze tego gniewu i uprzedzenia. Był już wtedy w stanie pisać o nim Słowacki nie tylko nienamiennie, ale nawet z uwielbieniem. Tego cudu dokazały... czary prawdziwej poezyi! Dokazało go mistrzowskie, pogodnym i miłościwym duchem owiane dzieło Adama — właśnie ów Pan Tadeusz, który jeszcze w lipcu „awan-turował się” tylko! Przeczytał go autor Kordyana, wszedł w siebie, schylił czoła przed geniuszem: i zapomniawszy wszelkich uprzedzeń, w duchu i sercu — myślą — podał rękę ze łąką w oku wieszczowi, który mu dawniej tyle dokuczył... Był to tryumf dla tego poematu — największy może tryumf ze wszystkich, jakie mu się kiedykolwiek odnieść zdarzyło. Było to zarazem nie-mniej chlubne świadectwo i o szlachetnych, wyższych instynktach natury Słowackiego...

„Wszystko, co zniknęło w przeszłości — pisał d. 18 grudnia 1834 — ma dla mnie teraz anielską twarz i anielski głos. Adama nowy poemat obudził także we mnie wiele dźwięków przeszłości. Bardzo piękny poemat! podobny do romansu Walterscota, wierszem napisanego. Dom szlachcica maluje się wybornie — heroina poematu choć gęsi pasie, ma jakąś w sobie świeżość dawnych opisów — coś dziwnie zachwycającego prostotą! Wiele opisów miejsc, nieba, stawów, lasów jest mistrzowską ręką skreślonych — natura cała żyje i czuje. Poemat raczej żartobliwy niż smutny; a jednak często z najweselszych na pozór miejsc smutek ujmie człowieka. Jest to poema zupełnie innego rodzaju, niż wszystkie dotąd Adama utwory. Nadewszystko jest w tym poemacie opis łowcy dmącego w róg myśliwski — cudowny opis! Trochę mi przypomniał pana Jakóba trąbiącego w lesie. I drugi opis żyda grającego na cymbałach, także przesłiczny. Chciałbym, abyście ten poemat prędko czytać mogli. — Co do samego autora, piszą mi z Paryża, że żyje dobrze z młodą żoną, a żona ta ma być piękna i ładnie gra na fortepianie. Nie dziw, bo córka Szymanowskiej. Co wieczora mnóstwo naszych ziomeków schodzi się do mieszkania poety i bawią go; a on ciągnąc dym z cybucha — słucha i uśmiecha się. — Co za sprzeczność z moimi samotnymi wieczorami! Niech będzie ze mną, jak Bóg chce, w tej samotnej wędrówce życia!“...

Od téj pory w korespondencyi naszej nie znaleźć już ani cienia uprzedzeń przeciwko Mickiewiczowi. Przeciwnie, wspominał zawsze o nim Słowacki z wyraźną życzliwością; i jeżeli mu wypadło donosić o nienajpomyślniejszém jego powodzeniu (a do takich doniesień na nieszczęście najczęściej zdarzała się sposobność): mówił o tém zawsze ze współczuciem i żalem. Z oburzeniem udzielał np. w maju 1835 wiadomości, że pierwszy poeta polski, mimo dwóch co rok dzieł wydawanych, do tego stopnia niedostatek cierpi w Paryżu, iż nawet sługę odprawić musiał... „Czy tam u was (zapytywał) miejsce na policach bibliotek kalendarze zajmują?“ — Z równém ubolewaniem w trzy lata później (w r. 1838 w Florencyi) wspominał o „rzemieślniczej“ i upadłej też próbie Mickiewicza, napisania dramatu francuskiego dla której ze scen paryskich, do czego tenże był zniewolony jedynie brakiem środków niezbędnych na wyżywienie rodziny.

Za przybyciem swoim powtórném do Francyi (w samym końcu r. 1838), poeta nasz nie zastał Mickiewicza w Paryżu. Mało co przedtém tenże przeniósł się był do Szwajcaryi. Objął tam w akademii lozańskiej katedrę literatury łacińskiej, powierzoną sobie właśnie z końcem tegoto roku.* Nie można tedy owych skarg Słowackiego na małość, na zawiść, na sekciarstwo polityczne i oswiałość Emigracyi, które w małej tylko części przytoczyłem w poprzedzających rozdziałach, żadną miarą tak tłómaczyć, jakoby się cobądź z tego wszystkiego stósować znowu miało do osoby Adama. Do innych zgoła ludzi to odnosić należy.

Dopiero w r. 1840 w miesiącach jesiennych nastąpił przyjazd Mickiewicza do stolicy Francyi celem objęcia co tylko utworzonej katedry historii literatur słowiańskich w Collège de France. Była to jedna z najświetniejszych chwil w jego życiu. Miał zająć stanowisko, do którego w pierwszych czasach przywlezywano wa-

*) Z téjto przyczyny więc owo o Mickiewiczu wyrażenie w przytoczonym powyżej liście Krasińskiego, że „uczy Szwajcarów, jak nie mają nigdy umieć po łacinie“. Ale dla czego to „nigdy nie mają“? tego sobie w ustach Krasińskiego wcale wytłómaczyć nie umiem.

żność ogromną, ważność daleko sięgającą po za zakres szkoły, nauki i tylko literackich zagadnień.

Była to pierwsza sposobność dla Francuzów, a przez nich i dla całego zachodu, zajrzeć w samo wnętrze tego olbrzymiego plemienia, którego przeszłość i położenie obecne, stósunki wzajemne i dążność, słowem cała tak fizyczna jak duchowa natura była dla reszty Europy aż do téj chwili prawdziwie „kraią nieodkrytą“. Zdawało się to być rzeczą nieobliczonej wagi, który z członków téj wielkiej rodziny ludów powołany zostanie na tłumacza tych wszystkich światodziejowych zagadnień, jakie się wiążą z kwestyą słowiańską. Przez czas pewien, czas krótki wprawdzie, ale dostatecznej długości, aby interesowanych do żywego zaniepokoić, ważyło się w gabinecie francuskim, komuby tę katedrę powierzyć. Czy miałby być powołany na to stanowisko który z uczonych czeskich, czy Rosyanin jaki, czy Polak? Polska a Rosya — to dwa przeciwne sobie bieguny, czy spojrzym na przeszłość odwieczną obojga tych narodów, czy też na ducha, co je obecnie ożywia i dalszą im przyszłość wytyka. Od tego, w jakim duchu i z jakiego punktu widzenia będzie wyrzeczone pierwsze słowo téj polityczno-naukowej analizy Słowiaństwa: od tego zależeć miała cała przyszłość i polityki rządu i opinii narodu francuskiego w stósunku do wschodu Europy. Z natężoną tedy uwagą patrzała Emigracya polska na te szale chylące się przez czas jakiś w niepewności pomiędzy względami już to na narodowość, już też i na osobistość przyszłego profesora. Wreszcie namysły ministeryalne co do tego wyboru zostały rozstrzygnięte. Zostały rozstrzygnięte na korzyść narodu, który w Słowiańszczyźnie najwięcej dotąd położył zasług około cywilizacji. Z otuchą i radością najżywszą doniosły pisma emigracyjne krajowi, że Polak i to mąż tak znanego patryotyzmu, tak wielkiej nauki i natchnienia, ma w stolicy cywilizowanego świata odkrywać, tłumaczyć i nauczać, co to jest Słowiańszczyzna. Wielki wieszcz, mówiono sobie, często jest nie tylko nauczycielem, ale i prorokiem. Może on będzie zachodnim ludom odkrywał nie tylko przeszłe ale i przyszłe skarby tych ludów...

W takich-to więc wyrazach pisały o tém naówczas pisma; tak sobie zadanie téj katedry tłómaczyli wszyscy, którzy pojmowali ważność téj sprawy i znali Mickiewicza.

Nie brakło wprawdzie i na takich w Emigracyi, którzy nie bardzo temu dowierzali, żeby się wielki ten poeta zdołał okazać równie wielkim i w sferze ścisłej nauki, zwłaszcza że prelekcye miały być dawane w języku obcym. Bądź jak bądź — tak ci, co wierzyli w jego uzdolnienie do tego, jako i owi co utyskiwali, że siły swoje przecenił przyjmując taki ciężar na siebie, w tém jednym pomiędzy sobą nie różnili się wcale, że patrzeli na Mickiewicza w dniach owych, jako na człowieka którego słowo może rozstrzygać będzie o kierunkach przyszłości umysłowej w całym świecie słowiańskim. —

Pierwsza prelekcya odbyła się d. 22 grudnia 1840. Druga miała nastąpić — z przyczyny świąt Bożego Narodzenia — w tydzień dopiero potem. W téjto więc chwili, pomiędzy pierwszym wystąpieniem a drugim, z powodu otrzymanej katedry i z okazji urodzin i imienin Adama, przypadających jak wiadomo na dzień 24 grudnia, była wyprawiona owa uczta, o której tu pomówić zamierzaliśmy.

W sam tedy dzień Bożego Narodzenia p. Eustachy Januszkiewicz, ziomek i przyjaciel poety z czasów jeszcze uniwersyteckich, zaprosił na wieczór do siebie solenizanta i oprócz niego około 40 innych osób. Byli to sami prawie rodacy i przyjaciele, wielbiciele, koledzy szkolni albo towarzysze Adama w jakimkolwiek zawodzie sztuki. Oprócz muzyków Chopina, Szczepanowskiego, Fontany i Edmunda Larissa, znaleźli się tam prawie wszyscy znaczniejsi pisarze nasi emigracyjni, kilku generałów polskich i wiele innych znakomitości już to stale, już chwilowo w Paryżu wówczas przebywających. Znaczna liczba z pomiędzy osób przytomnych na tém zebraniu nie żyje już dzisiaj, że tu tylko wspomnę Ludwika Platera, Chopina, Izdora Sobańskiego, gen. Michała Mycielskiego itd. Rozmawiano, grano, śpiewano, słowem bawiono się wybornie, wreszcie zasiedli do stołu i napełniły się kielichy...

Niebawem zaczęto wnosić zdrowia — improwizowano.

Pośród różnych improwizacyi, któremi przeplatano biesiadę, zdaje się że najprzód się ze swoją odezwał właśnie Słowacki.*) Głównym celem jego przemówienia było oddanie należnego hołdu pierwszemu z wszystkich wieszczów słowiańskich. Do tego jednakże uznania jego pierwszeństwa przynieszało się mimowolnie i cokolwiek goryczy. Zaczął bowiem Słowacki zwyczajem swoim mówić też nieco i o samym sobie, o swoim pierwszym wystąpieniu i o zinném przyjęciu, jakiego i wtedy i ciągle jeszcze doznaje. To go rozgrzało, wzburzyło. Jękla struna w jego sercu, w którą uderzyć w pierwszej chwili właściwie nie zamierzał. Z uwielbienia wywiązała się skarga... Nie obeszło się też przy tém i bez przymówki zwróconej wprost do samego Adama, któremu wytykał, że zbyt jest dumny i zanadto zwykł lekceważyć swoich

*) Dlatego używam tu tego zwrotu, nie ręczącego za pewność faktu, ponieważ rzecz to byłaby bardzo ważna, wiedzieć na pewne, kto też pierwszy kogo zaczepił, a bałamutne źródła, z których głównie zmuszony jestem czerpać o tém wiadomość, okoliczność tę bardzo sprzecznie ze sobą przedstawiają. Wymieniam tu z źródeł rzeczonych niektóre tylko ważniejsze: Artykuł pod tytułem „Improwizatorowie“ w Tygodniku Literackim poznańskim, rocznik IV, str. 60, pełen najbujniejszej przesady, a jak sądzę, i faktycznych przekręceń. Inny artykuł, zatytułowany „Krasiński o Słowackim“, ogłoszony przez R. Z. w Dodatku Czasu 1859 tom XIII, str. 515, był pisany, jak to widać ze wszystkiego, dopiero w kilkanaście lat później i dlatego też jest pełen mylnych dat co do czasu; a może równie nie ze wszystkiém pewny i co do reszty osnowy. — Dalej przypominam zakończenie Vtęj pieśni Beniowskiego, jako też Rzecz o Nocy Letniej przez Krasińskiego, pióra samegoż Słowackiego. (Rzecz o Nocy Letniej jest wcielona do I tomu Pism pośmiertnych; pierwotnie pojawiła się w Trzecim Maju, nr. z d. 29 kwietnia 1841). I te nawet autentyczne wspomnienia nie są pisane w taki sposób, żeby bezpiecznie można było na nich polegać. Nakoniec należą tu listy Juliusza do matki, wprawdzie bardzo ważne i zajmujące co do tego przedmiotu, ale niezupełnie zgodne z tém wszystkiém, co w pierwszej chwili sam on o tém drukował, a zatem także wymagające wielkiej ostrożności w czerpaniu z nich. Tylko z połączonej porównawczej baczności na te wszystkie świadectwa razem da się wyrozumić rzetelna prawda, a przynajmniej to co się do niej najwięcej zbliża.

towarzyszów w zawodzie. „Lubo wiersze z ust Słowackiego — mówi jeden z świadków owego zdarzenia — wydobywały się w przerwach, z niejaką trudnością i przyciskiem, wszakże wznosiły się do najwyższej poezyi. Były wprost i od razu z duszy jego wylane, wyrzeczone z wielkim zapalem. Że się jednak zbyt wyraźnie w nich przebijała duma i zarozumiałość: wrażenie jakie sprawił w ogóle, nie wypadło na jego korzyść. Nie znalazł wśród obecnych w téj chwili tego uznania, na jakie skądinąd genialny jego talent zasługiwał i któreby nieochybnie był pozyskał, gdyby namiętność mniej była jaskrawo odzywała się z jego zresztą mistrzowskiej improwizacji.“

Ze słów samegoż Słowackiego, wyrzeczonych w Benio-wskim, można wyprowadzić wniosek, który potwierdza, że w takimto duchu rzeczywiście wypowiedziana być musiała owa miana natenczas przezeń do Mickiewicza improwizacya.

„Jam ci powiedział, że jak bóg litewski,
Z ciemnego sosen wstałeś uroczyska;
A w rękę twém krzyż jak miesiąc niebieski,
A w ustach słowo, co jak piorun błyska.
Tak mówiąc — ja syn pieśni, syn królewski,
Padłem“...

W dalszej jednak strofie uderza zaraz w inne tony, w tony twarde i wyzywające. Powiada:

„Jam zwolna serca mego rwał kawaly,
Zamieniał w piorun i w twarz jemu ciskał,
A wszystkie tak grzmiały jeszcze, jako skały,
Jakbym ja w niebie na sztuki rozpryskał
Boga, a teraz kawałki spadały.
Jam zbił — lecz cóżem dziś u ludzi zyskał?
Za błękitami był bój i zwycięstwo —
Ludzie nie widzą we mnie, tylko męstwo.

Zaprawdę! Gdybyś mię widział, narodzie,
Jak ja samotny byłem i ponury,
Wiedząc że jeśli mój grom nie przebodzie,
Litwin z Litwinem mię chwycą w pazury!
Już przypomniawszy gniazdo me na wschodzie,
Wołałem ręką krzemienieckiej góry,

Ażebym weszła rozpędzić tę ciemną
Zgraję i stanąć za mną — lub podemną.

Bo się kruszyło we mnie serce smętne,
Że ja nikogo nie mam ze szlachetnych
I próżno słowa wyrzucam namiętne,
Pełne łez i krwi i błyskawic świetnych,
Na serca, które zawsze dla mnie wstrętne —
Ja, co mam także kraj... łak pełen kwiatnych,
Ojczyznę, która krwią i mlekiem płynna,
A która także mię kochać powinna!"

Owoż na takie mniej więcej przemówienie Juliusza powstał z miejsca swego Mickiewicz. „Twarz jego przybrała anielską postać, bo dusza z głębi tajników na wierzch wystąpiła. Zdało się nam — słowa artykułu w Tygodniku poznańskim — iż jakaś dziwna, niepojęta światłość skronie jego otoczyła. Niebawem wychodzi z ust jego potok słów, najpiękniejszych myśli i rymów, z taką siłą, gwałtownością i mocą, jak wody Wisły lub Dunajca, kiedy przerwawszy zapory z przepełnionego wylewają się koryta. Był to pęd niewstrzymany, który nam oddech tamował“...

Improwizacya Adama trwała bez przerwy blisko pół godziny. Z nalany puharem w rękę, zaczął od podziękowania obecnym za ich życzliwe uczucia. Potem przeszedł do ogólniejszego przedmiotu. Biorąc asumpt ze spełnionego kielicha, jako symbolu ofiary, bez której nie ma ani wiary ani miłości: wskazywał, na czém zawisła siła poezyi, gdzie jej źródło prawdziwe i co powołaniem poety. Wytłómaczył przytomnym, dlaczego to błogosławił mu Bóg w jego zawodzie. Między innemi zapamiętano następujące wiersze, które miał wtedy powiedzieć:

„Ja rymów nie dobieram i wierszy nie składam:
Takem wszystko napisał, jak tu do was gadam.“

„Oto jeszcze niedawno (miał ciągnąć dalej), kiedyś się zabierał mówić o literaturze słowiańskiej przed obcymi, żaden nawet z moich przyjaciół w słowa moje nie wierzył. Wszyscy mnie odbiegli, odstąpili — rozumiejąc że się porwał na rzecz, której nie podołam. Jednym się zdawało zuchwalstwem gadać w obcym

języku, inni o zbytek miłości własnej mnie obwiniali, a nie wiedzieli, że oto tu (pokazując na serce), tu Bóg złożył słowa prawdy, które ja mocen jestem na wszelkie języki tłómaczyć...“

W ciągu téj improwizacyi zwrócił mowę i z osobna do Słowackiego. Wyrzucał mu podobno jego grzechy poetyckie, wskazywał, czego duchowi jego braknie i dlaczego to on doznaje od narodu ciągle tak zimnego przyjęcia. Trzeba — mówił mu — pozbyć się zbytecznej dumy, trzeba koniecznie wzbudzić w sobie miłość i wiarę, te jedyne źródła poezyi, i puścić się ona drogą, która jest naszą...

„Wiedzieć, że dla poety jedna tylko droga:

W sercu szukać natchnienia i dążyć — do Boga!“

Z drugiejj jednakże strony przyznał mu także i to, co mu się należało. Nie zapominał nawet owéj okoliczności, że kiedyś, dawno, dawno, bo w Wilnie jeszcze, kiedy matka Juliusza pokazywała mu pierwsze skromne próby jego poetyckiego talentu, że on (Adam) już jéj wtenczas był przepowiedział, że wielka i świetna przyszłość czeka jéj syna...

„Tém wziął mię za serce“ — są własne słowa Juliusza w liście jego z d. 10 listopada 1841, pisanym do pani Becu, w ustępie gdzie dotyka szczegółów owego zajścia. „I tego wieczora byliśmy z sobą jako dwaj bracia. Ściskaliśmy się, chodziliśmy opowiadając sobie nasze przeszłe zatargi... Gdyby nie ludzie, którzy to wszystko popsuli, byłoby dotychczas między nami zupełnie dobrze.“ itd.

Na pamiątkę dnia tego i improwizacyi, która wszystkich najżywszém napelniła uwielbieniem dla Mickiewicza, ofiarowano mu w kilka dni potém przepyszny puhar srebrny. Oprócz różnych emblematów, symbolicznie wskazujących na rodzaj zasług położonych przez wielkiego poetę, był na nim napis: „A d a m o w i na pamiątkę d. 25 grudnia 1840 r.

Otóż tento puhar srebrny miał stać się znowu powodem, że owa zgoda pomiędzy poetami co tylko zawiazana, rozerwała się wkrótce. Zapaliła się na nowo w Słowackim niechęć najpiérw do wszystkich wielbicieli Adama, a pośrednio i do niego samego.

Żądano bowiem od Juliusza, ażeby on właśnie za tę improwizacyą wręczył ów puchar Mickiewiczowi. Słowacki się tém obraził, propozycyą odrzucił. Tłómaczył sobie żądanie w taki sposób, że chodziło — jak się sam w liście wyżej już nadmienionym wyraził — „przyjaciółom jego antagonisty o to, aby go zbić i strącić z pozycyi i ukonstatować owym krokiem uznanie jego wasalstwa.“ Odrzucenie propozycji — nie bez cierpkich zapewne uwag z jednej jak i drugiej strony — powiększyło kłasy między Słowackim a pewną frakcyą Emigracyi. Wielcy ludzie do małych interesów pochwycili rzecz w swoje ręce. Nowiniarze i obnosiciele plotek ujrzeli się na płodném polu działania. Wreszcie ażeby dokuczyć do żywego i bez tego już zbyt drażliwemu poecie, napisał któryś z nich ów artykuł pod napisem „Improwizatorowie“ dla Tygodnika poznańskiego, podpisany literami N. O. (litery jak rozumiem, fałszywe, zwykły manewr ludzi tego rodzaju). W tym artykule wieczór ów wyprawiony przez Januszkiewicza opowiedziany był nie tylko stronnictwo, ale i z różnymi przydatkami, opromienić nibyto mającymi poezyi i cudowności urokiem owę północną godzinę. Wiarogodność tych przydatków nie zdaje się być wielką. I wysmiał je też później Słowacki, kiedy w Trzecim Maju parodującym tonem przypominał czytelnikom, co w Tygodniku czytali, „o jednej sławnej nocy zimowej, o improwizujących dwóch poetach, o łzach słuchaczy, o słabości nerwów i mdleniu krytyków, o uzdrowieniu chorych, i że miała nawet rozlać się w sali woń konwalii i różane światło jutrzeńki...“ Owoż takimto poetycznym niby mytyzmem ubarwiony był ten pana N. O. artykuł w Tygodniku. A wreszcie z zbytcejnój poetyczności wkradło się do niego i coś jeszcze, czego nie można inaczej nazwać jak pozytywnym fałszem. Oto miał Adam w swojej improwizacyi oświadczyć wręcz Juliuszowi „że on wcale nie jest poetą.“ Na mocy listu Słowackiego z d. 10 listopada 1841 do matki, w którym on punkt ten „wielkiem kłamstwem“ nazywa, i wobec porównanych z tém różnych innych okoliczności, śmiało twierdzić można, że tego Mickiewicz nie powiedział.

Przed pojawieniem się jeszcze rzeczzonego artykułu w Tygodniku poznańskim (znajduje on się tam w N. 8mym z d. 22 lutego 1841 r.), kręcił już Słowacki bicz niemiłosierny na wszystkich, na których miał z jakiegokolwiek powodu anse. Uderzyć na Mickiewicza samego, zdaje się, że nie było bynajmniej pierwotnym jego zamiarem. Ale iinni, mniejsi, hałaśliwi, niedorzeczni i śmieszni, i zresztą kto tylko broił, ci mieli wszyscy przy tej zdarzonej sposobności dostać *pro memoria* na długie czasy.

Owa ućzta grudniowa, a raczej dalsze takowej następstwa, przypomniały mu słowa, które do niego był rokiem pierwój pisał oddalony jego przyjaciel. Odczytał list ten Kraszińskiego na nowo i bardzo trafiły mu teraz do przekonania owe wyrazy:

„Przymieszaj trochę żółci do twoich lazurów. Obaczysz, jak ten ziemski pierwiastek ziemię przynęci do ciebie! Więcej jest wątrób na świecie, niż serc. Ach, jakże cię wtenczas będą rozumieć wątroby!... Dopiero uczują twoję rękę, gdy z gruba na nich uderzysz, gdy im spadnie ciężka, koścista na skronie... Do korda i na sejmik! rąbać mi i siekać! a zostawiwszy trupy na placu, znów porósć w skrzydła i zawisnąć na niebie!“...

Leżała czasu owego na biurku Słowackiego rozpoczęta niedawno temu robota, o której już nadmienilem powyżej, dramat fantastyczny z czasów konfederacyi barskiej, osnuty na przygodach Maurycego Beniowskiego. Zaniechał więc teraz autor dalszej pracy nad tym utworem, odłożył na bok sceny, które już były zrobione, i podjął tensam przedmiot na nowo, ale już w innym tonie i w innej formie, w formie poematu. Połączył z sobą tradycyę sztuki Ariosta i Byrona. Co tylko było polotu i rozbujalęj fantazyi w Orlandzie, co miękkięj melancholii i głębokości w Childe-Haroldzie, co żółci i wzgardy szydnej w Don Juanie: to wszystko zlał on po swojemu w jakiś epizodyczny, uskakujący i dziwny, ale genialny i sobie tylko właściwy sposób i zamknął w swoich oktawach. Tak powstał ów szczególny poemat, którego pierwsze pięć pieśni miały wkrótce potem wyjść niespodziewanie z pod prasy, jako osobny tomik.

Jak już powiedziałem, chodziło zrazu Słowackiemu jedynie o wyszydzenie w nim tych wszystkich drobnych niedorzeczności,

które się działy w jego najbliższém otoczeniu i których żądanka i jemu samemu niekiedy czuć się dawały. Szczególniej wziął na cel całą owę zniechęconą sobie frakcyą emigracyi, której organem było katolicko-demokratyczne pismo czasowe, wychodzące wtedy w Paryżu pod tytułem *Młoda Polska*. Zabiegi jego przeciwników pomiędzy Emigracją uderzały nań też niekiedy i ze strzelnic poznańskiego Tygodnika Literackiego, w rubryce doniesień literackich. Drugim z kolei tedy grzesznikiem, który miał zostać osmagany w Beniowskim, drugim kozłem ofiarnym, wskazanym na pokutę za siebie i za drugich, miał być „filozoficzny” Tygodnik.

Redaktor Tygodnika Antoni Woykowski był i z natury i z zasad swoich człowiekiem aż nadto zgodnym z takimi usposobieniami, jak te, pod których wpływem powstawał nowy Słowackiego poemat. Ale jak każde do fanatyzmu posunięte sekciarstwo, czy ono tam jest religijne, czy też społeczne, podlega pewnemu rodzajowi ślepoty: — tak też i zaciekłość redaktora Tygodnika, w gruncie może poczciwa, ale zbyt namiętna i bardzo przesadna, nie była zdolna spokojném okiem spoglądać na to, co się działo na świecie. Stąd też widziała ona krótko, a potykała się aż zbyt często. Prace współpracowników Tygodnika poznańskiego były po największej części wysokiej, znakomitej wartości i nie bez słusznej przyczyny miało też czasu swego to pismo wiele rozgłosu po wszystkich prowincjach kraju. Redaktor sam ze swjej strony mało co kiedy pisał. Zapełniał on tylko rubrykę wiadomości literackich bieżących. Chwytał bez braku, co bądź mu tam kto z nowinek podsunął, byleby tylko każde słowo wiało silną wonią tego co nazywał „postępowością”. To też na ostatniej stronicy Tygodnika pojawiały się w rzeczy samej dość często artykułiki szczególne w swoim rodzaju, które mogły już drażnić, już też rozśmieszać Słowackiego. Inne byłyby one tylko śmieszły; ale Słowacki przy znanj swojej drażliwości i aż zbyt znacznej skłonności do obrazy, jeżeli chodziło o jego autorstwo, brał te rzeczy na seryo i bardzo był niełaskaw na te ryczałtowe, jednym pociągiem pióra dokonywane krytyki, jakich sobie tam pozwalano.

Tak np. wyczytał on w Nr. 17 Tygodnika z r. 1840 o jedném z najpiękniejszych dzieł swoich, przed jego jeszcze wyjściem, następującą krytykę: „P. Juliusza Słowackiego tragedia „Lilla Weneda“ wyjdzie wkrótce z druku. Jest ona (jak nam jeden z szanownych literatów donosi), równie jak i pierwsze plody tego autora, mało zrozumiała dla czytającego.“

W 20 numerze tegoż roku takie rzeczy znalazł znowu o sobie: „Słowacki wydrukował nową tragedią Beata Cenic (*sic*). Trudno (pisze jeden z najszanowniejszych korespondentów) wyobrazić sobie większego steku zbrodni, pominąwszy tę dążność, która dziś i samym Francuzom obrzydła. Cóż Polak ma wspólnego z Włochami? Autor ten posiada szczególniejszą łatwość; w dniach kilkunastu buduje dramat, a Witwicki powiada o nim, że ledwie się tytułu jednej jego tragedyi na pamięć nauczy, to już druga wychodzi; stąd też wszystko mu przez głowę, a nie przez serce nie przechodzi, utwory jego nie absorbują mu jak innym pisarzom życia.“

Było w tém jedném może trochę prawdy, że się Słowacki zanadto kochał w przesiąkłych okropnościami tematach do dramatycznego opracowania. Ale pomylił się jednak bardzo ów „najszanowniejszy z korespondentów“, kiedy oceniał tę sztukę, jak gdyby ją był czytał, i donosił że ją autor wydrukował. A najfatalniej się potknął, kiedy zarzucał razem z Witwickim pocie budowanie całych sztuk dramatycznych przez samą tylko głowę i w dniach kilkunastu. Chociaż bowiem Słowacki drukował wtedy jeden utwór za drugim, to były to rzeczy dawniejsze, w różnych latach życia pisane.

W 1szym numerze Tygodnika r. 1841 takie znowu było głupiuchne doniesienie o jednym z najgenialniejszych utworów Krasńskiego, o Trzech Myślach Ligenzy: „Po Henryku Ligenzie, zmarłym w Morreale, pozostałe pisma, wyszły w Paryżu, zawierają: 1. Syn Cieniów, 2. Legenda, 3. Syn (*sic*) Cezary. W przedmowie wydawcy pana Mielikowskiego uderzył nas dziwny dziś już podpis: Mielikowski przydomku i herbu Godawa.“

Po tém wszystkiém ukazał się w piśmie Woykowskiego ów już nam znany artykuł o zajściu między Słowackim a Mickiewiczem na wieczorze u p. Januskiewicza. A w kilka tygodni później przybyła do tego jeszcze taka znowu wzmianka o Nocy Letniej, którą Krasiński bezimiennie co tylko wtedy był wydał: „W Paryżu wyszło dzieło Noc Letnia. Słabe naśladowanie stylu Krasińskiego! Bez myśli i ładu.“ (Obacz Tygodnika Literackiego Nr. 14).

Tego już było Słowackiemu zanadto! Stawiał on dzieło to przyjaciela swojego bardzo wysoko, a przywiązywał do niego tém więcej ceny, że je i lepiej niż ktokolwiek inny rozumiał. Bo jak wiadomo, w każdym prawie utworze autora Irydyona są rzeczy najściślejszy mające związek z własną osobistością poety. Jeżeli zaś gdzie daje się szczególniejsz spostrzegać ten reflex osobistych cierpień i zmartwień: to właśnie w tájto kreacyi. Słowackiemu były znane cokolwiek tajemnice serca Zygmunta. Wiedział on, że ten wieniec poetycki na jego czole drogo przezeń był okupiony i że też nie ze samego lauru był on uwity, jak się to światu zdawało. Pod laurami wpijały mu się w ciało nieraz kolce cierniowe... To też kiedy dostał do rąk „Noc Letnią“, zrozumiał od razu ten jęk bolesny szlachetnego człowieka, którego życie było ciągłą walką z fatalizmem okoliczności. W czém jedni widzieli tylko tkanę brylantowej fantazyi, a inni politycznej szukali allegoryi: to dla Juliusza było bolesną skargą, protestacją pełną żywotnej rzeczywistości... Opisał więc zaraz po przeczytaniu powieści w poufnym liście autorowi wrażenia i mniemania swoje o Nocy Letniej. Otrzymał na to odpowiedź, która właśnie leży przedemną. Stanowi ona trzeci z porządku list Krasińskiego w szeregu owych dziesięciu pisanych do naszego poety.

„Skąd ten akord? (taki początek listu). Gdzie się ta harfa odezwala? Kto dał wieszczom wzrok sztyletowy, sięgający w głąb dusz ludzkich i odkrywający, co te dusze kryć chcą, pragną — nie zdołają? — Są straszne prawdy, raczej rzeczywistości — wzorem lekkich motyli igrające po murawach téj ziemi, a pełne jadu wewnątrz, a rojące się z samej dłoni przeznaczenia...”

...„Dzięki sercu twojemu za list twój i szczegóły w nim zawarte, duchowi twemu za wzrok przenikliwy, który on rzucił w samą iściznę ducha mego — tam, aż tam, gdzie z niewidzialności zaczynają powstawać owe krzyszałki myśli — czucia — natchnienia, z których długie całkie zrastają się struny harfy wewnętrznej w człowieku! Dotknąłeś palcem każdego z tych wymoczków krzyszałowych — położyłeś dłoń całą jako szeroka na duszy mojej, tak że dusza odjęknęła: — „prawda!“ I jedyną może nagrodą, jaką tu wezmę, nagrodził mi za tyle cierpień w jedną pieśń zwiazanych“...

...„Ale teraz, o poeto, nie dotykaj rany śmiertelnej, którą krew nasza się wylewa wiecznie, aż kropla po kropli, cała z nas wypłynie i w cudze serca się wcieliwszy, nas samych bezżywnymi marami zostawi!... Nie próbuj też zanadto niezgłębianych serc! Gdy puścisz w morze kotwicę, nie widzisz gdzie poszła, bo głab morska ciemna. Ale czy wiesz, czyś tam czasem na co żyjącego żelazem nie trafił i tego nie rozdarł, nie rozranił, nie przebił? Długo czekać musisz, aż krew z przepaści wzniesie ci się aż nad fale i krzyknie: „okrutnyś!“ Może nie doczekasz jęć się nawet — odejdziesz wprzód, nigdy nie dowiesz się o ranie, którąś zadał. Wierz mi, bądź raczej jak anioł światła i dźwięku, a experymenta zostaw staremu Wilowi*) i anatomikom. Rozwiedź tęczę cichą a promienną nad tymi, dla których życie gorzką było rzeczą...

„Sciskam Cię z głębi duszy. Każdy list twój będzie mi smętnym a białym gołębiem.“ (Data listu: Rzym, d. 16 marca 1841).

Kiedy te wyrazy Krasński kręślił, znane mu już były świeże zajścia między Słowackim a Mickiewiczem. Doniósł mu o nich był sam Słowacki, donosili także i inni. Nie było mu niewiadomém, że improwizacya jego przyjaciela sprawiła w ogóle niekorzystne wrażenie i że sądy o nim paryskie po większej części tego były rodzaju, że uwłaczały i jego znakomitęj zdolności poetyckiej i jego już położonym około literatury zasługom. Z tego powodu zasiadł, czy też zamierzył właśnie wtedy zasięść do napisania rzeczy krytycznej o Juliuszu Słowackim toż znaczniejszych jego utworach, i właśnie przeto rzucił w liście, który tu mamy przed sobą, następujące jeszcze słowa godne uwagi:

*) Szekspirowi.

„Jeśli macie tam z Księstwa dzienniki, tak około kwietnia, maja i aż do połowy czerwca: pilnuj, czy w nich nie znajdziesz pewnych myśli bratnich a szczerych, a już nie w biurku zatęchłych, lecz wolném okąpanych powietrzem. Gdy je czytać będziesz, nie myśl o ich treści, bo to, co w sobie masz, znasz przecież, a tam o tém tylko mowa; ale pomyśl, że w willi róż było niegdyś dwóch ludzi, co sobie ślubowali przyjaźń i dochowali jęj. A wtedy to może rozwidni twoje niektóre marzenia o niestałości uczuć w ludzkich sercach.“

Owoż po takichto właśnie antecedenyach co do Kasińskiego i Nocy Letniej, wpadł więc w ręce Słowackiemu ów numer Tygodnika poznańskiego z d. 5 kwietnia, w którym pocztowy Woykowski rozstrzygał jednym zamachem, że owa powieść — to ramota i słabe tylko naśladowanie stylu Kasińskiego, zresztą bez myśli i ładu...

Był już prawie na ukończeniu wtedy Beniowski, a przynajmniej ta część jego, która miała wtedy być drukowana. Powplatane już były po różnych poematu tego ustępach wycieczki pełne szyderstwa przeciw krytyce poznańskiej. Po przeczytaniu jednakże rzeczzonego numeru, za długo zdawało się Słowackiemu cierpliwie czekać chwili, gdzie dzieło jego będzie do rąk publiczności oddane. Zaprağnał rychlejszego odwetu. Poczował się do obowiązku odezwać się natychmiast w obronie utworu przyjaciela. Chwycił tedy za pióro i nie już jako poeta, lecz w roli zwyczajnego fejletonisty wystąpił w Trzecim Maju (numer z d. 29 kwietnia 1841) z artykułem prozą pisanym, w którym wypowiadając całe swoje uwielbienie dla téj tak obosiecznie powitanéj przez Tygodnik kreacyi, dał w końcu należną temu pismu odprawę za wszystkie uchybienia. Artykuł ten Słowackiego był podpisany początkowemi literami nazwiska: J. S. Miał zatem wszelkie cechy otwartego wystąpienia osobistego. A ponieważ nadarzyła się przezeń sposobność pomówienia bez ogródki o tém i owém, rzucił w nim przeto pogrom i na to grono niepowołanych Adama wielbicieli, z którego rozchodziły się tylko baśni i podniety do dalszych pomiędzy nimi niesnasek. Jakkolwiek słowa te jego wprost ku Mickiewiczowi nie były wymierzone, nie obeszło

się tam jednak mimowoli bez cierpkich wyrażen takich, które można było ściągać pośrednio i do niego samego.

To były tedy pierwsze słowa, publicznie i wręcz wyrzeczone w tej sprawie. Słowacki oczekiwał, że Adam po takim kroku, uczynionym z jego strony nie bez goryczy, ale też i nie bez szczerości, uzna za słuszne zaprzeczyć plotkom, roznoszonym na różne strony bez jego woli i wiedzy. Ale i Mickiewicz nie był teraz już zupełnie po nad poziomem pewnego uprzedzenia. Nie uczynił, czego się Juliusz spodziewał, i trwał i nadal w uporczywem milczeniu, jakby niem upoważniał wszystko, co zaszło, i przyjął solidarność w odpowiedzialności za wszystko.

Terazto dopiero powstały owe dumne, namiętne i tak nieogłędnie wyzywające do walki strofy, umieszczone na samym końcu pieśni piątej poematu, który się właśnie wtedy pojawił w księgarniach pod tytułem:

Beniowski, poema przez Juliusza Słowackiego.
Lipsk (właściwie Paryż), 1841, 12o str. 176.*)

Wrażenie, jakie ta nowa publikacya w pierwszej chwili w emigracyjnych kołach sprawiła, i dalsze zajścia z tego wynikłe najlepiej poznamy, jeżeli tu przywiodę własne opowiadanie o tém autorze, dane w jednym z listów jego pół roku później pisanych.

„Ostatni mój maleńki (Beniowski) zły jest; ale był potrzebny, był konieczny. Celu swojego dopiął — i więcéj jeszcze, bo zwrócił wszystkich oczy i stał mi się teraz strażą. Z jego powodu miałem zajście, o którém dawniej pisałem — nie z Adamem, ale z jednym mniejszym. Lecz wszystko to od Adama poszło... Trzeba Ci wiedzieć, że Adam o tém kłamstwie dla niego uczynioném niby nie wiedział; przynajmniej tak mi to teraz mówił. Ale powinien był wiedzieć — i odepchnąć!..

Tu opisuje Słowacki, jaka rzeczywiście była owa grudniowa Mickiewiczza improwizacya, o ile się takowa do osoby jego ściągała. Ustęp ten opuszczam, gdyż to już znamy.

*) Drukował się Beniowski w Paryżu i to w ciągu pierwszych 20 dni miesiąca Maja, jak to wyrozumieć można z doniesień o tém w numerach Trzeciego Maja z d. 12 i 21 maja 1841.

„Po tém tłómaczeniu obwiniaj mię droga, żem nie był — podług Twego w liście dawnym frazesu, zupełnym aniołem. Ale pomyśl, że żar leży w ustach moich i że ja nie mogę nigdy cierpieć niesprawiedliwości. Zresztą bądź pewną, że moja biografia będzie kiedyś zupełnie szlachetną, choć teraz, kiedy idę po wschodach ciągłych w górę, często muszę być w niektórych chwilach niepodobnym do siebie. Dostyc, że przed malutkim moim uchylił ci, którzy nigdy przedtém nie oddali mi pokłonu. A mnie smutno, żem zejść musiał z mojej podstawy, aby właśnie wtenczas przyznano mi, żem jest na niej. Opisuję Ci to z wielkiem znudzeniem, bo te rzeczy już od kilku miesięcy uciły w mém sercu i teraz doskonale jestem usadowiony w moim krześle ze słoniowej kości. Rzadko przede śmiercią otrzymać, aby się ludzie sami za niesprawiedliwych uznali. Wydrżać im to siłą jest bardzo miło. — Tymczasem, kiedy się mój malutki pokazał, a ja byłem we Frankfurcie, gdzie przepędziłem całą wiosnę,*) zrabani antagoniści moi zrobili kollegium, co ze mną robić: i przekonani, że ja w niebytności mojej dlatego wystawiłem na harc mego chłopczyka, aby strzałów unikać, postanowili... wyzwąć mię na pojedynek. Wiedziałem to bardzo dobrze, i przepowiedziałem nawet wyjeżdżając z Frankfurtu osobie, którą pomimo wszystkiego los mój cokolwiek interesował. Jakoż skorom tylko powrócił do mego pustego domku, stawił się poseł od jednego z wyśmianych w IIIciej pieśni, podając mi albo do podpisania bardzo głupio zredagowany papier, albo wyzywając na bój śmiertelny.**)

*) Wzmianki téj o bytności Słowackiego w owym czasie we Frankfurcie nie umiem bliżej wyjaśnić czytelnikowi. Ściaga się do niej kilka podobnych natrąceń w listach z owego czasu, ale takowe zawsze są tylko dorywcze.

**) Zdaje się, że ma tu Słowacki na myśli tę mianowicie strofę w IIIciej pieśni Beniowskiego:

„Imię krytyki? — nie, krytyków. — A ba!

Któż z nich ma imię? Z. K. — S. K. — E. K.

Mówią, że młodą Polskę pisze — baba!

Ale ja widząc, jak kasa i szczeka,

Sądzę że jezuita — a ma draba,

Który tłómaczy na język człowieka

Hymny, przestrogi, pacierze i lekcje

W dyabelskim napisane dyjalekcie.“

się droga spodziewać, że przyjął z najzimniejszą krwią to ostatnie. Antagonista mój wtenczas uczył, że ma cokolwiek słabe nerwy. Naprzód zwlekał; a gdy ja nagliłem, przywieziono go nareszcie, bo bawił na wsi; ale przywieziono podobnego do trupa i zupełnie zdeorganizowanego, kiedy ja przez 5 dni bawiąc się jak zwykle z kolegami w cerklu naszym, tak dobrze pokryłem do ostatniego momentu pięciodniową niespokojność, że potem — gdy się dowiedziano, każdy się dziwił, iż ze mnie bynajmniej tego nie spostrzegł. A jednak wyznam Ci, że te 5 dni, w których pisałem do Ciebie, do niéj (?) i do Zygmunta, były mi bardzo gorzkie. Nakoniec dnia naznaczonego, przepawszy się najspokojniej, wstałem o 5 z rana — ubrałem się — zjadłem kilka ciasteczek i wypilem szklankę starego wina. Potem wyszedłem sam, bo mnie mój sekundant miał czekać aż za miastem. Ponieważ miałem dosyć czasu, szedłem więc piechotą. Przechodząc przez targ kwiatów, kupiłem sobie różę za grosz, aby ją mieć przez cały czas w ręku i potem w złym lub dobrym wypadku zrobić z niej prezent mojej dręczycielce. Potem wszedłem do kościoła, gdzie trafiłem na samo po skończonej mszy błogosławieństwo. Nie czekałem więc dłużej i wesoły poszedłem dalej. Szczerze ci mówię, że ta rzecz miała dla mnie jakiś powab rycerski i piękność. Ale los mnie zawiódł u kresu. Albowiem przez traf nadzwyczajny jeden z przyjaciół sędziwych mego antagonisty dowiedziawszy się o tém, wpadł naprzód do mnie i mnie już nie zastał. Pobiegł więc do nich i widząc, że bynajmniej nie mają ochoty, otrzymał łatwo, że od rzeczy odstąpili. Kiedy ja więc czekam ich, widzę przybywających parlamentarzy, którzy najprzód mię chcą wypróbować i jeżeli można, do ekskuz jakich namówić. Ale wtenczas nie stało mi zimnej krwi: zacząłem łajać wszystkich, tak że nawet sekundantowi memu dostało się. Wtenczas oświadczyli mi nareszcie temi słowy: „z kimże ty się chcesz bić? czy z wiatrem? — oni odstepują...“ Na takie słowa uśmiechnąłem się tylko. Poznałem, że do końca byli lisami, i zapaliwszy cygaro, porzuciłem ich wszystkich z wielką wzdargą. Ale tak się nie skończyło, bo wszyscy razem zaciągnęli mię do jednego z parlamentarzy, gdzie mi podczas śniadania nadszakiwano jak zwie-

A zatem zapewne któryś z tych panów K. albo też sam redaktor Młodej Polski uczuł się obrażonym i żądał satysfakcyi od Słowackiego.

rzowi dziękmu, którego trzeba ulagodzić. Przyprowadzonó także mego antagonistę, któremu rozplakanemu podając rękę, powiedziałem: no, jeśli mamy się pogodzić i zapomnieć o tém, to trzeba zapomnieć na zawsze. — Zapomnieliśmy więc i jesteśmy z sobą dość dobrze. Inni także, którzy go do tego podzégali, teraz robią pierwsze awanse — słowem wyszedłem z tego zupełnie czysto i przekonałem ich, że zawsze jestem gotów poprzec całą osobą to co usta moje wyrzekną. — Piszę to z takimi szczegółami tylko dla Ciebie, albowiem szlachetność każe mi o tém waszyskíem milczeć i nigdy nie wspominać, chybaby z ich strony jakie kłamstwo wywołało otwartość moje. — Teraz pozostawałoby mi opisać moje wypadki, dotyczące się serca mego, ale na ten raz zamilczeć muszę, bo prawdziwie nie wiem, o czém pisać i jak pisać. Wszystko było snem smutnym, dość podobnym do waszyskich snów ludzkich. Ale dobre to: wyrwało mię z odrętwienia. Kiedyś, droga moja, i o tém Ci napiszę — ale tylko dla Ciebie. Chciałbym, ażebyś droga schowała ważniejsze z listów moich, bo to będzie najszczerwszy ślad życia mego. Dziennika nigdy nie pisałem, a może jeszcze Bóg da, że samemu miło mi będzie odczytać te waszyskie bez awantur przygody.“ (Z listu z d. 10 listopada 1841 z Paryża).

Właśnie w ciągu tych zatargów pomiędzy Słowackim a całym gronem jego antagonistów zaszła skądinąd okoliczność, o której warto tu wspomnieć, zdaje się bowiem, że znacznie ona wpłynęła na takie właśnie zajścia owego rozwiązanie. Oto zaraz po wyjściu Beniowskiego pojawiła się w Tygodniku Literackim poznańskim bezimienna, ale znakomicie napisana rozprawa, przez 3 numery rzeczonego pisma idąca, p. t. „Kilka słów o Juliuszu Słowackim“ (1841 Nr. 21 — 23). Była to rzecz niezawodnie pochodząca z pióra autora Irydyona i niewątpliwie tasama, której wyjście na miesiąc kwiecień lub maj zapowiedziane było Słowackiemu jeszcze w liście Krasieńskiego z d. 16 marca, któryśmy prawie cały przytoczyli powyżej.)

*) Twierdzenie moje co do autorstwa Krasieńskiego względem rzeczonego artykułu opieram na wewnętrznych tylko poszlakach. Jeżeli bowiem porównamy myśli w nim rozwinięte, a nawet i wyrażenia, z tém waszyskíem, co Krasieński w owymże czasie pisał do pana R. Z. (w liście, który ogłoszono w Dodatku Czasu 1859 r.

... Owoż artykuł ten, choć pisany o kilka, a może kilkanaście tygodni pierwej, nim jeszcze opuścił był prasę Beniowski, tak się dziwnie nadawał do danej chwili, że prawdziwie mógłby być uważany za komentarz do owych słów, na samym końcu tej części Beniowskiego rzeczonych do Mickiewicza:

..... „Bądź zdrów wieszczu!

Tobą się kończy ta pieśń, dawny Boże!

Bądź zdrów! — A tak się żegnają nie wrogi,

Lecz dwa na słońcach swych przeciwnych — bogi.“

Główna osnowa bowiem owych „Słów o Juliuszu Słowackim“ obraca się właśnie około porównania ze sobą sprzecznych stanowisk tych dwóch poetów. Krasiński wychodzi od założenia, że oddzielnie pojąć nie można nikogo i niczego na świecie; albowiem „każdy szczegół choćby wyglądał na całość, jest tylko płynącą częścią wyższej całości“. Zatem też i Słowackiego wtedy tylko spodziewa się ocenić należycie, jeżeli w nim okaże krok że tak powiem dalszy w rozwoju poezji po Mickiewiczu. Charakterystyki Mickiewicza ostatecznym wynikiem jest wedle niego to, że „czém Alp ogromy, czém piramidy pustyni, czém wszystko, co nieporuszone i wieczne: tém dzieła tego poety. Przemaga w nich nadewszystko siła dośrodkowa, siła wcielenia i twierdzeń — wola i czucie i wiara. One są granitowem jądrem naszej literatury.“ — Lecz świat nie na jednej tylko sile stoi, nie jednym tylko twierdzeniem i wcieleniem żyje. „Gdyby przestał na tym jednym wyłącznie kierunku, stałby się nierozdzielnością, skupiłby się w punkt jeden.“ Trzeba

Tomie XIII str. 519), jeżeli postawim obok tego i słowa, które wyrzekł był o Słowackim dawniej Krasiński w listach do niego, któreśmy w części przytoczyli powyżej: — to okazuje się oczywiście, iż to wszystko musiało z jednego tylko pióra wypłynąć. Zresztą stwierdza ten wniosek i sama zgodność czasu i miejsca, w którym się rzeczony artykuł pojawił, z zapowiedzią Krasińskiego wyrzeczoną o kilka miesięcy pierwej. Nakoniec i styl, tak odrębny, jak Krasińskiego, rozstrzyga do reszty wątpliwość, jeśliby jaka miała być jeszcze co do tej okoliczności. —

mu tedy drugiej jeszcze siły, siły przeciwniej, odśrodkowej, która mu przypomina, że z nieskończoności jest i w nieskończoność wrócić ma. Ta siła druga rozdziela w świecie fizycznym to co płynne i lotne, od tego co zsiadłe i twarde; przemienia go po połowie w atmosferę i na jej wysokościach coraz go lotniej gra światła, pędem elektryczności rwie i rozbiera. Tak czyniąc, „z republikańską ironią pisze światłem błyskawic na wierzchołkach granitu, na planety skroniach: *moriturus*.“ — Ponieważ w każdej sferze istnienia te dwa kierunki razem istnieć muszą: znajdujemy je zatem i w królestwie sztuki, poezyi. Pierwszą siłę, dośrodkową, wyobraża w poezyi polskiej przedewszystkiem Mickiewicz: siły odśrodkowej wyobraźcielem pierwszorzędnym jest Słowacki.

I mając już teraz widocznie te dwie tylko osobistości poetyckie na względzie, tak mówi dalej Krasński o antagonizmie sił owych przeczących sobie w każdym obrębie istnienia:

„Ich harmonia zowie się życiem, ich sprzeczności są tylko złudzeniem; mogą wprawdzie w danym czasie na danym miejscu przybrać pozór walki; ale to zawsze doczesnem, nie wiecznem; częściowem, nie powszechnem zjawiskiem. Całość albowiem jest zgodą, nie bójką; pojednaniem, nie rozdziałem; dobrem i prawdą, nie złem i fałszem. I to co walczy z sobą na tym padole, tam — po nad wszystkimi padolami, w górze i niebie ducha, wiąże się i zlewa razem w wielkie światło i w pokój serdeczny.“

Mickiewicz, zdaniem autora, wyobraża w literaturze naszej głównie pierwiastek rzeźbiarski; podczas gdy Słowacki urodził się w niej muzykiem; w którego mazyce płyną farby Correggia i Rafała, niesione Bethowena tonami.

„Jeśli wam Michała Anioła potrzeba, czemuż go żądacie, czemuż go wyglądacie — wy, wśród których on już się objawił? Nie patrzcie naprzód, nie zazierajcie w przyszłość, ale owszem odwróćcie się ku dniom co ubiegły, a wasz Michał Anioł ukaże się wam. Jedna z rąk jego spoczywa na posagu Litawora, a druga zawieszona w górze nad ciągiem postaci umarłych, narodowych, przekutych już także w posagi wiecznego wspomnienia. Tym uwiecznionym na imię: Pan Tadeusz! Na równie ogromną epopeję żaden z nowożytnych narodów dotąd się nie zdobył“...

„Słowacki w logicznym rozwijaniu się sztuki polskiej jest drugim momentem. Objawiła się w nim odśrodkowa siła, siła odwcielań i zaprzeczeń, której pęd poczęty z dołu a bijący ku górze, stara się jak muzyka ciągłym drganiem cząstek i roztapianiem kształtów wyrazić weśchnienia wszystkich ciał natury i rwania się wszystkich myśli ducha ku niewidzialnemu światu nieskończoności. Zaprawę w kierunku tej siły coś panteistycznego przebija. Onaby chciała, gdyby przemóc mogła i jedyną stać się panią, wszystko we wszystkich stopić i porównać; samaby się rozwiała własnymi skrzydłami — utonąłaby i zaginęła w tém, ku czemu dąży; wszelkie stworzenie zatraciłaby w Bogu, jak w otchłani. To co ona ukochała, nigdy przy niej, nigdy z nią nie przebywa, ale coraz wyżej i błędniej i dalej ciągnie ją za sobą. Każde stanowisko ona musi przekroczyć, każdą formę podnurtować i do prysnięcia przymusić — i jęj samą ostateczną formą jest jęj treść własna, jest to co stanowi formę oceanu, to co rozprężliwość światła, to co falistość elektryczności — żądza wieczna, ruch nieskończony.

„Czém więc w naturze płynność i rozmdlewanie się, czém chimury co chwila zmienne, płynące nato, by przepaść i znieznaczyć, ale nie w nicości, jedno w niebie; czém przewodność barw na tle opalowej białości, czém szmery rozmarzonych strumieni i szum daleki morza, czém owe melodye śpiewu, które gasną, oddalając się coraz wyżej i szerzej: — tém jest poezya Słowackiego w literaturze naszej. Każda jęj cząsteczka misternej, filigranowej roboty, jak drobny kwiateczek. Jęj ogół zaś przez to właśnie, że siły odwcielań jest formą, ma za formę ciągle pojedynczych cząstek stawianie i znoszenie, tworzenie i niszczenie — i utrzymuje się następstwem tych znoszeń; raczej ruchem niż postacią — tak jak muzyka. Stąd ciągły pozór ironii i kaprysu, stąd pęd niewstrzymany, ale lekki, przejrzysty na wskróś, idealny.“

W końcu przechodzi autor do ocenienia stylu Juliusza i w nim właśnie upatruje najglówniejszy objaw jego potęgi.

„Styl jest najogólniejszą formą każdego utworu sztuki; nim jak przędzą, i z niego jak z materiału, snuje pasmo swoje całe poeta. Siła odwcielań, panująca i przemagająca w Słowackim, w tę tylko najpowszechniejszą ostateczną formę dokładnie wcielić się może. Styl Słowackiego, to on sam, to ducha jego kierunek, roztapianie się nieustanne na

wszystkie strony. Nikt też tak smukle, gibko, fantastycznie po polsku nie pisał. Chyba tak Liszt gra, jak on wiersze pisze. Biegną kniemu tłumem miary, rymy, obrazy, a on je despotycznym kaprysem posyła, gdzie chce — każe im płynąć, a płyną — wie się powoli, a pełzną — wzlecieć, a wzlatują i lecą, jak orły. Język pod jego twórczym technieniem musi rozrabiać się i przerabiać bez końca, musi wszystkie kształty przybrać"... itd.

Słowem, konkluduje autor:

„W czarnoksiężstwie stylu Słowacki stanął tak wysoko, że nikt wyższym nad niego, a równym — rzadko kto.“

To są najważniejsze myśli w owój rozprawie. Rzucił w nią Krasziński jeszcze także kilka uwag o niektórych Słowackiego utworach z osobna wziętych; takowe jednakże mają za zadanie raczej objaśnić tylko to, co o nim powiedział w ogólności, aniżeli wdawać się w szczegółowy rozbiór nad nimi.

W ten sposób tedy miał być ze stanowiska bezstronnej, umiejętnej krytyki rozwiązany ów antagonizm pomiędzy Mickiewiczem a Słowackim — z korzystnym i pochlebnym dla obydwóch uznaniem. A więc i na mocy tegoto sądu dwaj ci poeci stanęli niejako przeciw sobie, jako sprzeczne a jednak uprawnione potęgi, „jak dwa na słońcach swych przeciwnych bogi.“ Słowacki, lubo tu nazwany drugim, a zatem dalszym momentem po Mickiewiczu, nie został przeto przez Kraszińskiego postawiony wyżej nad niego. Przeciwnie, współlistnienie i wzajemna konieczność obu stawia ich niejako na jednej linii ze sobą. Przyjść ma dopiero trzeci moment, który ich obu zawrze w sobie i zgodzi. Ten tylko i ten dopiero będzie wyższy od nich obydwóch. —

Gdybym miał wyrzec zdanie moje o powyższej charakterystyce poetów: rzekłbym, że piszę się na nią, ale pod tém zastrzeżeniem, że co tu o nich powiedziano, ani nie jest zupełnym, ani też nie wynika bynajmniej z logicznej konieczności. Był takim J. Słowacki, to prawda! ale był dlatego, bo był; a nie — że takim być musiał. Odsunawszy zatem z twierdzeń autora na bok to wszystko, co wygląda na formułkę i co traci dyalektyką, można by bez trudności zgodzić się na te zresztą tak poetycznie

wyrzeczone spostrzeżenia o niektórych właściwościach formy (tylko formy!) Słowackiego. O jego zato ideach, o jego że tak powiem filozoficznym stanowisku w poezji nie rozwiódł wcale uwag swoich genialny autor rozprawy. Na tęto zaś wewnętrznej dzieł poetyckich istocie, zdaje mi się, że odrębność każdego pisarza przedewszystkiém polega. Styl i forma bowiem — to rzecz osobista i prawie powiedziałbym prywatna, skutek tysiąca czynników, z których przynajmniej połowa może iść na karb przypadku. Przeciwnie dążności i ideały — to już nie przypadłości indywidualne, ale je redzi z siebie wiek, a piastunem ich naród, w łonie którego się żyje. Można je podjąć i umiłować i być ich głosicielem wśród braci; można być na nie głuchym i ślepym; można być ich wrogiem i w miarę sił opóźniać ich przechodzenie w życie. Według tego, jak sobie kto pod rzeczonym względem poczyną, zabieramy to albo owo stanowisko w arenie społeczeństwa. Tu się tedy kierunki sił pojedynczych najwybitniej znamionują i ważą — bez różnicy, czy kto do narodu przemawia pieśnią, czy z mównicy sejmowej, czy z katedry akademickiej, czy wreszcie ze stopni tronu, lub z konia...

Bądź jak bądź, publiczne owo odezwanie się o Słowackim; choć było bezimiennie i nie ze wszystkiém dokładne, zaważyło jednak na szali. Było to pierwsze rozumne i bezstronne słowo o naturze jego poezji, wyrzeczone przez ówczesną krytykę. To musiało pokrzepić energią ducha poety. Godzi się wnosić, że podobnych dowodów uznania mieć on w owym czasie musiał i więcej. Autor Beniowskiego przestał być nawet dla ogółu zwyczajnych odczytywaczy nowości literackich obojętną i odoobnioną od reszty literatury figurą. Zaczęto teraz więcej niż kiedy przypominać sobie i o dawniejszych jego pracach. Rozchodziły się one z półek księgarskich żywiej teraz na różne strony, niż kiedykolwiek przedtém. — „Po dziesięciu dopiéro latach (licząc od r. 1832) — pisał poeta do jednego z dalszych krewnych *) — książki mo-

*) Do stryjecznego brata swego Władysława Słowackiego List ten pisany r. 1845, zamieszczono przed kilku laty w *Gazecie Codziennéj warszawskiej* (r. 1860).

je, zaczęły, tak jak twoje łany, ziarno mi posiewane oddawać." — Ten odbył na jego dzieła był dla autora pocieszającym. Nie przeto tylko, że się tym sposobem poprawiła i materyalna jego egzystencya. Szlachetniejszą nad tamte względy i wyższą nieskończenie pociechę sprawiało mu to wynikające stąd przekonanie, że więc nie nadaremnie znosi wygnanie, samotność a czasem i niedostatek, i że nie jest już podobnym do owego harfiarza na wyspie Chios, który przemawiał tylko do głuchych morza egejskiego bałwanów...

To też począwszy od owéj chwili, czerstwiejszy już jakiś stan duszy przebija w jego korespondencyi. Miejsc z niéj takich, jak np. następujące, mógłbym teraz wiele przytoczyć:

... „Gdyby mi trzeba było wytłómaczyć, dlaczego mi lepiej na tym świecie dziś niż wczora, nie umiałbym wcale tego uczynić. Są lata napelnione nudą i troską, w których się człowiekowi zdaje, że przebywa pustynie. Nic mu wtenczas w porę nie przychodzi. Dobro każde na złe mu wychodzi. Usiłowanie żadne skutku nie bierze. Są to lata dążenia, gorączki, podróży, upragnień; zachceń, bólu — złe słowem i bezsenne lata! Lecz nagle, jeżeli Bóg nam sprzyja, uczuwamy, że wszystko się odmienia, że życie staje się pełniejszym, że jedni ludzie zupełnie się przeciw nam deklarują, drudzy są naszymi przyjaciółmi. Jest coś w sercu, co nas o tém ostrzega. Może to zmiana jakaś w zdrowiu, w systemacie nerwowym; ale dobrą ona jest i mnie teraz weselę. Tak dawno nie widzieliśmy siebie, że gdybym cię listem chciał o stanie mego serca, o zmianach charakterystycznych mego humoru uwiadomić, potrzebaby list zrobić dziennikiem dni prawie i wypadków. Bo rozważywszy rzeczy, nie dla mnie bardzo szczęśliwego nie zdarzyło się. Jestem jak zawsze dość samotnym, pracuję, dumam, ale ta czczość jakaś, która mi prace i dumania moje obrzydzała, zniknęła. Widzę, że mnie Bóg nie zapomniał w niebie, i to mi daje dziwną dumną spokojność. (Z listu z d. 15 lutego 1841).

... „O! ileżbym ja rzeczy miał Tobie do powiedzenia, gdybyśmy się kiedyś spotkać mogli. Jak często płakałabyś i uśmiechałabyś się radośnie, słuchając o moich przygodach! Wierz mi, że tak żyłem, abym o wszystkiém szczerze mógł mówić z Tobą, jak z Bogiem. I potrzeba mi, aby to wszystko, co we mnie dźwięk jakiś wydało, odbiło się choć

raz w sercu Twojem, abys Ty nie myślała, że daleki od oczu Twoich, inną drogą niż należy poszedłem. Przyjedź, droga moja, a zapoznamy się na nowo, i kochać się będziemy na wieki. W szczęśliwych nawet chwilach życia mojego, gdzie powinienem był o wszystkiem zapomnieć, myśl o Tobie zachmurzała mi czoło i wtrącała mię w tęsknotę. Trzeba mi koniecznie, abys położywszy rękę Twoją na mojej schylonej głowie, rozgrzeszyła mię z moich win dawnych i z téj ciągle trwającej winy, że nie jestem przy Tobie. Jeszcze Ci raz powtarzam, bo wiem że Ci to serce rozraduje, że mi teraz na świecie lepiej i szczęśliwiej; a ja nie jestem jak ci ludzie nierozsądni, którzy nigdy terazniejszego dobrze nie czują i Bogu nie są zań wdzięczni. Cierpliwy, spokojny i smutny, przeżyłem nudne chwile życia, teraz z uśmiechem patrzę na to, co minęło, — i Ty się, droga, uśmiechnij i kochaj mię wesoło i z nadzieją.“ (List bez bliższego oznaczenia daty, ale niezawodnie pisany w miesiącu sierpniu lub wrześniu roku 1841).

Słowa, które teraz przywiodę, malują jeszcze wymowniej ówczesne usposobienie poety, pełne pogodnej rezygnacyi, a nawet — o ile to w jego położeniu być mogło — zadowolenia ze swego losu:

....„Cóżbyśmy dzisiaj robili siedząc przy wiejskim kominie, gdyby nas los nigdy był nie rozłączył? Możebyśmy utyskiwali na zimno i dym w pokoju i na inne cierpkie życia trudności: a teraz wiemy, że Bóg o nas pamięta i jest naszym dłużnikiem... Może Ci się te wszystkie wyrazy dziwnymi zdadzą? Może nie będziesz wiedziała, że ja tę prostą filozofią pisząc leż mam pełne oczy i łkaniem zadławiony oddech. Ale z tego papieru wydobędzie się coś także, co Ci płakać każe...“ (d. 10 listopada 1841).

To spojrzenie pełne otuchy w przyszłość, ta łzawa wprawdzie, ale uśmiechnięta pogoda, dawniej tak rzadka na czołe naszego wieszczą, sądzę że nie byłaby mogła i teraz gościć na niém dłużej nad chwilę, gdyby była pochodziła jedynie z powodzeń zewnętrznych, z tryumfów już odniesionych. Z powodzenia — już doznanego i przyznanego, radują się w nieskończoność chyba tylko blahe umysły. Wyższe natury najprędzej same o niém zapominają. W zawodzie autorskim, a pewnie i w każdym innym, nie to sprawia istotną rozkosz duchową, czego tam kiedyś szczę-

śliwie się dokonało, ale czém właśnie myśl jest obecnie zajęta, jeżeli instynkt mówi poecie, że powstające dzieło okaże się godnem dawniejszych. Sama ta rozkosz tworzenia, ta pewność siły swojej wewnętrznej, ta bezpośrednia świadomość, stwierdzająca się każdym pociągnięciem pióra, że w zapasach z trudnościami sztuki ciągle się idzie naprzód: — oto zdaje mi się, co stanowi największe, a nawet podobno jedyne prawdziwe źródło tego zadowolenia w duchu, bez jakiego aniby pojąć można, że się ktoś jeszcze temu powołaniu poświęca.

Owoż godzi się z tego wszystkiego, co się z listów przytoczyło, wnosić i o Słowackim, że czynność jego autorska szczególnie być musiała ożywioną w ciągu owego czasu, i że snąc był kontent więcej niż kiedy z porozpoczynanych prac swoich, skoro doznawał wtedy tyle zadowolenia w samotnej swojej pracowni.

Z żalem jednak przychodzi mi tu wyznać, że tylko bardzo niedokładną dać potrafię wiadomość o tém wszystkim, co Słowackiego zajmować mogło w r. 1841 i 1842. Jak wiadomo, listy jego z całego tego jego życia okresu nie zawierają w sobie żadnych szczegółów téj właśnie treści. Jedynym śladem rzeczy, o którą nam chodzi, sąto już tylko chryba pisma, po zgonie poety znalezione w jego papierach, a niedawno dopiero temu publikowane. Takowe wszelako nie stanowią ani połowy tego wszystkiego, co być niewątpliwie musiało.

Jedną tedy z prac takich niezawodnie na owe lata przypadających, był to ciąg dalszy Beniowskiego. Poemat ten całkowity miał się składać z czterdziestu czterech takich pieśni, jak owe pięć, co wyszły z druku w roku 1841. Tyle ich przynajmniej autor zapowiedział w jednej ze zwrotek pieśni trzeciej. Po jego śmierci znaleziono kilkanaście arkuszy, zapisanych nabitęm i drobnęm pismem, zawierających dalszy ciąg poematu, o którym mowa. Byłto dopiero pierwszy rzut, często przemazywany, z różnymi dopisami po bokach karty, słowem brulion. Tworzy obecnie ten autograf dwa zeszyty, zapewne dopiero po śmierci autora spojone, i pewną ilość kart luźnych, które są oczywiście

już tylko szczątkami znaczniejszej liczby arkuszy stanowiących niegdyś jeden ciąg nieprzerwany, a w późniejszej poniewierce poniszczonych do tego stopnia, że to co z nich zostało, już się nie daje spoić w wątek ciągły i jednolity. Z takichto arkuszy i kartek luźnych, częstokroć nawet podartych, złożyłem na domysł pieśń VI-tą, XI-tą, XIII-tą i XIV-tą, nadstawiając próżnie textem niezapełnione krótkim streszczeniem prawdopodobnej osnowy, daném na wstępie każdej z tych pieśni. Za porządek i kolej tych urywków ręczyć atoli nie mogę, gdyż skazówek do zestawienia ich należytego zupełnie braknie w rękopisie. Inne pieśni t. j. VII-ma do X-tój ocalały w zupełności, bo się mieściły w zeszytach. Pieśni XII-tój braknie początku.

Mając obecnie przed sobą wydobytą w taki sposób z pod rumowiska ruinę poematu i częściowy abrys jego całości, żałować tego przedewszystkiem należy, że właśnie te części dzieła, na które przypadają same tylko urywkowe ustępy, obejmowały (jak wnosić można na pewne) najciekawsze zdarzenia. Ambasada krymska, ocalona prawie w całości, mniej się za to może podobać. Czy całe dzieło było kiedy dokonane? czy stanowiło całość wymierną? — rozstrzygnąć tego nie mogę. Myślę wszelako, że na zupełnem zaokrągleniu brakowałoby Beniowskiemu, choćby on nawet w całej swojej zupełności był do nas doszedł. Przyczynę pewnej niewymierności tego poematu, w samym już planie, upatruję w tém, że się poeta zbyt często odrywał od pracy nad nim. Porzucał go, żeby przedsiębrać i wykonywać tymczasem inne rzeczy; a straciwszy w taki sposób pęd wzięty z początku, przy ostudzonym zapale odtwarzał go tylko sztucznie w sobie, kiedy wracał znowu do prowadzenia dalszych pieśni Beniowskiego.

W ogóle praca nad tym utworem przeciągnęła się dobrze aż w czasy towianizmu, przynajmniej do r. 1844. Tak np. w jednym miejscu wspomina poeta z ironią o Trentowskiego Cybernetyce. Takowa wyszła, jak wiadomo, w roku dopiero 1843. A zatem w tymto dopiero czasie najrychlejszy mógł być pisany ten ustęp. Z takiego zaś traktowania przedmiotu w różnych chwilach i w coraz innych usposobieniach ducha wynikło, jak naturalna, że

autor zmieniał co do niektórych części dawniejsze swoje postanowienia. Obalał i niszczył nieraz to, co już stało; a natomiast dopisywał lub projektował ustępy nowe. Wszystko to zaś robiło się na osobnych, ulotnych arkuszach. Dziś trudno bardzo odgadnąć, jak to wszystko autor spoić ostatecznie zamierzał, zwłaszcza że jak się rzekło, bardzo wiele z tego i poginęło. To też nie dziw, że przedstawia się dzisiaj cały ten utwór w bardzo chaotycznej postaci.

Powyższe spostrzeżenie usprawiedliwiają też najzupełniej dyspozycje cząstkowe, jakie znalazłem w trzech różnych miejscach manuskryptu, rzucone względem wykonać się mających dalszych pieśni poematu. Porównywając te projektowane dyspozycje ze sobą, okazuje się, że nie tylko się one pomiędzy sobą nie zgadzają, ale i ta część Beniowskiego, która ostatecznie została wykonaną, nie odpowiada żadnej z nich w zupełności.

Na drugiem miejscu, jako pracę niewątpliwie napisaną także w r. 1841, ale dopiero po ogłoszeniu Beniowskiego, wymieniam dramat napisany wierszem rymowym, w 5 aktach, który odbito pod tytułem „Niepoprawni“ w III tomie Pism pośmiertnych. Jestto znowu jeden z tych rzadkich Słowackiego utworów, które się wyjątkowo zachowały w całości, pomimo że się to dzieło znalazło tylko w brulionie. Obiegające po różnych rękach odpisy niniejszego dramatu, w kilka lat dopiero po śmierci autora z tego brulionu zrobione, nosiły napis „Nowa Dejanira“. Kto tę nazwę pierwszy sztuce téj nadał, powiedzieć tego nie umiem; ale co jest niezawodna, to że nie dał go sam poeta; w brulionie bowiem własnoręcznym nie ma żadnego tytułu. Uchyliłem przeto napis ten nie wiedzieć skąd narzucony, w przekonaniu że takowy nie tylko nie wyraża rzeczy, o którą chodzi, ale nawet utrudnia trafne spojrzenie na dążność tego dramatu, przeważnie satyryczną. Głównemi figurami są w nim oczywiście owe cztery śmieszne typy, wzięte z wyższej warstwy naszego społeczeństwa, która obok przykładów, przynoszących jój pod każdym względem zaszczyt i chlubę, niestety bynajmniej nie cierpi braku i takich

typów przewrotnych, do których pomimo wszystkich klęsk, jakich i ogół narodu i dotyczące nawet indywidua osobiście doznały, w zupełności daje się zastosować owo wyrzeczenie Napoleona o Burbonach, że się niczego nie nauczyli i niczego nie zapomnieli.— Zawikłanie kończy się wprawdzie z zadowoleniem wszystkich osób działających w dramacie; ale ten koniec przyjemny jest okupiony życiem człowieka, który przy całej swojej gburowatęj nieogładzie zawstydy tak pseudopoetyczne uniesienia pana Fantazego, jak sielankową niby bezinteresowność hrabiny Respektowej. Mamy tu zatem przeciwstawioną półdziką bezpośredniość Czerkiesa wykwintowi naszej rzekomej cywilizacji, a sens moralny komedii bardzo rymuje ze znanymi słowami autora Pieśni o Ziemi naszej, wyrzeczonymi o „półpankach podolskich“.—

Trzecią kreacją, którą odnoszę do tegoż czasu, jest dramat ocalony zaledwie w mniejszej swojej połowie, niewiadomego tytułu, na domysł tylko przezwany *Złotą Czaszką* i pod tym też napisem ogłoszony w wydaniu lwowskim. Znalazł on się tylko w brulionie, na trzech arkuszach stanowiących jeden zeszytik, ale ze wszystkimi oznakami, że zeszytików takich musiało dawniej być więcej. Odmienny format i gatunek papieru, jako też cokolwiek większy kształt pisma, upoważniają do wniosku, że to utwor z innych czasów, jak wszystkie te poety naszego praco, o których mówiliśmy w rozdziale jedenastym (Wallenrod, Jan Kazmierz, Beatrix itd.); a znowuz sama forma „Złotój Czaszki“ zdaje mi się być skazówką dostateczną do bliższego jeszcze oznaczenia okresu życia autora, w którym mogło to być pisane. Albowiem prozę przeplatają tu ustępy wykonane wierszem krótszym, ośmiozgłoskowym, którego Słowacki dawniej nigdy nie używał w dramatach,*) tak iż godzi się wnosić, że wła-

*) Fragmenty dramatu Benjowski wprawdzie mają już tenże sam rodzaj wiersza; ale to utwor fantastyczny, którego wcale liczyć nie można do robót scenicznych, o których tutaj mówię. Zresztą być mogło, że już i rzeczone fragmenty otrzymały ten rodzaj wiersza w skutek jakiego impulsu ze strony studyów nad Kalderonem.

ściwie dopiero praca nad przekładem Książęcia Niezlomnego mogła go naprowadzić na myśl spróbowania tego rodzaju wiersza i w oryginalnych utworach. W dalszych latach, jak wiadomo, zupełnie on się ku téj formie wiersza przechylił (X. Marek, Sen srebrny). Że zaś rzeczony przekład Kalderona, jak się to poniżej wskaże, przypada na lata, które tu mamy przed sobą: wnoszę zatem, że i Złota Czaszka była owocem czasu między r. 1841 a 1842.

Jeżeli się godzi wnosić o całości, z ocalonego téjże początku, zdaje mi się, że Złota Czaszka byłaby należała do najlepszych dzieł Słowackiego. Pozostałe z niéj sceny są pełne życia i ruchu, a co najważniejsze, nawskróś narodowej fantazyi. Poeta przenosi nas w czasy owe pamiętne z różnych i klęsk narodowych i wysień bohaterskich za panowania Jana Kazimierza. Miejscem zdarzeń jest rodzinny jego Krzemieniec. Tu więc wprowadza nas do jednego z dworów szlacheckich; gdzieś w zaciszu na przedmieściu leżących, i zawiewuje sprawę na tle domowego życia i obyczaju ówczesnej szlachty. Ale dworek ten prywatny domorośłego szlachcica przypiera, że tak powiem, do wielkiego gmachu sprawy powszechnéj. Składają się tedy i zdarzenia publiczne i zajęcia familijne na zadzierzgnięcie w téj sztuce węzła dramatycznego. Duszą wszystkiego, co się dzieje, jest pan Strażnik krzemieniecki, szlachcic niezamożny, ale dzielnej fantazyi. To też nie tylko od równych sobie jest on powszechnie szanowanym, ale nawet i panowie trafić do niego umieją, kiedy chodzi o posłuszenie rzeczy pospolitéj. Stawał on za młodu już w niejednych terminach. Bywał, jak to mówią, i na wozie i pod wozem i już z niejednym nieprzyjacielem wiary świętej miał do czynienia. Dał on im się tam wprawdzie wszystkim dobrze w znaki, ale i oni oddali mu dobre za nadobne! Z jednej jakiegóś bardzo gorącej przeprawy uniósł pan Strażnik z placu czerep tak pokiereszowany szablami, że okazała się potrzeba nadłożyć chyba już złotą blachą te dziury w głowie, na których polatanie już się skorupiek czaszki nie było można doszukać. Nosi tedy od tego czasu na głowie czaszkę złotą... i właśnie przeto sąsiedzi go też z esty-

my pod tym już tylko przydomkiem znają. Serdeczna, dzielna to postać! jak się zdaje, główna osoba w dramacie.

Nie mogę pominąć tu milczeniem jednej uwagi, która mi się nasuwa z powodu sztuki niniejszjej. Dramaty Słowackiego w ogóle nie grzeszą nigdy przesadą realizmu. Przeciwnie, właściwą im jest jakaś poetyczność czy idealność, posunięta czasem o wiele dalej, niżby sobie można życzyć. Są to nieraz — powiedziećby można — więcej zajścia między ludźmi wyjątkowymi, którzy i gadają i myślą jakoś jak Słowacki — po poetycku: aniżeli przeprawy między ludźmi, jakimi ich Pan Bóg stworzył. Dramaty Juliusza mają pewne podobieństwo do obrazów Guido Reniego z tym kolorytem eterycznym i oświeceniem srebrzysto-błękitnawym, które więcej przypomina lazury niebios, oblane światłem księżyca w pełni wśród pogodnej jakiejś nocy czerwcowej, niż pełnobarwne rozłogi ziemskie o godzinie południowej pod gorącymi promieniami słońca. Otóż, warto zauważyć, że zgola inaczej rzecz się ma ze Złotą Czaszką. Tu wyjątkowo realizmowi otworzono wrota na oścież: i weszło go do dramatu, ile go się tylko dało pomieścić. Okazuje się zatem, że i w ten ton nie trudno więc było uderzyć Słowackiemu, jeżeli tylko uważał to za stosowne. Że zaś do tego przyszło właśnie tym razem, to zdaniem mojem stąd pochodziło, że wprowadził tu autor same figury wzięte z życia i niezawodnie osobiście sobie znajome. Chodziło tu widocznie o oddanie choć raz w życiu, swemu rodzinnemu miasteczku tego honoru i hołdu, jaki zazwyczaj odbierają od poetów ich kąciki ojczyste. Miał spożytkowany tu być artystycznie Krzemieniec i te wszystkie reminiscencje poety, które się wiązały z krzemieniecką jego przeszłością. Ani zatem wątpię, że ten pan Milewicz, ten Gwardyan ze Zakrystyanem, ten Strażnik z całą swoją rodziną, nawet ten Skopek i Jankiel — byli to wszystko sami dobrzy niegdyś znajomi autora. Wszakże nawet ów tylko po imieniu tam wspomniany organista franciszkański Fok musiał sobie tego imienia pożyczyć od człowieka, który żył rzeczywiście i był... Słowackiego metrem muzyki! I tak się rzecz miała zapewne ze wszystkimi nie tylko charakterami działającymi

w tej sztuce, ale i miejscami, rzeczami, zwyczajami do niej wprowadzonymi. Był więc tym razem Słowacki podobny do malarza, który komponując jaki karton historyczny, przedstawiający sceny z dawno ubiegłych wieków, umieszcza na nim same tylko twarze znajome, same portrety rodziny swojej, przyjaciół, znajomych, słowem osób najbliższych swego serca.—

Nakoniec odnoszę także już do lat owych przekład jedną z najcenniejszych sztuk Kalderona, „*El Principe constante*“, **Książę Niezłomny**, chociaż tenże dopiero we dwa lata później (1844), już po ogłoszeniu **Księdza Marka**, wyszedł z druku.— Słowacki od dawna czuł w sobie pewien pociąg ku Kalderonowi. Jeszcze za pierwszego swego pobytu w Paryżu w r. 1831, wtrącił był taką wzmiankę o Kalderonie do jednego ze swoich listów:

„Brałem teraz lekcye hiszpańskiego języka i już teraz doskonale rozumiem Donkiszota. Nic równego, jak *Don Quixote*! Uczyłem się po hiszpańsku jedynie dla Kalderona tragedyi, ale dotąd ich nie skosztowałem. Coto dla mnie będzie za źródło! Jest ich kilka set!... (z d. 20 października 1831).

W późniejszych latach, kiedy przebywał we Włoszech, znowu sobie przypominał o Kalderonie.

„Czasem chodzę rano do biblioteki (donosił o sobie z Florencyi), czytać po hiszpańsku Kalderona i usypiam się jego brylantową i świętości pełną imaginacją.“ (d. 3 października 1837).

Z tém wszystkiém w owych czasach zajmowanie się tym hiszpańskim poetą musiało być tylko jednak dorywcze; nie widać bowiem w ówczesnych dziełach Słowackiego żadnego jeszcze wpływu tej „brylantowej imaginacji“. Język jego wprawdzie zawsze był bujny, i barwny i kwiecisty, ale nie w kalderonowym rodzaju. Zresztą widne były w pracach jego dawniejszych studia nad innymi wzorami: zrazu nad Byronem, później przeważnie nad Szekspirem.

Dopiero utwory z lat najpóźniejszych, **Ksiądz Marek** i **Sen srebrny Salomei**, okazują przejęcie się zupełne duchem

dramaturgii hiszpańskiej. To mi służy za skazówkę, że bliższa znajomość z najpotężniejszym w tej dramaturgii mistrzem przypaść musiała na czasy, które napisanie obu tych co tylko nazwanych dzieł Słowackiego bezpośrednio poprzedziły, a zatem — na lata, których dzieje kreślimy w tym rozdziale. A jeżeli w którym, to w tymto czasie także dokonany być musiał i niniejszy przekład sztuki *El principe constante*. — Jestto praca, godna pod każdym względem pióra autora Lilli Wenedy. Zbliżenie się do oryginału czy to pod względem dosłowności w szczegółach, czy artystycznego odtworzenia całej ze tak rzekę fizjonomii tej hiszpańskiej kreacji, nie pozostawia nic do życzenia. A pomimo tej wierności przekładu, taka tam wydatność każdej myśli, takie zaokrąglenie każdego zwrotu, taka w każdym pociągu pióra doraźność i wyrazistość, że ażeby należycie ocenić zalety tego przelewu, trzeba tylko wziąć do ręki jakie w innym języku tłumaczenie tegoż dramatu. August Wilhelm Schlegel np. uchodzi, jak wiadomo, w literaturze swojej za jednego z najszcześniejszych tłumaczy arcydzieł obcych. A jednak kiedy jego przekład tej samej sztuki kalderonowej porównyamy z naszym, to się pokazuje, że u Schlegla sens wewnętrzny tekstu bywa bardzo często jakby zamglony, tak iż niełatwo cały tam pomysł autora jedném objęciem ogarnąć: podczas gdy dykcya Słowackiego wnika w umysł, jakby to był oryginał, nie tłumaczenie.

Dla tychto właśnie też zalet niniejszej pracy, zdało mi się, że ją odnieść należy do czasu przed opętaniem się poety naszego mglistemi mrzonkami towianizmu; bo potem — nie sądzę, żeby się jeszcze był potrafił Słowacki utrzymać w korbach tych przedmiotowych warunków, które razem wzięte stanowią zadanie i obowiązki tłumaczącego autora. W przeciwnym razie byłby choć od czasu do czasu ów duch nowy i niespokojny, co w nim od owęj pory zamieszkał, targał gwałtownie ośnowę pierwotworu i przekształcał ją po swojemu.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY.

Rozbior Balladyny. — Skąd pochop do podjęcia pomysłu takiej tragedyi? Analogie z tragikami starożytnymi — o ile duch wieków naszych przedhistorycznych żyje w płodach wyobraźni ludowej? „Malliny“ A. Chodźki i „Lilie“ Mickiewicza. — Główne idee w Balladynie — jak się takowe zbiegają w ostatecznym węzle dramatu? Znaczenie ustępów fantastycznych — jaki ich związek z całością sztuki? Rzut oka na „Sen Nocy Letniej“ Szekspira. Rozbior charakteru bohaterki dramatu — rozwój jej roli — kolej działających na jej wolę pobudek. Analogie Balladyny z Lirem Szekspira — zapożyczenia z Makbeta. — Ogólne zdanie o tej sztuce.

Wracam teraz do rozbioru dzieł Słowackiego i podejmuję wątek, przerwany z końcem przedostatniego rozdziału. Pomówmy przedewszystkiem o Balladynie.

Z. Krasiński, który dał się słyszeć z zdaniem swoim o tym utworze przy różnych sposobnościach, a zawsze w takich słowach, iż wątpić nie można, że obok Anhellego stawiał Balladynę najwyżej między wszystkimi dziełami przyjaciela swojego,*) wyraził się w jednej ze swoich korespondencji (w liście do K. Gaszyńskiego), że jestto dzieło, które „w głowie Słowackiego duch Szekspira porodził.“ Nie przeczę temu bynajmniej, że niektóre szczegóły tragedyi obecnej przypominają mistrza tego utwory. Jeżeliby jednak chodziło o ścisłą odpowiedź na zapytanie, kto pierwszy puls pomyśłu do Balladyny że tak powiem, poruszył i rozwinął

*) Obacz mianowicie artykuł jego o Słowackim w Tygodniku poznańskim Literackim rok IV, str. 181. — List do R. Z. zamieszczony w Dodatku Czasu r 1859 Marzec str. 528. — W dziele „Wyjątki z Listów Z. K.“ strona 50 i 51. — Listy jego do Słowackiego, dotąd w całości nie ogłoszone drukiem, z których udzieliłem wyimków dotyczących w poprzedzających rozdziałach.

w wyobraźni Juliusza, to byłbym zdania, że ta inicjatywa wyszła od dawniejszego niż Szekspir a jednak bliższego nam wszystkim wieszczu. Niewątpliwie był Słowackiemu przewodnikiem na tej drodze nasz Kochanowski, autor *Odprawy Posłów*, a za jego pośrednictwem starożytna grecka tragedia.

Mieliśmy już sposobność przekonania się na podstawie własnych zeznań Juliusza, do jakiego stopnia posunięte u niego było rozmiłowanie w tym zygmunto wskim ojcu poetów, i jak mianowicie w owych latach, które *Balladynę* zrodziły, zwykł był nasz młody romantyk rozczytywać niemal codziennie klasyczne twory starego piewcy „*Sobótek*“. Czyżby nie był on miał zwrócić na to uwagi, że jedna lutnia, że właśnie pierwsza i tak a lutnia w narodzie naszym, umiała wydać tony tak na pozór sobie przeciwne? że pierwsze umnicze spożytkowanie świętojańskiej pieśni ludowej, i pierwszy odlów w słowie polskim form greckich, były dziełem — téjsamej ręki?... W *Balladynie* są obydw a żywioły. Co większa, są tam ustępy, z których doraźnie bije woń, owiewająca w tak właściwy sobie sposób mianowicie owę pierwszą polską próbę dramatu, ów epizod homerowej tradycyi, wskrzeszony do życia pod czarno leską lipą, przy pisanym dzbanie miodu staropolskiego, na wesele autora łacińskiej książki o rzymskim senacie i przytém... Hetmana wielkiego koronnego. Nie w myślach ani pojedynczych szczegółach to podobieństwo w *Balladynie* do *Odprawy Posłów* uderza. Słychać je w rytmie, w tonie, w całym że tak rzekę nastroju ducha i lutni.

Próba Kochanowskiego przeniosła myśl Juliusza w owe wieki sofoklesowe, których „*Odprawa Posłów*“ była słabym tylko jeszcze odbłyskiem. Nie umiem powiedzieć, o ile tragicy greccy znani być mogli autorowi naszemu. Dokładnej ich znajomości oczywiście on nie posiadał. O czytaniu ich w pierwowtworze nie może być nawet mowy. Bogdaj nawet i przekłady takowych na jakiś język nowoczesny, np. na francuski, mógł on mieć przed sobą w Genewie. Nie ma tego ani śladu w jego ówczesnych listach. Nie ma też i w dziele samém żadnej zgola skazówki na to, żeby pod bezpośrednim przywodem starożytnych fantazya jego była

miała kształty nadawać Balladynie. Mimo to wszystko śmiem twierdzić, że miał on tu przed oczyma tradycje Eurypidowe, a dowodzą tego i wyrazy niektóre rzucone w przedmowie do *Lilli Wenedy*. Czyto więc dalekie przypomnienie rzeczy słyszanych albo czytanych niegdyś w kraju kierowało tu jego myślą, czy też wpadło mu teraz właśnie dopiero w ręce jakie pismo przygodnie traktujące o dramaturgii greckiej: — dość że zaczął on rozmyślać nad kwestyą, czyby z sfery, z której starożytni mistrzowie wydobywali owe kreacje taki urok wywierające na całym narodowym ogóle, nie dały się i w dzisiejszej jeszcze epoce wywoływać postaci i powieści, równie silnie działające na wyobraźnię?

Dramat grecki mieści się cały w obrębie stosunków heroiczych, więc przedhistorycznych, bajecznych. Z téj tylko kopalni, przez ojca wszystkich poetów, przez Homera jeszcze otwartéj, wynosili Grecy materyał do przelania go na arcydzieła sceniczne. Świat rzeczywisty i codzienny, nawet i świat dziejowy, o ile go dosięgała pamięć opatrzona w daty i dokumenta — była to kraina, której wyobraźnia tragiczków starożytnych nie nawiedzała wcale. Na tym stałym, suchym lądzie, ubitym stopą zwyczajnych śmiertelników, oni ani nie widzieli ani nie przypuszczali poezyi. Wybiegali myślą swoją tylko na otwarte i wolne morze przedbytu historycznego, którego nie krępowały żadne więzy konwencji ani w mniemaniach ani w ustanowieniach...

Czyżby nasze narodowe podania, po za widokrzegiem pewnych dziejów leżące, miały być dla poety mniej wdzięczną niwą? Miałyżby zamglone naszych herosów postaci, żyjące do téj pory w poetycznej ludu pamięci, być zdolne tylko wspomnień w piosence gminnej? Nie jestże to kruszec surowy, który i dzisiaj jeszcze, i u nas także, dałby się odlać na dzieło szczerozłotej, artystycznej poezyi, byleby tylko jęła się téj pracy ręka prawdziwie powołana do tego? Napróżnoż zdaje się gminowi naszemu, że słyszy i teraz jeszcze po lasach tętent łowca niewidzialnego i psów łajanie po nocy; że go dochodzą z pod przezroczystych fal Gopla albo Bałtyku dzwony pokutne miast potępionych; że się wydobywają w pewnych dniach roku, z pod porośłych mchem odwiecznym

gruzów kruszwickich, jęki jak gdyby wzywające litości; że dziewica ujęta snem nieprzespanym — tam pod mogiłą niedaleko Krakusowego grodu — kiedyś zbudzi się jeszcze i powróci na ziemię, żeby zaznać, co to szczęście, co to luby... swojego rodu — —

Skutkiem takichto rozmyślań nad znaczeniem nie zużytych dotąd podań naszych mytycznych — z punktu widzenia pokrewieństwa takowych ze sferą tragedyi starożytniej, wpadł poeta nasz na kierunek praktyki poetyckiej, w którym wydatniej niż we wszystkiem inném, miała się odsłonić oryginalność genialnej jego fantazyi. Powziął zamiar, stworzyć na tle podań rzeczonych cały cykl dramatycznych utworów. Miał on się składać z sześciu odrębnych tragedyi. Pierwszą pracą na tej drodze była właśnie Balladyna, dzieło rzeczywiście tego rodzaju, że mógł się autor o niem w liście do matki wyrazić, że otwiera ono nowy kraj poetyczny, nietknięty ludzką stopą; że jest całę podobne do starć ballady — ułożone tak, jak gdyby gmin je układał, — przeciwne zupełnie prawdzie historycznej — czasem (słowa autora) przeciwne podobieństwu do prawdy, ludzie jednak w niem są prawdziwi i mają w sercu nasze serca...

Ta ludowość, widna w całym sposobie przeprowadzenia Balladyny, nie było jednak cel, o któryby pocie było chodziło — jako o rzecz najgłówniejszą. Było to raczej mimowolne tylko następstwo wyboru przedmiotu, a raczej wyboru sfery, w którą zamierzał wlać życie. Odtwarzać u nas wieki mytyczne — jestto w ostatecznym skutku to samo, co malować kolorami wyobraźni gminu naszego.

Starożytnym tragikom łatwiej było radzić sobie w tej trudnej pracy przelewania mglistych przeddziejowych wspomnień w kształty plastyczne. Najprzód bowiem wiek, w którym żyli, nie tyle był odsunięty od czasów, z których ów materiał czerpali. Wyznawali tę samą religią, co ich bohaterowie bajeczni; kierowali się w życiu temi samemi pojęciami, wierzyli w tenże wymiar sprawiedliwości, w tenże rodzaj opieki ze strony niebios nad światem. A potem, leżała przed nimi otwarta księga Homera! W księdze

tęj widziały kanon wiary i tradycji ojczystej tak dobrze owe pokolenia, które wojnę peloponeską toczyły, jak generacye, z łona których wyszła Ilias i Odysea. Platon, wyobraziciel epoki najpiękniejszego myśli greckiej rozkwitu, co chwila się posługuje przytoczeniami z tych narodowych rapsodyi, rozstrzygając niemi nieraz najzawilsze i najoderwańsze zagadnienia filozoficzne.

My takiego zabytku, takiego przedchrześcijańskiego Polski zwierciadła nie posiadamy. W historycznym względzie bardzo mało, w obyczajowym nic nam wcale o niej nie jest wiadomo. Czujemy to wprawdzie wszyscy, że wyobrażenia nasze, choćby były urobione na tle stosunków nawet najdawniejszej naszej historycznej epoki, nie mogą przystawać do tych wieków zamierzchłych, które od czasów bolesławowskich przedzieliła cała nieskończoność różnic tak wiary jak powszechnej kultury. Uznajemy zatem nieodzowną konieczność wyszukania sobie do tego barw i kształtów zgoła odrębnych. Lecz skąd je wziąć? jak je sobie urobić? — w tém właśnie trudność niepokonana!

Jedyną drogą, jaka się tu nastęrcza, jest chyba pójść w ślady za Chodakowskim i szukać u ludu ostatnich śladów tej cywilizacji rodzimiej, która w wyższych warstwach równocześnie z przyjęciem chrześcijaństwa ustąpiła miejsca obcej ducha ogłędzie. Tą drogą puścił się też tutaj Słowacki.

Wprawdzie i ten sposób nie koniecznie wiedzie do celu. Od czasu wystąpienia właśnie wspomnianego entuzyasty dla wszystkiego, co tylko gminne — mija już oto połowa wieku. Pomiędzy usiłowań tak pierwszych jak późniejszych zwolenników tego kierunku, pomimo tak nieznużonego zbierania pieśni ludowych, skazek, przysłówi itd. prowadzonego systematycznie przez lat dobrane 30 po wszystkich kraju zakątkach, nie otrzymaliśmy żadnego promienia światła, któreby potrafiło przedrzeć zasłonę tej krajiny zaczarowanej i uczynić ją widną dla oczu naszych. Co gorsza, trzeźwe i umiejętne badania zgromadzonych w ów sposób materiałów odebrały nawet w zasadzie kredyt wynikiem poszukiwań w tym zakresie podejmowanych. Szacowna książka Berwińskiego niepomąłu zachwiała wiarę w możność odszukania klucza, o któ-

ry chodzi, w zasobach téj tak zrazu przecenionéj spuścizny. Trudno się już po dziś dzień ludzi nadzieją, żeby choć nawet w przyszłości okazać się miała pomoc jaka dla badań naszych — z téj strony.

Mimo to wszystko, aczkolwiek więc nie dla historii, to dla poezyi mają poszukiwania rzeczzone wszelako wielką doniosłość. Natura pieśni gminnéj ma w sobie zawsze coś ożywczego. Sposób, w jaki nieuczona, tradycyjnym tylko instynktem powodująca się wyobraźnia warstw sielskich wystawia sobie rzeczy, może być dla artysty przydatnym już dla tego samego, że się różni od sposobu pojmowania takowych przez wyższe klasy. Jest w tym sposobie ludowym zawsze jakaś cząstka rodzimych, samorodnych pierwiastków. Aczkolwiek wobec bezwzględnej prawdy nie można go po-czytywać za autentyczny i nieomylny wizerunek pierwotności słowiańskiej, to konwencyjnie wszelako on za takowy dość powszechnie uchodzi i ma prawo zastępować go w sztuce. Historyk z dokumentami w ręku wykaże w wyobrażeniach gminu późniejsze albo obcego pochodzenia naleciałości. Ogół narodu, biorący rzeczy mniej ściśle, uczuje w nich woń wieków będących dla uczonego zagadką, i efekt poetyczny będzie więc osiągnięty.

Takimto więc instynktem świadomie czy mimowiednie, lecz w każdym razie trafnie wiedziony Słowacki, zamierzył w obecnym dramacie swoim zawrzeć obraz świata i tego „co się na nim tak dziwnie plecie“ w duchu fantazyi gminnéj. Postawił się myślą jakby w położeniu naiwnego prostaczka, co snuje swoje skazkę na tle popielowych stuleci nie znając wcale kronikarskich o tychże czasach powieści. Za punkt zarodny wziął sobie myśl kilku ballad, a raczej kilku piosnek ludowych, których surowy materyał w części już był wtedy przerobiony artystycznie przez współczesnych poetów. Głównie dostarczyła mu treści znana owa, bo na całej przestrzeni kraju naszego przez lud śpiewywana powiastka o dwóch córkach prostéj wieśniaczki, w równym stopniu pokochanych przez jakiegoś wielkiego pana, które wysłano na maliny, ażeby samo szczęście rozstrzygło, która z nich ma zostać żoną rycerza. Powiastka ta, słabiuchno przela-

na w kształty ballady przez Al. Chodźkę, była wcielona już wtedy do zasobów piśmiennej literatury. Drugiem źródłem, z którego mógł zaczerpnąć autor Balladyny niejedno, były Lilię Mickiewicza. W *Malinach* Chodźki mowa tylko o zewnętrznych zdarzeniach. W *Liliach* odsłania się i wewnętrzny stan duszy owej zbrodniarki, „której nie żał było rozboju, ale tylko strach kary.“

„Ach pójdę aż do piekła,
Zniosę bicze, pochodnie:
Byleby moje zbrodnie
Wieczysta noc powlekła! “ —

Na tém tle zewnętrznych zdarzeń i wewnętrznych usposobień, wikłających się w jeden ciąg zbrodniczo przebitego żywota, stawiał poeta i inne jeszcze figury. Ten pustelnik siwy, co zna siłę każdego ziela i leczy wszystkie słabości, a za młodu władał berłem jako dziedziczny król ludu — ten dobry rycerz od stóp do głów w zbroję zakuty, po całym świecie jeżdżący, żeby karcieć występki, a podawać rękę pokrzywdzonemu — ta matka uboga, której się własna córka zostawszy wielką panią wyparła — ten kusićiel w postaci niemieckiego przybłądy — ten król dzwonnkowy, czarodziejskim sposobem przemieniony z prostego chłopca — ten piorun z nieba, uderzający w winowajcę, którego przymusiły okoliczności do wydania na samego siebie wyroku... wreszcie te nadzmysłowe, cudotwórcze, fantastyczne istoty, żyjące między ludźmi i niepomalu wpływające na ich postanowienia: — wszystko to są rysy ze wszech miar odpowiednie wyobrażeniom ludu naszego, a nawet i żyjące z osobna w jego powieściach.

Poety dziełem — że je natchnął pełniejszym życiem, że otworzył wnętrza ich serc, że je połączył, że z połączenia tego stworzył świat nie tylko nowy, ale zdolny w najwyższym stopniu zająć uwagę człowieka stojącego na wysokości dzisiejszego usposobienia warstw wykształconych. Podłożył bowiem zawikłaniu, na pozór wymarzonemu przez dziecięcą fantazją, ideje wiekuiście prawdziwe. Pod osłoną stósunków, materialnie biorąc miejscowych i znikomych, ukrył filozofemat ogólny, wynik długich rozmyślań swoich

nad tokiem spraw i kolei ludzkich, nad tym czterowierszem tak znanym wieszczu czarnoleskiego:

„Wszystko się dziwnie plecie

Na tym tu biednym świecie!

A ktoby chciał rozumem wszystkiego dochodzić,

I zginie, a nie będzie umiał w to ugodzić.“

Ten problemat nierozwikłany, tę niepojętą dla rozumów naszych zagadkę, to godło powtórzone i przez Malczeskiego na czele Maryi, pokusił się w Balladynie nasz Juliusz poddać pod analizę. Jeśli przełożymy stworzone przezeń plastyczne kształty poezyi, na język myślącego rozumu, wypowiemy całe przekonanie poety w tych kilku słowach: Ostatecznie składa się wprawdzie wszystko na świecie podług woli Opatrzności. Ona jedna ostatecznie wszystkiem i wszystkimi kieruje. Ale opatrzność bezpośrednio nie działa. Są siły, czy raczej prądy, z osobna i najróżniejszymi drogami i w najrozmaitszych kierunkach działające na to wszystko, co zowiemy przedzą życia czyjego. Biorąc wpływy te poszczególnie, okazuje się, że nigdy się to nie łączy, ku czemu nawodzi i prze i popycha moment taki osobny. Rezultat dopiero i suma zawikłania tych wszystkich sprężyn razem: — to jest co ostatecznie kieruje światem. W tém też właśnie połączeniu ich wszystkich objawia się Opatrzność. —

A jakież są te poszczególnie impulsy, którym podlegają uczynki nasze?

Nasamprzód nasze własne zamiary, rachuby, słowem postanowienia ludzkie.

Jeśli nie prawie zawsze, to nader często ślepy przypadek, ten niewinny figlarz mieszający nam szyki.

Nie mniej znaczy tu i demonizm, ta potęga wyższa nie raz nad wolę i nad rozum człowieka — już to w własném sercu brojąca, już kusząca nas z otoczenia.

Daléj: logika zdarzeń, nieodzowny fatalizm czynów, któreśmi spełnili sami. Co tak trafnie wyraził Schiller: — „Das ist der Fluch der bösen That, dass sie fortzeugend Böses muss gebären.“

Nakoniec — wprawdzie bardzo rzadko i wyjątkowo: Pałac boży, ta bezpośrednia interwencja niebios, działająca, kiedy wszystkie stopniowania pośrednictw ludzkich zawiodły...

Pospolicie w życiu kładziemy przycisk wedle usposobienia naszego. to na tej, to na owej, ale zwykle na jednej tylko z pomiędzy pięciorga potęg, w połączeniu tu wyrażonych. Człowiek praktyczny i racjonalny. wierząc w bezwzględna prawdę przysłowa, „jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz“, składa zazwyczaj wszystko na własną wolę ludzką. Umysł lekki lub materyalny wszystko odnosi do przypadku. Zabobonni w każdym zdarzeniu widzą utajoną władzę złego, lub wreszcie w pewnych razach dobrego, któreto władze prowadzą klientów swoich prostym gościńcem do piekła albo do nieba. Fataliści koją zmartwienia domowe i publiczne rezygnacją, i prawią że co się stało, stać się musiało — nie pytając wcale o to, skąd wychodzi ten ślepy przymus. A religianci, w mniej wzniosłym znaczeniu tego wyrazu, upatrują we wszystkiem cuda i wszystkiego dobrego się spodziewają tylko od cudów.

Autor *Balladyny* przyjął wszystkie pięć wyobrażeń za prawdziwe, a raczej uczynił je dopiero prawdziwemi właśnie przeto, że żadnego z nich nie wykluczył. Pojednał je i połączył je wszystkie, i ustąpiował jako piętrzące się władze, na obraz i podobieństwo coraz wyższych instancyi rządzących światem...

Przeprowadzenie tego pomysłu stanowi właśnie mistrzowską stronę dzieła leżącego przed nami. I tylko z tego punktu widzenia *Balladyna*, mimo wszystkiego coby w niej wytknąć można jako niedostatek, a raczej jako nadmiar (z tej właśnie strony najwięcej bowiem możnaby dziełu temu zrobić zarzutów), okazuje się rzeczywiście najgłębszą może kreacją Słowackiego, w każdym razie utworem godnym jego geniuszu.

Żeby się o tém przekonać: przejdźmy do szczegółów.

Przedewszystkiem określmy sobie chwilę dziejową, na którą przypada zmyślenie, służące za ośnowę dramatu.

Dzieje nasze zapamiętały przesilenie się czasów, dokonane w skutek upadku dynastyi *Popielów* na rzecz *Piasta* i jego rodziny.

Na tę to chwilę ostatnich rządów rodu popielowego, przed powołaniem jeszcze Piasta do tronu, przenosi fikcyą swoją Słowacki. Byłyto czasy poplepne. Przekleństwo i jego skutki, jak woń zło-wieszczą przenikająca powietrze, obejmowały kraj cały. Ostatni z Popielów, czwarty tego imienia, dostał się do władzy nad narodem zdradą i zbrodnią. Zepchnął z tronu starszego brata, a po ujęciu tegoż z stolicy, pozostałe po nim sieroty okrutnie zgładził ze świata. Od tego czasu minęło lat 20. Dawniejszy książę, już zapomniany przez wszystkich, pędzi życie w głębokich lasach jako pustelnik. Nikomu nie wiadomo, kto się ukrywa w osobie tego pustelnika, ale chatka jego często bywa nawiedzana przez ludzi potrzebujących dobrej rady - czy to w chorobie, czy innéj jakiej przygodzie. Od czasu objęcia rządów przez nowego monarchę, zlewają się na Polskę wszelkie nieszczęścia. Popiel IV panuje po tyrańsku. Co gorsza, dawniejszy książę usuwając się na wygnanie, potrafił unieść z sobą koronę królewską. Była to korona cudowna, od czasów Lecha z błogosławieństwem noszona przez wszystkie pokolenia dziedziczących rządy nad Polską. Przywiązał do jej dziejów poeta myt, zaczerpnięty z własnej fantazyi, niepospolitej piękności poetycznej, myt sięgający jeszcze oddaleń-szej przeszłości, bo aż kołyski Chrystusa... Skutkiem nadzwyczajnych kolei, jakie klejnot rzeczony kiedyś przechodził, miał on władzę cudowną.

„Korona Lecha sławną niegdyś była!

W niej szczęście ludu, w niej krainy siła

Cudem zamknięta“...

Korona fałszywa i podrobiona, której przywłaszczyciel używał, nie miała żadnej mocy, a przekleństwo nań rzucone przez ojca dzieciąt zamordowanych działało.

Nie tylko przeto nękały naród pomory, głód, szarańcza i nieznane nigdy dawniej okrucieństwo panującego, ale zepsucie do-stało się i do serc ludzkich. Ludzie w całym królestwie stawali się coraz gorsi...

Na tém tle poczyna się akcja dramatu. —

W przedmowie powiada autor, że jego tragedia, że jego Balladyna „wychodzi na świat z aryostycznym uśmiechem na twarzy, urągając się z porządku i z ładu, jakim się wszystko dzieje na świecie.“ Wyrażenie to ściaga się głównie do aktu pierwszego, w którym zamiary ludzkie i ironia ślepego przypadku dziwnie się z sobą krzyżują.

Oto stoi przed nami młody, dorodny i dzielny rycerz, pan warownego zamku i licznych do koła włości. Zamyśla poszukać sobie żony. Chciałby uczynić wybór jak najszcześliwszy. Nie zaślepia go ani żądza wielkości ani ponęta bogactw. Nie uwodzi się nawet samymi powabami urody. Pragnie znaleźć dziewicę

„Białą, jak w rękę anielskiego stróża
Kwiat lilijowy: niech jój słowik śpiewny
Zazdrości głosu, a synogarlica
Wiernością zrówna. Gdzie taka dziewczica?“

Nie ufając własnym zabiegom, ogląda się za pewniejszym sposobem ustalenia swojego szczęścia. Uda się do pustelnika, o którym słyszał, że mu nikt nie zrówna rozumem, i prosi go, ażeby mu albo wskazał taką dziewczynę, albo przynajmniej powiedział, co czynić, żeby ją znaleźć. Obydwaj wspólnie układają, co im się widzi najlepsze. Stało na tém, że nie ma Kirkor szukać sobie kochanki ani pod złocistymi dachami królów, ani nawet w pańskich pałacach. Po za tymi wysokimi progami, mówi Popiel trzeci, owym pustelnikiem będący, rzadko kiedy przemieszkuje to, czego Kirkor pragnie.

„Tylu ludzi biegło
Z pierścionkiem ślubnym za marą wielkości,
A prawie wszyscy wzięli kość niezgody,
Zamiast straconej z żebra swego kości.“

Więc ty postąp sobie inaczej. Niech cię złocista karetka wiezie do jakiej niskiej lepianki. Szukaj prostoty, a resztę zostaw losowi.

„Ani się wahaj, weź pannę ubogą,
Żeń się z prostotą, i niechaj ci błogo

I lepiej będzie, niżbyś miał z królowną.
 Do biednej chaty idź synu na pewno!
 Niechaj ci pierwsza jaskółka pokaże,
 Pod jaką belką gniazdo ulepiła.
 Gdzie okienkami błysną dziewic twarze,
 A dach słomiany —
 tam czeka na cię żona karna, miła, niewinna“...

Jak widzimy, rozum ludzki uczynił tedy w sprawie tej wszystko, co tylko zrobić mógł, ażeby się nie pomylić. Postarowanie Kirkora zapadło z zachowaniem wszelkich ostrożności — odwołał się do doświadczenia — kierują nim chęci najlepsze: — i do czegoż go to doprowadziło? — Oto przypadkiem wywraca się i łamie powóz jego na jakimś mostku. Niedaleko tego mostku jest sioło, a w niém oczywiście różne ubogich ludzi chatki pod strzechą; ale przypadek chciał, żeby Kirkor szukający noclegu zajechał do tej właśnie między niemi, w której mieszkała matka Balladyny i Aliny. Trzeba było znowu szczególnego przypadku, że się naszemu rycerzowi oba dziewczęta porówno spodobały. Przypadkiem, ni stąd ni zowąd, przyszło stariej wdowie do głowy, żeby wybór, która z jej córek ma zostać jego małżonką, zrobić zależnym znowu od przypadku, t. j. od zbierania owych malin, na które wysłano obie dziewczyny... Postanowienie więc Kirkora i pustelnika w to godziło, żeby się wyrzéc wszelkich świetności i mieć za to pocziwą, choć biedną żonę. A ślepy, bezmyślny, psotny przypadek podsunął mu... Balladynę!

Ale pocieie naszemu nie wystarczało, okazać ironią tego niewinnego psotnika w samych tylko téjże ironii objawach. Chciał on go okazać i w widomych jego kształtach. Chodziło o nadanie ciała temu abstrakcyjnemu słowu: przypadek... W tymto celu wprowadził on tu w sam środek rzeczywistych działań ludzkich, świat fantastyczny. Współdziałanie świata czarodziejskiego pierwotna wyobraźnia ludowa wszędzie przypuszcza. Moment ten zatem wziął autor Balladyny, jak wszystko w tym dramacie, od ludu. Ale wycisnął na nim swój stempel. Podłożył mu, wprawdzie w fantastyczny sposób, znaczenie, które może

być zrozumiałem i dla dzisiejszej reflexyi. Goplana, Skierka, Chochlik i cały ten świat — lekki, jak bańka mydlana, powiewny jak liść ajeru, znikomy jak barwy tęczy, krzyżujący czasem szkoldliwie uczynki ludzkie, a w gruncie dobroduszny i nigdy ze złym zamiarem — to tylko więc poetyczne, po aryostowsku pomyślane uosobienie przypadku.

Rozumie się samo przez się, że w pomysle tak eterycznie powiewnym, jak cały ten dział obecnego dramatu, nie można spodziewać się, żeby każde poszczególne w nim słowo, każdy rys, każdy że tak powiem puls rozigranej imaginacji autora wytrzymał rozbiór rozkładającej krytyki. Niepodobna zagadywać każdego tutaj szczegółu: a na co ty tutaj? a co ty znaczysz?.. Pedanterya przesadna psuje wszystko w razach podobnych. Sztywniej i na szczudłach samych tylko rozsądkowych pojęć kroczącej allegoryi Słowacki dawać tu nie zamierzył. Dobrą połowę ruchu w tém falowaniu złudnej fantazmagoryi zdać trzeba na karb bujań fantazyi, która się nie poczuwa do ścisłego rachunku z tego, co czyni. Lecz weźmy tę fantastyczność współdziałającą w naszym dramacie w całym onój ogóle: a przyznamy, że tylko w taki sposób można jęj znaczenie wykladać.

Cała postać Goplany, wszystko co tylko ona czyni, wszystko czego nawet sama doznaje: to tylko zmysłowe uwidomienie przypadku. Istota ta napowietrzna, uwiana z zorzy i woni, lekka jak chmurka płynąca niebem — poetyczna do przesady, pocziwa od stóp do głowy, cały świat duchów i duszków mająca na rozkazy, słowiki ucząca piosnek, jaskółki z wiosną zbudzająca z topieli, zaścielająca niwy tęczami kwiatów... taka istota rozmilowuje się w prozaicznym pijaku, w rumianym, głupkowatym i sprośnym Grabcu! Nie jestżeto prawdziwa ironia losu? Oto ją widzimy wychodzącą za pierwszym wiosny powiewem z pod toni Gopla, na dzień którego spędziła zimę. Nie marzy o niczém, tylko o piękności człowieka, który téj zimy w jeziorze owém się topił. Niewymownie tęskni do niego. Pragnie co rychlej ujrzyć go znowu i być od niego kochaną, tak jak go sama kocha. Goplana nie wie — kto jęj kochanek? Nie zna go jeszcze.

Nie była zdolna objąć wzrokiem należycie całej jego postaci, kiedy był zanurzony w przerębli. Trwało to krótko — zresztą była to pora martwój niemocy i jakby skamieniałej sennaści, której Goplana przez ciąg zimy podlega wraz z całą przyrodą poddana pod jej rozkazy jako królowej jednego z działów natury. Był to więc dla niej stan snu i jawy na poły. Kochankiem Goplany będzie zatem każdy człowiek, który pierwszy zajdzie jej teraz drogę... I oto przyszedł był na to miejsce młody pastérz, figura żywcem wykrojona z jakiej sycylijskiej sielanki, sentymentalny, westchnieniami tylko żyjący Filon. Nienasycony w tęsknocie, cały zatopiony w łzawych dumaniach, wędruje on przez świat cały i szuka wymarzonej kochanki. Ale ideał jego pozostaje „nieznalezionym, jak się wyraża, obrazem“ w sercu tylko jego żyjącym. Ani żniwiarki, ani nawet królowy nie potrafiły poetycznej jego duszy natchnąć zachwytem. Nie ma dla niego szczęścia na ziemi. Chyba tajemnicze łono wód wyda kiedy taką istotę, jakiej on szuka. Chyba mgły powiewne zrodzą dla niego kochankę. Do mgieł takich stósując to co extatycznie maluje, powiada Filon:

„Nieraz poglądałem

Na białe płótna, łąk jasną zielenią

Słońcu podane, rojąc serca szaleń

Że z bieli płócien, jako z morskiej piany

Alabastrowa miłości bogini

Wyjdzie na słońce“...

Otóż nakoniec wyszło w samą rzecz z głębi Gopla coś bardzo podobnego do téj „alabastrowej bogini.“ Goplana — to stworzona dla Filona kochanka! Filon — to wymarzony kochanek dla niej. I cóż? czy się pokochali wzajemnie? Czy się znaleźli? — Bynajmniej! Jedna chwila popsuła wszystko. Filon wprawdzie przechodził przez owo miejsce, ale niestety przyszedł na nie za wcześnie i — przeszedł. Zaledwie odszedł, wynikała z wód fantastyczna królowa Goplana. I spotyka na swojej drodze — kogo nasamprzód? Spotyka gburowatego parobka, który jej miłość odpycha! Ona mu mu szepce o czystości dziewiczej, o malinach i

poziomkach, które będzie dla niego rwała, o rozłogach łąk i gajów, które wieczorem wspólnie nawiedzać mają.

„Będziemy bładzili,

Kiedy księżyc przyświeca, kiedy słowik kwili,

Nad falą szklistych jezior, pod wielkim modrzewiem

Będziemy razem marzyć przy księżycu...

A Grabiec ani rozumie tego wszystkiego! Nazywa Goplane rybą, galaretą, szklaną zmorą, koczkoanem... a jój poetyczne ekspektoracje odpłaca, chwalać sobie karczmę i gorzałkę, dziewczuchy wiejskie przy sianozęciu itp. Nie jestże to wszystko prawdziwą igraszką losu, którą tak powszechnie uważamy za synonim z przypadkowością? Nawet ów nieodłączny od wyobrażenia przypadku przymiot, ślepotę, widocznie chciał poeta przedmiotowo wystawić w roli Goplany, kiedy jój każe do osmolonego, „w czerwonej umazganego rudzie,” same sprośności gadającego pijaka, mówić takie słowa, jak „piękny młodzieńcze!” — „słowa jego wonne przynosi wiatr wiosenny do mojego ucha”, —

„Niech zorza różana

Pierwsze mu blaski na oblicze rzuci;

Lecz niech się zorza na poły zasmuci

I płaczem rosy słońce tak przestoni,

Aby łagodne, powiek nie raziło“ itd.

Kontrasty te sprawiają wrażenia śmieszne; ale z punktu widzenia samój tylko humorystyki nie mogłyby być dostatecznie wytłómaczone.

Podobnie uwidomieniem zrządeń samój tylko przypadkowości nazwać należy całą tę interwencją, jakiej się Goplana względem działań ludzkich dopuszcza. Grabiec nie chce przychodzić wieczorem do Goplany, gdyż właśnie wieczorami czeka na niego za borem Balladyna, z którą on ma znajomość. Ażeby go skłonić ku sobie, widzi się Goplana w konieczności usunąć stąd owę dziewczynę. Usunięcie to nie może być ze szkodą dla Balladyny, bo Goplana jest dobra, szkodzić nikomu nie chce. Lecz można ją z tych stron oddalić w jaki inny sposób, bez szkody dla niej.

Oto właśnie szuka Kirkor dziewic po świecie, co mieszkają w ubogich chatkach. Niechże zajedzie do chaty Balladyny! niech ona właśnie zostanie wielką panią... Na rozkaz królowej swojej, sprawia to Skierka, że się załamuje ów mostek pod powozem Kirkora! Ale Kirkor mógłby i z tego jeszcze miejsca do niejednej innej lepianki trafić. Skierka go tedy wiedzie echem napowietrznej muzyki, właśnie do mieszkania matki dwóch dziewczyn, które mu pani jego wskazała. Skutkiem okoliczności, że Skierka nie zrozumiał dokładnie danego sobie rozkazu, zlewa on czary miłosne zamiast na jedną, na obie siostry. Tak więc jego to sprawa, że pokochał nasz rycerz i Balladynę i Alinę porówno. Z tego wynika nowa trudność, nowa zawilość. Z obiema niepodobna się żenić, trzeba koniecznie wybrać sobie jedną tylko, — a jak to zrobić, kiedy obie krasawice porówno nęcą ku sobie? Myśl wysłania córek na malinowe wyścigi wychodzi znowu od Skierki. Uosobienie przypadku szepnęło stariej wdowie do ucha, żeby rzecz zdać na przypadek: i tak cały ruch akcji, w zakresie pierwszego aktu, kierowany jest, jak widzimy, przeważnie tą właśnie sprężyną przypadkowości, przyodziejanej w kształty fantastycznego świata.

Upatrując takie znaczenie w fantastycznych ustępach Balladyny, wiem o tém, że inni inaczej je sobie tłómaczą. Według ich zdania powodował się tu poeta chęcią uzupełnienia charakteru epoki, na tle której sprawa się dzieje, przez dołożenie do osnowy dramatu, i tego czarodziejskiego wątku, tak integralnie należącego do tkanki wszystkiego, co tylko sobie o tych czasach snuje wyobrażenia ludu naszego. Oprócz tego miało i o to chodzić tu Słowackiemu, ażeby cudownością złagodzić okropność właściwej akcji. Na akcyą tę, według zdania dawniejszych recenzentów, istoty fantastyczne wewnętrzniego wpływu w tém dziele bynajmniej nie wywierają; gdyż co tylko się w niem dzieje, dzieje się z czysto ludzkich pobudek; a moment czarodziejski wszystko to tylko jakby dla ozdoby samej owiewa...

Obydwa te powody nie zdają mi się tu wcale wystarczające. A twierdzenie, jakoby między fantastycznym a ludzkim światem

w tym dramacie nie miało być żadnego przyczynowego związku, wydaje mi się wręcz mylném. W początkowej części Balladyny ze sfery tej wychodzą właśnie najważniejsze powody. W dalszych dopiero częściach moment ten cofnięty zostaje w głąb obrazu i zastępują go inne sprężyny działania. A nawet i tam jeszcze działa niekiedy przypadek (np. w scenie czwartej aktu IIIgo, gdzie za sprawą czarodziejskich tych istot dostaje się zaginiona korona królewska na głowę Grabca). W ogóle w pierwszym akcie daje świat fantastyczny impulsa prawie do całego nawiązania wydarzeń. Jest on tu jakby tym wietrzykiem albo ptaszkiem maleńkim na najwyższym wierzchołku góry, co niechcący porusza kulczkę śniegu, mającą się niezadługo przemienić w lawinę zniszczenia i okropności. Zbrodnie dramatu niniejszego rodzą się wprawdzie z innych zasobów i urastają w monstrualności własną siłą, jako i lawina toczy się z góry własnym ciężarem. Ale jak nie byłoby lawiny, gdyby coś nie było stworzyło pierwszego onęj zawiązku, tak i Balladyna nie byłaby przyszła w pokuszenie zabicia siostry, a w następstwie dalszém popelnienia i innych występków, gdyby sam przypadek nie był jój do tego dał sposobności i zewnętrznej potrzeby.

Co większa, utrzymuję: że nie chcieć związku rzeczzonego widzieć w budowie Balladyny, jestto odmawiać jój wszelkich zalet artystycznego przyprowadzenia! Mamy tu przed sobą jakby dwie wstęgi, dwie melodye równocześnie płynące. Historia Balladyny i tych którzy ją otaczają, to jedno. Romans Goplany z Grabcem — to drugie. Przypuszczać bytność tych dwóch zawiązków w sztuce — bez wzajemnego wplatania się jednego wątku w drugi — byłoby to odmawiać dziełu temu jednolitości, bez której nie ma ani piękności ani nawet logiki. Według naszego zaś wykładu, cała rola Goplany nie tylko splywa z główną ośnową dramatu, lecz owszem stanowi jedno z wewnętrznych własnych jój włókien.

Następuje się tu samo przez się porównanie Słowackiego z Szekspirem, który w jednym z utworów swoich w bardzo podobny sposób sceny ludzkich działań przeplata zajściami mającemi miejsce pomiędzy istotami nadzmysłowemi. Ani wątpić o tém nie można,

że „Sen Nocy Letniej” był w tym względzie dla Słowackiego wzorem, a jeżeli wreszcie nie wzorem, to skazówką i materiałem przydatnych dla poety spostrzeżeń.

Pod jednym tylko względem zachodzi zupełne podobieństwo między Balladyną a rzeczoną angielskiego wieszczka komedią. Jako tam, tak i w Śnie Nocy Letniej fantastyczne istoty wpływają na sprawy ludzkie w sposób istotny. U Szekspira okazuje się to nawet o wiele oczywiściej, aniżeli u Słowackiego. Role ludzi tej komedii są w ogóle tylko podrzędną i akcesoryalną jej częścią. Postępowanie tychże tak dalece jest kierowane wolą tej niewidzialnej dla nich czarodziejskiej maszyny, że czynią co ta wola im każe, nie tylko w obrębie owej nocy, przez którą się ta cała fantazmagorya jak sen jaki przesuwą, ale nawet sięgają następstwa wpływu tego czarodziejskiego i po za granice rzeczonej nocy. Doprowadzają bowiem do zdarzenia, trwać mającego na zawsze, do którego by nigdy nie było przyszło, gdyby się nie był wniósł ten świat elfów w zawikłanie ludzi pomiędzy sobą. (Dymitr odzyskuje dawną swą skłonność ku odepchniętej Helenie, w skutek czego przychodzi do ich pobrania się).

Natomiast nie ma żadnego podobieństwa między obydwiema sztukami co do rodzaju i co do wagi takowych. Sen Nocy Letniej może sobie uchodzić za arcydzieło, jako utwór mistrza, który czego się tylko dotknął, wycisnął na tém znamiona swego geniuszu. Ale nie zamierzał on w tym razie nic innego, jak napisać krotofilę i fraszeczkę lekką jak puch, bez uroszczeń do znaczenia sztuki z głębszą i na seryo intencją. Zamiar Słowackiego, podłożony nawet fantastycznej części Balladyny, okazuje się nieskończenie więcej poważnym. Rezultat ostateczny współdziałania jego Goplany przyczynia się do tragicznego obrotu zdarzeń, pomimo że pozorna postać i jej samiej i otaczających ją istot bez porównania rzucona jest poetyczniej, powiewniej i idealniej, niż szekspirowska Tytania albo Oberon i służebne ich elfy.

Jżeli tedy pomysł ten przejęty był z Szekspira, to wynagrodził nasz poeta tę poniekąd nieoryginalność pomysłu zupełnie nowem i głębszem jego przeprowadzeniem. —

-- Dalsze części Balladyny bez porównania są prostsze; nie ma tedy potrzeby zastanawiać się już tak szczegółowo nad wszystkiemi.

Powiedziałem już wyżej, że zamiarem było poety, przeprowadzić genezę zbrodni. Jój zaród, jój pierwszy objaw, jój rozwielmożenie się w zakresie całej woli człowieka, jój następstwa nieuniknione, jój wygórowanie nad całym otoczeniem stósunków przy niepodobieństwie zatrzymania nad nimi władzy, jój wreszcie obrócenie się w nicość, zniesienie siebie przez siebie samę: — oto w krótkich słowach streszczenie całej osnowy tragedyi, którą mamy przed sobą.

Przedstawicielką tej akcji ujemnej jest przedewszystkiemi Balladyna. Charakter czarny, demoniczny, ale włożony w naturę wyższą, niż zwyczajny poziom ludzi w jój położeniu. Czuć to przez całą tragedią, że istota ta godną była lepszego losu. Stara jój matka, która instynktowo czując tę wyższość, przenosi ją we wszystkiemi nad młodszą córkę, wręcz wypowiada:

„Wszak ona pierwsza w kościele, i wszędzie
Pierwsza — z organem piosenkę zaczyna“...

A i Balladyna sama, przy końcu swego zawodu, rzuca podobne o sobie zdanie:

„Ja o sławę
Nie dbam, a wyższa teraz nad sąd ludu
Będę, czém dawno byłabym, zrodzona
Pod inną gwiazdą“...

Pod złą więc gwiazdą urodziła się Balladyna i wzrosła! Astrologicznie tego poeta oczywiście rozumieć nie mógł. Chciał on tylko wyrazić, że zewnętrzne okoliczności od pierwszego dzieciństwa, i coś wicherzącego w niej samej na spodzie własnego serca, zwichnęły i rozstroiły tę skądinąd kolosalną naturę. Psuła ją ślepą swoją miłością niemądra matka. Zarody demonizmu w niej samej przysły jój od pierwszej chwili istnienia — może w skutek ciążącej nad wszystkiemi w narodzie naówczas klątwy — i rosły bujnie razem z ciałem urodziwem, razem z siłami jój niepospolitego skądinąd ducha.

Na początku zawodu objawia się w Balladynie ten zaród złego przez pomniejsze jeszcze przywary. Egoizm i zarozumiałość — lekceważenie matki — zawiść i prawie wzgarda w stosunku do siostry — brak miłości ku ludziom, nadający całemu jój zachowaniu coś szorstkiego i opryskliwego w obejściu — swywolne miłości z Grabcem po za plecami matki, w których ile wnosić można, dość już daleko zabrnęła — chęć wyjścia z biednego stanu, posunięta do namiętności — kiedy trzeba, obłuda i serdeczność udana, np. w stosunku do Kirkora: — to są kolory, którymi odmalowano bohaterkę tragedyi już w expozycyi.

Goplana słysząc od Grabca, że on tą dziewczyną zajęty, wręcz wypowiada, że Balladyna „złe ma serce“. Grabiec tego nie przyznaje. Podobnie nie przenika tego jeszcze i matka, z zaślepieniem rozmiłowana w swą córcę starszą. Ludziom zwykle instynkt nie mówi tego, co czują nawet niższe twory w naturze. Iść się to i w tym razie. Kiedy Alina wyjdzie z chatki, to jaskółki domowe okrażają ją jak wiankiem, i świegotaniem radosnym już z oddalenia zapowiadają jój powrót: a przed Balladyną lśniąca jaskółka „kryje się pod słomą i cicho siedzi“...

Przypadkowa sposobność, o której mówiliśmy już tyle na poprzedzających kartach, stawia Balladynę znienacka na rozdrożu strasznej pokusy. Maluje się przed jój oczyma widok wielkiego szczęścia. Osięgnie je, osiągnie je natychmiast, będzie je miała tylko dla siebie i tylko sobie je zawdzięczając, jeżeli zostawi wolne ręce i pełną władzę demonizmowi, który nurtuje w jój sercu. Zachowa ręce czyste od zbrodni, jeżeli znieśnie, że się to szczęście dostanie siostrze... W téj chwili strasznego boju ze sobą samą, nie odgrywa u Balladyny żadnej roli ani miłość, ani nawet chęć wyjścia na wielką panią. Balladyna nie czuje tego, co młodsza siostra. Balladyna nie mogłaby powtórzyć za Aliną:

„Bo widzisz siostro, że ten malin dzbanek
To moje szczęście, mój mąż, mój kochanek,
Moje sny złote i mój ślubny wianek
I wszystko moje. — Ja kocham Kirkora!
Ach! nie dla tego, że Kirkor bogaty,

Że wielki rycerz, pan możnego dwora,
 Że ma karetę złotą, złote szaty“...

Balladyna jeszcze wczoraj kochała Grabca, a teraz jest gotowa porzucić go dla drugiego tylko przeto, że ten drugi „chodzi w złocie i ma miecz jasny i służebnych krocie.“ Balladyna wyjdzie z téj sfery poziomej, w której się urodziła, i wtedy, kiedy Kirkor nie ją samą, ale Alinę poślubi. Bo słusznie zagaduje ją siostra:

„Bo widzisz rybko, są inni rycerze!
 Jak będę panią, to ci znajdę męża“...

A więc nie oneto znajdujące przystęp i do serc słabszych uczucia powodują Balladyną do wyboru drogi, którą się puszcza. Nie miłość to ją uwodzi, nie żądza to pozioma i pospolita, żeby tylko wydobyć się z barłogu, wiedzie ją na pochyłość występku. Najdemoniczniejsza ze wszystkich namiętności — zawiść i duma — to jest sprężyna, która wyrzuca z jéj ust owe słowa pełne gniewu i szału, wymówione do Aliny już z nożem zabójczym w ręku:

„Ty będziesz panią? ty? ty!“...

Ale prócz zawistnej dumy była tu i inna jeszcze sprężyna w ruchu. Demonizm jest w stósunku swoim do człowieka dwójaki: w jego własném wnętrzu — i na około niego. Ten drugi, że tak powiem: z zewnątrz działający demonizm, czynny jest za pośrednictwem złych ludzi, którzy nas otaczają. Jakoż jest i to użytkowane w téj sztuce, a mianowicie mamy przeprowadzenie tego momentu w Kostrzynie. Lecz ze stanowiska ludowej wyobraźni rzecz biorąc (a trzeba brać niejedno w Balladynie koniecznie i z tego stanowiska), wywiera działanie swoje demoniczna potęga także i bezpośrednio: przez niewidome, właściwe swoje narzędzia, w bezpośredniem tychże ze światem ludzkim zetknięciu.

Pustelnik, zamieszkujący tesame puszcze, które były sceną katastrofy wydarzonej między dwiema siostrami, napomyka przygodnie, w jednej z późniejszych sytuacji, że miejsce to nawiedzają złe duchy.

— „W lesie są szatany.

Ja znam się z nimi: nieraz mi do celi

W okna stukają“ —

Otóż zdaje mi się, że było zamiarem poety dać widzieć akt zamordowania Aliny z takiej strony widzowi, iżby temuż ani to było wątpliwem, że w tej sprawie nie sama tylko działała złość Balladyny: że w niej miało swą część i piekło w dosłownym sensie.*) Powtarzam raz jeszcze, że chodziło o przeprowadzenie tego ustępu w duchu ludowych wyobrażeń!..

Tu zagadnąć by mię można: jeżeli taki tu był zamiar poety, to dlaczegoż Pustelnik, dlaczego wreszcie Alina nie podlegają temu szatańskiemu wpływowi, skoro się znajdują w témże miejscu, gdzie rzeczonemu opętaniu Balladyna uległa?

Nie ma w tej pozornej sprzeczności żadnej niekonsekwencji! Na pokuszenie wystawione są z prawdziwem niebezpieczeństwem tylko natury do tego usposobione. Jak w fizycznym świecie ton wydobyty z jednego ciała, wywołuje oddźwięk przez sam fakt swojego brzmienia, tylko z tych ciał okolicznych, które

*) Balladyna szukająca malin po lesie, okazuje się jak gdyby w obłąkaniu. Widzi, czego drugie oczy nie widzą; a nie widzi tego, co jest. Nie ma w owej chwili w niej jeszcze myśli zabicia siostry. Ta myśl rodzi się w niej dopiero później—w ciągu rozmowy z Aliną. („Gdybym cię siostró zabiła?“...) Jest ona tam jeszcze sama, bez żadnego złego zamiaru, a jednak już rozumieć siebie nie może...

„Jak mało malin, a jakie czerwone!

By krew... Jak mało! — W którą pójdę stronę?

Nie wiem... A niebo jakie zapalone —

Jak krew! — Czemu ty słońce wschodzisz krwawo?

Noc wolę ciemną niż taki poranek;

Gdzie moja siostra? Musiała na prawo

Pójść i napełnić malinami dzbanek;

A ja wśród jagód chodzę obłąkana

Jakąś rozpaczą i łzy gubię w rosie.“ itd.

Po dokonaniu już zbrodni, pierwsze słowa Balladyny są jakby całowiska, który się budzi ze snu:

„Co moje ręce zrobiły? — O! —“

„Któż zabija za malin dzbanek siostrę?!“ itd.

zdolne są zajęknąć takimże tonem: tak i w duchowych sferach przewadze demonizmu poddane bywają tylko natury, noszące zaród jego i w własnym sercu...

Wybornie rzecz tasama jest przeprowadzona i w szekspirowskim Makbecie. Wszakże z czarownicami na ustronnym pustkowiu spotyka się tam nie tylko Makbet, ale i Banko. Jednemu i drugiemu te kuszące istoty oznajmują wielkość w przyszłości. Jednego i drugiego starają się złudnemi obietnicami wciągnąć w to zaczarowane koło występku, z którego nie ma wyjścia. Co większa: i Makbet i Banko daje ucho, i wiarę nawet, czarodziejskim tym przepowiedniom. Obaj całą myślą grzęzną w tym widoku wyniesienia, jakie ich rzekomo czeka... A jednak — tylko sam Makbet staje się w skutek tego zbrodniarzem. Natura Banka stawia go po za praktyczną doniosłością władzy, która tamtego nieuchronnie pod moc swoją zagarnia...

Wróćmy do naszej tragedyi. — Zbrodnia zostaje więc dokonana — Balladyna zabiła siostrę. Ten czyn daje jej w ręce wszystko, czego pragnęła. Opuszcza wioskę jako żona rycerza; zamienia chatę na pyszny zamek. Postanawia sobie... zapomnieć o wszystkiem co się stało, i nie dbać o nic. — „Na niebie jest Bóg. Zapomnę, że jest. Będę żyła, jakby nie było Boga“...

...„Więc mam już wszystko — wszystko. — Teraz trzeba
Używać — pańskich uczyć się uśmiechów
I być jak ludzie, którym spadło z nieba
Ogromne szczęście. — Wszakże tyle ludzi
Większych się nad mój dopuściło grzechów,
I żyją“...

To są znowu — postanowienia ludzkie. W tym kierunku sobie Balladyna swoje przyszłość wytyka.

A cóż na to potęgi, kierujące życiem człowieka?

— Powstaje właśnie z pomiędzy nich najstraszniejsza, najmocniej nieuchronna: Fatalizm. Nie ten ślepy i nierozumny fatalizm, jak go sobie w postaci Przeznaczenia wyobrażali poganie,

albo jak dziś wierzy w niego islamizm. Fatalizm przez Słowackiego użyty za dźwignią zawikłania — jestto ta wewnętrzna i przedmiotowa logika czynów z naszej własnej woli wynikłych, której rozkazom wolność nasza odtąd — mimo żalu, mimo wstrętu, mimo oporu przeciw tej sile coraz wyżej nam po nad głowę rosnącej — z konieczności poddać się musi. Wobec tej władzy, tej potęgi samych stosunków — świat ludzki rzeczywiście nie więcej znaczy, jak w starożytności wolność pojedynczych śmiertelnych, porównana z niecofnioną w wyrokach swoich Ananką.

Jeżeli w akcie pierwszym tragedyi główne pole działania przydzielił autor przypadkowości krzyżującej zamysły ludzkie; a w drugim akcie stawiał na pierwszym planie demonizm: to poczynszy od trzeciego najważniejszą sprężyną akcji staje się właśnie ta fatalność zbrodni, płodzącej z siebie coraz nowe występki. Nie przestają być czynnemi i tamte dźwignie, ale działają odtąd już tylko pomocniczo.

Niewidzialna ręka zbrodni prowadzi Balladynę dalej, mówiąc do niej jej własnym głosem, głosem sumienia...

— „Wiatr goni za mną i o siostrę pyta,
Krzyczy: zabita — zabita — zabita!
Drzewa wołają: gdzie jest siostra twoja?
Chciałam krew obmyć: — z błękitnego źródła
Patrzała twarz jej biała i milcząca“...

Takie są uczucia Balladyny, bezpośrednio po dokonaniu czynu. Nie przestaje ścigać ją sumienie i na zamku Kirkora.

... „Rankiem głos sumienia nudzi —
Nad wieczorami dręczy i przeraża,
A nocą ze snu okropnego budzi...
O! gdyby nie to!“...

Fantazja ludu lubi temu wszystkiemu, co się kryje na spodzie serca, dawać i wyraz zewnętrzny. Na czołe Balladyny pozo-
stała od owiej chwili okropnej w lesie, plama krwawa, której zmyć w żaden sposób nie można. Balladyna zasłania ją na razie

obowiązką, którą jak przed Kirkorem powiada, czoło swoje przesłoniła z powodu jakiegoś ślubu. Ale to fortel — tylko do czasu skuteczny! Mąż domaga się koniecznie, żeby ta wstęga była już zdjęta z białej jęj skroni, kiedy on wróci z wyprawy, którą podejmuje zaraz nazajutrz po ślubie, nie chcąc żonie wyjawić, jaki powód tego wyjazdu. Balladyna podejrzewa, że on jedzie szukać Aliny, której ciało zostało w lesie. Z swojej strony i matka, przy córce mieszkająca w Kirkorowym pałacu, dręczy Balladynę ciągłymi pytaniami, co to za plama czerwona?.. Ten wyjazd tajemniczy męża, te zagadywania matki, to nalegliwe żądanie, żeby zrzucić z czoła przepaskę — wszystko to niepokoi zbrodniarkę. Trzeba koniecznie coś wymyślić, żeby się pozbyć spojrzeń matki; żeby przed mężem — jeśli by tego była potrzeba, znaleźć jakąś obronę... w trzeciej osobie.

Następuje się kusiciel, pochlebca, kłamca, szatan wcielony — w postaci niemieckiego przywłoki. Ku czemu Balladyna dopiero dąży, na tym punkcie stoi już dawno ten prototyp skończonój nikczemności. Genezy złego żadnej dla niego już nie ma! Jednym spojrzeniem zrozumiały się te dwie dusze pokrewne. Przed Kostrynem nie ma Balladyna potrzeby tać ani swego pochodzenia, którego z dumnej próżności żadną miarą nie chciałaby się dawać domyślać ludziom co ją otaczają, ani występkę, którego krwawe świadectwo nosi wypisane na czole. W oczach Kostryna taka przeszłość, jak Balladyny — to właśnie najpożądniejsza rekomendacja! Następuje tedy, co w danym położeniu i ze strony takiej natury prawie musiało nastąpić: zdrada i wiarołomstwo przeciw mężowi — nielitość i niepoczciwość przeciwko matce, której się jako matki wypiera i na jakiejś ją samotnej wieży osadza, ażeby nie mieć jęj ciągle na oczach.

Ale sumienie — w postaci strachu kary wicherzące w myślach zbrodniarki, nie usypia, nie milknie... Te środki ostrożności, te nowe zbrodnie — obiecujące skuteczność, nim zostały przedsięwzięte — po dokonaniu, nie zdają się dawać żadnej rękojmi. Były to tylko półśrodki! Trzeba koniecznie znaleźć skuteczny sposób na zmycie owęj krwawej skazy na skroni! Może

pustelnik, znający siłę wszech roślin i rozdający leki na wszelką słabość, potrafi nastroczyć jaką radę i na to. Biegnie tedy do pustelnika. Nie zastanawia się, co czyni, — na oślep, jakby ją pędziła jaka siła tajemna, bieży na miejsce, w pobliżu którego popełniła morderstwo...

Przekora wszelkich rachub, przypadek,*) i sama natura rzeczy sprawiają, że ta bytność u pustelnika właśnie sprawę pogorsza. Pustelnik wie już o zabójstwie popełnioném w tym lesie. Widział ofiarę... Własne serce Balladyny wydaje teraz, czyjś to ręki ofiara!.. Jest tedy odtąd człowiek na świecie, który wie niewątpliwie, co zaszło! Aż dotąd trwożyła Balladynę obawa że mąż, albo matka, ją może — podejrzewają o sprzątnięcie siostry ze świata. Teraz powiedziano jej to otwarcie i wręcz: Zabiłaś siostrę! Ten, kto to wyrzekł, często widuje się z Kirkorem...

Jeżeli już powyższa okoliczność sprawia wielki przewrót w duchowym téj kobiety nastroju: nie mniej posuwa się naprzód geneza sprawy i z innej strony. Balladyna rzuciła się w objęcia Kostryna, nie z pociągu ku niemu, ale z rachuby. Oddała mu się, ażeby go zrobić swoim narzędziem; ażeby mieć w nim wykonawcę czynów, które wskaże jako konieczne. Ale ten demon wcielony nie poprzestaje na téj roli podrzędnej! Rzecz się obraca na odwrot — i raczej to Balladyna staje się posłusznym narzędziem w jego rękach. Nowy mord, dokonany na gońcu Kirkorowym, na przysłanym z darami do Balladyny Graloni — to już czyn tylko głowy Kostryna, choć go spełniła ręka Balladyny owdładniętej przez jego wolę.

Teraz wszystkie już węzły z mężem zerwane! Nie ma nawrotu! Choćby nawet rzecz co do Aliny i co do krwawej plamy na czole pozostała tajemnicą na wieki: zamordowanie Gralona stawia żonę względem męża w tém położeniu, że albo on albo ona — zginąć musi.

*) Pustelnik przywołany został na miejsce zbrodni, zaraz po dokonaniu takowej, przez Skierkę i na rozkaz Goplany; obacz stronę 50 wydania lipskiego.

Podobnie daje Kostryn pobudkę i do ostatecznego wypędzenia matki z zamku kirkorowego. Dotąd wydawała ją Balladyna przynajmniej za swoją mamkę i cierpiała osadzoną w ustronnej części pałacu. Na wielkiej uczcie — zagadnięta przez króla o herb swój i pochodzenie, kiedy się jeszcze waha, co na to odpowiedzieć: podsuwa jej co prędzej ówto powiernik złowrogi tę kłamliwą odpowiedź, którą daje rozpowiadając, jakoby była wypędzoną przez wuja swego księżniczką z dalekiego gdzieś świata. Wobec takiej genealogii, stara matka, która się właśnie w téjże chwili zjawia pomiędzy biesiadnikami z dojmującymi wyrzutami przeciwko córce, musiała już doznać losu, jaki ją w scenie owęj spotyka.

Tak więc, i to jaskrawe sponiewieranie matki i stanowcze zerwanie z mężem, sąto czyny wynikające właściwie z inicjatywy Kostryna. Pomimo tego nie można ich uważać za uczynki tylko narzucone woli bohaterki dramatu. Kostryn został przez Balladynę dobrowolnie przypuszczony do uczestnictwa w jej tajemnicach i w jej występkach. Wybrała go sobie za powiernika właśnie przeto, że go przenikła jako czarną naturę. Wszystko tedy, do czego on się przyczynia, pada w zakres odpowiedzialności jej saméj. —

Jesteśmy na początku czwartego aktu. Aż dotąd, wszystkie winy popełnione przez Balladynę wiążą się z sobą jako ogniwa jednego łańcucha, jako wyniki, coraz nowe, jednéj przyczyny. Z osobna biorąc, każdy krok na téj drodze występnej wzbudza w widzach wprawdzie odrazę: w związku wszelako sprawiają one wszystkie razem wrażenie tragicznego toku wydarzeń, a sprawiają je dlatego, że sąto same nieuchronne następstwa piérwszég przewiny.

Począwszy od tego miejsca, urywa się jednakże ten ciąg organiczny tragicznego dotąd działania. Zamordowanie bezbronnego Grabca, przemienionego w czarodziejski sposób w króla z koroną Lecha na głowie, nie może już w żaden sposób uchodzić za wynik poprzednich zdarzeń. Jestto zbrodnia nowa, zgola dobrowolnie przez Balladynę postanowiona i wykonana. Zbrodnia ta,

otoczona całą szpetnością czynu, dokonanego podstępnie i nocną porą, z pogwałceniem gościnności i wszystkich praw natury, odbiera charakterowi bohaterki ostatnie znamię tego czegoś, co ją podnosiło w oczach widzów aż do téj chwili. Zresztą łączy się z całym tym pomysłem tyle różnych, mniej jasných i w ogóle mniej szczęśliwych okoliczności, że od téj pory trudno już nam iść w ślady za autorem w taki sposób, iżbyśmy się godzili — choćby nawet z jego własnego stanowiska — na rzeczy w akcie czwartym zawarte.

Ażeby zacząć właśnie od tych okoliczności ubocznych: rozumiem ja wprawdzie i uznaję za słuszne, powody, dla których się podobало autorowi uczynić Grabca właśnie, a nie kogo innego, przypadkowym posiadaczem korony wykradzionej pustelnikowi. Jestto figura bezmyślna i prawie zawsze pijana. Tacy ludzie najlepiej się do tego nadają, żeby zostawali pod szczególną i nigdy nieustającą tak protekcją jak ironią przypadkowości. Kto się nigdy własnym nie kieruje rozumem, tego popycha w prawo i w lewo lada zewnętrzne zdarzenie; a suma zdarzeń takich, pozbawionych wewnętrznej wstęgi, stanowi właśnie co zowiemy ślepym trafunkiem. A zatem postąpił sobie autor Balladyny zupełnie odpowiednio poprzednim założeniom, że właśnie Grabcowi fantastyczne owe uosobienia przypadku kładą na głowę odszukaną koronę Lecha, za czém poszło całe owo humorystycznie przedstawione przemienienie tegoż w króla dzwonnkowego.

Mniej zato jasnym jest już powód: dlaczego ten król czarodziejski, ten Grabiec od stóp do głów przekształcony w postać siwego starca w koronie, przybywa na zamek Balladyny?... Zapytuje go Skierka zaraz po dokonanej przemianie: —

„Gdzie król jedzie?”

GRABIEC.

Na uczyć ślubną do Kirkora.“

Na jaką „ślubną“ uczyć? dlaczego właśnie na uczyć w domu Kirkora? — o tém ani słowa w dramacie! Tak więc pozostawił poeta własnemu widzów przemysłowi uzasadnienie jednéj ze scen najważniejszych w całej tragedyi!

Czy Grabca do tych odwiedzin ciągnie dawna skłonność ku Balladynie? Zdawałoby się, że tak jest. Przynajmniej trudno temu inny powód podłożyć. Ale w takim razie równie też trudno jest pojąć, dlaczego w żadnej scenie następnej nie widzimy wcale tej roli dawnego kochanka w starym królu dzwonkowym? Postępuje on tu sobie, jakby był i wewnątrznie przeczařowanym, jakby w duchu wcale już nie był Grabcem, jakby Balladynę widział pierwszy raz w życiu... Ona tćm mniej wiedzieć może, kogo gości w swym domu. Cała tedy tożsamość osoby Grabca z tą ukoronowaną postacią nie została przez poetę wcale spożytkowana, w żadnym kierunku. A kiedy potćm, po ukończonej już uczcie, w nocy przychodzi wreszcie do zamordowania tego bezbronnego i pogrążonego we śnie człowieka: to okoliczność, że nim jest dawny Balladyny kochanek, sprawia — pomimo nieświadomości w jakiej czyn ten ona spełnia, prawdziwie monstualną odrazę!..

Nie dość na tćm. Słaby ten ustćp zmniejsza wartość całej tragedyi i z innćj jeszcze przyczyny: z przyczyny zbyt daleko posunićtego tu podobieństwa naszego autora z Szekspirem! Cała ta scena nocna — to żywcem zdjęta kopia tylko i parafraza owego ustćpu w Makbecie, w którym Makbet i żona jego zabijają w tenże sam sposób w domu swoim króla, który do nich przybył w gościnc...

Daleki ja wprawdzie jestem od chćci robienia komu z tego zarzutu, że się w dzieło jego wkradło przypadkowym sposobem jakie podobieństwo do wyrażenia, do obrazu, a choćby wreszcie i do pomysłu, użytego już przez którego z dawniejszych autorów. Minęły dzięki Bogu już czasy, gdzie na słowach, na rymach, na zwrotach i tym podobnych drobnostkowych szczegółach pokładano całą wartość dzieła poetyckiego. Dzisiaj idee nowe, całość pomysłu, sposób całego prowadzenia osnowy — to jest, co rozstrzyga o samodzielnej oryginalności poety. Przypadkowe podobieństwa między późniejszymi utworami a dawniejszymi, jeśli dotyczą tylko samych szczegółów, ani dziwić ani razić zbytćmnieby nie powinny. Niezmiernie trudną jest rzeczą, żeby ludzie genialni w swoich obserwacyach życia ludzkiego nie mieli się niekiedy spotykać

na jedną drogę. Pod tym względem stanowisko później żyjących wielkim podlega trudnościom w obec mistrzów, co mieli szczęście, wiekiem lub kilka wiekami pierwój przyjąć na świat. A im czasu więcej upłynie, tém bardziej ta dla młodszych tak niedogodna niekorzyść będzie wzrastała, tak iż przyjdą nakoniec czasy, gdzie będzie to prawdziwą sztuką, być rzeczywiście oryginalnym!

Co się tyczy Balladyny, zrobił to spostrzeżenie sam już Słowacki, że można w niej upatrywać podobieństwo do szekspirowskich utworów. W jednym z listów swoich do matki wskazuje on mianowicie na króla Lira, jako na sztukę, którąby mogła przypominać jego tragedia. — „Jeżeli ma ona rodzinne podobieństwo z którą znajomą sztuką, to chyba z królem Lirem Szekspira. O! gdyby stanęła kiedy przy królu Lirze!“ — W samej istocie są miejsca i w rzeczonym dziele starego mistrza, które się mimowolnie nasuwają pamięci, kiedy się czyta Balladynę.*)

*) Podobieństwa te dają się ściągnąć do następujących punktów. Lir na samym początku sztuki zapytuje córki swoje, jak go kochają: i otrzymuje od każdej z nich odpowiedź — odpowiednią ich naturom. Podobnie pyta i Kirkor obydwie siostry, która z nich bardziej go kocha? Odpowiedź jednak Aliny stanowczo odstępuje od tego, co tam powiada o miłości swojej Kordelia. Jest zatem i zbliżenie się do Szekspira w tém miejscu, i jednak niezawisłość od niego. — Podobnie rzecz się ma i co do następującego szczegółu: Niewdzięczność obu starszych córek Lira przeciwko ojcu zupełnie rymuje z niegodziwością, z jaką Balladyna matkę swoją z domu swego wyrzuca. Ale w sztuce Słowackiego jestto szczegół podrzędny, a tam stanowi właśnie główny przedmiot tragedyi. — Dalej: Wypędzony z domu dzieci swoich król u Szekspira, błądząc po burzy i nocy, z oburzenia i rozpaczury utracą rozum. Matka Balladyny, wyrzucona w równie nielitosny sposób na ślotę, traci wzrok. Ale prócz téj mikroskopicznej analogii, zbliżającej losy tych dwóch osób ku sobie, nie mają dwie te postaci żadnej zgody między sobą wspólności. Każda z nich w całości sztuki znaezy zupełnie co innego. — Przewrotna Goneryl zdradza męża swojego, zawiązując poufale stósunki z bękartem i podłego charakteru człowiekiem, t. j. z Edmundem. Podobne stósunki mają ze sobą i Balladyna z Kostrynem. Rzecz jest tasama; ale powody takowej w każdej sztuce są przedstawione inaczej — Wreszcie zachodzi większe, niżby sobie życzyć można, podobieństwo w owéj zresztą podrzędnego znaczenia scenie, w której

Takowe jednak dotyczą zawsze rzeczy ubocznych, i nie dostrzeże ich nikt inaczej, jak tylko w zewnętrznym sposobie wystawienia tego lub owego szczegółu. Ani co do założenia, ani co do sprężyn działania, ani wreszcie co do charakterów celniejszych dostrzec bym ja nie potrafił pokrewieństwa między *Lirem* a *Balladyną*. W każdym razie nie jest ono większe, jak między *Snem Nocy Letniej* a fantastyczną częścią naszej tragedyi, którato część, jakeśmy to wykazali już wyżej, wewnętrznej zawisłości od wzoru szekspirowego nie ma w niczem, i tak się różni od niego, jak się duch wyobrażeń gminnych w angielskim narodzie różni od naszej wyobraźni ludowej.

Za to przyznaję, że trudnoby było nie widzieć wprawdzie tylko częściowej, ale też zato bardzo uderzającej zawisłości *Balladyny* od innej sztuki Szekspira — od *Makbeta*. Pomijam zbliżenie obu tych dramatów do siebie przez całą dążność. Utwor angielski wyłącznie, polski przeważnie polega na tej prawdzie ogólnej, że zbrodnia raz dokonana prowadzi zbrodniarza dalej, i nie pozwala mu prędkiej spocząć na tej drodze pochyłej, dopóki nie przemierzy całej skali występków. Ale takie zbliżenie, takie samą tylko ideą abstrakcyjnie w dzieło włożonej dotyczące pokrewieństwo pomiędzy dwoma utworami czyto poetyckimi, czy rysunkowej sztuki — nie ubliża ani zasłudze późniejszego artysty ani wartości dzieła dotyczącego. Prawd ogólnych i wiekui-
stych, na których założone są węgły świata, szczupła tylko jest liczba. A objawów prawd takowych na tle rzeczywistych stosunków czy to w sferze dziejowej czy potocznej nieskończona jest ilość i nie ma dnia, w którymby mnogość ona nie powiększała się jeszcze... Pomijam zatem zupełnie tę właśnie stronę analogii między tragedjami, które tu porównujemy. Natomiast nie mogę przejść milczeniem nad podobieństwami w pomysłach poszczegół-

u Szekspira *Regan* z nienacka mieczem przeszywa sługę, potykającego się z jej mężem, z tyłu napadając na niego. Zupełnie tymże sposobem ginie u Słowackiego *Gralon*, w plecy ugodzony śmiertelnie przez *Balladynę*, w chwili kiedy z przodu nacierał na niego *Kostryn*. — To są wszystkie długi w sztuce niniejszej zapożyczone z *Lira*, je-
śliby je kto koniecznie chciał za takowe uważać.

nych, konkretnych, całym scenom Balladyny za osnowę służących: a do takich liczę najprzód cały ustęp uczt w Balladynie, pod niejednym względem ułożonej na wzór i podobieństwo sławnej uczt w trzecim akcie Makbeta, gdzie duch Banka, tylko zabójcy swemu widzialny, między biesiadnikami zasiada; a potem — w wyższym jeszcze stopniu poczytuję za zapożyczenie się takie leżącą właśnie przed nami scenę skrytobójstwa dokonanego na Grabcu. W szczegółowym przeprowadzeniu uczt są przynajmniej częściowe ustępy, dokonane samodzielnie i z nieźrównaną poetyczną pięknoscia. Ale w tym miejscu zbliżenie się do wzoru szekspirowskiego zdaje się być posunięte daleko po za granice właściwe.

Tym ustępem rzeczywiście ubliżył sobie Słowacki! Cała ta sytuacja, wszystko co tę sytuacją otacza, dekoracyjne do niej przyrządy itd. taką samą są reminiscencją tylko i niczém więcej, chociaż je powleka własną słów szatą, jak jest reminiscencją nawet co do wyrazów ów wiersz, w tójże scenie w usta Balladyny włożony:

„Świecy! — mój cały zamek za błysk świecy!“ *)

Wierzę temu mocno, że w powyższych miejscach, kiedy one były pisane, ani marzyło się Słowackiemu, żeby to były rzeczy niegdyś czytane w Szekspirze. Zapobiegać on się u niego nie chciał, i wcale nie potrzebował tego. Niosła go fantazyja, jak uragan niepowstrzymany: — i czując jej potęgę poety, nie wglądał, z jakich ona zasobów czerpie, czy z krynic własnego ducha, czy z światów — tylko studiami nagromadzonych w pamięci... Wskazuję na to rzadkie w rodzaju swoim zjawisko, albowiem ono u Słowackiego i niejedną inną anormalność tłumaczy. Siłą fantazyi przewyższał on niewątpliwie wszystkich naszych poetów. Że jednak fantazyi tej nie miarkował reflexyą, nie przenikał rozumem, nie kielznał, nie badał, nie karmił zastanowieniem: dał przez to przodek przed sobą owym wybranym, co łączyli w sobie obojgo...

*) „Konia! konia! Całe królestwo moje za konia!“ w Ryszardzie III Szekspira.

Wracając do głównej rzeczy, zauważyć tu muszę, że na karb téjto właśnie nierównowagi między siłą twórczości a instynktem krytycznym u Słowackiego, złożyć należy i ten nadmiar zawikłania, to przepełnienie okropnościami, od którego wymówić żadną miarą niepodobno końca sztuki obecnej. Przepełnienie to razić stanowczo zaczyna w ciągu aktu czwartego. Autor zapomniał, że miał przed sobą daleko bardziej obowiązek utrzymywać w widzach współczucie dla bohaterki, aniżeli malować czarność jój już na całą wieczność zwichniętego sumienia. I ażeby wyrzeźbić w całej posagowej plastyce te jój słowa rzeczzone do pustelnika, kiedy tenże podsuwał jój myśl żalu, nadzieję zmazania zbrodni, życzenie powrotu do życia zabitej siostry — słowa mówię następujące :

„Gdybym miała trzy wybladłe twarze,
Na każdej twarzy trzy straszniejsze plamy:
Wolę je znosić aż do Boga sądu,
Niż — — — “

uwidamia autor zaciętość i niepoprawność téj demonicznej natury w taki sposób, że przy zdarzonych podobnych okolicznościach — pomimo że Balladynę w ciągu rodzenia się w jój głowie tego występnego zamiaru widmo Aliny jak anioł boży przestrzegający od złego nawiedza w ciągu owéj biesiady i przeraża dotykając grozą kary przewidywanéj — każe jój iść przebojem i dalej drogą pocztą i popełnić raz jeden jeszcze tęsamę zbrodnię, jakiej się dopuściła na siostrze.

Akt piąty wypełniają zdarzenia, ściślej znowu powiązane z poprzednimi zajściami, niż sceny czwartego aktu. Jest to akt samych już zgonów. Mnogość ludzi padających ofiarą, mianowicie jeżeli się do niej doda tyle już zabójstw dokonanych w poprzedzających aktach, upoważnia do zarzutu niedarowanéj przesady w nagromadzeniu jaskrawych okropności. Skądinąd przyznać jednak trzeba poecie że każdy z tych licznych szczegółów tworzących katastrofę jest uzasadniony przynajmniej lokalną jakąś stąd lub z owąd potrzebą. Pustelnik ginie, z rozkazu Balladyny, gdyż jest w posiadaniu tajemnic, które musiałyby ją zgubić, gdyby

zostały wyjawione. Kirkor ginie w walce z hufcami Kostryna, gdyż jestto bój, który po tém wszystkiém, co zaszło, nie może się kończyć inaczej, jak tylko zagładą jednej lub drugiej ze stron walczących. Kostryn, po odniesioném zwycięstwie, zostaje trucizną zgładzony z świata, gdyż jest on już teraz niepotrzebnym, a bardzo niedogodnym dla Balladyny narzędziem.

„Jeżeli zwycięży:

Jak mu nagrodzę? w ziemi całej łonie
Nie znajdę kruszcu na zalanie gardła
Temu Niemcowi“...

Nie pozostał tedy przy życiu żaden wspólnik, żaden świadek, żaden nawet możliwy oskarżyciel win ciężących na Balladyny sumieniu. Wszystkich, co przeszłość jej znali, zamknęła w sobie mogiła. Matka stara, ociemniała, poszła gdzieś sobie w strony dalekie. Nie trafi ona do pałaców książęcych, których wnętrza otwierają się właśnie dla jej córki przez lud okrzykniętej królową. Nieznana nikomu i nikogo nie widząca nad sobą, doczekała się tedy Balladyna godziny, w której powiedzieć może:

...„Już przeszłość zamknięta

W grobach. — Ja sama panią tajemnicy!“

To sytuacją zmienia.

...„Życie pełne trudu

Na dwie połowy przecięła korona:

Przeszłość odpadła jak od płytkiej stali...“

Druga połowa życia, przyszłość, ma nie mieć żadnej wspólności z krwawą drogą, która tę dziewczynę wiejską aż na wysokość tronu przewiodła.

„Nie dbam o sławę — wyższa nad sąd ludu,

Będę, czém dawno byłabym, zrodzona

Pod inną gwiazdą —

„Kaźcie wojennym braćcom rozkuć pęta,

Zastawić stoły na rynkach stolicy

I dawać co dnia dla żebraków strawę.“ itd.

Przyrzeka sobie tedy łagodne, dobroczynne, łaskawe dla wszystkich rządy, sprawiedliwy wymiar sprawiedliwości, słowem powetowanie uczynków złych i występnych stanowczem wejściem na inną drogę.

I jakąż na te znowu „postanowienia ludzkie“ dają odpowiedź one władze niewidome, potężniejsze niżeli wola człowieka?

Pęd popełnionej zbrodni nie przestaje płynąć i dalej. Wobec tej przedmiotowej potęgi, żadnego mieć nie mogą znaczenia okoliczności sztuczne i przypadkowe, że zbrodniarz zasiadł aż na wysokości samego tronu, albo że świadków przeciwko niemu zabrakło pomiędzy żyjącymi. To też działanie fatalizmu tego idzie olbrzymimi krokami naprzód. Za nic wszystkie zapóźne, połowiczne chęci nawrotu, po przeszłości tak dokonanej. Rzeczy tak się same składają, że kiedy nie ma trybunału, wyższego nad Balladynę, to ona sama na siebie wydawać musi wyroki; i skoro nie ma świadectw dość pewnych na to wszystko, co dawniej zaszło, to te minione, prawie zapomniane już nieprawości rodzą więc z siebie teraz, przed oczyma wszystkich, publicznie, taką okropną zbrodnię nową, że na jej widok krew się ścina i w samej okrucieństwa tego sprawczyni. Na torturach umiera stara jej matka; umiera za to, że córkę która jej się zaparła, i teraz jeszcze kocha; że ją i teraz jeszcze śmiercią swoją zasłonić pragnie od kary!..

Po tém wszystkiém wkracza ostatnia i najwyższa ze wszystkich potęg rządzących biegiem spraw ludzkich. Ponieważ wszystkie już ziemskie środki zostały zużyte, a demonizm cofnąć się na drodze swojej nie myśli: więc czas, ażeby się niebo bezpośrednio wmieszało w to zwichnienie moralne natury ludzkiej. Spada piorun z nieba, palec boży widnym się staje w bezpośredniem swoim działaniu i rzeczy świata tego wracają w karby należne.

Takto został wymarzony w poetyckiej wyobraźni epizod, wsunięty w dzieje nasze mityczne, jako ogniwo łączące zamierzchle czasy Popielów z pewniejszą i prawie już historycznym słowem obłąną epoką Piastów. Jako ostatnia chwila przeddziejowego

istnienia, zaludniony on jest przez poetę, krom ludzkich, i fantastycznymi istotami. Fantastyczna ta cudowność jednakże rozwiewa się w mgły nicości wraz z świtem historycznego poranku. Uwzględnił i ten moment autor nasz, i w ostatnim akcie tragedyi wprowadza Gopla, żegnającą te strony, zabierającą się z żalem do odpływu w zamierzchłą, w snach przedświtu pogrążoną jeszcze krainę — na północ...

„Chodźcie mnie uściskać aniołki,
Bo Gopla na wieki wam znika.
O zapłakane fijołki,
Róże moje, bądźcie zdrowe!..

„Polecę w okropną krainę
Gdzie sosny i śniegi sine,
Gdzie słońce jak gasnący żar“...

Razem z upadkiem Balladyny, razem z końcem balladowego przedbytu Polski, rozwiewa się więc w błękit daleki i ta fantastyczna królowa Gopla — podobna do chmurki za zórawi kluczem płynącej coraz wyżej i coraz dalej po niebie — do chmurki blednącej „jak miesiąc od słońca“, coraz mniejszej i mniejszej dla oka — wreszcie ginącej w oddaleniu...

„Epilog“ nie należy do właściwej osnowy sztuki. Jestto tylko odpowiedź autora na przewidywany zarzut, że jego powieść nie zgadza się z historią. Zapytuje więc poeta: co jest historia? Czy historia, jak bywa, a raczej bywała w dawnych czasach najczęściej traktowana, wnika w skrytości serc ludzkich? czy dochodzi rzeczywistych pobudek zdarzeń, o których gada? czy wie wszystko?...

Martwa uczoność — pedantyczne poleganie na lada pozornych blichtrach — pochlebstwo względem panujących — płytka małoduszność, nie zawsze nawet będąca dobrodusznością: — oto zwyczajne przymioty kronikarzy. Z dziejowym wątkiem, nawiniętym przez takich ludzi, godzi się czasem rozminąć intuicyjnym jasnowidzeniom poety. O szczegóły tu nie chodzi — chodzi jedy-

nie o ogólne w zmyśleniach takich, dziejowe i psychiczne ideje. Z téj strony wolno pocie iść o lepszą z urzędową historyografią.

Z tym ostatecznym sensem całego epilogu, zdaje mi się, że się wszyscy zgodzimy. Nie poczytamy tego Słowackiemu za uchybienie, że wymyślił sobie do figur, znanych z podań bajecznych, jeszcze jedną królową więcej. W takich obrębach, jak przeddzień jowa mytyczność, twórczości poetyckiej służy cała swoboda. Zato wytknąć mu tu należy inną pomyłkę, to jest: że ogólny koloryt jego obrazu pod ubocznym wprowadzie względem, ale dość ważnym, staje znowu w sprzeczności z powszechném o téjże rzeczy wyobrażeniem. Mówię o pomieszaniu mytologii pogańskiej z chrześcijaństwem, jakiego znamiona wszędzie się w Balladynie znachodzą. Dziwi mię bardzo, że się to właśnie mogło w tym dramacie najwięcej Krasieńskiemu podobać. Niezawodnie w czasach piastowych oświećlały już jakieś brzaski ewangeliczne tę krainę goplańską. Mieszały się miejscowe, po ojcach odziedziczone wyobrażenia religijne, z promieniami nowéj wiary. Lecz tak to być nie mogło, jak jest przeprowadzone przez naszego poetę. Najprzód bowiem nie widzimy u niego innéj pogańskiej religii, jak grecką i rzymską, którój przecie w tych stronach w żaden sposób nie możemy przypuszczać. Filon np. prawi ciągle o Apollinie, Wenerze, Dyanie itd. Nawet znane mu są takie osobistości wyłącznie greckie, jak Akteon, Endymion itp. Sąto oczywiście rzeczy bardzo niestósowne w tém dziele! Drugie, co mi się widzi jeszcze niestósowniejším, to owo tak mocne w dotyczących miejscach nałożenie obrazu kolorami chrześcijańskimi. Nie tylko słyszymy ciągle wzmianki o Chrystusie i jego męce, o trzech królach, o Mojżeszu, o księżach, o organach, o odpusćie, spowiedzi, rozgrzeszeniu, ale co gorsza, w akcie ostatnim, w scenie sądowej, tak rzeczy są przedstawione, jakby chrześcijaństwo było już tu panującą, przez cały ogół, a nawet i przez organa rządu wyznawaną religią. To jest przesada, która i prostaczkowi dając się czuć doraźnie, zmniejsza złudzenie tak niezbędne dziełu dramatycznemu. Należało koniecznie inaczej oddać to *chiaroscuro* dawnego stanu i nowego porządku rzeczy, pochwyconych w pierwszej chwili przejścia z jednego w drugie.

Lecz to jest zarzut pomniejszy, gdyż dotyczy ubocznej rzeczy. Ważniejszemi daleko widzą mi się inne niestósowności w tém dziele, które wytknąć musi krytyka mimo całego uznania dla poetyczności i głębokości pomysłu służącego mu za ośnowę. Niestósowności te rąż pod kilku rozmaitymi względami, idą wszelako z jednego źródła: źródło to upatruję w niewłaściwości użytéj formy, t. j. w tém, że ręka poety wyrzeźbiła Balladynę w plastycznych kształtach tragedyi.

Dramat, a mianowicie też tragedia — jestto rodzaj poezyi zgoła odrębny. Cała natura téj poetyckiej gałęzi do tego stopnia wymaga żywiołów sobie tylko właściwych, że mało który z przedmiotów, skądinąd stworzonych na to, żeby przyjąć na się kształty poezyi, nadaje się do tych wybrednych i skomplikowanych wymagań. Jeżeli jaki pomysł, to taki jak Balladyny, warunkom tym żadną miarą nie czyni zadość.

Niech mi się będzie wolno przedewszystkiém zapytać: czy ten ton ludowy, ten duch podań i wyobrażeń gminnych, użyty tu że tak powiem za regulatora wyobraźni poety, mógł — choćby nawet i pod piórem Juliusza — znaleźć fortune zastósowanie w dramacie?... Gdyby Balladyna była zwyczajnym poematem: romantyczne pomysły, które w niej przybrały ciało, fantastyczność, bezpośrednie demonizmu działanie, cudowność, słowem wszelkie nadzwyczajne sprężyny, grające tak przeważną rolę w tém dziele, byłyby nie tylko na swoim miejscu, lecz nawet jako nowe i nie-raz głęboko pojęte rzeczy przydawałyby utworowi naszemu nieposzedniej piękności. W dramacie — gdzie wszystko dzieje się przed żywemi oczyma widzów, gdzie złudzenie i prawdopodobieństwo stanowi tak konieczny wszystkich wrażeń warunek, gdzieśmy przywykli już wymagać od poety, ażeby wszelkie przejścia i zwroty działań działy się w imię pojęć, które my dzisiejsi i wszystko rozumem a nie fantazją biorący ludzie uważamy za istotne i rzeczywiste: w dramacie powtarzam dźwignie takie, jak w Balladynie, nie są odpowiednie celowi. Przemiany Grabca to w wierzbę, to w starca — owa cudowna plama krwawa na czole, owe Skierki i Chochliki — wszystko to są przybory, dobre dla poematu, znośne w jakim pospolitym czarodziejskim melodramacie albo

wreszcie balecie; lecz w utworze, w którym się bierze rzecz na seryo, w dziele mającém za zadanie poruszyć najgłębsze uczucia w widzach, sceny takie nie sprawiają wrażenia. Wolno było Szekspirowi wprowadzić element ten i zużytkować w Makbecie. Publiczność, dla której pisana była ta sztuka, wierzyła w czarownice; a wierzyła w nie tak powszechnie, że i poeta sam nie stanowił w téj mierze wyjątku od ogółu. Dziś inne są czasy i inne warunki sprawiania głębszych wrażeń na wyobraźni. Nasz poeta to czuł. Dlatego też wycisnął on np. na owym świecie fantastycznym znamię znaczenia przez siebie dopiero onemu nadanego, znamię które go miało zbliżyć nieco do naszego stanowiska i podnieść po nad poziom ludowy. Lecz to znaczenie symboliczności nie dało się wlać w ten materiał zbyt powiewny w taki sposób, iżby go przenikało do rdzeni. Przenikło go zaledwie do połowy: reszta jest fantazmagoryą, która w scenicznym utworze raczej razi, niż podobać się może.

Druga niekorzyść, z téjże saméj wynikająca przyczyny, widna jest w tém; że charakter Balladyny, tak jak jest przeprowadzony w tém dziele, okazuje niedostatki, które niedobrze oddziałują na całą wartość sztuki. W poemacie, w powieści, w balladzie itd. mogłaby to być figura, zupełnie czyniąca zadość warunkom pierwszorzędnej osoby. W tragedyi — czarny ten charakter razi niestósowością: wzbudza wstręt, a tragicznych uczuć nie wywołuje.

Trzeciém téj niewłaściwości następstwem jest, że sztuka nasza o wiele przechodzi rozciągłość zwyczajnego dramatu i kiedy by była grana, to musiałaby być skróconą przynajmniej o jedną czwartą. *)

*) Toby się zrobić dało, nie wystawiając przez to zbyt wiele na szwank możliwości rozumienia całości kompozycji. Mianowicie możnaby wypuszczać, przedstawiając Balladynę na scenie, następujące ustępy:

W akcie pierwszym: Na stronie (*edycji lipskiej*) 11, od wiersza 16 do str. 12 w. 28. — Na stronie 15, od wiersza 26 do strony 16, wiersza 22. — Na str. 17 wypuścić wierszy 9, począwszy od wiersza 24. Na str. 18 od wiersza 21 do wiersza 12 na str. 19. —

Na str. 20 wypuścić wierszy 9, począwszy od wiersza 18; i niżej wierszy 8, począwszy od wiersza 29. — Na str. 21 opowiadanie Goplany trzeba ściągnąć do kilku wierszy. — Na str. 23 wypuścić wierszy 11, począwszy od wiersza 16. — Na str. 26 wierszy 3, począwszy od w. 16. —

W drugim akcie: Na str. 42 wypuścić wierszy 7, począwszy od w. 24. — Na str. 50 wierszy 6, pocz. od w. 28. — Na str. 51 wierszy 10 od samej góry, i niżej wierszy 8, pocz. od w. 27. — Na str. 53 cały ustęp, począwszy od wiersza 17 aż do samego końca tej sceny (na str. 56), można także bez wielkiej szkody odrzucić, jeżeli Balladyna już po monologu na str. 50 zabierze daban malin z rąk Aliny zabitej, i jeżeli się te wiersze ze strony 53:

„Jutro ty będziesz wolny mój kochanku;

Jutro wymawiać będziesz okrutnicy

Że cię dręczyła z ranka do poranka:“

przenieś na str. 45 w wiersz jedenasty, dwunasty i trzynasty, i doda potem:

„Ale dziś niech kochanek Balladyny czeka“ itd.

samiast: „Niechaj teraz kochanek Balladyny czeka“, jak obecnie jest w tekście.

W akcie trzecim: Całą pierwszą scenę wyrzucić. Niemniej cały ustęp z Filonem, począwszy od wiersza 17 na str. 80, aż do w. 11 na str. 82. — Na str. 85 wypuścić wierszy 10, począwszy od w. 17. — Na str. 86 wierszy 23, począwszy od w. 4. — Na str. 88 wierszy 6, począwszy od w. 8; i niżej wierszy 6, to jest 4 ostatnie wiersze na tej stronie i 2 pierwsze na stronie 89. — Na str. 91 wyłączyć ustęp od w. 29 aż do str. 92 wiersza 10. — Na str. 93 wiersz 15ty septymy uzupełnić trzeba słowami: „niech ci służą“. — Na str. 94 wypuścić wierszy 6, począwszy od w. 16. — Na str. 95 wierszy 10 pocz. od w. 10.

W czwartym akcie: Cały długi ustęp wyrzucić, począwszy od strony 115 wiersza 8, aż do strony 119 tam gdzie się scena czwarta zaczyna.

W akcie piątym: Wypuścić początek aż do str. 125 wiersza 19. — Na str. 126 wyrzucić wierszy 10 ostatnich. — Na str. 129 wierszy 4, począwszy od w. 18. — Na str. 130 wierszy 19, pocz. od w. 16. — Na str. 131 7 wierszy ostatnich. — Na str. 132 wierszy 13, pocz. od w. 7. — Na str. 133 wierszy 9, pocz. od w. 20. — Na str. 135 wierszy 12, pocz. od w. 22. — Na str. 136, począwszy od wiersza 4 z góry, cały ustęp aż do str. 137 w. 9. — Niżej na str. 137 wyłączyć 9 wierszy ostatnich i 16 wierszy pierwszych na str. 138. — Na str. 143 wierszy 9, pocz. od w. 17. — Cały Epilog także w przedstawieniu pominąć.

Zdaje mi się, że wykreślenia powyższe ożywiłyby dialog, w każdym zaś razie skróciłyby sztukę o dobre 25 stron, co samo jużby

wielce ułatwiało możność należytego odegrania kiedy Balladyny na scenie. Była ona wprawdzie raz już grana we Lwowie w r. 1862 na benefis p. Wilkoszewskiego. Że jednak dano ją wtedy całą, bez żadnych zaokrągłeń i skróceń, trwała tedy reprezentacya zbyt długo, a publiczność niecierpliwiła się i odeszła do domu niebardzo zadowolona z tego wieczora. Mogły się do tego przyczynić i rażące niedostatki w dekoracyach i maszyneryi, którą na prędcę, bez wielkiego zachodu, przyrządzono z tego, co było pod ręką, nie troszcząc się wcale o to, żeby rzecz podnieść i w tym kierunku. Balladyna potrzebowałaby wielkiego wytworu w tym właśnie względzie w ustępach swoich fantastycznych, jeżeliby takowe podobać się miały widzom. Oprócz baletowej staranności w tych akcesoryach dekoracyjnych, potrzebną byłaby jęj koniecznie i muzyka stósowna, towarzysząca działaniu w partyach czarodziejskich czynników akcji. Bez tych pomocy ze strony sztuk pokrewnych, poezya w tém dziele nie potrafi zrobić wrażenia, któreby wynagrodziło śmiałość i powiedzmy otwarcie: zużycie poety, dającego taki pomysł w kształtach scenicznych.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY.

Rozbior Lilli Wenedy. — Dany w niej obraz zawiązku w Słowiaństwie państwa lechickiego jak się ma względem prawdy dziejowej? — Jaka rola w dramacie przydzielona Wenedom? Jakie znaczenie „przekleństwa“, wskazującego ich na zagładę? — Przymioty Lecha i zwycięskiej jego drużyny. — Wybitne indywidualności w tragedyi: Derwid — Lelum - Polelum — Róża Weneda — Lilla. Kto właściwym bohaterem sztuki? — Tragiczność idei, na której dramat osnuty. Czy jój wcielenie jest dostateczne? — Przegląd ról poszczególnych: zadanie Róży — i zadanie Lilli. Artystyczne niewłaściwości w przeprowadzeniu pojedynczych szczegółów. — Obejrzenie katastrofy dramatu — ogólne uwagi.

Lilla Weneda wyszła z druku wprawdzie po Balladynie. Co większa, Balladyna i napisana nawet została kilka lat pierwej, niżeli Lilla. Pomimo tego, jeżeli chodzi o miejsce w szeregu sześciu owych zamierzonych dramatów, z których się miał złożyć cały cykl legend fantastycznych o najdawniejszej Polsce: to pierwsze miejsce w tym cyklu zajmuje właśnie dramat niniejszy. Daje w nim poeta właśnie sam zawiązek, sam zaród społeczeństwa naszego. Drugim ogniwem tego łańcucha miał być Krakus, którego Słowacki stawia jako syna Lecha. Dla Balladyny, jako wsuniętój tuż przed czasy piastowe — więc już po dynastyi Popielów, przypada jedno z miejsc ostatnich, może piąte, lub szóste. Piąte, jeśli miał należeć do téj całości i „Wallenrod“; ostatnie — jeśli ta kreacya miała stanowić dzieło osobne.

W tym stanie rzeczy, jaki obecnie jest, posiadamy tedy tylko sam początek i koniec téj projektowanej kolei legend. Lilla — to nawiązanie, a Balladyna — to dośpiew téj u dramatyżowanej Epopei przedbytu.

Główny pomysł Juliusza co do zawiązku narodu naszego i zgadza i nie zgadza się z tradycją przekazaną o tém przez kronikarzy. Zgadza się z nią w głównej rzeczy — rozmija w szczegółach. Poeta nasz idąc w szczegółowym rozprowadzeniu dotyczących okoliczności wbrew tym podaniom i po większej części wbrew też rezultatom ostatnich historyków, stworzył jednakże świat, który w sobie ogólną historyczną prawdę zamyka i nie tylko z poetyckiego, lecz i z historycznego punktu widzenia ostatecznie odpowiada powziętym powszechnie o genezie naszym pojęciom. Bo że porządek rzeczy lechicki, jakkolwiek co do rodu nieobcy, cywilizacyjnie, był czémś odrębnym w słowiaństwie: temu i historia nie przeczy. Że ten porządek zajął tu miejsce dawniejszych, nieco odmiennych, czysto słowiańskich stósunków: tego nauczają i dzieje. W tento jedynie też sposób mógł się tu począć ten żywioł polski, który pod wszelkim względem zawiera w sobie więcej, aniżeli w sobie mieszczą żywioły reszty rozsiadłego na niezmiernych przestrzeniach tu i owdzie słowiaństwa. Historyczna krytyka nie doprowadziła do pewnej konkluzji, skąd i kiedy i jak te lechickie pierwiastki przybyły między Słowian osiadłych po nad Gopłem i Wisłą. Lelewel, niezmiernie chwiejny w tym punkcie, to uważa w Lechach odcień tylko społeczny, zresztą miejscowy, to ich znowu gotów prowadzić z za Dunaju do Czech, a stąd nad Wartę. Bielowski wywodzi Polan od Daków czyli Traków, zatem z południa. Maciejowski od Swewów, więc z zachodu. Szajnocha od Skandynawów, zatem z północy. Nie brak na takich, którzy ten odłam plemienia przyprowadzają wprost z kolebki całego naszego szczepu, z za Kaukazu, zatem ze wschodu... Te różnice mniemań są tedy. Ale że nastąpiło jakieś przybytkowe wszczępienie latorośli nieco odrębnej w pień miejscowego zaludnienia z dawniejszych czasów: na to się prawie wszyscy piszą jakby na fakt dowiedziony, a tradycja odwieczna o przyjściu Lecha w te strony, także to przypuszczenie potwierdza.

Jednakże historia pojmuje to przybycie nowych żywiołów na ziemię naszą w formie napływu. Przypuszcza napływ idei wyższej, organizacji odrębnej, może też wreszcie nawet i rasy obcej, lecz w taki sposób, że takowa bez wielkiego oporu potra-

fiła tu dokonać swego domieszania się do miejscowych zasobów i choć nad nimi wzięła przewagę, a następnie i panowanie, to jednak raczej sama się do nich przyswoiła i rozplynęła w ludności, którą napotkała w tych okolicach, niż żeby ją była miała w sposób gwałtowny wyprzeć albo wytępić.

Nasz poeta w tym punkcie zupełnie odstąpił od wyobrażeń ntartych. Przedstawia on tę stósunków przemianę jako podbój, jako krwawe zetknięcie się dwóch przeciwnych sobie pierwiastków, co większa, jako bój dwóch różnych plemion o śmierć prowadzony lub życie w dosłowném wyrazu tego znaczeniu. Przedstawia przyjście Lechitów jako zagładę zupełną dawniejszej tych okolic ludności — na korzyść przybyłej rasy. I wziął sobie właśnie to konanie ustępującego z historii i pokonanego plemienia za główny przedmiot swojej tragedyi. Żywił lechicki, zwycięski, dopiero poczynający tu życie — odgrywa w niej rolę tylko deuteragonisty. Prawdziwym bohaterem dramatu jest to ostatnie pokolenie Słowian czyli „Wenedów“ nadgoplańskich, które po długim i rozgłośnionem niegdyś istnieniu w szerokich kraju swego granicach, legło pod rolandowym Lecha i rycerzy jego orężem. Jestto zatem per excellentiam tragedia idei, tragedia narodu i społeczeństwa całego — nie osób pojedynczych.

Sztuka się poczyną samym początkiem najazdu. Widzimy tu wprowadzić od razu króla Wenedów, toż obu jego synów w niewoli u Lecha, który już prawie władnie tym krajem; ale ten wielki obrót rzeczy sprawiła jedna bitwa, pierwsze już starcie.

— „Cóż myślisz starcze o ludach zachodnich?

Wczora ty byłeś panem téj krainy:

Dzisiaj do ciebie nie należy głowa,

Która rządziła wczoraj tymi ludy“... itd.

Od tych słów, włożonych w usta Lechowi do Derwida pokonanego, już się poczyną akt pierwszy. —

W poprzedzającym akt ten Prologu, którego czas przypada właśnie na chwilę owéj bitwy stanowczej, chociaż się takowa toczy opodal gdzieś po za sceną: daje autor kilka zarysów, charakteryzujących położenie dziejowe. Dowiadujemy się, że Wę-

nedzi wskazani są na zagładę; że cięży nad nimi jakaś klątwa, z przyczyny której upaść i zaginać muszą.

— „Przekleństwo, przekleństwo. przekleństwo!

Ojczyzna nasza kona — i na wieki

Widzę umarłą“...

— „Na ziemi i w niebie

Lud nasz przeklęty — o biada nam, biada! — “

Słowa te wypowiadają Róża Weneda, starsza córka Derwida, będąca wróżką — i harfiarze, którym jako kapłanom narodowym, odchylona jest zasłona przyszłych przeznaczeń ojczyzny. Lecz nie oni tylko sami posiadają tę świadomość przyszłości. Myśl ta jak miazmat trujący, zdaje się przesiąkać całą atmosferę obrazu; odzywa się ciągle, przez cały tok dramatu, jak echo jakie złowieszcze. Uczucie to zbliżającego się końca cięży ołowiem na wszystkich osobach, biorących udział w tej ostatniej walce z najeźdźnikami... Poeta nie tłumaczy ani powodów ani bliższych okoliczności owe go przekleństwa, rzuconego na cały szczep Wenedów. Można by go tu prawie posądzać o wprowadzenie jakiegoś ślepego fatalizmu. Tém bardziej zaś przypuszczenie czegoś podobnego w tym dramacie mogłoby się zdawać na razie uzasadnioném, że nie widzimy w Lechitach, którzy wszędzie zwyciężają Wenedów, żadnej nad nimi wyższości. Przeciwnie, jestto rasa jakaś i fizycznie karłowata, i duchowo napiętnowana jakimiś oznakami małości, skłonna do nikczemnych okrucieństw, daleka od wszystkiego, co by znamionowało wyższą naturę, rasa niekiedy prawdziwe popełniająca nawet obrzydliwości! Wszakże sam Lech, patrząc na rosłe ciała, na dumne postawy swoich jeńców zakutych w pęta, mówi do żony:

„Gwinono patrzaj, jaki to lud rosły!..

Ja komar — i krew z niego wycodziłem ,

I wycisnąłem w rękę jak cytrynę!..

Ściągając rzecz do jednego z synów Derwida, dodaje jeszcze:

Że ja maleńki, to on mną pogardza,

A wiem, że mego miecza nie udźwignie!“ —

Zdawałoby się, z tych chępliwych słów wnosząc, że za tę drobnosć zewnętrzną ciała, natura wynagrodziła Lechitów nie

tylko tęgią nadzwyczajną siłą fizycznych, lecz może i mocą duszy, rozumem, wielkością serca? Gdzie tam! Żona Lechowa, Skandynawka z rodu, bynajmniej nie powzięła takich wyobrażeń ani o mężu, ani o jego orszaku. Zręczność w boju — tę im przyznaje, ale prócz tego — nic więcej.

„O jak rycerze ci są łatwowierni!

Najmniejsze kłamstwo, a już ich oszuka.

A choć szychową nie zobaczą, nie chcą

Wyciągnąć z kłębka — jedni przez lenistwo,

Drudzy widzący w tém może pożytek

Albo zabawę: i tak oszukani

Falszu krzewinie rosnać pozwalają!“

Podnosząc tedy w ich charakterze lenistwo, prywatę i lekomyślność jako główne znamiona, zamyka Gwinona w dalszych wierszach ten sąd swój o całym rodzie Lechitów wyrzeczeniem niekoniecznie dla nich pochlebném, że to „lud głupi, z rąk rycerskich ale z głów niemyślących“ złożony, który jeżeli ona go w opiekę swoją nie weźmie — przy lada burzy rozpaść się musi.

Na to samo wychodzi, co w swój znowu sposób i przy innej okoliczności o tej rasie wypowiada pocieszny i głupekowaty Ślaz, kiedy go ktoś w przytomności Wenedów za Lechitę ogłosił.

— „Cóż to? Czy mi z oczu

Patrzy gburostwo, pijaństwo, obżarstwo,

Siedem śmiertelnych grzechów, gust do wrzasku,

Do ukwaszonych ogórków, do herbów?

Zwyczaj przysięgać in „verba magistri“ —

Owezarstwo — czy to wszystko mi do twarzy? —

Jeśli tak, wodą mię zlejcie gorącą —

Niechaj oblezie ze mnie pierwsza skóra.“ itd.

Co dotąd przytoczono, wystarczy, ażebyśmy pozwolili sobie już w tém miejscu wyrzec nawiasową uwagę, że widocznie przydzielił tu Słowacki Lechitom te wszystkie właściwości, które się później okazały przywarami polskiego społeczeństwa, mianowicie w czasach upadku. Przywary te wytykają i teraz jeszcze umysły satyrycznie usposobione polskim szlachcicom, rozumiejąc przez wyraz ten cały ogół mniej światłej masy w łonie wyższego towarzystwa naszego...

Lech sam jest prototypem rzeczonych ułomności. Łączy on w sobie dziwne sprzeczności charakteru. Przy bohaterskich nieraz zapędach, przy błyskliwych powodzeniach oręża: słaby to duch, podległy lada wrażeniu, słowem pospolita natura! Daje wpływać na siebie, bez wyboru i bez różnicy, wszystkiemu i każdemu, kto go tylko otacza. Dopuszcza się co krok dziwnych, nieraz prawdziwie pociesznych niekonsekwencji (np. przez cały ciąg aktu drugiego i trzeciego, gdzie chodzi albo o dotrzymanie obietnicy danej Lilli Wenedzie co do uwolnienia jej ojca, albo też o narażenie się na gniew krzykliwej a tyranizującej go małżonki). Słowem, jestto prawdziwie nieodrodny, jak się sam autor w przedmowie do dramatu wyraził: „praszczur Sobieskiego“ — przy silnej ręce, a molierowskiej w domu słabości. „Kontusz mu włożyć i bóty czerwone, gdy wróci z piorunowej walki, siarką cuchnącą i krwią obłany po szyję. Kontusz mu włożyć i żupan! niechaj panuje — bez jutra!“

Otóż zdawaćby się mogło, że skoro z takim wrogiem mieli do czynienia Wenedzi, to chyba ślepy jakiś fatalizm winiłby o to trzeba, gdyby zagłada ich plemienia, na korzyść takich najezdców, miała rzeczywiście już tak koniecznie być nieuchronną. Przecież słuszność jest po stronie tych, którzy bronią swojej ojczyzny. Przewagą liczebną także przewyższają Wenedzi nieskończenie Lechitów. Przymioty szczepowego ich charakteru zmuszają w dramacie często nie tylko do uznania, ale i do współczucia. Sam Gwalbert święty, człowiek obcego pochodzenia, zatem bezstronny, wprowadzony przez autora na scenę jako typ zbliżającego się i do tych już stron chrześcijaństwa, oddaje im świadectwo, „że to był dobry lud, choć nie chrześcijański.“ Dlaczegoż tedy opatrność czy wreszcie szczęście samo łaskawszemu byłoby miało dla Lecha i jego szyków, równie jak Wenedzi nie będących jeszcze chrześcijanami, aniżeli dla tej ludności spokojnie mieszkającej u siebie? Jeżeli przeto, że to pokolenie obarczone przekleństwem: to kto je niém obarczył? za jakie wykroczenie? przed czym trybunałem?

Na te wszystkie pytania nie ma w dziele odpowiedzi gotowej; ale całe jego przeprowadzenie i ostateczna katastrofa tragedii staje za wymowne rozwiązanie całej tu poruszonej zagadki.

Przekleństwo Wenedów wynika z nich samych. Jest to tylko symboliczny wyraz, malujący wewnętrzny stan ducha tego narodu. Wenedom zabrakło zupełnie na duchowej sile żywotnej, tak niezbędnej do istnienia ciałom zbiorowym. Stracili wiarę w siebie, stracili serce. Odbiegło ich przekonanie, że potrafią się oprzeć nawet wrogowi, który w stal zakuty od stóp do głowy, poprzędzony sławą nabytą, przyszedł zabrać im ich odziedziczone siedziby. Trzymają jeszcze w rękach harfy, których cudotwórcza muzyka grała ich ojcom niegdyś tryumfalne hasła do zwycięstw: ale z tych dźwięków uleciał duch dający siłę zwycięstwa, a pozostały tylko głuche i puste brzęki. Tych brzęków oni już sami nie rozumieją! Pozostały im wróżby, na których budują wszystko, a którym jednak sami nie dowierzają. Poczucie tego duchowego upadku udzieliło się całemu ich pokoleniu. Nikt z nich w przyszłość dalszą nie wierzy; nikt nie ma woli, żądać jej i wykonać ją — nawet wbrew wszystkiemu, co onę przeczy. I to jest owo przekleństwo, dla którego muszą ustąpić z widowni.

Wyższość Lechitów na tém właśnie polega, że lubo oni jak się powiedziało, podlegają tylu rozlicznym ułomnościom i niedostatkom moralnym, lubo nieliczni do tego stopnia, że się garstką tylko wydają w porównaniu z tysiącami Wenedów, lubo ciałem od nich mniejsi i słabsi: ufają w siły swoje i gwiazdę swoją i mają serce do boju.

Wśród wyrzutów, które nieraz w dramacie czyni Lechowi wyniosła jego małżonka: że dwa razy już utracił kraje prawie podbite, że się dał bratu Czechowi tak łatwowiernie oszukać, że mu już pozostała tylko jeszcze garstka rycerzy, że nie pamięta o losie dzieci itp. zmuszona ona jest jednakże powiedzieć mu i te słowa, wcale nie będące naganą, a tłumaczące naszą zagadkę:

„Ty zawsze ufasz w szczęście i odwagę

I w tę gorącość krwi, co ciebie rzuca

W niebezpieczeństwo...”

A Róża Weneda kiedy opowiada swoje widzenie w przeddniu walki, mającej ostatecznie rozstrzygnąć o istnieniu lub nieistnieniu narodu: to w zupełnie inném świetle malować musi zachowanie się i usposobienie swoich Wenedów. Widziała ich w liczbie

kilkunastu tysięcy, ale z wybladłemi twarzami, w grobowém milczeniu zajmujących miejsca na przyszlém pobojuwisku. Widziała ich w duchu swoim, jeszcze w przededniu bitwy, jako tam stali uszykowani do boju

„Równi, zimni, biali jako groby —
Miecz je walił, gdy piorun był niemy,
Czasem walił piorun i miecz razem.“

Powiada, że kiedy chcąc się przekonać, co się dzieje w pierśiach tych zwątpieniem zatrutych ludzi, zajrzała do wnętrza kilku z tych bohaterów walki jutrzejszj: to znalazła u jednego, „że w nim serce zbladło i tak trzęsło się, jak liść olchowy.“ W piersi drugiego znalazła zamiast serca — kłębek robaków. A gdy rozdarła pierś trzecią i spojrzała w nią: — to była pusta! nie było w niej nic miasto serca. I nie zazierała już dalej wróżka natęchniona do serc ludzkich swego narodu, bo się dowiedziała o wszystkiém...

Gdzie tak rzeczy się mają, tam i katastrofa gotowa. Gdzie tacy zapaśnicy, tam i wypadek walki z góry wiadomy. Nie byłoby o czém ani z czego i tutaj stworzyć dramatu. Jednakże są jeszcze przynajmniej pojedyncze pomiędzy Wenedami osobistości, które grozę położenia pojmują, nie zapomniały godności narodowej, zachowały choć iskrę wiary w skuteczność swoich poświęceń; które czują ciężar obowiązku i mają siłę go dźwigać. Są jeszcze ludzie, którzy jeśli nie więcej, to pragną się bronić, żeby — jeżeli trzeba już — legnąć, legnąć przynajmniej bez hańby, i oddać życie — nie bez drogiego okupu i odwetu.

Stawmy przed sobą te wybitne charaktery słowiańskie, podtrzymujące akcyą tragedyi.

Oto najprzód Derwid, sędziwy król Wenedów. Znekany to starzec, w wysokim stopniu wyobrażający wszystkie braki swego plemienia, ruina, niemoc uosobiona... Ale ruinato zdolna wznieść i w wrogu część dla tego, czém była kiedyś. Mąż królewskiego ducha, który się śmierci ani okrucieństw żadnych nie lęka. Walczy — wprawdzie tylko słowami, ale słowami, które w wroga uderzają jak razy. Ożywia i zapala się — wprawdzie na tylko

znikomą zawsze chwilę, żeby po wysileniu takowém opaść z sił w tém bezbronniejszą bierność. Ale wiary do harfy swojej, tego symbolu narodowego zbawienia, nie traci nigdy i wzniosł się duchem na wysokość, z której dumnie zapowiada wrogowi:

„Że po narodach już wymordowanych
Jeszcze zostaje jakaś moc, przed którą
Ty musisz bladnąć, i ciągle twe lica
Strupiałe nową krwią farbować musisz.“

Są dalej dwaj synowie jego — tak podobni do siebie, a tak jednak różni usposobieniem. Młodszy Lelum — to poeta, marzyciel, to Kordyan tamtych wieków, serce narodu. Starszy Polelum — to tego narodu oręż, grom, jego jedyna siła, która jeszcze zdolnaby była i w czyn rozkwitnąć zbawczy, gdyby to było rzeczą podobną, ażeby jeden stanął za wszystkich; gdyby jedna latorośl zielona mogła ożywić soki w całym drzewie — zwiedniałém!.. Lelum-Polelum — dwie nazwy, dwa wyrazy niezrozumiałe dla dzisiejszej epoki, choć przekazane tradycją, połączył poeta w jeden więc pomysł. Skuł dwóch tych braci jednym łańcuchem, zaczepionym jednym końcem do prawej ręki młodszego, drugim do lewej starszego brata. Stawia ich obu jako jednego wodza w tej ostatniej narodowej potrzebie, jako wodza o dwóch głowach, a jednym mieczu i jednej olbrzymiej tarczy. Miecz — dzierży prawa ręka Polelum, tarcza — zdana lewej ręce drugiego brata. Tak oni walczą i tak giną na stosie. W tém połączeniu dwóch jestestw, przekazują oni po sobie ostatnie wspomnienie pamięci wieków potomnych. Dwa imiona mytologiczne, dotąd prawie śmieszne, a w każdym razie bezmyślne, nabrały więc w dziele obecnym znaczenia. Znaczenie to nie jest bez ubocznego związku i z charakterem narodowym całych naszych dziejów następnych. Dwie głowy — a jedna ręka! Dwa niestety rozумы — a jedno tylko działanie. Nie jestże to rzeczywiście, jak poeta w przedmowie swojej natrąca, wiekowe, tradycyjne „nieszczęście narodu?“ Nie jestże to przeznaczenie, nie tylko „przewodniczące tamtemu przez Boga potępionemu ludowi,“

ale i owym wojennym spadkobiercom jego krainy, którzy tu dalsze dzieje więcęj w jego duchu, niżeli w własnym roznuli?

Mamy w dramacie nakoniec dwie córki króla Derwida, Różę i Lillę Wenedę. I tutaj uwydatnił Słowacki stanowczy kontrast między obiema siostrami. Starsza jest wróżką, kapłanką i ofiarnicą swego narodu. Nie tylko powołaniem, ale i usposobieniem wyższa nad płeć swoją niewieścią — może sama jedyna w pokoleniu owém całém obdarzona jasnowidzeniem tego, co się dzieje w duchu narodu i na co się w nim zanoś: wystaje Róża Weneda w dramacie, w kolosalnych, twardej, ostrych zarysach, po nad wszystkie inne w nim działające figury, i tą surową wielkością duszy zniewala do podziwiania. Na pozór poczyną ona sobie niekiedy jakby istota nieczuła, zdolna tylko krwawych porywów, bez łez i serca dla siostry, dla braci, dla ojca pojmanego w niewolę i powracającego z niej potem z wydartymi oczyma. Zamiast jakby się należało powitać w tój scenie ten tak późny, tak niezupełny powrót rodzica swego do domu, zamiast otoczyć ciemnego starca tęp przyjęciem, jakiego się mógł spodziewać ze strony dzieci, a raczćj ze strony jedynego dziecięcia, które nie dzieliło jego niewoli: Róża Weneda zwięzłe i ponuro zagaduje Derwida, dlaczego bez swojej harfy powraca? Derwidowi wprawdzie wiadomo, że od tój harfy zawisło ocalenie Wenedów; wiadomo mu, jakie miejsce w społeczeństwie narodowém starsza córka jego zajmuje; wiadomo mu, że ona czuje za naród cały i że tylko to jedno uczucie serce tój dziewicy zapełnia. A przecież, w takićj chwili, nie rozumie on sam nawet Róży Wenedy. Pojąć tego nie może, żeby na widok wydartych jego oczu, na widok twarzy zlanćj temi łzami krwawemi, mogła córka jego, kobieta, myśleć jeszcze o czćm więcęj, jak tylko... o takim powrocie ojca! I karci, przeklina prawie to na pozór niedobre dziecko:

— „O gadzino!

Czy ty się z harfy mojęj urodziłaś;
 Że ty mię witasz tak? — Gdym tu przychodził,
 Skakały na mnie psy wyjąc z radości,
 A ty jak kruka... etc.

„Ty jesteś harfą bez strun, czarownico!
O bogdaj pierwszy z tych piorunów złotych
Pomścił się za mnie!“...

Te wyrzuty starca świadczą jednak więcej przeciw Derwidowi samemu, aniżeli przeciwko Róży. Dowodzą, że król Wenedów jest niezdolny — nie powiem: podzielać, ale nawet rozumieć tego nastroju ducha, do którego w takiej chwili, jak tamta, wznieść by się powinna cała ludność zagrożona zagładą, przedewszystkiem zaś sam panujący, jako bezpośredni wyobraziciel idei swego narodu. To też bynajmniej się nie miesza kapłanka nasza temi gorzkimi wymówkami rodzica. Czyni co do niej należy z tymsamym spokojem duszy, z jakim to czyniła przed przybyciem Derwida; a na jego wyrzekanie i skargi patrzy w milczeniu pełnem boleści, jak na poczynanie sobie człowieka przeżytego i zdzieciniałego, który nie wie co czyni... W innych miejscach daje też poeta wymownie do rozumienia, że i Róża Weneda ma serce, ale serce do czynów, do walk, do zemsty nareszcie, a nie do łez, które gaszą ogień serdeczny. Jęj słowa wyrzeczone do siostry:

„Nie czas żałować róż, gdy płoną lasy“
określają dostatecznie cały charakter téj roli.

Podczas kiedy starsza siostra działa w dramacie jak Eschyłowska więc Eumenida, która „jednym strasznym czynem zajęta, stąpa po sercach ludzkich i kruszy je pod swemi nogami“: przydzielił poeta naturze młodziej Lilli właściwości całém niebem tamtéj przeciwne. Zamknął w jęj piersi uczucia wdzięczne, miękkie, tkliwe, prawdziwie niewieście — uczucia właśnie w tym stopniu zmuszające do miłościwego współczucia, ile natura tamtéj tylko chłodny obudza podziw. Wizerunek ten dziewczyci cichéj i łzawéj wykończył Juliusz z całą miłością artysty. Wymarzył sobie tę prawdziwą Antygone słowiańską, nad nagrobkiem gdzieś w Szwajcaryi kiedyś widzianym, ze starożytnego Rzymu jeszcze epoki datującym, który mu teraz stał przed oczyma ducha, jakby był materyalnie obecny. W krótkich ale powiedziałbym magnetycznych wyrazach skarży się tam jakaś młoda męczennica

pogańska na nielitość przeznaczenia swojego. „Julia Alpiną tu leżę — nieszczęśliwego Ojca nieszczęśliwa córka — bogów awentyńskich kapłanka. Wyprosić ojca od śmierci nie mogłam. Nieszczęśliwie umrzeć w losach jego było. Żyłam lat XXIII“... Nowsza filologicznego sceptycyzmu krytyka dowiodła niedawno temu, że ten napis grobowy należy do apokryfów. Mniejsza o to! Napis może sobie być podrobiony: — pomysł jego jednakże nie przestanie dlatego być pomnikiem autentycznej, bo prawdziwej poezji. Z niewielu dat tej lapidarniej kroniki, jak widmo wyziera powieść strasznego jakiegoś zajścia. Żywsza wyobraźnia dosnuć tu sobie potrafi cały poemat poświęcenia i miłości, tragicznie kontrastującej z ciemnym tłem czasów, które pochłonęły tę białą postać dziewicy, zabitej w swojej wiosnie tak rychłej. I nasz poeta z tej wymownej, choć w słowa tak skąpej skargi, z tego jęku właściwie nie nad sobą, ale jedynie nad ojcem, wywołał pomysł swojej idealnej Słowianki. Żeby wydobyć na jaw cały urok tej melodyjnej duszy, przeciwstawił niewieścią jej potulność — spżowej grozie starszej córy Derwida. Róża jest kapłanką bogów rodzinnych, a Lilla — to już chrześcijanka — to pierwsza nawrócona w Słowiaństwie! Tamta — już z natury surowa, ponura, duchem wyłączna, w sobie samej zamknięta, zdolna myślą dźwignąć z posad całe arkanum państwa swojego ojca, a bez zmysłu dla cierpienia jednostek: a ta gibką swoją postacią, jak bluszczu zielonego gałązka, przeznaczenia swojego szuka jedynie około siebie; z uśmiechem na twarzy, ze łzą miłości w oczach zawisa białemi ramionami u szyi ojca, braci, siostry co jej w dzieciństwie zastępowała matkę, i tylko nato żyje, żeby dni drugich umilić, rozjaśnić, szczęściem umaić, dopóki można; żeby je okupić śmiercią swoją, gdy tego trzeba. O losy narodu, jako ogółu, nie pyta. Przyszłości — nie zna. Przeznaczeń — nie bada. Żyje w obecności — i to jej wystarcza; pragnie szczęścia — dla każdego z osobna. Świat się do niej uśmiecha — poznała miłość, jest zaręczoną: ale ta nadzieja szczęścia na ziemi nie więzi jej jednak do ziemi. Pragnie żyć, lęka się śmierci — a jednak bez wahania niesie życie swoje w ofierze, byleby ocalić tych których kocha, od zguby.

Rzecz jasna, że z pomiędzy wszystkich osób wprowadzonych w ramy dramatu, Lilla Weneda ma najwdzięczniejsze i najrzewnziej nastrojające zadanie. Jój rola głównie sobie współczucie widza ujmuje. To też jeżeli która z tych pojedynczych postaci, to ona właśnie mogłaby być nazwaną bohaterką tragedyi. Rzeczywiście jednakże herosem sztuki naszej jest cały lud Wenedów, o losy którego ostatecznie tu chodzi. W nim głównie poeta uobecnił i uwidomił tragiczność idei, która mu tu dała natchnienie. Nie ma zaiste rzewniejszego obrazu ani tragiczniejszego widoku, nad konanie szlachetnego narodu, jeżeli na konania tego przyczyny złożyły się rozliczne momenta z własnej jego winy wynikłe, nie będące jednak taką skazą na obliczu jego duchowém, żeby sumienie widzów, na ten straszny dramat patrzących, nie miało im mówić, że to kara nieboska, że to katastrofa dla ludzkości bezpożyteczna, że to tryumf nie idei, ale potęg tylko doczesnych, korzystających chytrze i zmyślnie z szczęśliwej dla nich okazji... Takiegoto konania tragicznym wizerunkiem mieli być w tej kreacyi Wenedzi. Czy nim są? o tém możnaby sądzić różnie. Mnie się zdaje, że obraz rzeczy tej nie jest w dziele naszym zupełny. Autor zaniedbał wykończyć go z tą plastyką artysty i z tą historyzoficzną mądrością myśliciela, jakiejby tu koniecznie była potrzeba. Odsłonił wszystko, co świadczy o upadku ducha i o rozkładzie siły żywotnej Wenedów. A zapomniał skreślić dodatnie, nawet i teraz jeszcze, strony ich charakteru. Przynajmniej nie wyrzeźbił ich z tą wymową skądinąd właściwą jego utworom, iżbyśmy czuć mogli nie tylko całą wagę i całą prawdę, ale i całą ironią skargi, włożonej w usta ostatniego z rodu Wenedów na końcu sztuki. Jest nim Polelum, stojący już na stosie, ażeby umrzeć na grobie swojej ojczyzny. Spieszą ku niemu dwaj spadkobiercy puścizny pozbawionej swego dziedzica, jak gdyby nieśli ocalenie dla plemienia, które właśnie skończyło. Lech woła: stójcie, bo ja przynoszę wam życie! Gwalbert głosi: stójcie, bo ja wam wiarę przynoszę. Wtedyto wypowiada Polelum te słowa, tłómaczące całą dążność tragedyi, i zarazem stawiające jakoby na piedestalu pomnikowej w dziejach wielkości pokolenie owo, w dramacie pokonane;

— „Boże, patrzaj z nieba
 Na tych dwóch ludzi przed stosem Weneda
 Konającego! Patrzaj na tych ludzi
 I pomyśl, jakim ty dajesz stworzeniom
 Chwilę tryumfu i uragowiska!...”

Widzimy więc, że cała ta sztuka odsłania uprawnienie Wenedów i w owój jeszcze porze do bytu, tylko zatem porównawczo, względnie, pośrednio, t.j. o tyle tylko, że w porównaniu z nimi Lechici duchowo i fizycznie, w indywidualiach swoich i w obyczajach, w rodzinie i po za jej obrębem, wyglądają jak karłowate jakieś i pełne ułomności postaci. Ale własne, dodatnie i wprost przemawiające do wyobraźni zalety społeczności Wenedów pozostały po za ramami obrazu, co w każdym razie doniosłość tej kreacyi jako tragedyi osłabia i bynajmniej nie przyczynia się do wydobycia na jaśnie istotnego w niej założenia.

Bądź jak bądź, zamiar taki autora, jako zamiar, dostatecznie jednak z dzieła wyziera i wątpliwości nie podlega, że główna rola spoczywa tu na tym właśnie czynniku. Ponieważ wszakże niepodobno było poecie z artystycznych przyczyn rozwinąć akcji dramatu na tém jedynie tle działań i cierpień zbiorowej osoby, jaką jest naród: musiał tedy osobę tę moralną pozostawić w idealnej głębi obrazu, a zapłacić przestrzeń jego konkretną działaniem pojedynczych osób, o ile takowe najpełniej i najwybitniej wyobrażają stan ducha swego narodu. Osobami takimi są głównie obie córki Derwida. Starsza działa w miarę charakteru, jaki jej przydzielono, przede wszystkim mając na oku cały ogół narodu. O losy jednostek, chociażby sercu najbliższych, nie pyta. Przygotowuje czyn ostatni Wenedów, przepowiadany z dawna w wróżbach jej objawionych w sposób że i tak i owak, jak wszystkie wróżby na świecie, może być wykładany. Ani się zbytecznie ku ufności skłaniając, boć zna usposobienie społeczeństwa swojego, ani też nie rozpaczając stanowczo o tém wszystkim, co przyjdzie: rozsyła harfarzy swoich na wszystkie pokolenia i zwołuje cały naród do walki. Jeśli ocalenie nie jest jeszcze z rzeczy przechodzących wszelki zakres możliwości, to ona siły do niego w Wene-

dach rozbudzi i zmusi ich do odniesienia zwycięstwa. Jeżeli zaś jest już rzeczą konieczną, żeby plemię to w własnej swojej dziedzinie przyjęło na się jarzmo obcego służebnictwa i zakończyło dzieje swoje sromotą: to niechże raczej ginie i skona, byle całe, byle na polu chwały, z orężem w rękę, biorąc do grobu z sobą świadectwo, że uczyniło w obronie swojej, co mogło. Wtedy odwet za to zabicie narodu będzie poruczony przyszłości, choćby najdalszej. Pomsta przyjdzie, choćby ją spłodzić miały zmarłych popioły... Taka jest rola i taki kierunek działania Róży Wenedy.

Tragiczność roli tej w tém jest widna, że chodzi o przeprowadzenie czynu, do którego braknie żywiółów w społeczeństwie. Jestto walka z fatalizmem, przebój żywotności w jednostce z ociężałością i bezduchem ogółu. Na takich sztandarach imię idei nieśmiertelnéj jest wypisane. To ich prawo. Ale nie ma komu nieść tych sztandarów. To ich niemoc.

W zupełnie innym kierunku idzie działanie drugiej córki Derwida. Lilla wyobraża żywotność idei słowiańskiej w rodzinie. Jój ideałem — szczęście osób najbliższych sercu. Gdyby można było żyć dla ideału tego, nie pytając o to, co się tam dalej dzieje w narodzie: nie wchodziłaby pewnie i nasza bohaterka w żadne zawikłania z zewnętrznym nieprzyjacielem. Ale związek między rodziną a społeczeństwem jest nadto ścisły! Po wszystkie wieki iści się owo proste a tak głębokie słowo Wajdeloty, powiedziane o Walterze u Mickiewicza: „Szczęścia w domu nie znalazł, bo go nie było w ojczyźnie“... To też i w obecnej tragedyi miłość rodzinna prowadzi doraźnie do podjęcia boju na zewnątrz. Jest to bój dziewicy, bój prowadzony o wybawienie tylko trojga pojedynczych osób z niewoli, bój nie na oręż, ale raczej na rozum i na przebiegłe serce, ale zawsze bój straszny: i kończy się równie tragicznie, jak cała walka Wenedów.

Lilla podejmuje na się zadanie, wyprosić z jeństwa ojca i braci, których wzięto w niewolę już w pierwszój z Lechitami potyczce.

„Ja braci moich, ojca mego zbawię.”

O pobłogosław ty mi słostró moja —

I wy mi starzy ludzie błogosławcie!
 Ale nie proście Boga o nic dla mnie,
 Tylko o rozum i przebiegłe serce,
 Abym zbawiła tych, co są w kajdanach!
 O bądźcie zdrowi! nie troszczcie się o mnie —
 Za mną jest każdy kwiat i każdy gołąb,
 Co biały jak ja, swą mię siostrą mniema.
 I ten jest za mną, co nad gołębiami
 W nieba błękiecie jeszcze wyżej lata:
 A gdy mię nazbyt przycisnie nieszczęście,
 Gotów odebrać gołębiowi skrzydła
 I mnie dać skrzydła, bym od ludzi poszła.
 Jeśli nie zbawię ojca, umrę młodą —
 A wtenczas płaczcie wy biednej dziewczyny!“

W tych kilku wierszach zawiera się cały przebieg tej roli. Jest to rzeczywiście walka słabej gołąbki z sępami, które tylko uznają racją szponów swoich drapieżnych. Smutna, choć wzniosła walka miłości i poświęcenia — z egoizmem i nienawiścią... Pomysł tej właśnie części dramatu należy niezawodnie do najcelniejszych jego piękności. Tém bardziej też żałować tego należy, że wcielenie pomysłu tego w szczegóły, że przeprowadzenie rzeczy w pojedynczych ustępach, dalekiem jest od tego, żeby miało zaspakajać pod każdym względem.

Lilla przybywa do Gwinony z zamiarem ujęcia jęj sobie pokorą. Przy pomocy Matki Bożęj, której za radą Gwalberta ślubuje czystość dziewiczą, spodziewa się Lilla Weneda, że potrafi skłonić nieprzyjaciół do prośby, z jaką przychodzi. Przybywa na nieszczęście za późno. Ukazują jęj ojca — już z wylupionemi oczyma! To ją wprawia w oburzenie najwyższe. Ufna w opiekę Bogarodzicy, która (jak jęj to św. Gwalbert zapewnił) za ślub uczyniony czystości stoi po jęj stronie, daje nieogłędnie wyraz uczuciu, jakie w nięj wre, i zapowiada żonie Lechowęj, że ta cała wściekłość przeciwko bezbronnemu jęj ojcu okaże się bezsilną, gdyż potrafi ona go wydrzeć z ręki oprawców, choćby i trzy razy wymyśliła Gwinona dla niego śmierć najokropniejszą... Gwinona złośliwie bierze dziewczynę za słowo. Przrzeka puścić Derwida na wolność, jeżeli Lilla rzeczywiście tego dokaże, co tak chępliwie wyrzekła, i potrafi na przekorę wszystkiemu co nastąpi, wybawić trzy razy ojca od śmierci. Z tego wywiezuje się dla Le-

chitki pochop do wymyślania po trzy kroć najwyrafinowańszych okrucieństw na zagładę oślepionego więźnia, a dla Lilli konieczność trzykrotnego udaremnienia tych asilowań. Otóż więc w szczególóm przeprowadzeniu tegoż założenia, zapelniającóm w każdym razie większą połowę sztuki, upatrywać można jakby sprawdzenie własnych słów autora w przedmowie mimochodem rzucanych o sobie samym, że ile tylko razy przyjdzie mu zetknąć się z rzeczywistemi rzeczami, to opadają mu skrzydła. Wcielenie genialnego pomysłu, środkami artystycznej techniki, w materią zdarzeń i zawikłań pomiędzy ludźmi — to należy w zawodzie poety niewątpliwie do rzeczywistych rzeczy. To też w ustępach, w których się powyższego pomysłu szczegółowe przeprowadzenie zawiera, okazuje zdaniem mojem dramat niżej najsłabsze swoje strony.

Pierwsze wskazanie na śmierć Derwida już samo przez się jest zgoła nieodpowiednie warunkom środków scenicznych. Zawieszają starca na drzewie, za siwe jego włosy, nie zbyt wysoko po nad poziom, lecz tak iż stopami ziemi nie tyka. W téj postawie ma pozostać tak długo, dopóki albo nie umrze, albo przez córkę — bezbronną i bezsilną — nie zostanie wybawiony od śmierci... Autor sam czuł niepraktyczność artystyczną tego pomysłu, i przeto usunął widok ten, nawet samym oczom niemiły, po za kulisy, a na scenie daje widzieć tylko cień wiszącego Derwida. Niewiele to jednak rzeczy pomaga! Nie dość na tém. Przychodzi do ocalenia starca z téj napowietrznej pozycyi w taki sposób, że jeden z synów jego zmuszony zostaje, wielce problematycznym, bo o sto kroków wymierzonym rzutem ostrego topora, przeciąć tę krótką smugę włosów w odstępie właśnie między głową a gałęzią, na której Derwid wisi. Myśl tę poddaje sama Lilla Weneda. Rzut się wprawdzie udaje, ale jakaż to scena okropna!.. Otóż właśnie okoliczność, że rozpaczliwa ta próba była przez Lillę samą poddana, odbiera rzeczy znaczenie, jakieby miała, gdyby to był wymysł pochodzący ze strony udęcycieli. A remiscencye, zawsze w razach podobnych niekorzystne, które się tu każdemu czytającemu mimowolnie nasuwają, remiscencye mówię

z historii Tella, i skądinąd zbyt znaną i spożytkowaną już nawet i w zakresie poezji — psują do reszty wartość całego tego ustępu.

Drugi zamach na życie Derwida, udaremniony przez jego córkę (osnowa aktu III), wikle się w jeszcze gorszych niewłaściwościach. Na rozkaz Gwinony zostaje starzec wrzucony na spód jakiejś zapadłej wieży, wypełnionej jadowitymi węzami. Ma tam przez nie zostać pożarty. Lilla dowiedziawszy się o tém, porywa za harfę cudowną ojca swego i biegnie do owój wieży. Równocześnie przysłała też i Matka Boska Gwalberta świętego na ratunek ojca i córki.

„Idź, bo stary Derwid kona!

Córka jego, mój gołąbek,

Z bólu umiera!..“

Te słowa usłyszał Gwalbert od objawiającej mu się Bogarodzicy i pospiesza więc Derwidowi na pomoc. Po drodze wyprawia prawdziwie pocieszne a niepotrzebne zupełnie sceny, które go tylko kompromitują. Nie dziw też, że przybywa po czasie. Pomimo tego Derwid jednakże zostaje ocalony! Lilla grając na harfie, wywabiła węze z głębi wieży na wierzch do siebie, tak iż stanęły w krąg koło niej wyprostowane, „jak morska fala wzdęte nad dziewczyną.“ A ojciec jój na spodzie wieży, nietknięty, mógł sobie zasnąć spokojnie.

Otóż nie wiedzieć, jak sobie cały ten ustęp tłómaczyć. Jeżeli wybawienie Derwida było dziełem harfy cudownej: to na cóż to całe, tak wiele słów kosztujące, a tak niezdarne współdziałanie w tém przedsięwzięciu i Gwalberta świętego? Jeżeli zaś łaską Bogarodzicy rzecz dokonana: to jakież wtedy znaczenie harfy? i czemużto w takim razie nie przychodzi do rzeczywistego uwolnienia starego króla Wenedów? Wrzucają go bowiem zaraz potem do innój wieży, i to wraz ze świętym Gwalbertem (!) gdzie obaj głodem zamorzeni być mają... Bądź jak bądź, czy przyjmujemy jedno, czy drugie: zawsze to wyratowanie Derwida okazuje się być aktem cudu jakiegoś. A dramat cudów, zwłaszcza takich, nie znosi. Ustępowi temu braknie tedy na wszelkich wa-

runkach prawdopodobieństwa. Jestto jakby obrazek ładnie ukoloryzowany, ale bez żadnej poprawności rysunku. —

Podobnie nie wytrzymuje krytyki i trzecie wybawienie od śmierci (w akcie czwartym). Gwinona powzięła zamiar zamorzyć tedy więźnia swojego głodem. Dwa dni już upłynęły, i nie wziął Derwid żadnego do ust pokarmu. Przychodzi przed Gwinonę Lilla, z wieńcem białych wodnych lilii na głowie, cała w łzach się rozplywając, pokorna — i otrzymuje pozwolenie widzenia się z ojcem przed tą śmiercią, teraz już nieuchronną. Idzie do więzienia i — nakarmia Derwida owemi liliami, w które była ubrana. Lilie te bowiem można spożywać i służą one za pokarm ludowi tej okolicy, na czém się nie spostrzegła Gwinona. Owoż wygrany więc i ten trzeci zakład z Lechitką! Podstęp przyodziany w pokorę zwyciężył nad okrucieństwem. — Przeprowadzenie tego ustępu w dramacie należy do najpiękniejszych części... jeżeliby chodziło o przecudne wiersze i o niezrównane w rzewności swojej wyrazy (np. cała początkowa scena aktu IV). Jeżeli jednak chodzi i o coś więcej jak o wyrazy i wiersze: to powiedzieć trzeba, że to pozór, że to złuda wybawienia od śmierci, ale nie wybawienie istotne. Lilla tu tylko spletała figła, sztuczkę, ale nic więcej. Człowieka wskazanego na zamorzenie głodem, nakarmić raz: to jeszcze nie jest zabezpieczenie go od śmierci z braku pokarmu! Gdyby Gwinona potrzywać chciała trochę dłużej Derwida w owiej ciemnicy podziemnej: coby jemu pomogły owe lilie, na raz jeden zjedzone?

Do tego tym razem jednakże na szczęście nie przychodzi. Zaszło zdarzenie tymczasem, które okrutną Gwinonę nastraja trochę łagodniej dla tych jój ofiar. Syn jój Lechon został przez Wenedów schwytany i jest trzymany w niewoli. Ażeby go wybawić od śmierci, która mu tam zagraża, i wydobyć na wolność: Gwinona przyznaje Lilli i to więc trzecie zwycięstwo jako szczęśliwie dokonane, w skutek czego Derwid będzie tedy wypuszczony z jój mocy. Ale ażeby się zapewnić co do powrotu swego syna, stawia Gwinona teraz nowy warunek: albo Lilla, albo harfa

Derwida pozostanie jeszcze w jęj rękach — dopóki Lechon żywy i cały nie powróci do domu... Wielkiej piękności jest ustęp ten dramatu, gdzie się Derwid waha, kogo zostawić Gwinonie, córkę czy harfę? Od téj harfy zawisło ocalenie jego królestwa! Nie wybrać jęj, nie przenieść jęj nad córkę: to to samo, co zgodzić się na zagładę narodu. A przenieść? cóż się stanie w takim razie z najmilszym jego dziecięciem? Znane mu przecież okrutne téj Skandynawki instynkta! Prześliczne jest miejsce, gdzie się i w sercu Lilli odbywa walka — między życzeniem, ażeby ojciec wybrał harfę, a obawą, że usłyszy, iż jest więc przecież coś na ziemi, co mu droższe nad Lillę! —

Na żądanie Lilli samęj, rzecz się kończy na tém, że onato pozostanie w ręku Gwinony! — Odprowadzi tylko ojca do domu, a potem dobrowolnie odda się sama w jęj ręce — za harfę. Jeżeli wróci z Lechonem: to i harfa i córka zostanie zwrócona Derwidowi. Jeżeli wróci bez Lechona: natenczas — Natenczas harfa wróci wprowadzie do rąk króla Wenedów. Ale córka jego podlegnie losowi, jaki jęj zemsta matki zabitego syna naznaczy. Ten układ Gwinona i mąż téjże przyjmują. Derwid wraca do swoich. Wypuszczają na wolność i św. Gwalberta, który (nie wiedzieć właściwie na co) razem z Derwidem był trzymany w więzieniu.

Gdzie się wielkie sprawy ważą między dwiema ostatecznościami, z których żadna w danym razie nie jest przez się niepodobieństwem, tam nieraz drobnostka najmniejszój wagi szalę przechyla. Zwyczajnie daje ona przewagę stronie, która i bez tego większe miała nadzieje. Bo komu się już nie wiedzie, na tego się i przypadek nawet sprzysięga. Taką to drobną małością między czynnikami naszej tragedyi jest osobistość Ślaza. Chciał w nim poeta, jak w przedmowie nadmienia, wyobrazić „mniejsze mrówki ludzkości, pełne kłamstwa, wybiegów, tchórzostwa“. Przyczepił rolę jego do głównej akcji w sposób nadzwyczaj luźny. Ślaz pełni w ciągu sztuki różne niedorzeczności, ani szkodliwe, ani też nie pomocne niczyjój sprawie. Jaki cel tego? trudno odgadnąć. Chodziło chyba o to, ażeby były ustępy pocieszne i humorem

owiane między okropnościami — jedno zapewne z następstw studyów Słowackiego nad dramaturgią hiszpańską. Nie powiem, żeby cała ta rola Ślaza była jedną ze stron szczęśliwych Lilli Wenedy. Owoż zaczyna się działanie téj figury do toku właściwego działania — w istotny sposób — w jedynéj tylko scenie. Na nieszczęście przypada to na tę chwilę właśnie stanowczą! Przed powrotem jeszcze Derwida z niewoli, przychodzi w obozie Wenedów do rozstrzygnięcia o losie Lechona. Na widok podléj bojaźni tego młodego Lechity, wzgardliwie i wspaniałomyślnie zarazem postanawia Róża Weneda... darować mu życie i wypuścić na wolność! Wtém przyprowadzają na scenę Ślaza, który właśnie został pojmany jako szpieg lechicki, za jakiego go uważają. Szpiegiem on wprawdzie nie jest; ale jakże tu tego dowieść Wenedom, że on nie sprzyja Lechitom i że tu nie przyszedł na to, żeby szpiegować? Ażeby się wydobyć z trudnego położenia, zaczyna Ślaz rozpowiadać kłamliwe wieści. Opisuje zmyślone przez siebie zamordowanie Derwida i Lilli, jako okropności, na które patrzeć. To doniesienie zmienia pierwotne postanowienie co do losu Lechona. Okrucieństwo Lechitów żąda odwetu: więc Lechon ginie! Zaledwie się to stało: przybywają na scenę Derwid i Lilla. — po Lechona, żeby w zamian za niego wydobyć z rąk Gwinony ową harfę, przy której graniu zapowiedziały wróżby ostatnie zwycięstwo Wenedów...

Tak więc samym przypadkiem ostatnie nadzieje Lilli w niewec obrócone zostały. Co zrobiła dotąd, jest niczém! Widzi się zmuszoną wrócić w moc rozjuszonej Gwinony — po harfę, i żeby dotrzymać danego słowa.

Następuje, co musiało w danych okolicznościach nastąpić. Następuje i więcej jeszcze. Gdzie bój między plemionami o śmierć lub życie, tam wszelkie układy z wrogiem tragicznie się kończyć zwykły dla téj strony, która w nie wierzy. Takato wiara jest w roli Lilli Wenedy, od początku aż do samego końca, jój winą, jój obłudą — choć obłudą szlachetnym i wzniosłą winą. To też zostaje za nią ukarana okropnie. Zostaje ukarana nie tylko śmiercią, ale i wiarołomstwem. Gwinona odsyła Derwidowi w cedrowéj skrzyni od harfy — za córkę jego, którą w napadzie

mściwości bezlitośnie zamordowała — nie harfę, ale... ciało zamordowanej!...

Wśród najzaciętszego boju, do którego tymczasem w skutek starań Róży Wenedy przyszło i który się między Wenedami a Lechem odbywa, jak było przepowiedziano, w nocy, przy bijących piorunach... w chwili gdzie szale zwycięstwa wprawdzie chwieją się jeszcze na obie strony, lecz już zaczynają się chylić coraz widoczniej na korzyść Lechitów — w chwili spotęgowanych zatem pragnień Wenedów, żeby usłyszeć cudowne przepowiedziane głosy z złotej harfy królewskiej: przychodzi do owęj kolosalnej sceny, w której Derwidowi zamiast harfy — ciało jego Lilli podają. Nic okropniejszego, nic poetycznie prawdziwszego nad owę scenę! Jestto rzeczywiście pieśń, zdolna i kamienie do zemsty i do życia poruszyć, którą tu gra rozpacz konającego ojca, kładącego ręce swoje na martwem ciele, na złotych włoskach, na zgasłych różach ust tak niewinnie zamordowanego swego dziecięcia! Taką pieśń przepowiedziały więc wróżby, jako ostatnie tony, które wydobędzie z cedrowej skrzyni ręka starca ociemniałego. Jeżeli czém, to też właśnie tą pieśnią mogliby najdzielniej wkrześcić ducha swego Wenedzi do zwycięstwa, gdyby... były jeszcze w ich sercu jakie iskry życia i ducha.

Ale życie duchowe plemienia tego należy już do przeszłości, która niepowrotnie minęła. To też widok ów, zamiast zgalwianizować nawet trupi organizm, zabija w Wenedach otuchę do reszty. Ustami zaprzysięgają zemstę, ale schylają karki swoje pod miecze, „które ich rąbią, jak trzodę“. Widzenie Róży Wenedy, oglądane dniem wprzód, iści się całkowicie. Cała ludność wytopiona. Jutrzejsze słońca wznijdzie już nad mogiłą narodu. Młody wódz, ostatni z plemienia, staje na stosie i znajduje dobrowolnie koniec w płomieniach. Pozostaje przy życiu tylko Róża, wróżka — jakby uosobienie światodziejowej Nemezy, cierpliwie a jednak tęsknie wyczekującej odwetu od czasów, co przyjdą kiedyś.

„Kto konając we mnie uwierzy,

Skona spokojny.

Ja go zemszczę lepiej od ognia i wojny,

Lepiej niż sto tysięcy wroga,
Lepiej od Boga!

Jak tę zapowiedź przyszłości zamierzał autor rozwieść i uicić w dalszych dramatach? to bezpośrednio nie jest wiadomém. Pośrednią jednakże odpowiedź na to daje Król - Duch.

— Zdaje mi się, że w powyższém dotknąłem już wszystkich prawie szczegółów, mających istotne znaczenie w składzie tego dramatu. Na zakończenie niech mi będzie wolno dołączyć tu tylko jeszcze jedną ogólną uwagę. Niewątpliwie należy Lilla Weneda do tych utworów Słowackiego, których założenie, idea, dążność, słowem cała idealna czyli wewnętrzna strona kreacji sprawia w myślącym czytelniku imponujące wrażenie i wytrzymuje porównanie z każdym dziełem pierwszego rzędu. Jeżeli pomimo tego nie śmiałby z nas żaden pewnie zaliczać tragedyi téj do skończonych arcydzieł: to przyczyna tego w stanowisku poety i w całym sposobie jego poetyckiej praktyki. I w Lilli Wenedzie widzimy się aż zbyt często w tém położeniu, że godząc się na pomysł, nie przystajemy na jego wcielenie; że przyklaskując intencji (którą właściwie tylko odgadujemy), utyskujemy albo nad niedość plastyczném téjże intencji przeprowadzeniem, albo nad jednostronném i zbyt jakoś wyłączném wypowiedzeniem takowój. Juliusz pomysł swój pojmował tylko uczuciem, imaginacją. Jego logika — nie byłato rozumowa, reflexyjna, więc prawdziwa logika. Stądto u niego zawsze między ideałem a cielesném wyrażeniem tegoż ideału — przestrzeń ogromna. Pozostaje we wszystkiém coś niedomówionego. Domysłowi czytelnika otwarte wszędzie pole szerokie, granice tego pola niedojrzane okiem cielesném. Stądto w płodach jego zawsze jakaś irracjonalność, dla której trudno je przekładać że tak powiem z języka poezyi na język rozumu, na język zwyczajnej w ścisłym sensie logiki.

Stanowisko, które tu określamy, jestto skutek doprowadzonej do ostatnich swoich kresów zasady romantyzmu, którego typem najwybitniejszym był w poezyi naszój właśnie Słowacki.

Tak np. żadną miarą nazwać nie można dość plastycznie przeprowadzonym pomysłu owych harf w rękach Wenedów,

które im daje poeta jako ich tradycyjną, plemienną własność, na zasadzie wzmianek o tém w bizantyńskich kronikach. Wnikamy w jego intencją — pojmujemy z niej wiele: ale nie dociekamy wszystkiego, gdyż się rzecz w niektórych scenach gubi w głębinach symboliki — zamkniętej siedmioma pieczęciami! Poeta ma tu na oku raz stósunki ówczesne, to znowu dzisiejsze stósunki nasze. Przywiązuje do harf to znaczenie poezji jako najwyższej potęgi w narodzie: to znowu myśl, że to broń mdła i bezsilna przeciw ostrzu i przeciw wadze żelaza! I tu jest prawda, i tam jest prawda: — ale jakże te dwie prawdy związać ze sobą? Związaćby je można, ale tego nie uczynił poeta.

Przykład jednostronnego i wyłącznego, a zatem ostatecznie fałszywego wcielenia myśli w sobie może prawdziwej mamy w całej roli owego typu chrześcijańskiej idei, jaką w tej sztuce jest Gwalbert święty. Rola to dziwnie niejasna! W przedmowie czytamy: — „Oto jest stary i święty człowiek, który przyszedł łązaw Chrystusa oliwy zaszczerpiac na płonkach sosnowych... Lecz o biada! o losy! — Słowo świętego starca miecz Rolandowy wyprzedził, i jeszcze jeden lud kona z wiarą okropną rozpacz w przyszłość i zemstę.“ — Gdyby to założenie przeprowadzone było przez dramat w taki sposób, iżby każdy krok działania Gwalbertowego takie właśnie w widzach wywoływał wyobrażenia: byłaby to jedna więcej z niepospolitych zalet niniejszego utworu. Ale czy istotnie jest tak oddana Gwalberta rola w Lilli Wenedzie? Zdaje się raczej, jakby tu było autorowi chodziło o odsłonięcie wszędzie niemocy religii w obec prądu rzeczy dziejowych. Toczą się one swoim torem. Krew się leje — zbrodnie i okrucieństwa mnożą się bez końca — niewinne ofiary padają pod brzemieniem swych cierpień. A interwencja religijnej idei przybywa zawsze tak nie w porę, tak bezsilnie, tak na drobiazgi tylko wpływając, a nie dotykając rzeczy ważniejszych — że to na śmiesznosc zakrawa! Rzeczywiście też święty Gwalbert — mimo jasnej aureoli, która jakby był z obrazka zdjęty otacza jego głowę promieniami — odgrywa w dziele tém rolę głównej figury komicznej. (Ślazowi bowiem ani tego zaszczytu przyznać nie można). Jakież to suche i nieserdeczne u niego pojmo-

wanie cierpień ziemskich ze stanowiska wiary! Jakaż obojętność na mord publiczny narodu, byle tylko religia nie wyszła przy tym bez jakiego takiego zysku!.. Czy zaś ta poziomność osobistości Gwalberta spada tylko na niego, czy na samą ideję, którą on wyobraża? — z tego się autor bynajmniej nie spowiada. Chcielibyśmy chętnie wierzyć, że tu chodziło tylko o skreślenie nieudolności osoby! Czy temu jednak możemy wierzyć, patrząc jak rzecz jest w dziele przeprowadzona?...

ROZDZIAŁ SZESNASTY.

Druga połowa r. 1842 i następne lata aż do 1848. — Wystąpienie Towiańskiego w Paryżu — ogólny sąd o duchu jego doktryny. Mickiewicz uznaje w Towiańskim posłannika bożego. Zawiązanie się koła jego zwolenników. — Stósunek pierwotny Słowackiego do Towiańszczyzny — zdanie o niej autora *Przedświtu*. — W r. 1842 Słowacki przystępuje do koła — jego korespondencya z matką i z Krasieńskim. Zerwanie się między nimi przyjacielskich stósunków — Stanowisko Słowackiego późniejsze między Towiańszczykami — scysye i utworzenie sobie osobnego kółka.

Nim przystąpię do osoby naszego poety i stósunków jego w ciągu roku 1842: zmuszony jestem w tym rozdziale dotknąć nasamprzód pewnej ubocznej okoliczności, która w czasach owych ważną odgrywała rolę pomiędzy wychodźstwem polskim, o ile takowe gromadziło się w Paryżu. Sprawa ta zrazu poety naszego nie dotyczyła wcale; miała jednak niebawem zwrócić i jego umysł ku sobie, a następnie zadecydować głównie o kierunku dalszego jego życia i działania aż do samego końca.

Mówię o rzeczy niemiłej, bolesnej, upokarzającej — o Towiańszczyźnie.

W siedm miesięcy po objęciu katedry słowiańskiej przez Mickiewicza, w miesiącu lipcu 1841 r., stawił się przed nim człowiek aż dotąd nikomu prawie w Emigracyi nieznany i oświadczył mu, że przybywa z polecenia bożego z kraju i ma do niego posłannictwo. Oznajmił mu, że się poczyna nowa era ludzkości; że nadeszły czasy nowój Ewangelii, dni zmiłowania i litości bożej — przedewszystkiém nad nami, a pośrednio przez nas i nad resztą narodów...

Mickiewicz Towiańskiemu uwierzył... uznał w nim proroka,

jeśli nie zbawiciela. Od téj chwili można było uważać doktrynę i sektę Towianizmu za zawiązaną.

Nie mam zamiaru opowiadać tu w wyczerpujący sposób o wszystkich zdarzeniach, tworzących że tak powiem zewnętrzne dzieje tego smutnego w życiu wychodźców naszych ustępu. Moją rzeczą jest tu tylko rzucić kilka ogólnych spostrzeżeń o znaczeniu i o naturze Towianizmu, o ile się takowy odbił na obliczu ówczesnej naszej literatury emigracyjnej. Nie mam wprawdzie bynajmniej uroszczenia do nieomyślności w sądach moich o Towiańskim i jego apostołskich robotach. Wiem, że jeżeli w czém, to w téj rzeczy bardzo mylić się mogę. Patrzą bowiem na tę sprawę z oddalenia i co do miejsca i czasu; patrzą na nią może i przez szkła sztuczne, które przeistaczają rzeczywistą barwę przedmiotu. Rozumiem przez to te wszystkie różnych osób broszury, z których na ich wiarę czerpię o tém wiadomość. Lecz z drugiej strony mam też tę znowu korzyść po sobie, że nie tylko znam materyały przeciw Towiańszczyźnie, ale i niektóre za nią świadczące, a przynajmniej z niéj saméj wyszłe. Takimi są właśnie pisma J. Słowackiego, pochodzące z téj doby jego życia, pisma nader rozmaitej treści i formy, nieogłoszone nawet w pośmiertném wydaniu, a już z powodu saméj swojej objętości żadną miarą nieobojętne. Mogę tedy porównyując jedne źródła z drugimi, starać się jeżeli nie o co więcej, to o równowagę, o sprawiedliwość pośrednią. I zdaje mi się, że jestem co do tego punktu w każdym razie dalekim od uprzedzeń stronniczych.

Powiedzmy coś przedewszystkiém o osobie samegoż sekty założyciela. Jedni, t. j. zwolennicy jego, uważają go za posłańca bożego, za męża nie tylko działającego w najlepszej wierze, ale i będącego w rzeczywistém posiadaniu objawień udzielonych jemu w nadprzyrodzony sposób od Boga. Drudzy znowu go okrzyknęli za oszusta albo w najlepszym razie za marzyciela na umyśle obłąkanego. — Po którejże tedy stronie jest prawda?

Mnie się zdaje, że właściwie po żadnej. Obłąkanego w zwykajny sposób umysłu nie jest bynajmniej Towiański! Przeciwnie — mądry, przebiegły, wyrachowany to człowiek! Z drugiej strony nie wątpię też i o tém, że co czyni, czyni z przekonania.

nia. To go jednak żadną miarą nie oczyszcza od ciężkich przewinień, jakich się — dodaje śmiało: z świadomością względem narodu swego dopuścił.

Bywają czasem pomiędzy ludźmi natury, w których szczerą wiarą i najobłudniejszy podstęp dziwnie się łączą z sobą ku wzajemnej pomocy. Wyraz łaciński: *pia fraus* wybornie tę szczególną dwustronność serca ludzkiego wyraża. Człowiek taki chce dobrego i rzeczywiście wierzy najmocniej w to wszystko, co rozciska. Ale ażeby jeszcze bardziej poprzeć sprawę, na korzyść której wystąpił, ucieka się do sztuczek i zmyślonymi, świadomie urojonymi szczegółami rzecz uzasadnia. Zdaje mu się, że działać tak... nie jest rzeczą niepocziwą: bo wszakże to (wedle jego mniemania) chodzi o prawdy takie, które muszą odnieść zwycięstwo, które się pod każdym warunkiem powinny stać artykułem wiary powszechniej.

Wyznaję wprawdzie, że co do mojej osoby, nawet możności wewnętrznej tego rodzaju wiary ja nie pojmuję. Bo gdzie wiara prawdziwa, tam też — zdaje mi się, byłby powinna i nieograniczona ufność w siłę i tryumf tej prawdy, którą się głosi. Na cóż jej jeszcze pomoce sztuczne, na podstępnych sposobikach oparte? Prawda boża: kłamstw ludzkich na sprzymierzenia nie potrzebuje, ażeby się stać czynem i ciałem. Z tém wszystkiém tak doświadczenie jak dzieje niezaprzeczenie tego jednak dowodzą, że w każdej religii i w wieku każdym zdarzały i zdarzają się takowe nadzwyczajne zjawiska w świecie psychicznym. Mahomet np. był jednym z takich fanatyków kalkulujących. Można by i dzisiaj niejednego między nami doszukać się takiego, gdyby się tylko dobrze obejrzeć. Owoż i Towiański zdaniem mojem jest z tego rodzaju ludzi.

Głównym punktem wyjścia w genezie duchowego jego rozwoju było usposobienie jakieś mistyczne, połączone z wielką pochopnością do marzycielstwa. Młodym jeszcze będąc, jak powiadają, bliskim był zupełnej utraty wzroku. Odgródzony przez czas kalectwa od wrażeń i zetknięć z zewnętrznym światem, zamknięty w wnętrzu własnego tylko jestestwa, a przytém przyciśnięty świadomością, że jest ciężkiém zagrożony nieszczęściem, znalazł

on w tym wyjątkowym stanie aż nadto sposobności do rozwinięcia w sobie tych skłonności do jakiejś extatycznej zadumy, które snąć już mu były wrodzone. Później wyzdrowiał. Ale excentryczność i wiara w przeróżne przywidzenia chorobliwej wyobraźni, które on nazywał wizjami i seryo za takowe uważał, już się u niego przemieniła w drugą naturę. I powiększała się z laty do tego stopnia, że go w kraju, na Litwie, wielu podobno uważało za człowieka o pomieszanych zmysłach. Nawet podobno z tego powodu miał on czas jakiś przebyć w szpitalu jakimś. Obląkanie jego nie szkodziło wszakże nikomu, to go też niebawem wypuszczono na wolność i nie ograniczano jój w niczém. Zresztą potoczne życie szczególnego tego człowieka niczém się nie różniło od innych. Urzędował sobie, jak drudzy; był regentem przy jakimś sądzie powiatowym na Litwie, później gospodarzył na wsi, we własnej majątności; ożenił się, miał dzieci kilkoro, słowem — był to co do swego zachowania się zewnętrznego, co się zowie „porządny, praktyczny człowiek i obywatel“. Od udziału w wypadkach r. 1831 trzymał się z dala i nie miał zwyczaju mieszanina się do żadnej polityki. Jak się wyrażał, miał on ostrzeżenie z góry, od Matki Boskiej, że się te roboty niedobrze skończą. To też nie tylko sam nie należał do niczego, ale i innych starał się powstrzymywać. A jako nie przesadzał więc w zapędach partyotycznych, tak też wolnym był od zbytecznej żarliwości i w rzeczach religijnych. W téj mierze obojętność jego dochodziła nawet do tego stopnia, że przez cały ciąg lat 20 przed przybyciem swém do Paryża, zupełnie podobno zaniedbywał spowiedzi.

Pomimo tego wszystkiego, człowiek ten przez całe życie miał jednak ciągle do czynienia z cudami i widzeniami, a odbierał objawienia, które, jak rozumiał, przychodziły mu z nieba. Myśl cała jego zajęta była religią; ale nie w taki sposób, ażeby ją wykonywać, lecz ażeby jój dopełnić i poprawić. W tym przedmiocie — w kraju jeszcze będąc, pracował on i rozmyślał bezprzestannie. Czytać musiał bardzo wiele, najrozmaitszych książek, a mianowicie mistycznych. K. Semeneńko widzi w doktrynie jego wyraźne ślady studyów nad magią i nawet nad kabałą żydowską. Wiele także się podobno zajmował i magnetyzmem. Godzi się

wnosić, że przyswoił on sobie znajomość i wypadków główniejszych w zakresie niektórych istotnych umiejętności w ich nowoczesnym rozwoju; choć z drugiej strony widać i to jak na dłoni, że nie jego to pole! Rozumowa i naukowa strona w rozwinięciu Towiańskiego musiała w ogóle być nad wszelkie wyobrażenie zaniedbaną. Podstawy i zdolności naukowej u niego nie ma. Pojąć coś jasno, wyrazić z precyzją, w trafnych i naturalnych wyrazach — to nie jego rzecz! Słyszał więc o niejednym, co badania umiejętne w ostatnich czasach wykryły, otarł się o jakieś wypadki nauk; ale śnać przyszedł do nich dorywczo i pojął je bałamutnie. Ani zatem nie rozumie dróg, któremi się w sposób należyty do twierdzeń takich przychodzi, ani też jasno istoty ich nie przenika. Wie jednak, że dzwonili, chociaż nie wie, w którym kościele...

Pod wpływem takich tedy okoliczności usnuł sobie Towiański na Litwie jeszcze rodzaj nowej religii. Nie podejmuję się, jak to wyżej już powiedziałem, odtworzyć wizerunku tego nowego systemu dogmatów. Powiem tylko, że charakterystycznem doktryny Towiańskiego znamieniem zdaje się być w ogóle dążność stworzenia czegoś, coby stało niejako w pośrodku między tą nauką, jaką daje kościół, a stanowiskiem nowoczesnych rezultatów, a raczej kierunków umiejętności, które pod niejednym względem odstepują od rzeczy w kościele za pewniki uznanych. Chodziło mu tedy o zapelnienie tego że tak powiem rozstępu pomiędzy wiarą a wiedzą dzisiejszą, do jakiego pod tym i owym względem w postępie wieków przyszło. Zamierzył zaś tego dokonać łątaniem, eklektycznym sposobem. Co mu się podobało z wypadków wiedzy, to brał za pewnik i podnosił do wysokości dogmatu. Resztę zaś nauki odrzucał z pogardą „jako mądrość świata tego,“ jako wymysły „ziemi“ i dumy ludzkiej. W takiż sam sposób przebierał i pomiędzy artykułami objawienia chrześcijańskiego. Jedne z nich przyjmował, jak są; drugie wykladał po swojemu i tylko je pod tym zatrzymywał warunkiem; a trzecie — milcząc mądrze i skromnie — usuwał na bok, jakby ich wcale nie było. W taki więc sposób powstało coś, co niby godziło z sobą te dwa odrębne światy pojęć i wyobrażeń duchowych, co miało zastąpić i wia-

rę i wiedzę, i religią i mądrość świecką; co miało zbliżyć do siebie tak prostaczki jak mistrze świata tego i stawić ich wszystkich jako zastęp kierowany jednym poczuciem, jedną ideą, jednym popędem — zastęp, przed którym niczem są wszelkie potęgi ziemskie — niezwyciężony, bo milionogłowy, a jeden...

Jeżeli z jednej strony, oceniając dążność tego pomysłu, nie można mu nie przyznać pewnego sensu a nawet i godziwego celu: — to z drugiej dziwić się tylko należy nad sposobami, którymi spodziewał się Towiański dokonać swego zamiaru. Bo i cóż to było, co on ludziom w zamian przynosił za to wszystko, co im odbierał?

Spytajmy naprzód: byłaż to wiedza, a raczej, byłże to owoc wiedzy? Byłaż to rzecz, któraby ludziom zastąpiła ich wyrozumowane pewniki? — Bynajmniej! Doktryna jego zbyt była skażona marzycielstwem, żeby obóz wyłącznie kierujący się myślą, był go mógł przyjąć za swego. W jego mętne pojmowaniu wszystkiego, o чём bądź prawić zaczynał, a bardziej jeszcze w jego arcyniezgrabnym tłómaczeniu swoich urojeń — obóz ten widział jedynie nieudolność nie uka i jako takiego też go traktował.

A w tym samym znowu stopniu zastęp wiary, hierarchia, kościół — nie mógł nic innego w nim widzieć, jak chyba tylko sekciarza. Wprawdzie Towiański sam dawał się zawsze za najwierniejszego syna kościoła. Nie przyznawał i nie przyznaje się pono dotąd, żeby w чём zbaczał od tradycyjnej nauki chrześcijańskiej. Z tém wszystkiém daremne i tylko wybiegliwe sato wszystko zapewnienia! Wątpię, żeby on wierzył sam temu — bez przenośni i bez tak zwanój restrykcji mentalnej. Księża Zmartwychwstańcy dowiedli mu jak na dłoni, że dogmata jego nie są dogmatami kościoła. Nauka Towiańskiego potępiona też została przez stolicę apostolską, jako herezya.

Założyciel nowej religii nie uznaje wprawdzie tego potępienia i na przekorę temu wszystkiemu, co się stało od czasu jego wystąpienia, ciągle się widzi w jedności z kościołem. Pochodzi to stąd jednakże jedynie, że uważa się względem chrześcijaństwa, jak takowe jest reprezentowaném przez kościół, w takim stósun-

ku, w jakim się miał Chrystus do starego zakonu. Chrystus nie na to przyszedł, ażeby dawny zakon obalić, lecz ażeby go dopełnić i wytłómaczyć. Podobnie i Towiański żyje w przekonaniu, a raczej urojeniu, że dopełnia i wyklada tylko dawną naukę kościoła, że ją w swą doktrynę wciela i podnosi, nie zaś obala ani jej przeczy. Stąd też zatrzymuje sekta jego wszystkie katolickie symbole, wyrażenia, godła, obrzędy i praktyki; ale im prawie zawsze poddaje nowe znaczenie i wyciska na nich piętna taką pieczęcią, która nie ma żadnej wspólności z katolickim kościołem.

Rozważmy wreszcie, w imię czego czyni to wszystko Towiański? — Na mocy objawienia i posłannictwa danego sobie z góry. Że zaś chodzi tu o nie mniej ani więcej, jak o przeistoczenie tego porządku rzeczy w religii, której założycielem był Chrystus: więc się Towiański stawia w roli nowego zbawiciela i mesjasza, choć nie ma odwagi nazwać się nim wręcz i otwarcie.

To powiedziawszy o samym Towiańskim i o duchu jego doktryny, spojrzmy teraz na okoliczności, pośród jakich takowa wprowadzona została w życie.

Wystąpienie Towiańskiego jako proroka niedopiero w Paryżu przyszło do skutku. Jeszcze mieszkając na Litwie zaczął on napomykać o swoim objawieniu i posłannictwie. Tu jednakże nie szczególnie się jemu wiodło. Udało mu się wprawdzie znaleźć kilku takich, co w niego uwierzyli i zostali jego uczniami. Należeli do liczby takowych malarz Wańkiewicz i doktor Gut, szwagier Towiańskiego. Ci mu też i za granicę w religijnych celach jadącemu towarzyszyli, nie chcąc odstępować już mistrza. Z tém wszystkiém grono zwolenników w kraju jeszcze pozyskanych było nadzwyczaj szczupłe. Oprócz dwóch powyżej wymienionych i chyba rodziny własnej reformatora, która apostołstwo jego może brała na seryo, nikt więcej podobno w kraju nie dał się wciągnąć w tę sprawę.

Wypadło zatem próbować szczęścia w innych prowincjach, a w najgorszym razie na Emigracyi. Jakoż wyjechał Towiański z domu podobno około r. 1837 i najpierw się pojawił w Poznaniu.

Było tu staraniem jego pozyskać dla sprawy swojej przedewszystkiem... głowę całej hierarchii w Księstwie, Arcybiskupa Dunina. Lecz Arcybiskup po niewielu już konferencyach przeniknął człowieka, jako marzyciela, a w każdym razie katolika wątpliwą prawowierności i wzbronił mu dalszego przystępu do siebie. Trzeba więc było szukać sobie gdzieindziej takiej powagi, pod którejby skrzydłami dały się krzewić z pomyślnością plany ukarowane. Za taką wybrał sobie teraz Towiański generała Skrzyneckiego w Bruxelli. Pojechał do niego, zawiązał z nim stosunki i zrazu była wszelka nadzieja dobrego powodzenia, sprawił bowiem pewno wrażenie na generale, kiedy się przed nim opowiedział wysłańcem bożym do niego! Dla Skrzyneckiego to też napisana była owa „Biesiada“, w której rzucił Towiański ogólny zarys swoich pojęć religijnych, kładąc przez to niejako pierwsze podwaliny do dzieła. W dalszych stosunkach jednakże nabożny i ściśle po katolicku myślący generał przekonał się o bałamutnej dążności całej owej misyi nieznanego sobie człowieka i zerwał z nim.

Teraz dopiero przyszła kolej na Mickiewicza. Nie powiodło się z głową kościoła, nie powiodło się z wodzem naczelnym: może się powiedzie (pomyślał sobie Towiański) z największym z polskich poetów. Powaga Mickiewicza naówczas stanowiła niejako dyktaturę duchową w całym narodzie. Po zajęciu katedry słowiańskiej imię jego nabrało nowego blasku — i miało znaczenie nawet we Francyi. Idźmyż zatem do niego! Zyskajmy sobie Mickiewicza, a wszystko nasze...

W roku 1841 w miesiącu lipcu przestąpił po raz pierwszy Towiański progi mieszkania poety. Tym razem próba powiodła się nad wszelkie spodziewanie! —

Zdaje mi się, że kto tylko zastanawiał się nad duchem poezyi Mickiewicza i nad jego życiem wewnętrznym, ten się ze mną zgodzi na to, że łączyły się w tym genialnym człowieku jakby dwie zgola odrębne natury. Zazwyczaj byltó małz głębokiej myśli, trzeźwo poglądujący na rzeczy — organizacya duchowa zdrowa, realna, zdolna zdać sobie świadomą sprawę ze wszystkiego, co tylko czynił. Takim go też widzimy w jego listach, których zbiór

zamieszczono w obu ostatnich dzieł jego wydaniach, a prócz tego też tu i owdzie po pismach peryodycznych. Ale Mickiewicz miał w różnych chwilach żywota swego tajemnicze jakieś podrywy i zachwyty, które go przenosiły w stan taki, że tracił niejako z oczu wszystko, co jest rzeczywistém, i wznosił się duchem do excentrycznych krain extazy. Wtedy nie w sensie retorycznej przenośni, lecz literalnie przestawał być poetą, a był wieszczem; z artysty przeistaczał się w narzędzie poezji, nieświadome tego co czyni. Bywał w razach takich czasem duchem jasnowidzącym, niekiedy... marzycielem nie biorącym za nic odpowiedzialności na się.

Tak np. *Grażyna*, *Walenrod*, *Pan Tadeusz* itp. — to były dzieła stworzone w normalném usposobieniu. Oda do młodości, *Dziady*, a zwłaszcza *Dziadów* „Część trzecia“ — to owoc natchnienia, wyższego nad świadomość artysty.

Co się *Dziadów* tyczy, jest dowiedzioném, przyznaném przez samego poetę, że są tam ustępy, których zupełnego znaczenia on sam nie umiał sobie wyjaśnić.

W podobnie wyjątkowém usposobieniu zostawał Adam od czasu ponownego przybycia swego do Paryża z Lozanny. Zajęcie katedry rozbudziło w nim życie ducha w najwyższej sile. Rehabilitacya, że się tak wyrażę i apoteoza napoleońskiej tradycyi i napoleońskiej idei, dopełniona aktem sprowadzenia ciała cesarza z wyspy św. Heleny, na rozkaz samego króla, i to właśnie w czasie, kiedy Mickiewicz miał zająć nowe to stanowisko, rehabilitacya ta mówię sprawy, która u poety naszego stanowiła zawsze artykuł wiary, nie mało się też przyczyniała do nastrojenia jego ducha na jakieś tony mistyczne.

Miewał on w owym czasie przywidzenia, które uważał za widzenia, za objawienia rzeczy, jakich zdaniem jego nie było dano zwyczajnym ludziom oglądać. Te widma extatycznej fantazyi tak dalece nabierały w jego oczach znaczenie przedmiotowego bytu, że je poczytywał za kształty, za ciała — nie przez siebie stworzone.

„W miesiącu grudniu (1840), dnia nie pamiętam (tak pisał o sobie sam Mickiewicz w szesnaście miesięcy później do

Skrzyneckiego), kiedy oglądałem przygotowania do exekwii za Napoleona, miałem w dzień biały widzenie: widziałem człowieka z głębi kraju jadącego wózkiem jednokonnym, w biedzie, po błocie i mgle; i uczułem że ten człowiek wiezie wielkość! wielkie rzeczy! Nie brałem tego za widzenie prorockie, ale za nadzwyczaj żywy obraz poetycki. Chciałem go opisać, ale postrzegłem niepodobieństwo do prawdy i dałem pokój. Po poznaniu się z Andrzejem nie prędko dowiedziałem się o szczegółach jego podróży, i uznałem prawdę widzenia“... (z listu z d. 23 marca 1842).

Tesame prądy wstrząsały też Mickiewiczem już w chwili owój improwizacyi na wieczorze u p. Januszkiewicza.”)

W ciągu roku 1841 przyczyniło się do utrzymania Mickiewicza pod ciągłym wpływem mistyki zapadnięcie żony jego w stan najopłakawszy ze wszystkich, jakie tylko dotknąć mogą rodzinę, w stan obłąkania umysłu. Wypadła potrzeba wśród zajęć najboleśniejszych wysłać ją z Paryża na wieś do jakiegoś zakładu zdrowia — z małą nadzieją, żeby było rzeczą podobną uchylić to nieszczęście w zupełności i na zawsze.

Człowiek przywalony nieszczęściem skłonny jest zawsze dawać wiarę cudowności, gdzie tylko się z nią spotyka; a jeżeli kto, to Mickiewicz był prawdziwie nieszczęśliwy w tym czasie.

*) Z okazji tego wieczoru tak się wyraził Mickiewicz w tymże liście do Skrzyneckiego, który w całości przytoczono w Przeglądzie Poznańskim 1858 r. Tom XXV, półrocznik I, zeszyt 2.

„W roku przeszłym kilkudziesiąt Polaków dawało mi ucztę. Czułem się w wielkiem podniesieniu ducha i powiedziałem im, „że wszyscy są na złych drogach, że ich rozumowania i zabiegi nigdzie nie doprowadzą; że jeśli Bóg zlituje się nad nami, to przyśle człowieka, który będzie dla nas prawem żywym, którego słowa, czyny i gesta będą artykułami“... Nie pamiętam, pisze dalej Mickiewicz, słów poezyi (improwizacyi), ale ta była ich treść; zaklinałem, żeby ją pamiętali. Wielu już zapomniało. Kiedy Z. (Zan?) Stefan przyszedł nazajutrz do mnie, powiedziałem ze smutkiem głębokim, że gdyby mi wówczas nie przerwano, wielką bym rzecz oznajmił. Ale już nie byłem nazajutrz w stanie podnieść się do tej wysokości. Przerwano mi wówczas; jedni protestowali w imię rozumu, drudzy myśleli, że mówiłem o X. Czartoryskim, kiedy wołałem, że tylko z takiego miejsca przeznaczenia mogą wyjść kapłani, królowie i hermani“...

Owoż takito zbiég przypadkowych a dziwnych okoliczności mieć tu należy na względzie, ażeby pojąć, że taki człowiek jak Towiański był zdolny wpływ wyrzucić na Mickiewicza i podbić ducha jego pod panowanie swoje. Zresztą były prócz tego wszystkiego i inne jeszcze przyczyny, dla których łatwo było Towiańskiemu wkraść się w zaufanie poety. Albowiem zdaje mi się, że nic prawdziwszego, jak co powiedział Krasiński o stosunku dwóch tych ludzi pomiędzy sobą: — „Pan Adam — to olbrzym, Pan Jędrzej — to magnetyzer, co obudził olbrzyma. To zrobił, co robią kobiety, gdy iskrę śpiącą w łonie męszczyzny zapalają“ (obacz Wyjątki z listów str. 209). — Rzeczywiście! Właściwym twórcą tego, co dziś Towianizmem zowiemy, byłto sam raczej Mickiewicz. Doktryna Towiańskiego — to tylko odbłyśk i udogmatyzowanie tego wszystkiego, co w różnych chwilach w kształcie urwanych pomysłów jak przelotne iskry przechodziło przez głowę porwanemu prądem natchnienia poecie.

Kiedy się np. czyta „Część trzecią Dziadów“, utoyka się co kart kilka na miejscach, które mimowolnie przypominają towianizm. Tasama dziwna niechęć przeciwko wiedzy, zdobytej rzetelną pracą, na korzyść jakichś mistycznych i gotowych skądś pewników; tasama wiara przesadna w siły wewnętrzne pojedynczego człowieka; tasama mesyaniczna dufność w wyjątkową wszechwładzę ludzi, z urodzenia przeznaczonych do władztwa nad resztą społeczeństwa; tesame zachcenia despotycznego zwierzchnictwa w świecie duchowym; to samo wreszcie przeczuwanie człowieka, który nas przyjdzie zbawić — słowem mesyanizm. Nie brak na miejscach podobnych i w Księgach Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego. —

Owoż przekonaniem jest mojem, że zagłębianie się w znaczeniu takich urywkowych napomknień w dziełach Mickiewicza, niepoślednią czasu swego odgrywać musiało rolę w genezie pomysłów Towiańskiego. Natchnienia Adama jeżeli nie rzuciły pierwszego zarodu w myśli tego marzyciela, to przyczyniły się w każdym razie do znakomitego posunięcia go na drodze, po której szedł. Cały system jego marzeń — byłoto tedy tylko rozwinięcie i dodać można: spazzone, rozmazane rozwinięcie niektórych wieszczów i mi-

stycznie rzuconych słów Mickiewicza. Pomimo jednak niezręczności w ich powiązaniu, było oczywiście pewne pokrewieństwo wyobrażeń pomiędzy nimi, które wzajemne porozumienie się ułatwiało.

A najwięcej je ułatwiło наконец rozmyślne i obliczone podjęcie dobrej wiary poety, jakiego się Towiański zaraz na samym wstępie dopuścił. Użył bowiem wszelkich sztuczek, ażeby go już w pierwszej chwili przekonać, że to człowiek boży, że to ów przewidywany dawno przezeń zbawca społeczeństwa przyszedł dom jego nawiedzić.

Przedewszystkiém więc powitał go po staropolsku imieniem bożem, tak jak to było przepowiedziano w Dziadach:

„Ty pojedziesz w daleką, nieznajomą drogę,
Będiesz w wielkich, bogatych i rozumnych tłumie,
Szukaj męża, co więcej niżli oni umie;
Poznasz, bo cię powita pierwszy w imię boże,
Słuchaj, co powie“...

Potém, w dalszej rozmowie, przeszedł na własną przeszłość poety i wyłożył mu, co w własnych jego dziełach mogło być dla niego niezrozumiałém. Wyrażenie w Dziadach:

„On ślepy, lecz go wiedzie anioł pacholę,
zastósował do siebie, boć i on w młodości przez czas jakiś był pozbawiony wzroku. „A imię jego czterdzieści i cztery“ wytłomaczył w taki sposób, że znaczy to hufiec złożony się mający z czterdziestu czterech mężów wybranych, który stanie na czele nowój budowy kościoła i społeczeństwa.“) Wiare Mickiewi-

*) Rzeczywiście zaraz potém uformował się zastęp najwyżej w hierarchii Towianizmu położonych zwolenników téj sekty w liczbie czterdziestu czterech. Kiedy w r. 1842 rząd francuski wydalil Towiańskiego z Paryża, najzaufalsi uczniowie jego podali do ministra rodzaj protestacyi czy też ubolewania swego nad tém rozporządzeniem rządowém, dając świadectwo nieskazitelnym Towiańskiego postępkom przez cały czas bytności jego we Francyi. Akt ten, datowany z d. 7 sierpnia 1842 r. podpisany jest przez 43 mężczyzn i 2 kobiety. A zatém, gdyby do tych 43 podpisujących doliczyć jeszcze samego Towiańskiego, który oczywiście musiał należeć także do grona przodujących, jako jego najwyższy zwierzchnik, byłoby 44 Kobiety, jak się samo rozumie, stanowiły osobny rządany liczący tego się tu nie liczą. poczet i dl

cza w Napoleonizm zużytkował w taki sposób, że mu oznajmił, iż wcieleniem nowém ducha Napoleona jest on sam właśnie (Towiański); że zatem posłannictwo jego na tém zależy, ażeby dzieło przez Cesarza poczęte prowadzić dalej i ostatecznie wykonać. Nakoniec oświadczył, że nie tylko dana mu jest moc żonę jego uzdrowić, ale i wyjawić mu najskrytsze zajścia z jego życia upłynionego. Jakoż opowiedział Mickiewiczowi takie zdarzenia z jego przeszłości, o których (jak się później sam poeta wyraził do Franciszka Szemioty) nie mógł wiedzieć nikt, chyba tylko Bóg jeden.

Co do téj okoliczności, wyjaśniło się później, po śmierci już poety, że się oto tak rzeczy miały. Mickiewicz razu jednego, w młodości jeszcze, rozgadał się był o tych niewiadomych nikomu zajściach swojego życia w zaufaniu przed Odyńcem. Było to, kiedy wspólnie podróż odbywali po Niemczech i Włoszech. Następnie Odyńiec, do kraju powróciwszy, komuś trzeciemu, czy też może nawet samemu Towiańskiemu, mieszkającemu wtedy jeszcze na Litwie, opowiadał o tém wszystkiém; tak iż nie trzeba było na to żadnego cudu, ażeby to wiedzieć. Mickiewicz w ciągu czasu zapomniiał, że kiedyś przed Odyńcem spowiadał się z swoich tajemnic; wziął przeto wiadomość o nich u Towiańskiego za rzecz objawioną jemu sposobem nadprzyrodzonym.

Samo nawet uzdrowienie Mickiewiczówój, lubo jest jedyném zdarzeniem w całej téj Towianizmu historii mającém rzetelne pozory cudowności, daleko więcej okazuje ostatecznie w Towiańskim wprawnego psychologa, niż cudotwórcę. Pojechali obydwaj, on i Mickiewicz, do chorój; pomimo oporu lekarzy odebrali ją z zakładu i zabrali ze sobą. Przybywszy do Paryża, kazał jój Towiański w charakterze proroka, w jakim był już wtedy znany i przez nią, klęknąć na ziemi, klęczącą zgromił surowo za grzechy, a potem kazał jój powstać i iść do spowiedzi. Poszła i — powróciła zupełnie uzdrowiona.

Przyczyny obłąkania były snąć tylko psychiczne. Targnąwszy silnie za wyobraźnię, przywrócił jój jedném skinieniem szczęśliwie zastósowaniem tę równowagę umysłu, którój jój zwyczajne leki nie zdołały przywrócić.

Takie to więc były okoliczności, skutkiem których obalamucony został zdrowy sens wielkiego naszego poety do tego stopnia, że w Towiańskiego uwierzył. Znając je, dziwić się już nie można, że mógł pisać w kilka miesięcy potem do Skrzynieckiego:

„Moja wiara w słowa Andrzeja jest skutkiem całego mojego życia, wszystkich moich usposobień i prac duchowych. Ktoby czytał pisma moje, przekonałby się o tém. Nie wspomnę o drobnych w młodości rzuconych w świat pieśniach (Romantyczność — Oda do młodości); późniejsze dzieła, a mianowicie Księgi Pielgrzymstwa i Dziadów część III świadczą, że to co się dzieje, przeczuwał...

...Widzisz także, że uzdrowienie mojej żony nie było powodem mojej wiary. Jeszcze żona moja była w domu chorych, a już na słowa Andrzeja, który jej nie widział był, ogłosiłem krewnym, że będzie zdrową. Wziąłem ją wbrew zdaniu lekarzy, niewzruszony ich zakłęciami, bo zaręczali, że ją trzeba będzie zaraz z użyciem gwałtu napowrót zamknąć. Wziąłem żonę w zupełnem pomieszanu, w kanikule, w gorąco i w czasie burzy. Tegoż dnia odzyskała przytomność. Dotąd jest zdrowa i coraz pewniejsza zdrowia na przyszłość. Uzdrowieniu mojej żony towarzyszyły okoliczności cudowne. Opisywać je byłoby długo. Bogu wiadomo, że prawdę piszę — wracam dziś z rekolekcyi, którą odbyłem u XX. Jezuitów, i po spowiedzi i po przyjęciu P. N. Sakramentu to piszę“... (z listu z d. 23 marca 1842 r.) *)

Skoro tylko udało się Towiańskiemu mieć Mickiewicza po sobie: dalsze zabiegi nie spotykały już na żadne trudności. Osoba Adama dawała dostateczną rękojmię, że co rozgłaszano, nie było ani oszukaństwem ani szaleństwem. A na skłonności już gotowej do poddawania się takim wpływom, pomiędzy emigrantami naszymi nie brakowało. W ogóle bowiem wiara jakaś mistyczna we wszystko, co tylko cudowne i tajemnicze — byłoto jedno z celniejszych znamion społeczeństwa naszego téj generacyi, jak się o tém przekonać można, spojrzawszy na literaturę naszą owego czasu. Było to naturalne następstwo położenia narodowego...

Nie będę kreślił wywodu dalszych przejęć, jakie sprawa ta krok za krokiem przebywała. Poprzestanę na wzmiance, że pierw-

*) List ten, i drugi podobny, dano w całości w Przeglądzie Pozn. rok 1858, tom XXV. str. 162 i n.

szymi, których na zwolenników zjednano, byli Sobański i poeta Górecki Antoni. Ten jednakże niezadługo zmiarkowawszy, że rzecz nie jest tak prawdziwemu kościołowi i jego nauce wierną, jak się to w pierwszej chwili zdawało, odczepił się od wszelkiej spółki z Towiańskim. W ogóle ludzie silniejszej wiary w duchu ściśle katolickim wyjątkowo chyba przyłączali się do grona, które się zawieżywało. Z téj też przyczyny i Zaleski, choć zagadnięty owym prześlicznym wierszykiem Mickiewicza: „Słowiczku mój“ — odpowiedział wprawdzie dumką niby potakującą i ułożoną na tę samą nutę, ale jednak nie dał im się zwerbować na zwolennika. Inni poeci, śmielszej myśli, niecierpliwi w wyczekiwaniu lepszej przyszłości, jak np. Goszczyński, dali się złudzić stanowczym zapowiadaniom bliskich zdarzeń cudownych. Z wojskowych przyłączył się najrychlejszy i najgorliwiejszy do Towiańskiego pułkownik Różycki. Reszta adeptów rekrutowała się najwięcej pomiędzy Litwinami, ci bowiem i skłonnością swoją do mistycyzmu i stósunkami osobistymi najwięcej byli zbliżeni do Mickiewicza. W przeciągu roku, od chwili pierwszego pojawienia się Towiańskiego w Paryżu aż do czasu, gdzie go z Francyi policya paryska wydalila, uformowała się przeto gromadka dość liczna Towiańszczyków, jak ich już odtąd nazywano.

Teraz zwróćmy uwagę naszą na Słowackiego i obaczmy, jaką był jego stósunek do tego wszystkiego, co się wtedy działo wśród emigracyi?

Samotne i nieraz przykrości pełne życie jego w Paryżu, usposobienie z natury melancholijne, tęsknota do kraju, wrodzony pociąg do wszystkiego co excentryczne — wszystko to mogło z góry wznicać żywą obawę, ażeby się ta zaraza nie czepila i jego ducha. Szczęśliwym trafem było wszelako coś, co go na czas jakiś zabezpieczało od tego niebezpieczeństwa. Tą prezerwatywą były niesnaski z Mickiewiczem! Sama ta niechęć do swego antagonisty wystarczała, żeby nie dać mu widzieć w złudném świetle roboty, w której tenże był ostatecznie głównym czynnikiem. To też przez przeciąg czasu dość długi nie widać w listach

Słowackiego ani śladu, żeby był miał przywiązywać jakie wyższe znaczenie do tych cudów i proroctw, tyle wtedy sprawiających wrzawy między Towiańszczykami. Przeciwnie, usposobienie jego było wówczas więcej towarzyskie i światowe, niż kiedykolwiek.

...„Ja, co dawniej lubilem samotne wieczory (donosił w ciągu pierwszej połowy r. 1842), teraz już sam wysiedzieć nie mogę. Nuda mię ogarnia — nie wystarczam sobie wieczorami, jak dawniej, kiedy w świeczce mojej paliły się różne nadzieje tęczowe i brylantowe...

...„Posłałem Ci moje wizerunki — twarz więc sobie będziesz miała oddaną. Teraz wiédz, że ubieram się zawsze z dosyć wielką elegancją, jak to sobie kiedyś przyrzekłem za młodu, bojąc się aby mię zwykle memu zajęciu się zaniedbanie kiedyś nie owładło. Otóż więc zawsze biorę dobrego krawca, który mi oszczędza niepotrzebnych wydatków. Najczęściej chodzę czarno, ale nigdy prawie zupełnie czarno, bo to ma minę księżą. Zawsze tak staram się być ubranym, abym bez przebierania się mógł pójść wszędzie; a nigdy tak, aby wiadano, że się wystroił umyślnie. Taka jest moja polityka co do ubioru. — Nie jestem wcale tłustszy niż byłem; ale jestem zupełnie weselszy. Jakby po walce z ludźmi odbytej, używam pewnej spokojności i to mi się w uśmiechu maluje. Muszę Ci także wyznać, że może tracę więcej, niżby należało. Ale cóż robić!“ itd.

W tymże samym prawie czasie musiał Słowacki pisać coś o Towiańskim do Krasińskiego. Listu tego wprawdzie nie mamy; ale z odpowiedzi Krasińskiego, znalezionej między papierami Juliusza, można sobie zrobić wyobrażenie, o co mniej więcej mógł być Zygmunt zapytywany. Odpowiedź rzeczona zasługuje na przytoczenie. Była pisana d. 27 października 1841 r. z Monachium.

„Drogi Julu! W cuda wierzę zawsze i wszędzie — w cudotwórców prawie nigdy; nie znam zaś próżności próźniejszej nad tę, która siebie uważa za konduktorkę płynu cudów. Nie pochodziż to nieco z tej urzędo-namiętności, tyle zawsze burmistrzującej w naszych sercach? — W Piśmie — księga proroków następuje po księdze królewskiej; w dziejach bieżących to samo się objawiło. W sferze niby to widomej wystąpił tytuł, urząd, zaszczyt — nazwa miasta rzeczy — blichtr miasto istoty — słowem królewskość. W sferze niewidomej, w kościele, w poezyi — awansowano na proroków. Jest to także stopień — dignitas. I znowu tu,

jak tam, tytuł wprost rzecz samę skaził. Kształt obrócił się przeciwko treści — wyniknęła komiczność! — Co za wiek, Julu! — co za świat! — co za kolej zgnębna porywająca wszystkich do otchłani — nie Danteskiej, ale stokroć głębszej, bo stokroć dalszej od zmartwychwstań nieba; chcę mówić — do otchłani śmieszności! — Za dni moich widziałem dzieci — ponure — dzikie — jeszcze ssące pierś mamki, a już recytujące wiersze byrońskie i piszczące usteczkami pełnymi mleka: „To piolun!“ — Widziałem piętnastoletnie dziewczynki, wołające Boga na usprawiedliwienie się przed niemi, jak Iliob niegdyś — jak Faust, później — i szpilkami grożące gwiazdom. Widziałem olbrzymów ducha, przez czas jakiś zapełniających serca ludzi imieniem swoim — a potem idących na starość do św. Pelagii i głupstwa, brednie, próżności same drukujących! — orłów, co w słońce patrzeli, spadłych w staw i przemienionych na pływające pośród pleśni kaczkę. — Widziałem za dni moich, acz nie długich — zbłąźnienie wszystkiego — i zaczyna mi smętno być w duchu. Tém się jedynie pocieszam, żem zda mi się, doszedł ukrytej sprężyny tych wszystkich zjawisk: zowie się brakiem dumy, a przesytemą próżności. Jak cud jest rodzajem pewnym niepracy w naturze, pieczonego gołąbka, co spada z nad chmur do gąbki: tak i w duchu ludzkim próżność jest wieczną żądzą chwały bez pracy; kiedy duma wbrew przeciwnie jest wieczną żądzą chwały, lecz za pomocą olbrzymiego trudu. — Kto dumny, ten i pokorny zarazem — a duma połączona z pokorą stanowi wielkość człowieka. Duma bez pokory — to próżność, pokora bez dumy — to podłość. — Na pozór tylko sprzeczne to władze duszy — a w istocie wielkość prawdziwa bez nich obydwóch obejść się nie może!...

...„Teraz mój drogi Julu, o Tobie słów kilka. Ucz się patrząc, do czego wiodą rozmaite dusz słabości, unikać wszelkiej — nie zapadaj w niemoc, bo niemoc nie jest pokorą — ni znów rośnij w dzikie przekonanie, że można jedną strofą wieki przewrócić — bo takie przekonanie nie jest dumą. — Bądź dumny a pokorny! — Lecz kiedy się korzysz, to korz się przed Panem wiekiuistym — lub przed wszechświata pięknością, lecz nie przed tą dziwną Madonną, której za podstawę dałeś pierś swoje...”

...„Ty wiesz, żem Cię kochał zawsze — Ty wiesz, że Cię kocham — może nie wiesz, ale się dowiesz, że nigdy nie przestanę.”

Pomimo takich przestróg, zająć musiała jednak już w ciągu miesiąca lipca następnego roku (1842) w Słowackim stanowcza zmiana...

Nie umiem opowiedzieć, jakie w szczególności zdarzenie dało do tego powód, że się zbliżył do niego Towiański, czy też on do Towiańskiego. Dość że od owego czasu poczynszy, usposobienie naszego poety, co tylko jeszcze tyle światowe, zmieniło się zupełnie, a sądy jego o tém wszystkiém, co się działo około Mickiewicza, ustąpiły miejsca innym wyobrażeniom. Piérwszym objawem tego zwrotu w pojęciach był list pisany do matki dnia 2 sierpnia (1842), zawierający ustępy, do których dawniej nigdy nic podobnego nie pisał.

...„Co do mnie, wiele nadziei zwiędłych boża miłość i łaska ożywiła we mnie. Już nie wyrzekam, ale ufam. Otoczył mię krąg ludzi kochających, kosztuję nowego stanu duszy — zdaje się, że błogosławieństwo boże jest nademną. Wszystko to podobném jest do snu i do marzenia, i wytłómaczoném być nie może...

...„Świat glansowanych rękawiczek i woskowanych posadzek zupełnie zniknął z oczu moich, bo cóż z niego można wydobyć? Jestto prózny teatr dla igrających myśli — dla słów ulotnych: a mnie trzeba dziś być wewnętrznym człowiekiem — ile można, doskonałym i dobrym. Wierz mi, droga, że ta przemiana ze źródła płynie głębokiego. Tę ziemię jeszcze tu spodziewam się przepędzić...”*)

W następnych listach, co miesiąca już teraz pisywanych do matki i do Januszewskich (wuj Juliusza wrócił z wygnania właśnie pod koniec r. 1842), coraz więcej znajdowało się już takich zwierzeń mistycznych. Przeręzały one matkę poety. Wieści o zawiązanej sekcji Towiańszczyków doszły były tymczasem aż na Wołyń i niemało w całym kraju obudzały zdumienia. Pani Becu nie pojmowała tego stanu, jaki wiał z tajemniczych wyrazów, kreślonych ręką jój syna. Kiedy to wszystko, co jój teraz pisał o sobie, porównywała z doniesieniami, które zaledwie 3 lub 4

*) Jak wiadomo, Towiańszczyey żyli w nadziei, że chwila ich powrotu do kraju już niedaleka. Dlatego to i Słowacki tylko jeszcze owę ziemię miał przepędzić w Paryżu. Zmienił więc swoje mieszkanie roczne na tymczasowe i zamieszkał wtedy *rue Ponthieu* Nr. 30.

miesiące piérwój otrzymywała jeszcze z rąk jego, a w których aż do dziwnój jak na poetę drobiazgowości posuwał się czasem Słowacki w opisywaniu np. swego ubioru, swojój predylekcyi do bó-cików lakierowanych, do „żółtawo - blade - białych“ rękawiczek, których jedynie jak powiada używał itd. to ta sprzeczność między jój synem ówczesnym a obecnym taka była uderzająca i nagła, że matka w głowę zachodziła rozmyślając, coby to wszystko znaczyło. Zapytywała go z boleścią, z niedowierzaniem, z nieśmiałością, czyby i on miał także należeć „do tych jasnowidzących?“ Badala go, czy nie zamyśla zostać księdzem? czy zaszło co nadzwyczajnego w jego położeniu zewnętrzném? czy go nie spotkały jakie straty? czy mu nie grozi coś, co go trwoży? czy zdrow? „czy mu czoło nie pała?“ dlaczego listy jego takie niezrozumiałe?..

Przypuszczenia takowe drażniły i zasmucały Juliusza. Oto, co jój odpowiadał na takie zapytania:

...„Zasmuciłaś mię bardzo, pisząc mi z trwogą i z pewném niedowierzaniem, myśląc żem ja się jasnowidzącym oddał i w sny ich uwierzył. Nigdy nie byłem tak nisko, żeby mię lada kto mógł wziąć za głowę. Ale drgnięciu wewnętrznemu ducha bożego uwierzyłem, i słowom prostym a bżym dałem się przekonać.“ — — — „Wszyscy, którzy niezdolni są wskrzesić siebie i oddać się nowój, wielkiej pracy, są przeciwko nam z wielkim gniewem i oskarżają nas wynajdując różne fałsze, i stawiają nam różne przeszkody. Wiele więc może próżnych ech dojdzie do Ciebie. Więc jeżeli mi nie uwierzysz, będziesz się smuciła, myśląc, żem się zaparł rozumu mego i zszedł z drogi, na której mię witano. Albowiem teraz mi przyznają rozum dawny i prawosć dawną, a na teraźniejszego i prostego człowieka utyskują. Ale ja wiem, że mię Bóg nie opuści; bom ja także nie opuścił żadnej pracy około świata, ale poznałem tylko drogę prowadzącą do niej, i już nie tylko głową, ale całym sobą wojuję, a najwięcej wewnątrz najczystszej czucia. A tak czyniąc, nie tylko za siebie, ale i za tego, który leży w grobie na Rossie*) i wszystkiego jeszcze nie spełnił, ja odrabiam pracę i wiem, że go to raduje“...

„Przebacz mi najmiłsza, że tak piszę; ale wiedz, że piszę

*) Mówi to o ojcu swoim Euzebinszu Słowackim.

po spowiedzi i po przyjęciu Sakramentów, a musiałem szukać prostaczka wielkiego, aby mię rozgrzeszył; bo rozumni wypędzają nas z domu świętego, oskarżając o walenie domu tego przedtém i teraz, a boją się o siebie i nie widzą ani pojąć nie chcą, że to jest odbudowanie jego prawdziwe w czystości i pokorze“... (z listu z d. 17 listop. 1842).

...„Są położenia, że trzeba z miłości własnej zrobić ofiarę, t. j. nie ukrywać się z niczém i być otwartym, choćby serce przeczuwało, że ludzie krzywo tę otwartość osądzą, nazwą ją złością lub zazdrością. Otóż dokompleto- wałem siebie czynim. To jest, spotkawszy mego przeciwnika (Mickiewicz) na wyższém stanowisku, podniesionego ku prawdzie prawdziwie bożej, już nie w jezuityzmie — podałem mu rękę i teraz jesteśmy razem. Jesteśmy — ja, on i jeszcze trzeci... równie zajęci sercami naszych braci, równie pomagający duchem i życiem, ile go który ma w sobie. Życie takie podobne jest do życia aniołów, i nieraz ozłocone uśmiechem są twarze nasze, a prawie zawsze serca spokojne. Nie miej więc, o droga, żadnej bojaźni o mnie, bo jeżeli kiedy, to teraz sam nie jestem, a nikt mnie nienawidzić nie może. Bo wszystkich ukochałem i sercem zapragnałem, i muszą to kiedyś uczuć, choćby już nigdy więcej moich słów nie słyszeli“... (z listu z d. 18 stycznia r. 1843).

...„Nie tracąc chwili odpisuję, abym Cię wyprowadził z trwogi i uspokoił; bo pojmuję ile Cię taki straszny domysł zatrząść musi. Nie, nie zostanę nigdy księdzem! Onito Faryzeusze miłość udający obrzydiali mi próg kościelny i pokazywali do Boga drogę maleńką i pełną fałszów, po której tylko robactwo ludzkie pełznąć mogło“... itd. (d. 18 marca 1843).

Wstrzymuję się od wypisywania miejsc takich więcej. We wszystkich listach ich pełno. Natomiast staje się korespondencya Słowackiego od tego czasu nad wszelki opis ubogą w szczegóły o życiu jego potoczném i zewnętrzném. Człowiek ten odtąd przestał prawie już żyć dla otaczającego go świata. Nic go już na nim nie zajmowało. Wszystkie myśli jego krążyły jedynie około pojęcia Boga, Ojczyzny, przyszłości rodu ludzkiego, słowem około zagadnień doktryny; i nie było nic ważniejszego dla niego, o czémby matce donosił, jak ten ciągły rozbiór tych niewielu mistycznych pojęć, około których się cały Towianizm kręci. Przy tém ją jednak ciągle zapewniał, że się czuje bardzo szczęśliwym.

„Uleciał smutek odemnie, powiadał jój, i wpuścił więcej niż nadzieję do domu mego. Przybyła także większa prostota — mniej zachceń ziemskich, a więcej prawdziwej żądzы dobrego. Duch mój się podniósł i ciało nabrało więcej mocy, tak że mię ludzie zaledwie poznają. Widzę, że do końca życia mam drogę pełną słońc i tęcz prawdziwych, i to mi wystarczy, choćbym żył najdłuższe lata.“ (z listu z d. 18 marca 1843).

Czasem mu matka robiła wyrzuty, że ją samemi tylko zbywa rozumowaniami, a nie rzeczywistego nigdy nie donosi o sobie. W takim razie odpisywał jój, jak np. d. 12 sierpnia 1844:

... „Dlaczego Ty droga chcesz szczegółów życia mego i materialnych okoliczności? Na wszystkie pytania, któreby mi zadał człowiek pospolity, chcąc osądzić, czy jestem szczęśliwy: odpowiedziałbym w taki sposób, że człowiek ten osądziłby, iż mi wszystkiego, co do szczęścia należy, niedostaje. Albowiem jeśli szczęściem jest zabawa — tój ja nie znam; jeśli pieniądze — tych mam tyle, ile mi potrzeba, ale mniej niżby ich owemu człowiekowi dla szczęścia żądać przyszło; jeśli szczęście jest w pochwałach od ludzi odbieranych i w oczy mówionych, to takich ja nie słyszę, a ile razy słyszę, to wzdrygam się, czując niby wstyd jakiś i uczucie upokorzenia. Gdybym Ci opisał drogą, życie moje zewnętrzne, Ty sama możebyś zwątpiła o szczęściu mojem... możebyś podniosła krzyk ku Bogu, wyrzucając mu, że Ci dziecko twoje nie podług miary obdziela. A jednak, jeżeli Ty prawdziwie szczęścia mego żadasz, to powinnaś mi wierzyć teraz, kiedy mówię, że jest pelen jakiejś wewnętrznej radości, która się czasem aż w głosie moim, tonem śpiewu przebija — jak gdyby coś we mnie śpiewało, girlandami tonów rzucając przez błękity. W sile ducha mojego jest coś, coby chciało się porwać i unosić, jak dziecko w przestrachu śmiejące się, bo pewne opieki. — Pytasz mię droga, czy jadłem wielkie święcone? A ja Cię proszę, abyś nie zwracała oczu na ludzi, którzy szynkami karmią tłum niewybrany i potem głośno mówią: daliśmy jadła i służył nasi pożarli je... Albowiem nie o jedzenie chodzi, ale o to, aby kto był zdolny duchem nakarmić i serca przelać ogniem upoiwszy je z palących kielichów — i stawiać ciągle święcone pod nieba błękitem, i takim jadem wiązać ludzi, aby więcej nie rozchodzili się, ale zebrani zostali wiecznie, nie mogąc oderwać się od tego, który karmi. Dla wiadomości twojej jednak powiem, że i na

tamtém święconém byłem, ale smętny aż do śmierci, widząc że przeszłość jadła, aby żyła“...

— W ciągu tego samego czasu korespondował też Słowacki, jako już Towiańskiego zwolennik, i z Krasieńskim. Widocznie było goracém życzeniem jego, ażeby dla sprawy nowój doktryny pozyskać tę potęgę duchową. W listach tych znajdują się wydawniejsze, aniżeli w korespondencyi do matki, zarysy tego jak on sobie słowa Towiańskiego tłómaczył. Jestto zatém jedno z ważniejszych źródeł do wyrozumienia, o co ostatecznie Towiańszczykom chodziło. Źródeł takich bardzo mało pozostało. Im więcej bowiem osoby po za tą sektą będące były pochopne do rozgłaszania rozmaitych wieści o zajściach, które się wewnątrz koła takowój działy, tém uporczywsza była niechęć w tych ostatnich powierzenia drukowi jakichkolwiek wiadomości o wewnętrznych tegoż koła stosunkach albo dogmatach. Jak wiadomo, Biesiada, a raczej dwie Biesiady — jest bowiem jedna z r. 1841 (dla Skrzynckiego pisana), a druga ogłoszona 1845 p. t. „Biesiada z bratem Karolem“ (Różyckim) — stanowią jak dotąd jedyne drukiem rozpowszechnione dokumenta Towianizmu, wydane z samego łona tej szkoły. I z tych atoli dokumentów, choć były ułożone przez samego Towiańskiego, został jeden, t. j. owa Biesiada rychlejsza, w następnych latach o tyle unieważnionym i niejako odwołanym, że Towiański przeciwnikom swoim oświadczył, iż ją pisał jedynie dla wyż wymienionój osoby, a nie dla wszystkich — i w celu, ażeby ją ustnym dopiero wykładem własnym uzupełnić, nie zaś żeby każdemu służyło prawo wysnuwania z niej wniosków swoich.

Choćby zatém z tego już tylko powodu, że to nowy a autentyczny materiał do wewnętrznych dziejów tej sekty, poczytując za stosowne przytoczyć tu kilka wyjątków z rzeczonój, skądinąd nieco monotonnój korespondencyi.

W pierwszym tedy z listów pisanych w tej epoce do Krasieńskiego (d. 14 grudnia 1842) — tak się Słowacki odezwał:

...„Otóż wiedz, że jest człowiek, który rozwiązuje duchy i stawia je nad ciałami, wkładając im wszelkomożne korony — wpajając w nie królewską moc — łącząc

z Bogiem, a to wszystko prostą, ożywczą, bożą siłą — jednem słowem, które świat materyalny robi snem w oczach człowieka, a wyciąga z niego dążność ku nieśmiertelności bożej... A nauka jego nie potrzebuje się rozwijać, bo ci, którzy są gotowi, przyjmą ją — a ci, na których czas nie przyszedł, odrzucą — a jednak odrzuciwszy, będą mieli targane sumienia i serca do krwi rozdarte!.. Otóż ta idea w świecie duchowym jest jak systemat naszego Kopernika... Dosyć było powiedzieć któremu uczonemu astronomowi przeszłości, że słońce stało: a on już sam w obserwatorium swoim od lunet i teleskopów dowiedziałby się reszty. Ale gdybyś ty jednak wiedział, jak ten szlachcic litewski wśród sosnowych lasów wyciągnął z myśli bożej wszystko i wszystko odtworzył na nowo, z prostotą pastuszą i z pohamowaną w sobie ludzkością: — wziąłbyś go pewnie za Pana i za przewodnika“...

...„Ty, który od dawna jesteś ogniem tych, którzy w okrag Ciebie stoja, musisz koniecznie gotować teraz podobnych nam i przyjść nam z legionem twórczo-duchów w pomoc. Wam wtenczas świat będzie musiał uderzyć czołem, i ja — choć już wśród was bez życia i ruchu — będę się radował ze zwycięstwa nad światem i nademną“...

...„Poganizm cały krzyczy i jeszcze występuje do walki. Palcem posagowym pokazuje wszędy formy swoje — zasłania się niemi i terazniejszej chwili tyłowiekowym głosem wyrzuca niewdzięczność. Jam go przeklął; ale jeszcze nie mogę zapomnieć, że mi był litosnym panem, że jego Dyany były mi kochankami, a jego trwałość — prawie wiecznością... Ale zwyciężyły go już piorunowe objawy ducha, a jam resztką czucia rzucił się dopomagać silnym a nieśmiertelnym prawdziwie. W tych kilku słowach jest cała moja historia. W Anhellim ją na końcu przeczułem i oprócz Anioła, co siedział nad trupem i zabraniał budzić go, wszystko się sprawdziło“...

Na to zagadnięcie niezwłocznie nastąpiła odpowiedź. Odpowiedzi tej między listami wprowadzić nie znaleziono. Z pierwszych słów atoli drugiego listu, który zaraz potem napisał do Krasin-skiego Słowacki, daje się wnosić, że odpis Zygmunta ułożony być musiał jakoś dyplomatycznie, ani nie przecząc, ani nie potakując.

Początek rzeczonego listu jest taki:

„Kochany mój! Twój list apokaliptyczny świeci mi jak lampa w gotyckim kościele — jak różycy różnokolorowa,

przez którą patrzy słońce — ale rozróżniane, niepewne! Odgadłeś kilka kształtów: i w wzroku, który Adam rzucił na jednego ze swoich uczniów, kiedym mu o liście Twoim mówił, widziałem że mistrz taksamo tłumaczy niewiastę w słońcu na włosach, z księżycem pod nogami...*) Ale czy to starczy? Czy to jest wszystko? Czy nie czujesz, że ta idea musi być działalną na ziemi, to jest czynioną przez ludzi, nie głoszoną przez usta ludzkie?...

W dalszym ciągu napotykamy jeszcze jeden ustęp godny zastanowienia :

...„Każdego z nas inaczej uderzyło Mistrza słowo i z innej struny każdy wydobywa dźwięk swój, który się w pokorném kole braci układa do harmonii. Co do mnie, najmocniej mnie zajmuje twórczość ducha, który podług słów św. Pawła, jeżeli z Duchem Bożym łączy się, jest jedno. — Uczuciem więc, ogniem miłości, ściągnięciem woli bożej na ziemię możemy odbudować świat i postawić go w kształcie zupełnie nowym. — Praca więc powinna się zacząć w nas samych, to jest powinniśmy w sobie wyrabiać doskonałą moc czucia — zlewać go — spiorunować w sercu: a to wszystko z cichością i prostotą ludzi mocnych i mających wielkie rzeczy do wypełnienia. — Stwórz sobie myślą takiego człowieka, postaw go sobie przed oczy — niech przemówi do ciebie twarzą pogodną, wnetrznem uczuciem siły nieśmiertelnej, mocą magnetyczną wyższości prawdziwej: — a ujrzysz nasz ideał. Każdy Duch, z Boga we-
tchnięty w organizacyą, ma misyą bożą, to jest przebicie się przez materią, wyrabiając ją twórczością swoją w coraz doskonalsze kształty — aż będzie mógł ostatecznie powiedzieć słowo przez Chrystusa wykrzyknione na krzyżu: wypełniło się! — Uczucie to skończonej, wypełnionej misyi zaczyna nową drogę ducha wyłamanego już z materyi, uwolnionego z organizacyi. — Wierzmy więc w niedopełnioną pracę ducha i w łańcuch żywotów, które podług tej skazówki wydychowania się uważane, są Ewangelią dowiedzione. — Wierzmy w narodowości, to jest w solidarne misye duchów powiązanych z sobą wspólną odpowiedzialnością; a stąd wypływa, że miłość ojczyzny jest instynktowem uczuciem tej odpowiedzialności; a poświęcenie się za nią nie jest

*) To miejsce służyć by mogło pod pewnym względem za komentarz do tego ustępu Króla Ducha, który jest dany w rapsodzie Iszym pieśni Iszój strofie 17.

szaleństwem, ale koniecznością ducha w świecie duchowym, tak jak to materyjalne pomaganie sobie, które stworzyło kontrakt socyalny.—Wierzmy i w to, że kogokolwiek duchem zaczepimy, stajemy się duchem odpowiedzialni za ducha. — A tak utworzywszy sobie świat wnątrzny i zrozumiawszy go, stworzył się nam szereg cnót nowych duchowych i grzechów, które dotąd w konfesyonalach nie były słyszane...

„Wszystko to jest proste i nie do rozumu twojego, ale do serca twojego pisane. Lecz powiedźże, czy sercom nie trzeba było takiej wiary? takiej religii?— Czy ta myśl, że duch — już skończywszy misyą i rozwiązany z organizacji — jeszcze jest odpowiedzialny za duchy leniwsze pozostałe w pracy, nie tworzy ci najcudowniejszej kolumny świętych pańskich, którzy muszą podszeptywać, pomagać, a przez łaskę czasem zjawiać się na ziemi wierzącym w nie, aby wypełnienie misji narodowych przyspieszyły?... Zamyśl się z tą myślą, a usłyszysz cudowną harmonią między duchowemi pracami a boleściami ciał, które są chłostą niby bożą i przymusem i nauką duchów. Jednej plagi, jednej choroby nie ma przysłanej napróżno. Narody wydają się jak indywidua, także słusznie karane lub wynagradzane. Historia, ta męka ciał, staje się nauką duchów; wszystko się wyjaśnia: Bóg się pokazuje z każdej mgły, z każdej chmury. Taka więc jest ta metempsychoza, o którą nas księża katolicy oskärzają“... (List ten, długi bardzo, datowany jest z d. 17 stycznia 1843 r.). —

Teraz dopiero nastąpił odpis (z Rzymu d. 26 stycznia 1843), o którego treści można dać bliższą wiadomość, jestto bowiem jeden z owych listów dziesięciu. Co w nim szczególnie uderza, to jakaś dziwna wyrozumiałość Krasińskiego na obłąkanie całego tego grona w Paryżu, chociaż je był rokiem pierwej z takim oburzeniem potępił.

Oto kilka ustępów z rzeczonęj odpowiedzi:

...„Czemuż się tak żegnasz na wieki z pięknoscią pogańską? Czemu myślisz, że nieśmiertelne umrzeć potrafi? — W arcydziele Pana nic nie ginie, wszystko coraz żywiej żywie, wznosi się i wzmacnia! Nowa, pełniejsza od wszystkich poprzednich poczyna się epoka. Nazwieszli ją królestwem bożem, czy przyjściem Ducha św., czy jeszcze inaczej: — to pewna, że ona być musi epoką nieznaną dotąd — życia czyli czynu! Czyn albowiem, rzeczywistość, życie — to cel, ku któremu ostatecznie wszelkie poprzednie

przygotowanie się garnie. Natura stapała ku człowiekowi — historia stapa ku ludzkości. Dwie sfery przygotowawcze przebiegliśmy dotąd; każda z nich wzięła na się rozwinięcie jednej z jednostronnych części składających całość czyli życie. — Piękność czyli prawdę kształtu pojęło pogaństwo; prawdę czyli piękność myśli, chrześcijańska era upłyniona od dni chrystusowych. A czémże czyn, życie, świat przyszły nasz, jeśli nie doskonałym zlewem tych dwóch jednostronności?“ itd. *)

...„Więc owszem ja ci mówię, że gdy tak prawdziwie pojmujesz czyn, tak głęboko wdychasz doń, to wcale się nie odsuwasz od tego, co nieśmiertelném z świata pierwszego ludzkości pozostało — od piękności! Przeciwnie, ty żądasz, by myśl Chrystusowa, która dotąd tylko idealną prawdą była, wcieliła się w widomą rzeczywistość, w kształt powszechny, planetarny, godzący wszystko, organizujący wszystko; a czémże kształt prawdy, jeśli nie piękność? Zatem dążysz ku piękności nie już tylko w marmurach, płótnach, dźwiękach i mierze wierszowej, ale ku piękności żywej, ku najwyższemu stanowisku piękności“...

W dalszym wywodzie wykładu Krasiński swoje własną teorię o ludzkości i składających jęj organizm narodowościach, jako niezbędnych członkach téj harmonijnej całości, w sposób jak w przedmowie do Przedświtu. I w końcu ten system swój wyobraźni przysadzając Towiańszczykom, zamyka rzecz w następujących słowach:

...„O to kusicie się bracia moi — to waszém jest usiłowaniem! I błogosławieni jesteście za to, żeście pierwsi pojęli to i postarali się to uczynić! Ale pamiętajcie, że wszechstronność pierwszą cnotą waszą być powinna; że nie odrzucać — niczém nie gardzić, ale wszystko wywyższać — wszystkiemu miejsce dać, a piękniejsze i lepsze — powinniście! — O! zaklinam was: nie zwężajcie się jako cząstka świata — ale rozszerzcie się jako całość świata! — Bądźcie pełniejsi miłości od tych, którzy twierdzą, że ich rzemiosłem jest miłość! Nie intolerancją walczyć intolerancję! Owszem, wszystko pojmijcie, wszystko pochłońcie — bądźcie jako kopuła, co ziemię widnokreźnie opierścienia. — Miasto gołębicy dawnj, chciałbym by dziś

*) Cały powyższy ustęp prawie żywcem jest wzięty z Cieszkowskiego *Historjografii*.

taki błękit uznany został za symbol Ducha świętego! Niechże i waszych działań będzie on symbolem!”

A zatem, jak widzimy, Krasiński ostatecznie nic więcej nie znalazł do wytknięcia mistycznej owój doktrynie, jak tylko ten fanatyzm, tę wyłączność bezmiłosną i jednostronną, tę do najwyższego stopnia posuniętą intolerancją, jaka znamionowała i słowa i postęпки Towiańszczyków, od Mickiewicza począwszy aż do najbezmyślniejszego szeregowca téj szkoły, we wszystkich ich zetknięciach z światem zewnętrznym.

Ta teoryczna pobłażliwość autora Przedświtu dla Towiańszczyzny nie wystarczała jednak bynajmniej Słowackiemu, który go pragnął do obozu tego przeciagnąć. Z téj przyczyny korespondencya zobopólna się przedłużyła i nadal, ale w taki sposób, że w wyrazach Słowackiego coraz dotkliwiej przebijać zaczął „pe-wien kwas melancholijny“ przeciwko człowiekowi, którego dawniej tyle uwielbiał. Na uwagi cierpkie, wstępny bojem sobie czynione, Krasiński odpowiadał życzliwie i z miłością, lecz je odpierał jednakże. Wreszcie się ta rozmowa listowna między nimi urwała. . . Potém nastąpił (w tymże roku, w jednym z miesięcy latowych) ślub Krasińskiego z Branicką — a następnie napisany i ogłoszony został „Książdż Marek“.

Nie można samemu tylko przypadkowi tego przypisać, że się w tym poemacie znajdują rzeczy, które boleśnie dotknęły Krasińskiego. Są tam wyrażenia i zajścia, ubliżające rodzinom, z których tenże albo pochodził albo z niemi był połączony. Uraza musiała być tém żywsza, że nie można było niewiedzieć, że tu wyraźnie o to tylko chodziło, żeby dokuczyć. Uszczypliwości są po większej części naciągnięte i w kolorach mocno przesadnych; a to, co się bezpośrednio do Krasińskich odnosi, nazwać należy nawet bezwarunkowo niesprawiedliwém, zwłaszcza że dzieje barskiej konfederacyi bynajmniej do tego nie dawały powodu.

Ta publikacya położyła na zawsze koniec serdecznym stosunkom pomiędzy Słowackim a Krasińskim. Zerwały się one od owe-go już czasu, a nie dopiero w skutek wiersza „Do Autora trzech Psalmów“, jak to zazwyczaj sobie wyobrażają. W późniejszych latach podali sobie wprawdzie obaj poeci raz jeszcze

ręce do zgody; ale była to już tylko... przyjaźń łatana i chłodna — jak się to opowie w swoim miejscu.

Ażebym zakończyć już ten rozdział sprawie Towianizmu wyłącznie poświęcony, dodaję jeszcze słowo o zachowaniu się Słowackiego względem samejże szkoły, której był uczestnikiem. Bynajmniej nie należy sobie wystawiać, że to był bierny tylko i potulny wykonawca zleceń mistrza swojego, albo powolny potakiwacz słowom lub też uchwałom drugich. Owa sprężysta samodzielność, owa „odśrodkowa siła negacyi“, którą mu przyznał był już Krasziński w owej rozprawie swojej z r. 1841, podsycana wrodzoną a teraz okolicznościami spotęgowaną drażliwością umysłu, dawała się i w tej życia jego epoce czuć wszystkim z jego strony przy łaďa sposobności. Mianowicie zgoda z Mickiewiczem żadną miarą nie była bezwarunkową i długotrwałą.

W pierwszej chwili uwielbienie jego dla Towiańskiego nie miało granic. Pod jednym wierszem, który jako numer V znalazł miejsce w tomie *Iszym Pism jego pośmiertnych* na stronie 71, napisał był takie wyrazy bezpośrednio do niego skierowane.

„Temu, który nie słowy ani nauką, ale przyjściem
swojem i zapowiedzeniem sprawy bożej, ducha mego z wię-
zów uwolnił i przejściu w krainę wiedzy dopomógł,

Andrzejowi Towiańskiemu,
niniejszy wyraz, jako wywołaną z ducha mego odpowiedź i
miarę wyrozumienia Sprawy Bożej, ofiaruję i poświęcam, —
narodu mego prosząc o uwagę dla człowieka, który słowa
te: że wszystko przez Ducha i dla Ducha stworzone jest, wyrzekłszy, podobnie jak Kopernik, a więcéj
jeszcze, bo nie świat fizyczny, ale świat wiedzy, na syntetyzmie zatrzymał i postawił.“ —

Ale już krótko po wyjeździe Mistrza z Paryża, znalazł się Słowacki w konieczności wystąpienia z powszechnego i jedyne go jeszcze naówczas koła Towiańszczyków i założenia frakcy własnej, osobnej. Powód zdarzenia tego nie jest mi wprawdzie wiadomy; ale nie wątpię, że do tegożo zajścia odnosi się następujący

urywek z listu, którego początek znalazłem na ulotnej kartce pomiędzy luznymi papierami poety:

„Piszę do Ciebie, Bracie Andrzeju, abym Ci wypowiedział z ducha mego słowa, które przed światem uczyniłem dotąd tajemnicą, ciężarem téj tajemnicy obciążywając samego siebie; abym nie mógł być w żaden sposób przez Ducha Twego oskarżony przed Bogiem, jako odstręczający świat od sprawy Ducha wykryciem zgorszenia. Gdyś zjawił się, świadectwo braci moich o Tobie świadczących przyjąłem; w dobrej wierze połączyłem się z uczuciem ich — w czystość Twoję zawierzyłem, wiernym byłem — w postępach moich starałem się być bez poszlakowania — w pracy mojej pomocnym Tobie — w usłudze Sprawie pierwszemu — w cielesnym koła porządku ostatnim. Jeżeliś tego nie czuł duchem, dowiaduj się, a ludzie ust prawdziwych przyświadczą, że tak było. Wystąpienie moje z koła ciche, a Tobie bynajmniej nie uwłaczające wywołało z Ciebie sąd pismu powierzony, w którym ducha mojego osądziłeś. Odważnym będąc w sądzie, bezsilnym w osądzeniu“ — — — (dalszego ciągu nie ma).

Podobnych śladów częstych nieporozumień między Słowackim a resztą koła, mógłbym przytoczyć i więcej. Są nawet protestacye formalne z jego strony przeciwko jakimś krokom czy też zamiarom Mickiewicza i jego zwolenników, których już dzisiaj dokładnie się dorozumieć nie można z powodu tajemniczości w jakiej się wszystko tam odbywało pomiędzy nimi. Oto jeden z ciekawszych dokumentów tego rodzaju.

„My niżej podpisani, którzyśmy stanęli przy sztandarze sprawy Bożej, z najwyższego ducha miłości i prawdy chcąc wysnuć siły ku zbawieniu Ojczyzny naszej...

„Przekonawszy się, że dotychczasowi wodze nasi, którym z miłości poddaliśmy się i z pokory, nie odpowiedzieli zaufaniu naszemu, ale powiedli koło nasze ku tym idealnym absolutnym celom, na których wszelka różnica czasem i charakterem między narodami położona ginie...

„Nie oskarżając bynajmniej przewodników koła o złą wolę, ale z sumienia naszego czyniąc krok według nas potrzebny i konieczny...

„Zostawiamy odpowiedzialnymi przed Bogiem i przed narodem oweto nasze przewodniki za dalsze ich postępowanie. Sami zaś nie odbierając sztandarowi prawdy i miłości serc i sił naszych, powierzamy obronę“ — —

Dalszy ciąg tój protestacyi jest wydarty w książce, w której się mieści, zawierającej w sobie różne notaty Słowackiego. Ale zaraz na trzeciej stronie dalej w tymże raptularzu jest koncept listu, który choć jest bez daty, oczywiście odnosić się musiał do tójże okoliczności:

„Do koła całego tak nazwanych Towiańszczyków, czyli uczniów pewnego Andrzeja Towiańskiego, na ręce zastępcy mistrza onego, Adama Mickiewicza:

„Bracie Adamie!

„Przypominam Ci, że przyjęty za brata w kole Waszém przez Andrzeja Towiańskiego, który publicznie mię bratem być wyznał: w dniu 1 października 1834 roku“ (liczba oczywiście zmylona, zamiast 1844, albo może 1843) „listem do koła braterskiego pisany nie wyrzekłem się bynajmniej braterstwa, ale położyłem Veto z ducha polskiego — przeciwko dążności rosyjskiej, która mszę i nabożeństwo publiczne za ducha nienaszég wiary i nienaszég idei podyktowała.

„Przypominam, że jako pierwég, tak i teraz Veto moje nie zdjęte z koła trwa na wieczność, a témsamém czyni nieprawymi i bezskutecznymi wszelkie kroki, które koło w tymże duchu łączącym nas z Rosyą przedsięwberze.

„I żądam, aby ta nowa protestacya przeciwko ugięciu ducha polskiego przed Cesarzem Mikołajem zakomunikowana była w kole dla wiadomości.

„Zostawiając sobie dalszą wolność czynienia kroków, które mi się wydadzą potrzebne dla ratunku ducha Ojczyzny mojęj —

„W braku aktów, do którychbym wnieść mógł tę protestacyą, oświadczam, że powierzę ją pamięci narodu mojego.

Brat

Juliusz Słowacki.“—

Do któregooby czasu się to wszystko odnosiło, trudno bardzo dzisiaj odgadnąć. Wnoszę jednak z różnych okoliczności ubocznych, że dzieć się to musiało 1844, albo co jeszcze prawdopodobniejsza, w r. 1845.

ROZDZIAŁ SIEDMNASTY.

Dalszy ciąg rozpoczętej materii. Autorska czynność Słowackiego pod wpływem Towianizmu. Książd Marek — Sen Srebrny Salomei. Zdanie matki poety o tych utworach i jego odpowiedź na to. — Znaczenie literackie obu dramatów. — Różne poezye liryczne i ulotne — poemat z dziejów Nowogrodu — Poeta i Natchnienie — Zawisza Czarny — Samuel Zborowski — Genesis z Ducha.

Przystąpienie Słowackiego do koła Towiańszczyków wywarło wpływ przeważny na charakterze jego jako poety. Cały zawód jego autorski otrzymał odtąd inny kierunek. Tém zdarzeniem, życie jego na emigracyi wydaje się jakby przedzielone na dwie połowy. Między pracami jego z przed roku 1842 a potem, mało jest związku organicznego. Sąto dwa osobne działy czynności literackiej, daleko bardziej odgródzone od siebie, aniżeli owe okresy rychlejszej części życia, które przedzieliło w r. 1831 dobrowolne usunięcie się na wygnanie.

Pierwsze następstwo téj tak stanowczej zmiany wyobrażeń, a raczej tego zupełnego przewrotu wszelkich pojęć dawniejszych, okazało się w tém, że Słowacki prace swoje dotychczasowe od téj chwili bardzo mało już cenił. Co było już wydane, tego oczywiście nie było można cofnąć z obiegu. Ale co jeszcze leżało w ręku, to też już w nię i na zawsze miało pozostać!... To jest przyczyna, dla czego wszystkie owe w poprzedzających rozdziałach jako fragmenty wymienione utwory Słowackiego, nie tylko nie zostały do druku i do rąk publiczności oddane, ale co gorsza, pущczone w poniewierkę, rzucone między niepotrzebne papiery, do tego stopnia na powolne wystawione były niszczeniu, że największa ich część doszła rąk naszych zaledwie tylko w urywkach.

„Zupełnie mylne byłoby przypuszczenie, że zatrata tyłu wybornych rzeczy zaszła dopiero po śmierci autora w skutek nie dbalstwa spadkobierców, albo też, jak to niektórzy myślą, z powodu, że Słowacki w ostatnich chwilach życia miał żądać, ażeby część jakaś jego literackiej pozostałości była wrzucona w ogień.

„Przeszłego życia mego nie żałuję — pisał do matki d. 18 marca 1843 r. — ani pogardzam tą podstawą, którą sobie wybudowałem i z której mi teraz łatwiej postępować wyżej. Sądzę, że w kwiatach, które mi kwitły, są niektóre wonie prawdziwe i potrzebne stworzeniom oddychającym. Ale dzięki Bogu, zem przez te flety nie wydał całego ducha i nie wylał całej duszy mojej; a to co zostało, nie będzie stracone“... „Módlcie się więc, aby Bóg jak najprędzej raczył spełniać swoje łaskę dla świata i przybliżał czas odkwitu. Każda godzina bowiem teraz jest ważna, a lenistwo ducha grzechem jest“...

A zatem przypuszczał wprawdzie Juliusz, że między dawniejszemi jego dziełami niektóre może są woni prawdziwej i przydatnej oddychającym; lecz od tej pory zadanie swoje pojmował już inaczej. Chodziło o to, aby to, co w nim zostało z ducha i nie było jeszcze straconém, jak najprędzej się dokonało; każda bowiem godzina ważna! Nowe zatem przedsięwzięcia zwróciły na się całą jego usilność. A dawniejsze prace poszły na odstawkę — w zapomnienie...

Jedyny z utworów dokonanych już dawniej, który został ogłoszony po przystąpieniu autora do Towiańszczyzny, byłto:

Książę Niezłomny Calderona. Paryż roku 1844. 12^o str. 172.

Dawniejszy zamiar stworzenia cyklu z sześciu fantastycznych dramatów, osnutych na tle legend z przedhistorycznej narodowej przeszłości, zamiar ten poszedł obecnie w zapomnienie.

Dalsza praca nad Beniowskim postępowała wprawdzie swoim torem i po roku 1842, ale postępowała dorywczo i że tak powiem, targana coraz innym duchem, jaki wrzał wtedy w piersi poety. To jest przyczyna, dlaczego ten poemat przedstawia w drugiej, niedawno ogłoszonej części swojej, postać tak chaotyczną, chociaż ustępy z osobna brane są nieraz niepospolitej siły i piękności. Wreszcie w r. 1843, a najpóźniej 1844, zosta-

ła praca ta zupełnie zarzucona. Natomiast pojedyncze pomysły, które podług pierwotnego planu miały wniknąć w skład tej rozległej kreacji, a może też nawet i były już w niej przeprowadzone, zostały teraz podjęte na nowo i wykonane z innego wcale punktu widzenia. Jeden z nich dotyczył chwili samego zgonu owej proroczej postaci, która tak wydatnie występuje w Beniowskim; drugi polegał na ubocznym epizodzie przygód rodziny Gruszczyńskich. Tak powstały dwa dramaty oddzielne: „Książd Marek“ i „Sen srebrny Salomei“. Odpowiednie pieśni Beniowskiego uległy w skutek tego umyślnemu może teraz zniszczeniu; tak iż tylko dochowane mimo autora woli urywki, odszukane na ulotnych i luźnych kartkach, dostarczają świadectwa, że sceny te już i kiedyś dawniej zaprzętały fantazją Słowackiego — w odmienny sposób.

Książd Marek był pisany w ciągu roku 1843, w miesiącach latowych, najpóźniej w lipcu, — jak to wynika niewątpliwie z zestawienia okoliczności opowiedzianych w rozdziale poprzedzającym, ze wzmiankami niektórymi o tém w listach Słowackiego do matki. Wyjście z druku rzeczzonego dramatu przyszło do skutku w listopadzie onegoż roku. Imię autora było wyrażone na samém czole tytułu:

„Juliusza Słowackiego **Książd Marek**. Poema dramatyczne w 3 aktach.“ Paryż 1843. 12^o, stron 158.

W pierwszych dwóch tygodniach tegoż miesiąca listopada (1843) zaimprowizowany został drugi ów dramat, który wyszedł z pod prasy dopiero w styczniu 1844, pod tytułem:

„Juliusza Słowackiego **Sen srebrny Salomei**. Romans dramatyczny.“ Paryż 1844. 12^o.

W kilka miesięcy po wydaniu tego drugiego utworu znalazł Słowacki sposobność posłania matce przez znajomą osobę obydwóch tych ostatnich dzieł swoich razem; a wyprawiał je tém skwapliwiej, że się spodziewał, iż je matka z radością powita i z dumą będzie odczytywała, jako dzieła, które zdaniem jego podyktowało natchnienie, do wysokości jakiego nigdy on się w dawniejszém swoim życiu jeszcze wznieść nie potrafił. Tymczasem przyjęcie książek tych przez panią Becu było zupełnie inne! Wprawdzie

nieznane mi są względy, pod którymi głównie dramaty te sprawiły niemiłe wrażenie na światłej matce ich autora; listu jej bowiem pisanego o tém (jako i żadnych w ogóle listów matki do syna) nie czytałem. Że uwagi jednakże udzielone Słowackiemu w rzeczonej chwili o Księdzu Marku i Śnie Salomei musiały być niekorzystne i bynajmniej nie zachęcające autora do dalszych kroków na takiej drodze, o tém przekonywa jego odpis dany wtedy w odpowiedzi na owe uwagi matki. Byłto odpis niezmiernie długi, a jeszcze więcej cierpki i prawiebym powiedział gromiący! Gorycz jego dochodziła do tego stopnia, że napisawszy go, sam Juliusz spostrzegł się wcześniej, że się w rozdrażnieniu za daleko posunął. Czując zatem niewłaściwość tonu, jakiego sobie tym razem względem matki pozwolił, nie oddał listu na pocztę, ale napisał inny, krótszy i spokojniej ułożony; tamten zaś list pozostał u niego między papierami, z których go dopiero po śmierci poety porządkując wszystkie jego rękopisma wydobyto i jako ciekawy dokument dołączono do całego zbioru korespondencji.

Ażeby wyrozumieć ówczesne, nad wszelki wyraz excentryczne usposobienie poety, uważam za stosowne przytoczyć z rzeczonego listu kilka dłuższych wyjątków.

... „Jest zwyczajem Anglików; zwłaszcza w klasie piwowarów krwistej organizacyi, że co miesiąc używają emetyku, a bez tego zabięgliby krwią, obrośli sadłem, stracili wszelką myśl i energią. Dla tych ludzi Bóg stworzył dawno emetyk; a teraz przysłał doskonalsze lekarstwo, to jest denerwującą muzykę Chopina. — Gdy zobaczysz taką ciężką istotę, nad którą ciało otrzymuje codzienne zwycięstwo, radź jej jedną lub drugą kuracyą. Lecz lękaj się obu dla ludzi zwiedłych i schorzałych, bo po emetyku część ciała własnego wyrzuca, a po koncercie Chopina część duszy własnej utracą. I Ty droga moja — czuła — dobra — litośna — miłująca — siadłaś pisać do mnie, wypłakawszy się w kącie z duszy całej — wypłakawszy się napróżno, więc grzesznie — wypłakawszy się dlatego, bo Cię semitonami i dyssonancami polonezy Chopina łaskotały po wszystkich nerwach. Wiesz więc, co napisałaś? — Oto list, który dla nerwowego, sentymentalnego człowieka wydałby się pełnym czułości — a dla człowieka prostego, z sercem — jest listem zupełnie

bez serca pisanym!... Ja także, droga moja, bardziej teraz niż Ty otwartym być muszę, bo tu o duszę Twoję nieśmiertelną chodzi. Otóż powiem Ci, coś napisała. — Zaczynasz od prostego wyrzutu, że marnuję moje zdolność, od wyrzutu, że nie piszę tak, jak dawniej pisałem. — Jeżeli ja rzeczywiście byłem kiedyś w szczęściu, a dziś podupadłem, bo bogactwo myśli jest państwem w aniołów krainie; jeżeli więc prawdziwie (a Ty wiesz że bez winy własnej) podupadłem: to powiedz mi, czy to do Ciebie należało, pokazywać mi, że w płaszczu dziurawym ujrzałaś mnie w swoim eleganckim szopenowym salonie? — Drugi, gorszy grzech popełniłaś, cytując mi zdanie Adama, które on, umiejący dobrodusznie a głęboko uragać, rzucił przed piętnastu laty, przeczuwszy że ta plotka, gorsza stokroć, niż artykuł dowodami wsparty, będzie biegła po kraju. Ludzie leniwi wzięli ją i przyjęli za zdanie powszechne. Przez piętnaście lat stanowiła ona u niejednego niby szacunek mojej osoby. Niejeden już na słowo Adama nigdy nie zajrzał do pustego kościoła poezji moich. — Jam to wszystko przeleżał, upornie idąc krok za krokiem — nie artykułami gazetowymi, ale samém wnętrzem pism moich. Ta plotka jak nietoperz czarny gdzieś ulatywała w kąty niebios: — a Ty mi ją, z całą świeżością, nową oddałaś w liście!... Cóż następuje? Oto rada, abym się nie spieszył z drukowaniem, a ochłoniwszy z gorączki odczytał utwór mój, jak gdyby był utworem innego pisarza. — Pomyśl droga, jak ta rada jest zła i fałszywa! Więc Ty chcesz, abym ja przez pryncypium zwyczajne świata, to jest emulacyjną zazdrość, postępował i tę brał za podstawę i duszę moich czynów? To jest: jeżeli przeczytałbym jaki własny poemat a pomyślał: — ach! teraz Adam pęknie z zazdrości — albo Szekspir wróciwszy z grobu omdleje: to w takim razie powinienbym być kontent z siebie?... Widziałem raz dziecinę, której na nowy rok bardzo ładne cacko matka kupiła; a ta, uniesiona radością — wykrzyknęła: otóż teraz Józia pęknie z zazdrości! Ta Józia byłato jej przyjaciółeczka, dziecię uboższych rodziców, które tak pięknym cackiem pochwalić się nie mogło... Teraz pomyśl Ty, że natchnienie jest darem aniołów — i zrozum, jakim Ty sposobem zalecasz mi oszacowywać radość moję z podarunku...

„Nareszcie koniec listu jest, że utwory moje dlatęgo Ci są miłe, że w każdym mówię o sobie, a Ty sobie moję postać przypominasz... Powiedźże mi droga, jakże

ja do tych przemawiać będę, którzy mi nie są matkami? — Najokropniejszą to jest krytyką wierszy moich, droga moja, że one wszędzie o sobie gadają! — Nareszcie ostatnią prośbą jest, abym się nie gniewał i nigdy za złe Ci nie miał niczego... Boga na świadka biorę, żem ten list krytyczny skrytykował duchem, wiedząc dobrze że on nie z głębi Twojej wyszedł, ale z tej nieszczęsnej atmosfery smętnej błakających się teraz dusz najpiękniejszych, które chcą koniecznie, aby im ludzie smętku do smętku dolewali. Chorzy jesteście i chcecie, aby wszyscy podobnie wam jęczeli. Nerwami już, nie sercem czujecie! Lubicie, co wam nerwy rozczula — a wstręt macie do zdrowych pokarmów. — Widziałasze Ty, żeby kto nazajutrz po rozczuleniu wielkiem, przez Chopina muzykę sprawioném, stał się lepszym — piękniejszym — litośniejším, wyrósł na bohatera? — Jedną mi osobę zacytuj, a wyznam, żem nie miał racyi potępienia...

....„Jednak i ja nie jestem bez winy — bo winą moja jest użycie imienia świętego; a to wcale mi do głowy nie przyszło, kiedym pisał...”*) Lecz i tu pomyśl Ty droga: gdybym ja napisał np. *Indianę* stylem pani Sand, i tę kobietę dwa razy niewierną — dwa razy splamioną — biegającą po mieście aż do mieszkania amanta, nazwał Twojém imieniem — ale to wszystko nie z prostotą człowieka, ale z Chopinową całą dyssonansowo - kwaśno - melancholiczną potęgą i sztuką drażnienia nerwów i błyskotnością kolorów posłał Tobie...? Rzekłabyś, że cud cudów!! Więc jest jakiś sposób mówienia rzeczy ohydnych, który je zmienia w anielskie?... Droga moja, pomyśl nad tém, nim potępisz którekolwiek z moich wyrażen, nim je nazwiesz niewłaściwemi i nie po polsku!... A te nie po polsku — co za wyrażenia? Więc jest kilka frazesów przyjętych, w które ja koniecznie muszę się ubrać, nim wystąpię? Zamiast powiedzieć krótko: kocham Cię — drukując tosamno muszę wyrazić się w bezokolicznym trybie np. posiadasz serce tego syna? — To okragło i pięknie! — Tak gadają i piszą umarłe narody! Piszą językiem, którego potem w mowie potocznej użyć nie mogą. Taką jest literatura włoska. Patrz, jakie cudowne poemata — patrz, jak łatwo Włochowi napisać sonet lub dytyramb: wszystkie frazesy ma gotowe, całe toki mówienia przeżute. Lecz wierz

*) Widać matka Juliusza bynajmniej mu nie dziękowała za to, że takię właśnie osobie, jak bobaterka w *Śnie srebrnym*, Salomei, odważył się dać jęj imię chrzestne.

droga, że Włoch tensam listu napisać nie umie! Znajduje się w podobnym razie, jak nasza sawantka, która musi użyć francuskiego języka. — Inni więc krzyczą na użycie francuszczyzny — przeklinają eleganckie salony; a ja staram się inaczej o wyprawienie za drzwi tego jegomościa — to jest daję wam w poezyi język gadany, prosty, niewymuszony, który każdą myśl, jak potrawę — ciepłą na stół podaje...

„Słowem, widzisz droga moja, że w tym liście Twoim ani razu nie byłaś opiekuńczym duchem, ale córką moją, która mi zamyślonemu głęboko rady daje, a ja słuchać ich muszę, ale się wewnętrznie uśmiecham... Inaczej było z pierwszym listem! Był on prosto wypowiedzeniem uczucia Twojego serdecznego i był świętym dla mnie... Odrysowałaś w nim poemat; o jakim marzyłaś, a to marzenie było prawdziwie piękne! tak piękne, że uczułem niemoc własną, jak architekt ogromnym planem budowy podanej mu do wykonania zatrwożony... Widzisz więc droga moja, że nie wtenczas, kiedy Cię wyższą i piękniejszą od siebie samego duchem zobaczę, ja smucę się; ale wtenczas, kiedy Cię widzę za światem gdzieś daleko za mną zostającą, to mnie rozpacz bierze! Bo za Tobą wprzód idącą ja zawsze dolecę kiedyś i będę przy Tobie. Ale dla Ciebie wrócić — ani ojczyzna, ani sprawa boża mi nie pozwoli...

...„Biada duchowi Twemu, jeśli Cię ten list obrazi albo zasmuci. Zatrwóż się wtenczas w sobie i pomódł się, i odczytaj go znowu — spokojnie i święcie. Odczytaj mój, te wyrzuty Twoje i rady — i pomyśl, czyliby one mogły być dane być przez Chrystusa? Z tym jednym to-nem ewangelicznym możemy równać nasze utwory, aby zobaczyć ich wartość. Otóż ja Ci powiem, że przed Chrystusem nie śmiałbym deklamować z zapalem ani „Szwajcaryi“ ani innych osobistych poematów. Ale deklamowałbym spokojnie opis walki na stepie z trzeciego aktu Salusi, albo też Wernyhory dramę w piątym... Więcej Ci powiem: wystaw sobie chłopka bogatego z rodziną już czytać umiejącą — za sto lat — w cichym gdzieś domku pod Krakowem. Odpoczywa po wojnie — szczęśliwy! — ogień pali się w izbie, a przy kalendarzu już i niektóre książki znajdują się na stole. Wystawę go sobie, że czyta Ballady-nę. Ten utwór bawi go jak baśń — a razem uczy go jakiejś harmonii i dramatycznej formy. Bierze Lille — to samo. Mazepa trochę mu się już wydaje nadto deklamatorskim. Lecz ujrzał Godzinę Myśli, albo Lambra —

i rzucił ze wzgardą te melancholiczne skargi dziecka niedorosłego! Otóż dla tego chłopka jest Salomea — Książę Marek — i Książę Niezłomny, ten Książę który mi kości wewnętrzne połamał — gdzie są pioruny poezyi, a z którym Ty nie masz żadnego związku, bo nie na nerwy, ale na samo czyste czucie uderza — nie melancholią, ale boleść obudza — nie rozhartowywa czytelnika, ale go czyni silnym i podobnym spokojnemu aniołowi. — Proś Boga najwyższego w dzień i w nocy o poezyą dla żywych ludzi... Kto pierwój z taką poezyą przyjdzie, ja mu z wszystkich książek moich postument zrobię i sam się położę pod nogami, aby stał wyżej i prawdę zawsze oglądał z wysoka. A póki takiego nie ma, nie równaj mnie z nikim — ale proś o ducha świętego i z ducha tego dawaj mi rady, a wtenczas będziesz mi prawdziwie opiekunką...

Matka poety załączyła była do listu, na który Juliusz obecnie odpisywał, nie wiem w jakiej właściwie myśli, dwa wizerunki Najświętszej Panny: jeden z nich był kopią jakiejś artystycznie, wytwornym pędzlem wykonanej Madonny i był przeznaczony dla Juliusza; drugi wyobrażał z całą prostotą obraz Matki Boskiej berdyczowskiej i był tu dołączony jako podarunek dla — Kirkora (w Balladynie). Do tychto więc dwóch obrazków ściągało się, co mówi autor w poniżej przywiedzionym ustępie:

„Z listu Twego wypadł naprzód obrazek N. Panny — ale nie ten Twój, tylko ów drugi, rycerzowi mojej tragedyi posłany. O jakże mi widok tej prostej Królowej w koronie... z berłem w ręku i z maleńkim Zbawicielem, a już z dzieciątkiem niby chudym i smutnym — w płaszczu który mi się wydał błękitnym, liliami złotemi uhaftowanym... jak mi ten widok był rozczulającym i rodzinnym!... a napis: „Berdyczowska“ — tasama, która nademną sto dzikich koni niby na skrzydłach anielskich przeniosła, abym był żyw dotąd i służył Bogu...” o jak to wszystko mi łyż wydarło! Natychmiast w jednej chwili te wszystkie wspomnienia — królewskość jej — w tym sztychu nawet jakaś święta niemoc prostoty — uderzyła na mnie cudowną potęgą... A potem w liście Twoim druga... pięknie

*) To się odnosi do rzeczywistego wypadku, który się zdarzył kiedyś w dzieciństwie Słowackiego, kiedy on razem z matką odbywał jakąś podróż z Krzemieńca do Żytomierza i Berdyczowa.

ubrana, z dzieckiem rumianém, w której nic nie było świętego, tylko myśl Twoja i chęć Twoja i dotknięcie rąk Twoich. — Wieszcze Ty, kto to jest Najświętsza Panna? Oto przez cztery tysiące lat cała natura — wszystkie ludy przeczuwały, że raz przez kobietę rozmiłowaną w Bogu złamane będzie prawo natury najpierwsze... Poeci przeczucie to zamieniali w kształt i ciągle o tém gadali; bo przyszłość tego cudu dawała się czuć duchowi świata. Stąd tyle Nimf greckich lub dziewic, które z Bogiem są zamężne. Wielkość tego przeczucia zatrzaża — powszechność jego zadziwia! Otóż duch Najświętszój Panny spełnił cud — i ludzkość cała jakby otrzymawszy to czego się spodziewała, przestała marzyć o półniebieskich związkach...*) Jakiżto więc duch był wielki i zdolny cudownej bożej miłości, kiedy zaspokoił serca bijące przeczuciem od lat tyłu, w tyłu ludach! A ta Matka, ściśniona miłością bożą, z jakim strachem i uszanowaniem musiała patrzeć na dziecko własne — ona jedna, która wiedziała, że miłością bożą ducha boskiego wywołała z niebios — i ten duch siedzi na rękach u niej — dzieciątko małe, a już cierpiące nad światem!... Ja, droga moja, byłem w Nazarecie i poszedłszy do lasu oliwnego, siadłem przy studni i czekałem, ażali mi się jaka postać podobna między Nazarenkami po wodę przychodzącymi nie zjawi... Otóż nie podług Twego obrazka oczekiwałem czegoś podobnego do niej — ale podług tej Berdyczowskiej, tylko w tęczowych kolorach — z niebieską przezroczystością i blaskiem. Wiem ja, że wizerunek jest niczem — ale jednak powinien być duchem wybrany podług uczucia. A ja chciałbym, ażeby uczucie Twoje było srebrne, jak gołębicą. Kirkor swój obrazek może nosić na piersiach podczas batalii — i po batalii leżeć z nim, cały krwawy, twarzą do Boga. A ktoby zobaczył, zapłakałby mówiąc: oto święta jakaś z jego ojczyzny przyniesiona... Ja mój obrazek za lustrem zatknąłem i jest mi drogi — ale nie odpowiada memu smutkowi i często bolesnej twarzy... itd.

W tym sporze między matką a synem my czytelnicy dziś podobno będziemy musieli stanąć stanowczo po stronie pierwszój; a możemy to uczynić z tém większą pewnością siebie, że i sam autor, już we dwa lata później, z żalem i wstętem wspominał —

*) Porównać z tém miejsce w Królu Duchu w tomie Pism pośmiertnych Iliin na stronie 203 i 204.

wprawdzie nie o obu utworach, których wtedy tak gorąco przed matką bronił, ale o Księdzu Marku. Przytoczę w jednym z dalszych rozdziałów dosłownie, co w tej mierze w r. 1846 Słowacki do Krasińskiego wyrzekł o owém dziele i o stanie duszy, który to dzieło spłodził. Tutaj zaś tylko dodaję, że jeżeli tej gorzkiej krytyki nie rozciągnął wtedy autor nasz i do *Snu Salomei*, to tylko przeto, iż nie było przy owej sposobności żadnej do tego przyczyny, żeby mówić także i o owym drugim utworze. Gdyby go jednakże był kto wtedy zagadnął i o *Sen Salomei*: toby był przyznał pewnie i tutaj poeta „wątpliwość dzieła i nędzę zewnętrzną w wykonaniu“.

Rzeczywiście bowiem miała słuszność matka poety, kiedy twierdziła, że obydwie te dzieła jak niebo od ziemi różnią się od wszystkiego, co dawniej pod piórem Słowackiego powstało. Sam już styl i zewnętrzna forma takowych okazuje coś szczególnego. Są to rzeczy niby dramatyczne, a ileż jednak zdarzeń najistotniejszą część osnowy tworzących, jest zbytych tylko w luźnej formie opowiadania. A jakie też nieraz dziwne jest ono opowiadanie! W ogóle dykcya tu przypomina rozbujalność poezyi wschodniej. Jest ona jakaś nieunoszona i nieujęta jak powódź, a leje się dyalogiem wezbrany nad wszelkie karby prawdopodobieństwa i miary. Po półtora sta, po półtrzecia sta, czasem po cztery sta wierszy z górą jest włożonych w usta jakiej figury perorującej jednym tchem — bez przerwy ze strony ludzi, do których prawi. Szczególna ta gadatliwość osób dramatu nie daje się spostrzeżeć w żadnym z dawniejszych utworów autora Mazepy.

Może niejeden z czytelników zechce tę dziwną rozwlekłość tłómaczyć uwagą, że w owej porze Słowacki szczególniej zajmował się Kalderonem. Zasiadł do Księdza Marka wkrótce po dokonaniu przekładu *El Principe constante*. Wyobraźnia jego nastrojona więc była, że tak rzekę, na ton tego hiszpańskiego poety. — Nie chciałbym żadną miarą przeczyć temu, iż niejedna odrębność formy czy to Księdza Marka czy *Snu Srebnego* składaną być rzeczywiście powinna na karb tegoż wpływu. Aż do pewnego stopnia mogła niezawodnie ta bujność wyobraźni wysłowienia, ta przewaga opowiadawczych i li-

ręcznych żywiołów nad ścisłą akcją, równie być następstwem przejęcia się tradycjami sceny hiszpańskiej, jak ów wiersz krótki ósmiozgłoskowy, którym obydwie te dramaty są ułożone, albo jak wreszcie ów podział *Snu Salomei* na „Zmiany“, w taki sposób że każda w akcie „pierwsza zmiana“ odpowiada scenie drugiej według skądinąd używanej praktyki, a „druga zmiana“ znaczy tyle, co trzecia scena itd. Mimo to wszystko nie sądzę jednak, żeby wszystko, co nas razi w tych Słowackiego pracach, dało się tłumaczyć samym tylko Kalderonizmem. Poeta nasz w owych latach nie mógł być naśladowcą na oślep obcych zalet i obcych błędów. Zresztą jest też niewątpliwie u niego tych wszystkich rzeczy, co zadziwiają, daleko więcej, aniżeli u Kalderona; a raczej — w tej ostateczności i przesadzie u Kalderona nie ma ich wcale!

Byłżeby Kalderon lub sam autor *Lilli Wenedy* dawniej darował sobie, gdyby mu kto w jego utworze był pokazał taki oto np. ustęp?

„Wtém, o Panie, na ohydne
Cmentarze i uroczyska,
Pod ciemne lip węzowiska,
Od kurhanów na kurhany —
Wiodąc światła złotych roje,
Przez miesiąca ołowiany
Blask — sunąc chorągwi tęczę;
Na wieczności gdzieś pokoje
Snujący złote obręcze
Wąż — pogrzeb wioszczany lichy,
Pachnący czarnym jałowcem,
Wszedł i rzucił nad grobowcem
Trumienkę, bez żadnej pychy
Ale ubraną w kielichy
Narcysowe i w konwalie;
Jasna bo w niej anielica
Ubrana jak na batalie
Z piekłem, w słoneczności lica
I w niewinności ubiory,
I w te ostatnie kolory
Śmiertelnej podobne zorzy,
W ostatni rumieniec przedboży,
Leżała.“ *)

*) Z aktu IVgo sceny pierwszej *Snu Salomei*, str. 284 i

To wszystko jest jedno zdanie! jeden obraz pogrzebu ciągnącego zwolna przez stępy. I mówi to najrozumniejszy człowiek w dramacie, jedyna w nim prawdziwie bohatera natura, rycerz nie gawędzeniem wstawiony, ale dzielnością. Słowem: *S a w a* to mówi! Peroruje zaś tak przed samą bitwą, wśród półtrzecia stawierszy dalszej gawędy, ujętej w zdania mniej więcej tegoż kalibru!

Żeby takie rzeczy pojąć — u Słowackiego — nie można się zaprawdę zaspakajać odwoływaniem do tych lub owych okoliczności literackich, jak np. do studyów nad Kalderonem. Byłto raczej skutek przewrotu, jakiemu podległo całe stanowisko poety od pierwszej chwili, kiedy do koła Towiańszczyków przystąpił. Byłto owoc — że tak powiem: jego nowej wiary.

Od tej pory wyrobił on w sobie bowiem to przekonanie, że wszystko piękne i prawdziwe i wielkie, czego człowiek dokonywa, nie dzieje się jego rozumem, ale się staje jedynie za sprawą jego ducha. Duch zaś wedle niego — to istota najzupełniej odrębna, będąca w ciągłym prądzie działania w wytkniętym ściśle kierunku. Ciało i cała osobistość człowieka, ze wszystkimi nawet władzami umysłowymi — to tylko doczesny pobyt onego ducha, jakby naczynie, które on zapełnia, ażeby je po zużyciu rzucić i zamieniać po kolei na coraz inne. Ponieważ duch mieszkający w człowieku nie może w ciągu krótkiego życia dopełnić całej misji, dlatego po zgonie albo się rodzi napowrót w nowym jakim ciele i ciągnie dalej pracę poprzednich żywotów, albo też jako duch niezrodzony i niewidzialny okrąża głowy ludzi mających w sobie pokrewne duchy i wpływa swoją potęgą na nich, ażeby im do ostatecznego spełnienia swojego posłannictwa dopomóc. Im więcej tedy człowiek się poddaje tajemniczemu pchnięciu czy to tego ducha, który przez niego działa, czy też owych duchów, które go okrążają: tém pewniejszym być może, że to co działa, jest jego obowiązkiem istotnym. Przeciwnie, im więcej polega na sobie samym i na własnym swoim zastanowieniu, im więcej ufa swojej w trudzie i znoju pozyskaną wiedzę i bierze

285 wydania lipskiego. Nie jest to bynajmniej miejsce szczególnie upatrzone, lecz wzięte na chybi-trafi.

rzeczy, jak to mówią, na rozum: tém więcéj właśnie przez to stawia oporu owym wyższym nieśmiertelnym natchnieniom, a tém samém tém więcéj błądzi i grzeszy...

...„Wystaw więc sobie — są słowa poety naszego wyrzeczone w liście do matki z d. 28 lipca 1843 — że duch kaźden ma swoję misyą na ziemi; że duch kaźden zawięzuje stósunki z podobnymi duchami bez ciała już będącymi, które także podobną misyą miały i o dokończenie jéj dbają. Możemy więc uczuciem łączyć się z nimi, a one wtenczas nam dają natchnienia, i według naszej wiary i czystości coraz wyraźniéj je mówią do serc, a potém nieraz do uszu i do oczu. Cały więc lud nasz umarły dawno jest z nami — i to jest obcowanie świętych, którego księža nie mogli nam wytłómaczyć, to jest. włac go w wiarę naszą. O! uczuj to droga i wypracuj, a obaczysz, w jakieć my wielkieć rzeczypospolitéj żyjemy; obaczysz dla czego ja po morzach wędrował i po pustyniach błądził, a nigdy mi się nic złego nie stało. Bo wiedziały duchy, że ja w swoim czasie może będę potrzebny“... itd.

Przyjawszy tedy powyższe założenie za dogmat, miał poeta nasz to przekonanie, że kiedy chodzi o dobitne a skuteczne przełanie w ludzi tego co im potrzebne jest wiedzieć, czy to za pomocą mowy czy pisma: starać się trzeba o jak najzupełniejsze poddanie całego swego jestestwa téj bezpośredniéj mocy ducha, co działa przez nas, a o jak najdalsze od współdziałania usunięcie tych wszystkich władz naszych własnych, któreby kontrolować może chciały to co się czyni z ducha. Będąc tedy autorem, im się bardziéj pisze na oślep, jednym tchem, duszkiem: — tém lepiéj!

Z téjto przyczyny znajdujemy często takie oto wyrażenia w jego korespondencyi:

„Droga moja! trudność mam wielką w pisaniu tém; albowiem nie jest to pisanie i uwiadomianie Ciebie, ale przelewanie ducha, który mię ożywia, w Twojego ducha“... (d. 18 marca 1843).

...„Jak szalony piszę prędko, chcąc aby jak najwięcéj ducha wylało się ze mnie i poszło utwierdzić, żywić Ciebie i rozmiłowywać w Bogu i przywiodło do celu, nie katując mię cielesnie, ale łagodnie prowadząc (*sic*). On staremu memu duchowi,

co już długo musi na świecie żyć, bo wiele sobie instynktowie przypomina z dawnych żywotów, pozwolił teraz dowiedzieć się nareszcie, jak mam dopełnić misyi, abym nie potrzebował już wracać i oblekać gorsze lub lepsze ciało, ale abym już poszedł między aniołów i stamtąd jeszcze natchnieniami, miłością dopomagał tym, co za mną idą... Pisałem tak, że m się aż zmęczył, i lękam się odczytać słów napisanych, bez ładu bowiem i z przeładowaniem być muszą. Ale cóż robić! Ty dobra, Ty miła jesteś wielu dobrym duchom tych, co już poszli ze świata; będziesz więc niała wielu tłumaczy i tych, którzy prawdę potwierdzą"... (d. 28 lipca 1843).

Zastósujmy to, co tu w liście czytamy, do dzieł poetycznych Juliusza: a będziemy mieli wytłomaczoną całą zagadkę. Pisał on wszystko w tój porze, że tak powiem, jednym pędem, nie zastanawiając się wcale nad tém, co pisał i jak pisał. Nawal pomyśłów i obrazów, cisnących mu się w gorączkowo usposobionej wyobraźni pod pióro, uważał za przysłane sobie z ręki wyższej i nie przebieając robił użytek ze wszystkiego. A napisawszy — nie śmiał już nic wykreślić ani odmienić, ponieważ poczytywał to sobie za podyktowane niejako z góry. Nie był Słowacki tedy już względem utworów swoich artystą, sędzią, twórcą odpowiedzialnym; ale widzimy w nim jedynie ślepe narzędzie w dłoniach czegoś drugiego, coby trudno było sprowadzić do jakiegó nazwy.

W najdosłowniejszém zatem znaczeniu uważać można obydwa te dramaty jego ostatnie za prawdziwe improwizacye. Były to improwizacye i ze względu na dykcję, na wiersz, na całe wykonanie zewnętrzne — i ze względu nawet na pomysł. Boć i nad tą wewnętrzną stroną kreacyi nie rozmyślał on już odtąd zbyt wiele. Przyszła mu jakaś idea na myśl — uczuł w sobie, jak się zwykł był wyrażać, jakby mocne pchnięcie od Boga do pracy: porywał tedy za pióro w piérwszém natchnieniu i tak — bez artystycznego obmyślenia inwencji — rosły postaci i zdarzenia pod tém piórem jego rozbieglém, aż dzieło stanęło całe. Rozumie się, że nie kto inny, tylko poeta je stworzył; ale sprawy on z nich sobie ani zdawał ani chciał zdawać. Nie sądził bowiem, żeby i to jeszcze należało do niego.

... „Teraz Ci powiem, droga moja (pisał d. 30 listopada 1844 r.) że ja sobie żadnego z moich utworów terażniejszych wytłumaczyć nie mogę. Nie wiem bowiem, skąd przychodzą, i dokąd idą; ale czasem względem nich są dziwne okoliczności, które mi dowodzą dziwnego związku tych rzeczy z światem niewidzialnym, a stąd i potrzeby ich dowodzą. Widzisz Ty, jak ja ukochałem Księcia Niezłomnego, w którym Chrystus w Afryce zwycięża, lecz nie przez miecz, ale przez męczeństwo. A ledwom ja to wymalował na nowo i pokazał: odpowiedział mi zaraz Chrystus grzmiotem dział i pokazał różnicę, jaka między jego przeszłemi a przyszłemi zwycięstwami być powinna. W kilka godzin upadło przed nim Tangierskie mocarstwo... W innym rodzaju, ale nie mniej dziwny wypadek był z moim Salmonem z Lilli Wenedy. Oto w istocie na rok potem pewien Salmon zabił jakiegoś Juliusza w lesie — nie dla pieniędzy, ale tak jak w tragedyi, dla wzięcia papierów i nazwiska zabitego człowieka. Zabójstwo to zostało odkryte i ukarane. A dla mnie jest niby rzeczywistą krytyką przez jakieś duchowe władze krwawemi literami napisaną. Mniejszych mnóstwo mógłbym Ci zacytować wypadków. Kurd jeden, który mi konie wynajął w Jerozolimie, gdym jechał do Nazaretu, nazywał się Kirkor — tak samo jak ów Kirkor, który wykrzykuje w tragedyi (w Balladynie), że gdyby był przy męce Chrystusa, to zbawiłby zbawcę itd. Dlaczegoż ten rycerz pokazał mi się w Jerozolimie?... Rzeczy te małe, uważane dowodzą, że spełniamy jakąś misyą; że nas trzeba było, kiedyśmy byli; a nie będzie, jak nie będzie potrzeba“...

Po tém wszystkiém, com powiedział, rozumiem, że nie będę się potrzebował tłumaczyć przed czytelnikiem, dlaczego nie uważam za stosowne podejmować właściwego rozbioru Księdza Marka i Snu Salomei. Są to rzeczy, któreby rozbioru szczegółowego wcale nie wytrzymały. W Księdzu Marku znajdują się niewątpliwie tu i owdzie (a szczególnie w akcie I) ustępy genialnie napisane i takiej siły, że małoby który utwor dawniejszy — nie tylko Słowackiego, ale któregokolwiek z najznakomitszych poetów naszych, potrafił okazać w składzie swoim coś podobnego! Ale całość kompozycyi i ogólne autora założenie żadną miarą myślnego człowieka zaspokoić nie mogą. Czytałem przed kilku laty

jakiś nibyto rozbiór tego dramatu, napisany przez jakiegoś bezimiennego, który o nim sądził inaczej^{*)}). Argumenta owęj krytyki niestety nie zdołały mi otworzyć oczu na osobliwe piękności, jakie w nim autor szanowny upatruje! Zdaje mi się, że trzeba szczególnego bałwochwalstwa dla geniuszu Juliusza, ażeby posunąć się aż do wyrzeczenia słów, że „głęboko pomyślany i mistrzowsko rozproszony jest ten dramat“. Byłbym niemało wdzięczny autorowi, gdyby krótko a węzłowato raczył wypowiedzieć ów pomysł, który mu się w Księdzu Marku wydawał tyle głębokim; i gdyby nie w luźnych słowach, ale w sposób właściwy chciał wskazać objawy upatrywanego w nim mistrzowskiego przeprowadzenia. Możebyśmy przy tej sposobności usłyszeli jakie nowe idee estetyczne, któreby nam przyniosły nowe kryteria piękności w sztuce... Że w Księdzu Marku trafiają się tu i owdzie potężne szczegóły, to sam z góry przyznałem. Takowe jednakże nigdy się z sobą nie kleją i nie tworzą w połączeniu takiego ogólnego obrazu, któryby czytelnika zachwycił i podnosił... Książd Marek ma skądinąd tę jeszcze niepospolitą zaletę, że czuć w nim pęd bezpośredni natchnienia i surową wiarę pisarza w to wszystko, co wypowiada. Widać też i obecność utajoną na dnie serca poety, pewnej żywotnej myśli, o której na jaw z wielkim trudem wydobyć mu chodzi. Myśl ta wszelako zaledwie się snąć dopiero była zrodziła w otchłaniach jego ducha. On jęj sam nawet jeszcze twarz w twarz nie ogląda! A i my ją w dziele jego zaledwie odgadujemy. Nie przyszło bowiem do tego, ażeby idea zamieszkała w całej osnowie dzieła i była przeprowadzoną jak prąd elektryczny przez wszystkie jego włókna i części.

W ogóle trzebaby być choć do połowy Towiańszczykiem, ażeby mieć zdolność pochwycenia całej intencji autora. Wszystko tu bowiem polega na przypuszczeniach, na które, jeśli się nie jest w tym wirze pojęć, wcale przystać nie można. Każdy krok w ostepie dramatu polega na interwencji władz nadzmysłowych. Od

^{*)} Obacz nieboszczkę Turowskiego Niewiaścę (r. 1862. Nr. 13 i następne).

cudownego wystrzału z działa, kiedy książd Marek Krasińskiego do pozostania w Barze na początku sztuki namawia, aż do śmierci bohatera w samym jej końcu, wszystkie prawie sceny sąto cuda! a co gorsza, cuda nieuzasadnione ze stanowiska poprzednich działań. Takie powiązanie zdarzeń, taka logika faktów — to już sfera, w której człowiekowi być zaczyna duszno i straszno i tak nieswojo, jak na cmentarzu o północnej godzinie.

— „Sen Srebrny Salomei“ nierównie więcej ma okągłości i wykończenia, aniżeli utwor poprzedni. Mimo to jednak i tutaj ostateczny zamiar autora nie jest tak jasny, iżby sam przez się uderzał w oczy. Na pierwsze spojrzenie zdaje się to być tylko prosta udratyzowana powiastka o dwóch małżeństwach, których dojście do skutku stało się podobném dopiero w skutek różnych nieszczęść i trwóg krajowych, jakie przeszły ludziom ówczesnym nad głowami. Dlatego też zatytułował to dzieło swoje poeta romansem dramatycznym — a więc niejako powiastką, romancą. Z tém wszystkiém przezierają i tutaj pewne ukryte, zaledwie dostrzeżone intencje głębsze, które ze sprawą tych dwojga małżeństw w przypadkowym tylko zostają związku, a dotyczą najżywotniejszych kwestyi całego społeczeństwa narodowego. Gdyby związek między osnową sztuki, stawioną, że tak powiem, na pierwszym planie, a temi ideami ogólniejszego znaczenia był wydatniejszy; gdyby te ideje, te wieszczce przekonania poety, te sądy o społecznych narodu naszego winach, fatalnościach a w najdalszej perspektywie wreszcie nadziejach były więcej sformułowane i artystycznie wcielone; gdyby nakoniec nie było ze strony formy tyle powodów do protestacyi: — byłoby to jedno z najznacniejszych arcydzieł naszych. Byłby to pomnikowy wyraz wieszczój teodycei ducha polskiego! Ale właśnie téj pewnej ręki, téj dokonanej myśli artysty i filozofa nie widać w Śnie Salomei! Są tu tylko zarody i błyski genialnego pomysłu; ale do rozprawdzenia tego pomysłu i postawienia go na jaw wszem wobec i każdemu z osobna — na nieszczęście nie przyszło! Migają się tedy tylko od czasu do czasu przed oczyma naszymi złudne skazówki, w myśl których idąc, zdaje nam się,

że potrafimy podążać w ślady za pędem ideału poety. Ale każda taka skazówka przez krótką tylko chwilę wiedzie do celu, a niebawem potem zawodzi. Albo ją bowiem zgola traciemy z oczu, albo też doprowadza nas ona do takich punktów widzenia, że patrząc z nich na to co się dalej otwiera, nie radziibyśmy szli dłużej tąsamą drogą; zdaje nam się bowiem, że błądzimy po jakimś labiryncie, z którego nie ma wyjścia...

Dlatego też jeżeliby się miało określić etyczny sens *Snu Salomei*, trzeba by treść dramatu do połowy prawie zapomnieć. Tylko bowiem z oddalonego spojrzenia na całość tej zawilej i przeładowanej kreacji można odważyć się do robienia wniosków o głównej intencji jej autora. Niejednoby też dopiero trzeba nadłożyć, a i niejedno jako niepotrzebne i zawadzające usunąć, jeżeliby miał stanąć przed nami czysty i cały pomysł poety.

— Po ogłoszeniu *Księdza Marka* i *Snu Salomei* Słowacki nie ustawał w ciągłej pracy to nad tym, to nad owym przedmiotem. Nowe wyobrażenia, które wstrząsały całym jego jestestwem, nasuwały mu coraz dalsze widoki i zażęgały go do coraz innych przedsięwzięć. Chodziło o poetyckie na jaw wydanie tego wszystkiego. Rzecz była trudna nad wszelki opis. Najodważniejsze pojęcia, najmglistsze filozofematy, najniklejsze błyski w genialnej lecz chorobliwej fantazyi, miały się przywdziewać w ciało i przetwarzać w kształty plastyczne. Najczęściej kończyło się też na zamiarach, na planach, na samém tylko wreszcie zaczęciu dzieła. Już to niestosowność w samym wyborze przedmiotu, już przechodząca po za wszelkie granice sztuki przedmiotu tegoż rozległość, już nakoniec i samo to nieustające nasuwanie się coraz nowych projektów wytrącało poecie pióro. z ręki nad rzeczami co tylko rozpoczętemi...

W następstwie tych wszystkich wyjątkowych okoliczności pozostało z tej epoki życia Słowackiego wiele pism różnych nośzących wyraźne znamię jego usposobienia w tych latach. Jest między nimi znaczna ilość wierszy ulotnych i lirycznych, po większej części teozoficznej treści. Niektóre z nich świadczą wymownie o dawnej sile tego genialnego poety, niektóre znowu giną zupełnie

w mglistościach mistycyzmu. Z téj też przyczyny zaledwie połowa tego, co się z lirycznych poezji dało wyszukać w papierach po śmierci autora, mogło znaleźć pomieszczenie w pozgonnym zbiorze dzieł jego.

Nie brak także i na dłuższych utworach, najczęściej dramatycznego zakresu, które przypadają na one lata. Wszystkie pisma téj kategorii doszły nas tylko w niewykończonych ustępach i urywkach, które zapewne nigdy nie tworzyły całości. Urywki te jednakże dochodzą niekiedy obszerności kilku set, a czasem kilku tysięcy wierszy.

Jest między nimi np. znaczna część jakiegoś dramatu osnutego na tle starodawnych dziejów Nowogrodu. Chodziło, zdaje się, o okazanie despotyzmu Mongołów nad spodlonymi książętami Rusi. Rzecz ta jest bez dokończenia, obejmuje wierszy 628. Jest pisana pod wpływem tradycji kalderonowych, owym dyalogiem długim i przeobitym, któryśmy już wytknęli przy innéj sposobności. Nie zdawało mi się, żeby dzieło to zasługiwało na ogłoszenie; w tym stanie bowiem, w jakim ono pozostało, mało by kogo osnową swoją zajęło. Nad wszystkiém góruje tu mistyka i niezrozumiałość.

Do pism tegoż rodzaju i czasu odnoszę fragment liryczno-dramatyczny, który zamieściłem w pierwszym tomie mego wydania pod napisem *Poeta i Natchnienie*. Ze stanowiska ówczesnéj doktryny autora, natchnienie nie znaczy podniesionego stanu duszy człowieka, ale istotę odrębną, która go okraża i jest osobnym duchem. Dał mu tu autor nazwę *Ateasy*. Utworowi niniejszemu nie można odmówić pewnego wdzięku i artyzmu w oddaniu; chociaż podobać się tylko mogą poszczególne ustępy, a całość jest niezrozumiała. Niezrozumiałości téj nie to przyczynę stanowi, że fragment nie tworzy większéj całości, ale że nam tak zupełnie braknie klucza do otworzenia sobie i wglądnięcia w ten cały świat mistycznych wyobrażeń i przypuszczeń, wśród jakich w owym czasie żył wyobraźnią i wiarą swoją Słowacki. Cała treść utworu, o którym tu mówimy, ściąga się do przeszłych żywotów, jakie autor w najodleglejszych epokach przypisywał sobie jako przebyto

przez siebie. Trzebaby przeto te wszystkie marzenia jego ówczesne znać szczegółowo, żeby rozumieć urywkowe aluzje do nich odnośne, których taka obfitość w tym poemacie. A to jest rzeczą tém bardziej niepodobną, że tego rodzaju marzenia ciągle się w duchu Juliusza przeistaczały, jak się to wykaże dowodnie w roz-biorze Króla - Ducha.

Pozostały też fragmenty z nader rozległego jakiegoś przed-sięwzięcia, którego przedmiotem miał być **Zawisza Czarny**, ten rycerz bez trwogi i fałszu, słynny w ciągu panowania Władysła-wa Jagielly. Jestto utwór dramatyczny z rodzaju rzeczy nieprze-znaczonych dla sceny. Zawiązek sztuki stanowi zwycięstwo Jagielly nad Krzyżakami pod Grunwaldem. Zachowanie się obłudne cesa-rza Zygmunta względem króla polskiego, zdaje się, że miało po-służyć za tło dla dalszej osnowy. Wplata się też do tego i ro-mans jakiś. Ale pierwszorzędną potęgą z ducha i sprężyną wszy-stkich zdarzeń, które się tylko tam dzieją, jest w tym poemacie **Zawisza**, osobistość tajemnicza, głęboka, nieodgadniona, słowem me-syaniczna — coś nakształt księdza Marka w zakresie konfederacji bar-skiej, lub Wernyhory pośród scen rzezi humańskiej. — Stan rękopisu mieszczącego w sobie ten utwór daje wnioskować, z jaką trudnością połączony był dla autora, pracującego dawniej z taką łatwością, ten trud wcielania w dramatyczne kształty poezyi, mętnych i niechwytnych pojęć nowej doktryny. Niektóre części są przemaza-ne po pierwszym rzucie i przerobione inaczej, i to nie tylko po raz drugi, ale niekiedy i trzeci. Wreszcie całe założenie rzeczy snąć się musiało autorowi uprzykrzyć. Porzucił co był napisał, i już potem nigdy nie tknął na nowo tego przedmiotu. Pozostało tedy kilka tylko już to dłuższych już krótszych ustępów, nie stanowiących ani całości ani ciągu. Gdyby je złożyć, zapłaciłyby one razem kilka arkuszy druku. O planie zamierzonej całości nie można sobie z tego utworzyć wyobrażenia. Co jest wykonane, oka zuje myśl głęboką, ale pracującą pod brzemieniem czegoś choro-bliwego. Dlatego też widziałem się zmuszonym wyłączyć poemat piniejszy z liczby rzeczy przeznaczonych do ogłoszenia.

Do tegoż czasu odnieść należy jeszcze jeden utwór takiejże formy i podobnej osnowy. Mówię o poemacie fantastycznym, pełnym najśmielszej cudowności, który nie wiem jakby mógł być najstósowniej nazwany. Jednym z tytułów, jakie się nasuwają, mógłby być **Samuel Zborowski**. Jest to rzecz niewykończona, wielkich rozmiarów — obejmuje około 3 tysięcy wierszy; pomimo tego daleko tu jeszcze od ostatniego z tychże wierszy do końca. Autor zamierzał tu w poetyckiej szacie ukazać fundamentalne pewniki swojej wiary filozoficzno-społecznej, jako je później wyłożył w traktacie prozą pisany, a zatytułowanym „Geneza z Ducha”. Wyprowadził zatem na scenę w „Samuelu Zborowskim” i ludzi żyjących i duchy umarłych i fantastyczne postaci, wzięte już to z różnych mitologii pogańskich, już ze starego Testamentu. Chodziło mu nasamprzód o okazanie tego wątku twórczego (którym wedle niego jest duch), snującego się genetycznie a nieprzerwanie przez wszystkie stopnie i warstwy rzeczy stworzonych, od najnie-doskonalszej formy do coraz doskonalszej, od najnieudolniejszego jestestwa do coraz wyższych w łańcuchu stworzeń organizacyi zwierzęcych, aż nareszcie do objawienia się wyraźnej już duchowości w człowieku. A dalej zależało pocie także na stawieniu przykładu, jako i odtąd jeszcze duch nieśmiertelny, już w człowieku działający, nie zaprzestaje tego ruchu coraz wyżej go niosącego, lecz zamieszkuje w kolei czasu coraz inne ciała ludzkie, szukając sobie form coraz dogodniejszych i doskonalszych. Przed oczyma tedy naszymi odbywają się w poemacie tym ciągle przeistoczenia i metempsychozy, skutkiem których nieraz jedno i to samo ciało służy coraz innym duchom za szatę, i odwrotnie jeden i ten sam duch przybiera sobie po kolei coraz inne ciała za naczynie i narzędzie istnienia. Czytelnik wyrozumie, że już w skutek samego założenia, w skutek samego mówię przedmiotu, poematowi temu zbywać zupełnie musi na jednotliwej i jednolitej osnowie. Składa on się z kilku działów bardzo luźnie spojonych z sobą. Dwa między nimi są szczególniej odrębne. Pierwszym z takowych jest wywód, dany tylko w kształcie opowiadania, a nie dyalogu, opowiadania mówię włożonego w usta istoty, która sobie wszystko to przypomina, czém kiedykolwiek

była. Wywód ten obejmuje wszystkie przemiany i koleje stworzenia przed przyjściem na świat człowieka, a zatem niejako kosmogonią czyli genezę przyrody martwój i zwierzęcej przed wyłonieniem z materii kształtu ludzkiego. Główną rolę odgrywa w tych ustępach „Lucyfer,” który bynajmniej nie występuje tu jako duch zły, lecz tylko jako duch zaprzeczenia i ruchu, a więc — że tak powiem — jako pierwiastek w zakresie natury „rewolucyjny i wiecznie wszechczynający”. Widząc w nim poeta ziarno wszelkiego postępu, czynnik nieznuzonego prądu coraz wyżej w stworzeniu, uważa go za przedwiekowy zaród ducha, który zanim zamieszkał w człowieku, stawał się po kolei wszystkim, co tylko w świecie stworzonym istnieje, więc wiewem atmosfery, wodą, kamieniem, płazem, itd. itd. Duch ten więc w taki sposób przewlekl się i przewił w tysiącu postaciach i jestestwach przez całe przyrodzenie. — Drugim epizodem, równie stanowiącym pewną całość odrębną, jest w tym utworze spór duchów ludzi, którzy za życia wyznawali wprost sprzeczne sobie idee, wyznają je z równą wyłącznością i po za grobem i wytaczają ostatecznie ten proces odwieczny zasad przed najwyższą instancją — przed sąd boży... Wprowadzony jest na scenę duch Samuela Zborowskiego i zapożywa przed trybunał samego Boga Jana Zamojskiego, oskarżając go o niesprawiedliwy i występnie zapadły wyrok śmierci, którego na nim kazał dopełnić. Zamojski—jak tylko może — usprawiedliwia swoje postępowanie. Powody jego zdają się być wielkiej wagi. Ale w charakterze „Adwokata” Zborowskiego występuje zrazu znowuż Lucyfer, a w dalszym toku wytwarza się z owego Lucyfera samże poeta nasz, gorliwie przemawiający w obronie swego klienta, i... Samuel wygrywa proces! Dlaczego zaś właśnie ten moment dziejów polskich obrał sobie autor na okazanie światodziejowego swego problemu, z tego się nie tłumaczy.

Przeczyć temu oczywiście nie można, żeby nie miał i w tej kreacji uderzać w tém lub w owém miejscu potężny geniusz poety; całość jednakże smutne sprawia wrażenie! Beźład — zamęt — brak zupełny tak artystycznego układu, jako i jasnych pojęć — wszystko to zdradza, z jak mętnego stanu ducha dzieło niniejsze

wynikło. Wiersz i dykcya jest z rodzaju Księdza Marka Salomei. Jak owe wywody kosmologiczne zdawać się muszą w oczach prawdziwego znawcy w tym zakresie umiejętności, bałamutną tylko bujną wyobraźni fantazmagoryą, tak też i wyobrażenia o dziejach naszych i o porządku polityczno-społecznym, rozwinięte w ustępie o Zborowskim — nie wytrzymałyby ani na chwilę historycznej krytyki. Słowacki upatruje w Samuelu typ czegoś bardzo wzniosłego; widzi w nim narzędzie opatrnościowych zamiarów i twierdzi, że go Zamojski na śmierć wskazał nie tylko niesprawiedliwie, ale i ku niepowetowanej szkodzi dla całego powodzenia narodu. Przez tento bowiem wypadek miał się bieg życia politycznego Polaków najfatalniej skrzywić i cofnąć na kilka wieków... Co to jednak za wzniosłość i wielkość była w Zborowskim? i na jakich podstawach opiera się pewność poety, kiedy się tak stanowczo z zdaniem podobnem odzywa? — na to w poemacie odpowiedzi nie znaleźć.

Oczywiście w żaden sposób nie można było drukować rzeczy tej razem z innemi Słowackiego dziełami, które objęto w wydaniu lwowskiem.

— To są prace z owęj epoki w zakresie poezyi. — Więcej jeszcze pozostało pism treści niby rozumującej i teozoficznej, prozą, pochodzących z tegoż czasu. Pomimo wielkiej takowych ilości, i to są same prawie tylko rzeczy pozaczynane, urywkowe, ledwie wyjątkowo wydatniejszą całość tworzące.

Słowacki w owych latach, jak to widać ze wszystkiego, bardzo wiele musiał rozmyślać. Formułował i budował on sobie z wielkiem wysileniem jakiś powszechny system wiary i wiedzy. Chciał w nim ująć różne swoje pomysły w jednym wywodzie. Brak porządnego naukowego przygotowania, ubóstwo pozytywnej wiedzy, mała wprawa w ścisłym myśleniu, niewielka znajomość życia, serca ludzkiego i tego toku, jakim idą sprawy na świecie — oto przyczyny, które sprawiły, że te usiłowania jego zupełnie mu się nie wiodły. Pomysły jego były czasem, choć bardzo rzadko, błyskami genialnej intuicji. Zazwyczaj były to jednak tylko luźne marzenia, dziwolagi filozoficzne, utopie społe-

czne... W każdym razie atoli przyznać należy, że pracował on w owój porze umysłem ciężko i wiele. Czytał dzieła w różnych przedmiotach, zaciekał się w poszukiwaniach nad ostatecznymi kwestyami życia, biorąc w pomoc wszelkie nauki, zaglądając nieraz i do dzieł filozoficznych, nawet niemieckich, o ile takowe za pomocą tłumaczeń dla niego były przystępne.

W skutek takiego naprężenia umysłu nad przedmiotami więcej naukowej i praktycznej natury, pozostało w papierach jego notat i najrozmaitszych studyów prozą pisanych z owego czasu tyle, że wnosić można, iż utwory poetyckie, o których co tylko dałem powyżej wiadomość, stanowić musiały wyjątkowe chyba tylko Słowackiego zajęcie poczynawszy od roku 1842. Są to aforyzmy, sentencje, filozofematy, rozmyślenia — w zakresie religii, znawstwa przyrody, mitologii, historii i społecznych teorii; wreszcie modlitwy, kazania (miane zapewne w gronie współwyznawców), listy dogmatyczne do niektórych osób w materji przyswojonego sobie systemu, a czasem i dłuższe prace. Ostatnie pisane były zazwyczaj w formie dyalogu, na wzór Platońskich dyalogów, albo też w kształcie ewangelii i apokalipsy.

Z tych pism wszystkich użytku zrobić nie było można dla świeżo dokonanego dzieła pośmiertnych wydania, ponieważ są to rzeczy, jak się już powiedziało, bez początku i końca i nie doprowadzone też do tego choćby tylko stopnia jasności, iżby dobrze rozumieć można było, co chciał przez nie Słowacki ostatecznie powiedzieć. Pełno tam zawsze bowiem przypowieści, porównań, obrazów poetycznych, słowem najśmielszych rozpędów i zboczeń, które nibyto mają tém lepiej kwestyą rozjaśnić, ale jęj nie rozjaśniają. Zabierają tylko miejsce, rzecz na tém nic nie zyskuje, a to, o co chodziło, tymczasem ulatuje z pamięci...

Jedna pomiędzy temi pracami, nieco później zapewne wykonana, znalazła się w papierach w takim kształcie, że ją uważać można i za syntezę niejako wszystkich owych przygotowań zrazu daremnych i za wysłowienie ostateczne całej wiary i wiedzy poety, na której sformułowaniu i przekazaniu potomności tak bardzo mu zależało. Napis tego utworu: „Genesis z Ducha, Modlitwa.“

Jestto rzecz wielkich rozmiarów, wypowiedziana uroczyście, w formie wyznania wiary, zwróconego ku samemu stwórcy wszech rzeczy, a zatem rzeczywiście w formie modlitwy.

Oto początek tego mistycznego traktatu:

„Na skałach Oceanowych postawiłeś mnie Boże, abym przypomniał wiekowe dzieje ducha mojego; a jam się nagle uczuł w przeszłości Nieśmiertelnym, Synem Bożym, stwórcą widzialności i jednym z tych, którzy Ci miłość dobrowolną oddają na złotych słońc i gwiazd girlandach.

„Albowiem Duch mój przed początkiem stworzenia był w Słowie, a Słowo było w Tobie—a jam*) był w Słowie.

„A my duchy słowa zażądaliśmy kształtów i natychmiast widzialnymi uczyniłeś nas Panie, pozwoliwszy, iżemy sami z siebie z woli naszej i z miłości naszej wywiedli pierwsze kształty i stanęli przed Tobą zjawieni.

„Duchy więc, które wybrały za formę światło, odłączyły od duchów, które obrały objawienie się w ciemności; i tamte na słońcach i gwiazdach, a te na ziemiach i księżycach rozpoczęły pracę form, z której Ty Panie odbierasz ciągle ostateczny wyrób miłości, dla której wszystko jest stworzone, przez którą wszystko się rodzi.

„Tu gdzie za plecami mojemu palą się złote i srebrne skały nabijane mikowcem, niby tarcze olbrzymie przysnione oczom Homera, tu gdzie odstrzelone słońce oblewa mi płomieniami ramiona, a w szumie morza słychać ciągle głos pracującego na formę Chaosu; tu gdzie duchy tasmają, co ja niegdyś drogą wstępują na Jakubową drabinę żywota; nad temi falami, na które duch mój tyle razy puszczał się w nieświadome horyzonty, nowych światów szukając: pozwól mi Boże, że jako dzieciątko wyjąkam dawną pracę żywota i wyczytam ją z form, które są napisami mojej przeszłości.“...

Po takim początku, obejmuje dalsza osnowa Genezy z D u c h a niejako przypomnienie pierwszych początków

*) Jam, nie ja; bo ja osobą jest, a tam osoby nie było jeszcze. (Przyp. Słowackiego).

odwiecznej istności świata, przypomnienie zaczerpnięte z wnętrza własnego ducha, który w tém wszystkiém uczestniczył. Jest to więc w kształcie dziejowej opowieści, w kształcie platońskiej anamnezy, obraz kolejnego przeobrażania się i doskonalenia planety naszej, z tém wszystkiém co na niej żyje i żyło. — Nie brak w tém dziele rzeczy, które bardzo pięknie i poetycznie pod względem formy rozpowiada poeta; jednakże nie można w niem niewiedzieć też wielu marzeń i dziwnie przekreślonych pewników naukowych. A główna myśl, którą odsłania jakby objawienie nowe, sobie dopiero odsłonięne, nie jest i nie była już wtedy właściwie niczém nowém w nauce. Mówię tu o tém dziś już powszechnie uznaném założeniu, że wszystkie rzeczy i żyjątka w stworzeniu — od kamienia poczynawszy aż do organizmu człowieka — stanowią łańcuch nieprzerwany i jednolity. Wszystkie ogniwa tego łańcucha są to jakby stopnie coraz wyższego wyrazu téj siły twórczej, która to wszystko wydobywa z niebytu, z łona materii. Cała „Filozofia Natury“ Hegla (niemniej zresztą w szczegółach bałamutna, jak i Geneza Słowackiego) jest już na téjże właśnie idei oparta.

„Genezę z Ducha“ uważał Słowacki za najcenniejsze dzieło swoje, za plód pracy najwięcej zasługujący na ogłoszenie, ze wszystkiego co tylko kiedykolwiek napisał. Twierdzenie niniejsze opieram na następującej okoliczności. Do manuskryptu, bardzo czysto przepisane własną ręką autora, znajduję dodaną kartkę z następującym napisem: Genesis z Ducha, pismo zdaniem autora najważniejsze ze wszystkich, jakie kiedykolwiek napisał; zawiera bowiem Alfę i Omegę świata.“ Słowa te zanotowane zostały przez przyjaciela i nieodstępного towarzysza poety w jego ostatnich chwilach, o którym w dalszych rozdziałach będzie jeszcze wzmianka osobna.

Dodał potem Słowacki do Genezy, w osobnym urywku, jeszcze i wykład ze swego stanowiska tych pierwszych chwil istnienia na ziemi rodu ludzkiego, których przypomnienia złożone są częścią w mitologii, częścią w księgach starego Testamentu. Bujne i to było pole dla marzącego umysłu! Od chwili jaśniejszej

wiedzy dziejowej, na progu wieków jakkolwiek oświeconych pochodnią historii — rzecz się urywa...

Wszystkich tego rodzaju pism Słowackiego nie objąłem w wydaniu, które ażeby mogło być doprowadzone do skutku, koniecznie musiało być ściągnięte do jak najkrótszych rozmiarów i mieścić w sobie to tylko, co jeźeliby było przepadło, stanowiłoby prawdziwą stratę dla ojczystej literatury. Zresztą uważałem jakby za wykroczenie przeciw ceniom mego poety, ogłaszać rzeczy, które ani jemu sławy ani czytelnikom pożytku nie zdawały się obiecywać. — Genesis z Ducha może być ciekawym materiałem do poszukiwań w zakresie Towiańszczyzny; ale do poszukiwań takich mało kto zapewne znajdzie w sobie ochotę. Ogół czytających szemrałby na wydawcę, gdyby się kosztem znacznie podwyższonej ceny było w taki sposób powiększyło ilość tomów pośmiertnego wydania.

ROZDZIAŁ OŚMNASTY.

Dalszy ciąg rozpoczętej materyi. — Rozmowa z Matką Mokryną. — Król-Duch — wykład pierwszych rapsodów tegoż — szczegóły o stanie rękopisu dalszych części Króla-Ducha. — Urywki przekładu Iliady. — Powody do napisania wiersza „Do Autora trzech Psalmów“ — okoliczności chwili owęj towarzyszące — stósunek ówczesny między Krasińskim a Słowackim. — Dwie broszury prozą, w tychże latach wydane.

Wszystkie prace w rozdziale poprzednim wymienione, prócz jednej chyba Genezy z Duchą, zdają się samą swoją powierchownością świadczyć o tém, że powstały pod wpływem, jak się Słowacki przy pewnej sposobności wyraził, „pierwszego szalu rozbudzonych ducha wnętrzości“. Nie było mi wprawdzie podobno, szczegółowo oznaczyć czasu, kiedy każda z nich mogła być napisaną; ale tyle będzie pewnem, że przypadają one wszystkie na pierwsze lata owęj mistycznej doby w jego żywocie. Ideje jego były wtedy jeszcze w nieustającym ruchu przekształceń. Sam on jeszcze nie pojmował się w tym nowym swoim względem wszystkiego, co wcielone i niewcielone, stósunku. Przechodziły mu przez myśl zagadnienia olbrzymie, myśli ogniste, które nie tylko dlatego nie dawały się z powodzeniem zużytkować artystycznie, że sobie z nich sam poeta nie umiał jasnej zdać sprawy, ale że i zbyt rozległe to były pomysły. Każda sztuka, a zatém i poezya, wymaga pewnego ograniczenia, skoncentrowania, zawarcia tego, coby się rado w nieskończoność rozplynać, w pewnym ścisłym zakresie. Excentryczność przedmiotu najniebezpieczniejszym bywa szkopułem dla wszystkich przedsięwzięć poe-
tyckich.

Po upływie pewnego czasu Słowacki choć trwał i nadal przy powyższym kierunku i bynajmniej nie opuszczał sztandaru nowej doktryny, jednakże przetrwał do pewnego już stopnia nowe swoje wyobrażenia i zaczął, że tak powiem, czuć grunt jakiś pod stopami. Utwory jego od tego czasu zaczynają w nim znowu okazywać artystę, artystę pierwszego rzędu i mistrza słowa, jakim był przed rokiem 1842. Otacza je wprawdzie pewna mgła mistycyzmu jezasne i potem, ale już nie w tej gęstości, żeby wartość ich jako dzieł poetyckich miała cierpieć na tém dotkliwie. Owszem — zdaje się niekiedy, że ten lekki wiew extatycznej zadumy, ten tajemniczy odblask bezdepnéj wiary i fantastyczności w autorze przydaje im prawie woni i wdzięku. Można się wtedy nie godzić na ostateczne następstwa, do jakichby uboczne intencje poety, zaledwie dostrzeżone w dziełach jego téj daty, prowadzić mogły. Ale też i nie można utworom tym zaprzeczyć — z ich stanowiska — niepospolitęj nieraz głębokości w pomyśle, a niezrównanej z niczém siły w wysłowieniu i rzucie...

Do liczby rzeczy tego właśnie rodzaju nie wahałbym się zaliczyć mianowicie „Rozmowy z Matką Mekryną“. Nie wchodzę w to, czy wszystkie rysy tego obrazu są rzeczywiście wzięte ze tak powiem z natury; wiadomo mi, że osoby niektóre, dobrze jak powiadają z całą tą sprawą obeznane, wytykają poematowi temu pod tym właśnie względem miejscami uchybienia; — biorąc wszelako utwor ten jako dzieło sztuki, której zadanie nie polega na odtwarzaniu rzeczywistości niewolniczém nawet w ubocznych i najdrobniejszych szczegółach, lecz na ujęciu ducha zdarzeń, o które chodzi: zdaje mi się, że go można śmiało zaliczyć do arcydzieł w tym rodzaju poezji. Z dawniejszych prac Słowackiego najwięcej zbliża się do niego poemat o Ojcu Zadzumionych, jako podobny obraz strasznej boleści i grozy. Objawy Towianizmu są w Rozmowie tak nieznaczne, artystyczny jój układ tak prosty, a moc słowa taka potężna, że zaledwie uwierzyłby można, że to jest dzieło właśnie lat owych, a nie kiedyś rychléj stworzone. Że tak jednak jest, tego dowodzi najprzód sam czas wypadku, który dał powód do podjęcia tego przedmiotu, a po-

tém i ta okoliczność, że w rękopisie własnoręcznym poety, w którym się mieści pierwszy rzut tego dzieła, znajdują się w niektórych miejscach, pomiędzy jednym ustępem a drugim, różne — nienależące do osnowy poematu — odezwania do Boga, ułożone w najprostszych wyrazach prozą, jakie pisać po będących pod ręką papierach swoich było w owych dopiero latach zwyczajem i niejako potrzebą duszy naszego poety. Są to różne definicje dogmatów jego doktryny, aforystycznie wyrzeczone w formie modlitwy zwróconej do Boga samego, jako bezpośredni wylów serca wzburzonego wdzięcznością, że mu jest daném mieć świadomość rzetelnej prawdy. Miejsca takie, jak już wspomniałem, wprawdzie nie zostają w żadnym związku z poematem, o którym tu mówimy; ale dają podstawę do najpewniejszych wniosków o czasie, kiedy on powstał, i o usposobieniu ducha, którego był owocem.

Drugim dziełem téj kategorii, ale wykonaném zupełnie znowu w innym rodzaju, jest *Król-Duch*. Część początkowa poematu tego, nazwana „Rapsodem pierwszym“ została ogłoszona za życia jeszcze poety, w r. 1847 (rzeczywiście w końcu 1846) w Paryżu, bezimiennie, bez karty tytułowej, w formie wielkiej ósemki, stron 24. — Były to tylko trzy pierwsze pieśni, stanowiące poniekąd odrębną całość. Wrażenia one na publiczność żadnego nie wywarły. Mało przez kogo przeczytane do końca, potępione jako dziwactwo, przeszły przez ogół prawie niepostrzeżone. Trudno bo też było z tego ułamku wyrozumieć istotną myśl poety i urobić sobie choćby jakiekolwiek wyobrażenie o całkowitem założeniu utworu. Byłto ustęp wprawdzie głęboko pomyślany, w pojedynczych działach z wielkiem dokonany mistrzostwem i słowa i w ogóle artyzmu; lecz skądinąd tak oderwany i trudny wtedy jeszcze do zrozumienia, że nie mógł nie zdawać się zagadką wszystkim niewtajemniczonym w mistyczną autora doktrynę.

Tento zupełny brak udziału ze strony czytelników wstrzymał też zapewne Słowackiego od drukowania dalszych rapsodyi. I tak skończyło się na tém, że do niedawna publiczność nasza nie znała nic więcej z téj olbrzymiej kreacyi, jak tylko ów jeden rapsod;

i że do dzisiaj poemat ten cały prawie powszechnie uchodzi za rzecz, która się usuwa z pod wszelkiego rozbioru...

Słowackiego ciąglém marzeniem, od pierwszej chwili przyjęcia doktryny Towianizmu, była myśl przyobleczenia nowych idei w szaty poezyi. Widzieliśmy w powyższém, jak wszystkie prace jego od r. 1842 poczynsz, polegały na téj jedynéj dążności. Nie chodziło mu już odtąd o tworzenie ideałów fantazyi w zwyczajnym sensie; nie chodziło o artystyczne dokonywanie dowolnych założeń postycznych. Chciał on podnieść znaczenie i zasługę poezyi daleko wyżej. Miał to być jeden ze sposobów wieszczego objawienia świata istnéj, bezpośredniéj prawdy, t. j. tajnych dogmatów i tych wszystkich rzeczy zakrytych, których wypowiedzenie w innéj formie przewyższałoby może w ludziach zwyczajnych zdolność pojęcia takowych.

Poprzednie próby uczynienia zadość temu ideałowi — nie udawały się autorowi naszemu. Były to wszystko prace o tyle chybione, że osnowa, że tło i ramy zamierzonego dzieła nie były zdolne przyjąć w się i pomieścić całej autora intencji. Były to wszystko jakby naczynia jakieś kruche i szczupłe, niezdolne objąć w sobie wszystkiego, co w nich zawarte być miało. Dlatego też owe zbyt ciasne kształty pacyły się poecie pod ręką; wychodziły z pracowni jego albo jako monstra (X. Marek i Srebrny Sen), albo z niéj nie wychodziły wcale, lecz przed dokonaniem pracy nad nimi odkładane bywały na bok, i leżą dziś przed nami jak torsa potwornéj rzeźby, która szczegółami obudza podziw, a pomysłem odstręcza...

Wreszcie trafił Słowacki na przedmiot, który stósunkowo najwięcej obiecywał założeniu jego dorównać. Założenie jego polegało tym razem na onym wiary jego artykule naczelnym, że społeczeństwo ludzkie, obrębem pewnéj narodowości objęte, jest prowadzone naprzód i coraz dalej mocą duchów wybranych, duchów większych, silniejszych... Każdy naród ma zatém swego niby anioła (może kilku aniołów — punkt ten bowiem nie jest u Słowackiego wypowiedziany jasno), który przez niego działa i prze go ku coraz większemu zbliżeniu się do celu, jaki jest narodowi

temu wytknięty. Działanie jednakowoż owego ducha, przesnuwając się przez cały ciąg dziejów narodowych, nie może być mierzone trwaniem jednego człowieczego żywota. Pokolenia ludzkie zmieniają się i nastają po sobie, jak liście na drzewach, opadające jesienią, a odrastające na wiosnę. Człowiek naczelny w narodzie, człowiek mający w sobie owego ducha - anioła, podlega oczywiście tysamym prawom natury, co cały rodzaj ludzki. Misyja wiekowa ducha, który w nim żyje i przezeń działa, nie może więc być dopełnioną w ciągu znikomego jego życia. Dlatego duch ten potrzebuje więc kilku żywotów, mając działać bezprzestannie; i przeto w kolei czasów odradza się to w tém ciele, to znowu w owém. Na pozór coraz inna osobistość dziejowa, jest on w gruncie rzeczy jednak zawsze tysamym duchem - kierownikiem swego społeczeństwa, tysamym duchem nad duchami, tysamym... „Królem - Duchem“.

To tedy założenie swoje zamierzył Słowacki uwidomić na przykładzie dziejów ojczystych, wytlómaczonych i okazanych w tém świetle poczynawszy od pierwszej chwili żywota Polski aż do dni ostatnich. Czyli innemi słowy: poeta nasz wprowadza tę przodującą dziejom naszym osobistość mistyczną, jako bohatera epopei; i z powodów, które niżej odsłonimy wyraźniej, z powodów nader ważnych, gdyż dotyczących saméjże osoby własnej, osoby Słowackiego: kładzie całą opowieść trudów w tym szeregu wieków przebytych, całą opowieść téj nieśmiertelnej krucjaty — w własne usta Króla - Ducha, zaczynając poemat od owéj strofy, zapowiadającej ogólną treść tego cyklu rapsodów.

„Cierpienia moje i męki serdeczne
I ciągłą walkę z szatanów gromadą,
Ich bronie jasne i tarcze słoneczne,
Jamy węzową napelnione zdradą
Powiem — wyroki wypełniając wieczne,
Które to na mnie dzisiaj brzemię kładą,
Abym wyśpiewał rzeczy przeminęte
I wielkie duchów świętych wojny święte“).

*) A więc się poeta identyfikuje z bohaterem swoim

W pierwszym rapsodzie (wydanym jeszcze r. 1847) odsonił autor pierwszy doczesny żywot króla-ducha na tle samych społeczności naszej zawiązków. Dalsze rapsody przedstawiają go w późniejszych jego żywotach, w coraz innych osobach, a zawsze w takich, że życie narodowe w każdej epoce od nich jedynie odbierało główny pęd i ruch i kierunek ku przeznaczeniu swojemu.

Przypatrzmyż się teraz nieco bliżej, jak ten pomysł jest wykonany w szczegółach.

W rapsodzie I mamy opowieść pierwszego wcielenia się króla-ducha w postać narodową polską. Nie jestto bynajmniej pierwsze zrodzenie się jego, jako ducha w ogóle. Jako odrębna wiekuista istota, istniał on już i przedtem. Lecz tych że tak powiem, przedślowiańskich dziejów jego istnienia gdzieindziej — poeta nie odsłania. Ukazuje go nam od razu w postaci Armenczyka jakiegoś, który jako zmarle już ciało złożony jest na stosie, ażeby być spalonym, a potem się odradza na nowo w indywidualności wenedyjskiej, słowiańskiej...

Armenczykowi owemu było imię Her. I nazwę tę i cały pomysł przejął Słowacki od Platona. Plato na samym końcu najgłębszego ze wszystkich utworów swoich, na końcu dyalogu zatytułowanego „Rzeczpospolita“ zamieścił piękną i pełną znaczenia symbolicznego powieść o jakimś Herze, synu Armeniusowym z Pamfilii, który w walce za ojczyznę poległ i współ z innymi zabitymi leżał przez dziesięć dni na pobojuwisku. Dziesiątego dnia przyszli ludzie, ażeby trupy zabitych pogrześć. Psuły się one już wszystkie, tylko Hera ciało znalezione zostało w czerstwej świeżości. Podniesiono wszystkich poległych z ziemi i z czcią wielką zawieziono do miasta. Dwunastego dnia złożono ciała na stosach, albowiem miały być spalone. Kiedy już przykładano ogień do stosu, na którym Her leżał, stało się, iż zmarły otworzył oczy i powstał. I zszedłszy ze stosu oznajmił ziomkom, że duch jego wyszedł był z ciała i był na drugim świecie, gdzie ludzie zmarłych sądzą i karzą i nagradzają — wedle zasługi. Ale kiedy stanął z kolei i on przed sędziami: powiedziano mu, że jemu tylko należy przysłuchiwać się i przypatrywać wszystkiemu,

co się tu dzieje. Albowiem ma on jeszcze wrócić do życia i być do ludzi na ziemi mieszkających zwiastunem z świata drugiego. Opowiadał tedy ów zmartwychwstały z stosu swojego, jako się odbywają sądy dusz zmarłych, jakie im wymierzane bywają kary, jaka ich czeka przyszłość dalsza i jak wreszcie, po upływie oznaczonego czasu, stawają one powtórnie przed potęgami tamtego świata, t. j. przed Ananką i trzema córami onój, których wspólna nazwa jest Mojry, i które rządzą życiem ludzkim. Tam tedy stają duchy owe w szeregu; a służebnice onych trojga pań zamogilnych kładą po przed nimi mnogość wielką wzorców i wizerunków żywota, tak żywota zwierząt różnych, jako i żywotów ludzkich. Następnie wstępuje czarodziej jakiś na podwyższenie i głosi: „Słuchajcie słowa dziewicy, córy Ananki, Lachezy! Dusze znikome, oto się poczyną nowy okres śmiertelnego waszego życia. Nie was los wybierać będzie, lecz wy same obierzecie los sobie. Przed kim pierwszy znak padnie, ten niech najprzód wybierze sobie żywot i dolę, od której się potem już nie potrafi oddzielić! Oto cnota jest tu do wzięcia! mniej albo więcej mieć jęć będziecie, w miarę ile ją cenicie albo ile jęć nie cenicie. Wina będzie po stronie tego, kto wybiera — bóstwo niewinne niczemu“... To mówiąc, rzuca mąż ów znaki, jakby losy z liczbami, po przed cały zgromadzonych dusz szereg. A każda dusza znak swój podnosi wedle tego jak przy niej upadł, i po kolei, znakiem owym wskazanej, przystępuje do wyboru sobie żywota z pomiędzy wszystkich owych wizerunków, które w wielkiej mnogości zostały rozłożone przed niemi. Wybór takowy zawisł zupełnie od woli tego, który wybiera. Pomimo tego, bywa to widok i smutny i śmieszny i zarazem dziwny, jak dusze owe wybierają sobie żywoty powodując się najczęściej wrażeniami, które z sobą przyniosły z téj strony grobu, z poprzedniego życia swojego. I tak, dusza Orfeusza — z nienawiści ku całemu rodowi kobiet — wybrała wizerunek życia łabędzia, ażeby się już nie rodzić z kobiet. Dusza łabędzia przeciwnie wybrała sobie żywot ludzki. Dusza Tamarysa (poety) przeniosła nad wszystkie inne żywot słowika. Ajax silny, a jednak pokrzywdzony przez ludzi, zapragnął teraz życia lwa. Agamemnon, równie zniechęcony do ludzi, sięgnął

ręką po życie orła. Odysseus, po długich trudach walk i wędrówek wyleczony z żądzы sławy i pomny bólów, jakich z jęj powodu doznawał, chwycił z radością za wzorzec żywota w spokojnym zakresie prywatnego człowieka; a Atalanta, która już w poprzednięm życiu z tego słynęła, że jęj w biegu prześcignąć żaden zapaśnik nie zdołał, wybrała sobie żywot męszczyzny, atlety...

Kiedy zaś już każda dusza dokonała wyboru swego, udają się wszystkie razem na dolinę Lety, a idą w skwarze wielkim i spiecu, albowiem na dolinie tęj nie ujrzyć ani drzew żadnych, ani żadnego z płodów, które ziemia wydaje. I zasiadają pod wieczór nad tą cudowną rzeką, kojącą troski. Tu dusza każda wypić koniecznie powinna pewną miarę wody; a niektóre, ile rozważą i umiarkowaniem mniej się powodujące, wychylają jęj i więcej, w skutek czego też potem zapominają na wszystko (i tak się potem odradzają, jakby nigdy przedtęm nie żyły na świecie) Wypiwszy wodę owę, zasypiają wszystkie. Nadchodzi noc, godzina północna bije. Wtedy nagle poczyną się grzmot wielki i trzęsienie ziemi. A dusze w górę się rozpierchują na wszystkie strony jak gwiazdy spadające, i każda kwapi się, kędy jęj przeznaczono urodzić się...

Owoż to wszystko widział na drugim świecie i opowiedział ziomkom swoim ze stosu ów Her z Pamfilii. O sobie samym zaś nie był w stanie powiedzieć, którędy i jakim sposobem wrócił do ciała. Tyle mu tylko było wiadomo, że jemu pić wody z Lety nie dano i że kiedy nagle z rana oczy znowu otworzył, ujrzał się już położonym na stosie. —

Taki jest w najgłówniejszych zarysach ów myt Platona, bardzo szczegółowo u niego rozprowadzony, który więc posłużył za punkt wyjścia dla „Króla-Ducha“. Jak widzimy, bardzo mało przejął z tego mytu Słowacki. Bo też zamiar jego był inny, jak Platona. Filozofowi greckiemu zależało na dokładnęm odmalowaniu tego, co Her widział na drugim świecie; a naszemu autorowi chodziło przeciwnie o dalsze losy samegoż Hera. Stądto zaledwie się w niektórych szczegółach i to ubocznych spotykają oni ze sobą. Rozmijają się zaś mianowicie w tym punkcie, że po-

dług mytu greckiego Her na stosie wrócił do życia, ażeby je wieść dalej w dawnych warunkach; Słowackiego zaś Her ciało swoje pozostawia na stosie i kończy tam już swój zawód ziemski. Ciało podlega płomieniom — dusza występuje z niego, aby ulecieć w nadziemską krainę duchów...

Dalsze koleje tej duszy są w poemacie takie:

Po wyjściu z ciała*), ujrzał się Her w owej krainie Platona, „kiedy dusze jasne jak brylanty, swe dobrowolne czyniły wybory“. Jednakże on, „z harmonią obeznany młodą własnego ciała“ (strofa VIII, w której jak i w innych strofach przecinkowanie ciągle błędne), t. j. świadom tego, że to ciało nieskazitelne i wiecznie młode, jakie miał wtedy czystym duchem będąc, najlepiej harmoniuje z jego naturą: „nie chciał odmiany“ ani ciała ani doli ani żywota, i nie pragnął niczego więcej, jak żeby duchem i nadal już pozostać, nie czynił żadnego wyboru. Siadł tedy razem z drugimi duszami nad brzegiem Lety, lecz wody do ust nie wziął. Same tylko rany swoje nią zmywał, ażeby straciły... pamięć boleści. Wtedyto ukazano mu — gdzieś w wielkiej oddali — „we mgłach letejskiej zapomnienia rzeki“ tajemniczy wid jakiś, zjawienie dziwnej, z niczém nieporównanej piękności, które „jak świt daleki“ uroczo przed oczyma jego wschodziło (strofa IX i następne). „Ani gwiazdźdźce, co się w morzach palą — powiada w myśl bajecznych podań ludowych poeta — „ani tych gwiazdźdźce jasność tajemnicza“ nie wywiera tyle trwogi na jestestwach żyjących w morza otchłani, ile jego przeraziło na razie to zagadkowe zjawienie. Była to niewieścia postać jakaś, piękności tak idealnej, że się stworzoną być zdała jakby z blasków słonecznych, z barw tęczyowych, z dźwięków niebiańskich...

„Nad nią dźwięk — duchów girlanda słowicza,
Pod nią... jakoby złote zejścia schody
Na świat daleki i zamglony wiodły“...

*) Strofa V pieśni pierwszej. W trzecim wierszu tej strofy powinno być: „Ani za ciałem płacząca daremnie“ zamiast „Ale za ciałem“..

Dość było duchowi Hera raz spojrzeć na uroczą piękność tego widu idealnego, ażeby w sobie poczuć tajemny węzeł, jaki go miał wiekuiście z nim łączyć, i wiedzieć, że ta postać promienna — to odtąd już... „jego Umiłowana na wieki!“ —

Jeżeli który ustęp w całym poemacie obecnym sprawia czytelnikowi niepokonane trudności, to niezawodnie miejsce właśnie powyższe. Co też poeta rozumiał przez tę aparację tak mistycznie tu wprowadzoną?

W pierwszej chwili nasunie się tu każdemu pewnie myśl, że będzie to zapewne druga podobna duchowa indywidualność opatrznosciowa, jak sam bohater poematu, ale indywidualność niewieścia: równie jak tamten mająca przed sobą do spełnienia wielkie posłannictwo w wszechświecie; równie jak on przeznaczona przebyć cały szereg żywotów, które — z wyroku tajnych przeznaczeń — zapewne splatać się będą losami swymi z zawodem męskiego króla-ducha w przyszłości. Przypuszczenie to (czytając poemat dalej) zdaje się nabierać prawdopodobieństwa z tej mianowicie przyczyny, że córka Lecha Wanda, w tak obiecujący sposób wprowadzona w osnowę już pierwszej pieśni, a po krótkim zboczeniu w pieśni drugiej, tak przeważnie odzyskująca znowu znaczenie w całym tym pierwszym rapsodzie, mogłaby z wielkim pozorem słuszności być uważaną za takie właśnie do-czesne wcielenie owego drugiego ducha, który jako niewiasta ma towarzyszyć na całej przeznaczonych drodze głównemu bohaterowi poematu...

Przy bliższém rozpatrzeniu przypuszczenie powyższe przecież okazuje się mylném. Klucz ten mimo wszystkich swoich pozorów, nie otwiera żadnej z zagadek, jakie się w dalszych spotykają rapsodach. Przeciwnie, tłómaczenie takie wikałoby nas tylko w ciągłych sprzecznościach i prowadziło na bezdroża, żadnej nie pozostawiające możliwości spotkania się z rawnym pomysłem autora.

Słowacki pisząc to dzieło, niewątpliwie surowsze i wznioślejsze podjął zamiary, jak opiewać metempsychozę dwojga duchów,

które na różnych końcach świata i w różnych epokach historii spotykają się na to tylko ze sobą, aby przy innych nibyto ważniejszych misjach swoich, odgrywać ostatecznie... romans ze sobą na coraz inne sposoby!

Przypomnijmy sobie; że punkt wyjścia i cały początek „Króla-Ducha“ dokonany został pod wpływem platońskich wyobrażeń. Jedną z zasadniczych podwalin całej doktryny Platona jest przypuszczenie, że my ludzie przynosimy ze sobą na ten świat gotową już i tylko przypomnienia czasem potrzebującą świadomość bezcielesnych pojęć i ideałów („ideæ innatæ“). Platon wyobrażał sobie, że człowiek przed narodzeniem swoim ogląda twarz w twarz owe wiekuiste pierwokszały wszystkich rzeczy stworzonych, a nawet i ideały żadnej zmysłowości niezdolne, jak np. cnotę, męstwo itp. w ich czystej postaci czyli w ich prawdzie bezwzględnej. To właśnie też jest, co sprawia, że chociaż po narodzeniu naszym nie widzimy na ziemi nigdy już ani nadzmysłowych wyobrażeń ani ideałów, ale tylko same rzeczy: znikome, doczesne, które będąc tamtych tylko kopiami i odciskami lichymi, są zawsze ułomne i nieudolne: — to jednak posiadamy pomimo tego w pamięci i wyobraźni naszej jakąś świadomość tej najwyższej piękności; zachowaliśmy w sobie jakieś poczucie tych prawd wiekuistych, których ojczyzną są same tylko sfery nadziemskie. —

Otóż jednym z takichto ideałów — wyższych nad wszelkie wcielenie, jedną z takich piękności — niedoścignionych od żadnej z określonych piękności, jednym z takich „widów“ — widnych tylko dla oka ducha, nie ciała, jest właśnie i owa napowietrzna, świetlana postać, która się „we mgłach letejskiej zapomnienia rzeki“ objawiła po śmierci duchowi Hera, jakby światanie jakie dalekie. Jako duch, wyszły z ciała, znajdujący się właśnie w tej ideałów ojczyźnie, jest Her zdolnym „poznać z oblicza“ ów ideał niebiański, i ogląda go w całej jego piękności. Ponieważ jednak ideał wszelki z natury swojej nigdy w świecie rzeczywistym być odnalezionym nie może; ponieważ przy największym nawet zbliżeniu się do niego, daje się czuć

zawsze w życiu doczesném brak obecności jego zupełnej: przeto też i bohaterowi naszemu śpiewają jakieś głosy nieznane:

„Dobrze ją poznaj, bo wkrótce utracisz,

Jak sny, przez dobre duchy malowane;

Żywoł — tysiącem żywotów zapłacisz,

A zawsze jedną tę serdeczną ranę

Przyciśniesz w piersi rękami obiema,

Tę jedną smętną ranę — że Jój nie ma!

Ukazany mu przeto jest w mglistej oddali cel przyszłego jego zawodu, widny w całej swojej apoteozie i chwale: ale zarazem i to mu zapowiedzianém zostaje, że ta piękność, ta skończoność, ta boskość tego celu wszystkich jego zapędów istnie tylko w wyobraźni i w tęsknocie, słowem w ideale; w żywotach zaś rzeczywistych, choćby ich przeżyć i tysiąc, czuć się będzie zawsze tylko to jedno — „że go nie ma“, że go się jeszcze nie osiągnęło, że tysiące przeszkód kładzie się w drodze, które ciągle pokonywać potrzeba, żeby się zbliżyć do niego; słowem że go się tylko pragnie... zawsze nadaremnie!

„Sławę ci damy, lecz tobie obrzydnie —

Serce ci damy, ale spustoszeje!

Przyjdzie do tego, że będziesz bezwstydnie

Uragał w Bogu mających nadzieję“ itd.

Te zapowiedzi, te przestrogi nie zrażają jednakże króla-ducha od tego, żeby się puścić w ślady za tym uroczym obrazem przed oczyma jego zjawionym. „Choćby aż w piekło wiodła — pójdę za nią!“ powiada, i puszcza się w drogę, „choć strzały numidzkimi ranny“, choć niemający jeszcze pewności, co to jest, co go ku sobie tak ciągnie: czy śmierć, czy żywota dziwo, czy Irys? itd. (strofa XII).

Przystąpmyż teraz do drugiego pytania i powiedzmy: jaki to ideał i czego ideał ukazany został w tej bezwzględnej piękności swojej Herowi? Kto jest ta, którą mu wtedy w dalekim ukazano świcie, ażeby odtąd była jego Umiłowana na wieki?

Jestto Ojczyzna, jeżeli wyraz ten weźmiemy w jak najszerszém i jak najwznioślejszém znaczeniu. Nie rozumiem przez

to ani samej tylko ziemi rodzinnej, ani państwa w jego do-
czesno-utyliarném znaczeniu, ani potęgi politycznej, ani żadne-
go z osobna z tych tysiącznych włókien, które się składają na
ten cudny w języku polskim wyraz, na to wzniosłe w duchu po-
jęć polskich słowo: Ojczyzna...

A jeżeli to czytelnikowi jeszcze nie wystarcza, określmy to
jeszcze inaczej. Oto wstaje w oddali przed oczyma Hera ideał
Polski, t. j. niebiański obraz tego, co naród nasz jako zada-
nie państwa pojmuje i co sobie wyobraża przez ideał narodu.
Staje przed oczyma jego Polska, jaką być ma wedle tego, co
sobie o niej marzą i co przez całą długość jej przeszłości sobie
o ojczyźnie marzyli jej najszlachetniejsi i duchem najwznioślejsi
synowie; a zatem cel ostateczny do którego dzieje nasze dążą;
słowem ideał — w najdalszą przyszłość rzucony — takiej oj-
czyzny-matki, takiej ojczyzny-idei, jaka jest wszystkich
marzeń i usiłowań naszych przedmiotem.

To zatem chciał powiedzieć poeta, kiedy mówi:

„Ukazał się wid — Piękność — córka Słowa,
Pani któregoś z ludów na północy,
Jaką Judejscy widzieli prorocy.

„Słońce lecąca trzymała nad czołem,
A miesiąc srebrny pod nogami gniotła:
Szła nad lasami i leciała dołem
Nad chaty — jako komeciana miotła.
Tęcze ją ciągiem oskrzydlały kołem;
W słońcu girlandy niby z kwiatów plotła
I na powietrze rzucała niedbale
Perły-jasminy i maki-korale. (strofa XVII)

Że tu nie podkładamy słowom poety myśli obcej, do której
by się nie przyznał, gdyby jeszcze był między nami: o tém do-
wodnie mogą się czytelnicy przekonać, jeżeli odczytają wiersz do
K. Ujejskiego, rokiem tylko później przez Juliusza pisany,
któryśmy dali na str. 73 tomu I dzieł pośmiertnych. Znajdujemy
w wierszu rzeczonym prawie te same obrazy, a znaczenie ich tam
już nie może być wątpliwem.

Pomiędzy aforyzmami prozą, które sobie zwykł był w owych-że latach Słowacki zapisywać do różnych kartek i zeszytów będących właśnie pod ręką: znalazłem w jednym miejscu ustęp, który warto tu przytoczyć na dowód, że mój wykład strofy powyższej w Królu-Duchu wychodzi zupełnie z punktu widzenia autora. Powiada on tam, co następuje:

„Podobnie jak przed światem stworzonym było Słowo czyli duch, mający się formami objawić widzialnemi, podobnie poczęcie każdego narodu poprzedzało stworzenie idei, dla której następnie ludzie, w formę pewną téj idei właściwą skryształizowani, pracowali. Z takichto idei powstawała pewna forma agregacyjna, i ta stanowiła narodowość. Ideje takie, wieńcom ognistym podobne, którymi się fortece oblężone w nocy oświecają, z całą pięknoscią ogni ulatujących nad narodami przelatowały i świeciły. — Wyobrażone nareszcie mniej więcej, usiłowaniem czynnem rasy, dla której były stworzone, przechodziły w kształt; ducha piękności i prawdy oddawały formie; same zaś na niebiosach gasły i wyższym rewelacyjnym ideom miejsca ustępywały“...

Zataić wprawdzie tego nie mogę, że nasunąć się tu niejednemu może pytanie, czy raczej nie objawia się przed oczyma Hera obraz mistyczny Bogarodzicy? Gdyż nie tylko skąd inąd jest przyjętém, w takiej właśnie postaci ten najwyższy z ideałów chrześcijaństwa malować; ale i sam nawet Słowacki nieraz w tym-że samym go przedstawiał obrazie. (Obacz np. dokończenie wiersza, zamieszczonego w tomie I Pism pośmiertnych, bezpośrednio przed wspomnianemi co tylko strofami „do Autora Skarg Jeremiego“) Z tém wszystkiém przypuszczenie takie w tém miejscu byłoby niewłaściwém. Jakże bowiem miałyby się stósować do Bogarodzicy wyrażenie:

„Pani któregoś z ludów na północy,
Jaką Judejscy widzieli prorocy“ (str. XVI)?

W takim razie nie byłby tu autor położył „jaką“, ale koniecznie „którą“. A cały wiersz poprzedni byłby wtedy zu-

pełnie niezrozumiały; boć matka Zbawiciela jest panią całego chrześcijańskiego świata, a nie jednego tylko ludu.

Jest zatem wprowadzie niezaprzeczonym, że Słowackiemu te dwa ideały, t. j. ideał całego chrześcijaństwa i ideał nasz narodowy, przed oczyma spływały, i że chcąc mówić o ostatnim, pożyczal form od pierwszego; ale to też już jest wszystko, co w tym kierunku przyznać możemy. Posunąć się choć krok jeden po za to przyznanie dalej — byłoby to tracić na zawsze z oczu ten punkt widzenia, z którego jedynie odsłania się ukryta myśl poematu.

W dalszych strofach kładzie poeta w usta bohaterowi swemu opowiadanie, że kiedy więc ujrzał oczyma ducha swego ową piękność idei, której w życie przeprowadzenie i wyrobienie dziejowe miało stanowić odtąd wiekuiste jego zadanie: natychmiast poczuł w sobie popęd do odzyskania na nowo w warunkach stworzonego istnienia, czyli — co na to samo wychodzi, uczuł w sobie potrzebę opuszczenia tych błogich krain letejskiej beztreściwości i elizejskich odpoczynków po trudach, w którychto krainach zrazu tak gorąco pragnął pozostać już na zawsze, jako duch czysty —

„I całe mego ducha wniebowzięcie
Upadło...” (str. XVI).

„Więc czego woda letejska nie mogła,
To Ona swoim zrobiła zjawieniem,
Że moja dusza na nowo się wzmogła
Loty — i nowym buchnęła płomieniem. —
A jako pierwszy raz ciało przemogła
I uczyniła swoim wiernym cieniem,
Opowiem.

Ja Her, powalony grzmotem
Nagle gdzieś w puszczy pod wieśniaczym płotem*)

Budzę się“ (str. XIX).

*) W wydaniu lipskiem przecinkowanie błędne téj strofy sprawia, że wcale miejsca tego rozumieć nie można. Po „opowiem“ powinien być punkt i zakończenie okresu. Po wyrazie „płotem“ nie powinno być żadnej interpunkcyi: i tak też to jest w pierwszym wydaniu, t. j. paryskim z r. 1847.

W strofie téj i następnej opowiada bohater poematu, że kiedy więc dusza jego „przemogła znowu ciało i uczyniła je swoim wiernym cieniem,” t. j. kiedy się znowu zrodziła w ciele: ujrzał się gdzieś — w lichéj chacie „pod płotem wieśniaczym, w dzikiéj puszczy“ dziecięciem biednéj kobiety. Kobieta ta wzniecała w nim już w latach jego najrańszych instynkt zemsty.

...„Straszna nademną kobieta

Śpiewała swoje czarodziejskie runy.

„Ojczyzna twoja, wrzeszczała, zabita!

Ja jedna żywa, a ty zamiast truny

Miałeś mój żywot. — Popiołem nakryta

I zapłodniona przez proch i popioły,

Wydałam ciebie, abyś był mścicielem,

Synu popiołów nazwany Popiołem!”

Ażeby rozumieć tę strofę, trzeba sobie przypomnieć cały pomysł, przeprowadzony w Lilli Wenedzie. Z tym dramatem wiąże się cały ten rapsod „Króla-Ducha“ jak najściślej i jest niejako jego epilogiem. Czytelnicy przypominają sobie, że Słowacki wyszedł w Lilli Wenedzie ze założenia, że przyjsie Lecha i orszaku jego do Polski odbyło się jako gwałt i rzeź i bój do rażny na śmierć i życie z dawniejszą téj okolicy ludnością. Lechici zwyciężyli, zajęli siedziby nowe, ale nie prędj, aż je zamienili w cmentarz plemienia Wenedów, którzy tu przed ich przyjsiem mieszkali.

Otóż z tego punktu widzenia tłómacząc strofę, o której wykład tu chodzi, jest rzeczą oczywistą, iż ową „Ojczyzną zabita“, o której matka synowi swojemu mówi, nie może być co innego, jak plemię Wenedów. Samą zaś kobietą ową, czarodziejskie runy nad dziecięciem wygłaszającą, jest oczywiście tasama postać, która się tam w dramacie nazywa Róża Weneda.

Cały pomysł obecnego rapsodu Króla-Ducha okazuje się zatem już gotowy w Lilli Wenedzie. Co się tyczy cudownego z popiołów zrodzenia Popiela, wypisuję z dramatu tego dwa miejsca, które to bliżej tłómaczą.

Na końcu Prologu „Lilli Wenedy“, włożone są w usta Róży między innemi słowa następujące:

„Ja ostatnia zostanę żywa,
 Ostatnia z czerwoną pochodnią!
 I zakocham się w rycerzy popiołach
 I popioły mię zapłodnią,
 A swatami będą dęby z płomieniem na czołach!
 A łóżem ślubném będzie stos rycerzy.
 Kto konając we mnie uwierzy,
 Skona spokojny.
 Ja go zemszczę lepiej od ognia i wojny,
 Lepiej niż sto tysięcy wroga,
 Lepiej od Boga!”

Drugie miejsce, które tu warto przypomnieć, znajdujemy w scenie piątej Aktu III. (str. 285 wydania lipsk.)

Ma tam niezadługo przyjść do stanowczej bitwy między Lechem a Wenedami. Goniec staje przed królem, mówi mu o strasznych przepowiedniach, które się szerzą między jego nieprzyjaciółmi, i wspominawszy o innych znakach, jakie się ukazać mają, powiada:

„Mówią, że walka będzie oświecona
 Błyskawicami.

LECH.

Dobrze, będzie widno!

GONIEC.

Ta czarownica z góry, zapowiada
 Że po tej walce — martwych popiołami
 Nakryta, za rok porodzi mściciela.

LECH.

To przepowiednia nie dla mnie, nie dla mnie —
 Nim ten popielnik wyrośnie ohydny,
 Ja będę w grobie, a mój syn na tronie.
 Ale to wszystko są na dzieci strachy“. itd.

To cudowne zrodzenie się mściciela, zapłodnionego przez przodków swoich popioły, nie mogło tu oczywiście być przez poetę rozumianém literalnie. Symboliczne znaczenie tego wszystkiego jest jasne. Ponieważ jednak zdawać się niejednemu może, że ta stała przenośnia o zapłodnieniu Popiela przez popioły rycerzy.

zbyt mocnymi jest nałożona kolorami, żeby przez Słowackiego tylko figurycznie miała być rozumiana, a nie dosłownie: prze-
to wybaczy mi czytelnik jedną jeszcze uboczną tu uwagę.

Aż do pewnej granicy wolno poecie dobierać sobie do wy-
powiedzenia subtelniejszych pomysłów, form i obrazów ze sfery,
z jakiej mu się tylko podoba. Kieruje nim samo jedno tylko po-
czucie pewnej że tak powiem, miary i przyzwoitości poetyckiej,
bez względu na to czy nauka ścisła, np. medycyna, historia na-
turalna, fizjologia itd. gotowa będzie dać swoje na to wszystko
potwierdzenie, co się w symbolicznym sensie jemu spodoba w gra-
nicach tej lub owej naukowej dziedziny wyrzecz. Nie chodzi tu
nigdy o zupełną zgodność z najnowszymi badań naukowych rezul-
tatami, ale tylko o prawdopodobieństwo, o pozór możliwości, że
tak to jest. Owoż nasuwa się pytanie, czy Słowacki, w taki spo-
sób wypowiadając ten pomysł, nie posunął się po za granicę owej
miary i stosowności, jakąśmy postavili za konieczny warunek
trafności przyoblekania pojęć oderwanych w kształty zewnętrzne.—
Nie wątpię, że wielu rozstrzygnąć zechce to pytanie na nieko-
rzyść autora naszego. Przenosiła jego wydawać im się będzie po-
suniętą za daleko. Pomówią go o mistycyzm, o wyobrażenia za-
danej nie mające wspólności ze stanowiskiem wyobraźni dzisiej-
szych ludzi.

Ażeby przecież zmniejszyć przynajmniej ten zarzut, zauwa-
żyć muszę, że Słowacki i w tym nawet razie jest jeszcze na
gruncie pojęć, jeżeli nie całego ogółu, to przynajmniej wyobrażeń
ludowych. Nie potrafię w tej chwili rozstrzygnąć, czy w zakresie
gadek naszego ludu dałoby się znaleźć coś takiego, co by się oka-
zywało spokrewnionem z tém symbolicznie tu przez niego opo-
wiedzianem pochodzeniem Popiela. Ale pomiędzy ludem czeskim
przechowuje się powieść, która z jego pomysłem dziwnie rymuje.
Przypomniał ją przed niewielu laty Frycz, w prelekcjach swoich
miewanych w Pradze.

Lud czeski wierzy, że w czasie ostatecznego niebezpieczeń-
stwa powstaną z martwych z pod góry Blaniku śpiący tam od
wieków rycerze, stróżowie ojczyzny. Już dziś co chwila się oni
w grobach podnoszą i zapytują jeden drugiego, czyli już pora?

Są to duchy poległych pod Lipanami Taborytów. Lud pojął, że tacy nawet bohaterowie nie mogą się obejść ani bez światła nowych idei, ani bez wodza. To też ażeby nie zatracili poczucia potrzeb i odrodzenia ojczyzny, wysłał świeżo pomarli znakomitości z poselstwem nowych myśli do-skalistych podziemnych mieszkań tych dawnych duchów. Co się zaś tyczy wodza, to legenda ludowa nie daje im za takiego ani żadnego z królów ani z cesarzów, lecz ponieważ wodzem duchów takich zwyczajny śmiertelnik być nie może, naznacza mu cudowne urodzenie.

Pewien grobarz miał córkę, która mu pomagała w pracy. Samotna często dziewczyna wymyśliła sobie żalobną a pobożną zabawę: sztucznie składała kości naśladowując ołtarzyki, na których czaszki zastępywały lampy i kielichy. Mała dziewczyna podrosła już i wypiękniała; zdarzyło się wtedy razu pewnego, gdy z cmentarza po wodę wychodziła, że wyrwała się za nią czaszka z kostnicy i powoli toczyć zaczęła. Dziewczyna śmiała podjęła czaszkę, ucałowała, a zapytawszy: „czym cię na niewygodnym położyła miejscu?“ o uspokojenie prosiła i na samym unieśliła ołtarzu. Czaszka jednak od tej pory nie opuszczała stóp dziewczyny, wszędzie się za nią tocząc. Cud ten grobarza przestraszył; kazał czaszkę spalić, a proch połknąć córce. Nim rok minął, powiła ona syna, bohatera. Nowo narodzony dziecinne lata spędzał pod lipą u stóp Blaniku, rozmawiając z duchami śpiących pod górą rycerzy, na których wodza opatrność go przeznaczyła...

Otóż widzimy; że autor nasz nie posunął się zbyt daleko po za obręb imaginacji ludowej, dobierając form zresztą cokolwiek dziwnych na wyrażenie pomysłu, który sam przez się nic innego nie znaczy, jak znane owo „Exoriare aliquis nostris ex ossibus ultor!“

Począwszy od strofy XXI daje poeta zarys żywota bohatera swojego, zrodzonego z ostatniej z rodu ujarzmionego, w ubogim stanie, bez świadomości tego wszystkiego, co z duchem jego zaszło przed urodzeniem i co ma stanowić zadanie działań jego w przyszłości — począwszy od lat jego najrańszych. Jestto rzeczywiście wdzięczny przedmiot, głęboko po-

myślany, z psychologicznego punktu widzenia prawdziwie zajmujący. Mamy przed sobą naturę, z własnej rdzeni ducha swojego wzniosłą i między najczystszyimi duchy wybraną. Gdyby to od niej jedynie zależało, żywot jej ziemski byłby pewnie równie szlachetny, równie idealny, jak był ów pęd duszy Hera nad brzegiem Lety zwrócony ku najwznioślejszemu ze wszystkich ideałów. Ale człowiek przychodząc na świat, staje się od razu zawisłym od całego brzemienia okoliczności ubocznych, tradycyi dziedzicznych, stósunków miejscowych, jakie zastaje już gotowe w domu, w rodzinie swoim, w społeczeństwie na którego łonie się zrodził, nareszcie w wieku i dążnościach swojej epoki — słowem, rad nie rad musi przyjąć ten spadek nieodzowny przeszłości, te wszystkie załegłe długi i do spłacenia i do ściągnięcia, jakie mu przekazują owe coraz szersze koła i sfery, w obwodzie których żyć mu wypadło. Działają tedy na ducha jego najrozmaitsze potęgi, działają nań czynniki to obce, to pokrewne z jego najwnętrznieszą naturą: i tych dopiero suma i waga ostateczna stanowi owę siłę, jaka nas wiedzie przez rozłogi naszego życia temi lub owemi drogami, nieraz wbrew naszym lepszym instynktom. Instynkta nasze są w tej wędrówce niezawodnie najważniejszym czynnikiem. Ale i tamten, że tak powiem, fatalizm okoliczności ma wagę nieobliczoną.

Owoż taksamo ma się rzecz i z bohaterem naszego poematu. Do ducha jego, jakim go widzieliśmy na początku pieśni, przylegają już w samej chwili zrodzenia jego inne potęgi, potęgi doczesne i miejscowe. I ten dopiero zlew i wiekuistej dążności i doczesnych porywów — tworzy całą odrębność jego indywidualizmu jako człowieka, jako Popiela. — „Sam jeden jesteś, mówi do niego matka,

„ale cię przymioty

Ojców napełnią, a ja dam dwa duchy:

Na prawo stanąć jeden Anioł złoty,

Na lewo jeden z krwi i zawieruchy;

Ci dwaj — ty trzeci, i mój głos, jak grzmoty

Pędzący w zemstę“... (strofa XXI).

To też nie dziw, że pomimo takiej świętej przeszłości w duchu i mimo postanowienia puścić się w ślady za takim ideałem, jak go mieliśmy odmalowanym na wstępie dzieła: król-^{du}ch, ów niegdyś Her, o poranku pierwszego żywota swojego powiada, że

„Jeszcze nie dorósł, a już karmem duszy
 Zemsta mi była, a nauką zdrada!
 Często bywało, że ktoś włos mi ruszy
 I we śnie do mnie jak anioł zagada...
 Gdy spojrzę — liść się tylko zawieruszy
 I w kształt złotego widma wstaje — pada —
 Czasem tumanem na pierś moję runie,
 Ręka mi zadrży, nóż się sam wysunie.“ (str. XXII)

Strofy XXIV aż do XXXII stanowią ustęp odrębny, względem rzeczy głównej poboczny: autor daje w nim zarys stanu ówczesnego społeczeństwa polskiego pod względem intelektualnym i obyczajowym, za panowania Lecha. *)

Podobnie epizodycznego tylko znaczenia jest następujący zaraz potem ustęp drugi (od strofy XXXIII — XXXVII).

Właściwa akcja poczyną się dopiero od strofy XXXVIII. Pomijając zdarzające się tu i owdzie, w tej części poematu, zawiloci w szczegółach, których podejmowanie wyczerpujące rozszerzyłoby dzieło moje daleko po za rozmiar, jaki mu dać zamierzyłem: o głównej osnowie robię tylko to spostrzeżenie, że zwyczajem swoim odstępuje Słowacki i tutaj od tradycyjnych form, w jakich przekazuje nam przeddziejowe czasy naszej historyi, i przeprowadza znane o Popielowych nad Polską rządach podanie w sposób zgoła niezawisły od kronikarskich o tém powieści. Bohater jego rapsodu, jako biedak w wieśniaczej zrodzony chacie, a potem niby przybłęda jakiś z dalekiego gdzieś świata — poczyną zawód swój od najniższego szczebla: jest zrazu na dworze

*) W ciągu ustępu tego poprawić trzeba w strofie XXX (str. 431 wyd. lips.) pomyłkę drukarską: „Część ducha“ — na „część ducha;“ bo inaczej bezsens z tego powodu całą myśl robi niezrozumiałą.

Lecha tylko pacholkiem. Ale choć na tak podrzędném stanowisku, cele jego odrazu sięgały wysoko.

„Jam oczy groźne miał i ręce czynne

I uwiązany cel do wież wierzchołka.“ (strofa XXXVIII)

Niejedno—niepewne wprowadzie i mętne—przypomnienie z wyjątkowej jego przeszłości niesło myśl jego daleko... w podziemiu głębie, w zaświata krańce. Świat obecny cichością swoją i niezmiennym brakiem wszelkiego ruchu dręczył go i zdawał się uragać jego myśli płomienną. Mściwość klóciła go ciągle z ludźmi i z losem. Mimo to jakaś ręka niewidzialna usuwała przed nim wszystkie zawady na świecie. Czego tylko zażądał — wszystko się działo. I wiodło mu się szczęśliwie. Wstępował na coraz wyższe stopnie dostojęstw w kraju. Wyszedł na wodza — został prawą ręką i ulubieńcem księcia — siadł najpierwszym „wojewodą złotym“ nad Gopłem. Wsławił się ze zwycięstw odniesionych nad nieprzyjacielem postronnym. Zjednał sobie serca całego rycerstwa. Aliści przypadkowe zdarzenie, przewidziane wprowadzie dawno wyrocznią, ale dokonane mimo woli a nawet mimo wiedzy Popiela, aczkolwiek jego ręką — ściągnęło na niego podejrzenie — o bunt i nienawiść panującego! Z wojewody i pogromcy w stu bitwach, przyszło mu wrócić do pierwotnego nicstwa. Jako więzień, niewinnie posądzony, został wtrąconym do kaźni. Lecz i teraz siła jakaś niewidzialna, opiekująca się jego losem, nie przestała być mu pomocną. Ręka własnej córki królewskiej (Wandy), otworzyła bramy jego więzienia. Ujechał — tajemnie — w świat daleki, grożąc podniesioną prawicą światu odwetem za krzywdę tak niezasłużenie doznaną. A tém namiętniej zemsty téj pragnął, że był sam jeden i jeszcze wtedy bezsilny...

Na pieśń drugą, bez porównania łatwiejszą do rozumienia, przypada główna waga w całym rapsodzie. Jest to część dzieła wykonana z całym mistrzostwem właściwym Słowackiemu. Dziwna siła wieje tu z każdego pociągu pióra! — Puściwszy się Popiel w strony świata nieznane, bezludne, dzikie — spotyka na jakimś miejscu pustém hufiec Germanów, zwycięsko wracających z wyprawy przeciw rzymskim legionom. Byli liczni, mówi poeta, jak

gwiazdy na niebie, a straszni jak piorun, kiedy niebo odmyka. A jednak skoro ich tylko spostrzegł, wiedział on naprzód, że zostanie mężów tych wodzem; że to będzie dla rąk jego narzędzie, przez które świat wytnię, jeżeli zechce. I stało się, jako przewidział. Tłumy te zbrojne po krótkiej walce wszystkich przeciwko jednemu, poznały, że „był jak piorun, gdy lasy druzgoce.“ Okrzyknęli go Kiejzarem swoim... Po różnych przewagach i podbojach, których dokonywał to tu, to owdzie na czele plemienia tego: wtargnął on wreszcie w kraj swoich ojców, w dziedziny księcia Lecha. Był ostrzegany przez wszystkie władze elementarne, ażeby granic onych nie tykał: na przestrogi żadne on atoli nie zważał. Wtargnął zatem do Polski i rozpoczął bój, który zapowiadał zagładę wszystkim kraju tego mieszkańcom. Lech nie żył już wtedy; panowała nad narodem dziewica, córka jego — tasama, która mu otworzyła furty więzienia i dała konia, ażeby przed niebezpieczeństwem uchodził. Po bezskutecznym oporze, po wielu bitwach przegranych — przyszli przedniejsi dostojnicy polscy do obozu nieznanego sobie i z osoby i nawet z imienia herszta najeźdców. W imieniu królowej swojej oświadczyli mu gotowość okupienia przymierza z nim ofiarami, jakichby tylko żądał. Prosił go — mówi poeta

„o pokój, i o ziemi bryłę

Taką, że ledwo dla nich — na mogiłę“...

Zwycięzca uniesiony pychą, odprawił posły owe szyderczo. Obiecał im mir żądany i łaskę, lecz pod warunkiem, którego przyjąć nie mogli, gdyż był upokarzający i boleśniejszy, niż ostrze miecza.

„Niech sama Wanda, płaczem i tęsknotą
Zmiękczone, przyjdzie nam do roztruchanów
Nalewać wina! Niech ją złotowłosa
Germany moje na tarczach podniosą!

A gdy przez ludy dzikie okrzykniona
Królową, z tarczy mosiężnej księżycą
Zaspiewa nam pieśń na nowe plemiona
I nasze dzikie dusze pozachwycą:
Ja wtenczas drżące otworzę ramiona,
Aby zleciała w nie, jak gołębicą

I wyprosiła usta różanemi
Co chce — niebiosą całe, czy pół ziemi“... (str. XXII i n.)

Z taką odpowiedzią odeszli obydwaj wojewodzi do Wandy. Nie powrócili już więcej.

Następującój zaraz potém nocy pożałował Popiel tych słów zuchwałych i obelżywych. Ażeby cofnąć, co mu dumą w usta włożyła: nazajutrz, zaraz za świtu, cały w zbroi żelaznej, podążył sam jeden ku zamkowi Wandy nad Wisłą. Zatrąbił u bram — zostały mu otworzone. — „Idź do królowej, rzekł smutnemu wojewodzie, który go wpuszczał do zamku, i powiedz „że mi słów moich wczorajszych szkoda“ —

„Zanadto ostre pokazałem lice!

Niech mi królowa wasza jasna, młoda

Naleje czarę, podniesie przyłbicę:

A może łatwo ten rozkaz wykona

Pieśń mi zaśpiewać — paść w moje ramiona“...

W milczeniu przyjęto te słowa jego. Poprowadzono go na niedaleki brzeg rzeki — ten był cały wypełniony tłumem narodu. Tam ujrzał Wandę, ale już wydobytą z topieli, martwą, położoną na stosie...

Cały ten epizod, zaledwie tu naznaczony w zarysie, przeprowadzony jest po mistrzowsku. Zespolenie mytu o Rytygierze i Wandzie z podaniem o Popielu, w taki sposób że działa w nich obydwóch jedna i ta sama osoba, odstępuje wprawdzie od dziejowego przekazu; lecz zyskuje na tém prawdopodobieństwo podania o dobrowolném rzuceniu się Wandy w Wisłę. Zresztą i przez to pomysł ten się zaleca, że daje rzecz z nowej strony, a podobno z poetyczniejszej. —

Po tém wszystkiém czeladka Wandy przystąpiła do oboru nowego księcia. Zebrały się roki walne — i pod wpływem téj dziwnej ironii losu, która tak często isci się w świecie, skończyło się na tém, że okryto purpurą lechową tego właśnie, z którego powodu się Wanda rzuciła w topiel. Dawny pacholek ostatniego księcia siadł więc wreszcie na tronie polskim i rozpoczął

owo panowanie okrutne, którego groza żyje dotąd w podaniach narodowych.

Dokończenie pieśni drugiej i prawie cała pieśń trzecia wypełniona jest opisem najsroższych, najwyszukańszych męczarni, jakich się ta demoniczna natura od téj chwili dopuszczała na narodzie sobie podległym. Co tylko zapamiętały dzieje o rzymskich imperatorach albo o późniejszych dręczycielach rodu ludzkiego z rodzaju Iwana Groźnego, wszystko to zgromadził autor w ramach panowania bohatera swojego. Opis téj tyranii pod względem artystycznym jest niezrównanej siły i barwy. Jedno tylko przy tém wszystkiém nie dość dobitnie zdaje się być dokonaniem. Oto niełatwo jest dociąć, dla czego się ten duch wybrany i o całą nieskończoność wyższy nad ludzi zwyczajnych płamił takimi okrucieństwami?

Rozpatrzywszy się w całym założeniu téj części poematu i łącząc w jedno wszystkie do tego się ściągające, a rozpiechłe po różnych miejscach w nim napomnienia: można wprowadzić na to zapytanie zupełnie wystarczającą odpowiedź; zawsze wszelako żałować trzeba, że punkt w utworze tak ważny potrzebuje dopiero komentarza i co gorsza, mógłby być nawet przedmiotem sporu.

Żeby myśl autora odgadnąć, zupełnie na bok tu usunąć należy podnieętą zemstę. Matka wprowadzić wpajała mu w ducha myśl zemsty, kiedy był jeszcze dziećciem. Mimo tego jednak nie z tego powodu pastwił się Popiel teraz nad tym narodem, że tenże obarczony był winą zagłady plemienia, z którego on pochodził. Opowiadanie poety, w całej téj części dzieła, niczém a niczém nie potrąca o to uczucie; i nic się też tu zgola takim ogniwem nie łączy z tém wszystkiém, co poprzedziło. Co większa — znajdujemy tu jeden punkt, który stanowczo nawet obala podobne przypuszczenie. Wszakże wśród różnych okrucieństw swoich posuwa się Popiel wreszcie i do téj zbrodni, że własną matkę z lasów zwleczoną siepaczom swoim każe rzucić w płomień — z całą zresztą wiadomością, że ta ostatnia z rodu Wenedów nieczém przeciwko niemu nie zawiniła! (strofa LV i następna).

Powody działania jego nie wynikały przeto ze stósunku ras przeciwko sobie zwróconych, ani też z żadnych powodów osobistych. Wynikały one raczej z najogólniejszych, że tak powiem, światodziejowych względów: z potrzeb wieku, w którym Popiel żył, i z natury całej epoki, jaka wtedy trwała nad światem.

Były to czasy zastale, ciekące zwolna, w głuchej zanurzone pomroce, na którą nie spadały jeszcze ani pierwsze nawet błyski przedświtu dziejów, cywilizacyi, religijnych objawień — słowem wszystkiego, co przyjsć dopiero miało w przyszłości. Na pozór — było stan błogi.

„Do gwiazdzic morskich tajemniczej jaśni

Porównywałem to ludu zjawienie,

Który żył w chatach próżen wszelkiej waśni

A miał z jabłoni swój napój i cienie“...

(strofa XXIV Iszėj pieśni).

Lecz dla energii ducha, który nato tylko w tém społeczeństwie się zrodził, ażeby je popchnąć naprzód, było rodzaj bytu nieznośny.

„Sądząc, że nigdy świat się nie odmieni,

Obecność wtenczas mię dręczącą kłamię“ (str. XXXIII).

„I nic! — Uragał mi ten świat cichością

I biegiem, co jak zółw za słońcem chodzi!

(str. XXXIV Iszėj pieśni).

Kiedy się bohater poematu wyniósł już na przywódcę owego hufca Germanów, z którym przebiegał i nękał ludy ościenne, zależało to od jego już tylko woli, zamącać i przerywać tę głęboką ciszę epoki. Ale od owej chwili zaczął mu się dawać czuć inny znów niedostatek.

„Z barbarzyńcami — sam — na uroczyskach

Człowiek - duch — pilnie uważałem cuda,

Które się jawią przy ludów kołyskach,

A nikną, gdy się szczep na drzewie uda.

Lecz zaszczepienie przy piorunnych błyskach

Odbyte, a strach w powietrzu i nuda,

Które panną takim chwilom świata,
Trwożą jak pianie kurów u Pilata.

„Zda się, że ciągle ptaki ranne pieją,
A pianie smutne jest, jak krzyk dzieciny.
Przed rannym strachem niebios a ciemnieją,
Więcej wychodzi gwiazd na błękit siny —
Ludzie przy ogniach miast swe ręce grzeją
I przerażeni cichością godziny
Gotowi zaprzec się bożego ducha,
Obzierają się jak zbójce — czy słucha?..“

(strofy XVI i XVII w II-giej pieśni).

Podnosi tu autor, jako więc znamiona przeddziejowego bytu narodów: owę ciemność i próżnię i nudę duchową, która umysły przygniata, jak strach jakiś całe napelniający powietrze, i tylko być może przyrównaną do długiej a strasznej nocy, o której wiadomo że się kiedyś skończy, ale co po niej przyjdzie, niewiedzieć! Sumienia lękają się owęj godziny brzasku, niezadługo już nadejść mającej. Znaki, które tę godzinę zwiastują, przerażają jak piorun i trwożą jak „pianie kurów u Pilata“, które przypomniały Piotrowi, że się Boga swojego zaparł. Tak w naturze jak w świecie moralnym, im bliższy jest czas poczęcia się brzasku poranka, tém noc zdaje się być ciemniejszą, tém więcej rodzi się zbrodni z jęj łona — „ludzie przy ogniach miast swe ręce grzeją“; tém większa na koniec gotowość w społeczeństwie, postąpić sobie jak Piotr i zaprzec się ducha bożego.

Owoż tento stan nieznośny, ten stan trapiący całe społeczeństwo, ten brak zupełny wszelkiego moralnego punktu oparcia... to jest to, w czém upatruję bodziec do czynów, jakie autor w poemacie bohaterowi swemu popełniać każe. Ojczyzna nasza w owym czasie religijnych objawień jeszcze nie miała. Były jakieś obrzędy, jakieś kapłaństwa, jakieś dorywcze, mętne przypomnienia wyobrażeń przyniesionych z kolebki jeszcze narodów, z nad brzegów Gangesu.

„Czasami tylko jaki zwyczaj dawny
Indyjski, nakształt złotego upiora
W lasach powstanie...“ (str. XXIX w pieśni Iszėj).

Ale te mdłe błyski zapomnianej dawno religii nie mogły wystarczać potrzebom społeczeństwa. Było tedy — jeżeli nie w narodzie — to przynajmniej w jego panującym pragnieniu, ażeby się ta noc straszna i długa skończyła wreszcie. I stądto powziął Popiel postanowienie — zmusić niebo do objawienia prawd swoich, jeżeli je ma, i jeżeli bóstwo w nim jest...

„Postanowiłem niebiosą zatrwożyć,
Uderzyć w niebo, tak jak w tarczę z miedzi;
Zbrodniami przedrzeć błękit i otworzyć
I kolumnami praw, na których siedzi
Anioł żywota, zatrząść tak z posady,
Aż się pokaże Bóg w niebiosach — błądy.

(str. XLII w pieśni II).

Doświadczyć tedy i przekonać chce się ten nieokiełznany żądniem jeszcze moralniem wędzidłem mocarz zwierzęcego dziejów okresu — czy czuwa wyższa jaka sprawiedliwość i opieka boża nad światem, czy też przeciwnie jest to pole bez właściciela, po którym wolno sile mocniejszego pławić się we krwi bezkarnie. Jeżeli z niebios patrzy oko jakie na ziemię: to go Bóg obliczem swoim w zapędzie zbrodni powstrzyma. A jeżeli go ani obliczem swoim nie przerazi, ani nawet nie ostrzeże żadnym znakiem na niebie: —

„To ludzie są proch — i ja jestem prochem,
Na jeden tu dzień jak miecz ukowany!
A tém straszniejszy — że go własne siły,
Nie duchów ręce z ziemi wyrzuciły.“ (str. XLV).

Przez długi czas umacniało go wszystko już w przypuszczeniu, że co się tu dzieje na świecie, nikogo nie obchodzi tam w górze. Wysyłał gromadami całami najniewinniejszych na stosy; cały swój dowcip zużywał na wymyślanie najwyradniańszych katuszy. A niebiosą? — niebiosą ciągle na to wszystko spozierały w milczeniu.

...„Niebios błękitnych framugi,
Jakby o zdjętych nie wiedziały głowach,
Patrzyły na tó ciche — obojętne“... (str. XLVII).

Myślał, że przynajmniej nocy jego powinnyby być pełne nie-
pokoju i trwogi; rozumiał, że dnie — „jak nocy bez gwiazd“
będą dla niego czarne i kłócone jękiem tych ofiar po całym kra-
ju z rozkazu jego ginących... Ale i tego nie było. Nocy jego
były ciche — spokojne; dni mu płynęły, jak dawniej.

I nic! — Ten straszny duch, któremu wojnę

Wydałem, dziecko zostawił bezkarne;

A ja podniosłem pierś dumną i twardą,

Gotów do końca walczyć — z bożą wzgardą“. (str. XL)

Jednakże miała ta nierychliwość rządów bożych trwać prze-
cież aż do pewnej tylko granicy. Dopóki Popiel pastwił się tylko
nad ciałami; dopóki duchom (jak się poeta w str. LIV wyraża),
kruszył tylko „łódź i wiosło“: dopóty znosiły nieba tę tyra-
nią jego cierpliwie. Lecz właśnie przeto posunął on się i dalej
jeszcze. Widząc nadaremność usiłowań nad zbadaniem tajemnic,
dla odchylenia których puścił się taką drogą; podrażniony odkry-
ciem, że nie ma w niebie nikogo, coby dbał o sprawy ludzkie,
a jeśli jest, to chyba jemu uraga, kiedy nie odpowiada jego
wyzwaniu: z rosnącą namiętnością — z szalem, jaki tylko pod-
dać może oburzenie i mściwość, zaczął broić teraz już przeciw
naturze i przeciw duchowi. Chodziło mu już tylko jakby o
ukazanie w całym blasku, owęj nicości i nędzy podobnego ustro-
ju świata! Kiedy więc w tym kierunku doszedł aż do owego kre-
su, że oddał na mękę i śmierć matkę własną; kiedy potem
wysłał siepaczków przeciwko Świtynowi, „którego, jak sam po-
wiada, kochał i szanował jak ojca“ (str. LXVI); kiedy наконец
dopuścił się morderstwa i na natchnionym z ducha harfiarzu, na
nieuleknionym, choć cichym i wiernym i upodobanym Bogu Zo-
ryanie: — wtedy dopiero ukazały się na niebie wreszcie owe
znaki ogniste, na które czekał... Właśnie w chwili, kiedy i z du-
mą tryumfatora i zarazem z rozpaczą sieroty — w poczuciu i
władzy żadną nieścieśnionej granicą, i całej nędzy swojej moral-
nej — zawołał do towarzyszków:

„Nic niema na niebie!

Ja sam, jak Pan Bóg, będę sądził siebie!

.

Tę noc na ucztę! Jutro dzień pokuty
Dla mnie i dla was zbrodni wykonawców!“

(strofa XXV i XXVI w pieśni III)

w téj dopiero chwili obwieścili mu znaki owe na niebie, że niebo zlekło się o świat i kładzie koniec jego bezprawiom.

Owoż takieta, zdaje mi się, były powody, dla których poeta, pomimo tego że tak idealnie stawiał wizerunek bohatera swojego przed wnijsiem tegoż w żywot cielesny, dał mu potem przeżyć ten żywot w taki sposób zbrodniczy. Z tego też tylko punktu widzenia daje się wyrozumieć, co w jednym miejscu mówi król duch o sobie:

„Lecz co dziwniejsza — że tak próchniejący,
Taki upadły i taki zużyty,
Czasem się czułem, jak anioł gorący,
Gotów ukochać świat i nieść w błękity...

(strofa LVIII w pieśni II).

Na tensam wykład całego pomysłu naprowadzają wreszcie i wiersze w jednej z ostatnich strof całego tego rapsodu, w których Popiel powiada:

„Taki był koniec mojego żywota
Śpiewany długo w kraju przez rapsodów,
Którzy nie doszli, w czém była istota
Czynów? w czém wyższość od rzymskich Herodów?
Nademną była myśl słoneczna — złota!
Do niej moc ciemnych, okrwawionych wschodów
Wiodła mnie prosto... itd.

Szedł więc przez życie zbrodniami, ale szedł w górę — do ideału i wiodł społeczność swoją w przyszłość. Że najniższe wschody w téj drabinie wiodącej w górę były „okrwawione i ciemne“, to nie było winą człowieka. Było to wynikiem wieku. Zresztą naród i skądinąd jeszcze potrzebował téj szkoły. Od tego dopiero bowiem też czasu zaczęli synowie téj ziemi umieć i żyć i umierać. „Trwoga śmierci“, „miłość życia“ — nawet za cenę, jakiej to życie nie warto — wymazane zostały od owego

czasu począwszy ze słownika narodowego! Sąto u nas już tylko
wyrazy tłómaczone z obcych języków!..

„Idźcie! Już więcej nie jesteście sługi
Mojój wściekłości, lecz rycerze twardzi!
Kupiłem naród krwią — i nad jój strugi
Podniosłem ducha, który śmiercią gardzi.
(str. XXXIII).

„To też przezemnie ta ojczyzna wzrosła...
I pchnięciem mego skrwawionego wiosła
Dotychczas idzie
Fala ją drugą nieraz z drogi zniosła
I duch jój święty poszedł w kwiaty ciała
Bezwonne, martwe; lecz com ją wycisnął
Pod krwią, tém zawsze zwyciężył, gdy błysnął!“
(str. XL).

Powyższy rapsod był pisany, jak z różnych względów daje się wnosić, w roku 1846. Kiedy wychodził z druku, były już ukończone i dwa dalsze rapsody, czego dowodzą różne skazówki spotykane w dotyczących manuskryptach poety. Ponieważ do ogłoszenia rzeczonych dwóch rapsodów bezpośrednio po ukończeniu takowych nie przychodziło, a autor od pracy dalszej nad poematem tym nie odrywał się: w prostém tedy następstwie tego bywało nieraz, że niezadowolony później ze sposobu, jak to lub owo w pierwszym rzucie wykonał, w dalszych latach zmieniał często plan poematu całego. Co pociągało za sobą konieczność przerabiania coraz inaczej części dawniej już ukończonych.

Nad jednym z dalszych rapsodów (nad tym, który w edycji mojej otrzymał nazwę trzeciego) znaleźliśmy w autografie położoną owę odezwę do Polski, którąśmy z zmianą jednego wyrazu zamieścili na czele całego dalszego ciągu Króla-Ducha, t. j. znaleźliśmy takie słowa:

„Polsko! Ofiaruję ci rapsod drugi Króla-Ducha. Pierwszy leciał szybko, jak wiatr błyskawicy — ten się wlecze jak wół, pracowitym krokiem“... itd.

Okoliczność ta upoważnia do wniosku: najprzód, że była ta odezwa widać pisana w chwili, gdzie autor zabierał się już do ogłoszenia i téj przynajmniej części dzieła swojego, czego później przecież zaniechał; dalej, że było myślą jego naówczas, pozostać w tece na zawsze i nigdy nie publikować téj pieśni, która w wydaniu naszym dana jest jako rapsod drugi. „Drugim rapsodem“ miało się nazywać opracowanie owéj legendy o Piaście, które stanowi obecnie trzeci rapsod. Tego samego dowodzi i urywek „Planu Króla-Ducha“, dany na końcu lwowskiego tomu IIgo, a niezawodnie napisany w tymże czasie; w tym planie bowiem także nie ma żadnej wzmianki o tamtéj części poematu.

Z powodu, że mimo tego wszystkiego nawet i w owym znowu czasie nie przyszło do oddania rzeczonéj części dzieła do druku, stało się że i ten kształt rapsodu o Piaście i Ziemowicie podlegał w dalszych latach nowemu znowu przelaniu. I takie koleje przechodziły prawie wszystkie ustępy szczególnego tego w rodzaju swoim utworu. Prawie zawsze autor, jak ze wszystkiego wynika, odkrywał w nich jakieś niedostateczności czy to pod względem wykonania, czy samego nawet pomysłu; i dlatego nieraz całe partye, a jeszcze częściej mniejsze ustępy wstawiał i przestawiał coraz inaczej.

W skutek tego autograf Króla-Ducha, w tym stanie, jak go znaleziono po zgonie Słowackiego, przedstawia prawdziwy stos najróżniejszych papierów. Postać tego, co one w sobie mieszczą, jest chaotyczna nad wszelkie wyobrażenie. Są w nich i pierwsze rzuty i wszystkie kolejne przerobienia — bez skazówki, co autor ostatecznie za odrzucone, a co za poprawione uważał. Nie przypuszczając oczywiście poeta, żeby nie miało być dano jemu samemu kiedyś uporządkować tego bezliku dopisów, odmian, poprawek i coraz innych redakcyi, nie widział potrzeby dawać w rękopisie swoim skazówek, po którychby i ktoś drugi potrafił się oryentować w tym labiryncie. Dlatego na jednéj i téjsaméj nieraz karcie są strofy tuż po sobie następujące, lub też pisane obok na marginesie, które mimo to nie mają ze sobą żadnego związku, ale się odnoszą do najrozmaitszych pieśni. W braku zewnętrznych znamion; któreby o tém ostrzegały, że to rzeczy różno-

rodne i niespójne ze sobą, sam sens tylko wewnętrzny daje niekiedy odgadnąć, dokąd z nich która należy.

Wspominam o tém wszystkiém z dwóch przyczyn. Raz dla tego, że mi się zdaje, iż warto jest wiedzieć o tém, z jakąto sumiennością i jak mozolnie prowadził Słowacki pracę, przez którą spodziewał się zostawić narodowi trwałą pamięć po sobie. Powtóre mówię o tém dlatego jeszcze, ponieważ chciałbym wytłómaczyć czytelnikowi „Dalszego ciągu“ Króla - Ducha, dlaczego w wielu miejscach znajduje on tam tak nieszczęlnie i niezręczne połączenie ustępów, a nieraz i luki całe pomiędzy nimi pozostawione otworem. Nader często było tu prawdziwém niepodobieństwem uczynić zupełnie zadość wszystkim obowiązkom wydawcy. A i to niedostateczne z zadania wywiązanie się, jakie się osiągnąć dało, kosztowało i czasu i trudu nierównie więcej niżby niejeden przypuszczał. Chodziło bowiem o zestawienie przed sobą wszystkich, po całym papierów stosie rozprószonych, a co raz innych redakcyi każdego poszczególnego ustępu; dalej o wybór téj właśnie wersyi, która się z jakiegobądź powodu najwięcej ze wszystkich zalecała; a nakoniec o spojenie ze sobą tych wszystkich wybranych części w jeden nierozzerwany wątek, bez fałszowania myśli poety i nie pozwalając sobie odmienić ani wyrazu! Gdzie zatem już przez samego autora pozostawione były, że tak powiem, szczyrby i wyrwy — do zapełnienia ich później, w chwili ostatecznego wiązania wszystkich szczegółów w całość: tam oczywiście i teraz okazują się próżnie albo przykre przeskoiki z jednéj materyi w drugą.

W ciągu tego zajęcia nieraz przypominały mi się domysły filologów o sposobie, jakim do skutku przyjść musiała ostateczna postać Iliady i Odysei. Ale zadanie Onomakrita było wdzięczniejsze! Mógł on z rozlicznych rapsodyi składać ukończone całości; a nasze dzieło pozostanie na zawsze tylko fragmentem...

Teraz niech mi wolno będzie dołączyć kilka jeszcze uwag z osobna o każdym z rapsodów, stanowiących ogłoszony niedawno temu dopiero Ciąg dalszy poematu.

Rapsod drugi Króla - Ducha obejmuje pieśń tylko jedną. Ma za przedmiot: przedstawić koleje, jakie bohater poematu przechodził wyzuwszy się z ciała Popiela, i podlegając na drugim świecie różnym pokutom i próbom, zanim mu przyszło odrodzić się znowu na ziemi w nowym żywocie. Miał tu poeta przed sobą do zdobycia nieokreślone obzary wyobraźni. W ślady idąc Wirgilego i Danta, mógł być zaludnić te światy zagrobowe całym tłumem typowych istot, niegdyś żyjących na ziemi, a obecnie splacających winy i zbrodnie żywota. Miał sposobność okazania wszystkich bogactw nieznużonej i nigdy niewyczerpanej swojej fantazji. Można się było spodziewać w tej części jego utworu tém dramatyczniejszego i fantastyczniejszego obrobienia przedmiotu, że i jemu samemu nie były obce, w dawniejszych przynajmniej latach, chętki zapuszczania się myślą w te światy Styxem i mogiłą odgraniczone od naszego padolu. *) Z tém wszystkiém nie znajdujemy w rapsodzie tym nic zgoła, co by odpowiadało podobnym oczekiwaniom. Widocznie Słowacki odsunął stanowczo na bok od siebie wszystkie te pokuszenia, które wyzywać mogły do wysilen samę tylko wynalazczą imaginacyą poety. Nie chodziło mu bynajmniej o zmyślenia, o artystyczne ale dowolne rojenie czegoś, co by tylko bawić mogło czytającego. Chciał jedynie to opowiadać, w co wierzył; i pozostał nawet w tej części poematu wiernym założeniu, jakiemu całe to dzieło swoje poświęcił.

Z téjto przyczyny, ile mi się zdaje, pochodzi, że cały opis cierpień ducha obarczonego winą na drugim świecie i to wszystko, co o pobycie jego tamże autor powiada, zbyte jest zaledwo trzynastu strofami. Są to tylko najogólniejsze i że powiem, ołówkowe rysy obrazu. Cały ostateczny sens rzeczonych 13 strofek, umieszczonych na samém czele rapsodu, mieści się oto w tych kilku wierszach:

O téj krainie żaden duch nie gada,
A nawet onych mąk pamięć utraca;
Bo pamięć taka, choćby jaka blada,
Niweczy ciało gorzej, niżli praca,

*) Poema Piasta Dantyszka o Piekło.

Niż nędza, która wnętrzości wyjada,
 Niż przyjaźń, która zdradą się odpłaca...
 Dla mnie — zniknęło męczarni oblicze
 I od świtanie w niej... znów czasy liczę.

(strofa XI).

Począwszy od strofy XIV poczyną się też już opis właśnie owego „świtania w męczarniach“. Przysłane zostają do pokutnika naszego dwa duchy, które mu obwieszczają, „że grzechy jego zostały odpuszczone“ i że poruczone mu jest do spełnienia wielkie zadanie w przyszłości, zawsze w obrębie jego ojczyzny (strofa XIX). Ponieważ — dla dopełnienia reszty tych wszystkich przeżyć bolesnych, „jakie mu za karę były odmierzone na tamtym świecie — bohater poematu jako duch, a raczej upiór przytomnym, a nawet współdziałającym i na ziemskiej zdarzeń widowni także być musi przez czasu przeciąg niejaki: zstępuje zatem na ziemię i jawia się jako widmo Popiela owym 12 wojewodom, którzy rządili po jego zgonie nad Polaką. Widok bezprawi, jakie się działy pod tych dwunastu rządami, i za panowania Popiela II, stanowi właśnie jedno z największych udręczeń téj duszy pokutującej. Widzi on bowiem, że to wszystko złe dzieje się właśnie pod jego sztandarem, w jego imię, torem tradycyi od niego datujących w narodzie. — Począwszy od strofy 37, świt przebaczenia win jego zaczyna jaśnieć słoneczniój: losy narodu przechodzą pod zarząd kmiotka owego z Kruszwicy, który sam jeden wtedy w ojczyźnie nosił w sobie owo Słowo narodu, które rozwinąć do zupełnej pełni i blasku było ostatecznym króla-ducha zadaniem. Podług założenia poety, owym Piastem było nie kto inny, jak Zoryan, ów prorok i harfiarz spalony przez Popiela na stosie. Duch tensam, tylko — jak się autor wyraża: „na nowój kwitnący łądydze“, t. j. odrodzony w innym żywocie.

Rządy Piasta i najbliższych z jego pokolenia były błogie, kojące rany narodu; ale były bez sławy, bez wielkości, bez rozgłosu. Były to pokorne i tylko potulne tony, wydzielone z téj świetnej i bogatej symfonii, która grała całym chórem za czasów Popielowych — mimo okrucieństwa, które jój harmonią kłóciły. Bez względu na to — choć tak wielce znizony i stłumiony został

nastrój téj społeczności kierowanej ręką Piastów: bohater poematu, duchem już uniżony przed Bogiem, dobrze życzy temu rodowi na tron jego powołanemu i zlewa swoje błogosławieństwo na wszystkie hasła i postęпки jego, na wszystkie drogi, któremi naród pod jego kierunkiem pójdzie, na całą tę pokorę, jakiej znamię Piast dopiero na społeczeństwie wyciska; słowem na wszystkie włókna i atomy, składające całe jestestwo ojczyzny. Po ostatniem, po siódmém błogosławieństwie — „spojrzał Pan na ducha tego litośnie“ — i dał mu wreszcie usnąć po wiekowych trudach i mękach. Ten spokój i odpoczynek po strasznej pracy — to największe szczęście, jakie czasami osiągnęły duchy wybrane.

„Niech nikt nie myśli, że jest upominek

Dla ducha większy jaki — nad spoczynek!“

wyrzekł poeta nasz jeszcze w jednej ze strof rapsodu pierwszego. Otóż dozwala Bóg teraz i temu znękanemu duchowi zasnąć z uśmiechem i z ciszą w myślach, wcieliwszy całe jestestwo jego w ojczyznę. I tak przeminął znowu wiek cały. Ani czuł bohater pieśni, jak wśród wiekowego tego snu i uśmiechu jego w ojczyźnie — owę zrazu tak czyste miody piastowe już znowu mącić i brudzić się zaczynały. W ciągu czasu, który wszystko niweczy, i te tradycje się więc zużyły! Chata kołodzieja z Kruszwicy, niegdyś nawiedzana przez anioły, „zwolna traciła swoje złote goście“ (strofa LVI). Więc wreszcie niepokój i rwanie się do życia znów króla-ducha zaczyna ogarniać; — i przyszła z wyroków bożych godzina, gdzie czynność jego na ziemi stała się koniecznością. Rodzi się jako człowiek śmiertelny — imię mu teraz Mieczysław I...

Aczkolwiek cały ten pomysł rapsodu — z punktu widzenia poety — dokładnie i z konsekwencją jest przemyślany: — zaprzeczyć tego jednak nie można, że wrażenie, jakie sprawia na czytelniku, mniej jest korzystne, aniżeli oczekiwanie, z jakim go się bierze do ręki. Przeprowadzenie pieśni poprzednich jest szczęśliwsze. Więcej tam jest ruchu, różnaitości, zdarzeń przedmiotowych — słowem osnowy. Treść rapsodu drugiego, zamknięta

wyłącznie w subiektywizmie opowiadającej osoby, sprawia: że ta część poematu wygląda jakoś i mgliście i ubogo. Ta też okoliczność zapewne była jedyną tego przyczyną, że autor w późniejszych latach odrzucił ten rapsod jako nie zasługujący na ogłoszenie; a natomiast postanowił doczepić do rapsodu ogłoszonego drukiem bezpośrednio ten rapsod trzypieśniowy, który w wydaniu lwowskim zajmuje trzecie miejsce w składzie całego poematu, t. j. powieść wyłącznie za przedmiot swój mającą wspomnienia Piasta. Te kilka wzmianek, które koniecznemi się zdawały o zamogilnych losach bohatera, nieobecnego przez cały ten ciąg czasu na ziemi, miały być w rapsodzie tym rzucone już tylko mimochodem — w ustępach, gdzie się do tego nadarzała sposobność.

Teraz słów jeszcze kilka o wariantach tego rapsodu. Obrobień całkiem odmiennych „Rapsodu IIgo” jest w ogóle trzy. Jedno daliśmy w teście. Drugie obrobiecie dołączyliśmy pomiędzy dodatkami na końcu II tomu dzieł Słowackiego pośmiertnych od strony 343 do 352. To „drugie obrobiecie” znalazłem w dwu odrębnych redakcyach, które się jednak w drobniejszych tylko szczegółach różnią od siebie. (Mniej wykończoną redakcją i nie doprowadzoną też do samego końca, dałem drukować w Dzienniku lwowskim Literackim Nr. 85 roku 1865, strona 797 i 798). Widoczną rzeczą jest, że podług tego „drugiego” obrobiecia, miała to być pieśń dołożona do rapsodu o Piaście jako jego dośpiew; i rzeczywiście znachodzi się też nad lepszą redakcją téj warianty w autografie napis: „Pieśń dopisana”, któryto wyraz poeta następnie przekreśliwszy, położył natomiast tytuł: „Dokończenie”. — Trzecie nakoniec obrobiecie było tylko częściami zaczynane i zawsze urywane wśród pracy: pozostały z niego tylko luźne ustępy, nielączące się w żadną całość. Cały szereg tych oderwanych fragmentów pozostawiłem w rękopisie, wyjąwszy trzy urywki szczególnie godne uwagi, które (na str. 352 — 359) są dołączone do Dodatku tomu IIgo.*)

*)Wszystko z pośmiertnych Słowackiego papierów, co tylko nie mogło znaleźć pomieszczenia w tomach przemennie wydanych, zosta-

Przystępuję teraz do rapsodu o Piaście, który w wydaniu lwowskiem nosi nazwę *Rapsodu trzeciego*. Wykładu wewnętrznnej jego osnowy dać nie zamierzam, raz dlatego że byłbym zmuszony zbyt długo zatrzymywać się w tym rozdziale nad tym jednym Słowackiego utworem; a potem i z przyczyny, że co w tym rapsodzie jest jasne i piękne i wykończone, (a nie brak mu na ustępach skończonej, posagowej nieraz piękności): to wyrozumie każdy czytelnik i bez mego komentarza; co zaś jest oczywistą tylko allegorią mistycznych pojęć, to zbyt jest trudnem do tłumaczenia przy zupełnym braku klucza do tych wszystkich symbolicznych wyobrażeń w nim rozwiniętych. Całe np. przedstawienie Pýchы słowiańskiej, wykradzenie przez nią ducha Ziēmowitowi, pobyt jęj i czarodziejstwa przez nią dokonywane na górze Zober, Wodan — są to wszystko figuralne jakieś pomysły, w które nam niepodobno jest prawie do rdzeni wnikać — w duchu autora. Mógłbym o tém wprawdzie udzielić moich myśli; nie wiem jednak, czyby podmiotowe moje zdanie o tych ustępach było rzeczą dla kogo pożądaną. Pomijając zatem zupełnie wykład rapsodu trzeciego, poprzestanę na udzieleniu tu kilku tylko szczegółów o stanie, w jakim się ta część Króla-Ducha w papierach pozostałych Słowackiego znalazła, i o liczbie wariantów tego rapsodu.

Rapsod niniejszy znalazł się opracowany niemal całkowicie, a zawsze inaczej — cztery razy. Jedno obrobienie, na trzy podzielone pieśni, znalazło pomieszczenie w texcie drukowanej edycyi. (Dodano mu tam jednak początek, jako też i zakończenie, wzięte z innych wariantów. Obacz stronę 201, 206 i 225). — Drugie obrobienie, w jednej tylko pieśni objęte, ale zawierające zupełną całość — nie bez wielkich zalet artystycznych — dałem prawie całe między wariantami stanowiącymi Dodatek do tomu II, od str. 360 — 368. (Opuściłem tylko jego początek i koniec, jako mało odmienne od tego, co zostało wzięte do textu. Środek zaś cały rapsodu, będąc i najwięcej odrębny i wy-

ło za zezwoleniem rodziny poety, złożone w Bibliotece Ossolińskich. Może kiedyś zrobi kto jeszcze i z tego jaki użytek.

bornie oddany, odbity jest cały na rzeczonych stronicach). Te dwie redakcyje zdają mi się być ostatnie. Wnoszę o tém z tego mianowicie, że „drugie obrobienie“, jak je tutaj nazywam, znalazło się już przepisane na czyste ręką samego autora; przepisywanie „pierwszego“ podobnie było przez niego samego zaczęte, ale już od siódmej zwrotki zastąpił tu poetę w kopiowaniu młody jego przyjaciel Szczęsny F. Ten odpis wspólny obu przyjaciół zdaje się być późniejszym od powyższego; a więc byłaby to redakcyja najpóźniejsza ze wszystkich i dlatego też jéto właśnie dałem pierwszeństwo nad innemi). — Trzecie obrobienie także się dzieli na 3 pieśni, ale w nich i rzecz sama i cały sposób przeprowadzenia takowej odstępnie najzupełniej od wszystkich innych redakcyi. (Król-*duch* wcielony tu jest w Wodana). Obrobienie to w całości dałem oddrukować w lwowskim Dzienniku Literackim r. 1865 Nr. 83—85. Pierwsza zaś pieśń jego, jako najwięcej wykończona i z różnych względów najbardziej godna uwagi, znalazła prócz tego jeszcze miejsce i w wydaniu dzieł Słowackiego między wariantami danymi na końcu II tomu, str. 368—379. Ta „trzecia“, jak ją nazywam, redakcyja zdaje się być najrychlejszą ze wszystkich. — Czwartém nakoniec obrobieniem można by nazwać ten cały bezlik urywkowych ustępów, rozproszonych po różnych częściach całego rękopisu, który z wolna powstawał w ciągu lat kilku. Ustępy te żadnych całości nie stanowią, obejmują jednakże niekiedy po kilka i kilkanaście zwrotek. Z téjto kategorii wariantów wzięty jest wstęp i zakończenie, doczepione do rapsodu trzeciego, jak takowy wstawiony został do textu.

Tylokrotne przerabianie jednéj i téjsaméj rzeczy wskazuje na szczególną trudność przedmiotu. Stanowiła ją ta okoliczność, że w ogóle rapsod ten w budowie całego poematu zajmuje jakieś wyjątkowe położenie. Podczas gdy zdarzenia w innych rapsodach objęte składają się na żywoty króla-*ducha* i jako własne jego czyny są też opowiadane zawsze przez niego samego: w tym rapsodzie rzecz jest o Piaście i jego rodzinie, z którą bohater poematu nie tylko nie miał żadnej wspólności, ale nawet nie żył wtedy na ziemi, kiedy się to wszystko działo... Otóż była tu dla poety trudność w tém, że się nie nastroczała żadna osoba,

któraby była mogła być snadnie użytą za opowiadającą owe piaskowe legendy. Włożyć rzecz i tutaj w usta królowi - duchowi — to miało swoje znaczne niedogodności. A dać tę powieść od siebie, jako po prostu od autora — tego Słowacki nie mógł już z tej bardzo prostej przyczyny, że z założenia całej niniejszej kreacyi i z najgłębszej, posuniętej u niego do dogmatyzmu wiary, identyfikował osobę własną z bohaterem dzieła swojego i nie w innym sensie przesuwając w nięm wątek całych jego dziejów mistycznych, jak że to jest własna jego odwieczna przeszłość, własna jego coraz się powtarzająca palingeneza, aż do obecnego żywota, w którym mu wypadło iść piosłannictwo swoje w roli poety i walczyć z szatanami epoki — na polu myśli, potęgą słowa...*)

Rapsod czwarty, zatytułowany *Miecz a Sława*, łączy się bezpośrednio z rapsodem drugim, jako jego najwłaściwszy ciąg dalszy. Legenda o Piascie w trzecim rapsodzie rozrywa z pewną niedogodnością tę ścisłą łączność. — W nowym tym rapsodzie daje poeta wizerunek dalszego znowu żywota swojego bohatera. Duch Popiela otrzymawszy przebaczenie od Boga za to wszystko, co zgrzeszył, rodzi się jako człowiek na nowo i zostaje wcielony w osobistość Mieczysława I. Znowu tedy prowadzi dalej opatrznosciowe swoje nad Polską piosłannictwo w osobie panującego. Wartość czterech pieśni, na które się rapsod ten dzieli, nie zawsze ma się do siebie w równym stosunku. Dwie pierwsze pieśni są bez porównania i więcej wykończone i treściwsze, aniżeli obie ostatnie. Młodość Mieczysława — jego ślepotą — postrzyżyny i odzyskanie wzroku prześlicznie to wszystko jest opisane. Z wielkim także wdziękiem przeprowadzona jest opowieść o swadźbie, o przybyciu do Polski i zaślubieniu Dobrawny czeskiej. Nie bez zalet niepospolitych

*) Ktoby się chciał dowodnie o tém przekonać, niech z sobą porówna następujące miejsca w różnych rapsodach *Króla-Ducha*: W Tomie II strony 202 strofa IV. Strona 204 str. XI. Strona 254 i 255 strofy XXXI—XXXV. Strona 265 str. LXXIV. Str. 268 strofa X. Strona 288 strofa III. Strona 289 strofa IX. Strona 327 strofa VI Strona 337 strofa II i IV. Strona 356 strofa I.

jest i dalszy ustęp, w pieśni trzeciej, traktujący o rozmaitych wrogach, którzy się równocześnie walą na państwo Mieczysławowe. Ku końcowi pieśni rzeczonój natchnienie poety słabnie, a raczej przemaga tam znowu ówa mglista mistyczność, gubiąca się w abstrakcyach przyswojonój doktryny. Widzenie Mieczysława, mające za przedmiot całe dzieje powszechne, nie może zająć czytającego. O ile jest podobnem do rozumienia, nie przechodzi granic najzwyczajniejszych wyobrażeń i graniczy prawie z trywialnością. O ile zaś usuwa się z pod możności wykładu, nie może mieć dla nikogo żadnego zgoła znaczenia. Jeszcze gorsze wrażenie sprawia osnowa pieśni czwartej, w której Dobrawna długo i szeroko swoje znowu opowiada wizye Mieczysławowi. Wizye te prawie całkowicie nazwać należy dla czytającego zagadką. A zagadka ta tém więcej sprawia w tém właśnie miejscu niesmaku, że następuje tuż po ustępie takiejże treści, nuży zatém jednostajnością. Sam koniec pieśni czwartej ma znowu rzewne strofy i głębokie nieraz pomysły.

Waryantów w granicach i tego rapsodu okazała się liczba niemała, lecz właściwie tylko w zakresie samej pierwszej pieśni. Odmiennych opracowań téj pieśni, gdybyśmy z nich takie tylko tutaj liczli, które przynajmniej połowę całej pieśni wynoszą, wykazałoby można siedem. Gdyby zaś zliczyć krótsze odmianki, znachodzące się jako luźne, z kilku tylko złożone stroftek urywki, rozrzucone po całym rękopisie: to liczba ta okazałaby się trzy razy większą. Sąto kawałki wielkich niekiedy zalet; odnoszą się to do tego miejsca, to do owego. Różnią się pomiędzy sobą tylko sposobem wyrażenia i w ogóle formą — nigdy zaś rzeczą. Niepodobno z nich jest atoli złożyć całości. Text pierwszej pieśni, zamieszczony w wydaniu mojem, obejmuje w sobie — o ile się to tylko uczynić dało — zestawienie najlepszych poszczególnych waryantów, jakie tylko się znajdowały w tych tak licznych opracowaniach. — Dalsze pieśni tego rapsodu okazują się już więcej z pierwszego rzutu. Pieśń druga miała tylko w jednym miejscu pierwotnie przez kilka oktaw inne rzeczy samej przeprowadzenie, które autor potem przekreślił i odmiennymi szczegółami zastąpił. Obie pieśni ostatnie znalazły się w brulionie bez za-

dnych przeróbek i zdają się też być w ogóle zgola niewykończono. Tak np. koniec pieśni drugiej i początek trzeciej traktują w podobny sposób rzecz zupełnie tęsamę; coby być oczywiście nie mogło, gdyby ta część poematu była otrzymała wykończenie należne. Wydawca musiał to wszystko, jak się samo rozumie, wstawiać w text w tej postaci, jak ją w autografie znalazł — choć nie bez świadomości, że niejednemu ustępowi brakuje związku z całością, jasności i ogłady...*)

W **Rapsodzie piątym** spostrzegamy króla-ducha w nowym znowu żywocie. Duch niegdyś Popiela, później Mieczysława, przychodzi na świat i teraz znowu jako władca narodu, powołany do posunięcia przeznaczeń jego o krok dalej ku wytkniętemu ojczyźnie naszej przez opatrność celowi. Imię mu teraz Bolesław Śmiały. — Rapsod ten obejmuje pieśni cztery, nie jest jednakże ukończony. Zdaje się, że rzecz ta zaledwie doprowadzona została do połowy; urywa się bowiem wątek poematu już na wskrzeszeniu z martwych Piotrowina przez Stanisława świętego. Równie też i każda z czterech jego pieśni z osobna wzięta przedstawia tylko pierwszy rzut kompozycji, której zupełnie zbywa na tém, co nazywamy ostatnią ręką. Wnosząc z różnych niewątpliwych skazówek, twierdzić można na pewne, że pisane to wszystko być musiało w ostatnich miesiącach, jeżeli nie tygodniach życia

*) W dalszym ciągu, po powyższym rapsodzie, rozpoczął był Słowacki osobną pieśń, w której ukazany w szczegółach być miał bezcielesny byt ducha Mieczysława I od chwili jego zejścia ze świata, a równocześnie z temi pozgonnemi jego dziejami miał być dany i wizerunek rządów i przewag w narodzie polskim syna jego, Bolesława Chrobrego. W tymto rapsodzie miał znaleźć pomieszczenie ustępów o słupach wbijanych w Dnieprze, który z małemi zmianami obecnie okazuje się doczepiony przy końcu pierwszej pieśni rapsodu o Bolesławie Śmiałym. Część tę poematu autor dość już daleko był posunął; pomimo tego następnie pomysł jęj cały jednak odrzucił. Zbyt fragmentaryczna pieśni tej postać nie dozwalała udzielić z niej wyjątków w drukowanym wydaniu. —

poety. *) Śmierć zatem tak wczesna była jedyną tego przyczyną, że cały ten dział poematu pozostał w kształtach istotnie pierwszej improwizacji, która zapewne ani już nawet odczytana nie była przez autora, zostawszy w pośpiechu i zamęcie rzuconą tak na papier, jak się zarysowała w pierwszym jego natchnieniu. Stądto znajdujemy w całym tym rapsodzie przy potężnych nieraz ustępach, w porywający opowiedzianych sposób — strofy częstokroć niezwiązane ze sobą, dla niedość zaokrąglonej budowy zdań bardzo trudne do rozumienia, oddane tokiem zawikłanym, urywkowym i tylko jak przez gazę pomysł poety wydającym na zewnątrz. Pismo nader niewyraźne i wielokrotnie w jednym i témsamém miejscu przemazywane w wszelkich kierunkach — i w wierszach i nad wierszami — przywodziło też niekiedy niemal do rozpaczcy wydawcę...

Oczywistym zamiarem Słowackiego było, przeprowadzić w taki sposób cały wątek dziejów ojczystych, przedstawiony jako działanie jednego głównie czynnika, stawionego w tym narodzie na pierwszym zawsze miejscu, albo na tronie, albo na inném skądinąd tak podniosłem w sferze duchowej stanowisku, że czyny, błędy, grzechy, zbrodnie, zasługi i poświęcenia jego oddziaływały na całe powodzenie społeczeństwa narodowego.

Gdybym miał wyrzecz ogólne zdanie moje o tém całym dziele ostatniém Słowackiego, powiedziałbym: że sądzić je wypada z dwóch odrębnych zgoła punktów widzenia.

Jako wyraz doktryny, jako pomysł oparty na wierze w przechodzenie duszy z jednego ciała w drugie — jest to przypuszczenie, którego trudno uważać za coś więcej, jak za senne tylko marzenie. Myśl taka sprzeciwia się i wszystkim warownie stoją-

*) W różnych miejscach manuskryptu tego rapsodu znachodzą się między strofami tekstu wtrącone urywkowe ustępy testamentu Juliusza. Wiadomém jest, że pisał on testament swój krótko dopiero przede śmiercią — już w r. 1849. A zatem w pierwszych miesiącach roku owego mógł też być dopiero i ten rapsod pisany.

cym artykułom wiary naszej i naczelnym wypadkom wiedzy dzisiejszej. Solidarność pewna przeszłości z obecnością nie daje się zaprzeczyć, to prawda. Odsłania się ona widocznie w ciągu pokoleń poszczególnych rodów a rodów, odsłania się i w toku powszechnych dziejów, toż w tradycji narodu. Wnukowie są z dziaćdami złączeni pewną niewidzialną wstęgą i krwi i dążeń, i cnót i wad. Ale ażeby zrozumieć to wszystko: nie potrzeba do tego takich mistycznych kluczy. Że założenie Słowackiego w tym poemacie miało w sobie coś sprzecznego ze wszystkiem, czego się tylko tknęło, to już i w tém się okazuje, że praca ta pocie od ręki nie szła. Biedził on się z dziełem tém bardzo, przez lata całe — i nie umiał sobie z niem nieraz prawie dać rady. Mimo pozoru dogmatyzmu i wiary, z jaką przedmiot traktował, chwał on się ciągle w najgłówniejszych pomysłach, a mianowicie co do tego wcielania się duchów w żywoty ludzkie. I tak Piast w jednym opracowaniu był mu wcieleniem ducha Lecha, w innej redakcyi znów ducha Zoryana (harfiarza), w trzecim wreszcie rzucie (wziętym do tekstu) niema on z nikim innym wspólności. Podobnie i sam bohater poematu, Król-Duch, to się staje Wodanem (synem Piasta), nim mu wypadło następnie zrodzić się w osobie Mieczysława; to znowu przepędza ów czas w krainie zaświatowej, nie będąc weale śmiertelnym przed swoim zrodzeniem się jako Mieczysław I. Widać w tém wszystkiem jedynie czynność excentrycznej fantazyi, przybierającej mimo to pozory jakiejś intuicyi proroczej z uroszczeniami do nieomyślności, których nic zgoła nie usprawiedliwia....

Lecz to jest sąd o Królu-Duchu wydany z jednego tylko z dwojga owych stanowisk, o jakich nadmienilem powyżej. Obok strony dogmatycznej, ma kreacya ta także i stronę drugą — artystyczną. Jako przeprowadzenie całego szeregu obrazów, zdjętych z kilkowiekowego żywota Polski, i jako poczet wizerunków najwydatniejszych osobistości w obrębie dziejów i podań naszych — niezaprzeczenie poemat ten miałby wielkie znaczenie, gdyby był dokończony i wykończony. W tym stanie, w jakim pozostał, zaleca on się tylko mistrzowskiem obrobieniem niektó-

rych chwil narodowej przeszłości, a nadto zmusza nieraz do podziwu i językiem znakomitąj dzielności! Język ten smukły, gibki, zwięzły, a zawsze muszkularny. stanowi też główną poematu tego ozdobę. Mógłby on przywieść do zazdrości niejednego z poetów, mających skądinąd prawo liczyć się do celniejszych pisarzy naszych!

Teraz wspomnę o innéj pracy Słowackiego, która o tyle się wiąże z poematem powyższym, że z jego tylko powodu została prawdopodobnie podjęta. Przypada ona albo na czasy, kiedy Juliusz Króla - Ducha zaczynał, albo też właśnie go rozpocząć zamyslał. Mówię o Przekładzie kilku ustępów Iliady. Przepyszny to jest przekład! Jeżelibyśmy mieli kiedykolwiek czytać Homera z oną lubością, z jaką go niegdyś czytali Grecy, albo z jaką my dzisiaj naszego Pana Tadeusza czytamy: to tylko chyba w taki sposób musiałby on być spolszczony. Może w tém przyczyna tego, że Słowacki co do wyrazów szczegółowych wcale się oryginału nie trzymał. Nie przekraczał on wprawdzie nigdy granicy sposobu i nastroju starożytnego. Ale w obrębie rzeczonym raczej Homera parafrazował, aniżeli przekładał. Z tém wszystkiém co to za wysłowienie! jaka dzielność i dosadność wyrażen! Wiersz wspaniały, pełen wagi i kolorytu, obfity w zwroty potoczne, a jednak więcej bohaterską potęgą! Z tych urywków więcej wyrozumieć się daje, że to pisał człowiek genialny, niżeli z niejednego własnego jego utworu! Nie jestto wprawdzie sposób, w duchu którego życzyłby należało w ogóle, ażeby pisarze nasi spolszczali obce, a zwłaszcza starożytne krea-cye. Na téj drodze bowiem bardzo łatwo uronić wszelkie znamiona pierwotnego charakteru oryginału. Ale czytając te Słowackiego ustępy, chętnie każdy, jak sędzę, powie mu: *Tibi soli!* i nie pożałuje, że i w taki sposób choć kilka tylko prób téj prastaréj poezyi ukazano w naszym języku.

Nie sędzę, żeby miał był zamierzać kiedy Słowacki zająć się przekładem całej Iliady. O Homera pewnie mu tu nie chodziło. Nie tłumaczył go też z oryginału i niewątpliwie ani nawet nie prze-

łożył nic więcej, jak tylko tyle, ile się właśnie na tych kilkunastu kartkach po śmierci jego znalazło. Najprawdopodobniej było to tylko jedno z przygotowawczych studyów do poematu o Królu-Duchu. Chodziło poecie o dobranie sobie najwłaściwszego toku i tonu językowego, a więcej jeszcze o dobór odpowiedniego przedsięwziętemu dziełu rodzaju wiersza i rytmu. W rękopisie Króla-Ducha znaleźliśmy jako warianty nieraz całe ustępy, w innych formach wiersza pisane, jak w tych oktawach jedenastozgłoskowych, w jakich ostatecznie najbardziej lubił wylewać natchnienia swoje Słowacki. Otóż wnosić się godzi, że między innymi przyborami, jakie się robiły przed rozpoczęciem dzieła, rozczytywał on się i w Homerze, tym protoplaście wszystkich epików. A porwany urokiem i pięknnością kilku cenniejszych ustępów, powtórzył je po swojemu w brzmieniu swojej mowy ojczystej. —

— Wszystkie wymienione aż dotąd prace Juliusza, po roku 1842 powstałe, mają to między sobą wspólne, że nie noszą na sobie wybitnego znamienia czasu. Skądinąd bywa to uważane za piętno wyższych utworów poetyckich, że takowe — bezpośrednio lub pośrednio, potakując albo przecząc — dążnością swoją towarzyszą zazwyczaj chwilowemu usposobieniu społeczeństwa, w łonie którego powstały. Słowacki w latach owych zostawał względem ogółu narodowego w wyjątkowym stósunku. Natchnienia jego płynęły z źródeł sobie tylko właściwych. Doktryna jego nie przystawała wcale do powszechnego poczucia. Plody jego poetyckie téj doby nie mogły tedy mieć związku z potrzebą chwili i jak wnosić można, nie miały też nawet ani przeznaczenia być tak zaraz oddane do rąk narodu. Z drugiej strony — od czasu wydania *Snu Salomei* (1844) przestał i kraj już przywiewywać wyższe znaczenie do jego publikacyi. Mało kto wtedy już troszczył się o to, co tam pisze, co wydaje Słowacki. Przesłoniła go od narodu owa gęsta chmura mistyki, w jakiej utonął...

Wyjątkowo jest jeden tylko wiersz pochodzący z lat owych, a bijący przeważnie tętne^m chwili, co go wydała. Była to smutna chwila w niedawnych naszych dziejach — jedna z poprzedników klęsk lutowych roku 1846. Przypadkowa okoliczność wyrwa-

ła wtedy poetę naszego z medytacyi, w jakich był zatopiony, i zwróciła uwagę jego na stósunki dnia bieżącego. Spojrzał na nie, źle je pojął — i rzucił kilka strof między otoczenie swoje najbliższe, któreto strofy stały się głosem, posłyszczanym doraźnie przez cały naród. Głos ten niestety skompromitował autora. Zaszły niebawem wypadki, które zadały fałsz jego hasłom, jego przestrogom i wróżbom, wygłoszonym z wszelkimi pozorami wieszczego natchnienia...

Ażeby zrozumieć, jak mogło przyjść do napisania owego wiersza przeciwko Krasieńskiemu, trzeba się myślą przenieść w ówczesne okoliczności.

W czasie między 1840 a 1846 dochodziła zaciętość w postępowaniu skrajnych stronnictw emigracyjnych najwyższego szczytu swojego. Zaraz w roku 1831 zaczęto sobie wzajemnie wytykać grzechy popełnione w ciągu powstania. Społeczeństwo nasze rozpadło na obozy. Dały się słyszeć zasady, przedtém nigdy tak stanowczo nie wygłaszane. Były one wielkiej doniosłości na przyszłość; były nie mniej ważne i co do sądów o całej dawniejszej narodowej przeszłości. Przyzwano bowiem przed siebie blade postaci przodków i zapytano je, że tu użyję słów poety:

„Zaco życie — w życia chwili
Z taką pychą roztrwonili,
Że potomkom nie zostało
Ni potęgi, ni puścizny,
Jedno w zamian ich ojczyzny
Rozebrane kraju ciało?“...

Analiza taka przeszłości wynikała wprawdzie z kolei rzeczy. Była potrzebna, mogła być użyteczna. Dobrych także owoców można się było spodziewać z tego podniesienia nowych idei, w imię których ożywiło się poczucie ducha narodowego. Niejedna jednostronność, tak w postępkach jak w zamysłach, mogła przez to być usunięta; niejedno uroszczenie na niczém nieoparte mogło teraz być uchylone; niejednen niedostatek w sprawach powszechnych mógł zostać zastąpiony nieużytym i świeżym jeszcze materyałem działania nadal. Lecz jeśli te korzyści miały być osiągnięte,

to nieodzownym tego warunkiem był jasny i rozumny spokój ducha zapuszczającego się w trud takich robot, a niemniej też miłość słuszności i prawdy, większa nad miłość swego obozu. Na nieszczęście, cnoty te nie były przymiotem ludzi ówczesnych. Zabrano się do dzieła z zapalem, lecz był chorobliwy to zapał, który przy ciągłych protestacjach ze strony innych obozów aż nadto rychło wyrodził się w namiętność i fanatyzm i terrorizm, prawdziwie godny XVII wieku. Rozbiór przeszłości narodowej pod wpływem takiego ducha nie wydał żadnych pożądanych owoców. Zaczęto przeszłość krzywdzić — obecność zakłócać — przyszłością grozić. Siła i zacność ducha narodowego ucierpiała na tém wszystkiém nierównie więcej, aniżeli na stratach materyalnych roku 1831...

Najjaskrawszym i najszałemszym może wyrazem całej téj zaciekłości wersalsko - poatierskiej były dwa dzieła, pod przybraném nazwiskiem Prawdowskiego właśnie wtedy w obieg puszczone. Jedno miało tytuł: „O prawdach żywotnych narodu polskiego.“ Bruxella, 1844; drugie: „Katechizm demokratyczny, czyli opowiadanie słowa ludowego“ Paryż 1845. Książki te były napisane w celu praktycznym, prowokacyjnym. Ogłaszały zasady, żadnej wspólności nie mające z nazwami, których brzękiem się zaślaniały. Nie były to bowiem ani prawdy, ani żywotne, ani wreszcie demokratyczne! Był to już raczej zamach ojcobójstwa względem przeszłości własnej — akt zerwania wszelkich węzłów tradycyi. Wszelka miłość nazwana tu została słabością, powaga hipokryzyą, umiarkowanie zdradą. Pół narodu wydziedziczano z czci i odtrącano od posługi krajowej. A wśród tego wszystkiego hałaśliwie zapowiadano, że nadeszła chwila stanowcza, godzina czynu...

Przeciwko takim dążnościom, a przedewszystkiém z powodu obu książek rzeczonych, wystąpił w r. 1845 z Psalmami swymi Krasieński, które wydał pod odpowiedniém sytuacji nazwiskiem, pod imieniem przybraném Spirydyona Prawdzickiego.

Mówiliśmy już w jednym z rozdziałów poprzedzających o powodach niechęci, jaka wtedy miała miejsce od niejakiego czasu między Krasińskim a Słowackim. Mógł się przyczynić do większego jeszcze zrażenia Słowackiego ku Krasińskiemu i Przedświt, ogłoszony w roku 1843.

Znajduje się tam niejedno, co Słowackiego niepomału zadziwiać mogło w ustach, nie tak dawno jeszcze temu, autora... „Komedyi Nieboskiej.“ Stanowisko zajęte przez Krasińskiego w Przedświcie było bardzo bliskie drugiej skrajnej ostateczności. Tylko mimowolny nacisk, bardzo zresztą naturalnej u niego opozycji przeciw centralizacyjnym jak je wtedy nazywano robotom, mógł tu wieszczą naszego popchnąć aż do wyrzeczenia pomysłów, tak wątpliwęj oto trafności, jak np. następujące:

„Ty nie szukaj w ojcach winy,
Ty nie wdawaj się w szyderstwo!
Bo to potwarz i bluźnierstwo!

.....
„Łaska boża

Nas weгнаła w te bezdroża:
Niechaj będzie pochwalona!“

.....
„My umarli pośród świata
Z świętej do świata miłości!“ itp.

.....
To są zdania, które niepodobno żeby nie miały się wydawać... bardzo problematycznymi w oczach każdego, komu tylko miłsza prawda szczerza, choćby bolesna, aniżeli pocieszająca się w biedzie próżność narodowa i miłość własna! —

Słowacki nie należał do żadnego obozu politycznego, i nie miał nigdy w niczem żadnej wspólności z robotami Centralizacyi. Lecz i w jego przekonaniu było to już niejako dogmatem wiary, że się w narodzie naszym grzeszyło i błdziło dawniej w niejednym, co na przyszłość koniecznie odmienić, naprawić, powetować należy. Duch przeszłości — a duch przyszłości: były to rzeczy zupełnie różne w oczach poety naszego. A kiedy widział, że tej prawdzie oczywistej, dziejami kraju naszego, dzisiejszym sta-

nem naszym społecznym tak niewątpliwie popartój, już nawet i Krasiński zaczyna przeczyć bezwarunkowo: to go to koniecznie musiało drażnić w namiętny sposób i wzbudzać w nim uczucia, jakich się doznaje przy każdym bolesnym a niespodzianym rozczarowaniu. Zniechęcony, zgorzkniały — zwątpił od owej chwili do reszty w niepokalaną czystość natchnień dawnego przyjaciela.

Otóż w takięmto będąc przez cały ciąg czasu owego względem niego usposobieniu, ujrzał w r. 1845 wydane trzy pierwsze Krasińskiego „Psalmu Przyszłości.“ Nie bacząc na to, że autor Psalmów pod niejednym względem odstąpił tu od skrajności stanowiska, chwilowo tylko zajętego w Przedświcie; nie zwróciwszy na to uwagi, że sama np. strofa następująca:

„Któż zachwycon zdarzeń ściekiem,
Nie popełnił nigdy winy?
Chyba jeden — ten Jedyny,
Co był Bogiem a Człowiekiem!
Jakiż naród — jakież stan —
Wiekże jaki, z czystém czołem
Krzyknąć może: „jam Aniołem!
Jam nie zadał drugim ran?...“

nie rozważywszy mówię, że to samo jedno przyznanie już wystarczyło, ażeby każdego przekonać, iż wieszcz ten podniósł się tu natchnieniem na wysokość, której nie dosięgają żadne samolubne uprzedzenia stronnice: nie zrozumiał, nie dostrzegł, nie umiał ocenić Słowacki w Psalmach Przyszłości tego wszystkiego, co w nich rzeczywiście było wieszczego. Uczepił się natomiast wyrazów, które — jak ów wiersz z przyciskiem wyrzeczony w Psalmie miłości: „Hajdamackie rzućcie noże!“ — miały w jego oczach znaczenie protestacyi przeciw katastrofie, do której się właśnie gotowano natenczas. Wziął to za objaw wstrętu przeciw wszelkiemu ruchowi, któryby prowadził do przetworzenia danych stosunków. Naprężenia w społeczeństwie, już gotowego w niektórych częściach kraju, Słowacki nie znał. Zamętu fatalnego w umysłach nie przypuszczał. Sprężyn w działaniach gotujących się do czynu nie oceniał. Z wysokości zawrotnej tych mistycznych

kontemplacji, w których się od dawnego czasu kołysał, spoj-
rzał na rozterk stronnictw — i nie umiał w nim niczego takiego
dostrzec, coby usprawiedliwiała taką zgrozę u drugiego poety.
Dla Słowackiego wszelki ruch w społeczeństwie był pożądany.
Wierzył w wszechmoc i w wszechobecność potężnych duchów,
spełniających misye swoje za pośrednictwem żyjących osób. Wie-
rzył, że co tylko się stanie i z jakiegokolwiek punktu wyjścia
wyniknie, prędzej czy później zbliży korab wieków do wytknię-
tego mu portu — mniejsza o to, pod czym sterem, w imię ja-
kich godeł i nawoływań ta żegluga przez wzburzone fale społe-
czne będzie odbyta. Słowacki lękał się tylko jednej rzeczy —
martwoty, zastoju, nieruchomości...

Pod wpływem takiego więc usposobienia, natychmiast po
ukazaniu się Psalmów, napisał z goryczą i z szyderstwem ów
wiersz namiętny, wymierzony przeciwko Krasińskiemu, w którym
obok najszczytniejszych zalet artyzmu, obok niejednego miejsca
napisanego w wielkiem ducha podniesieniu, napotykamy tyle rze-
czy jaskrawych i niesprawiedliwych, a w każdym razie... wypo-
wiedzianych nie w porę...

Same okoliczności czasu owego i forma wystąpienia tego
przeciw Psalmom Przyszłości sprawiły, że opinia publiczna przy-
jęła ten głos Juliusza, jako ujęcie się za zaczepionym obozem.
Każdy wedle przekonań i usposobień swoich to się z tego cieszył,
że się autor Beniowskiego do zastępu „ludzi czynu“ przyłączył,
to razem z Przeglądem Poznańskim plód ów z ubolewaniem naj-
żywszém „Herostratowską pieśnią“ nazywał. Tymczasem wiersz
obiegał z rąk do rąk w coraz liczniejszych odpisach, do druku
bowiem nie był oddany. (Wyjście jego nastąpiło dopiero w r. 1848,
a i wtedy nawet bez wiedzy autora).

Niezadługo doszła o nim wiadomość do matki autora. Pani
Becu, rozżalona, skwapliwie napisała do syna, karcąc go za to,
że przyjaciela zaczepia.

Oto, co jój odrzekł na to Słowacki:

„Jeżeli mnie zapytasz, czy wart jestem ludzi szacun-
ku i miłości, to Ci z sumieniem odpowiem, iż pracuję ciagle

i krwawo, abym na to oboje zasłużył. Lecz jeżeli będziesz pytać o ten fakt, czy mnie taki a taki człowiek kocha: na to Ci odpowiem, że serca są w ręku Bogu, a ja mogę zasługiwać na nie, a nie mieć ich. Bolałem więc mocno, gdy mnie niby strofujesz, że obrażam moje przyjaciół. Nikogo nie obrażam. Ale praca moja tysiące ludzi obrazić może. Dla takich to rzeczy mocniej niż kiedykolwiek boleję nad rozłączeniem naszym. Czas płynął — jam może szedł naprzód prędzej, niż ludzie idą, niż nawet Ty sądzisz, że iść mogą. Bo doszedłem celów ostatecznych, które Zbawiciel nam jak przeze mgły pokazał.“ itd.

To było pisane d. 2 lutego 1846 r. Z taką więc pewnością siebie, z taką ufnością w właściwość stanowiska, jakie chcąc nie chcąc był zajął, mówił o tém Słowacki na kilka dni tylko jeszcze przed rzezią galicyjską.

Tych dni kilka upłynęło, i katastrofa nadeszła. Wypadki, jakie z sobą przyniosła, nie były wprawdzie bezpośrednim wynikiem działań stronnictwa, potępionego przez autora trzech Psalmów. Z jakiegokolwiek jednak strony dany był do tego popęd, jakiegokolwiek okoliczności, przez nikogo nieprzewidziane, przyczyniły się do tego, że ten pożar społeczny, w zarodkach dawno tlejący, buchnął teraz właśnie żywym płomieniem i tak daleko rozlał niezbrodzone fale krwi i zagłady: — wrażenie pierwsze było zawsze tego rodzaju, że dążność wiersza, o którym tu mówimy, zwróciła się, szczególniej w pierwszej chwili, najfatalniej przeciwko jego autorowi. Lud, tak wysoko postawiony w owęj wieszczęj improwizacyi, zajął rolę zbrodniarza i bratobójcy. Szlachta zajaśniała blaskiem jeśli nie nowęj zasługi, to w każdym razie nowego, a niczém niezasłużonego cierpienia. Jęj losy ukazały się na nowo jako złane nierozłącznie z losami samęj ojczyzny. Śmiało, z proroczém uroszczeniem rzeczzone twierdzenia poety, jakoby z owęj strony nic nie groziło porządkowi towarzyskiemu, okazały się marzeniem złudném i fałszem! Wszystkie roboty, wszystkie kierunki, przeciwne stanowisku Psalmów Przyszłości, podległy teraz potępieniu nieodzownemu. Kasińskiemu nawet przeciwnicy jego nie mogli teraz już odmawiać smutnéj w tym razie, lecz zawsze chlubnéj i świetnéj nazwy — prawdziwego wieszczą przyszłości.—

Wtedyto wśród upokorzenia, jakiego doznał, pożałował Słowacki wszystkiego, w czém przeciw Krasińskiemu zawinił! Zarzu-ty, które mu dawniej robił, rozchwiały się teraz w nicłość. Sta-
nał przed jego oczyma Zygmunt — w téj postaci, z tym pocią-
giem magnetycznej sympatii, jak kiedyś dawniej, jak w Rzymie,
„w willi róż“... Nie tyle jeszcze przykro mu było, że napisał ów
wiersz przeciwko Psalmom jego zwrócony. Wiersz ten nie był druko-
wany, nie miał nigdy być ogłoszony; mógł w porę jeszcze zostać
stłumionym i może nigdy (tak sobie wtedy tuszył Słowacki) do
wiedzy Krasińskiego nie dójdzie. Tém bardziej zato darować so-
bie nie mógł ustępów niektórych w Księdzu Marku. Bądź
jak bądź, mówiło mu sumienie, że co się złe zrobiło, to napra-
wić należy.

Wtedyto więc niewątpliwie napisał do Krasińskiego ów list
bez daty, który w pierwszym rzucie znaleziono w pozostałych je-
go papierach i z którego tu przytoczę kilka ustępów. Jak zoba-
czymy, usprawiedliwiał się w nim Słowacki tylko za Księdza
Marka. O drugim zaś wierszu owym nie mówi wcale, choć przy-
padek dziwny zrządził, że concept listu tego był pisany właśnie
na kartach, mieszczących w sobie pierwszy rzut „Wiersza do
autora Trzech Psalmów,“ już to na marginesach, już po-
przek pierwszego pisma.*)

„Dziśiaj był u mnie Gaszyński (taki początek listu).
Mówił mi, że w liście Twoim dopytujesz się o mnie. A gdym
rzekł, iż sam w ostatnim liście zerwałeś ze mną korespon-
dencją, żegnając mię:**) obiecał uwiadomić Cię o mojej
przyjaźni. I wyszedł mówiąc, iż za 10 dni list od Ciebie
mieć będę.

Postanowiłem ten list Twój uprzedzić; do mnie bowiem
należy rozpoczęcie rozmowy i ton jej. Kochałem Cię, jak
dziecko, jak gdybym dzieckiem był, kochałem Ciebie.

Szczerze teraz — Wiem, dlaczego nie piszesz, a sam
nie wiem, czy pisać możesz. Jeżeli twój duch stoi na wy-
sokości właściwej jemu, powinienś kochać mnie i szanować;
jeśliś dotąd cielesny jest z centaury, z orla i z lwa, jako

*) Ta jedynie okoliczność ułatwia też właśnie domysł, kiedy
list, o którym tu mówimy, mógł być pisany.

**) To się odnosi do zajść pomiędzy nimi w roku 1848.

ów człowiek Platonskiej republiki, powinienś jak centaur stratować, jak orzeł wszpionć, jak lew rozerwać; a ja powinienem Ci się oprzeć jako Ecce Homo dzisiejszy, to jest ducha wyraziwszy ciałem, nie będąc niewolnikiem nawet przyjaźni. Przed Tobą wszakże, jedynym moim w złych czasach przyjacielem, przed człowiekiem, który wtedy niskość mojego ducha podnosił nieraz i stroił, muszę stanąć jako instrument, który chociaż przez anioły niebieskie dziś jest strojony, wszakże kluczowi swojemu dawnemu odpowiada.

Smętnęj więc rzeczy dotknę — tak było:

W pierwszym szale rozbudzonych we mnie ducha wnętrzości, chcąc koniecznie wytłómaczyć się — nie z idei, bo ta tomów i wieków by potrzebowała — ale z ideału, to jest z pierwszego owocu idei: wpadłem bezmyślnie na jedyną figurę historyczną i wypadek, który mógł przez usta moje wytłómaczyć, czego chcę i co pojmuję. Obrałem księdza — a sama nędza zewnętrzna w wykonaniu świadczy, żem w szaleństwie pisał. Jak kochanek, który w bezsennęj nocy list skomponował, a nad rankiem sam się dziwi wczorajszej głupocie, podobnie ja aż po napisaniu dramatu obaczyłem wątpliwość dzieła i bolesniejsze jeszcze różne zeń wylatujące strzały, które wszakże, Bóg mi świadkiem, nie w twórczości godzinie, ani przed tą chwilą świętą ze mnie wypadły. — Po napisaniu więc aż, spostrzegłem się na dwóch rozstajnych drogach, ducha i ciała. Z jednej strony mówiły duchy: poemat z nas jest, nam potrzebny — jest formą, z której będą się rozchodzić dzbanki różne, a my je będziemy duchem świętym nalewali. Jako poemat, zrukuje sławę twoję u ludzi zimnych, podobnie jak list miłośnika gubi go między starcami, gdy list ten u dziewczyny wykradną i przez okulary czytają. Ale też list tylko taki gada do serca dziewczyny, — właśnie dla głupstwa a jakiejś niewinnej form przezroczystości leje ogień w jęj ducha i zwycięża ją jedną może tajemniczą magnetyczną zgłoską — a kochankowi daje królestwo. Wydad więc na wiatry list twój — zgub się jako autor — jeżeli co więcej masz poświęcić, poświęć...

Odpowiedziałem: więcej poświęcić! sto razy więcej!...

A one: — „Co?” —

Odpowiedziałem: Jest jedno serce, które może będzie myślało, iżem zapomniał o jego bolesnej naturze; jest człowiek, który — jeżeli kiedy o spoczynku i o nagrodzie doczesnej myślałem, tom sądził, iż spokojna z nim gdzieś pod lipami wiejskimi jedna godzina, będzie mi nagrodą trudnego i bolesnego żywota. — Teraz to wszystko muszę... Co duchy? —

Była godzina, iż zamilkły. A ja sam z własną wolą zostawiony — wybrałem... Wiesz, co wybrałem. Duchów nie było rozkazu — ofiara jest moją własną, ja za nią odpowiadam.

I tak będzie. zawsze, — Ile razy mi przyszło między pełną chatą a samotnością i potrzebą wyższą wybierać, zgadzałem się na to, żeby nigdy dzwonek drzwi moich na przyjsie przyjaciela nie dzwonił, a czynilem co muszę. —

Teraz nawet czynię, co muszę. Bolesne rwanie się tego listu świadczy Ci, — ale Ty jesteś wielki duch boży i jeden z aniołów narodu naszego. Zakrwawiać Ciebie i zakrwawionym w sercu zostawiać — byłoby grzechem przeciwko duchowi świata. Zdejm więc z siebie ciężar, ja Ci dopomagam...

Na Boga i wszystkich świętych pańskich! kochać mię możesz, a szanować nawet powinienes; bo wiesz, iż jako człowiek odpowiadam za pisma moje całą osobą moją ludziom ciała. Ale przed Tobą więcej, niż to — bo jako duch stoję i padam... To wszakże nie dlatego, żebym jako człowiek-duch czuł się winnym, ale przez myśl, iż Ty może — nie rozumiejąc i nie wiedząc, a myśląc o mnie, cierpisz najgorszą z mąk — tłómaczącą się Tobie krzykiem: ach! czemużem go kochał?..

...Bez miłości prawdziwej nic nie pisz, bo zakrwawilbyś serce moje jakim wyrazem mimowolnym. Jeżeliś co przeciwko mnie w tym czasie duchem powiedział: nie tylko Ci to z ducha wymazuję, ale nawet jako za ulgę mi przyniesioną uważam. Nie odpisuj mi na ten akt rozwiązujący. Sumieniem wszystko trzeba rozwiązać"... itd.

W takito sposób stósunki życzliwsze znowu się rozpoczęły pomiędzy nimi. Krasiński odpowiedział uprzejmie i rękę sobie podaną ścisnął. Do któregoś z przyjaciół swoich tak się wtedy o tym kroku Słowackiego i o nim sanym wyraził.

....„Od Juliusza list miałem bardzo długi. Chciałby się ze mną spotkać. Dziwny stan jego umysłu. Najwyższe tam prawdy dziki stan przyoblekły. Zresztą wiek nasz jest wiekiem olbrzymich zapasów. W téj bójce między życiem a śmiercią świata, nie dziw, że dziwy się rodzą"...*)

Sam zaś Słowacki tyle matce o tém pojednaniu donosił:

*) Do kogo i kiedy to było pisane, nie wiem. Biorę to bowiem z drukowanego zbioru korespondencyi Krasińskiego. Tyle tylko tam powiedziano, że list był datowany z Nicei w r. 1846.

... „Z tym, z którym myślałaś mię poróżnionym, jestem w przyjaźni i mam czule listy od niego. Mówię o Zygmuncie. Nigdy nie myślałem go obrażać ani mu szkodzić... teraz zwłaszcza, gdy radbym kawałkami samego siebie obdarowywać ludzi, aby silniejsi byli i częstką mego szczęścia szczęśliwi“... (z listu z d. 7 sierpnia — 1846).

To wyrównanie osobistych niesnasek nie mogło oczywiście oszczędzić Słowackiemu goryczy, jakiej doznać musiał, kiedy we dwa lata później (w r. 1848) ujrzał ogłoszone dwa nowe Psalmy Przyszłości, a w pierwszym z nich, w „Psalmie Żalu“, znalazł zwróconą przeciwko sobie, surową, choć poważną i ze wszech miar sprawiedliwą odprawę.

Więcej jeszcze przykrości sprawić mu musiała niedyskretność lipskiej Księgarni Zagranicznej. Bez woli i nawet bez wiedzy autora, pozwoliła ona sobie w tymże czasie wydrukować wiersz ów jego przeciwko Krasieńskiemu, i to jeszcze na domiar złego z niezliczoną ilością błędów, przekreślonych wyrazów, koszlawych rymów i tym podobnych odmian pierwotnego tekstu, bałamutnych przełożeń całych ustępów poematu na takie miejsca, do których nie należały, przeistoczeń nawet myśli poety w najfatalniejszy sposób — słowem z bezlikiem bezsensów wszelkiego rodzaju, odbierających wierszowi temu całą wewnętrzną wartość. Małej téj broszurce, bezimiennie w świat puszczonej, dano napis:

Do Autora Trzech Psalmów przez *** Lipsk, nakładem
Księgarni Zagranicznej. 1848. 12^o, str. 20.

W téjże postaci odbito rzecz tę powtórnie w r. 1861 na samym końcu czterotomowego zbioru dawniejszych dzieł Słowackiego, któryto zbiór Brockhaus w Lipsku, bez niczyjego upoważnienia, a zatem w nieprawy sposób, sobie tylko samemu zyski z tego zagarniając, a nibyto chęcią przysłużenia się literaturze polskiej powodowany i stąd prawa do wdzięczności nawet narodu naszego sobie roszczący, z niepospolitą co do poprawności tekstu niedbalstwem ogłosić nie wahał i nie wstydził się... Dopiero lwowskie wydanie Pism pośmiertnych, z polecenia krewnych

i spadkobierców poety dokonane, przyniosło wiersz rzeczony w autentycznym i prawdziwym układzie. *)

*) Z powodu mylnych szczegółów o przyjęciu do skutku owego wydania „Wiersza do autora trzech Psalmów“ z roku 1848, udzielonych przez pana Cypryana Norwida w bujnie ułożoném choć drobném piśmku jego „O Juliuszu Słowackim“, widzę się tu w konieczności dopisać, co następuje:

Pan Norwid podaje wiadomość, jakobyśmy to publiczne ogłoszenia wiersza, o którym mówimy, zawdzięczać mieli p. Edmundowi Chojcekiemu. Pan Chojceki miał być razu pewnego z wizytą u Słowackiego i trafił właśnie na taką chwilę, w której poeta rzucał w płomień płód ten swojej gorączkowej fantazyi. Wyrwał tedy z ognia co prędzej p. Ch. rękopis na zagładę wskazany i wzięwszy go do siebie, kazał go niedługo potem przy zdarzonej sposobności w Lipsku oddać do druku.

— Daruje mi szanowny autor, że się ośmielę powiedzieć mu otwarcie, iż snąc zażartował sobie ktoś z niego, udzielając mu do dzieła jego tę prawdziwie mytyczną wiarogodność bajeczkę. Gdyby publikacya lipska była przyszła do skutku w taki sposób, jak tu podano: to oczywiście byłaby ona tak odbita w druku, jaki był rękopis, a rękopis nie byłby mógł być pofalszowany, skoro miał pochodzić z rąk bezpośrednich samego poety! Tymczasem niech tylko kto porówna wiersz rzeczony w tym autentycznym kształcie, jak go ukazuje wydanie lwowskie z r. 1866, z bałamutną jego redakcją w edycyi lipskiej: a przekona się, że wyrazów i nawet zdań całych jak najbezmyślniej poprzekręcanych jest w redakcyi téj przynajmniej tyle, ile w utworze całym jest wierszy; nie mówiąc już nic o całkowitych ustępach albo zupełnie wypuszczonych, albo też danych w kolei niewłaściwej, to jest takić, że co miało nastąpić później, idzie naprzód, a co miało dane być pierwéj, następuje gdzieś o kilka dopiero stronie zapóźno. Takiego nieładu nie mogło oczywiście być w manuskrypcie owym wrzuconym w ogień. Jeśli to był odpis na czyste, to nieładu w nim być nie mogło tém bardziej. Jeżeliby to zaś miał być brulion: to go mam właśnie przed sobą; gdyż manuskrypt, z którego oddrukowano wiersz ten w mojem wydaniu, jestto właśnie dopiero pierwszy rzut jego, z licznemi wprawdzie mazaninami i poprawkami po różnych miejscach, ale bez tych pomyłek, które wytykam — i bez żadnych też śladów... płomienia, z którego miał rękopis ten być wydobyty przez p. Chojcekiego.

Ja mam z ust wiarogodnych zupełnie inną wiadomość o dziejach wydania tego z r. 1848. Manuskrypt, z którego je zrobiono, przewiozła do Księstwa Poznańskiego z Paryża pani Łubieńska, autorka powieści Niedowiarek — otrzymawszy go tamże od Mickiewicza,

-- Oprócz powyższych utworów poetyckich, napisał też Słowacki i wydał w owym czasie dwie broszury prozą, treści po-niekąd politycznej. Jedną z nich t. j. list „Do Księcia A.“ (Czar-toryskiego) zamieściłem w wydaniu Pism pośmiertnych w tomie Iszym. — Rzecz ta wyszła bezimiennie — w Paryżu — bez ozna-czenia roku, w którym została wydana. Że jednak wynikała z pió-ra naszego poety, jest rzeczą pewną w obec notat i rachunko-wych jego zapisków, w których o tej publikacji jako swojej wspomina. Drukowana ona była na samym początku roku 1846, co także z rzeczonych notat wynika. Powód, dla którego została napisana, nie jest mi wiadomy.

O exystencji drugiej broszury mam wiadomość tylko ze wspomnianych co dopiero jego zapisków, w których zanotował Słowacki, że ją wydał i także w owym roku. Ma mieć ta bro-szura napis: „O potrzebie Idei“. Mnie się z nią dotychczas ni-gdzie spotkać nie zdarzyło.

Natomiast zrobić tu muszę uwagę, że są też niektóre rze-czy, przypisywane naszemu poecie, które nie pochodziły od niego. I tak wyszedł w Lesznie, w roku 1852, pod jego jakby imienia i nazwiska literami początkowymi, utwor prozą:

„Sen, pieśń z niedokończonego poematu, wyjęta
z pozostałych rękopismów po ś. p. J. S.“. — Że to

któremu, jak widać, musiał rzecz tę przynieść ktoś trzeci, i to oczy-wiście ktoś taki, który ją spisał sobie tylko z pamięci, a z pamięci lichój i słabój — nie zaś z rękopisu bezpośrednio pochodzącego z pracowni autora. Od pani Ł. dostał odpisu tego wiersza młody na-ówczas literat poznański Rychard B., któremu utwor ten do tego stopnia się podobał, że w nim bezsensów nie dostrzegął i nie miał miru, dopóki by się nim nie podzielił z całą publicznością. Przez pośrednictwo jednego z posłów wielkopolskich, na osławiony Sejm nie-miecki do Frankfurtu właśnie wtedy jechać zmuszonych, potrafił p. B. przeprowadzić wiersz ów przez zagraniczną prasę — w Lipsku. Słowacki dowiedział się później o tém, kto bezpośrednio spowodo-wał ten krok zupełnie widokom jego przeciwny. Były o to niemile i cierpkie bardzo korespondencye między Paryżem a Poznaniem! Ale co się stało, nie mogło już być odrobione.

jest dzieło Z. Krasieńskiego, to dziś już pewnie jest powszechnie wiadomém.

Oprócz tego pojawiły się bezimiennie, jeszcze w r. 1845 w Paryżu, dwa arcy niemądre i nietrzeźwe wyroby rymotwórcze, jak się zdaje, oba jednego wierszoklety, które w niepojęty dla mnie sposób Przegląd Poznański (r. 1845, IV, str. 390 i n.) czasu owego przysądził Słowackiemu w wyrazach tak stanowczych, jakby już żadnej co do tego nie było wątpliwości. Tytuł tych niezdarnych robót jest taki:

„Dwa Akty“. Paryż 1845. *)

„Szymon Konarski, poema dramatyczne. Obraz I: Śmierć X. Trynkowskiego“. Paryż 1845.

Mogę z całą pewnością wyrzucić twierdzenie, że z temi ramotami Słowacki nie miał nic do czynienia. Nie pisał ich, i nie mógł ich pisać; co też każdy zrozumie, kto tylko je z zastanowieniem przeczyta.

*) Nie wiem, czy nie do téjto publikacyi robi Słowacki aluzję w wierszyku danym na str. 92 tomu Igo mego wydania.

ROZDZIAŁ OSTATNI.

Rok 1848 i początek 1849. Zakończenie życiorysu. — Coroczne wycieczki Słowackiego nad brzegi oceanu — przyjaciele jego w ostatnich czasach — Wojciech Stattler — L. Norwid — K. Ujejski — Szczęsny F. — Wiosna r. 1848 — „Konfederacya” — wyjazd do kraju. Poznań — Wrocław — tydzień wspólnie z matką spędzony. — Przymusowe rozstanie. — Kilka tygodni w Ostendzie — powrót do Paryża. — Uspokojenie poety w ostatnich czasach — stan zdrowia — tęsknota do kraju — niewątpliwe oznaki zbliżającego się zgonu. Poeta marzy o wyjeździe do Galicji na przyszłą wiosnę i wśród tych projektów kończy życie. — Opis zgonu — nagrobek — „Testament”. —

Przechodzę w tym ostatnim dzieła mego rozdziale do potocznego życiorysu poety i chciałbym w nim zamknąć wizerunek tych wszystkich zdarzeń z ostatnich chwil jego życia, które w nim ukazują nie już pisarza, ale człowieka. Zdarzeń takich wprowadzić nie potrafię wiele wymienić. Słowacki w latach owych nie miał prawie wcale téj potocznej strony żywota. Żył głównie myślą, mniej ciałem — i więcej z Bogiem niż z ludźmi...

Cóż Ci mam donieść o sobie? (pisał był do matki jeszcze w r. 1845, d. 15 października). Moje oczy, zupełnie od świata oderwane, a daleko gdzieś zwrócone — moje uszy, ciągle wielkich powiewów bożych i głosów dosłuchujące się, nie widziały i nie słyszały nic domowego. Z téj strony prawie człowiek nie jestem“...

...„Ty wiesz, ja ogień chodzący, ja niegdyś dziecko niepoohamowane — teraz żyję, jak gdyby we mnie nic ludzkiego nie było — ani krwi — ani żądy — ani chęci — ani zawrzenia — ani wybuchu. Uśmiechać mi się nawet z ludzi niewolno. Trzeba wszystko zrozumieć — przyjać — ukochać — ożywić — przemienić... i Bogu na ziemi pokazać pracę Anielską“... (z listu z d. 14 grudnia 1846).

... „Droga Matko moja! Zmieniła się moja natura. Jako ciało, ani z rozkoszy żadnej uciechę się nie mogę, ani mię boleść cielesna może udręczyć. Spróbowałem tego ostatniego rwaniem okropnym zęba. Uczyniłem to z zupełną obojętnością, a krzyczeć mi się nie chciało — tylko dla ostrzeżenia dentysty z uśmiechem wewnętrznym krzyknąłem, aby wiedział, że ciągnie. Jadło mi jest obojętne. Z dwóch potraw jem obiad, a często taki, że np. kilka dni temu, byfszytk był z piaskiem, a ryba nieświeża — więc obiadem mi była filiżanka rosółu i kawałek chleba i piwo. Obiad zaś taki 5 złotych mię kosztuje, bo go jem u siebie; bo wolę nic nie jeść, albo źle jeść, niż duchowi memu ubliżać wólcząc go po publicznych traktierniach, gdzie prawdziwie cierpi godność człowieka, wystawiona będąc jak ulicznica na mieszanie się z ludźmi, którzy domu swego nie chcą wyświęcić, a wolą za jadłem chodzić, tak jak chodzą dorywczo za czém gorszym... (z listu z d. 22 stycznia 1848).

Pod wpływem takiego usposobienia płynęło Słowackiemu życie w czasie tym zmienionej (jak się wyrażał) jego natury, jednostajnie i prawie bym powiedział ascetycznie. Zapełniał je tylko pracą. Rozmyślał, rozpamiętywał, czytał bardzo wiele i w najrozmaitszych przedmiotach. Rzeczywistego pożytku ten pracowity tryb życia jednak nie sprawiał. Cała praca bowiem odbywała się w zaklętym kole doktryny, która wszystko, czego się tylko tknął Słowacki, przemieniała w mistykę.

Tę jednostajność pożycia urozmaicały tylko coroczne wyjazdy do wód morskich, które weszły w stały zwyczaj u Słowackiego począwszy od roku 1843. Za nadejściem miesiąca sierpnia opuszczał zazwyczaj hałaśliwe mury stolicy i wyruszał do Porycie, małej miejsciny położonej nad samym Atlantykiem. Ocean był szczególniej sympatyczny dla niego.

„Między tęp morzem a mną, powiadał, jest tajemniczy jakiś związek, sympatya — i ta musi być prawdziwa; albowiem nigdy inne morza nie miały dla mnie podobnego uroku. Zapach oceanu, kolor jego zielonawy, brzegi Poryku takie, jak widziałem je w imaginacji czytając Walterszkotowego Pirata, to jest szare, skaliste, okryte chwastami, — natura obca ale znajoma, bo widziana kiedyś przeczuciem, zapragniona sercem — a wśród téj natury tyle rzeczy, które odległe miejsca i czasy przypominały... Czasem motylek,

za którym biegałem nad Wilenką — zupełnie taki sam, a gdy go obejrzałem, to każde oczko na skrzydełku znajome mi, każdy zygzaczek jak litera z dawnego pisma, w dzieciństwie gdzieś w pamięci zapisana... Czasem pliszka nad morzem, zupełnie do téj podobna, do której niegdyś na dziedzińcu w Mickunach strzelałem — słowem nigdzie od wspomnień uciec nie można, nigdzie od łez i tęsknoty... A ta cała natura — gdybyś Ty wiedziała, jak ona ciepła, wonna i kochance podobna! otoczyła mię skrzydłami, zapraszała do odpoczynku, do odetchnienia... Jak ona mi wyrzucała, że się długo gorączkowym myśłem oddawałem, a o niej zapominałem; jak zabraniała myśleć o trudzie, o ciągnięciu tego woza żywota, w którym my jak konie pracujemy“... (z listu z d. 2 Października 1843).

Drugą rzeczą, która umilała pocie życie, były to stósunki jego już to utrzymywanie listownie, już osobiste z przyjaciółmi. Jak zawsze, tak i pod koniec życia nie wielu on ich liczył. Jedną z osób, zajmujących niepoślednie miejsce w tém szczupłym gronie osób kochanych przez Słowackiego, był p. Wojciech Korneli Stattler, znany zaszczytnie malarz i profesor niegdyś krakowski. Poznali i zaprzyjaźnili się oni ze sobą jeszcze we Włoszech. Potém znajomość ta zrobiła się jeszcze ściślej-szą, kiedy Stattler w r. 1843 odwiedził Paryż. Od owego czasu korespondowali ze sobą. Śladem téj serdecznej życzliwości pomiędzy nimi jest kilka listów Juliusza pisanych między 1844 a 1848 do p. Stattlera, których odpis — dzięki uprzejmości tego znakomitego artysty — posiadam. Jest ich wszystkich sześć. Szczególniej zajmującym i charakterystycznym jest list z porządku trzeci. Pisał go Słowacki właściwie nie do samego artysty, lecz nibyto do syna jego, który mu się wtedy właśnie narodził i któremu w dowód i na pamiątkę téj przyjaźni ojca z poetą naszym, dano na chrzcie także imię Juliusz.

Ścisłe także i bardzo przyjacielskie były stósunki Słowackiego z naszym K. Ujejskim, a to poczynawszy od r. 1847, w którym ten znakomity, choć wtedy dopiero poczynający poeta spędził miesiące kilka w stolicy Francyi. W owymto czasie napisany był do niego ów wiersz przesłiczny Juliusza, któryśmy wcielili do zbioru lirycznych jego poezyi. Korespondowali ze sobą i w późniejszych latach.

Równie dobrze położonym w sercu Słowackiego był także Ludwik Norwid rzeźbiarz. Zbliżała ich do siebie równość dążeń, wyobrażeń i jak sądzę należenie do jednej i téjsamej frakcyi w kole niegdyś zawiązaném przez Towiańskiego. O téj ścisłości stósunków z Norwidem świadczą dwa wiersze liryczne do niego napisane, które są zamieszczone w tomie *Iszym Pism wydania lwowskiego*.*)

Nikt jednakże podobno nie byłby się mógł w latach owych poszczycić takiém serdeczném przywiązaniem i zaufaniem ze strony Słowackiego, jak Szczęsny Feliński, obecnie Arcybiskup warszawski — w owym czasie świeckiego jeszcze stanu. Liczył on wtedy lat dopiero około 24. Przybył do Paryża z końcem roku 1847, w zamiarze ukończenia tu nauk. Uczęszczał do Sorbony i do Collège de France, bywając przedewszystkiém na kursach historii i filozofii. Poznał się ze Słowackim na początku r. 1848. Wysoki wtedy nastrój ducha Juliusza — życie surowe, wyłącznie poświęcone jednej, w celu ostatecznym tak szlachetnej dążności — i marząca exaltacya takie sprawiły wrażenie na tym młodym umyśle, że przylgnął do niego całém sercem i duszą. Od owego czasu aż do ostatniej godziny życia był już Szczęsny najmiłszym powiernikiem i nieodstępny poety towarzyszem. Niejedno dzieło jego z pomiędzy wydanych w zeszłym dopiero roku znalazłem przepisane ręką Szczęsnego, pod bezpośrednim nadzorem autora. Niejeden pomysł wykonać się mającego utworu przemarzyli oni tam pewnie obydwa wspólnie. W listach Słowackiego do matki często bardzo dają się spotykać wzmianki o tym młodym człowieku, będące wymowném tego świadectwem, ile on go musiał kochać i cenić.

„Szczęsny jest ze mną (pisał do niej np. d. 28 marca 1848 r.) Jest on czystym brylantem i skarbem moim. Prawdziwie mi takiego potrzeba było“...

... „Ukochany to jest chłopiec — już z chłopca człowiek! Wszyscy go tu ukochali szanując — postęпки jego anielskie — wiedza rozkwitająca — stanie się kiedyś chwałą naszą“... (z listu z dnia 25 sierpnia 1848).

*) Przez pomyłkę dano im tam napis: „Do L. Nabelaka“. W rękopisie były tylko litery: Do L. N., co źle na razie zrozumiano. Nabelaka wtedy nie było wcale w Paryżu.

Zresztą należało i w tym czasie do najgorętszych życzeń Słowackiego — równie jak w pierwszych latach jego pobytu na emigracyi, ażeby się zobaczyć kiedyś z matką kochaną, choćby raz jeszcze w życiu. Zaraz po powrocie z podróży jego wschodniej — było to ich obojga ciągłym marzeniem. Były w tym widoku robione w różnych latach różne projekta. To się zjechać mieli gdzie we Włoszech, to w Dreźnie, to w innych miejscach. Zawsze jednak aż do tej chwili zamiarom tym stawały w drodze jakieś nieprzewidywane przeszkody. W ostatnich miesiącach roku 1847 zapadło wreszcie przedsięwzięcie stanowcze, że się zjechać mieli oboje za nadejściem przyszłej wiosny w Karlsbadzie.

....„Od wczoraj (pisał d. 2 grudnia 1847 r.) przedsięwziąłem potrzebne kroki dla otrzymania paszportu do Karlsbadu. Na wiosnę więc spodziewam się, że z wszelką spokojnością i rozkoszą zjedziemy się tam gdzie Ty zechcesz, i czas jakiś ze sobą pomieszkamy... O! gdyby nie ten kraj, w którym się znajdujesz, a którykolwiek inny! Jużbyś mię dawno widziała wysiadającego z dylizansu. Bo ja tensam, który niegdyś — słysząc żeś Ty chora, we dwa dni przyleciałem do Ciebie i w nocy zastukałem do furtki — i u babuni na sienniku ranka doczekałem. Pamiętasz?... Zimę tę więc, miłą oczekiwaniem wiosny, łatwiej niż inne zimy przebędę“...

Upłynęło od czasu owego listu półtrzecia miesiąca. Zbliżała się wiosna, pamiętna wiosna 1848! Ani syn, ani matka nie przewidywali wypadków, jakie ta wiosna złudna i rychła — pod każdym względem przedwczesna — przynieść miała ze sobą. Projekt powzięty stał niewzruszenie.

....„Wiosna się zbliża — spodziewam się, że w Kwietniu będziesz mogła do wód wyruszyć. Wielkiego mizeraka syna oddam Ci, zamiast tego, któregoś Ty na świat wysłała — który był dumny i niezupełnie godny Twojej miłości. Zobacysz droga moja, że ze mną teraz spokojniej czas płynie, a domek, który ja zamieszkam, cichszy jest, niż inne... Ufam, że mi to lato z Tobą w części spędzone sił doda; bo mówię Ci, że smutny. A ta zima bardzo mi złą była. Nie mam nic, w czémby mi teraz ludzie pomogli“...

To było pisane d. 13 lutego r. 1848.



W jedenście dni po tym liście, zaszły wydarzenia paryskie. Ludwik Filip zniknął z stolicy. Lud paryski na placu Bastylli spalił tron króla episyerów. Dały się słyszeć okrzyki: wolność, równość, braterstwo! Rzeczpospolita zajęła miejsce dawniejszego porządku rzeczy. Na barykadach stanęły masy, z bronią w rękę i wyzywając do walki, co jeszcze wczoraj było potęgą. Za przykładem Paryża poszły niebawem i inne stolice: Neapol, Rzym, Wiedeń, Berlin. Zdawało się, że się postać Europy przekształca...

Już w dniu 20 Marca rozpoczęły się ruchy w Poznańskim. We wszystkich sercach, pragnących odmian, zaświtała nie już nadzieja, ale pewność pożądaney przyszłości.

U Słowackiego myśl zobaczenia i połączenia się z matką zaczęła się od téj chwili malować w żywszych kolorach. Przyczyniało się do tego niemało i przeniesienie się około tegoż czasu całej jego rodziny z Wołynia do Galicyi w okolice Lwowa. Tytułem spadku po dalekiej krewnej, która właśnie w latach owych zeszła ze świata, wzięli pp. Januszewscy i p. Becu w posiadanie wieś Ubień, położoną pod Jaryczowem. Więc już teraz mógł się Juliusz spodziewać, że nic nie przeszkodzi jego życzeniu, ażeby się złączył ze swymi.

„Oto może wkrótce (pisał d. 28 marca) już nie tylko zjadę się z Tobą, droga moja, ale połączę się z Tobą dopełniwszy moich obowiązków i zrzuciwszy się z moich ciężarów...”

....„Dziś jeszcze o przyszłości pisać nie mogę — każdy dzień zmienia moje położenie i kierunek nowy moim czynnościom nadaje. Choć się nie ruszyłem z miejsca, wszystko mnie jednak ku Tobie przybliża.

„Cudowna to dla mnie wiosna! Może pączki, które się na drzewach w wiosieczce Teofila rozwijają, dla mnie w upał letni cień gotują. Może usta moje kawałkiem chleba domowego rodzinnego będą nasycone i napelnione. Może Hersylia kochana z czareczką jakiego kwasu przyjmie mnie w progu chateczki swojej. Choćby to najuboższe było, nie dbajcie! Wspólnie pracować będziemy — byle nowej matce naszej nie być ciężarem. — Co to byłby za raj dla mnie, gdybym uczuł, że mi zupełnie choć na chwilę odpocząć duchem i ciałem wolno“!..

Wzmianka w powyższym liście o obowiązkach i trudach, od których nie sądził Słowacki żeby mu się godziło uważać za zwolnionego, nawet pomimo tego co zaszło, powoduje mnie do dołączenia tu słów kilku, celem wyjaśnienia, jakiej natury były zajęcia jego w tym czasie. Brał on wtedy czynny udział wśród nowego, gwarliwego, napiętnościami i zapalem kipiącego życia Emigracyi nagromadzonej w Paryżu. Wystąpienia jego nosiły oczywiście zawsze piętno owęj idealnej, lecz niepraktycznej dątności, w jakiej raz na zawsze się zawarł. Choćby projekta jego i zostały były przyjęte, choćby rady jego były i najpomysłniej w czyn zamienione: skutek działań i wtedy byłby się okazał taki sam, jaki nastąpił. Ale pocie się zdawało, że od formy, że od godła, od nazwy — zależą nieobliczonej doniosłości następstwa.

Dnia 19 marca zebrała się pewna ilość pozostałych jeszcze wtedy w Paryżu Polaków i zamierzała zawiązać klub narodowy. Słowacki stanął pomiędzy nimi i przemówił przeciw wszelkim formom zagranicznym, jako nieprowadzącym do celu. Natomiast przedłożył obecnym projekt zawiązania raczej Konfederacyi, gdyż taka tylko forma odpowiada duchowi społeczeństwa naszego i posłużyć może za model dalszej organizacyi na wielką skalę, w samychże granicach kraju. — „Albowiem — mówił im — w formowaniu kryształu pierwszy atom i zawiązek, z którego kryształ powstać ma, zachowuje już ten kształt i tę formę, która następnie kształtem i formą całego kryształu staje się i we wszystkich się częściach jego powtarza. Prawo to, z natury wzięte, przewodniczyć powinno i wszelkim organizowaniom się ducha w ludzkości... Pamiętajcie, że formy nasze dawne — sąto żywe i zaczarowane, a snem do trupów podobne olbrzymy, które długo w trumnach leżały... Z tego tekstu była powiedziana cała ta mowa, która też następnie i wyszła z druku w osobnej broszurce pod tytułem:

Głos brata Juliusza Słowackiego do zgromadzonych i w Klub zawiązać się chcących Polaków, przedstawiający potrzebę przyjęcia nowej formy konfederacyjnej. (19 marca 1848 r.) bez karty tytułowej, 8^o stron 8.

O dalszych losach tego projektu podał niedawno temu, w jednym z pism lwowskich czasowych, przy ubocznej okoliczności, bezimienny pewien świadek naoczny rzeczonej sceny, wiadomość w następujących wyrazach:

„Každy z obecnych drgnął duchem do słów Juliusza i zapalił się myślą do rzeczy, która wzbudzała pamięć wielkich poświęceń i świątynnych czynów barskich konfederatów — i pod takim wrażeniem rozeszliśmy się z tego zebrania.

„Zimniejszy atoli pogląd na sprawę naszą i zbadanie ogólnego usposobienia emigracyi, która już wtedy rozbita niemal na atomy, szumiała tylko bezładną burzą — przekonanie, że myśl zawiązania konfederacyi, potrzebująca organizacyjnych pierwiastków, nie zdoła się już przyjąć wśród anarchicznych żywiołów i usposobień — to wszystko zebrane razem, ochłodziło wkrótce zagrzane dusze Juliusza słowami, i uznano niepodobieństwo przeprowadzenia konfederackich form...

„Lodowe jednak głosy rozwagi nie zdołały przecież zziębić ognistej Słowackiego fantazyi. Mimo nich spróbował on urzeczywistnienia swego pomysłu, a zebrawszy się w ściślejszém kółku z czterema bezwzględnyimi zwolennikami konfederackiej idei, którzy gorąco a bez obejrzenia się na okół do niej przyłągnęli — akt konfederacyi spisali i wraz z odezwą ogłosili go drukiem...

„Że zaś ten mały związek konfederacki w Paryżu nie miał dalszej przyszłości: więc dla rozwinięcia jego, postanowił Słowacki szukać punktu oparcia na ziemi wielkopolskiej, gdzie już w formujących się obozach wrzało do walki.“ itd.

Owoż takito był powód, że nie do matki, jakbyśmy może oczekiwali, pospieszył Juliusz niedługo potem z Paryża, ale w Poznańskie. Przybył do Poznania około 10 kwietnia. Znalazł gościnne przyjęcie, na cały czas pobytu swego w tém mieście, w domu pp. Bukowieckich. Były to już dni natenczas, gdzie się nadzieje wielkopolskie zaczynały mieć ku schyłkowi. Zjechał był właśnie do Księstwa generał pruski Willisen, jako rozjemca królewski między obozami powstańców a wojskiem pruskiem. Komitet narodowy działać, a przynajmniej kierować sprawą już prze-

stał. Przystępywano właśnie do ułożenia tak zwanój jareosławickiej konweneyi. Krwawe, rozpaczliwe potyczki pod Ksiąciem, Miłosławiem i Wrześnią miały niezadługo nastąpić i można je było już wtedy przewidywać. W takich okolicznościach — samo się rozumie, że o konfederackim projekcie trudną już było myśleć marzycielowi naszemu. To też bawił ciągle w Poznaniu mało gdzie z domu wychodząc, mało komu się udzielając, ile że i siły jego bardzo już były nadwątłone w tym czasie, choć téj myśli o ni-
knącym zdrowiu swoim nigdy nie lubił przypuszczać. Oczekiwa-
nia jego okazały się zawiedzione z wielu względów. Nie tracił je-
dnak jeszcze nadziei. Jeszcze d. 24 kwietnia pisał oto do matki
w wyrazach dających wnosić, z jaką otuchą spoglądał w przyszłość.

„Najdroższa moja! Zdziwisz się zapewne, odbierając ten list z Poznania. Ja sam się dziwię, że tu jestem, że oddycham powietrzem, którego woń dzieciństwo mi moje przypomina; że widzę chłopki polskie na wozach i po kościółkach... Jestem tu na gościnie, w domu jakby rodzinnym przyjęty i traktowany. Nie wiem wcale, jak długo mi tu wypadnie zabawić, a Ty najdroższa wiesz, że dłużej niż potrzeba nigdzie teraz nie zabawię, ale będę spieszył i kierował się tak, abym jak najprędzej u Ciebie stanął. O! jakże spragniony jestem tego łóżka, które mi Ty sporządzić każesz, gdzie się położę jako z długiej pielgrzymki życia wracający, strudzony wędrowiec. Jak blisko ta chwila? nie wiem, bo mam obowiązki, od których tylko sam Bóg uwolnić mnie może. Wszystko tu jeszcze mgliste i nierozjaśnione... Wkrótce jednak spodziewam się czuć rękę Twoję na głowie mojej. Wesela się spodziewam i radości w domu Waszym.“ itd.

W dniu 29 kwietnia, nazajutrz potem i w dniu 2 maja laszły bitwy decydujące w miejscach powyżej wymienionych. W tychże dniach rozwiązał się komitet narodowy poznański. Partyzanckie oddziały po różnych punktach Księstwa staczały — każdy na własną rękę — utarczki z pojedynczemi komendami wojsk pruskich. Już w pierwszych dniach maja miały miejsce sce-
ny takie, jak w Stęszewie, w Buku i Kcyni. Mierosławski zdał dowództwo nad obozami w inne ręce i„uletcił się“ z pola dzia-
łania. Z Berlina przybył z nieograniczonym pełnomocnictwem, a gro-

znóm względem prowincyi usposobieniem gen. Pfäel. Ogłoszono prawo doraźne. Rozpoczęły się aresztowania na wielką skalę. Pohyt w Poznaniu osób takich, jak Słowacki, stawał się z dniem każdym coraz mniej pewnym...

Wtedy też on — po całomiesięcznej bytności w stolicy Księstwa — opuścił Poznańskie i przeniósł się do Wrocławia. (Najął tam sobie mieszkanie na Neue Schweidnitzer Strasse No 3, na drugiem piętrze, dzwonek na prawo). Było to jakoś w połowie maja. Usposobienie jego w tych czasach malują następujące miejsca w liście do matki:

„Od kilku dni jestem w Wrocławiu, tak blisko Ciebie, a jednak rozdzielony nieprzebytą na teraz przestrzenią. Pisać Ci, abyś tu przyjechała, nie mogę, bo sam nie wiem, czy mi co chwila rozkaz wyjazdu stąd nie zostanie dany przez władze miejscowe. Wszystko więc rodzinne, a serca dotyczące się zostawiam Bogu, który mnie prowadzi i może w trudach moich choć chwilą szczęśliwą z Tobą przebyta wynagrodzić mnie zechce...

... „Ja tu jak ptaszek uwięziony patrzę na przestwory niebieskie, bo wszędy mam rozspanych braci moich, i z każdym chciałbym się widzieć co chwila. Oczy moje łez pełne — serce odpowiedzialne przed Bogiem. Mękę wielką czuję. Co chciałem, stało się. Pola przyległe pełne są ruchu. Przy ogniskach nabożne pieśni śpiewają. Ofiarują się. Ciała kładą za ducha nieśmiertelność. Boży czas zaczynają.

... „Miesiąc ten życia mego pełny cudów. Spotykałem się z ludźmi, z którymi spotkać się było życia mego zadaniem, Ostrzegany byłem przez Boga we wszystkiem. Napelniony życiem, rozdający siłę, gdy potrzeba. Na czas wszędzie stawałem (?). Wola się moja z dopuszczenia bożego pełniła (?).

... „Postępowanie ludzi oświeconych w mieście waszém (we Lwowie) jest straszne i ściągające na was okropne nieszczęścia. Dałbym wiele za to, żebym Cię teraz wiedział w dawném Twojem siedzącą miasteczku... Teofila proszę o to tylko, aby niczego nie odkładał na jutro, a nie brał na zdrowy rozsądek, ale stał się w tych czasach jak dzieci, słuchające natchnienia i wichru bożego we włosach. Wróble wszystkie są dziś policzone u Boga i żaden bez jego rozkazu z błękitu nie spadnie...

... „Z Poznania pisałem do Ciebie, iż dobrzeby było, abyś miała moje metrykę i dowiodła, że jako syn Twój

mam prawo do kawałka ziemi w Galicyi. Nie jest to wszakże rzecz nader ważna, i spodziewam się, że się stanie niepotrzebną... (z listu z d. 14 maja).

W cztery dni później i ta ostatnia iskra nadziei, która mu wtedy jeszcze świeciła, zagasła. Już teraz nie przypuszczał, żeby mu miało być daném odwiedzić swoich w ich wiejskim domku. Zaczął się lękać, ażeby zamiast zbliżyć się do nich — nie był raczej przymuszony znowu się od nich oddalić. Pisał tedy w takich wyrazach:

„Pomimo to, że lada dzień mogę być stąd wyprawiony, proszę Cię jednak najdroższa Matko! jeżelibyś się na to odważyła, abyś siadła do dyliżansu i choćby na kilka dni tu przyjechała. Nie tak to jest droga długa dla Ciebie — a ponieważ masz paszport, więc ją możesz odbyć z wszelkiem bezpieczeństwem. Widzieć się z Tobą, byłoby dla mnie wielkiem szczęściem w tych czasach, w których mi wiele rzeczy boli i udręcza. Niech mi więc Bóg pozwoli jeszcze raz wziąć błogosławieństwo Twoje i mieć w pocałowaniu Twojem świętém ochłodzone czoło moje!.. Choćby więc na tydzień, przyjeżdż; a ja Cię będę czekał w dzień oznaczony na drodze żelaznej i postaram się dla Ciebie o mieszkanie“... (z listu z d. 18 maja).

Wszystkie te listy, poczynawszy od poznańskiego, były wysyłane do Lwowa, gdzie Pani Becu bawiła przez cały ten czas, i adresowane poste restante. Nieszczęście chciało, że się na pocztę o listy takie matka Juliusza wcale nie dowiadywała. Nie mając zaś od tak dawna żadnych wiadomości od niego, zachodziła w głowę, co się z nim dzieje. Niepodobno jój było pisać do niego, nie wiedziała bowiem, dokąd pojechał z Paryża.

Juliusz tymczasem z swojej strony nie pojmował znowu tego tak uporczywego milczenia matki. Wysyłał do niej z Wrocławia, różnemi drogami, pod coraz innym adresem, list za listem, zaklinając o najspieszniejszy przyjazd — wszystko nadaremnie! Ani na obydwie wyżej już wspomniane listy wrocławskie, ani na dwa inne jeszcze, zaraz po nich wyprawione jeden za drugim, odpowiedzi się żadnej nie mógł doczekać. Co się działo w sercu jego, wystawić sobie można, zważywszy zwłaszcza że lada godzi-

nę przewidywał, że mu przysła władze miejscowe rozkaz wyjazdu. Tymczasem d. 9 czerwca (po całomiesięcznym więc nadaremnym wyczekiwaniu w Wrocławiu) otrzymuje niespodzianie od Stattlera z Krakowa doniesienie, że matka jego przebywa ciągle we Lwowie; że jest od przeszło 3 miesięcy bez żadnej o nim wieści; że się dręczy wielce i snuci, nie mogąc się z nikąd niczego o nim dowiedzieć.

Natychmiast tedy, za pośrednictwem Stattlera, ponowne powtórzenie prośby swojej jój posłał błagając, żeby ani godziny nie tracąc, przyjechała uścisnąć go raz jeszcze i pobłogosławić mu na to nowe tułactwo, które go czeka. Tym razem dopiero list rąk jój doszedł i odniósł skutek.

W kilka dni potem dożył więc Juliusz chwili, której pragnął tak gorąco i od tak dawna. Mógł się rzucić do nóg kochającej, stroskanjej matce. Mógł się przed nią wypowiadać ze wszystkich zawodów smutnego życia, które spędził opodal od niej...

Ale to wzajemne ich szczęście niedługo trwało. Pani Becu wybrała się wprawdzie w podróż z postanowieniem, żeby albo wrócić do Ubienia razem ze synem, albo też — gdyby miały temu stanąć w drodze nieusunione zawady, zamierzała spędzić w jego towarzystwie to całe lato w jakimś miejscu kąpielowym w Niemczech lub Austrii. Jednakże twarde czasu tego okoliczności i twardsza jeszcze od nich nielitość ludzi zniweczyła owe widoki. Jeszcze w ciągu tegoż miesiąca czerwca przysłano tak matce, jak synowi rozkaz ze strony władzy miejscowej, ażeby natychmiast opuścili Wrocław i kraje pruskie i wracali każde z nich w stronę, z której przybyli. Było tedy — po tylu latach rozłączenia, po tylu usiłowaniach, zawsze nadaremnych, zjechać się gdziekolwiek — całego ich pobytu w Wrocławiu najwięcej jeżeli tydzień jeden. Rozstanie było tém bolesniejsze, że go nie osładzała nadzieja, żeby się wkrótce, żeby się kiedykolwiek jeszcze w życiu znów mieli zobaczyć. Boć matka była już w latach sędziwych, a zdrowie Juliusza widocznie dogorywało, a nad tém wszystkiém malowała się przyszłość polityczna w barwach, odbierających wszelką otuchę.

Juliusz jednak silił się pocieszać matkę przecuciem rychłego znowu zbliżenia się do niej, choć pewnie sam wątpił o możliwości dotrzymania tej obietnicy.

...„Dziś w sobotę (pisał do niej nazajutrz po jej odejździe, było to zaś w ostatnich dniach miesiąca czerwca 1848) — „a zatém o dzień jeden prędzej, niżem się spodziewał, wyjeżdżam z Wrocławia, w którym z wielu względów bawićbym dłużej nie mógł. Wczoraj wieczorem przechodziłem koło domu, gdzieś mieszkała, i patrzyłem w twoje biedne puste okienka. Twojej tam główki ciekawej nie było... Biedna Ty — i biedny ja! — Dziś o piątą wieczorem jeszcze dalej od Ciebie odjadę. Ale ufaj w Bogu i ufaj memu bolesnemu sercu, że się do Ciebie znowu przybliżę... Bądź zdrowa najdroższa — — Strasznie tu byli rozniewani ci, którzy mi tu tak długo gościć pozwolili. Teraz każą natychmiast ruszać. Dobrze, że się to pierwój nie stało...

Jak przed 17 laty, tak i tym razem podążył poeta nasz z Wrocławia prosto do Drezna. Tu się zatrzymał tylko dzień jeden, który mu się teraz dziwnie nudnym wydawał. Potém już nigdzie się nie zatrzymywał po drodze, zboczył tylko do Ostendy. Chciał się orzeźwić morską kąpielą i (jak się wyraził) zebrać ducha przed powrotem do tej Francyi, która bynajmniej go nie nęciła ku sobie. Kąpiele jednak nie bardzo mu posłużyły w tym roku. Parę też tylko tygodni spędził w Ostendzie. Już w końcu lipca znalazł się znowu w smutném i samotném mieszkaniu swój paryskim.

... „Mieszkanie to (pisał d. 1 sierpnia 1848) z niskimi sufitami, zdało mi się dziwnie maleńkie i ciemne. Szerzej mi było i przestronniej w waszych stronach! Miletus mój (sługa Słowackiego od lat kilku, Francuz) dobry i zawsze jednakowy. Przyjaciele moi niezmienni w niczém; ja sam nareszcie już do zwyczajnych prac umysł mój nagiąłem. Ale mi smutno! Nie wiem, czemu energii zwyczajnej odzyskać nie mogę. Może to Ty, droga moja, popsulaś mię Twoją anielską dobrocią i słodyczą tych ostatnich chwil, w których z taką łagodnością postępowałaś ze mną? Któż mi Ciebie zastąpi? Kto nawet przypomni?..

„Zawsze się lękałem, żeby Ci na oczach stanąwszy nie być boleścią i dni Twoich nie zatruć. Wszystko największe spełniłaś! Zwycięstwo Twojej miłości nademną jest

zupełne. Nic nie ma we mnie, coby się nie skruszyło w ostatnich słowach Twoich. Błogosławiona bądź za to, żeś to ze mną uczyniła!"

— Za powrotem do Paryża uważali po Juliuszu znajomi i przyjaciele, że był jakoś dziwnie zmieniony. Serce jego było do głębi rozbolełe na to wszystko, co w kraju widział i co wrzało wtedy dokoła na wielkim świecie. Poeta okazywał się odtąd w obejściu swoim codzienném coraz więcej drażliwym i rozstrojonym, ale też i podniesionym duchownie na wysokość, do jakiej ludzie normalnych usposobień rzadko się wznoszą.

W ogóle mógł to każdy z czytelników moich sam zauważyć, czytając te ostatnie rozdziały: że Towianizm dla Słowackiego pod jednym względem nie był bez pewnej korzyści. Wprawdzie sławie jego autorskiej zaszkodził on nieskończenie. Literackie zasługi, jakich się piśmiennictwo narodowe sprawiedliwie spodziewać mogło po téj olbrzymiej zdolności, zmniejszyła ta obłędna doktryna o dobrą połowę. Mimo jednakże téj zgubności pod względem umysłowym, mimo szkód jakich doznał pisarz, poeta: człowiek pod owym wpływem mistycznego wzniesienia ducha niewątpliwie skorzystał. W życiu praktycznym, w zamiarach, w sposobie i kierunkach działania, słowem: etycznie Słowacki w latach owych spoważniał i uszlachetniał stanowczo. Moralnie podniósł się wyżej, niż za najlepszych czasów poprzednio upłynionego życia...

W poprzedzających rozdziałach nie zwracałem nigdy czytelników moich uwagi na moralną wartość postępowania osoby której działaniu autorskiemu głównie jest poświęcone to dzieło. Usilnie i umyślnie starałem się utrzymać pod tym względem na stanowisku zupełnej przedmiotowości. Względem człowieka, którego życie już zgasło, a którego pamięć drogą jest narodowi względem pisarza, którego własne, poufne, prywatne i bynajmniej nie dla wiadomości całego świata kreślone wyznania o samym sobie służyły mi za materyał do jego życiorysu, nie chciałem odgrywać roli sędziego, wyrokującego o nim w doraźnych, surowych sądach i niejako zaocznie. Obowiązkiem moim było z jednej strony złożyć wizerunek jego osobistości z rysów autentycznych, z szczegółów

ile tylko być mogło rzeczywistych i prawdziwych, nie zatajając niczego, co było pomiędzy nimi istotném. Z drugiej wszelako strony uważałem i to sobie za powinność, ażeby w tém zestawieniu wizerunku poety wynikało ostateczne o nim zdanie, jako o człowieka, ze samych tylko czynów jego, nie zaś z tych zwierzeń listowych. I pozostawiałem wreszcie sformułowanie tegoż zdania raczej drugim, nie sobie... Po tém wszystkiém jednakże, co aż dotąd się powiedziało, zdaje mi się, że wolno mi już będzie zrobić to spostrzeżenie, że było niewątpliwie w dawniejszém życiu Słowackiego, w jego charakterze niejedno, co nie zupełnie rymowało z tą olbrzymią zdolnością poetycką, której błyski podziwiamy w jego kreacyach. W ogóle jeżeli kto, to autor Beniowskiego służyć nam może za przykład i za dowód wymowny, że i genialni ludzie nie są bezwarunkowo stawieni po nad poziom zwyczajny. I oni ostatecznie nie są czém więcej niestety, jak tylko jednostkami ułomnego rodzaju, do którego wszyscy przynależymy..

Takie wrażenie sprawia na nas osobistość Słowackiego aż po rok 1842. Za przystąpieniem do koła Towiańszczyków, wiele bardzo pod tym względem u niego się odmieniło. Wstąpił w niego jakiś duch wyższy, który go już nie opuścił, chociaż się nibawem od Towiańszczyków odstrychnął i na własną rękę rozwijał sobie doktrynę. Było w ciągu całej téj życia jego epoki niezawodnie coś, co nam mimo wszelkiego obłędu imponuje w jego obliczu. Wielka surowość zasad, bezinteresowność do dalekich posunięta granic, obojętność najwyższa nie tylko na wygody i dolegliwości cielesne, ale nawet i na wszelkie błahe względy potocznego i zewnętrznego żywota... miłość ku ludziom gorąca, głęboki duch ofiary, chętne przestawianie na małym, gotowość do wyrzeczenia się najśrodszych pociech życia. Zauważać się daje w tym duchu od-tąd nieraz i siła nawet, dziwnie odbijająca od właściwego mu dawniej braku hartu i woli. Uderza w nim niekiedy nawet pewien praktyczny realizm, przedtém obcy najzupełniej idealnej jego naturze...

W ostatnich chwilach życia odbiło się to wszystko najwydatniej w wewnętrznej fizyonomii poety. To też znajdujemy w jego

korespondencyi z czasu owego liczne ustępy, szczególniej pod tym względem uderzające.

Żądała np. razu jednego od niego matka (było to w sierpniu 1848), ażeby jój przysłał znaczniejszą jaką ilość odlewów gipsowych znanego medalionu Oleszczyńskiego, a to w celu rozpowszechnienia takowych. Oto, co jój wtedy na to odpisał:

„O medalionach pamiętam, ale szczerze Ci mówię, że jeszcze ich mieć nie mogę; jeden mam tylko — trzebaby odlewać wielką liczbę — trzeba żeby się snycerz na to zgodził, a on nie wiem gdzie. Nie żądam Ty tego tak silnie, co tylko umniejszy mi miłości w ludziach nie znających mnie. Bo i czyn posyłania własnych medalów i wyraz twarzy na medalu wzgardliwy i dumny będą mi zarówno serca ludzkie odpychać. Nie jestem już z tych, którzy gwałtem chcą zdobyć pamięć ludzką, a bolesna moja twarz na obrazie Stattlera lepij mnie teraz przedstawia“...

...„O spokojność i miłość prosz dla mnie Boga, abym w ofierze i pracy wytrwał, a nie dał się skusić temu rozpaczliwemu, wszystko burzącemu pasy duchowi, który mnie nieraz do walki ze światem podmawiał... Cóż robić? Duchy narodu niezdolne są wielkich, z ducha przedsięwziętych czynów — oglądają się na obce rzeczy, upadają z upadającymi i cierpią. Ja cierpię także — ale inaczej — cierpię, że jeszcze się nic nie zaczęło“... (z listu z d. 25 sierpnia 1848).

...„Właśnie ta część sentymentalno - dumna natury mojej, która mnie względem rzeczy świata pogardliwym czyniła, opadła ze mnie; a ja teraz bliższy jestem pocztowym ludzi, niż ludzi blichtrzem świecących. A że nie jestem bez miłości sprawiedliwej, dowiodę Ci kiedyś, przyjechawszy do domku Twego“... (z d. 9 października 1848).

...„Podobno to mój Teofilu (mówi do wuja) nieszczęście było nasze, żeśmy dotąd szukali nie umiłowanych, ale tylko miłych znajomych. Stąd wysadzaliśmy się na dowcip, na kwieciste konwersacye — z książek i podróży czyniliśmy coś nakształt klaków i tém zapychaliśmy próżne serca i głowy napotykanym ludzi. Oni też nas ogłaszali za dobrych bardzo lekarzy nud — głosili nasze pochwały, tęsknili nawet do nas, ile razy próżnia życia ich czém lepszym zapełniona nie była, a nakoniec z czasem zapominali o nas. Inaczej dziś z tymi, których nkochałem, którym prawdę ważyłem się zawsze powiedzieć, szorstką i bez

żadnej grzeczności w wyrażen administrowaniu. Ci, choć dalecy i nieliczni, są mi jednak szczęściem mego żywota. I ciebie proszę, Filu mój, traktuj tak twoich nowych sąsiadów. Nie sil się, abyś ich pozyskał przyjemnością pożycia z tobą, ale prawdą wewnętrzną ducha twego uderzaj ich silnie, tak jak gdybyś dbał tylko o to, aby każdy z nich stał się pożytecznym przyszłości — a choćby na czas nieprzyjacielem nawet twoim. Obaczysz Filu, jak to dobrze tych gniewających się widzieć potem we łzach i rozczulonych, gdy się nam na serca rzucają... (z listu z d. 4 marca 1849).

Jakże to wszystko odbija od zdań Słowackiego w dawniejszych listach!

Podobnie też inaczej, jak niegdyś, sądził on wtedy o dziełach swoich i o całej swojej autorskiej przeszłości.

...„Przez 5 lat (pisał do Stattlera d. 25 grudnia 1848 r.) pracowałem tak, jak może jeszcze żaden człowiek nie pracował. Skutki téj pracy nie w księgach są, ale w żywych sercach i w duchach, w które je wrzuciłem i posiałem. Małe to są ziarenka i nie wiem nawet, czy Chrystus Pan zechce kiedyś światłością swoją dopomóc, aby wyrosły i kłoski swoje prosom podobne porodziły. A jednak mam tę wiarę i ufność pewną, że praca moja żywa lepszą jest, niż praca moja umarła — która już w foremkach się swoich glinianych pokazała i nazywa się... poezią moją.“

Kilka miesięcy przed napisaniem słów powyższych posyłał był Słowacki cały zapas dawniejszych nierozprzedanych publikacji swoich na ręce matki do Lwowa, ażeby po cenie zniżonej dostawiła je księgarzowi. Przy téj sposobności taką wyrzekł o dziełach swoich uwagę:

„Przykrego doznaję uczucia, posłać zmuszony te książki, z których wiele chciałbym zatracić. Prawie zrumieniony wydobywam ze składu liczne arkusze, aby je oddać broszurowi. Chciałbym przesiać to wszystko przez rzeszoto i samych tylko kilka ziarenek czystego zboża dać moim miłym na siebie. Wolałbym, aby niektóre z nich nigdy były nie wyszły. A następną edycją robiąc, starać się będę niektóre z niedokończonych moich poematów zatracić“....

*) Ponieważ o drukowanych a niedokończonych rzeczach tu mowa, stósować się zatem to może tylko do Beniowskiego. Nie odno-

Nadto wysoko ważyć teraz Ducha polskiego. Wstyd mi wielce melancholii bajrońskich — strach, aby one nie zaraziły innych! Ponieważ jednak rzecz jest dokonana, pošlę wszystkie żądane książki... (z listów z d. 1 i 12 sierpnia 1848). —

Do tej zmiany, jak widzimy, istotnej i stanowczej w wyobrażeniach poety przyczyniało się też niepomału i rosnące w nim coraz bardziej uczucie, że go siły fizyczne zaczynają opuszczać, że pasmo życia jego się zrywa... Zdrowie Słowackiego nie było nigdy czerstwe. Był on słabowitym przez całe życie. Zarody piersiowej choroby można było w nim spostrzegać już na kilkanaście lat przede śmiercią. Przywykły jednak od dzieciństwa do mniej pomysłnego stanu pod względem zdrowia, nie bardzo zważał on na to. Owszem prawie we wszystkich listach chwalił się zwykle przed matką, że czerstwość sił, co się zowie, mu dopisuje. Od roku 1843 spędzał co roku kilka tygodni nad oceanem w Parnie i używał z dobrym skutkiem morskich kąpiel. Ale to też już było wszystko, co dla zdrowia swego czynił. Pomocy zaś lekarskiej nawet w razie gwałtowniejszej potrzeby używać nie lubił i podlegał pod tym względem przesądom, które były w związku z jego mistycyzmem.

... „Nie znam żadnego doktora (pisał np. d. 22 stycznia r. 1848 do matki) bo w nich nie wierzę — i nigdy ich nie używałem. We wszystkiem uzdrawia mię duch mój wzniesieniem się i wydobyciem z siebie prawdziwego ruchu. Przekonałem się nawet, że ile razy cielesnie chciałem sobie jakim lekarstwem prostém dopomóc, to zawsze po chwilowej uldze była potem reakcja ducha, który zdawał mi się mówić: Zwątpiłeś we mnie, przeniosłeś nademnie ducha rośliny — pijże teraz ciągle rumbabarum i bądź sługą dekaktu, kiedyś nie chciał być swoim własnym panem i gospodarzem w domku ciała“...

W r. 1846, zaraz po wypadkach lutowych galicyjskich, zaniemógł był dość niebezpiecznie. Słabość nie trwała długo, mu-

szą się zaś żadną miarą powyższe autora słowa do Króla-Ducha. Owszem, Słowacki pracował nad nim właśnie w owych miesiącach, w których wyrazy te kreślił, i jak niżej zobaczymy, przywiązywał do niego większe znaczenie.

siała jednak być ciężka, kiedy już wtedy Słowacki układał, jak to widać z pozostałych notat w jego papierach, niektóre ustępy mające znaleźć miejsce w jego testamencie. Powróciwszy do zdrowia, w następujący sposób wspomniął o tém w liście owym do Kraszińskiego, którym zawiązał z nim na nowo stósunki przyjacielskie.

„Możesz słyssał, żem mocno był chory. Teraz jestem zdrów do czasu — a żyję, póki chcę. To mi Bóg zostawia. W rękę mi dał nieć żywota mojego — nie bez łez, jak widzisz, puszczam ją, aby szła jeszcze“...

W następnych latach używał zdrowia, a przynajmniej wystawiał sobie, że go używa. Kto go jednak w r. 1848 widział w Poznaniu, temu się myśl nasuwała mimowolnie, że to człowiek, którego — jeżeli nie dni, to miesiące są policzone... Kąpiele w Ostendzie zamiast go pokrzepić, sprowadziły mu mocny katar piersiowy. W tym stanie powrócił do Francyi. Listy jego paryskie z tego roku zawierały wprawdzie znowu doniesienia o jak najlepszym zdrowiu. Ale go parła jednak jakaś dziwna tęsknota do swoich. Nie mógł się już teraz wcale odegnać myśli powrócenia do kraju, pod jakimibądź okolicznościami, choćby w najgorszym razie miało to być na kilka tylko tygodni. Miało to przyjąć niezawodnie do skutku znowu na przyszłą wiosnę.

... „Z najwyższą radością (pisał d. 9 października r. 1848) wybieram się do Was na wiosnę. Wszystko tak urządzam, abym tu już wracać nie potrzebował. Idzie tylko o to, aby mi z tego ciała do wiosny cò pozostało, bo mi còś bardzo ucieka“...

Za nadejściem zimy, stan zdrowia się pogorszył. Szczególniej w styczniu i lutym (1849) cierpienie stawało się coraz dotkliwszem. Myśl zbliżającej się śmierci nieraz nawiedzała już Słowackiego. Zaczynał wątpić, żeby mu Bóg dozwolił doczekać się owej wiosny już niedalekiej, która go miała wrócić rodzinie, matce...

Listy jego z tego czasu znamionuje pewien zwrot myśli ku rzeczywistości. Dawniej idealista, marzyciel — lubił teraz Słowacki najwięcej mówić i wypytywać się o realne stósunki życia tam w kraju. Rozmyślał nad nimi, oceniał je, dawał rady jak działać potrzeba, żeby to, co w nich złego, na lepsze się odmie-

niło. Rady te czasem są niepraktyczne, niekiedy znowu w wysokim stopniu zasługują na to, żeby się zastanowić nad niemi. W każdym razie jest to charakterystycznem w życiorysie tego poety, że zaczął od lekceważenia i niemal wzgardy realizmu żywota, a skończył uznaniem daleko posuniętem znaczenia tegoż realizmu.

Oto na przykład, co pisał w ostatnim z listów swoich do wuja Januszeńskiego:

„Proszę Cię, Teofilu kochany, opisz mi, jakim sposobem uprawiasz teraz rolę twoją — wiele gruntu masz — na jakie zasiewy najwięcej rachujesz? Gdzie sprzedajesz swoje zbiory? Bardzobym był ciekawy wiedzieć sposób twego gospodarstwa i mieć wyobrażenie doskonałe tego, czém jest teraz wieś w waszych stronach. Sentymentalności wszystkie mało mię obchodzą. Życie ziemskie jako podstawa życia duchowego i jako narzędzie wolności, którego duch używa dla dopełnienia misji swojej, zajmuje mnie. Dlatego nie przyjemnościami i tak nazwaną poezją sielską karm mnie, ale mów o tych rzeczach, które Cię jako człowieka obchodzą; a ja — widząc Cię szczęśliwym lub nieszczęśliwym, rzetelnie wezmę serdeczny udział w twoim smutku lub weselu i pomogę sercu memu w téj miłości, która bez rzetelnej podstawy ludzkiej i bez opromienienia bożego jest tylko głupstwem i półtonem uczuciowym — na nic Aniołom i ludziom“...

Najwięcej zaprzętały myśl jego wtedy trudności, jakie się w Galicyi poczynszy od r. 1846 pojawiły w stosunkach między ludem wiejskim a dworem.

... „Boże Narodzenie przeszło (pisał jeszcze w r. 1848, pod koniec grudnia). W wieczór dnia tego byłem samotny i myślałem o Was w lepiance Waszój. Chciałem nawet pisać do Was. List wasz ostatni, zrozpaczony o wioszczanem Waszém położeniu, mocno mię zasmucił. Rozbierałem je w sobie głęboko — czułem je boleśnie; bo wiem, coto jest, mieć opodał gromadę ludzi, złą wolą ku nam wyteżonych. Wszakże ufam, że się to opuszczeniem przez Was wioszczki nie skończy.

... „We wszystkiem chcąc wyjść z biedy, trzeba drogę odmienić; trzeba formę wziąć nową. Lecz trzeba to uczynić prędko i energicznie, nie tracąc czasu na zatrzymywaniu rzeczy, które od nas odlatują w przepaść. A pańszczy-

zna i królowanie szlachty polskiej jest jedną z takich rajskich róż, które już Ewa polska na wieki utraciła. A że powinna była to utracić, to świadczy mała miłość, którą sobie u ludzi zyskała. — Ja mieszkam pięć lat w domu jednym, a pewny jestem, że portyer, który mi służy, po mojej śmierci przyjąłby z miłością wielką i weselem Ciebie, Filu, gdybyś na mojem miejscu mieszkać przyjechał; i miałby zaraz dla Ciebie nadszkakujące nogi. A wy, którzyście przybyli do wsi, gdzie przez tyle lat wasi poprzednicy byli królami samowładnymi, ukamienowani jesteście!? — Któż winien? — Świadcę się Bogiem, że ten, który miał w ręku los ludzi, mógł mieć i serca tych ludzi na wieki. Kto wam miłości ludzkiej nie zostawił, ten nie zostawił żadnego dziedzictwa“.

...„Myśląc, jak jabym sobie poradził, będąc w Waszém położeniu, myślałem sobie tak: (a przebaczenie mi, jeżeli w tém dziecinne moje pomysły). Myślałem, mili moi, że gdyby mi Bóg kiedy pozwolił być oraczem — co jest wielką łaską i dane bywa tylko duchom utrudzonym, którym Bóg wypocząć pozwala... Gdyby więc pozwolił mi Bóg kiedy myśleć tylko o swoim i o moich bliźnich pokarmie, a dał mi kawał ziemi i jakikolwiek dach dla pokrycia głowy mojej, a nie dał nic więcej: — starałbym się dom mój zamienić w dostatnią i zamożną prostego człowieka siedzibę. Nie mając już ludzi pańszczyzną robiących, wziąłbym pewną liczbę (jak to w Polsce pod Warszawą wielu szlachty czyni) parobków z ludu tego, który teraz przez nadanie gruntów gospodarzom został jeszcze uboższym niż przedtém. Parobcy ci, płaceni rocznie po sto lub półtora sta złotych, karmieni przez pana, służyliby mi wiernie i stanowiliby mi niby piekarnianą rodzinę moję — rzeszą i dobrze życzącą. Nierazbym z nimi słodko wieczór przepędził przy ogniu, zawezwawszy do rozmowy i pastucha, i psa pastuszego przypuściwszy do udziału w téj wieczorynce. A wkrótce — sam choć słaby — wywijając rękami tych ludzi, ująłbym i objął całą rolę swoją. Nie na szerokość jej, ale na dobrąby uprawę rachował. Nie na wielość bydła, ale na dobry stan jego i wypas wszystkobymłożył. A tak wkrótce stałbym się zdolnym powiększyć moję czeladkę i nie potrzebując już — mógłbym wtenczas istotnie z miłością i z powagą przystąpić do tych wyposażonych gruntem gospodarzy, którzy inaczej — widząc mnie słabym, a wewnętrznie rozgniewanym — coraz gorzejby się pode mnie podsuwali“...

W parę dni po napisaniu tych uwag i wyprawieniu listu, w którym je znachodzimy, odebrał Juliusz z domu nowe utyskiwania nad daremnością wszelkich usiłowań zawiązania jakichkolwiek stosunków znośnych z ludem wioski, w której krewni i matka jego mieszkali. Dała im do tych utyskiwań sposobność także sama właśnie wilia Bożego Narodzenia, o której była wzmianka w danym powyżej wyjątku z korespondencji poety. Wraca tedy do tego punktu Słowacki raz jeszcze w liście, który do nich pisał d. 22 stycznia (1849), i taką ich zagaduje uwagą:

„W dzień Wilii czułem Wasz smutek — czułem Was w domku Waszym. Teraz widzę, jakeście rozesłali po chatach jadło — i siedzicie samotnie, oczekując czyli się nie nawrócą ku Wam serca ludzi. O! nie — nie nawrócą się te duchy! ale z uraganiem będą w brzuchy łać słodkie mleko maków, miodem zasycone, ale sercem i duchem Chrystusa nieotchnięte, tak aby prawdziwie we wnętrznościach zasmakowało. Nie, siostró moja droga, nie przyniesiesz ty ludzi prosem! Trzeba czegoś mocniejszego w ludzkiej naszej naturze, aby nam jednego człowieka z nieprzyjaciela w nagłego brata transfigurowało. — Znałaś miłość dziewczą, panińską. Miłość zawsze jest jednej natury. Jest to czar, który do nas pociąga, albo jakieś przekłętwo wewnętrzne, które od nas odpycha. Przełam w sobie to: a nawet choć bić będziesz kijem, ludzie kochać Cię będą... I owszem, jeszcze mocniej nas kochają, gdy moc mamy skarcić, prawdę powiedzieć gorzką — wzgardą naszą, fałszowi każdemu przynależną, uderzyć: a gdy to czyniąc nie czujemy w sobie żadnej wyższości osobistej, tylko miłość rozważną i ojcowską. O braterstwie gadają teraz ludzie, i źle gadają. Bo od Ojcostwa nad dziećmi zacząć potrzeba. Uśmiechnijcie się z dobrocią wśród ludzi, którzy was otaczają, a zwyciężycie wszelką przeciwność. Ale nie pochlebiajcie im i nie zatwardzajcie w głupstwie i w dumę. — Mocno, mocno chciałbym być z Wami! Wypowiedziałem nawet mieszkanie moje w tej nadziei, że można będzie Was odwiedzić. Nie wiem jednak, czy Bóg pozwoli mi spełnić to życzenie moje. Byłoby to rozweselenie serca mego i prawdziwie ziemskie niby lekarstwo na strudzenie ducha mego. Bo co się tyczy ciała, mam się teraz dobrze, a tylko chęciom moim duchowym Was obaczyć i z Wami pożyć potrzeba — a raczej powiem chce się — tak jak się w dzieciństwie chciało Mickun albo innych jakich rajów,

gdzie mi było obszernie, wolno i lubo. Za misę jednak soczewicy nie przedam pierworodzeństwa mego anielskiego, choćby mi nawet przyszło i cielesnie w niedostatku przycierpieć. Swobodnie i otwarcie chciałbym być z Wami. W snopku się ukryć i siedzieć już nie czuję mocy. Cóżbym robił? chyba jak świerszczyk pstrykał w której belce, staruszcze matce domku Waszego“...

Uderzając, jak na Słowackiego, jest jeszcze następujące zdanie jego, powiedziane do p. Januszewskiego (w liście z lutego r. 1849). Chodziło o pytanie, jakby najlepiej użyć jakiegoś kapitału, który mieli w gotowiznie, czy go ulokować w papierach czy obrócić na zakup gruntu.

„Co do kupna i przykupna ziemi, najmocniej się temu oponuję w duchu. Ziemi każdy człowiek potrzebuje mieć kawałek taki, któryby go w ostatecznym złym razie z pracy rąk własnych mógł wyżywić, (literalnie mówię) tylko wyżywić. Szczęście zaś człowieka, zbliżającego się najbliżej do szczęścia duchowego i rajskiego, jest w wolności jego — i w wolności połączonej z potęgą. A ta wolność jest w skrzydłach — a skrzydłami, które nas nad ziemią utrzymują, są kapitały. — Panowie nasi najwięksi ziemni są nędzarzami w porównaniu ze mną, który mam kilka tysięcy franków, lecz tak ruchomych, że ich w każdym dniu mogę na jakibądź czyn użyć i przed wszelką mocą i przemocą zasłonić się nimi. Ziemie obszerne robią cię egoistą, bo nie dbasz o ludzi, ani o naród twój. Gdy przeciwnie w kapitałach mając nadmiar twoich sił cielesnych, dbać musisz o cały kraj, które za nie odpowiada. Mimowolnie musisz dobrze życzyć każdemu ze współzyczących. Gdy cię kto chce ujarzmić, one cię unoszą przed nim i stawia niby na gwiazdach, z których znowu na ujarzmiciela twego piorunujesz. Gdy chcesz kogo uratować, w dniu jednym możesz oddać wszystko, co masz — a twój miłości zadość uczynić. — Mówię więc: kawałek ziemi miej — i to nie wioskę, ale folwarek bardzo obfity i zamożny. Jeżeli trzeba kilku jeszcze takich folwarków, zbuduj i puść chłopom parobkom w dzierżawę — ale nie zapuszczaj się w skupowanie wiosek, ani sądz iż to jest pewne w dzisiejszych czasach. Owszem najniepewniejsze to jest dla nas i w stronach tych, w których teraz mieszkasz, a które lada dzień mogą z tobą wrócić tam, skąd niedawno wyszedłeś...

„Nie, najdroższy mój, nie stawaj się panem klucza, bo się zamkniesz tym kluczem na długo w cielsku i w krwi

i w głupocie ciężkiego szlachcica. A tyś przez cierpienia już godzien wolności.“ —

Lecz wróćmy do osoby autora tych listów. W pierwszych więc miesiącach roku 1849 słabość jego wzmagala się coraz bardziej. W lutym i marcu podlegał już Słowacki częstym krwiotokowym atakom, które siły jego nad miarę wycieńczały. Łudził się wprawdzie jeszcze nadziejami niekiedy i przypisywał to swoje osłabienie najwięcej skutkowi wiosny wczesnej i słońca gwałtownego. Mimo to jednak już w końcu lutego uznał za potrzebne spisać wolę swoją ostatnią. Czynności tej dopełnił podług wszelkich formalności w razie takim przepisanych. O zrobieniu testamentu uwiadomił listownie tylko wuja Januszewskiego, zobowiązywał go jednak do sekretu o tém przed matką.

... „Kilka dni temu (pisał do niego) byłem mocno bardzo krwią zaatakowany. Teraz zamknęło się ujęcie i żywot mój w łono powrócił; ale widziałem z bliska Pana mego i Boga mego, który mię już chciał jak żołnierza od was wziąć, a na inne, może trudniejsze jeszcze stanowisko odkomenderować. Gotów byłem i wesół byłem — i teraz, wrócony zdrowiu, znów jestem wesół, że jeszcze z wami zostać mi kazano. —

„Zrobiłem będąc chory testament — krótki, z dwóch paragrafów. W pierwszym zostawiam wszystko, co mam, i przekazuję wszystkie prawa moje... Matce i Tobie Teofilu, mianując Was wspólnie i solidarnie sukcesorami moimi. W drugim paragrafie czynię exekutorem testamentu, względem moich paryskich pozostałości, przyjaciela mojego, człowieka złotego serca, p. Charles Petiniand...

„Gdybym był umarł, już byłbym z Wami. A tak, trzeba mi będzie jechać do Was — a mam nadzieję, że pojedę...

List ten był pisany d. 4 marca (1849). Był to ostatni list Słowackiego...

Równocześnie dał znać o sobie też i Szczęsnemu, który całą ową zimę spędzał w Monachium. Dokończył właśnie studyów swoich w uniwersytecie tamtejszym. Niezwłocznie po odebraniu niedobrej téj wiadomości, Szczęsny z Monachium do Paryża pojechał i stanął na miejscu jeszcze przed końcem tego miesiąca,

Od téj chwili nie odstąpił już przyjaciela aż do samego zgonu.*) Przy pierwszym powitaniu zagadnął go Słowacki takimi słowy: „Dobrze, żeś przyjechał. Nie będę tak samotny w ostatnich chwilach, bo już wszystko się kończy. Pan Bóg mnie wzywa do siebie“. — Następnych dni mało już mówił o swoim zdrowiu i chociaż po nocach nie sypiał i często cierpiał mocno, w dzień jednak był rzeźwy i czynny, jak dawniej. Pierwszego kwietnia powiedział Szczęsnemu, że w nocy tak mu źle było, że dnia nie spodziewał się dożyć. Pytał, czy nie zna jakiego ubogiego, któryby chciał sypiać u niego. Szczęsny ofiarował mu sam usługi swoje. Nie przyjął ich jednak, za powód to podając, że mu zajęć jego nie chce przerywać. Zresztą mieli jeszcze później pomówić o tém. „Wreszcie — dodał — może mnie Bóg i tak jakoś przeniesie.“ — Nazajutrz mówił Szczęsnemu, że zaczął przepisywać jeden z niewydanych jeszcze swoich poematów, ale tak mało ma siły, że musiał zaprzestać. Szczęsny mu zaproponował, żeby mu dyktował, co też przyjął. I tak napisali jedną pieśń; ale i to Słowackiego męczyło, tak iż resztę odłożyli na później.**)

*) Tu dołączam wiadomość, że pod bezpośredniem wrażeniem smutnych dni, które wtedy razem przeżył z Słowackim, i jako naoczny świadek wszystkiego, co się w dniach owych działo około niego, spisał Szczęsny zaraz po śmierci poety ostatnie chwile jego. Rodzina Słowackiego, dla której wspomnienie owo było pisane, udzieliła go w lat kilkanaście potem jednemu z pism peryodycznych warszawskich, które też ustępy niektóre z niego ogłosiło w kolumnach swoich. Szczegóły te służą mi teraz za źródło, według którego podaję prawie dosłownie, co odtąd następuje w texcie.

**) Przejrzawszy pozostałe papiery, jestem w stanie z wszelką pewnością powiedzieć, coto był za utwor, o którym mowa. Był to rapsod jeden z Króla - Ducha, rapsod ze wszystkich najwięcej wykończony, osnuty na podaniach o Piaście i Ziemowicie. Jest między papierami pośmiertnymi rękopis, z kilku arkuszy listowych zasyty; na pierwszej zeszytu tego strony położył poeta tytuł poematu taki: „Z Króla - Ducha — Księgi Legend“. Śnać dawał więc rzeczy téj napis jakby całości oddzielnéj i oderwanéj, zwątpiwszy już o możliwości wykończenia całego utworu. Potém następuje 6 strof ośmiowierszowych, własną autora ręką kreślonych. Tu się pismo Słowackiego urywa. Strofa siódma i wszystkie dalsze już są pisane ręką Szczęs-

Kiedy miał Szczęsny już odchodzić do siebie, polecił mu Słowacki, ażeby poszedł pytać się księdza, czy będzie mógł przyjść z Sakramentami do niego. Zlecenie to Szczęsny wypełnił. Kiedy dnia następnego przyszedł do Juliusza, zapytując, kiedy się chce spowiadać, zastał u niego przyjaciela jego Petiniaud, który od czasu choroby codziennie Słowackiego odwiedzał. Ten mu powiedział, że chory bardzo źle noc przepędził; a chociaż z rana wstał i chodził, jednak tak go to męczyło, że koło dziesiątej zemgł i zdawało się, że już skończył. Na zapytanie Szczęsnego, jak się czuje, odrzekł Słowacki, że ma teraz gorączkę, która go utrzymuje przy siłach, ale czuje się bardzo niedobrze. Przyzwano księdza. Ten pomówiwszy z nim trochę, poszedł do kościoła po Sakramenta. — Tymczasem Juliusz widząc przytomnych w rozrzewnieniu, wziął Szczęsnego za rękę i głosem przerywanym, lecz spokojnym rzekł te słowa do niego: „Powiedz mojej matce, że nic do niej nie napisałem, bo tych rzeczy pisać nie można; ale szczęśliwy jestem, że dziś jakby na pożegnanie, wspomnienie jęj odebrałem, i z myślą o niej umieram.“ Po chwili milczenia, wznioł oczy w górę i tonem jeszcze uroczystszym mówił dalej: — „Wiara w nieśmiertelność ducha i sprawiedliwość bożą jest wielkim darem Stwórcy nam udzielonym! Ta wiara tylko pozwala spokojnie śmierć przyjąć. Ale dziś ja ufam w sprawiedliwość bożą, bo ją pojmuję; i tak ufam, że gdybym mógł powierzyć ducha mego w ręce matki, aby ona wynagrodziła go stósownie do zasługi, nie oddałbym go z taką ufnością, z jaką go dziś oddaję w ręce Stwórcy. — Wszak prawda? ciągnął dalej, obracając mowę wprost do Szczęsnego: Gdziekolwiek ostatnia godzina cię zastanie, czy na wysokim urzędzie, czy w skromnym wiejskim domku, czy we własnym dworze: przyjmiesz wolę bożą spokojnie i z godnością, jaka nieśmiertelnemu duchowi przystoi.“ — Wtém ksiądz wszedł; a kiedy po odbytej spowiedzi ofiarował mu przenajświętszy Sakrament, Juliusz wstał o własnej mocy i ukląkł na łóżku, potem przyjął ostatnie nama-

snego, jak o tém na pewne twierdzić mogę, dobrze znając ówczesny kształt jego pisma.

szczenie, z zupełną przytomnością i modląc się ciągle. Po Sakramentach gorączka opuściła go zupełnie, oczy się rozjaśniły i na pogodnej twarzy uśmiech się ukazał tak łagodny i ujmujący, że nie było można oderwać wzroku od tego oblicza cudownie pięknego światłem zachwyceniem. Po chwili takiego wewnętrznego skupienia wyciągnął ręce do przyjaciół i z łagodnym uśmiechem powiedział: — „Niech będą dzięki Stwórcy, że pozwolił mi przed zgonem przyjąć Sakramenta. Myślałem często o tém, czy też tej łaski dostąpię.“ — Potem wypił trochę gorącej herbaty i prosił, żeby go zostawili samego, gdyż chciał spocząć. Wyszli przytomni do drugiego pokoju, ale drzwi były otwarte, i widzieli, jak zamykał oczy na chwilę i jakby lękając się, by to nie był sen ostatni, znowu otwierał je nagle. Oddech jego był trudny i przerwany. Widząc, że nie śpi, przytomni weszli do jego pokoju: prosił o trochę wina czerwonego. Podano wino, ale je już z trudnością przełknął. Potem kazał Szczęsnemu przynieść książkę, z której mu w wilią dnia owego dyktował; i pokazywał mu, w jakim porządku potrzeba dalej przepisywać. Ale nie doszedłszy do końca, zamknął ją mówiąc z uśmiechem: „Wszystko to głupstwo“... Potem prosił, żeby go posadzić w innej pozycji, a kiedy to uskuteczniono, powiedział, zawsze z uśmiechem: „Może to w tém położeniu śmierć mię zastanie“... Zamilkł, ale ciągle spozierał na zegarek, jakby chciał wiedzieć, o której godzinie do wieczności się przenosi. Przed samym zgonem wyciągnął ręce i zrobił znak, że chce wstać. Lecz zaledwie go podnieśli, obfity pot zaczął prawie lać się z jego twarzy i całe ciało mocno drząc poczęło — oddech jego był coraz cięższy — coraz powoli słabł — oczy na wpół się zamknęły i mgłą zasłły. Nacieranie skroni i pulsus eterem nic nie pomogło. Powoli oddech ustał — serce bić przestało — wszystko się skończyło — już nie żył.

Było to dnia 3 kwietnia 1849 r. Liczył poeta wtedy lat czterdzieści niespełna.

We dwa dni potem wiozł wóz skromny zwłoki zmarłego do kościoła św. Filipa du Roule, a stąd na cmentarz Montmartre. Nie było mu tedy dano spocząć w tym śnie nieprzespanym na miejscu, na którym dawniej, w pełni jeszcze żywota swego, ma-

rzył nieraz, że spocznie kiedyś na wieki. Miało to być w ojczyźnie, na cmentarzu krzemienieckim, pod cieniem znanj czereśni, która tam grób dziada i babki jego ocienia. — Orszak żałobny, postępujący za trumną, składał się z małej garstki samych tylko rodaków, po większej części współtowarzyszów w tułactwie. Adama Mickiewicza nie widziano pomiędzy nimi. Nad grobem nie odezwało się żadne słowo ostatniego pożegnania na tę daleką drogę wieczności. Ponure milczenie przerywały tylko grudki obcej ziemi, które z głuchym stukiem z rąk przyjaciół spadały na wieko trumny...

W kościele akademickim św. Anny w Krakowie, w pobocznej nawie po lewej stronie, wzniesiony jest skromny nagrobek Juliusza Słowackiego. Wystawiła mu go strapiona matka. *) Położono na nim jako napis następujące wyrazy:

Pamięci
Juliusza Słowackiego
 syna Euzebiusza
 urodzonego w Krzemieńcu
 zmarłego w Paryżu,
 który walkę poezji
 ku odrodzeniu się ducha i
 uczucia ludzkości
 po chrześcijańsku
 w dniu 3 kwietnia 1849 r.
 zakończył
 w żalu nieutulona matka
 poświęca. —

Lepiej aniżeli te słowa określają cały charakter życia i działania Słowackiego strofy przez niego samego krótko napisane przed zgonem, pod napisem:

*) Nadmieniam dodatkowo co do p. Becu, że przeznaczone jég było żyć jeszcze po stracie syna lat 6. Zakończyła życie w miesiącu lipcu 1855 r.

„Testament mój“.

Żyłem z Wami — cierpiałem i płakałem z wami;
 Nigdy mi, kto szlachetny, nie był obojętny:
 Dziś was rzucam i dalej idę w cień — z duchami —
 A jak gdyby tu szczęście było — idę smętny.

Nie zostawiłem tutaj żadnego dziedzica
 Ani dla mojej lutni ani dla imienia:
 Imię moje tak przeszło, jako błyskawica,
 I będzie jak dźwięk pusty trwać przez pokolenia.

Lecz wy, coście mnie znali, w podaniach przekażcie,
 Żem dla ojczyzny stęrał moje lata młode,
 A póki okręt walczył — siedziałem na maszcie,
 A gdy tonął — z okrętem poszedłem pod wodę...

Ale kiedyś — o smętnych losach zadumany
 Mojej biednej ojczyzny — przyzna, kto szlachetny,
 Że płaszcz na moim duchu był nie wybrany,
 Lecz świetnościami dawnych moich przodków świetny.

Niech przyjaciele moi w nocy się zgromadzą
 I biedne serce moje spalą w aloesie,
 I téj, która mi dała to serce, oddadzą —
 Tak się matkom wypłaca świat, gdy proch odniesie...

Niech przyjaciele moi siedą przy puharze
 I zapiją mój pogrzeb — oraz własną biędę...
 Jeżeli będę duchem, to im się pokażę,
 Jeśli Bóg nie uwolni od męki — nie przyjdę...

Lecz zaklinam — niech żywi nie tracą nadziei
 I przed narodem niosą oświaty kaganiec;
 A kiedy trzeba, na śmierć idą po kolei,
 Jak kamienie przez Boga rzucane na szaniec!..

Co do mnie — ja zostawiam maleńką tu družbę
 Tych, co mogli pokochać serce moje dumne;
 Znać, że srogą spełniłem, twardą Bożą służbę
 I zgodziłem się tu mieć — nieplakaną trumnę.

Kto drugi tak bez świata oklasków się zgodzi
Iść?... taką obojętność, jak ja, mieć dla świata?
Być sternikiem duchami napelnionej łodzi,
I tak cicho odlecieć — jak duch, gdy odlata?

Jednak zostanie po mnie ta siła fatalna,
Co mi żywemu na nic... tylko czoło zdobi;
Lecz po śmierci was będzie gniotła niewidzialna,
Aż was, zjadacze chleba — w aniołów przerobi. —

SPIS RZECZY

W TOMIE DRUGIM ZAWARTYCH.

ROZDZIAŁ X.

strona

Druga połowa roku 1837 i cały 1838. — Przybycie do Liworno — kwarantana — smutna wiadomość z domu. — Poeta osiada we Florencyi — przywiązane do miasta tego wspomnienia Danta — towarzyskie stósunki. — Wiersz „Do Księgarza“ — Poema Piasta Dantyszka o piekle — „Podróż na Wschód.“ — Znajomość z księżną Survilliers — mania muzykalna we Włoszech. Niespodziewany epizod w życiu — p. Aniela M. — Sonety. — Zygmunt Krasiński w Florencyi — korespondencya Słowackiego z matką na czas dłuższy przerwana — wyjazd jego do Francyi. — Na kilka miesięcy przedtém druk Anhellego, jako też Poematu o Piekło. — Rozbiór krytyczny Anhellego 1

ROZDZIAŁ XI.

Rok 1839 i 1840. — Poeta osiada w Paryżu i wydaje Trzy Poemata, toż Balladynę. — Korespondencya z Krasińskim. — Kilka słów mimochodem rzuconych o wartości wydania „Wyjątków z listów Z. Krasińskiego“. — Słowa Krasińskiego o Mickiewiczu, Słowackim i Cieszkowskim. — Stósunki Juliusza z matką zawiązują się na nowo. — Życie jego w Paryżu — stósunek do Emigracyi — Amnestya. — Wychodzi z druku Mazepa i Lilla Weneda. Powstają nowe dzieła: Krakus — Wallenrod — Beatryx Cenci — dramat Benioński i niektóre pomniejsze rzeczy, to wierszem, to prozą pisane 40

ROZDZIAŁ XII.

Zdanie o wierszu „W Szwajcaryi“ — uwagi o Wacławie — granica aż do której służy poecie prawo traktowania historii podług swojej fantazyi. — Myśl autora w „Ojcu Zadźmionych“ — niewłaściwość wykładu dzieł poetyckich z allegorycznego punktu widzenia — *Mazepa*: dawniejsze sądy o tym utworze — jego wprowadzenie na scenę — jego rozbiór. Niejednokrotna nad nim praca odbija się w jego budowie — brak tragiczności w roli głównej daje powód do mylnego pojmowania dramatu. Rzut oka na Szekspirowego *Otella* — na *Lira*. — Cechy i konieczne warunki charakteru bohaterów tragicznych — z tego punktu widzenia rozbiór roli *Amelii*. Konkluzya o wartości całego dzieła.

66

ROZDZIAŁ XIII.

Rok 1841 i pierwsza połowa 1842go. — Stósunek między Słowackim a Mickiewiczem. Słowackiego zdanie o Panu *Tadeuszu*. — Mickiewicz profesorem w Lozanie. W r. 1840 otrzymuje katedrę w Collège de France w Paryżu. Wieczór artystów i poetów — improwizacye — wymówki. Nowa niechęć z okazji ofiarowanego Mickiewiczowi puharu — bezimienny artykuł w Tygodniku Poznańskim — odpowiedź w Trzecim Maju — *Beniowski*. Wrażenie téj publikacyi — dalsze takowej następstwa — pojedynek. Artykuł *Kraśińskiego* w Tygodniku Poznańskim burzę poniekąd ucisza. — Wracają spokojniejsze stósunki — otucha i rezygnacya — czynność autorska wzrasta. Dalszy ciąg *Beniowskiego* — *Niepoprawni* — *Złota Czaszka* — *Książę Niezłomny*.

101

ROZDZIAŁ XIV.

Rozbiór *Balladyny*. — Skąd pochop do podjęcia pomysłu takiéj tragedyi? Analogie z tragikami starożytnymi — o ile duch wieków naszych przedhistorycznych żyje w płodach wyobraźni ludowej? „*Maliny*“ *A. Chodźki* i „*Lilie*“ *Mickiewicza*. — Główne idee w *Balladynie* — jak się takowe zbiegają w ostatecznym węzle dramatu? Znaczenie ustępów fantastycznych — jaki ich związek z całością sztuki? Rzut oka na „*Sen Nocny Letniéj*“ *Szekspira*. Rozbiór charakteru bohaterki dramatu — rozwój jéj roli — kolej działających na jéj wolę pobudek. Analogie *Balladyny* z *Lirem Szekspira* — zapożyczenia z *Makbeta*. — Ogólne zdanie o téj sztuce.

137

ROZDZIAŁ XV.

Rozbiór Lilli Wenedy. — Dany w niej obraz zawiązku w Słowiaństwie państwa lechickiego jak się ma względem prawdy dziejowej? — Jaka rola w dramacie przydzielona Wenedom? Jakie znaczenie „przekleństwa“, wskazującego ich na zagładę? — Przymioty Lecha i zwycięskiej jego drużyny. — Wybitne indywidualności w tragedyi: Derwid — Lelum — Polelum — Róża Weneda — Lilla. Kto właściwym bohaterem sztuki? — Tragiczność idei, na której dramat osnuty. Czy jej wcielenie jest dostateczne? — Przegląd ról poszczególnych: zadanie Róży — i zadanie Lilli. Artystyczne niewłaściwości w przeprowadzeniu pojedynczych szczegółów. — Obejrzenie katastrofy dramatu — ogólne uwagi. 178

ROZDZIAŁ XVI.

Druga połowa r. 1842 i następne lata aż do 1847. — Wystąpienie Towiańskiego w Paryżu — ogólny sąd o duchu jego doktryny. Mickiewicz uznaje w Towiańskim posłannika bożego. Zawiązanie się koła jego zwolenników. — Stósunek pierwotny Słowackiego do Towiańszczyzny — zdanie o niej autora Przedświtu. — W r. 1842 Słowacki przystępuje do koła — jego korespondencya z matką i z Krasieńskim. Zerwanie się między nimi przyjacielskich stósunków — stanowisko Słowackiego późniejsze między Towiańszczykami — scysye i utworzenie sobie osobnego kółka. 203

ROZDZIAŁ XVII.

Dalszy ciąg rozpoczętej materyi. Autorska czynność Słowackiego pod wpływem Towianizmu. Książdz Marek — Sen Srebrny Salomei. Zdanie matki poety o tych utworach i jego odpowiedź na to. — Znaczenie literackie obu dramatów. — Różne poezye liryczne i ulotne — poemat z dziejów Nowogrodu — Poeta i Natchnienie — Zawisza Czarny — Samuel Zborowski — Genesis z Duchą 233

ROZDZIAŁ XVIII.

Dalszy ciąg rozpoczętej materyi. — Rozmowa z Matką Mokryną. — Król Duch — wykład pierwszych rapso-

dów tegoż — szczegóły o stanie rękopisu dalszych części Króla-Ducha. — Urywki przekładu Iliady. — Powody do napisania wiersza „Do Autora trzech Psalmów” — okoliczności chwili owęj towarzyszące — stósunek ówczesny między Krasińskim a Słowackim. — Dwie broszury prozą, w tychże latach wydane. . . 260

ROZDZIAŁ XIX.

Rok 1848 i początek 1849. Zakończenie życiorysu. — Coroczne wycieczki Słowackiego nad brzegi oceanu — przyjaciele jego w ostatnich czasach — Wojciech Stattler — L. Norwid — K. Ujejski — Szczesny F. — Wiosna r. 1848 — „Konfederacya” — wyjazd do kraju. Poznań — Wrocław — tydzień wspólnie z matką spędzony. — Przymusowe rozstanie. — Kilka dni w Ostendzie — powrót do Paryża. — Uposobienie poety w ostatnich czasach — stan zdrowia — tęsknota do kraju — niewątpliwe oznaki zbliżającego się zgonu. Poeta marzy o wyjeździe do Galicyi na przyszłą wiosnę i wśród tych projektów kończy życie. — Opis zgonu — nagrobek — „Testament”. 319



